

**NELSON DEMILLE** urodził się w Nowym Jorku w 1943 roku. Jako oficer wywiadu wojskowego, a następnie piechoty, brał udział w wojnie wietnamskiej i otrzymał szereg odznaczeń za męstwo. Początkowo pisywał pod pseudonimem. Sławę przyniosła mu pierwsza książka wydana pod własnym nazwiskiem - **Nad rzekami Babilonu** (1978). Od czasu wydanego w 1990 roku **Złotego Wybrzeża** wszystkie jego powieści, m.in. **Córka generała** (1992), **Śliwkowa Wyspa** (1997), **Gry Lwa** (2000), **Ust z Wietnamu** (2002) i *Nightfall* (**Nadejście nocy**, 2005) osiągnęły najwyższą pozycję amerykańskiej listy best-sellerów. Dwie książki DeMille'a zostały sfilmowane: *Córka generała* (z Johnem Travoltą w roli głównej) i **Słowo honoru**. Wytwórnice Paramount i Columbia zapowiedziały ekranizację dalszych powieści. W 2006 roku ukaże się kontynuacja *Śliwkowej Wyspy* i *Gry Lwa* — *The Custer Hill Club*.

**Nelson**  
**DeMILLE**  
**Śliwkowa Wyspa**

## Podziękowania

Jestem wdzięczny wszystkim wymienionym niżej osobom za to, że podzieliły się ze mną swoją fachową wiedzą. Odpowiedzialność za wszelkie popełnione błędy oraz przeinaczenia ponoszę tylko i wyłącznie ja. Tu i ówdzie potraktowałem fakty w sposób nieco dowolny, zazwyczaj jednak starałem się pozostać w zgodzie z uzyskanymi informacjami.

W pierwszym rządzie dziękuję detektywowi porucznikowi Johnowi Kennedy'emu z policji hrabstwa Nassau, człowiekowi, który napracował się nad tą powieścią prawie tak samo jak ja. John Kennedy jest oddanym policjantem, uczciwym prawnikiem, doświadczonym żeglarzem, dobiym mężem Carol, dobiym przyjacielem DeMille'ow i nieubłaganym literackim krytykiem. Serdeczne dzięki za poświęcony mi czas i fachowe uwagi.

Chciałbym jeszcze raz podziękować Danowi Starerowi z Research for Writers w Nowym Jorku za jego znużającą pracę.

Wdzięczny jestem również Bobowi i Lindzie Scalia z Southold za pomoc w poznaniu lokalnego kolorytu i zwyczajów.

Składam podziękowania Martinowi Bowe i Laurze Flanagan z biblioteki publicznej Garden City za fachową pomoc w zbieraniu materiałów.

Serdecznie dziękuję Howardowi Polskinowi z CNN oraz Cindi Younker i Mike'owi DelGiudice z News 12 Long Island za udostępnienie mi swoich materiałów filmowych z Plum Island.

Jeszcze raz dziękuję Bobowi Whitingowi z Banfi Vintners za to, że podzielił się ze mną swoją wiedzą i zaraził pasją do wina.

Dziękuję doktorowi Alfonso Torresowi, dyrektorowi Ośrodka Chorób Zwierzęcych na Plum Island za cierpliwość oraz czas, który mi

poświęcił. Podziwiam oddanie, z jakim wraz z personelem wykonuje swoją ważną pracę.

Jestem głęboko wdzięczny mojej asystentce Dianne Francis za setki przepracowanych dla mnie godzin.

Przedostatnie podziękowania kieruję na ręce mojego przyjaciela i agenta Nicka Ellisona oraz jego pracownic, Christine Harcar i Faye Bender. Żaden autor nie ma lepszych reprezentantów i lepszych kolegów.

Na koniec gorąco dziękuję Ginny DeMille — to jej siódma książka i ją również redagowała z miłością i entuzjazmem.

## **Od autora**

W kwestiach dotyczących Ośrodka Chorób Zwierzęcych Departamentu Rolnictwa Stanów Zjednoczonych na Plum Island pozwoliłem sobie na pewną licencję literacką przy opisie wyspy i prowadzonej tam działalności.

*Trzy osoby mogą dochować sekretu,  
jeśli dwie z nich nie żyją.*

**Benjamin Franklin**  
**Poor Richard's Almanac (1735)**

# Rozdział 1

Patrzyłem przez lornetkę na zakotwiczony kilkaset jardów od brzegu ładny, mający czterdzieści stóp jacht. Na pokładzie były dwie pary koło trzydziestki, które spędzały miło czas, opalając się na słońcu, popijając piwo i tak dalej. Kobiety miały na sobie wyłącznie skąpe, niezasłaniające pośladków majteczki, a jeden z facetów stanął na dziobie i ściągnął szorty. Stał tam przez jakąś minutę, wietrząc małego, a potem skoczył do zatoki i opłynął łódź dookoła. Co za wspaniały kraj. Odłożyłem lornetkę i otworzyłem budweisera.

Było późne lato, przez co rozumiem nic koniec sierpnia, ale wrzesień, jeszcze przed jesiennym zrównaniem dnia i nocy. Mieliśmy już za sobą weekend Święta Pracy i zbliżało się babie lato, cokolwiek to znaczy.

Ja, John Corey, z zawodu gliniarz, na urlopie zdrowotnym, siedziałem w głębokim wiklinowym fotelu na tylnej werandzie domu mojego wujka i przez głowę przelatywały mi płytkie myśli. Doszedłem właśnie do wniosku, iż problem z nieróbstwem polega na tym, że nie wiadomo, kiedy z nim skończyć.

Staroświecka weranda obiega z trzech stron wiktoriański dom z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, prawdziwe чудо z wieżyczkami, gzymsami i spadzistymi dachami. Z miejsca, gdzie siedziałem, rozpościerał się widok na południe, na zatokę Great Peconic, która zaczynała się tuż za opadającym w dół trawnikiem. Słońce wisiało nisko na horyzoncie, dokładnie tam, gdzie powinno się znajdować o godzinie szóstej czterdzieści pięć po południu. Jestem chłopakiem z wielkiego miasta, ale naprawdę zaczynało mi się podobać życie na wsi, rozgwieżdżone niebo i takie rzeczy.

Przed kilku tygodniami znalazłem wreszcie na firmamencie Wielką Niedźwiedzicę.

Miałem na sobie prosty biały podkoszulek i przycięte dzinsy, które były obcisłe, zanim spadłem znacznie z wagi. Bose stopy oparłem o balustradę, a między wielkimi palcami lewej i prawej stopy widać było wspomniany wyżej jacht.

O tej porze dnia zaczynają cykać świerszcze, cykady i Bóg jeden wie co jeszcze, ale nie jestem wielkim fanem odgłosów natury, w związku z czym na stoliczku tuż obok miałem przenośny magnetofon, z którego płynęła muzyka zespołu Big Chill. W lewej ręce trzymałem budweisera, na kolanach lornetkę, a na podłodze przy prawej ręce leżał służbowy rewolwer Smith & Wesson kaliber .38 z dwucalowym bębniem, który mieści się świetnie w mojej torebce. Żartuję.

W trakcie dwusekundowej ciszy między „When a Man Loves a Woman” i „Dancing in the Street” usłyszałem lub wyczułem, że ktoś stąpa po skrzypiących starych deskach werandy. Ponieważ mieszkam sam i nikogo się nie spodziewałem, podniosłem z podłogi smitha & wessona i położyłem sobie na kolanach. Żeby ktoś nie pomyślał, że cierpię na paranoję, powinienem chyba wspomnieć, że urlop zdrowotny przyznano mi nie po przebytej śwince, ale po to, by zagoiły mi się trzy rany postrzałowe, dwie po pociskach kalibru dziewięć milimetrów i jedna po magnum czterdzieści cztery, choć w wypadku ran postrzałowych kaliber nie jest aż taki ważny. Jeśli chodzi o rany postrzałowe, to, podobnie jak w wypadku nieruchomości, największe znaczenie ma lokalizacja, lokalizacja, lokalizacja. Moje trzy rany miały najwyraźniej odpowiednią lokalizację, ponieważ wracałem do zdrowia, a nie wahałem kwiatków od spodu.

Spojrzałem w prawo, tam gdzie weranda zakręcała wokół zachodniej ściany domu. Jakiś facet wyłonił się zza rogu i zatrzymał mniej więcej piętnaście stóp ode mnie, wpatrując się w długie cienie rzucane przez zachodzące słońce. Tak się składało, że jego własny długi cień padał prosto na mnie i facet chyba mnie nie zauważył. Ponieważ miał za plecami słońce, trudno mi było dostrzec jego twarz i zgadnąć, jakie ma zamiary.

— Czym mogę służyć? — zapytałem.

Obrócił głowę w moją stronę.

— A... cześć, John. Nie widziałem cię.

— Siadaj, szefie.

Wsadziłem rewolwer za pasek pod podkoszulkiem i ściszyłem „Dancing in the Street”. Sylvester Maxwell, zwany Maksem, który



reprezentuje w tych stronach prawo i porządek, podszedł bliżej i stanął twarzą do mnie, opierając się tyłkiem o balustradę. Miał na sobie niebieski blezer, białą koszulę z zapinanym kołnierzykiem, brązowe bawełniane spodnie oraz żeglarskie buty bez skarpetek. Nie wiedziałem, czy jest na, czy po służbie.

— W tej lodówce są napoje orzeźwiające — powiedziałem.

— Dzięki — odparł, wyjmując z lodu budweisera.

Dla Maksa piwo to napój orzeźwiający. Pociągnął kilka łyków, wpatrując się w punkt oddalony o dwie stopy od swego nosa. Ja ponownie wlepiłem wzrok w wodę, słuchając „Too Many Fish in the Sea” Marvelettes. Był poniedziałek i wynieśli się już dzięki Bogu weekendowi turyści. Jak już wspomniałem, było to po Święcie Pracy, kiedy kończy się okres wynajmu letnich domków, i czuło się powracającą samotność. Max pochodzi z tych stron i nie przystępuje od razu do rzeczy, musiałem więc cierpliwie czekać.

— To twój dom? — zapytał w końcu.

— Mojego wujka. Chce, żebym go kupił.

— Niczego nie kupuj. Jeśli coś lata, pływa albo daje dupy, wynajmij to. Oto moja dewiza.

— Dziękuję za dobrą radę.

— Jak długo tu jeszcze zabawisz?

— Aż wiatr przestanie mi świstać w środku piersi.

Uśmiechnął się, a potem ponownie zapadł w zadumę. Max jest dużym mężczyzną, mniej więcej w moim wieku, to znaczy około czterdziestu pięciu lat, o falistych włosach, rumianej cerze i błękitnych oczach. Kobiety uważają go za przystojniaka, co raczej nie przeszkadza komendantowi Maxwellowi, który jest samotny i hetero.

— No i jak się czujesz? — zapytał.

— Nieźle.

— Masz ochotę na małą łamigłówkę”?

Nie odpowiedziałem. Znam Maksa od jakichś dziesięciu lat, ponieważ jednak tu nie mieszkam, widuję go tylko od czasu do czasu. Powiniennem w tym miejscu nadmienić, że jestem detektywem nowojorskiej policji i do momentu gdy mnie postrzelili, pracowałem w wydziale zabójstw komisariatu Manhattan North. Było to dwunastego kwietnia. W Nowym Jorku od jakichś dwudziestu lat nie postrzelono żadnego gliniarza z wydziału zabójstw, sprawa nabrała więc pewnego rozgłosu. Biuro rzeczownika policji uderzyło w wielki dzwon, jako że było to ponownie zabójstwo na zlecenie, a ponieważ jestem miły, atrakcyjny, przystojny i tak dalej, można było rzecz dobrze sprzedać. Środki przekazu złapały wiatr w żagle i tak to się

toczyło. Tymczasem dwaj sprawcy, którzy mnie załatwili, brykają na wolności. Spędziłem miesiąc w szpitalu Columbia Presbyterian i kilka tygodni w moim mieszkaniu na Manhattanie, a potem wujek Harry zasugerował, że jego letni domek jest odpowiednim lokum dla bohatera. Czemu nie? Przyjechałem tutaj pod koniec maja, zaraz po Święcie Poległych.

— Znałeś chyba Toma i Judy Gordonów — powiedział Max.

Spojrzałem na niego. Nasze oczy spotkały się i zrozumiałem.

— Oboje? — zapytałem.

— Oboje — odparł, kiwając głową. — Chciałbym, żebyś obejrzał miejsce zbrodni — stwierdził, kiedy uczciliśmy ich pamięć chwilą ciszy.

— Dlaczego?

— A dlaczego nie? W ramach przysługi. Zanim ktokolwiek inny tam się zwali. Brakuje mi detektywów w wydziale zabójstw.

W rzeczywistości policja gminy Southold nie dysponuje w ogóle wydziałem zabójstw, co zazwyczaj nie ma większego znaczenia, ponieważ mało kto ginie tutaj gwałtowną śmiercią. Kiedy coś takiego się stanie, przyjeżdża ekipa z policji hrabstwa Suffolk i odsuwają Maksa od sprawy. Max bardzo tego nie lubi.

Trochę lokalnego kolorytu: znajdujemy się na należącym do Long Island cyplu North Fork, w stanie Nowy Jork, w gminie Southold, założonej, wedle przydrożnej tablicy, przez osadników z New Haven w Connecticut, którzy, z tego co wiadomo, mieli na pieńku z królem. Na South Fork po drugiej stronie Peconic Bay leżą modne Hamptons, zamieszkiwane przez pisarzy, artystów, aktorów, wydawców i innych stuprocentowych dupków. Tu, na North Fork, mieszkają farmerzy, rybacy i ludzie ich pokroju. Oraz prawdopodobnie jeden morderca.

Dom wujka Harry'ego stoi w osadzie Mattituck, jakieś sto mil od Zachodniej Sto Drugiej Ulicy, gdzie dwóch dżentelmenów o latynoskiej urodzie wystrzeliło czternaście lub piętnaście pocisków w kierunku waszego oddanego sługi, trafiając trzy razy w ruchomy cel z odległości jakichś dwudziestu, trzydziestu stóp. Nie jest to zbyt imponujący wynik, ale ja się nie skarzę i nie zamierzam ich z tego powodu krytykować.

Gmina Southold obejmuje większą część North Fork: osiem osiedli, jedną wioskę, Greenport, oraz jedną placówkę lokalnej policji, w której służy około czterdziestu zaprzysiężonych funkcjonariuszy i której szefem jest Sylvester Maxwell. Tak to wygląda.

— Nie zaszkoździ, jeśli rzucisz okiem — stwierdził Max.

— Oczywiście, że zaszkoździ. Co będzie, jeśli potem wezwiecie

mnie, żebym zeznawał w jakimś nieodpowiednim momencie? Nikt mi za to nie zapłaci.

— Tak się składa, że zadzwoniłem do gminy i zgodzili się oficjalnie cię zatrudnić. Jako konsultanta, za sto dolarów dziennie.

— Rany. Wygląda mi to na fuchę, do której będę musiał dołożyć.

Max pozwolił sobie na uśmiech.

— Daj spokój, będziesz miał na benzyne i telefon. Zresztą i tak nic nie robisz.

— Czekam, aż zasklepi mi się dziura w prawym płucu.

— To nie będzie zbyt męczące.

— Skąd wiesz?

— Masz szansę zostać dobrym obywatelem Southold.

— Jestem nowojorczykiem. Nowojorczycy nie są dobrymi obywatelami.

— Znałeś chyba dobrze Gordonów. Nie byli twoimi przyjaciółmi?

— Tak jakby.

— No widzisz. Masz już motywację. Nie daj się prosić, John. Wstawaj. Idziemy. Będę ci winien przysługę. Anuluję ci mandat.

Prawdę mówiąc, nudziłem się, a Gordonowie byli porządnymi ludźmi... Wstałem i odstawiłem piwo.

— Zatrudnisz mnie za dolara tygodniowo, żeby to wyglądało oficjalnie.

— Dobrze. Nie będziesz tego żałował.

— Oczywiście, że będę. — Wyłączyłem „Jeremiah Was a Bullfrog”. — Dużo tam krwi? — zapytałem Maksa.

— Trochę. Zostali postrzeleni w głowy.

— Myślisz, że powinienem włożyć klapki?

— No, nie wiem... Z tyłu wypadło trochę mózgu i kości czaszki.

— W porządku.

Wsunąłem na nogi klapki, obszedłem z Maksem werandę, po czym wsiadłem do stojącego na kolistym podjeździe nieoznakowanego białego jeepa Cherokee ze skrzeczącym policyjnym radiem.

Ruszyliśmy długą aleją, pokrytą stuletnią warstwą ostryg i mięczaków. Wujek Harry i wszyscy jego przodkowie wysypywali tam muszle razem z popiołem i żużlem z pieca węglowego, żeby pojazdy nie tonęły w błocie i kurzu. Posiadłość nazywała się kiedyś nadmorską farmą i w dalszym ciągu leży nad morzem, tyle że większa część działki została sprzedana. Sam teren jest trochę zarośnięty, a flora składa się w większości z rzadko już dziś uprawianych gatunków, takich jak forsycja, wierzba amerykańska i krzaki ligustru.

Sam domek, pomalowany na kremowy kolor, ma zielony dach i zielone obramowania okien. Jest dość fajny i być może kupię go, jeśli policyjne łapuduchy stwierdzą, że do niczego się już nie nadaje. Powiniennem poćwiczyć płucie krwią.

Co się tyczy mojej niezdolności do pracy, mam duże szanse na wolną od podatku dożywotnią rentę powypadkową. To policyjny ekwiwalent wyjazdu do Atlantic City, poślizgnięcia się o rozdarty dywan w kasynie Trump's Castle i wyrżnięcia głową w jednorękiego bandytę na oczach adwokata od odpowiedzialności cywilnej. Czyli strzał w dziesiątkę.

— Słuchasz mnie?

— Co takiego?

— Powiedziałem, że znalazł ich sąsiad. O piątej czterdzieści pięć.

— Czy jestem już oficjalnie zatrudniony?

— Jasne. Oboje zostali zabici strzałem w głowę i sąsiad znalazł ich leżących na patio...

— Wszystko to i tak zobaczę, Max. Opowiedz mi o sąsiedzie.

— Dobrze. Nazywa się Edgar Murphy. To starszy pan. Usłyszał, jak łódź Gordonów przyплыnęła o piątej trzydzieści. Mniej więcej po kwadransie poszedł tam i odkrył ich zwłoki. Nie słyszał strzałów.

— Nosi aparat słuchowy?

— Nie. Pytałem go. Według Edgara, jego żona też ma świetny słuch. Więc może użyto tłumika. A może są bardziej głusi, niż im się wydaje.

— Ale usłyszeli łódź. Edgar jest pewien co do czasu?

— Raczej tak. Zadzwoił do nas o piątej pięćdziesiąt pięć, czyli zaraz potem.

— W porządku.

Spojrzałem na zegarek. Było dziesięć po siódmej. Max musiał wpaść na genialny pomysł, żeby mnie zaangażować, zaraz po przyjeździe na miejsce zbrodni. Zakładałem, że ludzie z wydziału zabójstw hrabstwa Suffolk już tam są. Jechali z małego miasteczka o nazwie Yaphank, gdzie znajduje się siedziba okręgowej policji, o godzinę drogi od miejsca, w którym mieszkali Gordonowie.

Max nie przestawał mówić, a ja próbowałem główkować, lecz minęło już pięć miesięcy, odkąd musiałem zajmować się podobnymi sprawami. Kusilo mnie, żeby warknąć: „Suche fakty, Max!”, ale na razie mu nie przerywałem. Poza tym w głowie słyszałem takty „Jeremia Was a Bullfrog”, a sami wiecie, jakie to denerwujące, kiedy nie można się odczepić od jakiejś melodii. Zwłaszcza takiej.

Wyjrzałem przez otwartą boczną szybę. Jechaliśmy prowadzącą ze wschodu na zachód główną drogą, noszącą trafną nazwę Main

Road, w kierunku Nassau Point, gdzie mieszkają — a raczej mieszkali — Gordonowie. North Fork jest czymś w rodzaju Cape Cod, skrawkiem lądu, owiewanym przez wiatr, otoczonym z trzech stron przez wodę i pokrytym patyną historii.

Liczba stałych mieszkańców nie przekracza dwudziestu tysięcy, ale wiele osób przyjeżdża tutaj tylko na lato i na weekend, a nowe winnice przyciągają jednodniowych wycieczkowiczów. Każdy, kto założy winnicę, może być pewien, że zaraz zwali się do niego dziesięć tysięcy degustujących wino japiszonów z najbliższego większego miasta.

Tak czy owak, skręciliśmy na południe, do Nassau Point, który jest długim na dwie mile półwyspem w kształcie tasaka, wrzynającym się w Great Peconic Bay. Moją przystań dzielą od domu Gordonów mniej więcej cztery mile.

Nassau Point jest kurortem od lat dwudziestych i można tu spotkać zarówno proste bungalowy, jak i imponujące rezydencje. Spędzał tu kiedyś lato Albert Einstein i stąd właśnie wysłał do Roosevelta w tysiąc dziewięćset trzydziestym którymś roku swój słynny *List z Nassau Point*. Namawiał w nim prezydenta, aby uruchomił produkcję bomby atomowej. Reszta, jak powiadają, jest historią.

Co ciekawe, w Nassau Point wciąż mieszka wielu naukowców; część pracuje w Brookhaven National Laboratory, tajnym ośrodku nuklearnym położonym trzydzieści pięć mil stąd. Inni zatrudnieni są na Plum Island\*, w supertajnym ośrodku badań biologicznych, w którym dzieją się rzeczy tak przerażające, że musieli go umieścić na wyspie. Plum Island leży mniej więcej dwie mile od cypla Orient Point, który stanowi najdalej wysunięty na wschód fragment North Fork — następnym przystankiem jest Europa.

Tak się składa, że Tom i Judy Gordonowie byli biologami pracującymi na Plum Island i możecie być pewni, że zarówno Sylvester Maxwell, jak i John Corey mieli to na uwadze.

— Wezwalesz federalnych? — zapytałem.

Max potrząsnął głową.

— Dlaczego?

— Morderstwo nie jest przestępstwem federalnym.

— Wiesz, o czym mówię, Max — mruknąłem.

Komendant Maxwell nie odpowiedział.

\* Plum Island (ang.) — Śliwkowa Wyspa.

## Rozdział 2

Podjechaliśmy do posiadłości Gordonów, która leżała przy wąskiej drodze biegnącej wzdłuż zachodniego brzegu cypla. Wzniesiony w stylu rancza z lat sześćdziesiątych dom zmodernizowano tak, by odpowiadał potrzebom lat dziewięćdziesiątych. Gordonowie, pochodzący gdzieś ze Środkowego Zachodu i niezbyt pewni, jak potoczy się dalej ich kariera, wspomnieli kiedyś, że wynajmują go z prawem pierwokupu. Gdybym pracował w tej samej branży co oni, też nie robiłbym długoterminowych planów. Nie kupowałbym nawet zielonych bananów.

Skoncentrowałem się na tym, co dzieje się za oknami jeepa. Na przyjemnej alejce, w rzucanych przez drzewa purpurowych długich cieniach stali sąsiedzi i dzieci na rowerach, rozmawiając i spoglądając na dom Gordonów. Na ulicy zaparkowane były dwa nieoznakowane wozy i trzy policyjne samochody z Southold. Podjazd blokowała furgonetka ekipy kryminalistycznej. Niewjeżdżanie i nieparkowanie na miejscu zbrodni, aby nie zniszczyć dowodów rzeczowych, to dobry zwyczaj i pokrzepiła mnie świadomość, że dowodzeni przez Maksa policjanci stanęli jak na razie na wysokości zadania.

Na drodze ustawiły się również dwie telewizyjne furgonetki, jedna z lokalnej stacji Long Island, druga z NBC News.

Zauważyłem także kilku reporterów, którzy wypytywali sąsiadów, podtykając mikrofon każdemu, kto otworzył usta. Nie zaczął się jeszcze typowy cyrk, ale wkrótce powinien się zacząć, gdy inni łowcy newsów dowiedzą się o związkach łączących ofiary z Plum Island.

Biegące od drzewa do drzewa żółte policyjne taśmy otaczały

dom i cały teren. Max zaparkował za furgonetką kryminalistyczną i wysiedliśmy. Błysnęło parę fleszy, a potem zapaliło się kilka wielkich telewizyjnych jupiterów i sfilmowano nas do wydania wiadomości o jedenastej. Miałem nadzieję, że nie obejrzą ich członkowie komisji lekarskiej, nie mówiąc już o dwóch sprawcach, którzy próbowali mnie uziemić i teraz będą wiedzieli, gdzie jestem.

Na podejździe stał umundurowany funkcjonariusz z notesem w ręku i Max podał mu moje nazwisko, tytuł i tak dalej, w związku z czym byłem już oficjalnie zaangażowany w sprawę i mogłem otrzymać wezwanie od prokuratora i obrońców. Tej właśnie rzeczy chciałem uniknąć, ale byłem w domu, gdy złożyło mi wizytę przeznaczenie.

Ruszyliśmy zwirowanym podjazdem i przeszliśmy przez furtkę na tyły budynku. Teren opadał tutaj wyłożonymi cedrem tarasami aż do długiej przystani, przy której przycumowana była łódź Gordonów. Wieczór zrobił się naprawdę piękny i żałowałem, że Tom i Judy nie mogą się nim nacieszyć.

Dostrzegłem normalną w takich wypadkach ekipę kryminalistyczną, a także trzech umundurowanych policjantów z Southold oraz kobietę ubraną w lekki brązowy żakiet, pasującą do niego spódnicę, białą bluzkę i eleganckie buty. Z początku myślałem, że jest krewną którejś z ofiar i wezwano ją w celu identyfikacji zwłok i tak dalej, ale potem zauważyłem, że trzyma w ręku notes oraz pióro i sprawia oficjalne wrażenie.

Na srebrzystoszarych cedrowych deskach tarasu leżeli obok siebie na plecach Tom i Judy. Stopy zwrócone mieli w stronę domu, głowy ku zatoce, a ręce i nogi przekrzywione, jakby udawali śnieżne anioły. Policyjny fotograf robił zdjęcia ciała. Światło flesza rozjaśniło taras i przez ułamek sekundy zwłoki upodobniły się do upiorów z *Nocy żywych trupów*.

Przyjrzałem się ciałom. Tom i Judy Gordonowie mieli po trzydzieści kilka lat, byli w świetnej formie i stanowili wyjątkowo przystojną parę — do tego stopnia, że brano ich za znane osobistości, kiedy jadali w lepszych lokalach.

Oboje mieli na sobie dżinsy, tenisówki i koszulki polo. Koszulka Toma była czarna, ze znakiem firmowym jakiejś firmy żeglarskiej, a Judy w bardziej modnym kolorze myśliwskiej zieleni z małą żółtą żagłówką na lewej piersi.

Max, przypuszczam, nie widywał dużo zamordowanych osób w ciągu roku, obejrzał jednak dość naturalnych zgonów, samobójstw i wypadków samochodowych, żeby nie zzielenieć. Był posepny,

zatraskany i pogrążony w zadumie niczym prawdziwy profesjonalista, ale co chwila zerkał na ciała, jakby nie potrafił uwierzyć, że na tak ślicznym tarasie leżą ofiary morderstwa.

W przeciwieństwie do niego niżej podpisany, pracujący w mieście, gdzie odnotowuje się rocznie półtora tysiąca zabójstw, jest, jak powiadają, ze śmiercią za pan brat. Nie widziałem półtora tysiąca trupów, ale widziałem ich dosyć, żeby nie robiło mi się niedobrze i nie być zszokowany, zdziwiony ani zasmucony. Chociaż gdy chodzi o kogoś, kogo się znało i lubiło, wygląda to inaczej.

Ruszyłem przez taras i zatrzymałem się przy Tomie Gordonie. Miał dziurę od pocisku przy grzbiecie nosa. Judy miała ranę z boku, na lewej skroni.

Zakładając, że strzelała tylko jedna osoba, Tom, jako wysportowany facet, oberwał prawdopodobnie pierwszy, pojedynczym strzałem w głowę; drugi pocisk ugodził w skroń Judy, która obracała się z niedowierzaniem w stronę męża. Obie kule przeszły zapewne przez czaszki i wpadły do zatoki. Spece od balistyki nie mieli szczęścia.

Nigdy nie byłem na miejscu zabójstwa, które nie miałoby swojego zapachu — niewiarygodnie przykrego, jeżeli ofiary leżały jakiś czas martwe. Jeśli jest krew, potrafię ją zawsze wyczuć, a jeśli przebita została jama brzuszna, czuć na ogół specyficzną woń wnętrzości. Nie jest to coś, co chciałbym ponownie wahać; kiedy ostatnim razem czułem zapach krwi, należała ona do mnie. Tak czy owak, fakt, że morderstwo popełniono na świeżym powietrzu, znacznie łagodził tego rodzaju wrażenia.

Rozejrzałem się dookoła i nie spostrzegłem żadnego miejsca, gdzie mógłby się ukryć zabójca. Szklane przesuwane drzwi na taras były otwarte i strzelający być może stał w środku, ale do Gordonów było stamtąd dwadzieścia stóp i mało kto potrafi trafić w głowę z takiej odległości. Ja sam byłem tego najlepszym dowodem. Z dwudziestu stóp celuje się najpierw w ciało, a potem podchodzi bliżej i wykańcza ofiarę strzałem w głowę. Były zatem dwie możliwości: zabójca strzelał ze strzelby, nie z pistoletu, albo mógł do nich podejść, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Był kimś, kto wyglądał normalnie i niegroźnie, być może nawet kimś, kogo znali. Gordonowie wysiedli ze swojej łodzi, ruszyli w stronę domu, a potem zobaczyli tę osobę i szli dalej. Zabójca podniósł pistolet, kiedy byli w odległości najwyżej pięciu stóp i ukatrupił ich oboje.

Omiotłem wzrokiem taras i w kilku miejscach zobaczyłem małe kolorowe chorągiewki, wbite w cedrowe deski.



— Czerwone oznaczają krew?

Max pokiwał głową.

— Białe... kości czaszki, a szare...

— Rozumiem.

Dobrze, że włożyłem klapki.

— Rany wylotowe są wielkie, kule wyrwały im całą tylną część czaszki — poinformował mnie Max. — Rany wlotowe, jak widzisz, też są duże, moim zdaniem z czterdziestkipiątki. Nie znaleźliśmy jeszcze żadnej z kul. Prawdopodobnie wpadły do zatoki.

Nie odpowiedziałem.

— Przesuwane drzwi zostały wylamane, a dom splądrowany — kontynuował Max, wskazując szklane drzwi. — Nie stwierdziliśmy, żeby brakowało jakiejś dużej rzeczy. Telewizor, komputer, wieża, wszystko jest na miejscu. Ale sprawca mógł zabrać biżuterię i inne małe przedmioty.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

Ciordonowie, jak większość zatrudnionych przez rząd jajogłowych, nie mieli dużo biżuterii, dzieł sztuki i rzeczy tego rodzaju. Ćpun zabrałby drogą elektronikę i wziął nogi za pas.

— Posłuchaj, co myślę — oznajmił Max. — Włamywacz albo włamywacze obrabiali dom, zobaczyli przez szklane drzwi zbliżających się Gordonów, wyszli na taras, zabili ich i uciekli. Tak było? — zapytał, spoglądając na mnie.

— Skoro tak twierdzisz.

— Tak twierdzą.

— Rozumiem.

Brzmiało to lepiej niż: „w splądrowanym domu znaleziono zwłoki dwojga naukowców, którzy pracowali nad supertajną bronią bakteriologiczną”. Max stanął tuż obok mnie.

— Co o tym sądzisz? — zapytał cicho.

— Czy to była punkt piąta?

— Daj spokój, człowieku, nie rób ze mnie balona. Niewykluczone, że mamy tutaj do czynienia ze zbrodnią o międzynarodowych konsekwencjach.

— Ale przed chwilą powiedziałeś, że to może być zwykłe zabójstwo lokatorów, którzy wrócili do domu w nieodpowiednim momencie.

— Owszem, ale tak się składa, że ci lokatorzy zajmowali się tym... czym się zajmowali — odparł Max. — Spróbuj odtworzyć bieg wypadków — dodał, patrząc mi prosto w oczy.

— W porządku. Zdajesz sobie chyba sprawę, że zabójca nie

strzelał zza tych szklanych drzwi. Stał blisko Gordonów. Drzwi, które zastałeś otwarte, były w tym czasie zasunięte, żeby podchodząc do domu, Gordonowie nie nabrali podejrzeń. Zabójca siedział prawdopodobnie tutaj, na jednym z tych foteli. Przyplął łodzią, bo nie chciał chyba zaparkować przed domem, gdzie wszyscy mogliby go zobaczyć. A może ktoś go podwiózł. Tak czy inaczej, Gordonowie albo go znali, albo nie zaniepokoił ich specjalnie jego widok na tarasie. Może to była kobieta, sympatyczna i sprawiająca miłe wrażenie. Oni podeszli do niej, ona do nich. Zamienili kilka słów i zaraz potem zabójca wyjął pistolet i załatwił ich. Komendant Maxwell pokiwał głową.

— Jeśli sprawca szukał czegoś w środku, nie była to biżuteria ani gotówka, ale papiery. No wiesz: coś na temat bakterii. Zabił Gordonów dlatego, że chciał ich zabić, a nie dlatego, że go za skoczyli. Czekał na nich. Przecież o tym wiesz.

Max ponownie pokiwał głową.

— Z drugiej strony widziałem mnóstwo sfuszerowanych włamań, w trakcie których właściciel został zabity, a złodziej nic nie ukradł. Kiedy w grę wchodzi narkotyki, nic nie układa się w logiczną całość.

Szeryf Maxwell potarł podbródek, wyobrażając sobie najpierw nawalonego ćpuna z bronią w rękę, a potem zimnego zabójcę i wszystkie pośrednie możliwości.

Kiedy to robił, przykleknąłem przy ciałach, bliżej Judy. Miała otwarte oczy, naprawdę szeroko otwarte i wyglądała na zdziwioną. Oczy Toma też były otwarte, ale miał spokojniejszy wyraz twarzy od żony. Muchy wyczuły krew wokół ran i chciałem je odgonić, ale i tak nie miało to większego znaczenia.

Zbadałem dokładniej zwłoki, nie dotykając niczego, co powinno zainteresować fachowców. Obejrzałem włosy, paznokcie, skórę, ubrania, buty i tak dalej. Skończywszy, poklepałem Judy po policzku i wstałem.

— Od jak dawna ich znałeś? — zwrócił się do mnie Max.

— Od czerwca.

— Byłeś już wcześniej w tym domu?

— Tak. Powinieneś mi zadać jeszcze jedno pytanie.

— No tak... muszę ci je zadać. Gdzie byłeś o wpół do szóstej po południu?

— Z twoją ukochaną.

Max uśmiechnął się, lecz nie wyglądał na ubawionego.

— Jak dobrze ty ich znałeś? — zapytałem.

Przez chwilę się wahał.

— Tylko na gruncie towarzyskim — odparł w końcu. — Moja dziewczyna wyciąga mnie na degustacje wina i podobne imprezy.

— Naprawdę? Skąd wiedziałeś, że ich znam?

— Wspomnieli, że spotkali nowojorskiego gliniarza, który wraca do zdrowia. Powiedziałem, że cię znam.

— Jaki ten świat mały — mruknąłem.

Nie odezwał się.

Rozejrzałem się dookoła. Na wschód ode mnie stał dom, na południe rósł gęsty wysoki żywopłot, za którym znajdowała się posesja Edgara Murphye'go, sąsiada, który znalazł ciała. Na północy, aż do następnego, ledwie widocznego domu, ciągnęły się przez kilkaset jardów nieogrodzone mokradła. Na zachód ode mnie znajdował się trójpoziomowy taras opadający aż do przystani, która wrzynąła się na jakieś sto stóp w zatokę. Na jej końcu stała łódź Gordonów, smukła biała motorówka ze szklanego włókna — długa na trzydzieści stóp formuła trzysta ileś tam. Nazywała się *Spirochete*, tak jak (o czym wiemy z lekcji biologii) wredna bakteria, wywołująca syfilis. Gordonowie mieli poczucie humoru.

— Edgar Murphy twierdzi, że Gordonowie często pływali własną łodzią na Plum Island — powiedział Max. — Korzystali z państwowego promu tylko przy złej pogodzie i w zimie.

Pokiwałem głową. Wiedziałem o tym.

— Mam zamiar zadzwonić na Plum Island — ciągnął dalej Max. — Spróbuję dowiedzieć się, o której godzinie wypłynęli. Morze jest spokojne, zaczyna się przyływ i wieje wschodni wiatr, więc mogli płynąć z maksymalną szybkością.

— Nie jestem żeglarzem.

— Ale ja jestem. Dopłynięcie tu z Plum Island mogło im zabrać zaledwie godzinę, choć na ogół trwa to półtorej godziny, maksymalnie dwie. Murphye'owie słyszeli, jak łódź Gordonów przyплыła mniej więcej o wpół do szóstej. Jeśli uda nam się ustalić, o której wypłynęli z Plum, będziemy mieli większą pewność, że rzeczywiście usłyszeli łódź Gordonów.

— Zgadza się.

Rozejrzałem się po tarasie. Stały na nim normalne ogrodowe meble: stół, krzesła, barek, przeciwsłoneczne parasole i tak dalej. Między deskami rosły małe krzaki i inne rośliny, w zasadzie jednak nie było tu miejsc, w którym ktoś mógłby się ukryć i zacząć na dwie osoby.

— O czym myślisz? — zapytał Max.

— O wspaniałym amerykańskim tarasie. Rozległym, zrobionym z niewymagających konserwacji desek, wielopoziomowym, dosto-  
sowanym do rzeźby terenu i tak dalej. Nie tak jak moja staroświecka  
weranda, którą bez przerwy trzeba malować. Gdybym kupił dom  
od mojego wujka, mógłbym zbudować taras do samej zatoki,  
zupełnie jak ten tutaj. Choć z drugiej strony nie zostałyby mi dużo  
trawnika.

Max milczał przez kilka sekund.

— O tym właśnie myślisz? — zapytał.

— Tak. A ty o czym myślisz?

— Ja myślę o podwójnym morderstwie.

— Dobrze. Powiedz mi, co jeszcze ustaliłeś.

— W porządku. Dotknąłem silników — powiedział, wskazując  
kciukiem łódź. — Kiedy tu przyjechałem, były wciąż ciepłe, podob-  
nie jak ciała.

Pokiwałem głową. Słońce zanurzało się w zatoce, robiło się  
wyraźnie ciemniej i chłodniej i zaczynałem marznąć w moim  
podkoszulku i szortach włożonych na gołe ciało.

Na atlantyckim wybrzeżu, od Outer Banks do Nowej Fundlandii,  
wrzesień jest naprawdę złotym miesiącem. Dni są ciepłe, w nocy  
przyjemnie się śpi; to lato bez letniego skwaru i wilgotności powie-  
trza i jesień bez jesiennych chłodnych deszczy. Ptaki, które spędzają  
tu lato, jeszcze nie odleciały, a pierwsze wędrowne ptaki z północy  
robią sobie przerwę w drodze na południe. Przypuszczam, że  
gdybym wyprowadził się z Manhattanu i zamieszkał tutaj, całe to  
zbliżenie do natury, pływanie łódką i łowienie ryb przypadłoby mi  
do gustu.

— I jeszcze coś — mówił Max. — Szpring jest przywiązany  
do pali.

— To oznacza wielki przełom w sprawie. Co to jest, do diabła,  
szpring?

— Cuma. Łódź nie jest przycumowana do pachołków na pomo-  
ście, lecz tymczasowo przywiązana do pali, które wystają z wody.  
Wnoszę z tego, że mieli zamiar niedługo znowu wypłynąć.

— Trafne spostrzeżenie.

— Owszem. Masz jakieś uwagi?

— Nie.

— Jakieś własne spostrzeżenia?

— Obawiam się, że jesteś w tym o wiele lepszy ode mnie, szefie.

— Jakieś teorie, pomysły, przeczucia? Cokolwiek?

— Nic.

Wydawało mi się, że szeryf Maxwell ma zamiar powiedzieć coś jeszcze, na przykład „zwalniam cię”.

— Pójdę zadzwonić — mruknął zamiast tego i mszył w stronę domu.

Zerknąłem ponownie na Gordonów. Kobieta w brązowym kostiumie obrysowywała teraz Judy kredą. W Nowym Jorku obrysem zwłok zajmuje się zazwyczaj detektyw prowadzący śledztwo i domyśliłem się, że tutaj jest tak samo. Chodziło o to, żeby policjant, który ma zamknąć dochodzenie i współpracować potem z prokuratorem, znał sprawę i w jak najszerszym zakresie zajmował się nią. Doszedłem w związku z tym do wniosku, że dama w brązowym kostiumie jest detektywem z wydziału zabójstw i że przydzielono jej tę sprawę. Jeśli więc zdecyduję się pomagać Maksowi, nasze ścieżki na pewno się skrzyżują.

Miejsce, w którym dokonano zabójstwa, to jedno z najbardziej interesujących miejsc na świecie, jeśli ktoś wie, czego szuka i na co patrzy. Weźmy na przykład ludzi takich jak Tom i Judy, którzy obserwują małe zarazki pod mikroskopem i potrafią powiedzieć, jak nazywają się te zarazki, co w tym momencie knują, co potrafią zrobić osobie, która się im przygląda i tak dalej. Kiedy ja patrzę na zarazki, widzę tylko małe wijące się nitki. Nie mam wyszkolonego oka ani wyszkolonego umysłu do zarazków.

Z drugiej strony, patrząc na zwłoki i na to, co je otacza, widzę rzeczy, których większość ludzi nie jest w stanie dostrzec. Max dotknął silników łodzi i stwierdził, że są ciepłe, zwrócił uwagę, jak przycumowana jest motorówka, i dostrzegł mnóstwo innych drobnych szczegółów, których przeciętny obywatel w ogóle nie zauważa. Ale Max nie jest prawdziwym detektywem i działa mniej więcej na drugim poziomie zaawansowania. Żeby rozpracować podobne do tego morderstwo, trzeba wznieść się na wyższy poziom. Wiedział o tym i dlatego przyszedł do mnie.

Tak się złożyło, że znałem ofiary i dla prowadzącego sprawę detektywa jest to duży plus. Wiedziałem na przykład, że Gordonowie płynęli na Plum Island w szortach, T-shirtach i mokasynach i dopiero potem przebierali się w swoje laboratoryjne fartuchy, skafandry biologiczne czy co tam mieli. Poza tym Tom nie wyglądał jak Tom w czarnym podkoszulku, a Judy była, z tego co pamiętam, bardziej pastelową osobą. Domyślałem się, że ubiór stanowił kamuflaż, a tenisówki włożyli, żeby szybciej się poruszać. Choć może szukałem dziury w całym. Trzeba uważać, żeby tego nie robić.

Na podeszwach ich tenisówek była jednak czerwona glina. Skąd

się wzięła? Nie z laboratorium i najprawdopodobniej nie z przystani na Plum Island, nie z ich przystani i nie z ich tarasu. Wyglądało na to, że byli dziś w jakimś innym miejscu. Inaczej się dziś ubrali i ten dzień z całą pewnością skończył się dla nich inaczej, niż się spodziewali. Wchodziło tu w grę coś innego. Nie miałem pojęcia co, ale było to zdecydowanie coś innego.

Mimo to nie można było wykluczyć możliwości, że nadziali się po prostu na włamywacza. Chcę powiedzieć, że może nie miało to nic wspólnego z ich pracą. Max obawiał się tego, był na to wychulony i mógł, przepraszam za kalambur, mnie tym zarazić. A przed północą to miejsce odwiedzą ludzie z FBI, wywiadu wojskowego i CIA. Chyba że Max złapie wcześniej naćpanego włamywacza.

— Przepraszam.

Odwrociłem się. To była kobieta w brązowym kostiumie.

— Nie ma za co — odparłem.

— Czy ma pan prawo tu przebywać?

— Jestem tu z całą paczką.

— Czy jest pan policjantem?

T-shirt i szorty najwyraźniej nie dodawały mi autorytetu.

— Jestem z szefem Maxwellem.

— Zauważyłam to. Wpisał się pan?

— Może pani pójdzie i sprawdzi?

Odwrociłem się i zszedłem na niższy poziom tarasu, omijając po drodze małe kolorowe chorągiewki. Zmierzałem w stronę przystani. Kobieta szła tuż za mną.

— Nazywam się Penrose, pracuję w wydziale zabójstw hrabstwa Suffolk i prowadzę to dochodzenie.

— Moje gratulacje.

— I jeśli nie ma pan tutaj żadnej oficjalnej sprawy...

— Będzie pani musiała pogadać z szefem.

Zszedłem na pomost i ruszyłem w stronę przycumowanej łodzi. Wiał całkiem silny wiatr i słońce zaszło już za horyzontem. Nie widziałem teraz żadnych żagli, ale zatoką płynęło kilka motorówek z zapalonymi światłami. Na południowym wschodzie wzeszedł księżyc w trzeciej kwadrze, rozsypując iskry po wodzie.

Trwał przypyływ i pokład trzydziestostopowej łodzi znajdował się prawie na poziomie pomostu. Skoczyłem na łódź.

— Co pan robi? Nie wolno panu tego robić.

Była oczywiście bardzo atrakcyjna; gdyby była brzydka, zachowywałbym się o wiele grzeczniej. Jak już wspomniałem, jej strój sprawiał raczej oficjalne wrażenie, ale kształty skryte pod

szytym na miarę kostiumem były symfonią krągłości, muzyką usiłującego wyrwać się na wolność ciała. Prawdę mówiąc, wyglądała, jakby przemycała pod spodem balony. Dostrzegłem także, że nie ma na palcu ślubnej obrączki. Oto pozostałe dane: wiek koło trzydziestki; średniej długości włosy koloru miedzi; oczy niebieskozielone; skóra jasna, niezbyt opalona jak na tę porę roku; lekkie makijaż, pełne usta; brak widocznych znaków szczególnych lub blizn; nieumalowane paznokcie; rysująca się na twarzy irytacja.

— Czy pan mnie słucha?

Miała także całkiem miły głos mimo groźnego tonu, którym obecnie przemawiała. Podejrzewałem, że z powodu ładnej buzi, wspaniałej figury i miłego głosu detektyw Penrose nie zawsze traktowano poważnie i dlatego nadrabiała miną. Prawdopodobnie miała w domu poradnik *Jak się ubrać, żeby utrzcć nosa facetowi*.

— Czy pan mnie słucha?

— Ja panią słucham. A czy pani mnie słucha? Powiedziałem, żeby pogadała pani z komendantem.

— Kieruję tym śledztwem. Zabójstwami zajmuje się policja hrabstwa.

— W porządku, pójdziemy razem do komendanta. Za chwilę.

Rozejrzałem się szybko po łodzi, ale było już ciemno i nie zobaczyłem zbyt wiele. Próbowałem znaleźć latarkę.

— Powinna pani postawić tutaj na noc policjanta — powiedziałem do detektywa Penrose.

— Dziękuję za dobrą radę. Proszę zejść z łodzi.

— Ma pani przy sobie latarkę?

— Niech pan zejdzie z łodzi. W tej chwili.

— Dobrze.

Stanąłem na burcie, a ona nieoczekiwanie podała mi rękę. Miała zimną skórę. Pomogła mi wspiąć się na pomost i w tym samym momencie z kocią zwinnością sięgnęła pod mój podkoszulek i wyjęła zza paska rewolwer. No, no.

Zrobiła krok do tyłu, trzymając w rękę moją splotkę.

— Niech pan się nie rusza z miejsca.

— Tak jest, proszę pani.

— Jak pan się nazywa?

— Detektyw John Corey, z wydziału zabójstw nowojorskiej policji, proszę pani.

— Co pan tutaj robi?

— To samo co pani.

— Nieprawda. Ja prowadzę tę sprawę. Nie pan.

— Tak jest, proszę pani.  
— Czy występuje pan tutaj w oficjalnym charakterze?  
— Tak jest, proszę pani. Zostałem zatrudniony jako konsultant.  
— Konsultant? W sprawie o morderstwo? Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

— Ja też.  
— Kto pana zatrudnił?  
— Gmina.  
— To idiotyczne.  
— Zgadza się. — Odniosłem wrażenie, że detektyw Penrose nie bardzo wie, co dalej robić, i postanowiłem jej pomóc. — Czy chce pani przeprowadzić rewizję osobistą?

Wydawało mi się, że widzę na jej wargach przelotny uśmiech. Serce wyrwało mi się do niej, ale równie dobrze mogła to być moja dziura w płucach.

— Jak pan powiedział, że się nazywa? — zapytała.

— John Corey.

Przez chwilę szukała w pamięci mojego nazwiska.

— Ach... to pan jest tym facetem...

— Tak, to ja jestem tym szczęściarzem.

Detektyw Penrose wyraźnie zmiękła. Przekręciła w dłoni moją trzydziestkęsemkę, podała mi ją kolbą do przodu, odwróciła się i odeszła.

Ruszyłem za nią pomostem, a potem trójpoziomowym tarasem do domu. Zewnętrzne światła oświetlały teren przy oszklonych drzwiach i ćmy krążyły wokół okrągłych kloszy.

Max rozmawiał z jednym z techników od zabezpieczania dowodów.

— Poznaliście się już? — zapytał, odwracając się do mnie i do detektyw Penrose.

— Dlaczego ten człowiek bierze udział w śledztwie? — chciała wiedzieć detektyw Penrose.

— Dlatego, że chcę, żeby brał w nim udział — odparł Maxwell.

— Tego rodzaju decyzja nie należy do pana.

— Ani do pani.

Przez jakiś czas odbijali w ten sposób piłeczkę i rozbolała mnie od tego szyja.

— Ona ma rację, szefie — stwierdziłem w końcu. — Zmywam się stąd. Każ mnie odwieźć do domu.

Ruszyłem w stronę furki, po czym z wystudiowanym dramatyzmem odwróciłem się z powrotem do Maxwella i Penrose.



— Czy ktoś zabrał aluminiowy pojemnik z rufy łodzi? — zapytałem.

— Jaki aluminiowy pojemnik? — zainteresował się Max.

— Gordonowie mieli duży aluminiowy pojemnik, w którym trzymali różne graty. Czasami używali go jako lodówki i wkładali tam piwo i przynętę.

— Gdzie on jest?

— O to właśnie się pytam.

— Poszukam go.

— Dobry pomysł.

Odwrociłem się, przeszedłem przez furtkę i minąłem trawnik przed domem. Wieść o podwójnym morderstwie rozeszła się po małej osadzie i do sąsiadów dołączyli inni ciekawscy.

Zapstykwały skierowane w moją stronę aparaty i błysnęły flesze, oświetlając mnie na tle domu. Zaszumiały kamery, a reporterzy zaczęli wykrzykiwać swoje pytania. Przypomniały mi się dobre stare czasy. Zakryłem dłonią usta i zakaszlałem, na wypadek gdyby oglądali mnie członkowie komisji lekarskiej, nie mówiąc już o byleży żonie.

Z tylnego podwórka dołączył do mnie umundurowany policjant. Wsiedliśmy do oznakowanego samochodu policji gminy Southold i odjechalśmy. Policjant oświadczył, że nazywa się Bob Johnson.

— Co pan o tym sądzi, detektywie? — zapytał.

— Zamordowano ich.

— Nie, poważnie. — Przez chwilę się wahał. — Myśli pan, że to miało coś wspólnego z Plum Island?

— Nie.

— Coś panu powiem. Widziałem wiele włamań, ale to nie było włamanie. To miało wyglądać jak włamanie, lecz w rzeczywistości ci ludzie szukali czegoś konkretnego.

— Nie zaglądałem do środka.

— Szukali bakterii — oświadczył Johnson, zerkając na mnie. — Bakterii. Broni biologicznej. Takie jest moje zdanie. Mam rację?

Nie odpowiedziałem.

— Dlatego nigdzie nie ma aluminiowego pojemnika — kontynuował Johnson. — Słyszałem, jak pan o nim mówił.

Ponownie nie odpowiedziałem.

— W pojemniku były fiołki albo coś w tym rodzaju. Zgadza się? Jezu Chryste, mogło tam być dość tego świństwa, żeby zetrzeć z powierzchni ziemi całą Long Island... cały Nowy Jork.

Być może nawet całą planetę, Bob, w zależności od tego, jaka to była bakteria i ile można jej wyhodować z ukradzonej próbki.

Odwrociłem się do funkcjonariusza Johnsona i złapałem go za ramię, żeby skupił na mnie swoją uwagę.

— Niech pan nie waży się pisać o tym ani słowa — powiedziałem. — Nikomu! Rozumie pan?

Pokiwał głową.

W milczeniu dojechaliśmy do mojego domu.

## Rozdział 3

Każdy potrzebuje miejsca, gdzie mógłby się zaszyć, przynajmniej faceci. Kiedy jestem w Nowym Jorku, przesiaduję na ogół w National Arts Club, popijając sherry z ludźmi o wysokiej kulturze i oglądzie. Mojej byłej żonie też trudno było w to uwierzyć.

Kiedy jestem tutaj, odwiedzam często Olde Towne Taveme, mimo że unikam na ogół miejsc, których nazwa kończy się na „c”. Myślę, że rząd powinien przyznać tysiąc niemych „e” całej Nowej Anglii oraz Long Island i gdy zostaną wszystkie wykorzystane, nikomu nie będzie wolno ich użyć. Tak czy inaczej Olde Towne Taveme leży w osadzie Mattituck, która ciągnie się na długość jednej przecznicy i jest naprawdę urocza. Sama knajpa też jest niczego sobie. Na szyldzie widnieje obrazek dawnego żaglowca, mimo że do morza jest mila z okładem. Ściany obito bardzo ciemnym drewnem, podłogę wyłożono dębowymi deskami, a najbardziej podobają mi się lampy z bursztynowego szkła, które wypełniają całe wnętrze ciepłym blaskiem i naprawdę potrafią stworzyć miły nastrój.

Siedziałem zatem w Olde Towne Taverne, zbliżała się dziesiąta wieczór, a poniedziałkowi goście oglądali mecz Dallas z Nowym Jorkiem na Meadowlands. Moje myśli skakały pomiędzy meczem, podwójnym morderstwem, tym, co jadłem, oraz kelnerką z wymodelowanym na siłowni tyłkiem.

Odziany byłem w elegancki strój wieczorowy składający się z brązowych dżinsów Levi'sa, niebieskiej koszulki polo Ralpha, autentycznych top-siderów Sperry'ego oraz bawełnianych kalesonek Hanesa. Wyglądałem, jakbym był chodzącą reklamą.

Siedziałem na stołku przy jednym z wysokich do piersi orzecho-

wych stołów niedaleko baru, miałem dobry widok na telewizor, a przed sobą swój ulubiony posiłek: cheeseburgera, frytki, nadziewane boczkiem ziemniaki, nachos, skrzydelka kurczaka oraz budweisera; piękna kompozycja brązów i żółci.

Detektyw Penrose z policji hrabstwa Suffolk zakradła się od tyłu i zanim się zorientowałem, usiadła na stołku naprzeciwko z piwem w rękę, zasłaniając mi telewizor. Przyjrzała się mojej kolacji i zauważyłem, że uniosła brwi.

— Max powiedział, że mogę pana tu zastać — stwierdziła.

— Chce pani trochę frytek?

— Nie, dziękuję. — Przez chwilę się wahała. — Obawiam się, że poznaliśmy się w niefortunnych okolicznościach.

— Nonsens. Uwielbiam, kiedy celuje się do mnie z mojej własnej broni.

— Niech pan posłucha. Rozmawiałam z Maksem i pomyślałam... skoro gmina chce pana zatrudnić jako konsultanta, ja nie mam nic przeciwko. Jeśli ma pan jakieś uwagi, które pana zdaniem mogą okazać się użyteczne, niech się pan nie krępuje i dzwoni.

Wręczyła mi swoją wizytówkę, na której przeczytałem „Detektyw Elizabeth Penrose, Wydział Zabójstw”. Pod spodem zamieszczony był jej adres służbowy, numer faksu, telefonu i tak dalej. Po lewej stronie wytłoczone było godło hrabstwa Suffolk z napisem „Wolny i niepodległy” wokół groźnie wyglądającego byka.

— Wcale do pani niepodobny — skomentowałem.

Przez chwilę wbijała we mnie wzrok, zaciskając szczęki. Jej nozdrza rozchyliły się i wzięła długi oddech. Nie dała się sprowokować, co było wspaniale. Czasami bywam irytujący.

Pochyliłem się nad stołem i nasze nosy znalazły się w odległości piłki futbolowej. Miała zdrowy mydlany zapach.

— Posłuchaj, Elizabeth — oznajmiłem — oszczędźmy sobie tej gadki. Wiesz, że znałem Gordonów, byłem w ich domu i pływałem ich łodzią, że znałem ich przyjaciół i współpracowników i że rozmawiali zapewne ze mną o swojej pracy, ponieważ jestem gliniarzem. Przypuszczasz, że wiem o nich więcej niż ty i Max razem wzięci, i zapewne masz rację. Zdajesz sobie sprawę, że mi podpadłaś i Max jest na ciebie wściekły, w związku z czym przysłał tutaj, żeby mnie przeprosić i pozwolić, bym do ciebie zadzwonił i powiedział, co wiem. Kurczę! To dla mnie prawdziwy zaszczyt. Ale jeśli nie zadzwonię jutro albo pojutrze, będziesz musiała wezwać mnie na formalne przesłuchanie. Nie udawajmy więc, że jestem konsultantem, twoim partnerem, twoim kumplem albo skwapliwym

informatorem. Powiedz mi po prostu, gdzie i kiedy chcesz odebrać ode mnie zeznanie.

Odchyliłem się do tyłu i skupiłem ponownie uwagę na frytkach. Detektyw Penrose przez chwilę milczała.

— Jutro w moim gabinecie — oświadczyła w końcu, stukając palcem w swoją wizytówkę — o dziewiątej rano. Niech pan się nie spóźni.

Wstała, odstawiła piwo i odeszła.

Nowojorczycy mieli piłkę na trzydziestym jardzie. Ten idiota quarterback cisnął ją pięćdziesiąt jardów w górę, pod cholerny wiatr, i piłka zawisła w powietrzu niczym balon Goodyeara. Trzej przechwytyjący i trzej zawodnicy Dallas stali pod nią, wymachując ramionami, jakby modlili się o deszcz albo coś w tym rodzaju.

— Przepraszam.

— Niech pani siada.

Usiadła, ale i tak nie zobaczyłem, kto złapał piłkę. Ludzie na stadionie i w Olde Towne Tavernie dostawali małego rozumu. „Spalony!”, wrzeszczeli faceci przy barze, ale sędzia nie podniósł żółtej chorągiewki i zawodnik Dallas przebiegł z piłką z powrotem na pięćdziesiąty jard. Obserwowałem nadawaną w zwolnionym tempie powtórkę. Nie było spalonego. Żałowałem, że nie mogę odegrać w zwolnionym tempie fragmentów mojego życia. Na przykład swojego małżeństwa, które było serią pomyłek.

— Jadę teraz na miejsce zbrodni — powiedziała. — Koło jedenastej ma się tam ze mną spotkać ktoś z Departamentu Rolnictwa. Przyjeżdża z Manhattanu. Chce mi pan towarzyszyć?

— Nie ma pani partnera, któremu mogłaby pani zawracać głowę?

— Jest na wakacjach. Zacznijmy wszystko od nowa, detektywie — oświadczyła, wyciągając do mnie rękę.

— Kiedy ostatnim razem podałem pani dłoń, straciłem pistolet i swoją męskość — przypomniałem jej.

Uśmiechnęła się.

— Niech pan nie marudzi.

Ucisnąłem jej rękę. Miała ciepłą skórę. Moje serce płonęło. A może to nachos były zbyt pikantne. Trudno powiedzieć po czterdziestce.

Przytrzymałem na moment jej dłoń i przyjrzałem się nieskazitelnym rysom twarzy. Nasze oczy spotkały się i obojgu nam przyszła do głowy ta sama nieprzyzwoita myśl. Ona pierwsza odwróciła wzrok. Ktoś musi to zrobić, w przeciwnym razie może to się źle skończyć.

Podeszła do nas zgrabna kelnerka i zamówiłem dwa piwa.  
— W dalszym ciągu chce pan to chili? — zapytała mnie.  
— Bardziej niż kiedykolwiek.  
Uprzątnęła talerze i poszła po piwo i chili. Kocham ten kraj.  
— Musi pan mieć żelazny żołądek — skomentowała detektyw Penrose.  
— Właściwie po tym, jak mnie postrzelili, wycięto mi cały żołądek. Mój przełyk jest połączony bezpośrednio z jelitem grubym.  
— Chce pan powiedzieć, że ma pan usta podłączone bezpośrednio do tyłka?  
Uniosłem brwi.  
— Przepraszam — powiedziała. — To było nieuprzejme. Czy możemy zacząć wszystko od początku?  
— To nic nie da. Niech się pani odwróci i ogląda mecz.  
Odwróciła się i przez jakiś czas oglądaliśmy mecz i popijaliśmy piwo. Po pierwszej połowie, która zakończyła się wynikiem 7:7, zerknęła na zegarek.  
— Muszę się spotkać z tym facetem z Departamentu Rolnictwa — stwierdziła.  
Jeśli dziwi was, co tu ma do rzeczy facet z Departamentu Rolnictwa, ośrodek na Plum Island podlega oficjalnie temu departamentowi i zajmuje się chorobami zwierzęcymi, wąglikiem i tak dalej. Ale wieść gminna głosi, że to nie wszystko. Zdecydowanie nie wszystko.  
— Nie może pani kazać mu czekać — powiedziałem.  
— Jedzie pan ze mną?  
Kontemplowałem przez chwilę jej zaproszenie. Jeśli pojedę, wdepnę głębiej w całe to gówno. Z drugiej strony, lubię rozwiązywać takie sprawy i lubiłem Gordonów. W ciągu dziesięciu lat pracowanych w wydziale zabójstw wsadziłem za kratki dwudziestu sześciu morderców. Dwaj ostami mogą otrzymać przywróconą niedawno karę śmierci, co nadaje teraz całkiem nowy wymiar śledztwu. Ale ta sprawa była trochę inna i znajdowałem się na obcym terytorium. Poza tym urzędnik Departamentu Rolnictwa, jak większość rządowych biurokratów, nie pracowałby do późnej nocy, więc facet był prawdopodobnie z CIA, FBI, wywiadu wojskowego czy podobnej instytucji. Nie miało to znaczenia; dziś w nocy albo jutro zjawí się tu ich więcej. Nie, nie powiniennem się tym zajmować za dolara ani za tysiąc dolarów tygodniowo, ani w ogóle za żadną cenę.  
— Detektywie? Jest pan tam?

Spojrzałem na nią. Jak można odmówić skończonej piękności?

— Spotkamy się w domu Gordonów — oświadczyłem.

— W porządku. Ile jestem panu winna za piwo?

— Ja płacę.

— Dziękuję. Do zobaczenia.

Ruszyła w stronę drzwi i teraz, gdy dobiegła końca pierwsza połowa meczu, około pięćdziesięciu obecnych w Olde Towne Taverne samców dostrzegło wreszcie, że w lokalu pojawiła się superlaska. Rozległo się kilka gwizdnięć i zaproszeń do stolika.

Nie oglądałem zbyt uważnie drugiej połowy. Żałowałem, że nie wycięto mi rzeczywiście żołądka, ponieważ pompował teraz kwas na moje wrzody. Kelnerka podała chili, które z truciem udało mi się przelknąć. Zażyłem dwa zantaki, a potem jeden maalox, mimo że gastrolog uprzedzał, bym ich nie mieszał.

Moje zdrowie, niegdyś kwitnące, po tym, co wydarzyło się dwunastego kwietnia, zdecydowanie się pogorszyło. Nigdy dobrze się nie odżywiałem i nie wysypiałem, a ciężka praca i rozwód również zrobiły swoje. Czułem, że mam czterdzieści parę lat i jestem śmiertelny. Czasami we śnie wraca do mnie ten moment, kiedy leżałem w ryszotoku, myśląc: „wiruję w ryszotoku, sphywam w dół ryszotkiem”.

A przecież zaczynałem zauważać takie rzeczy, jak zgrabny tyłek kelnerki, a kiedy do baru weszła Elizabeth Penrose, mój mały umięśniony manekin siadł i rozprostował kości. Naprawdę wracałem do zdrowia i z pewnością byłem w lepszej formie niż Gordonowie.

Przez chwilę myślałem o Tomie i Judy. Tom, chociaż naukowiec, nie miał nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu zabić kilka szarych komórek, chłapiąc wino i piwo. Piekł poza tym wspaniałe steki. Był twardo stąpającym po ziemi facetem z Indiany, Illinois albo innego miejsca, gdzie mają ten nosowy akcent. Nie robił świętości ze swojej pracy i kpił z wynikających z niej zagrożeń, tak jak w zeszłym tygodniu, kiedy zmierzał w naszą stronę huragan: „Jeśli uderzy w Plum Island, możemy nazwać go Huraganem Wąglika i pocałować się w dupę na pożegnanie”. Cha-cha-cha.

Judy, podobnie jak mąż, miała tytuł doktora i pochodziła ze Środkowego Zachodu. Była bezpretensjonalna, pogodna, pełna życia, wesoła i piękna. John Corey durzył się w niej, zresztą jak każdy facet, który ją spotkał.

W ciągu dwuletniego pobytu na North Fork Judy i Tom najwyraźniej zaaklimatyzowali się w tej nadmorskiej prowincji. Lubili pływać motorówką i zapisali się do Towarzystwa Historycznego

Peconic. Poza tym oczarowały ich winnice i stali się koneserami produkowanego na Long Island wina. Zaprzyjaźnili się nawet z kilkoma miejscowymi właścicielami winnic, w tym z Fredrikiem Tobinem, który urządzał wystawne przyjęcia w swoim chateau. Uczestniczyłem w jednym z nich jako ich gość.

Gordonowie sprawiali wrażenie szczęśliwej, kochającej się, czulej pary utrzymującej partnerskie (w stylu lat dziewięćdziesiątych) stosunki i naprawdę nie zauważyłem, żeby coś było między nimi nie tak. Choć nie znaczy to oczywiście, że byli idealni albo tworzyli idealną parę.

Szperałem w pamięci, szukając jakiegoś fatalnego pęknięcia, powodu, dla którego ludzie padają czasem ofiarą morderstwa. Narkotyki? Raczej nie. Niewierność? Możliwe, ale mało prawdopodobne. Pieniądze? Nie mieli dużo do ukradzenia. Wracał zatem motyw ich pracy.

Zacząłem się nad tym zastanawiać. Na pierwszy rzut oka mogło to wyglądać mniej więcej tak: Gordonowie chcieli opchnąć komuś supergroźne zarazki, coś poszło źle i zginęli. Podążając tym tropem, przypomniałem sobie, jak Tom zwierzał mi się kiedyś, że oprócz zarażenia się najbardziej się boi, że on i Judy zostaną któregoś dnia porwani ze swojej łodzi, że z wody wynurzy się irański okręt podwodny albo coś w tym rodzaju, wciągną ich pod pokład i zaginie o nich wszelki śluch. Te obawy wydały mi się trochę przesadzone, ale pamiętam, że przyszło mi wówczas do głowy, iż Gordonowie muszą wiedzieć mnóstwo rzeczy, którymi interesują się pewni ludzie. Więc może morderstwo zaczęło się od próby porwania, która się nie udała. A jeśli ponieśli śmierć w związku z wykonywaną pracą, czy byli tylko niewinnymi ofiarami, czy też zdrajcami, którzy sprzedawali za złoto śmiertelne zarazki?

Głowiłem się nad tym na tyle, na ile pozwalały mi panujący w Olde Towne Taverne hałas, telewizja, wypite piwo i nadkwasota. Wypiłem kolejne piwo i połknąłem kolejny maaloX. Doktor od gastrologii nigdy nie powiedział mi, dlaczego nie powinienem mieszać.

Próbowałem wyobrazić sobie coś, co było niewyobrażalne: przystojnego szczęśliwego Toma i piękną, tryskającą energią Judy, sprzedających zarazki jakimś czubkom; zbiorniki wodne skażone chorobą albo bakterie rozsiewane z samolotu nad Nowym Jorkiem lub Waszyngtonem, miliony chorych, konających i martwych.

Nie wierzyłem, żeby Gordonowie mogli to zrobić. Z drugiej strony każdy ma swoją cenę. Już wcześniej dziwiło mnie, skąd



wzięli forszę na wynajęcie domu nad samą wodą i tę drogą łódź. Teraz być może wiedziałem, po co była im potrzebna szybka motorówka i dom z własną przystanią. Wszystko to układało się w logiczną całość, ale intuicja podpowiadała mi, bym nie wierzył w to, co wydawało się oczywiste.

Dałem zdecydowanie za duży napiwek kelnerce z bajecznym tyłkiem i wróciłem na miejsce przestępstwa.

## Rozdział 4

Było już dobrze po jedenastej, kiedy skręciłem w alejkę prowadzącą do domu Gordonów. Księżyc w trzeciej kwadrze rozświetlał mrok. Przyjemna bryza niesła zapach morza przez otwarte szyby mojego nowego zielonego jeepa Grand Cherokee Limited, wartego czterdzieści tysięcy luksusowego cacka, które, zdaniem cudem ocalonego Johna Coreya, należało mu się od losu.

Zatrzymałem się pięćdziesiąt jardów od domu, przerzuciłem dźwignię automatycznej skrzyni biegów na parkowanie, przez kilka minut słuchałem relacji z meczu Gigantów z Dallas, po czym zgasilem silnik.

— Masz zapalone przednie światła — usłyszałem głos.

— Zamknij się. Po prostu się zamknij — warknąłem, po czym wyłączyłem przednie światła.

W życiu istnieje wiele opcji, w żadnym wypadku jednak nie powinno się wybierać „udzielanych głosem ostrzeżeń i porad”. Otworzyłem drzwi.

— Twój kluczyk jest w stacyjce. Nie zaciągnąłeś ręcznego hamulca.

Głos był kobiecy i przysięgam, na Boga, że brzmiał zupełnie jak głos mojej byłej żony.

— Dziękuję, kochanie.

Wyjąłem kluczyki, wysiadłem i zatrzasnąłem drzwi.

Liczba stojących na małej uliczce pojazdów i ludzi znacznie się zmniejszyła i domyśliłem się, że zwłoki wywieziono. Tak już jest, że przybycie karawanu satysfakcjonuje większość widzów i sygnalizuje koniec aktu pierwszego. Poza tym wszyscy chcieli obejrzyć się w wiadomościach o jedenastej.

W porównaniu z moją pierwszą wizytą siły policyjne zostały wzmocnione: przed domem, obok furgonetki ekipy kryminalistycznej, stała zaparkowana furgonetka policji z Suffolk. Nowy pojazd był ruchomym punktem dowodzenia, który może pomieścić oficerów dochodzeniowych, radio, faksy, telefony komórkowe, sprzęt wideo oraz inne technologiczne nowinki, tworzące arsenał nigdy niekończącej się walki z przestępczością.

Nad głową zauważyłem helikopter i w świetle księżycy udało mi się spostrzec, że należy do jednej ze stacji telewizyjnych. Nie słyszałem głosu reportera, ale prawdopodobnie informował o tym, że „dziś wieczór w tej ekskluzywnej miejscowości na Long Island wydarzyła się tragedia”. Potem kilka słów o Plum Island i tak dalej.

Przecisnąłem się przez ostatnich gapiów, unikając osób, które wyglądały na reporterów. Przeskoczyłem żółtą taśmę i to natychmiast zwróciło na mnie uwagę gliniarza z Southold. Machnąłem mu przed oczyma odznaką i niedbale mi zaszalutował.

Umundurowany protokolant podszedł do mnie z notatnikiem i ponownie, zgodnie z tym, czego się domagał, powiedziałem mu, jak się nazywam, co mnie tu sprowadza i tak dalej. Należy to do standardowej procedury i odbywa się aż do zakończenia śledztwa; od pierwszego funkcjonariusza, który pojawił się na miejscu przestępstwa, aż do chwili, kiedy opuszcza je ostatni policjant i teren przekazuje się z powrotem właścicielowi. Tak czy owak odnotowali mnie teraz dwa razy i wdepnąłem głębiej w to gówno.

— Ma pan wpisanego faceta z Departamentu Rolnictwa? — zapytałem mundurowego.

— Nie — odparł, nie patrząc nawet na kartkę.

— Ale jest tutaj facet z Departamentu Rolnictwa. Zgadza się?

— Będzie pan musiał zapytać szefa Maxwella.

— Pytam pana, dlaczego go pan nie wpisał.

— Będzie pan musiał zapytać szefa Maxwella.

— Zapytam go.

W gruncie rzeczy znałem odpowiedź. Nie nazywają tych facetów wilkołakami bez powodu.

Obszedłem dom i znalazłem się na tarasie. W miejscach, gdzie jeszcze niedawno leżeli Gordonowie, zostały dwa kredowe obrusy, sprawiające bardzo upiorne wrażenie w świetle księżycy. Duża plastikowa płachta zasłaniała plamę, gdzie wyciekło z nich życie.

Biorąc to pod uwagę, dziękowałem Bogu, że mordu dokonano na świeżym powietrzu i wokół nie unosi się zapach śmierci. Nienawidzę wracać na miejsce zabójstwa popełnionego w pomieszczeniu,

gdzie wciąż czuć ten zapach. Dlaczego nie mogę pozbyć się go z pamięci? Z nozdrzy? Z podniebienia? Dlaczego tak jest?

Dwóch umundurowanych policjantów z Southold siedziało na okrągłym patio, popijając parującą kawę ze styropianowych kubków. W jednym z nich rozpoznałem funkcjonariusza Johnsona, który był na tyle uprzejmy, że odwiózł mnie do domu i któremu zamiast podziękować, założyłem nieco za skórę. Świat jest podły, wiadomo, a ja jestem jednym z facetów, którzy go takim czynią. Funkcjonariusz Johnson zmierzył mnie nieprzyjemnym spojrzeniem.

Niżej, koło przystani, zauważyłem kolejną sylwetkę w mundurze i ucieszyłem się, że ktoś wziął sobie do serca moją radę, żeby postawić strażnika przy łodzi.

Poza tym na dworze nie było nikogo, w związku z czym wszedłem przez przesuwane szklane drzwi do dużego salonu połączonego z jadalnią. Byłem tu już oczywiście wcześniej i pamiętałem, jak Judy mówiła, że większość mebli należy do właściciela i utrzymana jest, jak to określiła, w skandynawskim stylu rodem z Tajwanu.

Kręciło się tu jeszcze kilka osób z ekipy zabezpieczającej ślady.

— Szef Maxwell? — zapytałem jedną z nich, miłą panią od odcisków palców.

— W kuchni — odparła, wskazując kciukiem za ramię. — Niech pan niczego nie dotyka po drodze.

— Tak jest, proszę pani.

Przefrunąłem nad berberyjskim dywanem i wylądowałem w kuchni, gdzie odbywała się właśnie mała konferencja. Obecni byli: Max reprezentujący suwerenną gminę Southold, Elizabeth reprezentująca wolne i niepodległe hrabstwo Suffolk, dżentelmen w ciemnym garniturze, który nie potrzebował znaczka FBI w klapie, oraz kolejny dżentelmen, odziany bardziej swobodnie w dżinsową marynarkę i spodnie, krwiście czerwoną koszulę i traperskie buty — karykatura tego, jak powinien wyglądać biurokrata z Departamentu Rolnictwa, gdyby kiedykolwiek opuścił swój gabinet i musiał odwiedzić jakąś farmę.

Wszyscy stali, jakby chcieli sprawić wrażenie ludzi niemających czasu do stracenia. Na blacie ustawiono karton wypełniony styropianowymi kubkami z kawą i każdy trzymał taki kubek w ręku. To, że cała grupa nie zebrała się w ruchomym punkcie dowodzenia, lecz wołała obradować w ukryciu w kuchni, było bardzo interesujące i znaczące.

Max wystroił się na spotkanie z federalnymi i prasą i zawiązał głupawy jedwabny krawat ozdobiony flagami morskimi. Elizabeth

miała na sobie tę samą brązową spódnicę, ale zdjęła żakiet, odsłaniając tkwiącą w kaburze trzydziestkęósemkę i dwie sterczące w kaburach czwórki B.

Na blacie stał mały czarno-biały telewizor, nastawiony na jedną z wielkich sieci, z przyciszoną fonią. Pokazywano właśnie wizytę prezydenta w jakimś dziwnym miejscu, gdzie wszyscy ludzie byli niskiego wzrostu.

— To detektyw John Corey z wydziału zabójstw — powiedział Max do dwóch facetów, nie informując ich, że moja jurysdykcja zaczyna się i kończy mniej więcej sto mil na zachód od tego miejsca. — John, to jest George Foster z FBI, a to Ted Nash z Departamentu Rolnictwa — dodał wskazując kolejno ciemny garnitur i niebieskie dzinsy.

Uścisnęliśmy sobie wszyscy ręce.

— Giganci zdobyli punkt w pierwszej minucie trzeciej kwarty — poinformowałem Elizabeth Penrose.

Nie odpowiedziała.

— Może kawy? — zapytał Max, wskazując karton z kubkami.

— Nie, dziękuję.

Pani Penrose, która znajdowała się najbliżej telewizora, usłyszała coś w wiadomościach i zrobiła głośniejsze.

Przed domem Gordonów stała reporterka. Umknął nam jej wstęp.

„Ofiarami podwójnego morderstwa są naukowcy, którzy pracowali w ściśle tajnym rządowym laboratorium chorób zwierzęcych na Plum Island, kilka mil stąd” — mówiła.

Zobaczyliśmy Plum Island z wysokości około dwóch tysięcy stóp. Był jasny dzień, więc zdjęcie musiało pochodzić z archiwum. Z góry wyspa wyglądała jak schabowy z kością i domyślałem się, że jeśli macie ochotę poironizować na temat pomoru świń... Tak czy inaczej, Plum ma mniej więcej trzy mile w najdłuższym i milę w najszerszym miejscu.

„Tak właśnie wyglądała wyspa — mówiła zza kadru reporterka — kiedy robiliśmy program w związku z powtarzaniem uparcie plotkami, że prowadzone są tutaj badania nad bronią biologiczną”.

Mimo okrągłych zdań reporterka miała rację co do plotek. Przypomniałem sobie satyryczny rysunek w „Wall Street Journal”, na którym szkolny doradca od spraw zatrudnienia mówi rodzicom: „Wasz syn jest złośliwy, podły, nieuczciwy i rozsiewa plotki. Z pewnością zrobi karierę jako dziennikarz”. Święta racja. A plotki mogą doprowadzić do wybuchu paniki. Uświadomiłem sobie, że ta sprawa powinna zostać czym prędzej wyjaśniona.

Na ekranie znowu zobaczyliśmy stojącą przed domem Gordonów reporterkę.

„Nikt nie twierdzi, że zamordowanie Gordonów miało jakiś związek z ich pracą, ale policja prowadzi intensywne śledztwo” — poinformowała nas.

Z powrotem do studia.

Pani Penrose ściszyła fonię.

— Czy FBI chce się publicznie włączyć do śledztwa? — zapytała pana Fostera.

— Nie w tym momencie — odparł. — Ludzie mogliby pomyśleć, że mamy do czynienia z poważnym problemem.

— Departament Rolnictwa oficjalnie nie interesuje się sprawą — oznajmił pan Nash — śmierć Gordonów nie ma bowiem związku z ich pracą. Departament nie wyda żadnego publicznego oświadczenia, z wyjątkiem wyrazów żalu z powodu śmierci dwojga lubianych i oddanych pracowników.

Amen.

— Swoją drogą zapomniał pan się wpisać przy wejściu — poinformowałem pana Nasha.

Spojrzał na mnie, lekko zaskoczony i bardzo poirytowany.

— Będę... dziękuję, że mi pan przypomniał.

— Może pan na mnie liczyć. Zawsze.

Przez jakąś minutę trwała pogawędka na temat publicznych aspektów sprawy.

— Detektyw Corey znał zmarłych — wspomniał Max, zwracając się do panów Nasha i Fostera.

Pan z FBI natychmiast się mną zainteresował.

— Jak dobrze pan ich znał? — zapytał.

Nie jest wskazane od razu odpowiadać na pytania; ludzie dochodzą wtedy do wniosku, że mają do czynienia z kimś skorym do współpracy.

— Detektyw Corey przyjaźnił się z Gordonami od jakichś trzech miesięcy — wyjaśnił za mnie Max. — Ja znam Johna od mniej więcej dziesięciu lat.

Foster pokiwał głową. Najwyraźniej miał do mnie więcej pytań i kiedy zastanawiał się, czy je zadać, głos zabrała pani Penrose.

— Detektyw Corey pisze raport, w którym umieści wszystko, co wie na temat Gordonów — oznajmiła. — Kiedy będzie gotowy, przekażę jego treść wszystkim zainteresowanym agencjom.

To było dla mnie coś nowego.

Pan Nash przyglądał mi się, opierając o kuchenny blat. Mierzyliś-

my się wzrokiem, dwa dominujące samce w jednej zagrodzie, i doszliśmy bez słowa do wniosku, że nie lubimy się wzajemnie i jeden z nas będzie musiał uciec z podkulonym ogonem. Powietrze było tak gęste od testosteronu, że zaczął skraplać się na tapecie.

— Czy ustaliliśmy już, że to nie jest zwykłe zabójstwo? — zapytałem, zwracając się do Maksa i pani Penrose. — Dlatego mamy tutaj przedstawicieli agencji federalnych?

Nikt nie odpowiedział.

— Czy też po prostu zakładamy, że to coś więcej? — podjąłem. — Może nie brałem udziału w jakiejś ważnej naradzie?

— Dmuchamy na zimne, detektywie — oświadczył chłodno pan Ted Nash. — Nie mamy żadnych konkretnych dowodów wskazujących, że te morderstwa mają związek ze sprawami... mówiąc bez ogródek, ze sprawami bezpieczeństwa narodowego.

— Nigdy nie sądziłem, że Departament Rolnictwa zajmuje się sprawami bezpieczeństwa narodowego — stwierdziłem. — Macie krowy, które występują w roli tajnych agentów?

Pan Nash posłał mi miły uśmiech. Możesz mi naskoczyć, mówiły jego oczy.

— Mamy wilki w owczej skórze — powiedział.

— Touche — odparłem. Głupi kutas.

— Jesteśmy tutaj na wszelki wypadek, detektywie — wtrącił pan Foster, nim atmosfera zrobiła się bardziej nieprzyjemna. — Byłoby z naszej strony karygodnym zaniedbaniem, gdybyśmy tego nie sprawdzili. Wszyscy mamy nadzieję, że te morderstwa nie mają nic wspólnego z Plum Island.

Zmierzyłem wzrokiem pana Fostera. Był gładko ostrzyżonym, jasnookim agentem koło trzydziestki, roztaczającym typową dla FBI aureę, i ubranym w typowy dla tej agencji ciemny garnitur, białą koszulę, stonowany krawat oraz czarne toporne buty.

Następnie skupiłem ponownie uwagę na Tedzie Nashu, odzianym we wspomniany wyżej dżinsowy kostium. Bliższy mi wiekiem i opalony, miał kręcone szpakowate włosy, niebieskoszare oczy i imponującą posturę, był jednym słowem facetem, którego panic określają mianem przystojniaka, co stanowiło, jak sądzę, jedną z przyczyn, dla których poczułem do niego antypatię. Ilu przystojniaków może przebywać w jednym pomieszczeniu?

Byłbym dla niego uprzejmiejszy, gdyby nie rzucał Elizabeth Penrose czułych spojrzeń, które ta odwzajemniała. Nie chcę powiedzieć, że się do siebie migdalili; zerkali sobie po prostu w oczy, jak gdyby nigdy nic, ale tylko ślepiec by nie zgadł, jakie brudne myśli

chodziły im po głowach. Rany boskie, cała chrzaniona ludzkość miała wkrótce zarazić się wąglikiem i skonać w dzikich mękach, a tych dwoje zachowywało się jak psy w rui, dymając się wzrokiem, podczas gdy mieliśmy na głowie ważniejsze sprawy. Naprawdę obrzydliwe.

— Nie odnaleźliśmy jeszcze dwóch pocisków, którymi ich postrzelono — oznajmił Max, przerywając moje rozważania — ale przypuszczamy, że wpadły do zatoki. Jutro z samego rana zaczniemy poszukiwania z udziałem nurków. Nie odnaleźliśmy również łu sek — dodał.

Pokiwałem głową. Samopowtarzalny pistolet wypluwa łuski, rewolwer nie. Jeśli zabójca posługiwał się pistoletem, w takim razie miał dość zimnej krwi, żeby pochylić się i podnieść łuski z ziemi.

Jak na razie nie mieliśmy w zasadzie nic. Dwa strzały w głowę, żadnych pocisków, żadnych łusek, żadnego hałasu, który słyszeli sąsiedzi.

Przyjrzałem się ponownie panu Nashowi. Miał zmartwioną minę i cieszyłem się, że w przerwach między dymaniem w myślach pani Penrose troskał się o los planety. W gruncie rzeczy wszyscy w kuchni wydawali się zatopieni w rozmyślaniach. Zastanawiali się pewnie, czy nie obudzą się nazajutrz z czerwoną wysypką.

— Napijesz się jeszcze kawy, Beth? — zapytał Ted Nash, sięgając do kartonu z kubkami.

Beth? Co to ma znaczyć, do diabła?

— Nie, dziękuję — odparła z uśmiechem pani Penrose.

Mój żołądek wrócił do normy, w związku z czym otworzyłem lodówkę, żeby napić się piwa. Półki były prawie puste.

— Kazałeś stąd zabrać rzeczy, Max? — zapytałem.

— Chłopcy z laboratorium wzięli wszystko, co nie było fabrycznie zapieczętowane.

— Czy ktoś ma ochotę na piwo? — zapytałem.

Nikt nie odpowiedział, wziąłem więc puszkę coors light, otworzyłem ją i pociągnąłem łyka.

Zauważyłem, że wszyscy czworo utkwili we mnie oczy, jakby oczekiwali, że coś się zaraz wydarzy. Ludzie reagują dziwnie, gdy znajdują się w skażonym środowisku. Miałem ochotę złapać się za gardło, paść na podłogę i zacząć się wic w konwulsjach. Nie byłem jednak w towarzystwie moich kumpli z Manhattan North, którzy za dobry dowcip sprzedaliby własną matkę, w związku z czym nie skorzystałem z okazji, żeby rozładować ponurą atmosferę.

— Proszę, mów dalej — zwróciłem się do Maksa.



— Przeczesałiśmy cały dom — oświadczył — i nie trafiliśmy na nic nadzwyczajnego. Połowa szuflad była nieruszona, w kilku szafach w ogóle raczej nikt nie myszkował, książek nie pozrucano z półek. Jeśli ktoś chciał upozorować włamanie, zrobił to wyjątkowo po amatorsku.

— To nie wyklucza, że mamy do czynienia z ćpunem, pobudzonym i niezbyt skoncentrowanym — stwierdziłem. — Możliwe też, że sprawcy przeszkodzone albo że szukał jakiejś jednej konkretnej rzeczy i ją znalazł.

— Możliwe — zgodził się Max.

Wszyscy zrobili mądre miny, co doskonale maskuje brak pomysłów.

W tym morderstwie uderzające było to, że doszło do niego od razu na tarasie. Trach, trach, bez żadnych zbędnych wstępów. Zabójca nie chciał od Gordonów niczego poza tym, żeby byli martwi. Jeśli tak, to albo znalazł w domu to, czego potrzebował, albo zobaczył, że Gordonowie niosą tę rzecz ze sobą. Wracaliśmy do brakującego pojemnika.

Zabójca znał Gordonów, oni znali jego. Byłem o tym przekonany. Cześć, Tom, cześć, Judy. Trach, trach. Gordonowie padają, pojemnik leci z rąk Toma na ziemię... nie, w środku są fiołki z zabójczym wirusem. Cześć, Tom, cześć, Judy. Postawcie ten pojemnik na ziemi. Trach, trach. Gordonowie padają. Kule przesywają ich głowy i wpadają do zatoki.

Poza tym musiał mieć tłumik. Żaden profesjonalista nie zastrzeliłby bez niego dwóch osób na dworze. I najprawdopodobniej był to pistolet, bo ciężko dorobić tłumik do rewolweru.

— Czy Murphy'owie mają psa? — zapytałem Maksa.

— Nie.

— Okej... Czy znaleźliście przy ofiarach jakieś pieniądze, portfele, cokolwiek?

— Owszem. Oboje mieli podobne sportowe portfele, a w nich przepustki na Plum Island, prawa jazdy, karty kredytowe i tak dalej. Tom miał trzydzieści siedem dolarów w gotówce, Judy czternaście. Każde miało w portfelu zdjęcie drugiego — dodał.

Czasami jakiś drobny szczegół sprowadza całą rzecz na ziemię, czyni ją osobistą. Z drugiej strony trzeba pamiętać o podstawowej zasadzie: nie wolno angażować się emocjonalnie. Nie jest ważne, Corey, czy zabity został mały dzieciak, miła starsza pani, śliczna Judy, która puściła do ciebie raz oko, czy Tom, który chciał, żebyś pokochał wino, tak jak on je pokochał, i który usmażył ci stek

dokładnie tak, jak trzeba. Dla faceta z wydziału zabójstw nie ma znaczenia, kto zginął; ważne jest to, kto zabił.

— Domyślasz się chyba, że nie znaleźliśmy tego aluminiowego pojemnika — stwierdził Max. — Jesteś pewien, że go mieli?

Pokiwałem głową.

— Naszym zdaniem Gordonowie nieśli pojemnik — przedstawił mi swoją wyważoną opinię pan Foster. — Zabójca bądź zabójcy chcieli zabrać to, co znajdowało się w środku, a w środku znajdowało się to, o czym dobrze wiemy. Według mnie Gordonowie chcieli sprzedać towar i coś poszło nie tak.

Przyjrzałem się uczestnikom kuchennego posiedzenia. Nielatwo jest odczytać coś z twarzy ludzi, którzy profesjonalnie zajmują się czytaniem z twarzy. Mimo to miałem wrażenie, że wszyscy podzielają zdanie George'a Fostera.

Gdyby mieli rację, wynikałyby z tego dwie rzeczy: po pierwsze, że Gordonowie byli naprawdę głupi, skoro nie wzięli pod uwagę, iż ktoś, kto chce kupić wirusy i bakterie wystarczające do tego, by zabić kwadrylion ludzi, może również bez żadnych skrupułów zabić ich oboje; oraz po drugie, że były im absolutnie obojętne konsekwencje takiej transakcji. Tymczasem Tom i Judy — to jedno wiedziałem na pewno — nie byli ani głupi, ani bezwzględni.

Moim zdaniem zabójca również nie należał do głupich i zastanawiałem się, czy wiedział bądź też się domyślał, że w pojemniku jest to, czego potrzebował. Cześć, Tom, cześć, Judy. Macie wirusa? To dobrze. Trach, trach.

Tak? Nie? Rozważałem różne scenariusze, z aluminiowym pojemnikiem i bez pojemnika, z zabójcą, którego znali Gordonowie, i z zabójcą, którego nie znali. Poza tym jak zabójca bądź też zabójcy dostali się do domu Gordonów? Łodzią? Samochodem?

— Jakież obce pojazdy? — zapytałem Maksa.

— Nikt, kogo pytaliśmy, nie widział w okolicy obcych pojazdów. Oba samochody Gordonów stoją w garażu. Jutro zostaną zabrane do laboratorium razem z ich łodzią.

— Możliwe, że zabójca bądź też zabójcy przyplłynęli łodzią. Tak myślę — oznajmiła pani Penrose, zwracając się po raz pierwszy bezpośrednio do mnie.

— Możliwe również, Elizabeth — odparłem — że zabójca przybył do domu Gordonów jednym z ich samochodów, który wcześniej pożyczył. Naprawdę uważam, że się znali.

Przez chwilę mi się przyglądała.

— Moim zdaniem to była łódź, detektywie Corey — stwierdziła trochę obcesowo.

— Być może zabójca przyszedł tu piechotą albo przyjechał rowerem lub motorem — kontynuowałem. — Może przyplłynął wpływ albo ktoś go podwiózł. Może przyplłynął na desce albo przyfrunął lotnią. Zabójcami mogą też być Edgar Murphy z żoną.

Pani Penrose spiorunowała mnie wzrokiem i widziałem, że jest wkurzona. Znałem to spojrzenie. Byłem kiedyś żonaty.

— Jest jeszcze jedna rzecz — wtrącił Max, przerywając naszą dyskusję. — Według ochroniarzy na Plum Island Gordonowie wyszli z pracy w południe, wsiedli do łodzi i wypłynęli.

W ciszy, jaka zapadła, słychać było mruczenie lodówki.

— Jedyne, co przychodzi mi do głowy — oznajmił pan Foster — to przypuszczenie, że Gordonowie ukryli towar, który chcieli sprzedać, w jakiejś zatoczce na Plum Island i popłynęli tam łodzią. A może po prostu wyszli z laboratorium z tym pojemnikiem, zabrali go ze sobą i odплыnęli. W obu wypadkach spotkali się następnie ze swoimi klientami na morzu i przekazali im fiolki. Wracając do domu, nie mieli pojemnika, ale mieli pieniądze. Morderca czekał tutaj i po zabiciu ich odebrał z powrotem forszę.

Wszyscy rozważaliśmy przez moment ten scenariusz. Oczywiście cisnęło się na usta pytanie, dlaczego, skoro do transakcji doszło na morzu, nie popełniono tam również zabójstwa. Kiedy gliniarze z wydziału zabójstw mówią o morderstwie doskonałym, mają aa myśli morderstwo popełnione na morzu: mało dowodów rzeczowych albo kompletny ich brak, żadnego hałasu ani świadków i na ogół brak ciała. A jeśli robi się to umiejętnie, zabójstwo wygląda na wypadek.

Profesjoniści, którzy właśnie weszli w posiadanie śmiertelno-nośnego zarazka, nie powinni ściągać na siebie uwagi, zabijając dwoje pracowników Plum Island na ich własnym tarasie. Z drugiej strony miało to wyglądać na włamanie, w trakcie którego Gordonowie zaskoczyli złodzieja. Ktokolwiek to upozorował, nic zrobił tego zbyt przekonująco. Cała robota miała w sobie coś z amatorszczyzny. Może sprawcami byli cudzoziemcy, którzy nie obejrzeliby w telewizji zbyt wielu amerykańskich filmów policyjnych. Albo jeszcze ktoś inny.

I co działo się w ciągu tych pięciu i pół godziny między południem, kiedy Gordonowie wypłynęli z Plum Island, i wpół do szóstej, kiedy pan Murphy usłyszał, jak twierdzi, ich łódź? Gdzie wtedy byli?

— To wszystko, czym w tej chwili dysponujemy — powiedział Max. — Jutro będziemy mieli wyniki z laboratorium. Są też ludzie, z którymi musimy porozmawiać. Czy znasz kogoś, z kim powinniśmy się spotkać? Jakichś znajomych Gordonów?

— Nie mam pojęcia, z kim się przyjaźnili. Z tego, co wiem, nie mieli żadnych wrogów. Chciałbym porozmawiać z pracownikami ośrodka na Plum Island — dodałem, zwracając się do pana Nasha.

— Być może będzie pan mógł porozmawiać z kilkoma pracownikami — odpowiedział. — Bezpieczeństwo narodowe wymaga jednak, bym asystował przy tych rozmowach.

— Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa, pamięta pan? — odparłem swoim najmniej sympatycznym nowojorskim tonem. — Więc niech mi pan nie wciska głupot.

W kuchni powiało chłodem. Zdarza mi się pracować z typami z FBI i Agencji do Spraw Narkotyków i nic do nich nie mam — w końcu to też gliniarze. Jednak palanty w rodzaju Nasha są prawdziwym utrapieniem. Facet nie powiedział nawet, czy jest z CIA, wywiadu wojskowego czy jakiejś innej dziwnej firmy. Jedno wiedziałem na pewno: nie pracował w Departamencie Rolnictwa.

— Nie mam nic przeciwko obecności Teda Nasha w trakcie przesłuchań — odezwał się Max, po czym zerknął na panią Penrose, wczuwając się, jak przypuszczam, w rolę gospodarza tego spotkania na wysokim szczeblu.

Moja kumpelka Beth posłała mi szybkie spojrzenie.

— Ja też nie mam nic przeciwko — poinformowała Nasha, który dymał ją wzrokiem.

— W rozmowach, przesłuchaniach oraz sesjach roboczych, w których będzie uczestniczył Ted, weźmie również udział przedstawiciel FBI — zaznaczył George Foster.

Naprawdę zaczynało mnie to wkurzać i zastanawiałem się, czy Max nie zrezygnuje zaraz z moich usług.

— Ja zajmuję się wewnętrznym terroryzmem — kontynuował rozsądny pan Foster. — W sferze zainteresowań Teda Nasha mieści się międzynarodowe szpiegostwo. Wy — tu spojrzał na mnie, Maksa i panią Penrose — prowadzicie śledztwo w sprawie morderstwa, opierając się na prawach obowiązujących w stanie Nowy Jork. Jeśli nie będziemy sobie wzajemnie wchodzić w drogę, wszystko będzie w porządku. Ja nie będę udawał detektywa wydziału zabójstw, a wy nie będziecie bawili się w obrońców wolnego świata. Czy to uczciwe? Logiczne? Wykonalne? Absolutnie.

— Dla kogo pan pracuje? — zapytałem bez ogródek Nasha.

— W tym momencie nie jestem upoważniony, żeby o tym mówić. W każdym razie nie dla Departamentu Rolnictwa — dodał.

— Dałem się nabrać — mruknąłem zgryźliwie. — Sprytni z was faceci.

— Czy możemy porozmawiać na osobności, detektywie Co-rey? — odezwała się Penrose.

Zignorowałem ją i przypierałem dalej do muru pana Nasha. Musiałem zdobyć wszystkie punkty i wiedziałem, jak to zrobić.

— Chcemy popłynąć teraz na Plum Island — powiedziałem.

Zrobił zdziwioną minę.

— Teraz? Nie chodzą o tej porze żadne promy...

— Nie potrzebuję rządowego promu. Popłyniemy policyjną łodzią Maksa.

— To wykluczone — stwierdził Nash.

— A to dlaczego?

— Wstęp na wyspę jest wzbroniony.

— Popelniono podwójne morderstwo — przypomniałem mu. — Czy nie uzgodniliśmy przed chwilą, że komendant Maxwell, detektyw Penrose i ja prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa?

— Nie prowadzicie go na Plum Island.

— Owszem, prowadzimy.

Uwielbiam takie przepychanki. Naprawdę. Miałem nadzieję, że Penrose widzi, jaki to palant.

— W tej chwili nikogo tam nie ma — stwierdził pan Nash.

— Są tam ludzie z ochrony i to z nimi chcę porozmawiać. Teraz — odparłem.

— Rano i nie na terenie wyspy.

— Teraz i na terenie wyspy, albo wyrwę sędziego z łóżka i załatwię nakaz przeszukania.

— Jest bardzo mało prawdopodobne, aby lokalny sędzia wydał nakaz przeszukania terenu, który należy do rządu. Będzie pan musiał się z tym zwrócić do zastępcy prokuratora Stanów Zjednoczonych oraz sędziego federalnego. A zdaje pan sobie chyba sprawę, że ani prokurator Stanów Zjednoczonych, ani sędzia federalny nie będą się kwapili z wydaniem takiego nakazu detektywowi z wydziału zabójstw, zwłaszcza że sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego. Więc niech pan nie blefuje i się nie stawia.

— Może powinienem zacząć sypać pogrózkami?

Max miał już chyba też dosyć pana Nasha, z którego wilczego grzbietu ześlizgiwała się owcza skóra.

— Plum Island może i należy do rządu federalnego, ale stanowi

również część gminy Southold, hrabstwa Suffolk oraz stanu Nowy Jork. Chcę, żeby pan załatwił dla nas na jutro zgodę na odwiedzenie wyspy. W przeciwnym razie postaram się o nakaz sądowy.

— Naprawdę nie ma potrzeby odwiedzać wyspy, komendancie — odparł pan Nash, zmieniając ton na bardziej pojednawczy.

Detektyw Penrose stanęła oczywiście po mojej stronie.

— Będziemy nalegać, Ted — poinformowała swego nowego przyjaciela.

Ted? Spóźniając się, naprawdę straciłem jakiś interesujący wątek.

Ted i Beth spojrzeli na siebie, dwie udęczone dusze, rozdarte między rywalizacją i rycerskością.

— Dobrze... zatelefonuję w tej sprawie — stwierdził w końcu pan Ted Nash z Centralnej Agencji do Spraw Zwalczania Zarazków.

Pan Foster nie byłby sobą, gdyby nie wbił w tym momencie szpili panu Nashowi.

— Myślę, że wszyscy jesteśmy zgodni, że płyniemy tam jutro rano, Ted — oznajmił.

Pan Nash pokiwał głową. Przestał już trzepotać rzesami do Beth Penrose i przeniósł swoje gorące uczucia na mnie.

— Jeśli uznamy, że popełnione zostało przestępstwo federalne, nie będziemy prawdopodobnie potrzebować dłużej pańskich usług, detektywie Corey — powiedział, wbijając we mnie wzrok.

Mały Teddy uciekał się do drobnych złośliwości i wiedziałem, że mogę teraz bezpiecznie zejść z ringu. Odniosłem triumf w słownej szermierce, ugodziłem boleśnie gładkiego Teda i odzyskałem miłość damy mego serca. Jestem wspaniały. Naprawdę poczułem się lepiej: znowu byłem dawnym, nieprzyjemnym sobą. Tym ludziom trzeba było poza tym wsadzić kij w tyłek. Rywalizacja jest dobra. Ameryka opiera się na współzawodnictwie. Co by było, gdyby mieszkańcy Dallas polubili nowojorczyków?

Cztery pozostałe osoby gawędziły przez chwilę o niczym ważnym, grzebały w kartonie z kubkami i popijały kawę, starając się przywrócić sympatyczny nastrój, który panował przed pojawieniem się Coreya. Wyjąłem kolejne piwo z lodówki i zwróciłem się z kolejnym pytaniem do pana Nasha.

— Jakimi konkretnie zarazkami zajmują się na Plum Island? — zapytałem tonem profesjonalisty. — To znaczy, po co jakimś obcemu mocarstwu bakterie, które powodują pryszczycę albo cho robę wściekłych krów? Proszę mi powiedzieć, panie Nash, czego mam się bać, żebym wiedział, dlaczego nie mogę zasnąć, kiedy nie będę mógł zasnąć.

Pan Nash przez chwilę milczał, a potem spojrział na mnie, Maksa i Penrose i odchrząknął.

— Przypuszczam, że wiecie, o jak wysoką stawkę toczy się ta gra — stwierdził. — Bez względu na to, jaki jest wasz stopień wtajemniczenia, jesteście w końcu zaprzysiężonymi policjantami, tak więc...

— Nic, co pan powie, nie wyjdzie poza ściany tej kuchni — zapewniłem go skwapliwie. Chyba że chłapnę o tym komuś jęzorem.

Nash i Foster spojrzeli na siebie i Foster kiwnął głową.

— Wszyscy wiecie albo może czytaliście, że Stany Zjednoczone nie prowadzą już żadnych badań w zakresie broni biologicznej — oświadczył Nash. — Podpisaliśmy traktat w tej sprawie.

— Dlatego właśnie kocham ten kraj, panie Nash. Nie znajdzie pan w nim ani jednej bomby biologicznej.

— Zgadza się. Niemniej... istnieją pewne choroby, które wolno nam legalnie badać i które stanowią zarazem potencjalną broń biologiczną. Jedną z nich jest wąglik. Jak wiecie — mówiąc to, ponownie zerknął na mnie, na Maksa i detektyw Penrose — zawsze krążyły plotki, że na Plum Island mieści się nie tylko ośrodek badań nad chorobami zwierzęcymi.

Nikt z nas się nie odezwał.

— Na pewno nie jest to ośrodek broni biologicznej — podjął Nash. — Nie ma czegoś takiego w całych Stanach. Minałbym się jednak z prawdą gdybym nie wspomniał, że eksperci od tej broni odwiedzają czasami wyspę, aby zapoznać się z wynikami niektórych eksperymentów. Innymi słowy, nie ma ostrej granicy między chorobami zwierzęcymi i ludzkimi, pomiędzy ofensywną i defensywną bronią biologiczną.

Bardzo wygodna nieostrość, pomyślałem. Pan Nash pociągnął łyk swojej kawy, przez chwilę dumał, po czym podjął przerwany wątek.

— Na przykład afrykański pomór świń łączony jest z HIV. Badamy afrykański pomór świń na Plum Island i środki przekazu narobiły hałasu twierdząc, że... to zresztą nieważne. To samo dotyczy gorączki z Rift Valley, wirusa Hanta, innych retrowirusów, a także filowirusów, takich jak Ebola Zair i Ebola Marburg...

W kuchni zrobiło się naprawdę cicho; chyba wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, że mówimy o najbardziej przerażających rzeczach we wszechświecie. Jeśli idzie o zagładę nuklearną ludzie albo traktują ją fatalistycznie, albo uważają że nigdy do niej nie dojdzie. Jeśli chodzi o broń biologiczną lub biologiczny terroryzm, rzecz

jest łatwa do wyobrażenia. I jeśli z laboratorium wydostanie się odpowiednia bakteria, oznacza to koniec świata, nie w jednym błysku, lecz powoli, w miarę jak zaraza będzie przerzucać się z chorych na zdrowych: zwłoki umarłych będągniły tam, gdzie padli, i film klasy B wkrótce pojawi się w twojej dzielnicy.

— Na te choroby zapadają zwierzęta i dlatego badania prowadzone są pod auspicjami Departamentu Rolnictwa — kontynuował pan Nash tonem, w którym niechęć walczyła z chęcią popisania się: wiem o czymś, o czym wy nie wiecie. — Departament stara się znaleźć lekarstwa na te choroby, aby chronić amerykańskie stada, ale także obywateli. Mimo że funkcjonuje na ogół bariera międzygatunkowa i ludzie nie zapadają na choroby zwierzęce, odbyliśmy, że niektóre z nich potrafią ją przeskakiwać. W wypadku ostatniej choroby wściekłych krów w Wielkiej Brytanii istnieją na przykład dowody, że może przerzucać się na ludzi...

Może moja była żona miała rację co do mięsa. Próbowałem wyobrazić sobie życie z cheeseburgerami z soi, chili no carne i hot dogami z morskich wodorostów. Wolałbym chyba umrzeć. Poczulem nagle, jak ogarnia mnie gorąca miłość do Departamentu Rolnictwa.

Zdałem sobie również sprawę, że to, co mówi pan Nash, to zwykła oficjalna mowa-trawa: historyjki o chorobach przekraczających bariery międzygatunkowe i tak dalej. Tymczasem, jeśli wierzyć plotkom, na Plum Island badano również w bardzo określonym celu jak najbardziej ludzkie choroby zakaźne, czyniąc to w ramach oficjalnie nieistniejącego programu. Choć z drugiej strony może były to tylko plotki i to, co robią na Plum Island, ma rzeczywiście defensywny, a nie ofensywny charakter.

Uderzyło mnie, że wszystko to jest bardzo nieokreślone. Zarazki to zarazki. Nie odróżniają krowy od świni i świni od człowieka. Nie odróżniają badań defensywnych od badań ofensywnych, a także szczepionek od bomb rozpryskowych. Do diabła, nie wiedzą nawet, czy są złe, czy dobre. I gdybym posłuchał dłuższej gadki Nasha, gotów byłbym uwierzyć, że na Plum Island produkują nowe wspaniałe kultury jogurtu.

Pan Nash wpatrywał się w swój styropianowy kubek, jakby uświadomił sobie właśnie, że woda i kawa mogą być zarażone chorobą wściekłych krów.

— Problem polega oczywiście na tym — podjął — że kultury bakterii i wirusów mogą być... chodzi o to, że jeśli ktoś zdobędzie te mikroorganizmy i wie, jak je rozmnożyć, wtedy może się ich zrobić bardzo dużo i jeśli zetkną się w jakiś sposób z ludnością, możemy mieć pewne problemy natury zdrowotnej.

— Ma pan na myśli zarazę, która wykończy cały świat, i sterty



trupów na ulicach?

— Tak, tego rodzaju problemy zdrowotne.

Zapadła cisza.

— W związku z tym — stwierdził pan Nash — chociaż bardzo nam zależy na odkryciu, kto zamordował Gordonów, jeszcze bardziej

zależy nam na ustaleniu, czy Gordonowie zabrali coś z wyspy i przekazali to jakiejś nieupoważnionej osobie bądź osobom.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

— Czy możesz... — zapytała w końcu Beth — czy ktoś na wyspie potrafi stwierdzić, że czegoś brakuje w laboratorium?

Ted Nash posłał Beth Penrose spojrzeń, jakim nauczyciel w szkole obdarza swojego ulubionego ucznia, kiedy ten zada inteligentne pytanie. W gruncie rzeczy pytanie nie było aż tak inteligentne... ale zrobiłbyś wszystko, żeby tylko wylądować z nią w łóżku, prawda, Ted?

— Zdajesz sobie zapewne sprawę, Beth — poinformował Pan Wyluzowany swoją nową protegowaną — że odkrycie, czy czegoś nie brakuje, może okazać się niemożliwe. Problem polega na tym, że mikroorganizmy można rozmnożyć ukradkiem w laboratorium albo w innej części Plum Island, a potem zabrać je z wyspy i nikt nie będzie o tym wiedział. Sytuacja jest inna niż z produktami chemicznymi lub nuklearnymi, gdzie liczy się każdy gram. Bakterie

i wirusy lubią się reprodukować.

Kiedy o tym pomyśleć, to dość przerażające... w porównaniu z reakcją jądrową lub produkcją gazu paraliżującego rozmnażanie zarasków nie wymaga wysokiej technologii. Można to robić w domowym laboratorium, tanio, na pożywece... czego używaliśmy w pracowni biologicznej? Rosołu wołowego. Koniec z cheeseburgerami.

— Czy możemy zakładać, że mikroorganizmy badane na Plum Island są w jakiś szczególny sposób niebezpieczne? — zapytała Beth Penrose Pana Wszystkowiedzącego, dumna ze swojego poprzedniego pytania. — Chodzi mi o to, czy modyfikują je tam genetycznie, żeby uczynić bardziej zabójczymi, niż są w stanie naturalnym?

To pytanie nic spodobało się już tak bardzo panu profesorowi.

— Nie — odparł. — To znaczy laboratorium na Plum Island ma możliwość dokonywania różnych zabiegów inżynierii genetycznej, lecz to, co tam robią, polega na genetycznej modyfikacji wirusów tak, aby nie były w stanie wywoływać choroby, lecz pobudzały system immunologiczny do wytwarzania antyciał, w razie gdy

organizm zostanie zaatakowany przez prawdziwego wirusa. To rodzaj szczepionki, z tą różnicą, że nie wytwarza się jej przez osłabienie zarazka, co może okazać się niebezpieczne, lecz przez jego genetyczną modyfikację. Odpowiadając w skrócie na twoje pytanie, Beth, zabiegi genetyczne wykonywane na Plum Island mają na celu osłabienie wirusa lub bakterii, a nie zwiększenie jego zabójczej mocy.

— Oczywiście — przytaknałem. — To drugie jednak także jest możliwe dzięki zdobyczom inżynierii genetycznej.

— Możliwe. Ale nie na Plum Island.

Przyszło mi do głowy, że Nash modyfikuje genetycznie informację — bierze, jeśli wolno mi tak powiedzieć, wirusa prawdy i osłabia go, tak byśmy otrzymali łagodną dawkę złych wiadomości. Sprytny facet.

Zmęczyła mnie już ta naukowa gadka, następne pytanie zaadresowałem więc do pana Fosterera.

— Czy wasi ludzie robią coś, żeby nie dopuścić do wydostania się tego na zewnątrz?

— Zaangażowaliśmy wszystkich, żeby mieli oko na... wszystko. Lotniska, porty i stacje kolejowe są obserwowane przez naszych ludzi, lokalną policję i celników. Straż Przybrzeżna zatrzymuje i przeszukuje statki i wykorzystujemy nawet Agencję do Spraw Narkotyków, jej łodzie i samoloty. Problem polega na tym, że sprawcy mają nad nami mniej więcej trzy godziny przewagi, ponieważ, szczerze mówiąc, nie zostaliśmy powiadomieni w odpowiednim czasie...

Mówiąc to, pan Foster spojrzał na szeryfa Maxwella, który skrzyżował ręce na piersi i wyduł wargi.

Słowo o Sylwestrze Maxwelle. To uczciwy gliniarz, może niezbyt błyskotliwy, ale też niegłupi. Potrafi być czasami uparty, lecz to cecha większości mieszkańców North Fork, nie tylko komendanta. Dowodząc skromnymi siłami, które muszą współpracować z o wiele większą policją hrabstwa, a czasami nawet z policją stanu, nauczył się, kiedy bronić swego terytorium, a kiedy się wycofać.

Inna uwaga: geograficzne realia nadmorskiej miejscowości w epoce handlu narkotykami sprawiły, że Max ma często do czynienia z Agencją do Spraw Narkotyków oraz Strażą Przybrzeżną. Ludzie z agencji zawsze podejrzewają, że lokalna policja macza palce w przemycie; miejscowi, w tym Max, są przekonani, że robi to agencja. Straż Przybrzeżna i FBI są uważane za czyste, ale podejrzewają agencję i lokalną policję. Celnicy są na ogół czysti, a jednak

wśród nich również zdarzają się kanalie, które za parę doliców odwracają wzrok w drugą stronę. W skrócie mówiąc, narkotyki są najgorszą rzeczą, jaka przytrafiła się amerykańskim siłom prawa i porządku od czasów prohibicji.

I to sprawiło, że przestałem myśleć o Maksie i zacząłem myśleć o narkotykach, o mającej trzydzieści stóp łodzi Gordonów z wielkimi potężnymi silnikami. Ponieważ nie wyglądało na to, żeby Gordonowie sprzedali komuś zarazki, których uwolnienie doprowadzi do końca świata, być może chodziło o narkotyki. Może trafiłem na jakiś ślad. Może podzielę się swoimi przemyśleniami z resztą, kiedy je trochę uporządkuję. A może się nie podzielę.

Pan Foster wiercił jeszcze przez chwilę dziurę w brzuchu szeryfowi Maxwellowi za opieszałość w powiadomieniu FBI, starając się, byśmy to wszyscy zapamiętali. Coś w rodzaju: „Och, Max, gdybyś tylko przyszedł do nas z tym trochę wcześniej. Teraz wszystko stracone i to twoja wina”.

— Zadzwoń do wydziału zabójstw hrabstwa Suffolk dziesięć minut po tym, jak zawiadomiono mnie o morderstwie — wyjaśnił Max. — Od tego momentu sprawa została przekazana wyżej. Nie można mi nic zarzucić.

Oczy wszystkich zwróciły się ku pani Penrose.

— Nie miałam pojęcia, że ofiary pracowały na Plum Island — stwierdziła.

— Poinformowałem o tym faceta, który odebrał telefon, Beth — odparł Max grzecznie, lecz stanowczo. — To był sierżant... jakiś tam. Sprawdź taśmę.

— Zrobię to — zapewniła go pani Penrose. — Niewykłuczone, że masz rację, Max — dodała — ale nie roztrząsajmy tego teraz. Zajmijmy się sprawą.

— Dobra rada — zgodził się pan Foster, po czym powiódł wzrokiem po naszych twarzach. — Istnieje również możliwość, że ci, którzy ukradli ten towar, nie wywieźli go wcale z kraju. Mogą mieć gdzieś niedaleko własne laboratorium, nierzucające się w oczy i niewymagające jakichś szczególnych materiałów ani chemikaliów, dzięki którym moglibyśmy ich namierzyć. Najgorszy scenariusz jest następujący: bakterie zostaną namnożone, a następnie w odpowiednim miejscu uwolnione. Niektóre z tych organizmów można dostarczyć łatwo wodociągami, inne rozpylić w powietrzu, jeszcze inne przenoszą ludzie i zwierzęta. Nie jestem ekspertem, ale dzwoniłem do kilku osób w Waszyngtonie i z tego, co mi powiedzieli, wynika, że niebezpieczeństwo zarażenia się jest bardzo duże. Oglą-

dałem kiedyś program dokumentalny — dodał — w którym stwierdzono, że pojemnik z węglikiem wielkości puszki od kawy, rozpylony przez pojedynczego terrorystę opływającego łodzią Manhattan, może zabić co najmniej dwieście tysięcy ludzi. W kuchni znowu zapadła cisza.

— Może być jeszcze gorzej — stwierdził pan Foster, najwyraźniej zadowolony z wrażenia, które zrobił. — Trudno to ocenić. Wąglik to bakteria. Wirusy są niebezpieczniejsze.

— Jeśli dobrze rozumiem, nie mówimy tu o możliwej kradzieży jednego typu wirusa albo bakterii? — zapytałem.

— Jeśli kradnie pan węglika, równie dobrze może pan ukraść wirusa Ebolę i wszystko, co wpadnie panu w ręce. To stwarza wielorakie zagrożenie, zagrożenie, którego na próżno szukać w naturze i któremu nie sposób się przeciwstawić.

Stojący w salonie zegar wybił dwunastą i pan Ted Nash, wyczuwając dramatyzm chwili i pragnąc zaimponować nam swoją edukacją, którą zdobył bez wątpienia w jednej z uczelni Bluszczowej Ligi, zacytował wieszczka:

— „Oto się spełnia czarna magia nocy i z rozdziawionych mogił tchnienie piekła zieje zarazą na świat”\*.

— Idę zaczerpnąć świeżego powietrza — oznajmiłem, czując, jak udziela mi się wesoły nastrój.

\* William Szekspir, *Hamlet*, akt 3.. scena 2., przełożył Stanisław Barańczak.

# Rozdział 5

Nie wyszedłem od razu na dwór, ale zająłem do zachodniego skrzydła, do pokoju gościnnego, w którym Tom i Judy urządzili sobie gabinet.

Przy pececie, który chciałem włączyć, siedział już jakiś zapale-niec. Kiedy się przedstawiłem, oznajmił, że nazywa się Mike Resnick i jest specjalistą komputerowym policji Suffolk.

— Znalazł pan już zabójcę? — zapytałem go.

— Jasne. Teraz gram w Jeopardy. Z

Mike'a był prawdziwy żartowniś.

— Co mamy do tej pory? — zagadnąłem.

— W większości... chwilę, a to co? Nie, nic... co mamy... co?

— Do tej pory. — Uwielbiam pogawędki z dupkami przy kom-puterze. — Co mamy do tej pory?

— A... w większości listy... osobiste listy do przyjaciół i rodziny, kilka pism urzędowych, kilka... a to co? Nic...

— Czy ma pan coś na temat Plum Island?

— Nie.

— Cokolwiek, co wydaje się ciekawe albo podejrzane?

— Nie.

— Prace naukowe?

— Nie. Kiedy tylko dojdę do wniosku, że coś mam, przestanę szukać dalej i zawiadomię wydział zabójstw.

Mike wydawał się nieco zniecierpliwiony, tak jakby spędził przy tym biurku kilka godzin i dawno już powinien leżeć w łóżku.

— A sprawy finansowe? — zapytałem. — Inwestycje, książeczki czekowe, domowy budżet?

Podniósł wzrok znad monitora.

— To pierwsza rzecz, którą sprawdziłem. Pisali czeki na komputerze. Tu mamy wydruk wszystkich operacji finansowych z dwudziestu pięciu miesięcy... odkąd założyli konto — oznajmił, wskazując stos papierów obok drukarki.

— Nie będzie panu przeszkadzać, jeśli je przejrzę? — zapytałem.

— Nie, ale niech pan z nimi daleko nie odchodzi. Muszę je dołączyć do raportu.

— Przejdę z nimi tylko do salonu. Tam jest lepsze światło.

— Dobrze...

Mike bawił się już ponownie komputerem, który był, jak widać, bardziej interesujący ode mnie. Wyszedłem.

W salonie specjalistka od daktyloskopii wciąż jeszcze odkurzała i zbierała odciski palców.

— Dotykał pan czegoś? — zapytała, zerkając na mnie.

— Nie, proszę pani.

Podszedłem do półek stojących po obu stronach kominka. Po lewej stronie była beletrystyka, w większości w miękkich okładkach, sympatyczna mieszanka chłamu i arcydzieł. Po prawej natomiast literatura faktu i przez chwilę studiowałem tytuły, wśród których znajdowały się profesjonalne prace biologiczne, a także popularne książki na temat zdrowia i tężyzny fizycznej. Była również cała półka lokalnych wydawnictw na temat Long Island, jej flory, fauny, historii i tak dalej.

Na najniższej półce stały w rzędzie książki żeglarskie i atlasy nawigacyjne. Wspomniałem już, że jak na zasiedziałyh mieszkańców Środkowego Zachodu Gordonowie naprawdę polubili sporty wodne. Mimo to, kiedy pływałem z nimi kilka razy, zorientowałem się, że nie byli wielkimi żeglarzami. Nie łowili ryb, krabów ani małży, ani nawet nie pływali wplaw. Lubili po prostu przycisnąć od czasu do czasu gaz do dechy, co ponownie nasunęło mi myśl, że sprawa może mieć związek z narkotykami.

Mając to na uwadze, odłożyłem na bok wydruki komputerowe, po czym, posługując się chusteczką, wziąłem z półki wielki atlas nawigacyjny i położyłem go na półce nad kominkiem. Owinąłem chusteczką palec i zacząłem przerzucać kartki. Szukałem częstotliwości radiowych, numerów telefonów komórkowych i podobnych rzeczy, które ktoś, kto przemycza narkotyki, mógł zapisać na marginesie mapy.

Każdy arkusz pokazywał obszar o boku czterech mil. Przedstawiony na nim ląd nie był w zasadzie opisany, z wyjątkiem obiektów, które można było zobaczyć z morza. Za to na wodzie

zaznaczono rafy, skały, głębokości, latarnie morskie, zatopione wraki, boje i wszystkie inne rzeczy, które mogły okazać się pomocne lub niebezpieczne przy żegludze.

Przerzucałem kolejne kartki, szukając, jak sądzę, jakiegoś znaku, miejsca spotkania, współrzędnych, imion w rodzaju Pedro lub Juan i w ogóle czegokolwiek, ale mapy były czyste poza wymalowaną żółtym flamastrem linią, która łączyła przystań Gordonów z przystanią na Plum Island. To była trasa, którą udawali się do pracy, mijając po drodze południowy brzeg North Fork oraz Shelter Island, trzymając się głębokiej i bezpiecznej części kanału. Nie stanowiło to żadnej wskazówki.

Na Plum Island zauważyłem czerwony napis: „Obszar zamknięty— Własność rządu USA — Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

Miałem już zamiar zamknąć wielką księgę, gdy zauważyłem coś, co niemal zasłaniała moja chusteczka — na samym dole arkusza, na wodach na południe od Plum Island widniały zapisane ołówkiem cyfry: 44106818. Opatrzone były znakiem zapytania podobnym do tego, który zawisł w małej komiksowej chmurce nad moją głową: 44106818? Powiedzmy, że razem mieliśmy dwa znaki zapytania i jeden wykrzyknik.

Czy były to standardowe ośmiocyfrowe współrzędne? Częstotliwość radiowa? Zakamuflowany numer, pod którym można usłyszeć dowcip? Narkotyki? Zarazki?

W dochodzeniu nadchodzi czasem taki moment, gdy człowiek odnajduje więcej tropów, niż jest w stanie ze sobą połączyć. Tropy są niczym składniki potrawy w przepisie pozbawionym instrukcji — jeśli połączy się je w odpowiedni sposób, ma się kolację. Jeśli nie wiadomo, co z nimi zrobić, można spędzić w kuchni dużo czasu o suchym pysku i w kiepskim humorze.

Chwyciłem atlas przez chusteczkę i zniosłem go specjalistce od odcisków palców.

— Czy mogłaby pani sprawdzić dla mnie naprawdę dokładnie tę książkę? — zapytałem z miłym uśmiechem.

Kobieta posłała mi zniecierpliwione spojrzenie, po czym wzięła atlas w dłoń w lateksowej rękawiczce i dokładnie mu się przyjrzała.

— Z papierem, na którym wydrukowano mapy, nie będzie łatwo... ale okładka jest z błyszczącego gatunku... zrobię, co się da. Azotan srebra albo ninhydryna — dodała. — Trzeba to będzie zrobić w laboratorium.

— Dziękuję. Jest pani wzorem profesjonalizmu i kompetencji.

Jej usta rozchyliły się w uśmiechu.

— Kto ma najwięcej odcisków palców? — zapytała. — FBI, CIA czy TEP?

— Co to jest TEP? Ma pani na myśli Towarzystwo Ekologów Planety?

— Nie. Tyłek Elizabeth Penrose. — Roześmiała się. — Ludzie powtarzają to sobie na komendzie. Nie słyszał pan tego?

— Nie sądzę.

Podąła mi rękę.

— Jestem Sally Hines.

— John Corey. — Uścisnąłem jej dłoń w lateksowej rękawiczce. — Uwielbiam, jak lateks dotyka mojej nagiej skóry — stwierdziłem. — A pani?

— Bez komentarza — odparła i przez chwilę milczała. — To pan jest tym gliniarzem z Nowego Jorku, który współpracuje z policją Suffolk przy tej sprawie? — zapytała w końcu.

— Zgadza się.

— Niech pan zapomni to, co powiedziałam o Penrose.

— Już zapomniałem — zapewniłem ją. — Co tutaj widzimy, Sally?

— Dom był ostatnio wysprzątany, w związku z czym mamy świeże miłe powierzchnie. Nic przyglądałam się dokładnie odciskom, ale widzę w zasadzie te same dwa zestawy, pana i pani domu. Tylko z rzadka mamy inne odciski i jeśli chce pan poznać moje zdanie, detektywie, zabójca pracował w rękawiczkach. To nie był ćpun zostawiający idealne ślady na butelkach w barku.

Pokiwałem głową.

— Niech pani wyjątkowo dokładnie sprawdzi tę książkę.

— Zawsze sprawdzam wszystko wyjątkowo dokładnie. Pan nie? — Znalazła plastikową torebkę w swoim zestawie i wsunęła do niej album. — Będę potrzebowała pańskich odcisków — dodała.

— Niech pani sprawdzi za parę godzin TEP.

Roześmiała się.

— Proszę po prostu położyć ręce na tym szklanym stoliku.

— Wzięła pani odciski od tych dwóch facetów, którzy przyjechali z komendantem Maxwelllem? — zapytałem, robiąc to, o co prosiła.

— Powiedziano mi, że zadbają o to później.

— No tak. Słuchaj, Sally, mnóstwo ludzi, na przykład ci faceci z kuchni, będą świecili ci w oczy swoimi ważnymi legitymacjami. Zdawaj relację tylko policji hrabstwa, najlepiej wyłącznie Elizabeth Penrose.

— W porządku. — Sally rozejrzała się wokół siebie, po czym spytała mnie przyciszonym tonem. — Co to za historia z zarazkami?



— To nie ma nic wspólnego z zarazkami. Tak się składa, że ofiary pracowały na Plum Island, ale to tylko zbieg okoliczności.

— To dobrze.

Zabrałem plik komputerowych wydruków i ruszyłem w stronę przesuwanych szklanych drzwi.

— Nie podoba mi się sposób, w jaki prowadzi się to śledztwo

—  
zawołała za mną Sally.

Nie odpowiedziałem.

Zszedłem na dół, gdzie przy samym brzegu stała miła ławka. Rzuciłem na nią papiery, które zwędziłem Mike'owi, i wlepiłem wzrok w wodę.

Bryza była wystarczająco silna, żeby zajęte zmaganiem z nią muszki i komary trzymały się z daleka ode mnie. Zatokę marszczyły drobne fale, na których kołysała się stojąca przy pomoście łódź Gordonów. Wielki jasny księżyc wyglądał zza białych chmur i przy lekkim północnym wietrze pachniało bardziej łądem niż morzem.

W którymś momencie i miejscu, chyba przez osmozę, zacząłem rozumieć otaczające mnie elementarne siły lądu i morza. Przypuszczam, że jeśli doda się wszystkie spędzone tutaj w dzieciństwie dwutygodniowe wakacje, a później jesienne weekendy, trudno się dziwić, że coś budziło się w moim wielkomięjskim sercu.

Są chwile, kiedy chcę wyjechać z miasta i myślę o takim miejscu jak to. Mógłbym chyba przyjechać tutaj w zimie, spędzić kilka miesięcy w domku wuja Harry'ego i zobaczyć, czy zostanę alkoholikiem, czy pustelnikiem. Jeśli ludzie będą się tutaj w takim tempie wykańczali, niewykluczone, że gmina Southold zatrudni mnie na pełnym etacie konsultanta do spraw zabójstw za sto dolców dziennie i tyle małży, ile zdołam zjeść.

Miałem nietypowe opory w kwestii powrotu do służby. Byłem gotów zająć się czymś innym, ale chciałem, żeby wynikało to z mojej własnej decyzji, a nie z zalecenia lekarzy; wiedziałem poza tym, że jeśli łapiduchy stwierdzą, że się nie nadaję, nie zdołam nigdy odnaleźć dwóch hombres, którzy mnie załatwili. Ta sprawa domagała się jakiegoś finału. W moich żyłach nie płynie włoska krew, lecz mój partner Dominie Fanelli jest Sycylijczykiem i nauczył mnie całej historii i zasad wendety. Kazał mi obejrzeć trzy razy *Ojca chrzestnego*. Myślę, że załapałem, o co chodzi. Dwóch latynoskich dżentelmenów powinno umrzeć. Dominie szukał ich. Czekałem na telefon, kiedy ich znajdzie.

Skoro mowa o mojej śmiertelności, poczułem, że jestem lekko zmęczony, i usiadłem na ławce. Nie byłem już takim supermenem jak przed postrzałem.

Odchyliłem się do tyłu i przez chwilę wpatrywałem w noc. Na skrawku trawnika po lewej stronie tarasu Gordonów stał wysoki biały maszt z poprzeczną belką zwaną nokiem, od którego biegly dwie linki, czyli fały. Zauważyłem, że przyswoiłem sobie trochę marynistycznej terminologii. Gordonowie znaleźli w schowku w garażu całą kolekcję proporców i bander i zawieszali czasem dla zabawy flagi sygnalizacyjne — oznaczające na przykład „Przygotuj się do abordażu” albo „Kapitan zszedł na ląd”.

Dostrzegłem już wcześniej, że na szczycie masztu zawiesili piracką flagę. Było swoistą ironią losu, że na ostatniej wciągniętej przez nich banderze widniały skrzyżowane piszczele i trupia czaszka.

Zauważyłem także, że na każdym z fałów wisi flaga sygnalizacyjna. Nie mogłem ich dobrze zobaczyć w mroku, ale nie miało to większego znaczenia, ponieważ i tak nie znałem się na morskich sygnałach.

Z lewej strony ławki usiadła Beth Penrose. Miała na sobie ponownie zakiet, co mnie trochę rozczarowało, i skrzyżowała ręce na piersi, jakby jej było zimno. Kobietom zawsze jest zimno. Nie powiedziała nic, ale zrzuciła z nóg buty, przesunęła stopami po trawie i poruszyła palcami. Noszą również niewygodne obuwie.

Po kilku minutach przyjaznego milczenia — a może rosnącej wrogości — postanowiłem przełamać pierwsze lody.

- Chyba miałas rację — oznajmiłem. — To mogła być łódź.
- Jesteś uzbrojony?
- Nie.
- To dobrze. Zaraz ci odstrzelę ten pierdolony łeb.
- Daj spokój, Beth...
- Dla ciebie jestem detektyw Penrose, palancie.
- Rozchmurz się.
- Dlaczego byłeś taki agresywny w stosunku do Teda Nasha?
- Który to?
- Wiesz, kurwa, dobrze, który. O co ci chodzi?
- To męska sprawa.
- Zrobiłeś z siebie głupka, wszyscy uważają cię za aroganckiego idiotę i kompletnie bezużytecznego ignoranta. Na dodatek straciłeś mój szacunek.
- W takim razie obawiam się, że seks nie wchodzi chyba w grę.
- Seks? Nie chcę nawet oddychać tym samym powietrzem co ty.
- To boli, Beth.
- Nie mów do mnie Beth.

- Ted Nash tak się do ciebie...
- Wiesz co, Corey? Dali mi tę sprawę, bo błagałam szefa na kolanach. To moje pierwsze prawdziwe zabójstwo. Przed tym dostawałam wyłącznie duperele: strzelający do siebie narkomani, mamuśki i tatuszkowie załatwiający domowe spory za pomocą kuchennych noży, tego rodzaju gówno. I wcale nie było tego dużo. Mamy tu niski wskaźnik zabójstw.
- Bardzo mi z tego powodu przykro.
- No tak. Ty masz z tym do czynienia bez przerwy, w związku z czym jesteś zgryźliwy, cyniczny i przemądrzały.
- Nie powiedziałbym, że...
- Jeśli przyszedłeś tu tylko po to, żebym wyszła na idiotkę, odwal się — oświadczyła, wstając.
- Ja wstałem również.
- Zaczekaj. Jestem tu, żeby pomóc.
- W takim razie pomagaj.
- W porządku. Na początek dobra rada. Nie gadaj za dużo z Fosterem i twoim kumplem Tedem.
- Wiem o tym i daruj sobie tę gadkę o „moim kumplu Tedzie”.
- Posłuchaj. Mogę ci mówić Beth'?
- Nie.
- Proszę posłuchać, detektyw Penrose. Wiem, że jesteś przekonana, że mnie seksualnie pociągasz. Prawdopodobnie myślisz, że cię podrywam... i uważasz, że to przysporzy nam kłopotów.
- Odwróciła głowę na bok i utkwiała wzrok w zatoce.
- Naprawdę trudno mi o tym mówić... — podjąłem — ale chodzi o to, że nie musisz się martwić... to znaczy martwić się o mnie.
- Spojrzała z powrotem na mnie.
- Zakryłem twarz prawą ręką, potarłem czoło i kontynuowałem najlepiej, jak umiałem.
- Widzisz... jedna z tych kul, które mnie trafiły... Boże, jak mam to powiedzieć? Jedna z tych kul trafiła mnie w czułe miejsce, rozumiesz? Teraz już wiesz. Więc możemy zostać kimś w rodzaju przyjaciół, partnerów... kimś w rodzaju brata i siostry... to znaczy raczej siostry i siostry.
- Zerknąłem na nią i zobaczyłem, że znowu spogląda na zatokę.
- Mówiłeś chyba, że trafili cię w żołądek — przemówiła w końcu.
- Tam też.
- Max powiedział, że masz poważnie przestrzelone płuco.

- Tam też.
- Jakieś uszkodzenia mózgu?
- Niewykluczone.
- I teraz chcesz, bym uwierzyła, że kolejny pocisk zrobił z ciebie kastrata?
- W takiej kwestii facet na ogół nie kłamie.
- Skoro piec jest zimny, dlaczego w twoich oczach wciąż widzę ogień?
- To tylko wspomnienie, Beth... Mogę mówić do ciebie Beth? Miłe wspomnienie czasów, kiedy mogłem przeskoczyć o tycze nad samochodem.
- Zakryła dłonią twarz i nie wiedziałem, czy się śmieje, czy płacze.
- Proszę, nie mów o tym nikomu — powiedziałem.
- W końcu odzyskała nad sobą panowanie.
- Spróbuję wykreślić to z bazy danych — mruknęła.
- Dziękuję. — Odczekałem kilka sekund, po czym zapytałem:
- Mieszkasz gdzieś w pobliżu?
- Nie. Mieszkam we wschodnim Suffolk.
- To kawał drogi. Wracasz do domu, czy zatrzymujesz się gdzieś tutaj?
- Wszyscy mieszkamy w Soundview Inn w Greenport.
- Wszyscy, to znaczy kto?
- Ja, George, Ted, paru facetów z Agencji do Spraw Narkotyków, kilka innych osób, które były tutaj wcześniej... ludzie z Departamentu Rolnictwa. Mamy wszyscy pracować dzień i noc, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. To zrobi dobre wrażenie... jeśli gówno trafi w wentylator. To znaczy, jeśli ludzi zaniepokoją informacje o możliwych zachorowaniach.
- Masz na myśli wybuch masowej paniki.
- Nieważne.
- Posłuchaj, mam tutaj miły domek i możesz czuć się zaproszona.
- Nie skorzystam, ale dziękuję.
- To imponujący wiktoriański dworek nad samą wodą.
- To nie ma znaczenia.
- Będzie ci wygodniej. Mówiłem ci już, nie stanowią zagrożenia. Gliniarze z mojej komendy uważają, że wolno mi korzystać z damskiej toalety.
- Przestań.
- Poważnie, Beth. Mam wydruk komputerowy: dwa lata operacji finansowych. Możemy nad tym popracować dziś w nocy.

— Kto pozwolił ci to wziąć?  
— Ty. Zgadza się?  
Wahała się przez chwilę, a potem kiwnęła głową.  
— Chcę mieć ten wydruk z powrotem jutro rano.  
— W porządku. Będę nad nim siedział przez całą noc. Możesz mi pomóc.  
Najwyraźniej się nad tym zastanawiała.  
— Daj mi swój adres i numer telefonu — powiedziała w końcu.  
Zacząłem szukać w kieszeniach kartki i długopisu, ale ona trzymała już w ręku mały notes.  
— Strzelaj.  
Podałem jej informacje, łącznie ze wskazówkami, jak jechać.  
— Jeśli zdecyduję się przyjechać, najpierw zatelefonuję — oznajmiła.  
— Dobrze.  
Usiadłem z powrotem na ławce. Ona usiadła na drugim końcu, oddzielona ode mnie komputerowymi wydrukami. Przez dłuższą chwilę milczeliśmy, dokonując, jak się domyślam, mentalnego przegrupowania sił.  
— Mam nadzieję, że jesteś o wiele sprytniejszy, niż na to wyglądasz — odezwała się w końcu Beth.  
— Ujmijmy to w ten sposób: najsprytniejszą rzeczą, jaką szef Maxwell uczynił w całej swojej karierze, jest zwrócenie się do mnie o pomoc w tej sprawie.  
— I skromniejszy.  
— Nie mam powodów do skromności. Należę do najlepszych. CBS przymierza się do kręcenia serialu pod tytułem *Z archiwum Corey a.*  
— Co ty powiesz?  
— Mogę ci załatwić rolę.  
— Dziękuję. Nie wątpię, że dasz mi znać, jak mogę odwdziżyć się za tę przysługę.  
— Oglądanie ciebie w serialu będzie wystarczającą nagrodą.  
— Z pewnością. Posłuchaj... czy mogę mówić do ciebie John?  
— Jasne.  
— Co tu się dzieje, John? Mam na myśli tę sprawę. Wiesz coś, o czym nie chcesz powiedzieć.  
— Jaki jest twój obecny status?  
— Nie rozumiem.  
— Zameżna, rozwiedziona, w separacji, uczuciowo zaangażowana?

— Rozwiedziona. Co takiego wiesz albo przypuszczasz, o czym nie wspomniałeś?

— Żadnego chłopaka?

— Żadnego chłopaka ani dzieci. Mam za to jedenastu admirałów. Pięciu jest żonatych, trzech chce mnie kontrolować, dwaj są całkiem znośni, jeden to idiota.

— Czy zadają zbyt osobiste pytania?

— Tak.

— Gdybym zadawał je partnerowi mężczyźnie, nie byłoby w nich nic nadzwyczajnego.

— Nie jesteśmy partnerami.

— Chcesz zjeść jabłko i mieć je. Typowe.

— Posłuchaj... no dobrze, opowiedz mi o sobie. W skrócie.

— Okej. Rozwiedziony, bezdzietny, adorowany przez dziesiątki kobiet, choć żadna z nich nie jest warta wzmianki. Nie jestem chory wenerycznie — dodałem.

— I nie masz organów płciowych.

— Zgadza się.

— W porządku, John, na czym polega problem z tą sprawą?

Odchyliłem się do tyłu na ławce.

— Cóż, Beth... problem z tą sprawą polega na tym, że to, co oczywiste, wskazuje na coś, co jest nieprawdopodobne. I wszyscy starają się pogodzić nieprawdopodobne z oczywistym. Ale tak się nie robi, partnerze.

Pokiwała głową.

— Sugerujesz, że to może nie mieć nic wspólnego z tym, co nam się wydaje.

— Zaczynam myśleć, że dzieje się tutaj coś zupełnie innego.

— Dlaczego?

— Niektóre dowody nie bardzo pasują do naszej wersji.

— Być może będą pasować za parę dni, kiedy dostaniemy wyniki badań laboratoryjnych i wszyscy zostaną przesłuchani. Nie rozmawialiśmy jeszcze z ludźmi z Plum Island.

— Zejdźmy na pomost — poprosiłem, wstając z ławki.

Włożyła buty i zesłiśmy na dół.

— Na plaży kilkaset jardów stąd Alberta Einsteina dręczyły moralne dylematy bomby atomowej i w końcu postanowił, że trzeba ją skonstruować — powiedziałem. — Dobrzy faceci nie mieli wyboru, ponieważ żli faceci i tak podjęli już decyzję, podjęli ją, nie walcząc ze skrupułami moralnymi. Znałem Gordonów — dodałem.

Przez chwilę się zastanawiała.

— Chcesz powiedzieć, że nie wierzysz, aby Gordonowie byli zdolni... moralnie zdolni do sprzedaży śmiertelnych mikroorganizmów.

— Nie, nie wierzę. Podobnie jak fizycy atomowi znali siłę dzina zamkniętego w butelce. Nie wiem dokładnie, co robili na Plum Island, i prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy, ale uważam, że znałem ich wystarczająco dobrze, żeby uznać, że nie sprzedaliby dzina w butelce.

Nie odezwała się.

— Pamiętam — podjąłem po chwili — jak Tom powiedział mi kiedyś, że Judy miała zły dzień, ponieważ jakiś cielak, do którego się przywiązała, został umyślnie czymś zarażony i umierał. To nie byli ludzie, którzy chcieliby oglądać umierające na węgliku dzieci. Kiedy przesłuchamy ich kolegów na Plum Island, sama się o tym przekonasz.

— Ludzie mają czasami drugie oblicze.

— Nie zauważyłem w zachowaniu Gordonów niczego, co wskazywałoby, że mogą handlować śmiertelnymi zarazkami.

— Czasami ludzie racjonalizują swoje postęпки. Pomyśl o Amerykanach, którzy sprzedali Rosjanom tajemnicę bomby atomowej. Twierdzili, że działają w dobrej sprawie: żeby jedna ze stron nie miała zbyt dużej władzy.

Idąc zerknałem na nią i zauważyłem, że mi się przygląda. Z radością odkrywałem, że Beth Penrose jest zdolna do głębszego namysłu, wiedziałem również, że ona z ulgą uświadamia sobie, że nie jestem aż takim idiotą, za jakiego mnie początkowo uznała.

— Co się tyczy fizyków atomowych — odparłem — to były inne czasy i inna tajemnica. Przede wszystkim dlaczego Gordonowie mieliby sprzedawać bakterie i wirusy, które mogły zabić ich samych oraz ich krewnych w Indianie, a przy okazji wytluc wszystkich stąd do Indiany?

Beth Penrose zastanawiała się chwilę, nim udzieliła odpowiedzi.

— Może dostali za to dziesięć milionów, które kazali przesłać na konto w Szwajcarii? Może mają załadowane szampanem i żarciem w puszkach chateau na stoku góry i zaprosili tam wszystkich swoich znajomych i krewnych? Nie wiem, John. Dlaczego ludzie robią szalone rzeczy? Racjonalizują to, przekonują siebie, że mają rację. Są wściekli na coś albo na kogoś. Dziesięć milionów dolarów. Dwaście milionów dolarów. Dwieście dolarów. Każdy ma jakąś cenę.

Weszliśmy na pomost, gdzie na ogrodowym krześle siedział umundurowany policjant z Southold.

— Zrób sobie przerwę — poleciła mu detektyw Penrose.

Policjant wstał i ruszył w stronę domu.

Fale uderzały o kadłub łodzi Gordonów, która ocierała się o gumowe odbojniki. Trwał odpływ i zauważyłem, że cumy założone są na krążki, co pozwalało im się wysuwać. Pokład motorówki znajdował się cztery albo pięć stóp poniżej pomostu. Na kadłubie dostrzegłem napis „Formuła 303”, co według Toma oznaczało, że łódź miała trzydzieści stóp i trzy cale długości.

— W salonie Gordonów — powiedziałem do Beth — znalazłem atlas z mapami morskimi. Na jednym z arkuszy zanotowana była ołówkiem ośmiocyfrowa liczba. Poprosiłem Sally Hines, żeby wyjął kowo starannie zajęła się atlasem i przekazała ci wyniki. Powinnaś wziąć tę książkę i schować ją w jakimś bezpiecznym miejscu. Powinniśmy się jej razem przyjrzeć. Mogą tam być jakieś inne zapiski.

Przez kilka sekund badawczo mi się przyglądała.

— Okej, co o tym myślisz?

— Cóż... jeśli cofniesz moralną wskazówkę do połowy skali, zamiast sprzedawać wirusy, możesz zająć się przemysłem narkotyków.

— Narkotyki?

— Owszem. Dla niektórych jest to moralnie dwuznaczne, ale wszyscy wiedzą, że można tu zarobić duży szmal. Jak ci się to podoba? Narkotyki.

Popatrzyła na potężne silniki łodzi i pokiwała głową.

— Może za bardzo zasugerowaliśmy się Plum Island.

— Może.

— Powinniśmy porozmawiać o tym z Maksem i resztą.

— Nie powinniśmy.

— A to dlaczego?

— Bo to tylko nasze spekulacje. Niech trzymają się swojej teorii. Jeśli jest słuszna, lepiej żeby ją rozpracowywali.

— Zgoda, ale to jeszcze nie powód, żeby nie informować Maksa i innych.

— Zaufaj mi.

— Nie. Przekonaj mnie.

— Sam nie jestem przekonany. Mamy dwie możliwości o dużym stopniu prawdopodobieństwa: handel zarazkami i handel narkotykami. Zobaczymy, czy Max, Foster i Nash dojdą do jakichś własnych wniosków i czy podzielą się z nami swoimi przemyśleniami.

— W porządku. Tym razem rozegram to na twój sposób.



— Ile twoim zdaniem może kosztować? — zapytałem, wskazując motorówkę.

Beth wzruszyła ramionami.

— Nie jestem pewna... łodzie tej klasy są dosyć drogie... można liczyć trzy tysiące za stopę długości, więc ta, nowa, będzie kosztować koło stu tysięcy.

— A czynsz za dom? Koło dwóch tysięcy?

— Chyba tak, plus opłaty za eksploatację. Wszystkiego dokładnie się dowiemy.

— Co powiesz na tę podróżę motorówką? W jedną stronę płynie się prawie dwie godziny. Paliwo musiało ich kosztować fortunę. Zgadza się?

— Owszem.

— Jazda stąd do przystani promowej na Orient Point może zabrać najwyżej trzydzieści minut. Jak długo płynie prom? Może dwadzieścia minut i podróżujesz na koszt Wuja Sama. Razem daje to mniej więcej godzinę w porównaniu z dwiema godzinami podróży motorówką. Mimo to Gordonowie pływali na Plum Island własną łodzią i wiem, że zdarzały się dni, kiedy nie mogli wrócić nią do domu, ponieważ w ciągu dnia pogoda gwałtownie się pogarszała. Musieli płynąć promem, a potem prosić, żeby ktoś podwiózł ich do domu. To nigdy nie miało dla mnie sensu, ale przyznaję, że się nad tym specjalnie nie zastanawiałem. A powinienem. Teraz być może widzę w tym jakiś sens.

Skoczyłem w dół i wylądowałem twardo na pokładzie motorówki. Podniosłem w górę ręce i Beth skoczyła w ślad za mną, prosto w moje ramiona. Nie wiem, jak to się stało, ale nagle się wróciliśmy, ja na plecy, a Beth Penrose na mnie. Pozostaliśmy w tej pozycji sekundę dłużej, niż należało, a potem zerwaliśmy się na nogi, uśmiechając do siebie tak, jak to czynią obcy ludzie przeciwnej płci, gdy przypadkiem zderzą się tyłkiem, klatką piersiową i w ogóle czymkolwiek.

— Nic ci się nie stało? — zapytała.

— Nic...

Prawdę mówiąc, zaparło mi dech w przestrzelonym płucu i widziałem, że to zauważyła.

Odzyskawszy oddech, ruszyłem na tył łodzi, jak to mówią na rufę, gdzie na formule znajdowała się ławka.

— Tutaj zawsze stał ten aluminiowy pojemnik — poinformowałem Beth, pokazując miejsce koło ławki. — Był całkiem duży: ze cztery stopy długości, trzy stopy szerokości i trzy głębokości. Mógł

mieć trzydzieści stóp sześciennych pojemności. Siadając na ławce, opierałem czasami na nim stopy i popijałem piwo.

— I...?

— I w wyznaczone dni o określonej porze Gordonowie wypływali po pracy z Plum Island i ruszali z dużą szybkością na pełne morze. Tam, na Atlantyku, spotykali się z dostawcą, może z południowoamerykańskim frachtowcem, może z hydroplanem. Brali na pokład sto kilo kolumbijskiego białego proszku i zawracali w stronę lądu. Jeśli zauważyła ich Straż Przybrzeżna albo ludzie z Agencji do Spraw Narkotyków, udawali niewiniątka. Jeśli nawet ich zatrzymano, pokazywali legitymacje Plum Island i śmieli się w kułak. W rzeczywistości mogli prawdopodobnie prześcignąć wszystko, co porusza się po wodzie. Trzeba samolotu, żeby dogonić tę maszynę. A poza tym ile łodzi zatrzymuje się i poddaje przeszukaniu? Na tych wodach można spotkać tysiące jachtów, motorówek i łodzi rybackich. Jeśli ludzie ze Straży Przybrzeżnej lub celnicy nie dostaną wyraźnego cynku albo ktoś nie zachowuje się podejrzanie, nie mają w zwyczaju wchodzić na pokład i robić rewizji. Prawda?

— Na ogół nie. Urząd celny ma pełne prawo to robić i czasami z niego korzysta. Sprawdzę, czy są jakieś dotyczące *Spirochete* raporty z Agencji do Spraw Narkotyków, Straży Przybrzeżnej albo urzędu celnego.

— Dobrze — odparłem i przez chwilę się zastanawiałem. — W porządku, zatem po otrzymaniu towaru Gordonowie lądują w jakimś umówionym miejscu albo spotykają się z mniejszą łodzią i przekazują aluminiowy pojemnik lokalnemu dystrybutorowi, który daje im w zamian taki sam pojemnik z plikiem docłów w środku. Dystrybutor jedzie następnie na Manhattan i sfinalizowany zostaje kolejny bezcłowy import. Coś takiego zdarza się codziennie. Pytanie brzmi, czy Gordonowie brali w tym udział, a jeśli tak, czy stało się to przyczyną ich śmierci? Mam taką nadzieję. Gdyż ta druga rzecz napędziła mi strachu, a nie tak łatwo mnie wystraszyć.

Beth dumiała nad tym, rozglądając się po motorówce.

— Tak to mogło wyglądać — stwierdziła w końcu. — Ale równie dobrze mogą to być pobożne życzenia.

Nie odpowiedziałem.

— Jeśli zdołamy ustalić — podjęła — że to narkotyki, będziemy mogli spać spokojnie. Do tego czasu nie wolno nam wykluczyć, że to zarazki, ponieważ jeśli tak jest, a my nie odkrywamy sprawców, wkrótce możemy wszyscy gryźć ziemię.

## Rozdział 6

Minęła druga w nocy i dostawałem widlastego zęba od czytania komputerowych wydruków Gordonów. W starej dużej kuchni wujka Harry'ego grzał się dzbanek z kawą, a ja siedziałem przy okrągłym stole w alkwie, której okna wychodziły na wschód, żeby złapać poranne słońce.

Wujek Harry i ciocia June mieli dość zdrowego rozsądku, żeby nie zapraszać do swego domu całego klanu Coreyów, ale pozwalali czasem zamieszkać w gościnnym pokoju mnie, mojemu bratu Jimowi oraz mojej siostrze Lynne, podczas gdy reszta rodziny gnieździła się w jakimś potwornym domku kempingowym z lat pięćdziesiątych.

Pamiętam, jak siedziałem w dzieciństwie przy tym stole z moimi kuzynami, Harrym Juniorem i Barbarą, wsuwając płatki owsiane i nie mogąc się doczekać, żeby pójść się bawić. Lato było naprawdę magiczne. Nic sędzę, że bym miał wtedy jakieś zmartwienie.

Teraz, kilkadziesiąt lat później, siedziałem przy tym samym stole i miałem na głowie mnóstwo problemów.

Skoncentrowałem się z powrotem na rejestrze operacji finansowych. Pensje Gordonów przekazywane były bezpośrednio na ich konto. Ich łączny dochód, po pobraniu haraczu przez rząd federalny oraz stan Nowy Jork, wynosił około dziewięćdziesięciu tysięcy. Nie najgorzej, ale i niezbyt wiele jak na dwoje naukowców wykonujących ważne badania i stykających się z niebezpiecznymi substancjami. Tom zarabiałby więcej, grając w trzeciej lidze baseballu, a Judy wyciągałaby tyle samo, pracując w barze ze striptizem w mojej starej dzielnicy. To dziwny kraj.

Tak czy inaczej, dość szybko przekonałem się, że mieli całkiem napięty budżet. Życie na Wschodnim Wybrzeżu nie jest zbyt tanie, co bez wątpienia odkryli. Mieli do zapłacenia raty za dwa samochody i łódź, czynsz za wynajęcie domu, składki ubezpieczeniowe za to wszystko, rachunki za media, pięć kart kredytowych, wysokie rachunki za paliwo, w przeważającej części do motorówki, oraz normalne wydatki na życie. Poza tym była też pokaźna zaliczka — dziesięć tysięcy dolarów — wpłacona w kwietniu zeszłego roku za łódź.

Gordonowie przekazywali ponadto pieniądze na różne wniosłe cele, co wzbudziło we mnie poczucie winy. Należeli do klubu książki i płyty miesiąca, korzystali często z bankomatów, przesyłali czeki siostrzeńcom i siostrzenicom i byli członkami Towarzystwa Historycznego Peconic. Nie wpadli jeszcze w poważne finansowe kłopoty, ale balansowali na ich skraju. Jeśli zbijali forszę na handlu narkotykami, byli dość sprytni, żeby brać gotówkę jak wszyscy przedsiębiorczy, niebojący się fiskusa Amerykanie. Gdzie w takim razie były zyski?

Nie jestem audytorem, ale dokonałem już dosyć podobnych finansowych analiz, żeby zauważyć rzeczy, które wymagają sprawdzenia. W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu miesięcy była tylko jedna taka rzecz — pokaźny czek na dwadzieścia pięć tysięcy wypłacony na rzecz pani Margaret Wiley. Czek został potwierdzony za opłatą dziesięć tysięcy dolarów, a fundusze na jego pokrycie przekazane elektronicznie z konta należącego do Gordonów. W gruncie rzeczy suma ta stanowiła prawie wszystkie ich oszczędności. Czek nosił datę siódmego marca tego roku i nie było żadnej wzmianki, na co był przeznaczony. Kim w takim razie była Margaret Wiley? Dlaczego Gordonowie dali jej potwierdzony czek na dwadzieścia pięć kawałków? Wkrótce się tego dowiemy.

Popijałem swoją kawę i stukając ołówkiem w takt wiszącego na przeciwległej ścianie zegara, dumałem nad tym wszystkim.

W końcu podszedłem do kuchennej szafki przy ściennym telefonie i znalazłem pomiędzy książkami kucharskimi spis lokalnych telefonów. Zjrzałem pod „W” i zlokalizowałem panią Margaret Wiley, która mieszkała w Southold przy Lighthouse Road. Wiedziałem, gdzie to jest; droga, zgodnie z tym, co sugerowała jej nazwa, prowadziła do latarni morskiej, dokładnie rzecz biorąc do latarni na Horton Point.

Miałem wielką ochotę zadzwonić do Margaret, ale telefon o drugiej w nocy mógł ją trochę zdenerwować. Z drugiej strony cierp-

liwość nie należy do cnót, którymi mógłbym się poszczycić. W gruncie rzeczy, z tego, co wiem, nie mam żadnych cnót. Poza tym czułem, że FBI i CIA nie zasypiają gruszek w popiele i mogą mnie wyprzedzić w tym dochodzeniu. Nie było to w końcu pierwsze lepsze morderstwo; w chwili gdy się wahałem, czy zatelefonować do Margaret Wiley, cały naród mógł paść ofiarą zarazy. Nigdy bym sobie tego nie darował.

Wybrałem numer. Telefon zadzwonił parę razy i odezwała się automatyczna sekretarka. Nacisnąłem widelki i połączyłem się ponownie. W końcu obudziłem panią domu.

— Halo?

— Czy to pani Margaret Wiley?

— Przy telefonie. Kto mówi? — odezwał się zaspany głos starszej kobiety.

— Nazywam się John Corey, proszę pani. Dzwonię z policji.

Pozwoliłem, żeby przez sekundę albo dwie wyobraziła sobie najgorsze. To na ogół natychmiast wyrywa ich ze snu.

— Z policji? Co się stało?

— Słyszała pani może w wiadomościach o morderstwie w Nassau Point?

— Och... tak. To okropne.

— Znała pani Gordonów?

Pani Wiley odchrząknęła.

— Nie... to znaczy spotkałam ich raz. Sprzedałam im kawałek ziemi.

— W marcu?

— Tak.

— Za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów?

— Tak... ale co to ma wspólnego z...

— Gdzie leży ta działka, proszę pani?

— To ładny kawałek klifu przy brzegu cieśniny.

— Rozumiem. Chcieli postawić tam dom?

— Nie. Nie można tam nic budować. Sprzedałam prawa budowlane hrabstwu.

— To znaczy?

— Chodzi o ochronę przyrody. Sprzedaje się hrabstwu prawa budowlane, ale pozostaje się właścicielem działki, tyle że nie wolno na niej budować. Można tam prowadzić wyłącznie działalność rolniczą.

— Rozumiem. Więc Gordonowie nie mogli zbudować domu na tym klifie?

— Na Boga, nie. Gdyby mogli to zrobić, działka byłaby warta ponad sto tysięcy. Hrabstwo zapłaciło mi za to, żeby nic tam nie budować. Ten zakaz przechodzi na nowych właścicieli. To dobił system.

— Ale może pani sprzedać ziemię?

— Owszem i zrobiłam to. Za dwadzieścia pięć tysięcy. Gordonowie wiedzieli, że nie można tam nic budować — dodała.

— Czy mogli odkupić od hrabstwa prawa budowlane?

— Nie. Sprzedałam je bez prawa wykupu. Na tym polega cały system.

— Okej... — Rozumiałem teraz chyba, co zrobili Gordonowie: kupili sobie ładny kawałek ziemi z widokiem na cieśninę. Ponieważ nie wolno było tam nic budować, kosztował ich grubo poniżej wartości rynkowej. Mogli tu jednak prowadzić działalność rolną i doszedłem do wniosku, że fascynacja Toma uprawą winorośli skłoniła go do założenia własnej winnicy: Gordon Vineyards. Wyglądało na to, że nie istnieje żaden związek między tą transakcją i ich śmiercią. — Przepraszam, że panią obudziłem — powiedziałem. — Dziękuję za pomoc.

— Nie ma za co. Mam nadzieję, że odkryjecie, kto to zrobił.

— Na pewno odkryjemy, proszę pani. — Odłożyłem słuchawkę i odszedłem od telefonu, a potem wróciłem i wybrałem ponownie ten sam numer. — Przepraszam, jeszcze jedno pytanie. Czy można tam uprawiać winorośl?

— Skądże znowu. Za blisko brzegu. Teren jest za bardzo odsłonięty i za mały. To tylko jednoakrowa działka, która opada pięćdziesiąt stóp w stronę plaży. Jest piękna, ale nic tam nie wyrośnie prócz chwastów.

— Rozumiem... czy wspomnieli pani, dlaczego chcą ją kupić?

— Owszem... powiedzieli, że chcą mieć własne wzgórze z widokiem na wodę. Miejsce, gdzie można by usiąść i patrzeć na morze. Urocza para. To straszne, co się stało.

— Tak, proszę pani. Dziękuję — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

No tak. Chcieli mieć miejsce, gdzie można usiąść i patrzeć na morze. Za dwadzieścia pięć kawałków mogliby zająć pięć tysięcy razy na parking w Orient Beach State Park, patrzeć na morze przez następne osiem lat i zostaliby im jeszcze dość szmalu na piwo i hot dogi. Coś tu nie pasowało.

Przez chwilę łamałem sobie nad tym głowę. Może jednak pasowało. Byli romantyczną parą. Ale dwadzieścia pięć kawałków? To

było prawie wszystko, co mieli. I gdyby rząd przeniósł ich gdzie indziej, co zrobiliby z ziemią, na której nie można nic budować i nic uprawiać? Gdzie znaleźliby kolejnego frajera, gotowego wyłożyć dwadzieścia pięć tysięcy za objętą zakazami działkę?

Cóż. Więc może miało to jednak coś wspólnego z przemysłem narkotyków. To wydawało się sensowne. Powiniennem obejrzeć tę działkę. Zastanawiało mnie, czy ktoś znalazł już akt własności wśród należących do Gordonów papierów. A także, czy Gordonowie mieli skrytkę bankową i co w niej trzymali. Człowiekowi nie jest łatwo, kiedy ma o drugiej w nocy masę pytań, jest naszprycowany kofeiną i nikt nie chce z nim gadać.

Nalałem sobie kolejną filiżankę kawy. Okno nad zlewem było otwarte i słyszałem, jak śpiewają swoją wrześnieją pieśń nocne stworzenia: ostatnie świerszcze, rzekotki, pohukująca w pobliżu sowa i jakiś ptaszek wywodzący trele we mgle, która napływała od Great Peconic Bay.

Tutejszą jesień łagodzą wielkie akwenty wodne, które aż do listopada magazynują letnie ciepło. Idealne warunki do uprawy winorośli. Świetne warunki żeglugowe aż do Święta Dziękczynienia. W sierpniu, wrześniu i październiku zdarzają się czasami huragany, a w zimie dmie północno-wschodni wiatr. W zasadzie jednak klimat jest łagodny, wybrzeże obfituje w wiele zatok i zatoczek i często utrzymują się mgły: idealne miejsce dla szmuglerów, piratów, handlarzy rumem i ostatnio handlarzy narkotyków.

Telefon na ścianie zadzwonił i przez sekundę miałem irracjonalne odczucie, że to może być Margaret. A potem przypomniałem sobie, że Max miał zatelefonować w sprawie jutrzejszego wyjazdu na Plum Island, i podniosłem słuchawkę.

- Pizza Hut — powiedziałem.
- Halo... — odezwała się po sekundzie Beth Penrose.
- Halo.
- Obudziłam cię?
- Nic nie szkodzi. I tak musiałem wstać, żeby odebrać telefon.
- Dowcip z taką brodą. Max prosił, żebym zadzwoniła. Od-  
pływamy jutro o ósmej rano.
- Nie ma wcześniejszego promu?
- Tak, ale...
- Dlaczego pozwalamy, żeby wcześniej dotarła tam specjalna  
ekipa zacierająca ślady?
- Będzie nam towarzyszyć szef tamtejszej ochrony, pan Paul  
Stevens — oznajmiła, nie odpowiadając na moje pytanie.

- Kto płynie wcześniejszym promem?
- Nie wiem... Słuchaj, John, jeśli chcą coś ukryć, nie możemy na to wiele poradzić. Mieli już jakieś problemy w przeszłości i potrafią się całkiem dobrze maskować. Płyniesz tam wyłącznie po to, żeby zobaczyć to, co chcą, byś zobaczył, usłyszał to, co chcą, byś usłyszał, i pogadał z ludźmi, z którymi chcą, byś pogadał. Nie rób sobie zbyt dużych nadziei w związku z tą wycieczką.
- Kto płynie?
- Ja, ty, Max, George Foster i Ted Nash. Wiesz gdzie jest przystań promowa? — zapytała.
- Znajdę ją. Co teraz robisz?
- Rozmawiam z tobą.
- Wpadnij do mnie. Oglądam próbki tapet. Potrzebuję twojej rady.
- Jest późno.
- Zabrzmiało to prawie jak „tak”, co mnie zaskoczyło.
- Mogłabyś przespać się tutaj i pojechalibyśmy razem na przystań — nalegałem.
- Ładnie by to wyglądało.
- Mielibyśmy to już za sobą.
- Pomyślę o tym. Słuchaj, znalazłeś coś w tych komputerowych wydrukach?
- Wpadnij, to pokażę ci mój twardy dysk.
- Przestań.
- Podjadę po ciebie.
- Jest za późno. Jestem zmęczona... przebrałam się do snu.
- To dobrze. Możemy pobawić się w kisenie ogórka.
- Usłyszałem, jak bierze długi cierpliwy oddech.
- Myślałam, że znalazłeś coś w ich finansach. Może nie szukałeś zbyt wnikliwie. A może nie wiesz, co robisz.
- Może.
- Uzgodniliśmy chyba, że wymieniamy między sobą informacje.
- Owszem, ale ze sobą. Nie z całym światem.
- Co? A... rozumiem.
- Oboje wiedzieliśmy, że kiedy się współpracuje z agentami federalnymi, zakładają podsłuch na telefon pięć minut po tym, jak ktoś zostaje im przedstawiony. Kiedy podsłuchują przyjaciół, nie dbają nawet o to, aby załatwić sobie nakaz sądowy. Żałowałam teraz, że zatelefonowałam do Margaret Wiley.
- Gdzie jest Ted? — zapytałam Beth.
- Skąd mam wiedzieć?



— Zamknij drzwi na zasuwę. Jego twarz przypomina rysopis seryjnego mordercy, którego szukam.

— Przeostań, John — powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Ziewnąłem. Niechęć detektyw Penrose do złożenia mi wizyty z jednej strony mnie rozczarowała, z drugiej sprawiła ulgę. Naprawdę myślę, że pielęgniarki dosypywały nam do galaretek bromu czy czegoś podobnego. Może potrzebowałem w moim jadłospisie więcej czerwonego mięsa.

Wyłączyłem czajnik z kawą, zgasilem światło, wyszedłem z kuchni i ruszyłem w ciemności przez duży pusty dom. Minąłem dębową sień, wspiałem się po krętych skrzypiących schodach i stąpając długim korytarzem, dotarłem do pokoju, w którym spałem kiedyś jako chłopiec.

Rozbierając się do snu, analizowałem wydarzenia minionego dnia i zastanawiałem się, czy naprawdę chcę popłynąć tym promem o ósmej.

Argumentów za było całkiem dużo. Po pierwsze, lubiłem Maxa i poprosił mnie o wyświadczenie przysługi. Po drugie, lubiłem Gordonów i im też chciałem wyświadczyć przysługę, odwdziaczyć się za wino, steki i miłe towarzystwo, którego dotrzymywali mi w czasie, kiedy nie czułem się najlepiej. Po trzecie, nic lubiłem Teda Nasha i miałem tę dziecianną ochotę, żeby mu dokopać. Po czwarte, lubiłem Beth Penrose i miałem tę dojrzałą ochotę, żeby ją... nieważne. No i byłem jeszcze ja sam i fakt, że się nudziłem. Chociaż w gruncie rzeczy chodziło o coś innego. Chciałem udowodnić, że wciąż mam w sobie to coś. Jak na razie szło mi nie najgorzej. Ostatnim, choć z pewnością nie najmniej ważnym argumentem był problem zarazy, czarnej śmierci, czerwonej śmierci, zagrożenia o wielu obliczach, czy jak jeszcze to nazwać: ewentualności, że będzie to ostatnia jesień, jaką ktokolwiek z nas na ziemi będzie oglądać.

Z tych właśnie względów czułem, że powinienem popłynąć o ósmej promem na Plum Island, a nie wylegiwać się w łóżku, z kołdrą podciągniętą pod brodę, tak jak to robiłem w dzieciństwie, kiedy czekało mnie coś, z czym nie miałem ochoty się zmierzyć...

Stałem nago przy dużym oknie i patrzyłem, jak z zatoki splywa w świetle księżycy upiornie biała mgła, skradając się i pełznąc po ciemnym trawniku w stronę domu. Kiedyś straszliwie się tego bałem. I wciąż się boję. Czułem, jak dostają gęsiej skórki.

Moja prawa ręka powędrowała bezwiednie do piersi. Palce znalazły ranę po pierwszym pocisku, a potem zsunęły się na podbrzusze

tam, gdzie druga, a może trzecia kula rozerwała twarde niegdyś mięśnie, przeleciała przez wnętrzności, rozłupała miednicę i wyszła z tyłu. Kolejny pocisk trafił w lewą łydkę, nie robiąc mi dużej krzywdy. Chirurg stwierdził, że miałem szczęście. I nie mylił się. Zagrałem w marynarza z moim partnerem Domem Fanellim o to, kto pójdzie kupić pączki i kawę w delikatesach, i przegrał. Kosztowało go to cztery dolce. To był mój szczęśliwy dzień.

Gdzieś na morzu zawyła syrena mgielna i zdziwiło mnie, kto może pływać po zatoce o tej porze.

Odszedłem od okna i sprawdziłem, czy mam nastawiony budzik, a potem czy moja leżąca na nocnej szafce czterdziestkapiątka jest załadowana.

Położyłem się do łóżka i, podobnie jak Beth Penrose, Sylvester Maxwell, Ted Nash, George Foster i wiele innych osób tej nocy, wlepiłem wzrok w sufit i zacząłem rozmyślać o morderstwie, śmierci, Plum Island oraz zarazie. Przed oczyma stanęła mi powiewająca na tle nocnego nieba piracka flaga z wyszczerzoną białą trupią czaszką.

Przyszło mi do głowy, że jedynymi ludźmi odpoczywającymi tej nocy w spokoju są Tom i Judy Gordonowie.

# Rozdział 7

Wstałem o szóstej rano, wziąłem prysznic i włożyłem szorty, podkoszulek i mokasyny: odpowiedni strój, żeby szybko przebrać się w ochronny skafander biologiczny, czy jak tam go nazywają.

Następnie powtórzyłem monolog Hamleta w kwestii mojej pułkarki; brać, czy nie brać, oto jest pytanie. W końcu postanowiłem ją zabrać. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie dzień. Mogła się nadarzyć świetna okazja do postrzelenia Teda Nasha.

O szóstej czterdzieści pięć jechałem na wschód Main Road, przez krainę winnic.

Jadąc, uświadomiłem sobie, że choć wielu tutejszych mieszkańców uprawia ziemię, niełatwo się z tego utrzymać. Winnice odniosły jednak nadszpodziewany sukces. Po mojej lewej ręce, gdy mijalem osadę Peconic, znajdowała się najlepiej prosperująca winnica i winiarnia, Tobin Vineyards, należąca do Fredrica Tobina, którego miałem niegdyś okazję przelotnie spotkać i który był przyjacielem Gordonów. Zakarbowałem sobie w pamięci, żeby złożyć wizytę temu dzentelmenowi i sprawdzić, czy jest w stanie rzucić jakieś światło na sprawę.

Słońce wisiało nad drzewami po mojej prawej stronie, a termometr na tablicy rozdzielczej wskazywał szesnaście stopni Celsjusza, co nic mi nie mówiło. Przy ustawianiu komputera pokładowego popełniłem jakiś błąd i podawał teraz wartości w systemie metrycznym. Szesnaście stopni mogło sugerować, że jest zimno, ale czułem, że nie jest. Promienie słońca wypalały resztki snującej się nad ziemią mgły i wypełniały blaskiem mój kosztowny sportowy pojazd użytkowy.

Droga biegła łagodnym łukiem i uprawy winorośli były bardziej

malownicze niż kartoflane pola, które pamiętałem sprzed trzydziestu lat. Co jakiś czas widok urozmaicał owocowy sad lub łąn zboża. Duże ptaki szybowały wysoko w ciepłych powietrznych prądach, a małe ptaszki śpiewały i ćwierkały na polach i drzewach. Na świecie wszystko było tego ranka w porządku prócz tego, że Tom i Judy leżeli w okręgowej kostnicy, a wszędzie dookoła fruwały prawdopodobnie zarazki, wznosząc się i opadając wraz z prądami powietrza, sunąc z morską bryzą, osiadając na farmach i winnicach i rojąc się we krwi ludzi i zwierząt. A mimo to nic nie wydawało się tego ranka odbiegać od normy, w tym również ja sam.

Nastawiłem radio na nadający same wiadomości kanał z Nowego Jorku i słuchałem przez chwilę ich normalnej gadaniny, czekając, aż ktoś powie coś o jakichś tajemniczych zachorowaniach albo czymś w tym rodzaju. Było na to jednak zbyt wcześnie. Przetwiliłem radio na lokalną rozgłośnię i złapałem wiadomości o siódmej.

„Rozmawialiśmy dzisiaj rano przez telefon z komendantem Maxwellem — oznajmił spiker — i oto, co nam powiedział...”.

W moich głośnikach odezwał się gderliwy głos Maxa.

„W związku ze śmiercią dwojga mieszkańców Nassau Point, Toma i Judy Gordonów, chcę oświadczyć, że prowadzimy śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa, włamania i rabunku. Fakt, że ofiary pracowały na Plum Island, nie ma znaczenia dla sprawy i chcemy położyć kres wszelkim spekulacjom na ten temat. Mieszkańcy powinni zachować czujność, zwracać uwagę na obcych i informować policję o wszystkim, co wydaje się podejrzane. Nie ma powodu wpadać w panikę, ale w okolicy grasuje uzbrojony osobnik, który ma na sumieniu morderstwo, włamanie i rabunek. Konieczne jest w związku z tym podjęcie pewnych środków zapobiegawczych. Współpracujemy w tej sprawie z policją hrabstwa i moim zdaniem jesteśmy na dobrym tropie. To wszystko, co mam teraz do powiedzenia. Skontaktuję się z tobą później, Don”.

„Dziękuję, szefie” — odparł Don.

Właśnie za to lubiłem to miejsce — że nie owijają niczego w bawełnę. Komendant Maxwell zapomniał poinformować, że wybiera się właśnie na Plum Island, która nie ma nic wspólnego ze sprawą. Zapomniał również wspomnieć o CIA i FBI. Podziwiam ludzi, którzy wiedzą, jak kształtować opinię publiczną. Co by było, gdyby Max oświadczył: „istnieje pięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że Gordonowie sprzedali śmiertelne wirusy terrorystom, którzy mają zamiar zniszczyć całe życie w Ameryce Północnej”? Mogłoby to spowodować pewien spadek wskaźnika Dow

Jonesa po pierwszym dzwonku, nie wspominając już o tłumach ludzi na lotniskach i nagłej chęci spędzenia urlopu w Ameryce Południowej.

Tak czy inaczej, mieliśmy na razie miły ranek. Po prawej stronie zauważyłem plantację dyni i przypomniałem sobie jesienne weekendy, które spędzałem tutaj jako dzieciak, latając jak szalony po polach, żeby znaleźć największą, najbardziej okrągłą, pomarańczową i w ogóle idealną dynię. Pamiętam, że co rok powstawały w tej kwestii pewne nieporozumienia między mną i moim młodszym bratem Jimmym, ale rozstrzygaliśmy je uczciwie pojedynkiem na pięści, który zawsze wygrywałem, ponieważ byłem znacznie większy od niego. Chłopak miał przynajmniej charakter.

Za Peconic leży osada Southold, od której wzięła nazwę cała gmina. Tutaj właśnie kończą się winnice, półwysep zwęża się między cieśniną Long Island i zatoką i okolica robi wrażenie bardziej dzikiej i wystawionej na podmuchy wiatru. Przez jakiś czas obok szosy biegła linia kolejowa Long Island, która zaczyna się na Penn Station na Manhattanie, a potem droga i tory przecięły się i ponownie oddaliły.

O tej porze nie było dużego mchu; minąłem tylko kilka pojazdów rolniczych. Przyszło mi do głowy, że jeśli któryś z moich współtowarzyszy podróży jedzie tą drogą, mogą go w pewnym momencie zobaczyć.

Wjechałem do wioski Greenport, największej metropolii na North Fork, liczącej według tego, co napisano na tablicy, dwa tysiące stu mieszkańców. Dla porównania wyspa Manhattan, na której pracowałem, mieszkalem i o mało nie zginąłem, jest mniejsza od North Fork i ma dwa miliony mieszkańców. Policja, w której pracuję, liczy trzydzieści tysięcy funkcjonariuszy i funkcjonariuszek, która to liczba przewyższa całą ludność gminy Southold. Max, jak już wspomniałem, ma czterdziestu pracowników, jeśli liczyć jego i mnie. Wioska Greenport miała kiedyś własną policję, liczącą sześć albo siedem osób, ale podpadła ona w jakiś sposób miejscowej społeczności, która opowiedziała się w głosowaniu za jej likwidacją. Nie sądzę, żeby mogło się to zdarzyć w Nowym Jorku, ale to całkiem niezły pomysł.

Czasami mam ochotę namówić Maksa, żeby mnie zatrudnił: owiany sławą rewolwerowiec z wielkiego miasta przybywa do osady, miejscowy szeryf przypina mu odznakę i mówi: „Potrzebujemy kogoś z twoim doświadczeniem, wyszkoleniem i wskaźnikiem wykrywalności”, albo coś w tym rodzaju. Mój Boże, zostałbym

chyba lokalną znakomitością. Panie strzelałyby za mną oczyma i upuszczaly chusteczki na trotuar.

Wracając do rzeczywistości, byłem głodny. W okolicy nie ma prawie barów szybkiej obsługi, co składa się na jej urok, ale potrafi także okazać się prawdziwym utrapieniem. Jest jednak kilka sklepów i zatrzymałem się przy jednym z nich na skraju Greenport, żeby kupić kawę i opakowaną w celofan kanapkę z tajemniczym produktem mięsnym i serowarskim. Przysięgam, że moglibyście zjeść ją razem z folią i styropianem i nie zauważylibyście różnicy. Wziąłem z lady darmową gazetę i zjadłem śniadanie, siedząc za kierownicą. W gazecie, całkiem przypadkowo, znajdował się artykuł na temat Plum Island. W tym, że miejscowi interesują się tajemniczą wyspą spowitą mgłą, nie ma nic dziwnego. W ciągu ostatnich lat większość informacji o Plum zaczerpnąłem z lokalnych źródeł. Co jakiś czas o wyspie głośno jest w całym kraju, ale nie popełnię chyba błędu sądząc, że na dziesięciu Amerykanów dziewięciu nigdy o niej nie słyszało. To mogło się wkrótce zmienić.

Artykuł, który czytałem, dotyczył choroby Lyme, kolejnej obsesji mieszkańców wschodniej Long Island i pobliskiego Connecticut. Choroba ta, przenoszona przez jelenie kleszcze, osiągała rozmiary plagi. Znałem ludzi, którzy na nią zapadli; chociaż rzadko śmiertelna, była jednak w stanie wyłączyć człowieka na rok albo dwa z aktywnego życia. Tak czy inaczej miejscowi byli przekonani, że choroba pochodzi z Plum Island i jest wynikiem jakiegoś wojskowo-biologicznego eksperymentu, który wymknął się spod kontroli. Nie przesadzę zbyt, mówiąc, że najchętniej zatopiliby Plum Island w morzu. Czasami prześladował mnie obraz — przypominający scenę z Frankenstein — farmerów i rybaków z motykami i ościeniami oraz ich kobiet z pochodniami w ręku, lądujących na wyspie i krzyczących: „Do diabła z przeciwnymi naturze naukowymi eksperymentami! Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Żądamy dochodzenia Kongresu!”. Czy coś w tym rodzaju.

Odpowiednio pokrzepiony odłożyłem gazetę, zapaliłem silnik i ruszyłem dalej, wypatrując na szosie moich nowych kolegów.

Następna osada nazywała się East Marion, choć w okolicy nie było żadnego innego Marion — myślę, że leży ono w Anglii, podobnie jak to się dzieje z wieloma innymi miejscowościami na Long Island, które mają „East” w nazwie. Southold nazywało się kiedyś Southwołd, tak jak miasto w Anglii, z którego pochodziło wielu wczesnych osadników, ale zgubiło „w” gdzieś na Atlantyku bądź też wymieniło je na kilka niemych „e”. Kto to może wiedzieć?

Ciotka June, która należała do Towarzystwa Historycznego Peconic, kładła mi to wszystko do głowy, kiedy byłem mały, i kilka rzeczy chyba mnie zaciekało i tam zostało, choć może tylko we fragmentach.

Półwysep zwęził się do szerokości grobli i po obu stronach drogi ciągnęła się teraz woda — po mojej lewej ręce cieśnina Long Island, po prawej Orient Harbor. Na niebie i na wodzie pełno było kaczek, kanadyjskich gęsi, śnieżnobiałych czapli oraz mew i to stanowiło powód, dla którego nigdy nie otwieram szyberdachu. Te ptaki obzerają się śliwkami czy jakimś innym gównem, a potem nadlatują niczym pikujące bombowce i dobrze wiedzą, kiedy dach jest otwarty.

Łąd ponownie się poszerzył. Przejechałem przez oryginalną starodawną osadę Orient i dziesięć minut później dotarłem w końcu do Orient Point.

Po prawej stronie przed sobą zobaczyłem maszt, na którym wisiał spuszczone do połowy gwiazdzisty sztandar. Domyśliłem się, że pozycja flagi ma coś wspólnego ze śmiercią Gordonów, w związku z czym maszt stoi na terenie państwowym, bez wątplenia należącym do terminalu promowego Plum Island. Macie okazję przekonać się, jak pracuje umysł wielkiego detektywa, nawet o siódmej rano, po prawie nieprzespanej nocy.

Zjechałem z szosy przy porcie jachtowym i restauracji, wyjąłem ze schowka lornetkę i skierowałem ją na dużą czarno-białą tablicę stojącą obok masztu flagowego, mniej więcej trzydzieści jardów w dół drogi. „Ośrodek Chorób Zwierzęcych Plum Island” głosił umieszczony na niej napis. Nie dodano tam „Witajcie” ani „Przystań promowa”, ale woda była tuż obok, w związku z czym wydedukowałem, że odchodzą stamtąd promy. Cywile domyślają się, detektywi dedukują. Poza tym, prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich lat mijałem to miejsce kilkanaście razy w drodze na prom do New London, który odchodził zaraz za przystanią na Plum. Chociaż nigdy się nad tym długo nie zastanawiałem, przypuszczam, że zawsze ciekawiła mnie tajemnicza Plum Island. Nie lubię tajemnic i dlatego właśnie korci mnie, żeby je rozwiązywać. Denerwuje mnie, że są rzeczy, o których nie wiem.

Na prawo od tablicy i masztu flagowego stał parterowy budynek z cegły, w którym mieściła się najprawdopodobniej administracja i recepcja. Za budynkiem ciągnął się duży asfaltowy parking sięgający samej wody i otoczony wysokim ogrodzeniem ze zwieńczonej drutem kolczastym siatki.

W miejscu, gdzie kończył się parking, stało przy nabrzeżu kilka dużych magazynów i szop. Przy rampach przeładunkowych zobaczyłem parę ciężarówek. Domyśliłem się... przepraszam, wydedukowałem, że tu właśnie ładowano zwierzęta, które podróżowały w jedną stronę na Plum Island.

Parking ciągnął się jakieś sto jardów wzdłuż zatoki i w jego najdalszym końcu zobaczyłem przez lekką mgiełkę mniej więcej trzydzieści samochodów zaparkowanych obok zjazdu na prom. Nie było widać żywej duszy.

Odłożyłem lornetkę i spojrzałem na cyfrowy zegar na tablicy rozdzielczej, który wskazywał siódmą dwadzieścia dziewięć. Temperatura wynosiła siedemnaście stopni. Naprawdę muszę się pozbyć tego systemu metrycznego. Cholerny komputer wyświetlał dziwaczne francuskie słowa w rodzaju „kilometres”, „litres” i różne inne francuskie świństwa. Bałem się włączyć podgrzewane siedzenia.

Zjawiłem się pół godziny przed wyjściem promu na Plum Island, ale akurat na moment przybicia promu, który z niej przypluwał, i taki też miałem zamiar. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, mawiał wujek Harry, wyciągając mnie rano z łóżka. Kto rano wstaje, ten się nie wysypia, odpowiadałem. Taki był ze mnie charakterek.

Z mgły wyłonił się biało-niebieski prom zmierzający w stronę nabrzeża. Ponownie podniosłem do oczu lornetkę. Na dziobie widniało jakieś rządowe godło, prawdopodobnie Departamentu Rolnictwa, i nazwa statku — *Plum Runner*\* — wskazująca, że komuś nieobce tu jest poczucie humoru.

Znajdowałem się trochę za daleko, w związku z czym uruchomiłem mój pojazd i podjechałem w stronę tablicy, maszty flagowego i budynku z cegły. Brama na prawo od budynku była otwarta. Nic widząc żadnych strażników, skręciłem do środka, ruszyłem w stronę magazynów i zaparkowałem przy kilku kontenerach i ciężarówkach dostawczych, mając nadzieję, że nikt nie zauważy mnie na ich tle. Od dwóch ramp zjazdowych dzieliło mnie tylko pięćdziesiąt jardów i patrzyłem przez lornetkę, jak *Plum Runner* obraca się i podpluwa tyłem do bliższej rampy. Prom sprawiał wrażenie nowego i zgrabnego. Miał mniej więcej sześćdziesiąt stóp długości i górny pokład, na którym zobaczyłem leżaki. Rufa dotknęła nabrzeża, kapitan wyłączył silniki i w tej samej chwili marynarz zeskoczył na ląd, żeby zacząć cumy. Zauważyłem, że na brzegu w dalszym ciągu nikogo nie ma.

\* Plum Runner (ang.) — Śliwkowy Ścigacz.



Na moich oczach grupa mężczyzn wyszła z kabiny pasażerskiej na rufę i stamtąd bezpośrednio na parking. Naliczyłem ich dziesięciu; wszyscy mieli na sobie niebieskie mundury i byli albo członkami komitetu powitalnego wysłanymi po mnie przez Departament Rolnictwa, albo nocnymi strażnikami, zwolnionymi przez tych, których zawiózł na wyspę prom o siódmej. Chociaż wszyscy mieli czarne paski, nie zobaczyłem ani jednej przypiętej do nich kabury.

Z promu zszedł następnie duży facet w niebieskim blezerze i krawacie. Gawędził z dziesięcioma strażnikami, jakby ich dobrze znał, i domyśliłem się, że to szef ochrony Paul Stevens.

W ślad za nim pojawiło się czterech facetów w szykowych garniturach i musiałem przyznać, że trochę mnie to zdziwiło. Było mało prawdopodobne, żeby tych czterech elegantów spędziło na wyspie całą noc, w związku z czym należało wnosić, że popłynęli promem o siódmej. Ale to dałoby im tylko kilka minut na rozejrzenie się na miejscu. Z tego względu musieli tam się udać wcześniej, specjalnym rejsem promu, innym statkiem albo helikopterem.

Ostatni, lecz nie najmniej ważni, z promu zeszli odziani jak na majówkę panowie George Foster i Ted Nash i to wcale mnie nie zdziwiło. Kto wcześniej wstaje i idzie spać z kurami, ten sypie na lewo i prawo kłamstwami. To dopiero sukinsyny. Wiedziałem, że wytną mi jakiś numer.

Na moich oczach Nash, Foster i czterej eleganci wdali się w pogawędkę. Facet w niebieskim blezerze i krawacie odsunął się z respektem na bok. Z ich zachowania można było poznać, że Nash jest tutaj najważniejszy. Czterej faceci przyjechali prawdopodobnie z Waszyngtonu i jeden diabeł wiedział, kto ich przysłał. Ciężko było się połapać, skoro sprawa interesowała FBI, CIA, Departament Rolnictwa, a także bez wątpienia Departament Obrony i Sił Zbrojnych oraz każdego, kto ocknął się w tym momencie z palcem w tyłku. Dla mnie wszyscy byli federalnymi, oni z kolei uważali mnie — jeśli w ogóle mieli na mój temat jakieś zdanie — za irytujący wrzód na dupie.

Odłożyłem lornetkę na siedzenie i wziąłem do jednej ręki gazetę, do drugiej zaś pustą filiżankę po kawie, na wypadek gdybym musiał się zasłonić. Wszyscy ci cwaniacy, którzy robili ze mnie bladym świtem balona, stali niemal na wyciągnięcie ręki i nie chcieli im się nawet rozejrzeć, żeby sprawdzić, czy nie są obserwowani. Darzyli bezgraniczną pogardą nędznych miejscowych gliniarzy i to wyprowadzało mnie z równowagi.

Facet w niebieskim blezerze zwolnił dziesięciu strażników, którzy

wsiedli do swoich samochodów i odjechali, mijając po drodze mojego jeepa. Pan Niebieski Blezer wrócił następnie na rufę promu i zniknął w jego wnętrzu.

Czterej eleganci pożegnali się z Nashem i Fosterem, po czym wsiedli do czarnego chevroleta caprice i ruszyli w moją stronę. Znalazłszy się na mojej wysokości, Chevrolet zwolnił, niemal się zatrzymał, a potem wyjechał przez bramę, przez którą wjechałem na parking.

W tym momencie zorientowałem się, że Nash i Foster zauważyli mój pojazd, w związku z czym ruszyłem do przodu i zaparkowałem przy nabrzeżu, jakbym właśnie przyjechał. Popijając z pustej filiżanki i czytając o ponownym pojawieniu się w zatoce błękitka, ignorowałem panów Nasha i Fostera, którzy stali niedaleko promu.

Mniej więcej za dziesięć ósma obok mnie zatrzymało się stare kombi i wysiadł z niego Max, ubrany w dżinsy, wiatrówkę i naciągniętą nisko na czoło rybacką czapkę.

— Czy to przebranie, czy ubierałeś się po ciemku? — zapytałem go, opuściwszy szybę.

Max zmarszczył brwi.

— Zdaniem Nasha i Fostera lepiej, żeby nikt nie widział, że płynę na Plum Island.

— Słyszałem cię dziś rano w radiu.

— Jak wypadłem?

— Kompletnie nieprzekonująco. Od samego rana Long Island opuszczają łodzie, samoloty i samochody. Na całym Wschodnim Wybrzeżu wybuchła panika.

— Przymknij się.

— Dobrze.

Zgasilem silnik i czekałem, aż mój jeep coś mi powie, ale tym razem chyba o niczym nie zapomniałem. Wyjąłem kluczyk ze stacyjki.

„Votre fenetre est ouverte” — oznajmił kobiecie głos. Dlaczego porządny amerykański samochód mówi takie rzeczy? Dlatego, że usihając wyłączyć tę opcję, przestawiłem ją, sam nie wiem jak, na francuski — te wozy eksportują do Quebecu i to wyjaśniało również system metryczny. „Votre fenetre est ouverte”.

— Mangez merde — odparłem moją najlepszą szkolną francuszczyzną i wysiadłem z samochodu.

— Jesteś z kimś? — zapytał Max.

— Nie.

— Ktoś do ciebie mówił...

— Nie zwracaj na to uwagi.

Miałem zamiar powiedzieć Maksowi, że nasze ptaszki wysiadły z promu, który przybył z Plum Island, ponieważ jednak nie pomyślał o tym, żeby tu wcześniej przyjechać, i nie poprosił nawet, abym ja to zrobił, uznałem, że nie zasługuje, bym podzielił się z nim swoją wiedzą.

Zaczęły podjeżdżać samochody; doświadczeni podróżni przybywali na przystań dokładnie w tym samym momencie, kiedy zahuczała syrena promu.

— Wszyscy na pokład! — zawołał Ted Nash do mnie i do Maksa.

Rozejrzałem się za Beth Penrose, mając na końcu języka mizoginiczną uwagę o kobietach, które się zawsze spóźniają.

— Już jest — powiedział Max.

I rzeczywiście Beth wysiadła właśnie z nieoznakowanego czarnego policyjnego forda, który stał na parking, jeszcze zanim przyjechałem. Czy to możliwe, że na świecie istnieli ludzie tak samo inteligentni jak ja? Nie chciało mi się w to wierzyć. To chyba ja podsunąłem jej pomysł wcześniejszego przyjazdu.

Razem z Maksem ruszyliśmy przez parking, po którym snuły się strzępy mgły. Syrena zahuczała po raz drugi. Detektyw Penrose dołączyła do panów Nasha i Fostera i kiedy podeszliśmy, miło z nimi gawędziła. Nash podniósł wzrok i machnął niecierpliwie ręką, byśmy się pośpieszyli. Zabijałem ludzi za mniejsze rzeczy.

Nash spojrział na moje szorty.

— Nie jest ci trochę zimno, John? — zapytał, nie mówiąc nawet „dzień dobry”.

Chciałem powiedzieć, pierdol się, Ted. W jego głosie słychać było ten protekcyjny ton, którym zwierzchnicy odzywają się do podwładnych. Tego faceta trzeba było utemperować.

— Czy sprzedają je razem z suspensorium? — zapytałem a pro pos jego głupawych różowych golfowych spodni.

George Foster roześmiał się, a twarz Teda Nasha przybrała kolor jego portek. Max udał, że nic nie słyszał, a Beth przewróciła oczyma.

— Dzień dobry — oznajmił pojednawczo pan Foster. — Gotowi do zaokrętowania?

Cała nasza piątka ruszyła w stronę promu. Na spotkanie wyszedł nam dżentelmen w niebieskim blezerze.

— Dzień dobry — przemówił, jakby jego głos generował komputer. — Nazywam się Paul Stevens i pełnię obowiązki szefa ochrony Plum Island.

— Ted Nash z Departamentu Rolnictwa — przedstawił się Pan Różowe Portki.

Co za bezczelność. Ci trzej klauni nie tylko wrócili przed chwilą razem z Plum Island, ale Nash wciąż rozrzucił wokół siebie rolniczy nawóz.

Stevens trzymał w ręku notes z podkładką — wyglądał jak jeden z tych typów z gwizdkiem i szpicrutą: krótkie blond włosy, lodowate błękitne oczy, Pan Zdolny do Wszystkiego, były kulturysta, gotów zorganizować turniej sportowy albo zagnać ludzi do bydłowych wagonów w zależności od tego, jaka wyłoni się potrzeba.

Beth, swoją drogą, ubrana była tak samo jak poprzedniego dnia i wydedukowałem, że przyjeżdżając na North Fork, nie miała pojęcia, że zostanie na noc.

— Pan nazywa się George Foster? — zapytał pan Stevens, zaglądając do swojego spisu.

— Nie, jestem komendant Maxwell.

— Zgadza się — odparł pan Stevens. — Witamy.

— Ja jestem Beth Penrose — poinformowałem go.

— Nie — zaprotestował. — Pan nazywa się John Corey.

— Zgadza się. Czy mogę teraz wejść na pokład?

— Nie, proszę pana. Proszę poczekać, póki wszystkich nie sprawdzę. Dzień dobry, detektyw Penrose — powiedział, zwracając się do Beth, po czym spojrzął na Fosterę. — Dzień dobry... pan Foster z FBI, zgadza się?

— Owszem.

— Witamy na pokładzie. Proszę za mną.

Minutę później odbiliśmy od brzegu i ruszyliśmy w stronę Plum Island, którą tabloidy nazywały czasami Tajemniczą Wyspą bądź też trochę mniej odpowiedzialnie, Wyspą Siedmiu Plag.

Pan Stevens zaprowadził nas do obitej boazerią, dużej wygodnej kabiny, gdzie na wyściełanych lotniczych fotelach siedziało około trzydziestu osób, rozmawiając, czytając lub drzemiąc. Było tu co najmniej sto miejsc siedzących i domyśliłem się, że następnym kursem przybywa na wyspę większość ludzi pracujących w ośrodku.

Nie usiedliśmy razem z pasażerami, ale zeszedliśmy wraz z panem Stevensem na dół, do małego pomieszczenia, które mogło być kabiną nawigacyjną, wartownią bądź czymkolwiek. Pośrodku stał okrągły stół, a na nim dzbanek kawy. Pan Stevens zaproponował, żebyśmy usiedli i napili się, ale nikt z nas nie skorzystał z zaproszenia. Pod pokładem było duszno i pomieszczenie wypełniał hałas maszyn.

Stevens dał każdemu z nas pojedynczą wydrukowaną kartkę, do której dołączona była kopia.

— To zobowiązanie, które musicie podpisać, zanim zejdziecie na łód na Plum Island. Wiem, że jesteście wszyscy stróżami prawa,

ale takie są przepisy. Proszę przeczytać i podpisać — dodał.

Spojrzałem na tekst, który nosił tytuł *Oświadczenie gościa* i był jednym z rzadkich rządowych formularzy napisanych prostą angielszczyzną. Ogólnie zobowiązywałem się w nim nie oddalać od grupy, chodzić parami i przebywać cały czas w towarzystwie pracownika Plum Island. Przyrzekałem także, że będę przestrzegać przepisów bezpieczeństwa i w ciągu co najmniej siedmiu dni po opuszczeniu wyspy unikać kontaktu ze zwierzętami. Nie wolno mi było spotykać się z bydłem, owcami, koźlami, nierogacizną i końmi, odwiedzać farm zwierzęcych, ogrodów zoologicznych, cyrków, a nawet parków. Powinienem też trzymać się z daleka od rzeźni, zakładów przetwórstwa, laboratoriów zwierzęcych, menażerii oraz targów i wystaw bydła rasowego. Ufff! To naprawdę ograniczało moje życie towarzyskie przez następne siedem dni.

Ostatni akapit był interesujący i brzmiał następująco:

*W uzasadnionych przypadkach dyrektor ośrodka lub szef ochrony mogą w ramach niezbędnych środków bezpieczeństwa zatrzymać gościa na Plum Island. Odzież osobista gościa oraz należące do niego inne przedmioty mogą zostać czasowo zatrzymane na Plum Island i poddane dekontaminacji. Gość otrzyma wtedy ubranie zastępcze i po kąpieli odkażającej będzie mógł opuścić ośrodek. Odzież osobista i inne przedmioty zostaną mu zwrócone tak szybko, jak to będzie możliwe.*

Aby dopełnić miary szczęścia, jakie budziła we mnie ta wizyta, zgodziłem się również, jeśli okaże się to konieczne, poddać kwarantannie.

— Zgaduję, że to nie jest prom do Connecticut — powiedziałem do Stevensa.

— Nie, proszę pana.

Przewidujący pan Stevens wręczył nam kilka rządowych długopisów, a my położyliśmy formularze na stole i wciąż stojąc, nagryzmoiliśmy na nich nasze nazwiska. Stevens zabrał formularze, oddał nam na pamiętkę kopie, po czym wręczył przypinane przepustki, które przymocowaliśmy grzecznie do ubrania.

— Czy ktoś z państwa ma przy sobie broń? — zapytał następnie.

— Jestem przekonany, że wszyscy mamy — odparłem — ale lepiej pan zrobi, nie prosząc nas o jej oddanie.

— To właśnie zamierzam zrobić — stwierdził, patrząc mi prosto w oczy. — Broń palna jest absolutnie zakazana na wyspie. Mam tutaj sejf, w którym pański pistolet będzie całkowicie bezpieczny.

— Mój pistolet jest bezpieczny tam, gdzie znajduje się w tej chwili — powiedziałem.

— Plum Island znajduje się pod jurysdykcją gminy Southold — dodał Max. — To ja jestem przedstawicielem prawa na wyspie.

Stevens długo się nad tym zastanawiał.

— Przypuszczam, że zakaz nie obowiązuje funkcjonariuszy prawa.

— Może pan być pewien, że nie obowiązuje — stwierdziła Beth.

Stevens, któremu nie powiodła się ta mała demonstracja siły, przyjął to z wdziękiem i uśmiechnął się. Był to jednak rodzaj uśmiechu, który w kinie pojawia się na ustach stuprocentowego łajdaka, nim powie: „Wygrałeś tę bitwę, mój panie, ale zapewniam cię, że się jeszcze spotkamy”. Po czym strzela obcasami, odwraca się i wychodzi.

— Może wyjdziemy na górny pokład — zaproponował Stevens, który niestety nie mógł nas na razie pożegnać.

Ruszyliśmy w ślad za naszym gospodarzem na górę, przeszliśmy przez kabinę pasażerską na zewnątrz i ponownie wspięliśmy się po schodach prowadzących na miły odkryty pokład. Nie było tam nikogo poza nami.

Pan Stevens wskazał nam leżaki. Prom płynął z szybkością około piętnastu mil na godzinę, co moim zdaniem odpowiada jakimś dwustu węzłom. No, może nie aż tylu. Na górze trochę wiało, ale nie huczały tak głośno maszyny. Mgła przerzedzała się i nagle przedarły się przez nią promienie słońca.

Widziałem przeszklony mostek i kapitana, który stał przy kole sterowym, rozmawiając z matem. Zawieszona na rufie amerykańska flaga trzepotała na wietrze.

Usiadłem przodem do dziobu, mając po prawej ręce Beth, po lewej Maksa, a naprzeciwko siebie Nasha, Stevensa i Fostera.

— Naukowcy, którzy pracują w komorach biologicznych — zauważył Stevens — zawsze tu wychodzą, chyba że pogoda jest naprawdę paskudna. Rozumiecie, nie oglądają słońca przez osiem godzin. Poprosiłem — dodał — żeby nikt nam dzisiaj nie przeszkadzał.

Po lewej stronie zobaczyłem latarnię Orient Point, która nie jest jedną z tych staroświeckich budowli stojących na cyplu, ale nowoczesną stalową konstrukcją wzniesioną na skałach. Przewano ją

Dzbankiem do Kawy, bo go podobno przypomina, ale ja tego nie dostrzegałem. Żeglarze mylą krowy morskie z syrenami, morświny z węzamiorskimi, chmury ze statkami widmami i tak dalej, i tak dalej. Przypuszczam, że kiedy spędza się dużo czasu na morzu, można dostać kręčka.

Spojrzałem na Stevensa i nasze oczy się spotkały. Facet miał naprawdę specyficzną woskową fizjonomię, której nie sposób zapomnieć. Nic się w niej nie poruszało prócz ust, a oczy świdrowały człowieka na wylot.

— Może zacznę od tego — oświadczył, zwracając się do swoich gości — że znałem Toma i Judy Gordonów. Wszyscy na Plum Island bardzo ich lubili: personel, naukowcy, opiekunowie zwierząt, laboranci, technicy, ochrona... wszyscy. Gordonowie traktowali swoich współpracowników z szacunkiem i kurtuazją. — Jego usta skrzywiły się w dziwnym uśmiechu. — Na pewno będzie nam ich bardzo brakowało.

Przyszło mi nagle do głowy, że ten facet może być zabójcą działającym na zlecenie rządu. Tak. Może to właśnie rząd załatwił Toma i Judy? Jezu, dopiero teraz uświadomiłem sobie, że Gordonowie mogli coś wiedzieć, coś zobaczyć albo chcieć zaalarmować w jakiejś sprawie opinię publiczną... „Mamma mia!”, zwykł mawiać mój partner, Dom Fanelli. To była całkiem nowa ewentualność. Spojrzałem na Stevensa i starałem się odczytać coś w tych lodowatych oczach, ale facet był twardym graczem, co udowodnił już na przystani.

— Kiedy tylko powiadomiono mnie dziś w nocy o ich śmierci — mówił — zadzwoniłem do mojego zastępcy na wyspie, chcąc ustalić, czy nic *nie* zginęło z laboratorium. Nic dlatego, żebym podejrzewał o coś takiego Gordonów, ale sposób, w jaki opisano mi morderstwo... mamy tutaj po prostu określone procedury.

Skierowałem wzrok na Beth i nasze spojrzenia się skrzyżowały. Nie miałem okazji zamienić z nią rano kilku słów, w związku z czym puściłem do niej oko. Najwyraźniej nie mogła zapanować nad swoimi emocjami, bo odwróciła głowę na bok.

— Jedna z naszych łodzi patrolowych zabrała mnie wczesnym rankiem na Plum Island i przeprowadziłem tam wstępne dochodzenie. Z tego, co udało mi się na dzień dzisiejszy ustalić, nie stwierdzono zaginięcia jakiegokolwiek z przechowywanych tam mikroorganizmów, a także pobranych tkanek i krwi oraz innych materiałów biologicznych i organicznych.

Ta informacja była tak idiotyczna i jawnie asekuracyjna, że

nikomu nawet nie chciało się roześmiać. Max zerknął na mnie i potrząsnął głową. Panowie Nash i Foster potakiwali jednak z poważnymi minami, jakby kupowali te głodne kawałki. Zachęcony w ten sposób i świadom, że znajduje się w towarzystwie swych zatrudnionych przez rząd kolegów, Stevens prezentował dalej oficjalną wersję.

Możecie sobie wyobrazić, ile bredni musiałem nasłuchać się w ciągu swojej kariery — bredni wygłaszanych przez podejrzanych, świadków, kapusiów i nawet ludzi stojących po tej samej stronie barykady: członków ADA\*, zadufanych szefów, niekompetentnych podwładnych, stójkowych i tak dalej. Bredni i koszałków-opałków; te pierwsze polegają na agresywnym i chamskim mijaniu się z prawdą, te drugie stanowią łagodniejszy, bardziej pasywny gatunek kłamstwa. Na tym właśnie polega praca w policji. Na wysłuchiwanie bredni i koszałków-opałków. Nikt nie mówi prawdy. Zwłaszcza że w grę wchodzi wysłanie na krzesło elektryczne czy inny sprzęt, którego używają w dzisiejszych czasach.

Słuchałem przez chwilę pana Pinokia Stevensa tłumaczącego, dlaczego nikt nie mógł nawet w swędzącym kroczu przenieść z wyspy ani jednego wirusa lub bakterii, a potem pociągnąłem się za prawe ucho, w który to sposób wyłączam idiotów. Słyszając, jak głos Stevensa cichnie w oddali, spojrzałem na piękne błękitne niebo. Z lewej strony, którą wodniacy nazywają bakburta, minął nas prom płynący do New London. Półtorej mili wody między Orient Point i Plum Island nosi nazwę Plum Gut, co jest kolejnym żeglarskim terminem. Człowiek spotyka się tutaj z mnóstwem żeglarskich terminów i boli mnie czasem od tego głowa. Co jest w końcu złego w normalnej angielszczyźnie?

Tak czy owak wiedziałem, że Plum Gut jest miejscem, w którym morze jest dość zdradliwe, ponieważ zderzają się tam ze sobą wody otwartego Atlantyku i cieśniny Long Island. Pływałem tu raz z Gordonami ich motorówką i wpadliśmy w poważne opały. Wiatr wiał jak szalony, a fale waliły w kadłub ze wszystkich stron. Naprawdę nie marzę o tego rodzaju atrakcjach na wodzie, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Dzisiaj jednak było dość miło, morze spokojne, a statek całkiem spory. Trochę kołysało, ale domyślałem się, że nie można tego uniknąć na wodzie, która z zasady jest płynna i nie tak solidna jak asfalt.

\* ADA, Americans for Democratic Action, Amerykanie na Rzecz Demokracji, niezależna organizacja propagująca liberalne idee.



Miałem stąd całkiem ładny widok i podczas gdy pan Stevens klapał dziobem, obserwowałem krążącego nad nami wielkiego rybołowa. Te ptaki są szurnięte, to znaczy kompletnie szalone. Patrzyłem, jak ten spryciarz zatacza kręgi, wypatrując śniadania, a potem widzi je, pikuje niczym kamikaze, wrzeszcząc, jakby płonęły mu jaja, wpada do wody, znika i sekundę później wyskakuje z niej, jakby miał raketę w kuprze. W jego szponach tkwiła srebrna ryba; chwilę wcześniej pływała sobie spokojnie na dole, przeżuwając piskorze czy coś innego, a teraz szybuje w powietrzu i zaraz zniknie w dziobie szalonego ptaszyska. Chodzi o to, że srebrna ryba mogła mieć żonę, dzieci czy cokolwiek, wybrała się na małe śniadanko i zanim zdążyła mrugnąć okiem, sama stała się czymś śniadaniem. Przetrwają tylko najsilniejsi i tak dalej. Niesamowite. Totalnie.

Pozostało nam jeszcze ćwierć mili do Plum Island, kiedy naszą uwagę zwrócił dziwny, lecz znajomy dźwięk. A potem zobaczyliśmy mijający nas po prawej stronie duży biały helikopter ze znakami Straży Przybrzeżnej. Leciał nisko i powoli. Z otwartych drzwi wychylał się zabezpieczony pasami mężczyzna w mundurze, hełmofonic i ze strzelbą w ręku.

— Polują na jelenie — skomentował pan Stevens. — W ramach środków ostrożności wypatrujemy jeleni, które płyną na wyspę i z wyspy.

Nikt się nie odezwał.

Pan Stevens uznał, że jest nam winien dłuższe wyjaśnienie.

— Jelenie są niewiarygodnie silnymi pływakami — stwierdził. — Wiadomo nam, że dopływały na Plum Island z Orient Point, a nawet z Gardiner Island i Shelter Island, która leży siedem mil stąd. Staramy się je zniechęcić do osiedlania się na stałe, a nawet do krótkich wizyt na Plum Island.

— Chyba — zauważyłem — że podpiszą zobowiązanie.

Pan Stevens znowu się uśmiechnął. Lubił mnie. Lubił również Gordonów i zobaczcie, co się z nimi stało.

— Dlaczego nie chcecie, żeby jelenie płynęły na wyspę? — zapytała Beth.

— Cóż... przestrzegamy tutaj zasady, zgodnie z którą niczego nie wywozi się z wyspy. Nic nie może jej opuścić, jeśli nie zostało odkażone. To dotyczy również nas, kiedy będziemy wyjeżdżać. Duże obiekty, których nie sposób odkażać, takie jak samochody, ciężarówki, sprzęt laboratoryjny, odpady budowlane i śmieci na zawsze pozostają na wyspie.

Znowu nikt się nie odezwał.

— Nie chcę przez to sugerować, że wyspa jest skażona — dodał pan Stevens widząc, że wystraszy) turystów.

— Dałem się nabrać — przyznałem.

— Powiniennem to wyjaśnić. Na wyspie istnieje pięć poziomów zagrożenia biologicznego, inaczej mówiąc pięć stref. Poziom pierwszy, albo strefa pierwsza, która jest bezpieczna, to cały teren na zewnątrz laboratoriów. Strefa druga to prysznicze pomiędzy szatnią i laboratoriami oraz pewne stanowiska pracy o znikomym stopniu zagrożenia. Strefę trzecią tworzą komory laboratoryjne, w których bada się choroby zakaźne. Strefa czwarta znajduje się głębiej w budynku i obejmuje zagrody, w których trzymane są zakażone zwierzęta, a także krematorium i pomieszczenia, gdzie dokonuje się sekcji.

Stevens spojrzął na nas z ukosa, jakby chciał sprawdzić, czy uważnie go słuchamy, co z całą pewnością czyniliśmy.

— Ostatnio utworzyliśmy strefę piątą — kontynuował — gdzie stopień zagrożenia biologicznego jest największy. Na świecie nie ma wiele laboratoriów o takim poziomie zabezpieczeń. Zrobiliśmy to, ponieważ pewne organizmy, które otrzymujemy z Afryki albo amazońskiej dżungli, są bardziej złośliwe, niż podejrzewaliśmy. — Ponownie na nas spojrzął i dodał sotto voce: — Innymi słowy, otrzymujemy próbki krwi i tkanek zarażonych wirusem Ebola.

— Myślę, że możemy już wracać — powiedziałem.

Wszyscy uśmiechnęli się i próbowali się zaśmiać. Cha-cha. To nie było śmieszne.

— Nowe laboratorium zbudowane jest zgodnie z najnowocześniejszymi standardami — kontynuował pan Stevens — ale wcześniej badania prowadzono w starych budynkach z lat drugiej wojny światowej, które niestety nie były tak bezpieczne. W tamtym okresie przyjęliśmy zasadę „nic nie opuszcza wyspy”, żeby zabezpieczyć się przed rozszerzeniem zarazy na stały ląd. Ta zasada wciąż oficjalnie obowiązuje, nie przestrzega się jej jednak tak drobiazgowo. Mimo to nie życzymy sobie, aby rzeczy i ludzie podróżowali zbyt swobodnie między wyspą i lądem stałym, jeśli nie podda się ich odkażeniu. To oczywiście dotyczy również jeleni.

— Ale dlaczego? — nie dawała za wygraną Beth.

— Dlaczego? Bo mogłyby się czegoś nabawić na wyspie.

— Na przykład czego? — zainteresowałem się. — Paskudnych manier?

Pan Stevens uśmiechnął się.

— Paskudnego przeziębienia — odparł.

— Zabijacie jelenie? — zapytała Beth.

— Tak.

Przez dłuższy moment nikt się nie odzywał.

— A co z ptakami? — przerwałem ciszę.

Stevens pokiwał głową.

— Ptaki stanowią pewien problem — przyznał.

— A komary? — zadałem kolejne pytanie.

— Owszem, komary też mogą przysporzyć nam kłopotów. Ale musicie pamiętać, że wszystkie nasze zwierzęta przebywają w zamkniętych pomieszczeniach, a eksperymenty prowadzi się w podciśnieniowych komorach laboratoryjnych. Nic nie zdoła się wydostać.

— Skąd pan wie? — zapytał Max.

— Ponieważ jeszcze pan żyje — odparł z optymizmem Stevens. — Kiedy zejdziemy na brzeg — dodał, patrząc na Sylwestra Maxwella, który wczuwał się właśnie w rolę kanarka w kopalni węgla — proszę się ode mnie ani na moment nie oddalać.

Daj spokój, Paul, nawet mi to w głowie nie powstało.

## Rozdział 8

Kiedy zbliżyliśmy się do wyspy, *Plum Runner* zwolnił. Wstałem, podszedłem do bakburty i oparłem się o reling. Po lewej stronie, w polu widzenia ukazała się stara kamienna latarnia, którą rozpoznałem, ponieważ stanowiła ulubiony obiekt wszystkich tutejszych akwarelistów. Na prawo od niej znajdowała się duża tablica wielkości billboardu, na której widniał napis: UWAGA! PODWODNY KABEL! ZAKAZ TRĄLOWANIA I BAGROWANIA!

Jeśli terroryści byli zainteresowani zerwaniem linii energetycznych i łączności z Plum Island, władze dawały im pewną wskazówkę. Z drugiej strony na wyspie były na pewno awaryjne generatory, telefony komórkowe i radio.

*Plum Runner* prześlizgnął się wąskim kanałem i wpłynął do małej zatoczki, jak mi się zdaje, sztucznej, powołanej do istnienia nie przez Boga wszechmogącego, lecz przez wojska inżynieryjne, które chciały poprawić w kilku szczegółach dzieło stworzenia.

Na brzegu stało kilka blaszanych magazynów, które pozostały tu zapewne z wojskowych czasów.

Beth podeszła do relingu i stanęła obok mnie.

— Zanim wsiadłeś na prom — powiedziała cicho — widziałam...

— Byłem tam. Też widziałem. Dzięki.

Prom obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i dobił tyłem do rampy. Przy relingu zgromadzili się teraz wszyscy moi koledzy.

— Zaczekamy, aż wyjdą pracownicy — poinformował nas pan Stevens.

— Czy to sztuczny port? — zapytałem go.

— Owszem. Armia zbudowała go, kiedy wznoszono tutaj stanowiska artyleryjskie przed wojną hiszpańsko-amerykańską.

— Na pewno chcielibyście się pozbyć tej tablicy o kablu — zauważyłem.

— Nie mamy wyboru. Musimy ostrzegać łodzie. Zresztą kabel jest i tak zaznaczony na mapach nawigacyjnych.

— Ale mogli napisać „wodociąg”. Nie musicie od razu wszystkiego zdradzać.

— To prawda — odparł i spojrzał na mnie, jakby miał ochotę coś dodać. Może chciał mi zaproponować etat.

Kiedy ostatni pracownik opuścił prom, zeszedliśmy po schodkach i potem na brzeg przez furkę na rufie. Tak oto znaleźliśmy się na tajemniczej Plum Island. Było chłodno, słonecznie i wietrznie. Wzdłuż brzegu brodziły kaczki i z zadowoleniem stwierdziłem, że nie mają pazurów, świecących czerwonych oczu i niczego w tym rodzaju.

Wyspa, jak już wspomniałem, ma kształt schabowego z kością — a może jagnięcego z kością — i zatoczka znajduje się przy jego grubszym końcu, tak jakby ktoś, żeby kontynuować to idiotyczne porównanie, nadgryzł lekko mięso.

Przy nabrzeżu stała tylko jedna łódź, mająca jakieś trzydzieści stóp, z kabiną, szperaczem i wbudowanym motorem. Nazywała się *Prune*\*. Ktoś niezłe się bawił, nadając nazwę promowi i tej łodzi, podejrzewam jednak, że nie był to Paul Stevens, dla którego kwintesencją żeglarskiego humoru było to, co dzieje się na statku szpitalnym trafionym torpedą z łodzi podwodnej.

Dostrzegłem drewnianą, wyblakłą od wiatru tablicę z napisem „Centrum Chorób Zwierzęcych Plum Island”. Za tablicą stał maszt i zobaczyłem, że tutaj również flaga spuszczone była do połowy.

Pracownicy, którzy zeszedli na brzeg, wsiedli do białego autobusu i odjechali. Prom zahaczał, ale nie widziałem, żeby ktoś szykował się do podróży powrotnej na Orient Point.

— Proszę tutaj zostać — powiedział Stevens, po czym podszedł do mężczyzny w pomarańczowym dresie i zaczął z nim rozmawiać.

To miejsce sprawiało dziwne wrażenie — ludzie w pomarańczowych dresach, niebieskie mundury, białe autobusy, cały ten rytuał: „proszę tutaj zostać”, „proszę trzymać się razem”. Znalazłem się na zakazanej wyspie z przypominającym esesmana blondynem, krążącym wokół helikopterem oraz stojącymi na każdym kroku uzbrojonymi strażnikami i czułem się trochę, jakbym występował w filmie z Jamesem Bondem, tyle że to miejsce było prawdziwe.

\* Prune (ang.) — suszona śliwka.

— Kiedy zobaczymy się z doktorem No? — zwróciłem się do Maksa.

Roześmiał się i nawet na ustach Beth oraz panów Nasha i Fostera ukazał się uśmiech.

— Jak to się stało, że nigdy się nie spotkałeś z Paulem Stevensem? — zapytała Beth, zwracając się do Maksa.

— Na każdą konferencję miejscowych sił policyjnych zapraszaliśmy grzecznościowo aktualnego szefa ochrony Plum Island. Żaden nigdy się nie zjawił. Rozmawiałem kiedyś ze Stevensem przez telefon, ale zobaczyłem go dopiero dzisiaj.

— A propos, detektywie Corey — oświadczył Ted Nash — dowiedziałem się, że nie pracuje pan w policji hrabstwa Suffolk.

— Nigdy tego nie mówiłem.

— Niech pan nie udaje. Razem z komendantem Maxwelllem starałście się wmówić mnie i George'owi, że pracuje pan dla hrabstwa.

— Detektyw Corey — stwierdził Max — został zatrudniony przez gminę Southold w charakterze konsultanta.

— Naprawdę? — zdziwił się pan Nash. — Pracuje pan jako detektyw w nowojorskim wydziale zabójstw i raniono pana podczas akcji dwunastego kwietnia. Obecnie przebywa pan na urlopie zdrowotnym.

— Kto pana o to pytał?

— Nie o to chodzi, John — wtrącił się pan Foster, wieczny rozjemca. — Chcemy tylko ustalić pełnomocnictwa i jurysdykcję.

— W porządku, w takim razie proszę przyjąć do wiadomości — oznajmiła Beth, zwracając się do panów Nasha i Fostera — że ten obszar znajduje się pod moją jurysdykcją, to ja prowadzę tę sprawę i obecność Johna Coreya nie stanowi dla mnie żadnego problemu.

— Świetnie — stwierdził pan Foster.

Pan Nash milczał, dając do zrozumienia, że moja obecność stanowi dla niego problem, co przyjąłem z zadowoleniem.

— Teraz, kiedy wiemy już, dla kogo pracuje John Corey — powiedziała Beth, wpatrując się w Nasha — może pan też wyjawi nam swego pracodawcę?

— CIA — odparł po krótkiej pauzie Nash.

— Dziękuję. Jeżeli któryś z panów odwiedzi ponownie miejsce zbrodni i nie wpisze się do rejestru — poinformowała George'a Fostera i Teda Nasha — zawiadomię prokuratora okręgowego. Macie przestrzegać wszystkich procedur.

Obaj pokiwali głowami. Oczywiście nie potraktowali tego serio.

Paul Stevens przestał rozmawiać z facetem w pomarańczowym dresie i wrócił do nas.

— Dyrektor nie może się z nami jeszcze spotkać — oznajmił. — Z tego, co powiedział komendant Maxwell, rozumiem, że chcecie państwo zwiedzić wyspę, możemy więc zrobić to teraz. Proszę za mną...

— Chwileczkę — przerwałem mu. — To pańska motorówka? — zapytałem, wskazując *Prune*.

— Tak. To łódź patrolowa.

— Dlaczego stoi w porcie?

— W tej chwili okolice wyspy patroluje inna motorówka. -

— Czy tutaj właśnie Gordonowie cumowali swoją łódź?

— Tak. W porządku, teraz proszę za mną...

— Czy macie na wyspie samochody patrolowe?

Najwyraźniej nie podobało mu się, że go wypytuję.

— Tak, mamy na wyspie samochody patrolowe. Chce pan jeszcze czegoś się dowiedzieć, detektywie? — zapytał, posyłając mi niecierpliwe spojrzenie.

— Owszem. Czy to normalne, żeby pracownik dopływał tu własną łodzią?

— Kiedy wprowadzono zasadę „nic nie opuszcza wyspy” — odparł po kilku sekundach Stevens — było to zakazane. Teraz złagodziliśmy trochę przepisy i mamy pracowników, którzy podróżują czasami łodzią do pracy. Przeważnie latem.

— Czy Gordonowie mieli waszą zgodę, żeby to robić?

— Gordonowie należeli do wyższego personelu i jako naukowcy zdawali sobie sprawę z wszystkich zagrożeń. Dopóki stosowali właściwe techniki odkażania i przestrzegali odpowiednich procedur, fakt, że podróżowali do pracy łodzią, nie stanowił dla mnie żadnego problemu.

— Rozumiem — odpowiedziałem. — Czy przyszło panu kiedyś do głowy, że Gordonowie mogli użyć swojej łodzi do przemycenia stąd śmiertelnych organizmów?

Stevens ponownie zastanawiał się przez kilka sekund.

— To jest zakład pracy, nie więzienie — odpowiedział nie wprost. — Moim głównym zadaniem jest niedopuszczanie tutaj nieupoważnionych osób z zewnątrz. Ufamy naszym ludziom, ale żeby się upewnić, wszyscy pracownicy zostali prześwietleni przez FBI. Mamy napięty program — dodał, zerkając na zegarek. — Proszę za mną.

Ruszyliśmy za napiętym panem Stevenssem do białego mikrobusu

i wsiedliśmy do środka. Kierowca ubrany był w taki sam mundur jak strażnicy i zauważyłem, że ma pistolet w kaburze.

Usiadłem za nim i poklepałem sąsiedni fotel, zachęcając Beth, żeby dotrzymała mi towarzystwa, musiała jednak nie zauważyć mojego gestu, ponieważ zajęła podwójne siedzenie po drugiej stronie przejścia. Max usiadł za mną, a panowie Nash i Foster w dwóch różnych miejscach z tyłu mikrobusu.

Pan Stevens stanął w przejściu.

— Przed odwiedzeniem głównego budynku — oświadczył — zrobimy rundkę dookoła, żebyście mogli lepiej poznać teren i zorientować się, jak trudne jest strzeżenie tej wielkości wyspy z mniej więcej dziesięcioma milami plaży i bez żadnych ogrodzeń. W historii wyspy — dodał — nie zdarzył się dotąd ani jeden przypadek naruszenia jej obszaru przez niepowołane osoby.

— Jaki typ broni widzę w kaburach pańskich strażników? — zapytałem.

— To wojskowa wersja samopowtarzalnego colta czterdziestki-piątki — odparł. — Czy powiedziałem coś interesującego? — dodał, rozglądając się po mikrobusie.

— Uważamy, że morderca strzelał z pistoletu kaliber czterdzieści pięć — poinformował go Max.

— Chciałabym zinventaryzować waszą broń i przeprowadzić testy balistyczne każdego pistoletu — oznajmiła Beth.

Paul Stevens nie zareagował na to z entuzjazmem.

— Ile macie tutaj pistoletów kaliber czterdzieści pięć? — zapytała.

— Dwadzieścia.

— Ma pan przy sobie broń? — chciał wiedzieć Max.

Stevens poklepał się po marynarce i kiwnął głową.

— Zawsze nosi pan ten sam pistolet? — zapytała Beth.

— Nie. Codziennie pobieram ze zbrojowni inny egzemplarz. To brzmi jak przesłuchanie — dodał, spoglądając na Beth.

— Bynajmniej — odparła. — Zadajemy panu tylko pytania jako świadkowi. Gdyby był pan przesłuchiwany, powiadomilibyśmy pana o tym.

— Może damy panu Stevensowi powiedzieć to, co ma do powiedzenia — odezwał się siedzący z tyłu pan Nash. — Później będziemy mieli czas na pytania.

— Niech pan kontynuuje — zgodziła się Beth.

— Zanim ruszymy — podjął, stojąc, pan Stevens — chciałbym wygłosić krótkie wprowadzenie, które przedstawiam odwiedzającym



nas naukowcom, dygnitarzom oraz prasie. — Spojrzał do swojego głupiego notesu, po czym zaczął mechanicznym tonem. — Plum Island rozciąga się na powierzchni ośmiuset czterdziestu akrów. Zajmują ją w większości lasy, pastwiska i tereny wojskowe, które zobaczymy później. Pierwsze wzmianki na temat wyspy odnajdujemy w dziennikach okrętowych dawnych żeglarzy holenderskich i angielskich. Holendrzy nazwali tak wyspę z powodu rosnących na wybrzeżu śliw: Pryum Eyland w staroholenderskim, jeśli to kogoś interesuje. Wyspa należała do plemienia Montauków i w tysiąc sześćset pięćdziesiątym czwartym została kupiona przez niejakiego Samuela Wyllysa od wodza Wyandancha. Samuel Wyllys i następni osadnicy wypasali na niej owce i bydło, co wydaje się ironią, zważywszy na to, że teren ten służy dzisiaj zupełnie innym celom. Ziewnąłem.

— Niemniej jednak — kontynuował Stevens — na wyspie przez dłuższy czas nie było żadnych siedzib ludzkich. Można spytać, ja kim sposobem osadnicy wypasali bydło na niezamieszkaną wyspę? Według ówczesnych przekazów w szesnastym i siedemnastym wieku cieśnina między Orient i Plum Island była tak płytka, że bydło mogło ją przekraczać podczas odpływu. Po huraganie, który zdarzył się pod koniec siedemnastego wieku, cieśnina pogłębiła się i znaczenie wyspy jako pastwiska zmalało. Wraz z rozwojem kolonizacji angielskiej coraz częściej odwiedzali ją piraci i kaprowie, którym bardzo odpowiadało jej odosobnione położenie.

Poczułem nagle, jak ogarnia mnie panika. Byłem uwięziony w małym autobusiku z tym monotonnym, klepiącym pacierz kretnym, który zaczął od stworzenia świata, dojechał dopiero do siedemnastego wieku i zostały mu jeszcze trzy stulecia, pieprzony mikrobus nie ruszał i nie mogłem z niego wyjść bez użycia broni. Czym sobie na to zasłużyłem? Ciocia June spoglądała na mnie z nieba i zanosila się śmiechem. Słyszałem jej głos: „Johnny, kochanie, jeśli nie powiesz, czego nauczyłeś się wczoraj na temat Indian z plemienia Montauków, nie dostaniesz loda”. Nie, nie, nie! Dosyć tego!

— Podczas wojny o niepodległość — kontynuował Stevens — amerykańscy patrioci z Connecticut założyli na wyspie bazę wypadową do ataków na twierdze torysów w Southold. George Washington, który odwiedził North Fork...

Zatkałem sobie uszy rękoma, ale wciąż słyszałem słaby szum.

W końcu podniosłem rękę.

— Jest pan członkiem Towarzystwa Historycznego Peconic? — zapytałem.

— Nie, ale pomagali mi w zebraniu materiałów.  
— Istnieje może jakaś broszura czy coś w tym rodzaju? Moglibyśmy przeczytać ją później, a pan zachowałby swoją mowę dla kongresmanów.

— Uważam, że to fascynujące — stwierdziła Beth Penrose.

Panowie Nash i Foster poparli ją głośnymi pomrukami.

— Zostałeś przegłosowany, John — oznajmił Max, śmiejąc się.

Stevens znowu się do mnie uśmiechnął. Dlaczego miałem wrażenie, że chce wycelować we mnie ze swojej czterdziestki i opróżnić magazynek?

— Musi mnie pan jakoś ścierpieć, detektywie — stwierdził. — I tak mamy teraz trochę wolnego czasu. — Po chwili podjął swoją opowieść, zauważyłem jednak, że mówi trochę szybciej. — W przededniu wojny hiszpańsko-amerykańskiej rząd nabył sto trzydzieści akrów w celu obrony wybrzeża i założony został Fort Terry. Zoba czymy jego pozostałości później.

Zerknąłem na Beth i zobaczyłem, że wpatruje się w Paula Stevensa, najwyraźniej urzeczona jego pogadanką. Gdy patrzyłem, jak się na niego gapi, nagle odwróciła się do mnie i nasze oczy się spotkały. Zakłopotana tym, uśmiechnęła się lekko i utkwiała z powrotem wzrok w Stevensie. Serce zabiło mi szybciej. Byłem zakochany. Znowu.

— Powiniennem wspomnieć — mówił dalej nasz prelegent — że na wyspie znajdują się historyczne artefakty z ponadtrzysetletniego okresu i gdyby nie to, że teren jest zamknięty, w wielu miejscach prowadzono by wykopaliska. Negocjujemy obecnie z Towarzystwem Historycznym Peconic warunki umowy, na mocy której mogliby zacząć próbne wykopki. Tak się składa — dodał — że Gordonowie byli jego członkami i pośredniczyli w rozmowach między towarzyszem, Departamentem Rolnictwa i kilkoma archeologami z Uniwersytetu Stanowego Stony Brook. Z pomocą Gordonów wybrałem kilka miejsc, w których prace archeologiczne mogłyby się odbywać bez szkody dla bezpieczeństwa ośrodka.

Nagle zainteresowałem się tym, co mówił. Czasami w śledztwie pojawia się jakieś słowo, fraza albo nazwisko, a potem, po jakimś czasie, pojawia się ponownie i trzeba się nad tym zastanowić. Tak było w wypadku Towarzystwa Historycznego Peconic. To znaczy, należała do niego moja ciotka, widywało się przygotowywane przez jego członków ulotki i biuletyny, towarzystwo wydawało koktajle, zbierało fundusze, organizowało wykłady i tak dalej, i było to całkiem normalne. A potem Gordonowie, którzy nie odróżniali

Plymouth Rock\* od whisky „on the rocks” zapisali się do Towarzystwa. Teraz z kolei włączył je do swojej pogadanki Oberführer Stevens. Interesujące.

— W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym — na wiał dalej — w Stanach Zjednoczonych doszło do katastrofalnej epidemii pryszczycy i Departament Rolnictwa otworzył na wyspie swoją pierwszą placówkę badawczą. W ten sposób zapoczątkowana została nowoczesna historia Plum Island związana z jej obecną misją. Czy macie państwo jakieś pytania?

Miałem kilka pytań na temat Gordonów, którzy kręcili się po wyspie zamiast siedzieć na tyłku i pracować w laboratorium. Doszedłem do wniosku, że byli z nich nieźli spryciarze. Motorówka, Towarzystwo Historyczne Peconic, a teraz te wykopaliska, dzięki którym mogli spenetrować wyspę. Możliwe, że te rzeczy nie były ze sobą związane i wszystko to stanowiło zbieg okoliczności. Aleja nie wierzę w zbieg okoliczności. Nie wierzę, żeby nisko opłacani naukowcy ze Środkowego Wschodu robili się w wolnym czasie drogą jak diabli motorówką, zajmowali archeologią i działali w lokalnych towarzystwach historycznych. Te rzeczy nie pasowały do dochodów, charakterów, temperamentów i poprzednich zainteresowań Toma i Judy. Niestety pytań, jakie miałem do pana Stevensa, nie można było zadać, nie zdradzając zarazem więcej, niż mogłem się od niego dowiedzieć.

Stevens rozwodził się na temat Departamentu Rolnictwa i mogłem go na chwilę wyłączyć. Uświadomiłem sobie, że jeszcze przed wzmianką o archeologicznych zainteresowaniach Gordonów powiedział coś ważnego. Przypomina to przenikającą wodę falę sonaru — fala uderza w coś i wysyła piknięcie do słuchawek. Pik. Coś, co powiedział Stevens, piknęło w moim mózgu, ale kiedy to mówił, byłem tak śmiertelnie znudzony, że nie zwróciłem na to uwagi. Teraz starałem się cofnąć taśmę, nie pamiętałem jednak, co spowodowało piknięcie.

— W porządku — oznajmił Stevens — teraz przejdziemy się po wyspie.

Kierowca zbudził się i uruchomił autobus. Zauważyłem, że droga jest dobrze utrzymana, ale w zasięgu wzroku nie było innych pojazdów ani innych ludzi.

Mijaliśmy tereny położone wokół centralnego laboratorium. Stevens pokazał nam wieżę wodną, zakład odkażania ścieków, siłownię, warsztaty, garaże i kotłownię. Wyspa wydawała się całkowicie

\* Plymouth Rock, skała, gdzie w roku 1620 wysiedli na brzeg pierwsi osadnicy z *Mayflower*.

samowystarczalna i odizolowana od świata i ponownie przyszła mi na myśl zapamiętana z filmów z Bondem kryjówka złoczyńcy, który planuje zagładę planety. Cały ośrodek imponował rozmiarami, a nie obejrzeliśmy jeszcze laboratorium.

Co jakiś czas przejeżdżaliśmy obok budynku, którego pan Stevens nie miał ochoty zidentyfikować. Jeśli ktoś z nas zadawał kłopotliwe pytania, mówił, że to magazyn farb albo magazyn paszy. I rzeczywiście mogli tam przechowywać farby lub paszę, ale ten facet nie wzbudzał zaufania. Miałem wrażenie, że odpowiada mu aura tajemniczości i cieszy się, mogąc nam trochę zagrać na nosie.

Prawie wszystkie zabudowania, z wyjątkiem głównego laboratorium, wzniesiono z wojskowej czerwonej cegły oraz zbrojonego betonu i większość z nich była opuszczona. Kiedyś znajdowała się tu przecież duża baza należąca do łańcucha twierdz strzegących Nowego Jorku przed atakiem wrogiej floty, który nigdy nie nastąpił.

Dojechaliśmy do kilku betonowych budowli, które porastała trawa.

— Ten duży budynek — oświadczył Stevens — określamy zgodnie ze starą wojskową nomenklaturą numerem dwieście pięćdziesiąt siedem. Kiedyś Ui właśnie mieściło się główne laboratorium. Po przeprowadzce odkaziliśmy je gazem trującym i na zawsze zapieczętowaliśmy, na wypadek gdyby pozostały tam jakieś żywe organizmy.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał.

— Czy to nie stąd nastąpił kiedyś przeciek biologiczny? — zapytał w końcu Max.

— To zdarzyło się, zanim zacząłem tu pracować — zaznaczył Stevens. Spojrzał na mnie i jego woskową twarz wykrzywił uśmiech. — Jeśli chce pan zajrzeć do środka, detektywie, mogę panu dać klucz.

— Czy mogę tam pójść sam? — odparłem, też się uśmiechając.

— Wyłącznie. Nikt nie będzie towarzyszył panu do budynku numer dwieście pięćdziesiąt siedem.

Nash i Foster zachichotali. Jezu, nie bawiłem się tak dobrze od czasu, gdy poślizgnąłem się na jakimś śluzie i wylądowałem na dziesięciodniowych zwłokach.

— Zajrzę tam, Paul — powiedziałem — jeśli ty pójdziesz ze mną.

— Nie zależy mi na tym, żeby umrzeć — oświadczył Stevens.

Kiedy mikrobus podjechał bliżej do budynku numer 257, zobaczyłem, że ktoś wymalował czarną farbą na betonie wielką trupią czaszkę i skrzyżowane piszczele. Uderzyło mnie, że trupia główka

ma właściwie dwa znaczenia — występuje na pirackiej fladze, którą Gordonowie zawiesili na swoim maszcie, ale stanowi również symbol trucizny i skażenia. Gapilem się przez chwilę na czaszkę i kości na białej ścianie i kiedy odwróciłem wzrok, ten obraz pozostał przed moimi oczyma. Gdy spojrzałem na Stevensa, czaszka nałożona była na jego twarz i zarówno Stevens jak i czaszka szczyrzyły zęby. Potarłem oczy i złudzenie optyczne ustąpiło. Jezu, gdyby nie to, że był biały dzień i otaczali mnie inni ludzie, zemdlałbym ze strachu.

— W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym — kontynuował Stevens — Kongres zatwierdził fundusze na budowę ośrodka badawczego. Z mocy prawa pewne choroby zakaźne nie mogą być badane na stałym lądzie Stanów Zjednoczonych. Było to konieczne w czasach, gdy nie mieliśmy zbyt zaawansowanej technologii zabezpieczeń biologicznych. Tak oto Plum Island, która należała już w całości do rządu i którą użytkowały częściowo Departament Rolnictwa i częściowo wojsko, stała się idealnym miejscem dla badania egzotycznych chorób zwierzęcych.

— Twierdzi pan, że bada się tutaj wyłącznie choroby zwierzęce? — zapytałem.

— Owszem.

— Chociaż niewątpliwie bylibyśmy bardzo zmartwieni, panie Stevens, gdyby Gordonowie wykradli wirus pryszczycy i przed groźbą zagłady stanęły wszystkie stada Stanów Zjednoczonych, Kanady i Meksyku, nie jest to powód, dla którego się tutaj znaleźliśmy. Czy w laboratorium Plum Island badane są zarazki chorób, którymi mogą się zarazić ludzie?

— Będzie pan musiał o to spytać dyrektora, doktora Zollnera — stwierdził, mierząc mnie wzrokiem.

— Pytam pana.

Stevens namyślał się przez moment.

— Tak się składa — odparł w końcu — że wyspę użytkuje wspólnie Departament Rolnictwa i wojsko i chyba to zrodziło tyle spekulacji i plotek, że jest tu centrum broni biologicznej. Chyba o tym wszyscy wiecie.

— Istnieje wiele dowodów — odezwał się Max — że w szczytowym okresie zimnej wojny wojska chemiczne prowadziły tutaj badania nad bakteriami, które miały zetrzeć z powierzchni ziemi całą ludność Związku Radzieckiego. I nawet ja wiem, że zarazków węglików i innych chorób zwierzęcych można użyć w charakterze broni biologicznej przeciwko ludziom. Pan też o tym wie.

Paul Stevens podniósł dłoń do ust i odchrząknął.

— Nie miałem zamiaru sugerować, że nigdy nie prowadzono tutaj badań nad bronią biologiczną. Z pewnością rozpoczęto je we wczesnych latach pięćdziesiątych. Ale w okolicy roku tysiąc dwieście pięćdziesiątego czwartego ofensywny charakter badań biologicznych uległ zmianie na defensywny. Innymi słowy, wojsko bada jedynie metody uchronienia naszych stad przed umyślnym zakażeniem przez drugą stronę. Nie będę odpowiadał na dalsze tego rodzaju pytania — dodał. — Wspomnę tylko, że Rosjanie przysłali tu przed kilku laty ekipę swoich naukowców i nie znaleźli niczego, co by ich zaniepokoiło.

Zawsze uważałem, że zgoda na inspekcję wojskową drugiej strony przypomina sytuację, w której ktoś podejrzany o morderstwo oprowadza mnie po swoim domu. Nie, detektywie, w tej szafie nie ma nic, co by pana zainteresowało. Pokażę teraz panu moje patio.

Mikrobus skręcił w wąską zwirowaną drogę i pan Stevens wrócił do swojej pogadanki.

— Tak więc od połowy lat pięćdziesiątych — oznajmił na koniec — Plum Island stanowi bez wątpienia najnowocześniejszy na świecie ośrodek, w którym bada się choroby zwierzęce, leczy je i zapobiega im. Nie było to chyba takie straszne, detektywie? — zapytał, spoglądając w moją stronę.

— Przeżyłem gorsze rzeczy.

— Znakomicie. Teraz damy spokój historii i trochę pozwiedzamy. Prosto przed sobą widzicie państwo starą latarnię morską, oddaną do użytku przez George'a Washingtona. Obecny budynek został wzniesiony w połowie ubiegłego stulecia. Latarnia jest już nieczynna i stanowi zabytek historyczny.

Przyjrzałem się przez okno stojącej na łące kamiennej budowli. Latarnia przypominała bardziej dwupiętrowy dom ze sterczącą na dachu wieżyczką.

— Czy korzystacie z niej do celów bezpieczeństwa? — zapytałem.

— Ani na chwilę nie zapomina pan, dlaczego się tu znalazł, prawda? Cóż, czasami wysyłam tutaj ludzi z teleskopem albo noktowizorem w nocy, kiedy pogoda uniemożliwia patrolowanie okolicy z łodzi i helikopterów. Latarnia jest wtedy jedynym miejscem, z którego możemy obserwować cały teren. Czy jest jeszcze coś, co chciałby pan wiedzieć na temat latarni? — zapytał, spoglądając na mnie.

— Nie, to na razie wszystko.

Mikrobus skręcił w kolejną zwirowaną alejkę. Jechaliśmy teraz

na wschód wzdłuż północnego wybrzeża, mając po lewej ręce morze, po prawej sękatę drzewa. Piasek plaży był usiany głazami i prawie dziewiczy. Gdyby nie mikrobus i droga, można by sobie wyobrazić, że jest się Holendrem lub Anglikiem lądującym po raz pierwszy na tym wybrzeżu, spacerującym plażą i główkującym, jak, u licha, wykurzyć z wyspy Indian. Pik. Pik.

Znowu piknęło. Ale co to mogło być? Czasami, jeśli da się spokój, wspomnienie wraca samo.

Stevens głądził o ekologii i pragnieniu zachowania wyspy w możliwie nienaruszonym i dzikim stanie i kiedy rozwodził się na ten temat, nad naszymi głowami przeleciał kolejny helikopter szukający przeznaczonych do odstrzału jeleni.

Droga wiodła w zasadzie wzdłuż linii brzegowej i nic było zbyt dużo rzeczy do oglądania, ale wywarła na mnie wrażenie odludność tego miejsca, świadomość, że nie ma tutaj żywej duszy i nie spotka się nikogo na plaży i drogach, które, z wyjątkiem szosy łączącej przystań z głównym laboratorium, wiodły donikąd i niczemu nie służyły.

— Wszystkie te drogi zostały zbudowane przez wojsko i łączyły Fort Terry z nadbrzeżnymi bateriami. Teraz jeżdżą nimi patrole myśliwskie, poza tym jednak nikt ich nie używa — oznajmił pan Stevens, jakby czytał w moich myślach. — Ponieważ umieściliśmy wszystkie laboratoria w jednym budynku — dodał — większa część wyspy jest pusta.

Uświadomiłem sobie, że patrole myśliwskie i patrole ochrony są jednym i tym samym. Ludzie w helikopterach i łodziach mogli wypatrywać pływających jeleni, ale pilnowali również, żeby nie dostali się tutaj terroryści i inni złoczyńcy. Nękała mnie obawa, że nie robią tego zbyt dobrze. Ale nie była to moja sprawa i nie dlatego się tutaj znalazłem.

Jak na razie wyspa okazała się mniej straszna, niż oczekiwałem. Właściwie nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale, jak wiele innych miejsc cieszących się złowrogą sławą, Plum Island nie wyglądała tak fatalnie, gdy zobaczyło się ją na własne oczy.

Kiedy ogląda się ją na mapach, przeważnie nie zawierają one żadnych informacji o tym, co jest na wyspie: żadnych dróg, żadnej wzmianki o Fortcie Terry, nic prócz słów: „Plum Island — Ośrodek Chorób Zwierzęcych — Wstęp wzbroniony”. Cały teren pomalowany jest na ogół na żółto — w kolorze ostrzegawczym. Niezbyt to zachęcające, nawet na mapie. A gdy patrzy się na wyspę od strony morza, jak to czyniłem kilkakrotnie z Gordonami, wydaje się otulona

mgłą, choć nie wiem, w jakim stopniu ta mgła jest realna, a w jakim stanowi wytwór wyobraźni.

I jeśli popuścić jej wodze, oczom ukazuje się coś w stylu Edgara Allana Poe'go, obraz Ultima Thule, mroczny krajobraz ze spuchniętymi i gnijącymi na polach owcami i krowami, z sępami żywiącymi się padliną i zdychającymi od zakażonego pokarmu. Tak to wygląda, jeśli człowiek ma bujną wyobraźnię. Na razie jednak świeciło słońce i było całkiem przyjemnie. Prawdziwe niebezpieczeństwo i prawdziwy horror czaiły się w komorach laboratoryjnych, w strefie trzeciej i czwartej, oraz w wielkiej Świątyni Zagłady w strefie piątej. W preparatach, próbkach i na płytkach Petriego, gdzie roilo się od najbardziej niebezpiecznych i egzotycznych form życia, jakie wyewoluowały na tej planecie. Gdybym był naukowcem i patrzył na te rzeczy, mógłbym zacząć dumać o Bogu — nie o tym, czy istnieje, ale jakie są Jego zamiary.

Do tylu mniej więcej głębokich refleksji byłem zdolny, nie narażając się przy tym na ostry ból głowy.

— Skąd żeglarze wiedzą, żeby tu nie lądować? — zapytała Beth, zwracając się do Paula Stevensa.

— Na wszystkich mapach znajduje się ostrzeżenie. Poza tym na plażach stoją tablice ostrzegawcze, a patrole pilnują, żeby ludzie nie zarzucali kotwic i nie wychodzili na brzeg.

— Co robicie z tymi, którzy naruszają zakaz?

— Ostrzegamy wodniaków, żeby na przyszłość nie zbliżali się do wyspy. Tych, którzy się do tego nie stosują, zatrzymujemy i przekazujemy panu Maxwellowi. Zgadza się? — zapytał, spoglądając na Maksa.

— Owszem. Zdarza się to raz albo dwa razy w roku.

— Tylko do jeleni strzelamy bez ostrzeżenia — dodał pan Stevens, wystawiając na próbę nasze poczucie humoru. — Jeśli ktoś zabłądzi na wyspę, nie stanowi to większego zagrożenia — dodał poważniejszym tonem. — Jak już wspomniałem, nie chcę sprawiać wrażenia, że teren jest skażony. Ten mikrobus nie ma na przykład żadnych specjalnych zabezpieczeń. Z powodu bliskości laboratoriów wolelibyśmy jednak nie wpuszczać tutaj osób nieupoważnionych i żadnych zwierząt.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie spuentować jego wypowiedzi.

— Z tego, co widzę, panie Stevens, grupa nawet niezbyt sprawnych terrorystów mogłaby tu wylądować którejś nocy, załatwić pańskich nielicznych strażników, zabrać z laboratoriów najprzeróżniejsze świństwa i wysadzić cały obiekt w powietrze, uwalniając



śmiercionośne zarazki do atmosfery. W gruncie rzeczy, kiedy zatoka zamarza zimą, nie potrzebują nawet łodzi, mogą przejść suchą nogą z lądu.

— Mogę tylko powiedzieć, że mamy tutaj więcej zabezpieczeń, niż widać gołym okiem — odparł pan Stevens.

— Mam taką nadzieję.

— Może pan być tego pewien. Dlaczego nie spróbuje pan sam którejs nocy? — zapytał, patrząc mi prosto w oczy.

Uwielbiam takie wyzwania.

— Mogę się założyć o sto dolców, że wejdę do pańskiego biura, zabiorę ze ściany pańskie świadectwo ukończenia wieczorowej szkoły średniej i zawieszę je nazajutrz w moim gabinecie.

Pan Stevens świdrował mnie wzrokiem. W jego woskowej twarzy nie poruszył się żaden mięsień. Niesamowite.

— Pozwoli pan, że zadam mu pytanie, na które wszyscy tutaj musimy sobie odpowiedzieć — oświadczyłem. — Czy Tom i Judy Gordonowie mogli przemycić z wyspy jakieś mikroorganizmy? Z ręką na sercu.

— Teoretycznie mogli — odpowiedział Paul Stevens.

Nikt w mikrobusie się nie odezwał, ale zauważyłem, że szofer odwrócił się i rzucił w naszą stronę zaniepokojone spojrzenie.

— Ale dlaczego mieliby to zrobić? — zapytał pan Stevens.

— Dla pieniędzy — odparłem.

— Nie sprawiali na mnie wrażenia ludzi tego rodzaju — stwierdził. — Lubili zwierzęta. Dlaczego mieliby pragnąć zlikwidować życie zwierzęce na tej planecie?

— Może chcieli zlikwidować ludzi, żeby zwierzęta żyły długo i szczęśliwie.

— To śmieszne — oświadczył. — Gordonowie nie zabrali stąd niczego, co skrzywdziłoby jakąkolwiek żywą istotę. Ręczę za to swoją posadą.

— Już pan to zrobił. I swoją głową.

Zauważyłem, że Ted Nash i George Foster prawie się nie odzywają. Wiedziałem, że przerabiali ten temat znacznie wcześniej i prawdopodobnie bali się, że ich pytania zabrzmią w stylu „byłem tu, zaliczyłem to, dostałem w nagrodę podkoszulek”.

Pan Stevens utkwiał z powrotem wzrok w przedniej szybie.

— Zbliżamy się do Fortu Terry — oznajmił. — Możemy teraz wysiąść i trochę się przespacerować.

Mikrobus zatrzymał się i wszyscy wysiedli.

## Rozdział 9

Ranek był przyjemny, a słońce grzało mocniej w głębi wyspy. Paul Stevens oprowadzał nas po forcie.

Pozbawiony murów Fort Terry przypominał właściwie opuszczone miasto... i sprawiał zaskakująco malownicze wrażenie, ze zbudowanym z cegły aresztem, kantiną, rozpadającymi się, otoczonymi werandą piętrowymi koszarami, domem komendanta, kilkoma innymi budynkami z przełomu wieków i białym drewnianym kościołem na wzgórzu.

— To jedyny używany budynek — poinformował nas pan Stevens, pokazując jeden z ceglanych domów. — Mieści się tu remiza.

— Do laboratorium jest stąd kawał drogi — skomentował Max.

— Owszem — zgodził się Stevens — ale nowy gmach jest praktycznie ognioodporny i ma swój własny system przeciwpożarowy. Straż ogniowa gasi przeważnie pożary lasów i budynków stojących poza strefami zagrożenia.

— Ale pożar albo huragan mogą zniszczyć generatory, które zasilają system filtrów. Zgadza się? — zapytał Max, który przeżył całe życie po zawietrznej czy też może nawietrznej Plum Island.

— Wszystko jest możliwe — odparł Stevens. — Ludzie mieszkają blisko reaktorów jądrowych. Taki jest współczesny świat: pełen niewyobrażalnych zagrożeń. Katastrofa chemiczna, biologiczna albo nuklearna może w każdej chwili zetrzeć nas z powierzchni ziemi i dać szansę kolejnemu gatunkowi.

Spojrzałem na Paula Stevensa z nowym zainteresowaniem. Przyszło mi na myśl, że może być stuknięty.

Przed koszarami znajdowało się pole wystrzyżonej trawy, opadające ku oddalonej o kilkaset jardów wodzie. Po trawie laziły

kanadyjskie gęsi, gęgając, gdacząc, czy jak tam nazywa się to, co robią, kiedy nie srają.

— To plac parad — wyjaśnił Stevens. — Strzyżemy trawę, żeby z góry widać było betonowe litery wylane w polu. Litery układają się w napis: „Plum Island — Wstęp wzbroniony”. Nie chcemy, żeby lądowały tu małe samoloty. Napis odstrasza terrorystów, którzy chcieliby nas zaatakować z powietrza — dodał żartem.

Przez kilka chwil chodziliśmy po terenie.

— Zanim zbudowaliśmy główne laboratorium, część biur była ulokowana tutaj, w Forcie Terry — powiedział Stevens. — Teraz wszystko, laboratoria, pomieszczenia ochrony, magazyny, administracja i zwierzęta, znajduje się pod jednym dachem, co z punktu widzenia bezpieczeństwa jest bardzo korzystne. W związku z tym — stwierdził, zwracając się do mnie — jeśli nawet ktoś dostanie się na wyspę, główny budynek jest praktycznie nie do zdobycia.

— Naprawdę mnie pan prowokuje — odparłem.

Pan Stevens ponownie się uśmiechnął. Lubilem, kiedy się do mnie uśmiechał.

— Do pana informacji — dodał — mam dyplom ukończenia Uniwersytetu Michigan. Wisi na ścianie za moim biurkiem, ale nigdy go pan nie zobaczy.

Odwzajemniłem jego uśmiech. Boże, uwielbiam wkurzać ludzi, którzy mnie irytują. Lubilem Maksa, lubilem George'a Fostera, kochałem Beth, ale nie lubilem Teda Nasha ani Paula Stevensa. To, że lubilem trzy z pięciu, a właściwie gdybym doliczył siebie, cztery z sześciu osób, było całkiem niezłym wynikiem. Tak czy owak, coraz gorzej znoszę kłamców, kretynów, bufonów i ważniaków. Mam nadzieję, że stanę się bardziej tolerancyjny, zanim mnie zastrzelą. Muszę o to zapytać Dorna Fanellego.

Stary plac parad kończył się urwiskiem, u którego stóp leżała plaża, i nagle znaleźliśmy się na skraju skały. Widok na morze zapierał dech w piersi, podkreślając jednocześnie odludność tego miejsca, poczucie, że jest się gdzieś na końcu świata, wrażenie, które zawsze wiąże się z wyspami, ale na tej wyspie było szczególnie silne. To musiała być bardzo odosobniona placówka, wyjątkowo nudny posterunek; prócz obserwacji morza mało tu było do roboty. Tutejsi artylerzyści witali pewnie z radością widok nieprzyjacielskiej armady.

— Co rok na tę plażę przybywają późną jesienią foki — poinformował nas Stevens.

— Zabijacie je? — zapytałem.  
— Oczywiście, że nie. O ile pozostają na plaży.  
Kiedy wracaliśmy do fortu, Stevens zwrócił naszą uwagę na wielki głaz stojący na skraju placu parad. W jego zagłębieniu tkwiła zardzewiała kula armatnia.  
— Ta kula pochodzi mniej więcej z okresu rewolucji brytyjskiej albo wojny o niepodległość. To jedna z rzeczy, które wykopali Gordonowie.  
— Gdzie ją znaleźli?  
— Chyba gdzieś niedaleko. Kopali w wielu miejscach na focznej plaży i placu parad.  
— Naprawdę?  
— Mieli jakiś szósty zmysł, który podpowiadał im, gdzie jest coś ciekawego. Znaleźli dość kul od muszkietu, żeby uzbroić cały pułk.  
— Co pan mówi?  
Niech pan kontynuuje, panie Stevens.  
— Używali wykrywacza metalu.  
— Świetny pomysł.  
— To interesujące hobby.  
— Z pewnością. Moja ciocia była zapalonym archeologiem. Nie wiedziałem, że Gordonowie też się w to bawili. Nigdy nie widziałem niczego, co wykopali.  
— Nie wolno im było stąd nic zabrać.  
— Z powodu zarazków?  
— Nie. Dlatego, że to teren federalny.  
Wszystko to było całkiem interesujące. Nash oraz Foster nadstawili uszu, czego wcale nie chciałem, w związku z czym postanowiłem zmienić temat.  
— Wydaje mi się, że kierowca daje panu jakieś znaki — powie działałem.  
Stevens spojrział w stronę mikrobusu, ale kierowca przyglądał się po prostu gęsiom.  
— Obejrzymy teraz resztę wyspy — stwierdził, spoglądając na zegarek — a potem czeka nas spotkanie z doktorem Zollnerem.  
Wsiadliśmy do mikrobusu i odjechali, kierując się na wschód, w stronę skrawka łądu, który stanowił zakrzywioną kość schabowego kotleta. Plaża była wspaniała: dwie mile niezasmieconego, nie-  
tkniętego ludzką stopą piasku omywanego przez błękitne wody cieśniny Long Island. Nikt się nie odzywał w obliczu tego majestatycznego piękna natury. Nawet ja.

Stevens, wciąż stojąc, spoglądał na mnie co jakiś czas, a ja uśmiechałem się do niego. Odpowiadał uśmiechem, który naprawdę nie był zbyt miły.

W końcu zatrzymaliśmy się na wąskim krańcu wyspy.

— Mikrobus dojeżdża tylko dotąd — oznajmił pan Stevens. — Dalej pójdziemy piechotą.

Wysiedliśmy i znaleźliśmy się w środku zdumiewających starych min. Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem potężne betonowe fortyfikacje obrośnięte bluszczem i krzakami — schrony, bunkry, szańce, magazyny amunicji, tunele, ceglane i betonowe korytarze i grube na trzy stopy mury z osadzonymi w nich zardzewiałymi żelaznymi drzwiami.

— Jedno z tych podziemnych przejść — powiedział Stevens — prowadzi do tajnego laboratorium, gdzie uwięzieni nazistowscy naukowcy wciąż starają się odkryć niezniszczalnego wirusa, który położy kres ludzkiej rasie. — Odczekał kilka sekund, żebyśmy to przetrawili, po czym dodał: — W innym podziemnym laboratorium znajdują się zakonserwowane szczątki czterech obcych istot, które znaleziono na miejscu katastrofy UFO w Roswell w Nowym Meksyku.

Ponownie zapadło milczenie.

— Czy możemy najpierw obejrzeć nazistów? — zapytałem w końcu.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale bez większego przekonania.

— To dwa z absurdalnych mitów związanych z Plum Island — wyjaśnił, uśmiechając się triumfalnie, pan Stevens. — Ludzie opowiadają, że widzieli samoloty startujące i lądujące o północy na placu parad. Twierdzą, że stąd właśnie pochodzi wirus AIDS i chorooba Lyme. Te stare fortyfikacje z podziemnymi przejściami i po mieszczeniach mogą, jak przypuszczam, stanowić pożywkę dla bujnej wyobraźni. Możecie je pozwiedzać. Zaglątajcie, gdzie chcecie. Jeśli znajdziecie kosmitów, dajcie mi znać. — Ponownie się uśmiechnął. Miał naprawdę dziwny uśmiech i przyszło mi do głowy, że może sam jest kosmitą. — Ale oczywiście musimy się wszyscy trzymać razem — dodał. — Musicie się znajdować przez cały czas w zasięgu mojego wzroku.

Nie bardzo to pasowało do „zaglątajcie, gdzie chcecie”, ale różnica była naprawdę nieznaczna. John, Max, Beth, Ted i George wrócili więc w czasie dzieciństwa i bawili się, łażąc po ruinach, wchodząc po schodach, wspinając się na szańce — przez cały czas pod czujnym okiem pana Stevensa. W którymś momencie znaleź-

liśmy się w długim ceglany korytarzu prowadzącym ku dwuskrzydłowym stalowym drzwiom. Były uchylone i wszyscy weszliśmy do środka. W pomieszczeniu było ciemno, zimno, wilgotno i prawdopodobnie roilo się od robactwa.

— Tym korytarzem można dojść do wielkiego magazynu amunicji — tłumaczył Stevens, wchodząc za nami. — Na wyspie funkcjonowała linia wąskotorowa, którą przewożono amunicję i proch strzelniczy z portu do tych podziemnych składów. To bardzo skomplikowany i rozległy system, ale, jak widzicie, jest zupełnie opuszczony. Nie prowadzi się tutaj żadnej tajnej działalności. Gdybym miał przy sobie latarkę, moglibyśmy pójść dalej i przekonalibyście się, że nikt tam nie mieszka, nie pracuje, nie bawi się ani nie jest pochowany.

— W takim razie gdzie są naziści i kosmici? — zapytałem.

— Przeniosłem ich do latarni morskiej — odparł pan Stevens.

— Rozumie pan jednak nasze obawy, że Gordonowic mogli założyć tajne laboratorium w takim miejscu?

— Jak już powiedziałem, nie podejrzewam Gordonów o nic złego. Ponieważ jednak zrodziły się takie obawy, każę moim ludziom przeszukać cały kompleks. Na wyspie znajduje się ponadto około dziewięćdziesięciu opuszczonych budynków wojskowych. Czekam na mnóstwo roboty.

— Niech pan pośle kierowcę po kilka latarek — powiedziałem.

— Chciałbym się tutaj rozejrzeć.

W ciemności zapadła cisza.

— Kiedy zobaczycie się z doktorem Zollnerem — odezwał się w końcu Stevens — możemy, jeśli chcecie, wrócić tutaj i zbadać podziemne sale i korytarze. Teraz proszę za mną — dodał i weszliśmy na zewnątrz.

Idąc za nim, dotarliśmy do wąskiej dróżki, która prowadziła na wschodni kraniec Plum Island — koniec zakrzywionej kości.

— Jeśli rozejrzycie się dookoła, zobaczycie więcej stanowisk artyleryjskich — objaśniał Stevens. — W obrębie tych okrągłych murów trzymaliśmy kiedyś zwierzęta, ale teraz wszystkie znajdują się pod dachem.

— To brzmi okrutnie — stwierdziła Beth.

— Tak jest bezpieczniej — odparł.

W końcu dotarliśmy do wysuniętego na wschód cypla, wznoszącego się jakieś czterdzieści stóp nad kamienistą plażą. Erozja rozsadziła betonowy bunkier i jego szczątki leżały częściowo na plaży i częściowo w wodzie.

Widok był wspaniały. Po lewej stronie rysował się niewyraźnie brzeg Connecticut, a prosto przed nami, w odległości około dwóch mil, leżała Great Gull Island.

— Widzicie te sterczące z wody skały? — zapytał Stevens, wskazując ręką południe. — Służyły jako cel dla artylerii i bombardowań z powietrza. Jeśli ktoś z was jest żeglarzem, wie, że trzeba trzymać się od tej wysepki z daleka ze względu na liczne w jej okolicy niewypały. Dalej widzimy północny brzeg Gardiners Island, która, o czym komendant Maxwell zapewne świetnie wie, stanowi prywatną własność rodziny Gardinerów i jest niedostępna dla normalnych śmiertelników. Za Great Gull leży Fisher Island, którą, podobnie jak Plum, w szesnastym wieku często odwiedzali piraci. Patrząc z północy na południe, mamy zatem kolejno Wyspę Piratów, Wyspę Zakazaną, Wyspę Siedmiu Pląg i Wyspę Prywatną — stwierdził, uśmiechając się półgębkiem z własnego dowcipu.

Nagle zobaczyliśmy jedną z łodzi patrolowych, która okrążyła cypel. Trzyosobowa załoga zauważyła nas i jeden ze strażników podniósł do oczu lornetkę. Rozpoznawszy, jak sądzę, Paula Stevensa, pomachał do niego, a Stevens odpowiedział mu podobnym gestem.

Spojrzałem na leżącą w dole plażę i dostrzegłem, że piasek przecinały poziome czerwone pręgi, niczym warstwy malinowej galaretki w kremówce.

Za naszymi plecami rozległo się czyjeś wołanie; wąską drogą wspinał się ku nam kierowca.

— Zostańcie tutaj — polecił Stevens i ruszył w jego stronę.

Kierowca wręczył mu telefon komórkowy. W tym momencie przewodnik znika i widzimy, że autobus odjeżdża w siną dal, zostawiając Bonda samego z dziewczyną, ale zaraz potem z morza wynurzają się nurkowie z pistoletami maszynowymi, otwierają ogień i z boku nadlatuje helikopter...

— Detektywie Corey?

Spojrzałem na Beth.

— Tak?

— Co o tym myślisz?

Max, Nash i Foster wspinali się na umocnienia i będąc prawdziwymi mężczyznami, dyskutowali na temat zasięgu poszczególnych dział, kalibrów i takich rzeczy.

Byłem sam na sam z Beth.

— Myślę, że jesteś boska — powiedziałem.

— Co myślisz o Paulu Stevensie?

— To wariat.

— A co myślisz o tym, co do tej pory zobaczyliśmy i usłyszeliśmy?

— Wycieczka krajoznawcza. Ale od czasu do czasu można się dowiedzieć czegoś ciekawego.

Beth pokiwała głową.

— O co chodzi z tą archeologią? Wiedziałeś o tym?

— Nie — przyznałem. — Wiedziałem o Towarzystwie Historycznym Peconic, ale nie o prowadzonych tutaj wykopaliskach. Gordonowie nie wspominali też nigdy, że kupili akr bezużytecznej ziemi nad cieśniną Long Island.

— Jaki akr nad cieśniną?

— Opowiem ci później. To wszystko są drobne detale, rozumiesz, które mogą sugerować przemyt narkotyków, ale z drugiej strony mogą wcale na to nie wskazywać. Jest coś jeszcze... Słyszałaś kiedyś pikanie w głowie?

— Ostatnio nie. A ty?

— To brzmi jak odgłos sonaru.

— To brzmi jak inwalidztwo trzeciej grupy.

— Nie, to fala sonaru. Fala rozchodzi się, uderza w coś i wraca.

Pik.

— Kiedy ją następnym razem usłyszysz, podnieś rękę.

— Dobrze. Mam się kurować i odpoczywać, a ty wyprowadzasz mnie z równowagi, odkąd się spotkaliśmy.

— To samo można powiedzieć o tobie. Mając na względzie to, co znajduje się na wyspie — dodała, zmieniając temat — ochrona nie jest wcale taka szczelna, jak sobie wyobrażałam. Gdyby to był ośrodek nuklearny, widzielibyśmy wszędzie znacznie więcej strażników.

— Owszem. Ochrona zewnętrzna jest do bani, ale może w środku zorganizowano ją lepiej. I może, zgodnie z tym, co twierdzi Stevens, są tu zabezpieczenia, których nie widać gołym okiem. W zasadzie jednak mam wrażenie, że Tom i Judy mogli zabrać stąd, co im się żywnie podobało. Jedyne nadzieje, że nie chcieli tego zrobić.

— Myślę, że jutro albo najdalej pojutrze dowiemy się, że coś ukradli, i powiedzą nam, co to jest.

— Co masz na myśli? — zapytałem.

— Powiem ci później.

— Powiedz mi dzisiaj podczas kolacji.

— Obawiam się, że będę musiała przez to przebrnąć.

— Nie będzie tak źle.

— Mam szósty zmysł, który uprzedza mnie przed nieudanymi randkami.



— Jestem bardzo miły podczas randki. Nigdy nie celowałem z pistoletu do dziewczyny, z którą się umówiłem.

— Są jeszcze dworscy mężczyźni.

Odeszła kilka kroków ode mnie, stanęła na skraju urwiska i spojrzała na morze. Po prawej stronie był Atlantyk, po lewej cieśnina Long Island i, podobnie jak z drugiej strony wyspy, spotykały się tu różne wiatry i prądy. Mewy wydawały się tkwić nieruchomo w powietrzu, a grzywy fal zderzały się tworząc kipieli. Beth wyglądała pięknie, stojąc na tle błękitnego nieba, gnanych wiatrem białych chmur, mew, morza, słońca i tak dalej. Wyobraziłem ją sobie nagą w tej samej pozie.

Pan Stevens zakończył rozmowę przez telefon i podszedł do nas.

— Możemy wracać do mikrobusu — oświadczył.

Ruszyliśmy z powrotem drogą, która wiodła wzdłuż cypla, i po kilku minutach znaleźliśmy się ponownie przy zrujnowanych fortyfikacjach.

Zauważyłem, że jedno ze stromych wzgórz, na których zbudowano stanowiska artyleryjskie, ostatnio zerodowało, odsłaniając kilka warstw świeżej ziemi. Najwyższą z nich stanowił organiczny czarny kompost, co było łatwe do przewidzenia. Pod spodem znajdował się biały piasek, co także było normalne. Następna warstwa miała jednak czerwony kolor podobny do rdzy. Potem szedł piasek i kolejne czerwone pasmo, zupełnie jak na plaży.

— Muszę pójść na stronę. Zaraz wracam — powiedziałem do Stevensa.

— Niech pan się nie zgubi — odparł niezupełnie żartem.

Obszedłem dookoła wzgórze, złapałem kawałek suchego drewna i zacząłem nim ryć w pionowej ścianie trawiastego zbocza. Czarny kompost i trawa odpadły i zobaczyłem przeplatające się białe i czerwone pasma. Wziąłem do ręki trochę czerwonawobrazowej ziemi i odkryłem, że to glina zmieszana z piaskiem i być może z rudą żelaza. Wyglądała bardzo podobnie do tego, co widziałem na podszwach tenisówek Toma i Judy. Interesujące.

Wsypałem garść ziemi do kieszeni, odwróciłem się i ujrzałem Stevensa, który przyglądał mi się, stojąc nieopodal.

— Mówiłem chyba, że nic nie ma prawa opuścić wyspy — odezwał się.

— Chyba pan mówił.

— Co takiego wsadził pan do kieszeni?

— Mojego fiuta.

Przez jakiś czas mierzyliśmy się wzrokiem.

— Na tej wyspie, detektywie Corey, ja jestem przedstawicielem prawa. Nie pan, nie detektyw Penrose, nawet nie komendant Maxwell ani dwaj towarzyszący wam dżentelmeni. Czy mogą zobaczyć, co włożył pan do kieszeni? — zapytał, świdrując mnie tymi lodowatymi oczyma.

— Mogę pokazać, ale później będę musiał pana zabić — odparłem z uśmiechem.

Przez chwilę się zastanawiał, rozważając stojące przed nim opcje, a potem podjął właściwą decyzję.

— Czeka na nas mikrobus — powiedział.

Minąłem go, a on ruszył za mną. Oczekiwałem, że na moim gardle zaciśnie się garota, oberwę czymś twardym w głowę albo poczuję nóż między żebrami, ale Paul Stevens był bardziej wyrafinowany. Później poczęstuje mnie prawdopodobnie filiżanką kawy z kilkoma kroplami węglika.

Wsiadliśmy do mikrobusu i odjechaliśmy.

Wszyscy usiedli na starych miejscach. Stevens ponownie stanął w przejściu. Mikrobus jechał na zachód, z powrotem w kierunku przystani i głównego budynku laboratorium. Po pewnym czasie minęła nas jadąca w przeciwną stronę półciężarówka z dwoma uzbrojonymi w strzelby mężczyznami w niebieskich mundurach.

Generalnie dowiedziałem się więcej, niż myślałem, że się dowiem, zobaczyłem więcej, niż się spodziewałem, i usłyszałem dosyć, żeby mnie to zaciekawilo. Byłem przekonany, że odpowiedź na pytanie, dlaczego Tom i Judy Gordonowie zostali zamordowani, znajduje się na tej wyspie. A jak już wspomniałem, kiedy dowiem się dlaczego, będę również wiedział kto.

— Czy jest pan całkowicie pewien, że Gordonowie wypłynęli swoją łodzią wczoraj w południe? — zapytał George Foster, który do tej pory przeważnie się nie odzywał.

— Absolutnie. Według książki raportów rano pracowali w laboratorium. Potem podpisali się na liście wyjść, wzięli prysznic i wsiadli do takiego jak ten mikrobusu, który zawiózł ich na przystań. Co najmniej dwaj moi ludzie widzieli, jak wchodzi na pokład swojej łodzi *Spirochete* i biorą kurs na Plum Gut\*.

— Czy ktoś z helikoptera albo łodzi patrolowej widział, jak wpływali na Plum Gut? — pytał dalej Foster.

Stevens potrząsnął głową.

— Nie. Pytałem o to.

\* Plum Gut (ang.) — Śliwkowa Cieśnina.

— Czy wzdłuż tej linii brzegowej jest jakieś miejsce, gdzie można ukryć łódź? — chciała wiedzieć Beth.

— Nie. Na Plum nie ma żadnych głębokich zatoczek. Linia brzegowa jest prosta z wyjątkiem jednej sztucznej zatoki, gdzie dobija prom.

— Czy wasi strażnicy kazaliby odpłynąć Gordonom, gdyby zauważyli ich łódź zakotwiczoną w bezpośredniej bliskości wyspy? — zapytałem.

— Nie. Gordonowie często zarzucali kotwicę i wędkowali przy brzegu Plum. Strażnicy dobrze ich znali.

Nie wiedziałem, że Gordonowie byli takimi zapalonymi wędkarzami.

— Czy pana ludzie widzieli ich kiedyś stojących tu na kotwicy po zapadnięciu zmroku i później w nocy? — drażyłem dalej.

Stevens nie odpowiedział od razu.

— Z tego, co wiem, wydarzyło się to tylko raz — odparł. — Dwaj moi ludzie z łodzi patrolowej wspomnieli, że którejś lipcowej nocy koło godziny dwunastej motorówka Gordonów stała na kotwicy blisko południowej plaży. Strażnicy zauważyli, że jest pusta, i skierowali reflektor na brzeg. Gordonowie byli na plaży... — Stevens odchrząknął, dając w ten sposób do zrozumienia, co Gordonowie robili na plaży. — Strażnicy nie przeszkadzali im — dodał.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem. Tom i Judy sprawiali wrażenie ludzi, którzy mogli to robić gdziekolwiek, zatem kochanie się w nocy na opuszczonej plaży nie było niczym nadzwyczajnym. Ale na Plum Island? Trochę mnie to zdziwiło i nasunęło kilka pytań. Zabawne, ale ja sam wyobraziłem sobie raz, że kocham się z Judy na omywanej falami plaży. Może nawet więcej niż raz. Marząc o tym, zawsze się policzkowałem. Sprośny świntuch, sprośny świntuch.

Mikrobus minął przystań promową, po czym skręcił na północ i zatrzymał się na półkolistym podjeździe przed głównym laboratorium.

Owalny fronton zbudowanego w stylu art deco budynku wyłożony był różowymi i brązowymi kamiennymi płytami. Na dużej tablicy pośrodku trawnika widniał napis „Departament Rolnictwa”. Obok stał kolejny maszt ze spuszczoną do połowy flagą.

— Mam nadzieję, że wycieczka po Plum Island była udana i pozytywnie oceniacie nasz system ochrony — powiedział Stevens, kiedy wysiedliśmy.

— Jakiej ochrony? — zdziwiłem się.

Pan Stevens spiorunował mnie wzrokiem.

— Każdy, kto tutaj pracuje — oznajmił — ma świadomość potencjalnej katastrofy. Wszyscy jesteśmy uwrażliwieni na sprawy bezpieczeństwa, pracujemy z oddaniem i przestrzegamy najwyższych standardów, jakie istnieją w tej dziedzinie. Ale wiecie co? Zawsze można wdepnąć w gówno.

Ta nonszalancja i wulgarne słowo w ustach Pana Cnoty trochę wszystkich zaskoczyły.

— Racja — zgodziłem się. — Ale czy wdepnęliśmy wczoraj?

— Wkrótce się tego dowiemy — powiedział i zerknął na zegarek. — W porządku, możemy już wejść do środka. Proszę za mną.

## Rozdział 10

Półkolisty hol wejściowy ośrodka badawczego Plum Island był wysoki na dwa piętra; wokół centralnych schodów biegł krużganek. Wnętrze było lekkie i przestronne, przyjemne i gościnne. Skazane zwierzęta wchodziły prawdopodobnie od tyłu.

Na ścianie po lewej stronie wisiały fotki przedstawiające rządowy schemat dowodzenia — prezydent, sekretarz rolnictwa oraz doktor Zollner — raczej krótki schemat jak na agencję państwową. Można było odnieść wrażenie, że gabinet doktora Zollnera mieści się o krok albo dwa od Gabinetu Owalnego.

Pośrodku holu znajdowała się recepcja, gdzie musieliśmy się wpisać i wymienić niebieskie przypinane przepustki na białe, na plastikowych łańcuszkach, które zawiesiliśmy na szyi. Pomyślałem, że z punktu widzenia bezpieczeństwa to całkiem niegłupie — na wyspie wydzielono ten budynek oraz całą resztę. A w budynku znajdowały się strefy. Nie powinienem lekceważyć pana Stevensa.

Atrakcyjna młoda dama w długiej do kolan spódniczce zeszła po schodach, nim zdążyłem przyjrzeć się jej udom, i przedstawiła się jako Donna Alba, asystentka doktora Zollnera.

— Doktor Zollner przyjmie państwa za chwilę. Tymczasem oprowadzę państwa po ośrodku — dodała z uśmiechem.

— Skorzystam ze sposobności — oświadczył Paul Stevens — żeby zajrzeć do mojego gabinetu i zobaczyć, czy nie zaszły jakieś nowe okoliczności. Donna dobrze się wami zaopiekuje. — Spojrzał na mnie i dodał: — Niech pan ani na chwilę nie oddała się od pani Alby.

— Co mam zrobić, jeśli będę musiał skorzystać z toalety?

— Już pan skorzystał — odparł, po czym wspiął się po schodach,

żeby zająrzeć, byłem tego pewien, do doktora Zollnera i zdać mu raport na temat pięciu intruzów.

Przyjrzałem się Donnie Albie. Miała dwadzieścia kilka lat, czarne włosy, ładną buzią oraz zgrabną figurą i ubrana była w niebieską spódniczką, białą bluzkę i tenisówki. Przypuszczam, że jeśli ktoś dojeżdża do pracy promem i nigdy nie wie, czy nie będzie musiał wybrać się na wycieczkę po wyspie, wysokie obcasy nie są zbyt praktyczne. W gruncie rzeczy, jeśli ktoś lubi bezpieczny dojazd i normalny dzień w biurze, nie powinien szukać pracy na Plum Island.

Donna była dość atrakcyjna, bym zapamiętał, że płynęła z nami promem o ósmej. Nie poznała zatem jeszcze panów Nasha i Fostera i najprawdopodobniej nie brała udziału w mistyfikacji.

Poprosiła, byśmy się przedstawili, co uczyniliśmy, nie używając żadnych przykrych tytułów w rodzaju: „detektyw wydziału zabójstw”, „FBI” czy „CIA”. Donna uściśliła nam wszystkim dłonie, szczególnie miło uśmiechając się do Nasha. Kobiety zupełnie nie znają się na charakterach.

— Witamy w Ośrodku Badawczym Chorób Zwierzęcych na Plum Island — oświadczyła. — Jestem pewna, że Paul opowiedział państwu historię wyspy i pokazał, co jest tutaj ciekawego. — Nie przestawała się uśmiechać, ale widziałem, że robi to z przymu sem. — Jestem bardzo... to straszne, co się stało — wyznała nagle. — Naprawdę lubiłam Gordonów. Wszyscy ich lubili... — Rozejrzała się dookoła, jak robią to ludzie w państwach policyjnych. — Nie powinnam o tym mówić. Ale pomyślałam, że powinniście wiedzieć, co czuję.

Beth zerknęła na mnie, dostrzegając, jak sądzę, pierwszą szczelinę w zbroi chroniącej Plum Island.

— John i Max byli dobrymi przyjaciółmi Toma i Judy — oznajmiła.

Spojrzałem Donnie Albie prosto w oczy.

— Będziemy wdzięczni za wszelką pomoc i współpracę ze strony waszego personelu — stwierdziłem. Wszelka pomoc sprowadzała się do tej pory do Paula Stevensa w roli przewodnika za pięćdziesiąt centów, lecz chodziło o to, aby Donna uwierzyła, że możemy rozmawiać swobodnie; oczywiście nie tutaj, ale kiedy odwiedzimy ją w domu.

— Oprowadzę państwa po ośrodku. Proszę za mną — powiedziała.

Na początek pokazała nam wiszące na ścianach holu różne

ekspozaty, wśród nich powiększenia artykułów prasowych i alarmujących opowieści z całego świata o chorobie wściekłych krów, a także czymś, co nazywało się zarazą bydłą, oraz o pomorze świń i innych paskudnych chorobach. Były tam mapy pokazujące zasięg tej czy innej epidemii, tablice, wykresy, fotografie bydła ze spuchniętymi pyskami, z których ciekły strużki śliny, i świń ze straszными, sączącymi się wrzodami. Nie sposób było pomylić tego holu z serwującą dania mięsne restauracją.

Potem zaprowadziła nas pod dwoje drzwi, pomalowanych na ten sam ostrzegawczy żółty kolor, którym oznaczona była Plum Island na mapach i który kontrastował z dominującymi w holu różnymi odcieniami szarości. Na lewych drzwiach znajdował się napis „Szatnia żeńska”, na prawych „Szatnia męska”.

— Te drzwi prowadzą do laboratoriów — powiedziała. — Choć z zewnątrz można odnieść wrażenie, że to jeden gmach, hol oraz biura administracji mieszczą się właściwie w oddzielnym budynku. Te szatnie stanowią jedyny łącznik między biurowcem i laboratorium.

— Czy jest jakieś inne wejście do laboratorium? — zapytał Max.

— Można się tam dostać przez wejście służbowe, którym dostarczane są do wnętrza zwierzęta, dostawy i w ogóle wszystko. Ale nie wolno wychodzić tamtędy na zewnątrz. Wszystkie przedmioty i wszyscy ludzie opuszczający laboratoria muszą przejść przez oddział odkażania, w którym znajdują się prysznic\*.

— Jak pozbywacie się pozostałości po sekcji i innych odpadów? — zapytał pan Foster.

— W spalarni oraz specjalnymi rurami, które prowadzą do zakładu odkażania ścieków — odparła Donna. — To wszystko: te dwa wejścia, wejście służbowe z tyłu gmachu, kanalizacja, spalarnia, a także specjalny filtr powietrzny na dachu, który jest w stanie wychwycić najmniejszego wirusa. To bardzo szczelny budynek.

Każdy z nas myślał o Gordonach i o tym, jak mogli przemycić coś z laboratorium.

— Szatnie znajdują się, podobnie jak hol, w strefie pierwszej — podjęła Donna. — Wychodząc z szatni, wkracza się jednak do strefy drugiej i trzeba być ubranym w białe laboratoryjne fartuchy. Przed opuszczeniem strefy drugiej, trzeciej i czwartej należy wziąć prysznic, który znajduje się w strefie drugiej.

— Czy prysznic są koedukacyjne? — zapytałem.

Donna roześmiała się.

— Niestety nie. Rozumiem — dodała — że wolno państwu

wejść do strefy drugiej, trzeciej i czwartej. Oczywiście, jeśli macie państwo ochotę.

— Czy będzie nam pani towarzyszyć? — zapytał Ted Nash, ze swoim głupim uśmiechem.

Donna potrząsnęła głową.

— Nie płacą mi za to.

Podobnie jak mnie — konsultantowi za jednego dolara tygodniowo.

— Dlaczego nie mamy zgody na wejście do strefy piątej? — zapytałem.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

— Do piątej? Po co mielibyście państwo tam wchodzić?

— Nie wiem. Bo istnieje.

— Wejść tam ma prawo tylko około dziesięciu osób — odparła, potrząsając głową. — Trzeba wkładać coś w rodzaju skafandra kosmicznego.

— Czy Gordonowie mieli takie prawo?

Kiwnęła głową.

— Co się dzieje w strefie piątej?

— Powinien pan zadać to pytanie doktorowi Zollnerowi. Proszę za mną — powiedziała, zerkając na zegarek.

— I nie rozchodzić się — dodałem.

Ruszyliśmy po schodach. Ja guzdrałem się nieco z tyłu, ponieważ doskwierała mi postrzelona łydka, a poza tym chciałem przyjrzeć się nogom i tyłczkowi Donny. Wiem, że straszny ze mnie świntuch — niewykluczone, że skonom na świński pomór.

Zaczęliśmy wycieczkę po dwóch skrzydłach gmachu, przylegających do holu wejściowego. Wszystko pomalowane tu było na ten sam szary albo popielaty kolor, który, jak sądzę, zastąpił wymiotną zielen starszych budynków federalnych. Na ścianach korytarzy wisiały fotografie byłych dyrektorów, naukowców i badaczy.

Prawie wszystkie drzwi były zamknięte. Zauważyłem, że opatrzone są numerami, lecz nigdzie nie ma tabliczek z nazwiskami i informacją o tym, co się za nimi znajduje, z wyjątkiem ubikacji. Tak jest bezpieczniej, pomyślałem i ponownie musiałem docenić paranoiczną umysłowość Paula Stevensa.

Weszliśmy do biblioteki, gdzie paru jajogłowych stało przy regałach albo czytało przy stołach.

— To jedna z najlepiej zaopatrzonych bibliotek tego typu na świecie — oznajmiła Donna.



— Nie do wiary! — stwierdziłem, choć nie wydawało mi się, by we wszechświecie było wiele bibliotek poświęconych chorobom zwierzęcym.

Donna wzięła ze stołu garść broszur, biuletynów i innych materiałów propagandowych i rozdała je nam.

Składane we troje broszury zatytułowane były między innymi *Świńska cholera*, *Afrykańska gorączka świń*, *Afrykańska choroba koni* oraz *Gruda zgorzelinowa*, na którą to przypadłość, sądząc z nieprzyjemnych zdjęć w broszurze, chorowała jedna z moich byłych przyjaciółek. Nie mogłem się doczekać, żeby wrócić do domu i zagłębić się w lekturze.

— Czy mógłbym dostać jeszcze dwie broszurki na temat zarazy płucnej bydła? — poprosiłem Donnę.

— Jeszcze dwie...? Proszę bardzo...

Dała mi je. Była naprawdę miła. Następnie wręczyła każdemu z nas egzemplarz miesięcznika „Agricultural Research” z polecanym na okładce sprośnym felietonem, który nosił tytuł: *Rola feromonów seksu w zwalczaniu owocówek*.

— Czy mógłbym dostać brązowy papier, żeby to schować? — zapytałem.

— Brązowy papier...? Pan żartuje, prawda?

— Niech pani postara się nie traktować go zbyt poważnie — poradził jej George Foster.

Wprost przeciwnie, panie Foster — pan powinien traktować mnie bardzo poważnie. Ale jeśli bierze pan moje specyficzne poczucie humoru za dowód nieuwagi bądź roztrzepania, tym lepiej dla mnie.

Kontynuowaliśmy zatem drugą część wycieczki za pięćdziesiąt centów. Zobaczyliśmy salę widowiskową i zajrzeliśmy do kafeterii na pierwszym piętrze, miłego czystego nowoczesnego lokalu z wielkimi oknami, z których widać było latarnię morską, Plum Gut i Orient Point. Donna zaproponowała nam kawę, wszyscy usiedliśmy przy okrągłym stole w prawie pustej sali i przez kilka minut gawędziliśmy o tym i owym.

— Naukowcy w laboratoriach zamawiają lunch faksem. Żeby go zjeść, nie warto się wyprysnicowywać... tak właśnie to nazywamy: wyprysnicowywać. Jedna osoba dostarcza wszystkie zamówione dania do strefy drugiej i tylko ona musi brać prysznic. Naukowcy pracują z wielkim oddaniem, przez osiem albo dziesięć godzin dziennie. Nie wiem, jak to wytrzymują.

— Czy zamawiają hamburgery? — zapytałem.

— Słucham...?

— Naukowcy. Czy zamawiają w kuchni wołowinę, szynkę, jagnięcinę i takie rzeczy?

— Chyba tak. Spotykam się z jednym z badaczy. Lubi mięso.

— I pracuje potem przy sekcji zdechłych i rozkładających się krów?

— Owszem. Myślę, że można się do tego przyzwyczaić.

Pokiwałem głową. Gordonowie również dokonywali sekcji i uwielbiali dobrze wypieczony stek. Dziwne. Ja na przykład nie mogę się przyzwyczaić do odoru gnijących ludzkich zwłok. Ale ze zwierzętami jest chyba inaczej. Bariera gatunkowa i tak dalej.

Wiedziałem, że to jedyny moment, kiedy będę mógł odłączyć od stada, w związku z czym wstałem i rzuciłem znaczące spojrzenie Maksowi.

— Gdzie jest męska toaleta? — zapytałem.

— Tam — odpowiedziała Donna, wskazując niewielki korytarzyk. — Proszę nie wychodzić z kafeterii.

Mijając Beth, położyłem jej rękę na ramieniu i przycisnąłem w dół, dając do zrozumienia, żeby została z federalnymi.

— Pilnuj, aby Stevens nie wrócił tu i nie wsypał węglika do mojej kawy — szepnąłem.

Zaczekałem na Maksa przy wejściu do obu toalet, i stanęliśmy w samym końcu korytarzyka. W ubikacji prędzej założą podłuch niż na korytarzu.

— Mogą powiedzieć, że poszli na pełną współpracę — stwierdziłem. — Pokazali nam całą wyspę i ośrodek, z wyjątkiem strefy piątej. W gruncie rzeczy jednak sprawdzenie całego budynku z piwnicami zajęłoby nam kilka dni, a przesłuchanie personelu co najwyżej tydzień.

Max pokiwał głową.

— Musimy zakładać, że tym ludziom zależy tak samo jak nam na ustaleniu, czy coś stąd nie zginęło. W tej kwestii możemy im ufać — stwierdził.

— Jeśli nawet ustalą, a może już teraz wiedzą, co takiego wykradli Gordonowie, nigdy nas o tym nie poinformują. Powiedzą Fosterowi i Nashowi.

— I co z tego? Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa.

— Kiedy wiem co i dlaczego, wtedy jestem bliski odkrycia kto — odparłem.

— Tak to wygląda w normalnych sprawach. Gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe, możesz się cieszyć, jeżeli w ogóle cokolwiek ci powiedzą. Nie mamy tutaj czego szukać. Oni kontro-

Luja wyspę, miejsce pracy ofiar. My kontrolujemy miejsce zabójstwa, ich dom. Może uda nam się wymienić jakieś informacje z Fosterem i Nashem. Lecz nie sądzę, żeby obchodziło ich, kto załatwił Gordonów. Chcą mieć pewność, że Gordonowie nie załatwili reszty kraju. Chyba o tym wiesz.

— Tak, Max, wiem. Ale instynkt gliniarza mówi mi...

— A co będzie, jeśli złapiemy zabójcę, ale nie zdołamy wytoczyć mu procesu, bo w całym stanie Nowy Jork nie zostanie przy życiu dwunastu ludzi, którzy mogliby zasiąść na ławie przysięgłych?

— Nie dramatyzuj. To może nie mieć nic wspólnego z zarazkami. Co powiesz na narkotyki?

Max pokiwał głową.

— Też o tym myślałem. Ciekawa hipoteza.

— Z całą pewnością. Co sądzisz o Stevensie?

Zamiast odpowiedzieć Max spojrzął za moje ramię. Odwróciłem się i zobaczyłem strażnika w niebieskim mundurze.

— Czy mogę panom w czymś pomóc? — zapytał.

Max nie skorzystał z jego oferty i wróciliśmy do stołu. Kiedy wysyłają kogoś, żeby przerwał prywatną rozmowę, to znaczy, że nie są w stanie jej podsłuchać.

Po kilku minutach dalszej pogawędki i raczenia się kawą pani Alba spojrzała na zegarek.

— Możemy teraz zwiedzić pozostałą część skrzydła — oznajmiła. — Potem spotkamy się z doktorem Zollnerem.

— Mówiła pani to samo pół godziny temu — przypomniałem jej grzecznie.

— Doktor Zollner jest dzisiaj bardzo zajęty. Urywają się telefony. Z Waszyngtonu i środków przekazu z całego kraju. — W jej głosie słyhać było zdumienie i powątpiewanie. — Nie wierzę w to, co mówią o Gordonach — stwierdziła. — Ani przez chwilę. W żadnym wypadku.

Wyszliśmy z kafeterii i przez jakiś czas włoczyliśmy się po pomalowanych na szaro korytarzach. W końcu, w trakcie oglądania sali komputerowej, poczułem, że mam tego dosyć.

— Chciałbym zobaczyć laboratorium, w którym pracowali Gordonowie — poinformowałem Donnę.

— Laboratorium znajduje się w innej strefie. Obejrzycie je zapewne później.

— W porządku. Więc może zajrzemy do gabinetu Toma i Judy tutaj, w skrzydle administracyjnym?

Donna zawahała się.

— Może pan spytać o to doktora Zollnera. Nie polecił mi pokazywać wam gabinetu Gordonów.

Ponieważ nie chciałem jej urazić, posłałem Sylwestrowi Maxwellowi spojrzenie, które rozumieją gliniarze — ty jesteś teraz złym policjantem, Max.

— Jako szef policji gminy Southold, do której należy ta wyspa — oznajmił — żądam, żeby zaprowadziła nas pani do gabinetu Toma i Judy Gordonów, których morderstwo stanowi przedmiot prowadzonego przez nas śledztwa.

Całkiem nieźle, Max, mimo pokrętej gramatyki i składni.

Biedna Donna Alba wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć.

— Proszę zrobić to, o co prosi panią komendant Maxwell — dodała Beth.

Nadeszła kolej na panów Fostera i Nasha i wiedziałem już, co powiedzą. Rolę kutasa miał tym razem odegrać George Foster.

— Ze względu na charakter pracy Gordonów — oświadczył — i na to, że wśród ich papierów mogą się znajdować dokumenty...

— Dotyczące bezpieczeństwa narodowego — pomogłem mu — i tak dalej, bla, bla, bla.

— Gordonowie mieli dostęp do poufnych materiałów — odezwał się mały Teddy, uznając, że on również powinien zająć oficjalne stanowisko — i z tego powodu ich papiery objęte są klauzulą tajności...

— Bzdura.

— Jeszcze nie skończyłem, detektywie Corey — odparł, mierząc mnie naprawdę paskudnym wzrokiem. — Niemniej jednak ze względu na dobro śledztwa i w celu uniknięcia sporów na temat jurysdykcji postaram się załatwić telefonicznie dostęp do gabinetu Gordonów. W porządku? — zapytał, spoglądając na mnie, Beth i Maksa.

Pokiwaliśmy głowami.

Gabinet Gordonów został już oczywiście całkowicie przeszukany i wyczyszczony zeszłej nocy albo wczesnym rankiem. Jak powiedziała Beth, mogliśmy tu zobaczyć tylko to, co chcieli, żebyśmy zobaczyli. Robiąc w tej sprawie dużo szumu, chciałem, by George i Ted uwierzyli, iż spodziewamy się odkryć w gabinecie Gordonów coś naprawdę interesującego.

Donna Alba wyraźnie się odprężyła.

— Zatelefonuję do doktora Zollnera — poinformowała Nasha, po czym podniosła słuchawkę i nacisnęła przycisk interkomu. Ted Nash wyjął w tym czasie komórkę, odmaszerował kilka kroków na

bok i odwrócony do nas plecami rozmawiał bądź też udawał, że rozmawia z bogami Narodowego Bezpieczeństwa w Wielkiej Stolicy Zakłopotanego Mocarstwa.

Po skończonym przedstawieniu wrócił do nas, zwykłych śmiertelników, i w tym samym momencie Donna skończyła rozmawiać z doktorem Zollnerem. Oboje kiwnęli głowami.

— Proszę za mną — powiedziała Donna.

Po wyjściu na korytarz ruszyliśmy w stronę schodów, po których wspięliśmy się na górę. Przy drzwiach numer 265 zatrzymaliśmy się i Donna otworzyła je zbiorczym kluczem.

W środku stały dwa biurka, każde z własnym komputerem i modemem, półki z literaturą fachową oraz długi roboczy stół zarzucony książkami i papierami. Nie widziałem żadnego sprzętu laboratoryjnego — wyłącznie rzeczy biurowe, w tym faks.

Przez chwilę myszkowaliśmy w biurkach Gordonów, otwierając szuflady i przerzucając papiery, ale, jak już wspomniałem, gabinet został wyczyszczony wcześniej. Tak czy owak, ludzie, którzy planują coś nielegalnego, nie zapisują tego w kalendarzu ani nie zostawiają na ten temat notatek na biurku.

Mimo to nigdy nie wiadomo, co można znaleźć. Przeglądając karty w ich wizytowniku zorientowałem się, że mieli znajomych na całym świecie, w większości, jak się wydawało, naukowców. Pod nazwiskiem „Gordon” znalazłem kartę rodziców Toma i nazwiska ludzi, wśród których musieli być: jego brat, siostra i inni członkowie rodziny. Wszyscy mieszkali w Indianie. Nie znałem nazwiska panińskiego Judy.

Zajrzałem pod „Corey John” i znalazłem numer mojego telefonu, choć nie przypominam sobie, żeby dzwonił do mnie z pracy. Pod nazwiskiem „Maxwell Sylvester” znalazłem numer służbowy i domowy komendanta. Poszukałem „Wiley Margaret”, ale jej nie znalazłem, co specjalnie mnie nie zdziwiło. Było za to, całkiem logicznie, nazwisko Murphych, najbliższych sąsiadów. Znalazłem Fredrica Tobina i przypomniałem sobie dzień, gdy wybrałem się razem z Gordonami do jego winiarni na degustację wina. Trafiłem także na numer Towarzystwa Historycznego Peconic i domowy numer jego prezeski, niejakiej Emmy Whitestone.

Zajrzałem pod „K” i „D”, szukając „Kolumbijskiego Kartelu Narkotykowego” i „Dealera heroiny imieniem Pedro”, ale nie poszczęściło mi się. Nie trafiłem również na „Terrorystów” pod „T”, ani na „Arabskich terrorystów” pod „A”. Nie znalazłem Stevensa ani Zollnera, lecz doszedłem do wniosku, że ich numery

muszą znajdować się w specjalnym spisie telefonicznym, i postanowiłem, że go zdobędę.

Nash bawił się komputerem Toma, a Foster komputerem Judy. Była to prawdopodobnie jedyna rzecz, której nie zdążyli do końca sprawdzić tego ranka.

Zauważyłem, że w gabinecie nie było prawie żadnych rzeczy osobistych — fotografii, bibelotu, dzieła sztuki, nawet przyborów do pisania, które nie należałyby do państwa. Zapytałem o to Donnę.

— W strefie pierwszej nie ma żadnego zakazu dotyczącego rzeczy osobistych. Ale ludzie raczej nie przywożą promem żadnych przedmiotów, może z wyjątkiem kosmetyków i lekarstw. Nie wiem, z czego to wynika. Właściwie możemy zamówić wszystko, na co mamy ochotę, oczywiście w granicach rozsądku. Trochę nas to rozpieszczają.

— Idą na to moje podatki — zauważyłem.

Donna uśmiechnęła się.

— Trzeba o nas zadbać na tej zwariowanej wyspie — stwierdziła.

Podszedłem do dużej korkowej tablicy, przy której stali Max i Beth, czytając przypięte do niej karteluski.

— To miejsce zostało już wyczyszczone dziś rano — mruknąłem tak, żeby nie usłyszeli mnie federalni.

— Przez kogo? — zapytał Max.

— John i ja — powiedziała Beth — widzieliśmy rano naszych dwóch przyjaciół wysiadających z promu, który przyplłynął z Plum Island. Już tu byli, spotkali się ze Stevenssem i oglądali ten gabinet.

Max wydawał się zaskoczony i poirytowany.

— Niech to szlag — mruknął. — To niezgodne z prawem.

— Na twoim miejscu nie robiłbym z tego problemu — stwierdziłem. — Ale rozumiesz teraz, dlaczego nie jestem w najlepszym nastroju.

— Nie zauważyłem specjalnej różnicy. Ja natomiast jestem naprawdę wkurzony.

— Jesteśmy trochę spóźnieni — odezwała się Donna, najuprzejmiej jak umiała, przerywając naszą dyskusję. — Może będziecie państwo chcieli wrócić tu później.

— Chcę, żeby ten gabinet został zamknięty na kłódkę — powiedziała Beth — i żeby pani tego osobiście dopilnowała. Mam zamiar przysłać tu ekipę policji z Suffolk. Trochę się rozejrzę.

— Zakładam, że mówiąc o rozejrzeniu się, masz na myśli zabezpieczenie stąd pewnych przedmiotów — odezwał się Nash,

— Całkiem słusznie.

— Moim zdaniem złamane zostało prawo federalne i mam zamiar zabrać wszystkie należące do rządu federalnego przedmioty, które mogą posłużyć jako dowody rzeczowe — oznajmił Foster. — Ale udostępnię je oczywiście policji Suffolk.

— Nie, George — odpowiedziała Beth. — Ja zabiorę wszystko, co jest w tym gabinecie, i udostępnię wam wszystko, czego będziecie potrzebowali.

— Zajrzyjmy teraz do centrum operacyjnego — wtrąciła szybko Donna, wyczuwając wiszącą w powietrzu awanturę.

Wyszliśmy z powrotem na korytarz i ruszyliśmy za nią do pokoju oznaczonego numerem 237. Donna wystukała szyfr na elektronicznym zamku, otworzyła drzwi i stanęliśmy na progu dużej pozabawionej okien sali.

— Tu znajduje się punkt dowodzenia i centrum łącznościowe całej Plum Island — wyjaśniła.

Weszliśmy do środka i rozejrzałem się dookoła. Wzdłuż wszystkich ścian stały długie stoły. Przy jednym z nich siedział odwrócony do nas plecami młody człowiek, rozmawiając przez telefon.

— To Kenneth Gibbs, asystent Paula Stevensa — poinformowała nas Donna. — Kenneth jest dzisiaj oficerem dyżurnym.

Młody człowiek odwrócił się na krzesło i pomachał nam.

Na stołach stały trzy różne nadajniki i odbiorniki radiowe, terminal komputerowy, telewizor, dwa faksy, telefony stacjonarne oraz komórkowe, dalekopis i kilka innych elektronicznych bajerów. Zawieszane pod sufitem dwie kamery monitorowały całe pomieszczenie.

Na ścianach wisiały najprzeróżniejsze mapy, częstotliwości radiowe, komunikaty, wykaz dyżurów i tym podobne rzeczy. To było królestwo Paula Stevensa: dowództwo, nadzór i łączność. Nie widziałem jednak drzwi, które prowadziłyby do jego prywatnego gabinetu.

— Mamy stąd bezpośrednie połączenie z Waszyngtonem — opowiadała Donna — oraz innymi ośrodkami badawczymi w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Meksyku. Jesteśmy także w kontakcie z Ośrodkiem Kontroli Chorób w Atlancie. Mamy poza tym bezpośrednią linię do naszej straży pożarnej i innych kluczowych punktów na wyspie, do Krajowej Służby Meteorologicznej oraz licznych agencji i organizacji, które wspierają Plum Island.

— Takich jak wojsko? — zapytałem.

— Owszem. Zwłaszcza Straż Przybrzeżna.

Gibbs odłożył słuchawkę, podszedł do nas i dokonaliśmy prezentacji.

Był wysokim facetem koło trzydziestki, o niebieskich oczach i, tak samo jak jego szef, krótko ściętych włosach koloru blond. Miał na sobie elegancko uprasowane spodnie, koszulę i błękitny krawat. Na krześle wisiał niebieski blezer. Gibbs, nie miałem co do tego wątpliwości, był produktem tutejszego laboratorium, sklonowanym z fiuta lub jakiejś innej części ciała Stevensa.

— Odpowiem państwu na każde pytanie dotyczące tego centrum — oświadczył.

— Czy mogłaby pani zostawić nas na kilka minut z panem Gibbem? — poprosiła Beth, zwracając się do Donny.

Donna posłała pytające spojrzenie Gibbsowi i kiedy skinął głową, wyszła.

— Co pan robi, kiedy do wyspy zbliża się silny północno-wschodni wiatr albo huragan? — zapytał Max, który, jako jedyny w naszej grupie bliski sąsiad Plum Island, miał własny zestaw tematów.

— Jeśli dzieje się to w godzinach pracy, zarządzamy ewakuację — odparł Gibbs.

— Ewakuujecie wszystkich?

— Kilka osób musi zostać, żeby pilnować sklepika. Na przykład ja. Dotyczy to również pana Stevensa, paru innych ludzi z ochrony, jednego albo dwóch techników, którzy pilnują, żeby nie przestał pracować generator i filtry, i może paru naukowców monitorujących zarazki. Domyślam się, że również doktor Zollner będzie chciał pójść na dno ze swoim okrętem — dodał, śmiejąc się.

Może coś jest ze mną nie tak, ale nie znajdowałem nic śmiesznego w wizji śmiertelnych zarazków hulających po całej okolicy.

— Gdyby zdarzyło się to poza godzinami pracy, kiedy nie ma tutaj prawie nikogo — dodał Gibbs — musielibyśmy przewieźć najważniejszych ludzi na wyspę. Następnie powinniśmy wysłać nasze promy i inne jednostki pływające do bazy okrętów podwodnych w New London, gdzie byłyby bezpieczne. Okręty podwodne wypływają wtedy z portu i zanurzają się na najbezpieczniejszą głębokość. Wiemy, co robić. Jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność.

— A jeśli dojdzie do wycieku substancji biologicznych, będzie pan tak uprzejmy i do mnie zatelefonuje? — zapytał Max.

— Dowie się pan o tym jako jeden z pierwszych — zapewnił go Gibbs.

— Wiem o tym. Ale chciałbym się dowiedzieć przez telefon albo radio, a nie plując krwią czy w podobnych okolicznościach.



Gibbs lekko się zjeżył.

— Mój regulamin określa, kogo mam zawiadomić i w jakiej kolejności. Pan jest na samym początku listy.

— Prosiłem, byście zainstalowali tutaj syrenę, która ostrzegalaby mieszkańców North Fork przed niebezpieczeństwem.

— Kiedy do pana zadzwonimy, może pan uruchomić syrenę i ostrzec ludność cywilną — odparł Gibbs. — Nie przewiduję żadnych wycieków, więc dyskusja jest bezprzedmiotowa — dodał.

— Nie jestem tego taki pewien. Ta wyspa mnie przeraża i teraz, kiedy ją z bliska zobaczyłem, wcale się mniej nie boję.

— Nie macie państwo powodu do obaw — stwierdził Gibbs i poczułem się od razu lepiej.

— Co będzie, jeśli na wyspę wtargną uzbrojeni intruzi? — zapytałem pana Gibbsa.

— Ma pan na myśli terrorystów?

— Owszem, mam na myśli terrorystów. Albo, nie daj Boże, niezadowolonych pracowników poczty.

Gibbs nie wydawał się specjalnie ubawiony.

— Jeśli nasi ludzie sobie z nimi nie poradzą, możemy zawsze wezwać Straż Przybrzeżną — odparł, pokazując kciukiem radio.

— A jeśli to centrum zostanie opanowane w pierwszej kolejności?

— W tym budynku znajduje się drugie centrum dowodzenia.

— W podziemiach?

— Być może. Wydawało mi się, że prowadzi pan dochodzenie w sprawie morderstwa?

Uwielbiam, kiedy ochroniarze usiłują dać mi po nosie.

— Zgadza się — odparłem. — Gdzie pan wczoraj był o wpół do szóstej po południu?

— Ja?

— Pan.

— Chwilę... niech pomyślę.

— Gdzie jest pańska czterdziestkapiątka?

— Tutaj... w szufladzie.

— Czy ostatnio pan z niej strzelał?

— Nie... to znaczy, zabieram ją czasami na strzelnicę.

— Kiedy ostatnio widział pan Gordonów?

— Niech pomyślę...

— Jak dobrze pan ich znał?

— Niezbyt dobrze.

— Pił pan kiedyś z nimi drinka?

— Nie.  
— Jadł lunch? Kolację?  
— Nie. Powiedziałem już...  
— Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z nimi służbowo?  
— Nie... to znaczy...  
— To znaczy?  
— Kilka razy. Na temat ich łodzi. Gordonowie lubili plażę Plum Island. W niedzielę i święta zarzucali czasem kotwicę przy południowym brzegu, a potem płynęli wplaw na plażę, ciągnąc za sobą gumowy ponton, w którym mieli rzeczy na piknik. Nie przeskadzało nam to. Kiedyś sami urządzaliśmy tu czwartego lipca piknik dla wszystkich pracowników i ich rodzin. Był to jedyny dzień w roku, kiedy wpuszczaliśmy na wyspę osoby niezatrudnione, ale musieliśmy z tym skończyć, bo były jakieś kłopoty z ubezpieczeniem.

Próbowałem wyobrazić sobie taką świąteczną wycieczkę: coś w rodzaju komory biologicznej pod plażowym kocem.

— Gordonowie przestrzegali przepisów i nigdy ze sobą nikogo nie zabierali — kontynuował Gibbs. — Ale ich łódź stanowiła pewien problem.

— Jakiego rodzaju?

— Po pierwsze, widząc ją w ciągu dnia, inni żeglarze dochodzili do wniosku, że także mogą zejść na brzeg i poopalać się na plaży. A po drugie, po zapadnięciu zmroku motorówka stwarzała zagrożenie dla naszych patroli. Rozmawiałem z nimi o obu sprawach i staraliśmy się znaleźć jakieś rozwiązanie.

— Jakie na przykład?

— Najprościej byłoby, gdyby cumowali w porcie i jeździli po wyspie jednym z naszych pojazdów. Pan Stevens nie miał nic przeciwko, choć naruszałyby to przepisy o użytkowaniu pojazdów służbowych. Ale i tak byłoby to lepsze od tego, co robili. Gordonowie nie chcieli jednak cumować w porcie i jeździć po wyspie samochodem. Chcieli to robić po swojemu: krążyć motorówką wokół wyspy, zabierać ponton i płynąć wplaw na plażę. Tak jest fajniej, twierdzili. Bardziej spontanicznie, podniecająco.

— Kto rządzi na tej wyspie? Stevens, Zollner czy Gordonowie?

— Musimy dbać o naszych naukowców, inaczej dostają kręcka. Ludzie z personelu technicznego żartują, że każdy, kto narazi się naukowcowi, zapada na tajemniczą infekcję wirusową, która wykańcza go w ciągu trzech dni.

Wszystkich bardzo to rozśmieszyło.

— Tak czy inaczej umówiliśmy się, że będą zostawiać na morowcu zapalone światła. Powiadomiłem helikoptery i Straż Przybrzeżną o ich łodzi. Poza tym Gordonowie obiecali, że będą zarzucać kotwicę wyłącznie w miejscach, gdzie stoją nasze wielkie tablice z napisem „Wstęp wzbroniony”. To na ogół odstrasza mniej odważnych.

— Co Gordonowie robili na wyspie?

Gibbs wzruszył ramionami.

— Urządzali pikniki. Robili piesze wycieczki. Po godzinach pracy i w wolne dni mieli do dyspozycji prawie dziewięćset akrów niezamieszkanego terenu.

— Słyszałem, że byli archeologami amatorami.

— Tak, zgadza się. Biegali stale po ruinach. Zbierali eksponaty dla muzeum Plum Island.

— Muzeum?

— Powiedzmy, na wystawę. Mieliśmy ją otworzyć w holu wejściowym. Eksponaty przechowujemy w podziemiach.

— Co to za eksponaty?

— W większości kule muszkietowe i groty strzał. Jeden krowi dzwonek... mosiężny guzik z munduru Armii Kontynentalnej, jakieś rupiecie z okresu wojny hiszpańsko-amerykańskiej... butelka po whisky... takie rzeczy. Przeważnie śmieci. Wszystko to jest skatalogowane i przechowywane w piwnicy. Możecie rzucić okiem, jeśli macie ochotę.

— Może później — powiedziała Beth. — Słyszałam, że Gordonowie chcieli zorganizować oficjalne wykopaliska. Wiedział pan o tym?

— Owszem. Nie chcemy, żeby po wyspie szwendali się ludzie z Towarzystwa Historycznego Stony Brook albo Peconic. Ale Gordonowie usiłowali to załatwić przez Departament Rolnictwa i Departament Spraw Wewnętrznych. Ci ostatni mają decydujące słowo w kwestii artefaktów — dodał.

— Czy nie przyszło panu nigdy do głowy, że Gordonowie coś kombinują? — zapytałem. — Na przykład wynoszą coś z głównego budynku, zakopują to na plaży podczas tak zwanych wykopalisk i zabierają później łodzią?

Kenneth Gibbs nie odpowiedział.

— Czy nie przyszło panu do głowy — drażyłem dalej — że te pikniki i zabawa w archeologię są wyłącznie przykrywką?

— Patrząc wstecz... może i tak... wszyscy się mnie czepiają, że powinienem był coś podejrzewać. Dziś nikt nie pamięta, że tych

dwoje było na świeczniku. Mogli robić, co im się żywnie podobało, niemal podetknąć krowi placek pod nos doktorowi Zollnerowi. Nie musicie mi prawić morałów. Robiłem, co do mnie należało. Może i robił. A ja znowu usłyszałem to piknięcie.

— Czy pan albo któryś z pańskich ludzi widział łódź Gordonów po tym, jak odплыnęli z przystani? — zapytała Beth, zwracając się do Gibbsa.

— Nie. Pytałem o to.

— Innymi słowy, jest pan pewien, że wczoraj po południu łódź nie zarzuciła kotwicy przy brzegach wyspy?

— Nie. Tego nie mogę być pewien.

— Jak często wasze łodzie okrążają wyspę? — chciał wiedzieć Max.

— Normalnie używamy jednej z dwu łodzi — odparł Gibbs. — Żeby opłynąć wyspę, trzeba pokonać jakieś osiem, dziewięć mil, więc przy szybkości dziesięciu, dwunastu węzłów pełne okrążenie trwa od czterdziestu do sześćdziesięciu minut. Jeśli nie zatrzymają po drodze żadnej łodzi.

— Zatem jeśli motorówka znajdowała się mniej więcej w odległości pół mili od wyspy i osoba na pokładzie miała lornetkę, mogła zobaczyć waszą łódź — powiedziała Beth. — Nazywa się *Prune*, prawda?

— *Prune* i *Plum Pudding*\*.

— No właśnie. Więc ta osoba mogła zobaczyć łódź i jeśli znała wasz rozkład jazdy, wiedziała, że ma jakieś czterdzieści minut, żeby dotrzeć do brzegu, zarzucić kotwicę, dopłynąć pontonem na plażę, zrobić to, co zamierzała zrobić, i wrócić niepostrzeżenie na motorówkę.

Pan Gibbs odchrząknął.

— To możliwe, ale zapomina pani o helikopterze i patrolach drogowych, które kontrolują plażę i robią to w sposób wyrywkowy.

Beth pokiwała głową.

— Przed chwilą wróciliśmy z wycieczki po wyspie — stwierdziła. — W ciągu prawie dwóch godzin zobaczyłam tylko raz helikopter Straży Przybrzeżnej, raz patrol drogowy i raz waszą łódź.

— Powiedziałem już, że patrole są wyrywkowe. Chciałaby pani podjąć ryzyko?

— Niewykluczone — odparła Beth. — Zależy od tego, ile by mi zapłacono.

\* Plum Pudding (ang.) — Śliwkowy Pudding.

— Okolice wyspy sprawdzają też o różnych porach dnia i nocy ludzie Straży Przybrzeżnej i jeśli mam być zupełnie szczerzy, mamy urządzenia elektroniczne, które wykonują większość pracy.

— Gdzie są monitory? — zapytałem Gibbsa, zataczając ręką krąg po sali.

— W podziemiach.

— Co konkretnie macie? Kamery telewizyjne? Detektory ruchu? Detektory dźwięku?

— Nie wolno mi o tym mówić.

— W porządku — oznajmiła Beth. — Niech pan zapisze swoje nazwisko, adres i numer telefonu. Zostanie pan wezwany na przesłuchanie.

Gibbs przygryzł wargę, ale wyraźnie ulżyło mu, że daliśmy na razie spokój. Podejrzewałem, że również i on miał okazję poznać wcześniej panów Fostera i Nasha.

Podszedłem do ściany, żeby przyjrzeć się wiszącej koło nadajników radiowych dużej mapie przedstawiającej wschodnią część Long Island i południe Connecticut. Narysowane były na niej koncentryczne kręgi, których środek znajdował się w miejscowości New London w Connecticut. Przypominały mapy zagrożenia nuklearnego, informujące, jak mocno przypieczemy sobie tyłek w różnych odległościach od punktu zero. Plum Island znajdowała się tu w ostatnim kręgu, co w zależności od treści mapy mogło stanowić powód do radości lub smartwienia.

— O co tutaj chodzi? — zapytałem, nie widząc żadnej legendy.

Pan Gibbs spojrział na mapę.

— To reaktor nuklearny w New London — odparł. — Kręgi przedstawiają różne stopnie zagrożenia w wypadku, gdyby doszło do eksplozji albo stopił się rdzeń.

Uderzyła mnie ironia tkwiąca w fakcie, że reaktor w New London stanowił zagrożenie dla Plum Island, która z kolei, przy odpowiednim kierunku wiatru, stanowiła zagrożenie dla wszystkich mieszkańców New London.

— Myśli pan, że w New London mają podobną mapę przedstawiającą stopnie zagrożenia w razie wycieku substancji biologicznej na Plum Island? — zapytałem Kennetha Gibbsa.

Nawet taki sztywniak jak on nie mógł się nie uśmiechnąć, słysząc to pytanie, ale był to dziwny uśmiech. Gibbs i Stevens ćwiczyli zapewne swoje uśmiechy jeden na drugim.

— Tak się składa, że obsługa reaktora rzeczywiście ma mapę, o której pan wspomniał — powiedział. — Czasami zastanawiam

się, co by było, gdyby trzęsienie ziemi spowodowało jednocześnie wyciek substancji biologicznej i przeciek radioaktywnej. Czy radioaktywność zabiłaby zarazki? — Ponownie się uśmiechnął. Dziwne, dziwne. — Współczesny świat pełen jest niewyobrażalnych zagrożeń — zauważył filozoficznie.

To zdanie było najwyraźniej tutejszą mantrą.

— Na pana miejscu — poradziłem mu — poczekałbym na porządny południowy wiatr i wypuścił węglika. Załatwił ich, zanim oni załatwią was.

— Dobry pomysł.

— Gdzie jest gabinet pana Stevensa? — zapytałem Kennetha Gibbsa.

— W pokoju numer dwieście pięćdziesiąt.

— Dziękuję.

Zabrzączał interkom i w głośniku odezwał się męski głos.

— Doktor Zollner może teraz przyjąć swoich gości.

Podziękowaliśmy panu Gibbsowi, że zechciał poświęcić nam swój czas, a on podziękował, że złożyliśmy mu wizytę, co czyniąc, wszyscy zasłużyliśmy na miano kłamców. Beth przypominała, że ma się u niej stawić.

Donna czekała na nas na korytarzu.

— Te drzwi nie mają żadnych tabliczek z nazwiskami ani tytułami — zauważyłem, kiedy szliśmy.

— Względny bezpieczeństwa — stwierdziła oschle.

— Gdzie jest gabinet pana Stevensa?

— W pokoju numer dwieście dwadzieścia pięć — odparła, udowadniając po raz kolejny, że najlepszym zabezpieczeniem jest kłamstwo.

Doszła do końca korytarza i otworzyła drzwi numer dwieście.

# Rozdział 11

— Proszę, siadajcie — powiedziała Donna. — Sekretarka doktora Zollnera, June, zaraz tu będzie.

Wszyscy usiedliśmy. Donna stała, czekając na June. Po jakiejś minucie przez boczne drzwi weszła kobieta w średnim wieku, z zaciśniętymi gniewnie ustami.

— June, to są goście doktora Zollnera — przedstawiła nas Donna.

Sekretarka ledwo dostrzegalnie skinęła głową i siadła bez słowa za biurkiem. Donna życzyła nam miłego dnia i wyszła. Zauważyłem, że ani na sekundę nie zostawiają nas samych. Jestem prawdziwym fanem środków bezpieczeństwa, pod warunkiem że nie są skierowane przeciwko mnie.

Tak czy owak już teraz tęskniłem za Donną. Była naprawdę miła. Mieszka tutaj mnóstwo miłych kobiet, ale w okresie między moim niedawnym rozwodem oraz jeszcze bliższą czasowo kuracją i rekonwalescencją nie wypuszczałem się raczej na łowy.

Zerknąłem na Beth Penrose. Spojrzała na mnie, prawie się uśmiechnęła, a potem odwróciła głowę.

Przyjrzałem się George'owi Fosterowi. Zawsze wydawał mi się wzorem opanowania. Zakładałem, że za tymi pustymi oczyma kryje się bystry umysł. Miałem taką nadzieję.

Sylvester Maxwell stukał niecierpliwie palcami w poręcz fotela. Generalnie był chyba zadowolony, że mnie zatrudnił, choć z pewnością zastanawiał się, jak trzymać w ryzach wynajętego za dolara tygodniowo niezależnego konsultanta, który wkurzał wszystkich naokoło.

Poczekalnia urządzona była w tym samym popielatoszarym odcieniu co reszta gmachu. Łatwo było się tu nabawić deprywacji sensorycznej.

Co się tyczy pokoju numer dwieście pięćdziesiąt, wiedziałem z całą pewnością, że nie ma tam ani Paula Stevensa, ani jego dyplomu. W pokoju numer dwieście pięćdziesiąt umieszczono prawdopodobnie dwadzieścia wściekłych psów czekających, by odgryźć mi jaja. Co się tyczy pokoju numer dwieście dwadzieścia pięć, nie miałem pewności... Nic na tej wyspie nie było tym, czym się wydawało, i nikt nie był do końca wiarygodny.

— Moja ciotka też miała na imię June — powiedziałem do sekretarki.

Podniosła wzrok znad biurka i wlepiała we mnie oczy.

— To ładne imię — kontynuowałem. — Nie wiem dlaczego, ale kojarzy mi się z późną wiosną i wczesnym latem. Letnie przesilenie, wie pani?

June nie spuszczała ze mnie wzroku. Jej oczy zwężyły się. Niesamowite.

— Proszę połączyć się z doktorem Zollnerem — oznajmiłem — i powiedziec mu, że ma nas przyjąć w ciągu dziesięciu sekund. W przeciwnym razie aresztujemy go za utrudnianie śledztwa. Dzie więć sekund.

Pani June przycisnęła klawisz interkomu.

— Doktorze Zollner, proszę tu przyjść. Natychmiast.

— Pięć sekund.

Drzwi po prawej stronie otworzyły się i pojawił się w nich duży tęgi brodac z białej koszuli i niebieskim krawacie.

— Tak? — zapytał. — O co chodzi?

— O niego — odparła June, wskazując mnie palcem.

Brodacz spojrzał na mnie.

— Słucham pana?

Wstałem z fotela. Pozostali też wstali. Poznałem doktora Zollnera z zawieszonej w holu fotografii schematu dowodzenia.

— Przepłynęliśmy wielką wodę, podróżowaliśmy wiele mil i pokonailiśmy wiele przeszkód, żeby się z panem zobaczyć — powiedziałem — a pan ma nas kompletnie w nosie, doktorze.

— Słucham?

— Czy mam wezwać ochronę? — zapytała June.

— Nie, nie. — Doktor Zollner zmierzył wzrokiem swoich gości. — Wchodźcie, wchodźcie.

Weszliśmy, weszliśmy.

Gabinet doktora był duży, ale meble, ściany i dywan nie różniły się od tego, co widzieliśmy gdzie indziej. Za biurkiem wisiała imponująca kolekcja dyplomów. Inne ściany zajmowały abstrakcyjne



obrazy, autentyczny chłam podobny do tego, co można zobaczyć w najlepszych muzeach. Wciąż stojąc, przedstawiliśmy się, podając tym razem nasze tytuły i zajmowane stanowiska. Odniosłem wrażenie — choć znowu nie mogłem mieć w tej kwestii pewności — że Zollner spotkał się już wcześniej z Fosterem i Nashem.

Wszyscy uściskaliśmy sobie dłonie i Zollner szeroko się uśmiechnął.

— Witajcie. Mam nadzieję, że pan Stevens i pani Alba okazali się pomocni.

Mówił z trochę obcym akcentem, prawdopodobnie niemieckim, jeśli jakąś wskazówkę mogło stanowić jego nazwisko. Był, jak już wspomniałem, duży — właściwie gruby — miał białą czuprynę, białą brodę w stylu van Dycka oraz grube okulary. Jeśli chcecie znać prawdę, wyglądał jak Burl Ives\*.

— Siadajcie, siadajcie — poprosił i usiedliśmy, usiedliśmy. — Wciąż jestem wstrząśnięty tą tragedią — oznajmił na początek. — Nie mogłem spać dziś w nocy.

— Kto zawiadomił pana wczoraj o tym, co się stało, doktorze? — zapytała Beth.

— Pan Stevens. Powiedział, że dzwonił do niego z policji — odparł Zollner. — Gordonowie byli wybitnymi naukowcami. Cieszyli się wielkim szacunkiem kolegów. Mam nadzieję, że szybko rozwiążecie tę sprawę — dodał.

— My też mamy taką nadzieję — zapewniła go Beth.

— Proszę mi także wybaczyć, że kazałem wam czekać. Przez cały ranek urywały się telefony.

— Z tego, co wiem, doktorze, miał pan nie udzielać wywiadów — powiedział Nash.

Zollner pokiwał głową.

— Tak, tak. Oczywiście. Nie przekazywałem żadnych informacji, czytałem tylko przygotowane wcześniej oświadczenie. To, które nadeszło z Waszyngtonu.

— Może pan je nam przeczytać? — poprosił Foster.

— Tak, oczywiście, oczywiście. — Zollner poszperał wśród papierów na biurku i znalazł właściwą kartkę. — „Sekretarz Departamentu Rolnictwa wyraża głęboki żal z powodu śmierci pracowników naszego departamentu, doktorów Thomasa i Judith Gordonów. Nie angażujemy się w spekulacje na temat okoliczności tej tragedii. Wszelkie pytania dotyczące prowadzonego śledztwa winny

\* Burl Ives, amerykański aktor i piosenkarz, zmarł w 1995.

być kierowane do miejscowej policji, która jest w stanie udzielić na nie pełniejszej odpowiedzi".

— Czy mógłby pan przesłać to faksem do policji w Southold? — poprosił Max, kiedy Zollner skończył czytać tekst niezawierający praktycznie żadnej treści. — Będziemy mogli odczytać to oświadczenie prasie po zastąpieniu „miejscowej policji” Federalnym Biurem Śledczym.

— FBI nie zajmuje się tą sprawą, komendancie — stwierdził pan Foster.

— Prawda, zapomniałem. Podobnie jak CIA. — Max spojrział na Beth. — A co z policją hrabstwa? Zajmujecie się tą sprawą?

— Zajmujemy się sprawą i kierujemy śledztwem — odparła Beth. — Czy może pan powiedzieć, na czym polegały obowiązki Gordonów? — zapytała doktora Zollnera.

— Owszem... Zajmowali się głównie... badaniami genetycznymi. Genetycznymi modyfikacjami wirusów, dzięki którym, nie powodując choroby, stymulowały one system immunologiczny.

— Szczepionkami?

— Tak, nowym rodzajem szczepionek. O wiele bezpieczniejszym od posługiwania się osłabionym wirusem.

— I mieli w swojej pracy dostęp do wszelkiego typu wirusów i bakterii?

— Tak, oczywiście. Przeważnie do wirusów.

Beth kontynuowała, przechodząc do bardziej typowych dla tego rodzaju śledztwa pytań dotyczących przyjaciół, wrogów, długów, ewentualnych gróźb, stosunków w pracy, zapamiętanych rozmów ze zmarłymi, ich zachowania w ostatnich tygodniach i tak dalej, i tak dalej. Solidny policyjny materiał, który w tym wypadku nie miał większego znaczenia. O te sprawy trzeba było jednak zapytać Zollnera i prawie wszystkich, którzy znali Gordonów, a potem pytać po raz drugi i kolejny tych, którzy już zostali przesłuchani, żeby upewnić się, czy nie ma żadnych niekonsekwencji w ich zeznaniach. Choć w gruncie rzeczy — gdyby przyjąć, że mamy do czynienia z kradzieżą śmiertelnych zarazków — potrzebowaliśmy wielkiego przełomu, drogi na skróty, czegoś, co pozwoliłoby ominąć zmuśną dłubaninę, zanim dojdzie do końca świata.

Spojrzałem na abstrakcyjne malowidła na ścianach i zdałem sobie nagle sprawę, że to nie obrazy, ale kolorowe fotografie... Coś mówiło mi, że to sfotografowane pod mikroskopem choroby — bakterie i tak dalej — atakujące krew i komórki. Niesamowite. Choć właściwie nie wyglądały tak strasznie.

Zollner zauważył moje spojrzenie.

— Organizmy, które wywołują choroby, mogą być piękne — stwierdził, przerywając odpowiedź na jedno z pytań.

— Rzeczywiście — zgodziłem się. — Mam garnitur w ten sam wzorek. W zielone i czerwone esy-floresy, jak tam, z prawej strony.

— Z prawej? To filowirus. Dokładniej rzecz biorąc Ebola. Oczywiście podkolorowany. Te małe żyjątka są w stanie uśmiercić pana w czterdzieści osiem godzin. Nie ma na nie lekarstwa.

— I znajdują się w tym budynku?

— Być może.

— Gliniarze nie lubią tego słowa, doktorze. Tak czy nie?

— Tak. Ale są w bezpiecznym miejscu: zamrożone i pod kluczem. Poza tym zajmujemy się tutaj wyłącznie małpią Ebolą. Nie ludzką.

— Sporządziliście inwentarz wszystkich zarazków?

— Tak. Ale jeśli mam być szczery, nie ma sposobu, żeby policzyć wszystkie okazy. A potem pojawia się problem, kiedy ktoś rozmnaża pewne organizmy w niedozwolonym miejscu. Tak, tak. Wiem, do czego pan zmierza. Uważa pan, że Gordonowie zabrali jakieś bardzo egzotyczne i zabójcze organizmy i być może sprzedali je... powiedzmy obcemu mocarstwu. Ale zapewniam pana, że tego nie zrobili.

— Dlaczego?

— Bo to zbyt straszna ewentualność, by można ją było brać pod uwagę.

— To bardzo krzepiące — odparłem. — Możemy zatem wracać do domu.

Doktor Zollner wbił we mnie wzrok, nieprzyzwyczajony, jak sądzę, do mojego poczucia humoru. Naprawdę wyglądał jak Burl Ives i miałem zamiar poprosić go o zdjęcie i autograf.

— Czy otworzyłyby pan bramy piekła, gdyby miał pan do nich klucz, detektywie Corey? — zapytał w końcu, pochylając się w moją stronę. — Gdyby pan to zrobił, musiałby pan szybko brać nogi za pas.

— Skoro otwarcie bram piekła jest tak bardzo niewyobrażalne — odpowiedziałem — w takim razie po co potrzebuje pan zamka i klucza?

Zollner pokiwał głową.

— Chyba po to, by uchronić nas przed szaleńcami — stwierdził. — Oczywiście Gordonowie nimi nie byli — dodał po chwili.

Nikt z nas się nie odezwał. Od ostatniej nocy wszyscy zadawaliśmy sobie to pytanie kilkadziesiąt razy, głośno i po cichu.

— Przedstawię panu inną teorię — oznajmił w końcu doktor Zollner — która, mam nadzieję, okaże się słuszna już dzisiaj. Oto moje zdanie: Gordonowie, którzy byli wspaniałymi, ale nieco bez troskimi ludźmi i nie trzymały się ich pieniądze, wykradli jedną z nowych szczepionek, nad którymi pracowali. Odnoszę wrażenie, że byli bardziej zaawansowani w badaniach, niż kazali nam wierzyć. Niestety takie rzeczy zdarzają się czasami w nauce. Mogli mieć osobne notatki i nawet osobne żele sekwencyjne... to takie prze zroczyste płytki, gdzie genetycznie zmodyfikowane mutacje, które poddawane są działaniu wirusa, pojawiają się jako coś w rodzaju kodu kreskowego.

Milczeliśmy.

— Przypuśćmy — kontynuował doktor Zollner — że Gordonowie odkryli fenomenalną nową szczepionkę przeciwko jakiemś groźnemu wirusowi... zwierzęcemu, ludzkiemu albo takiemu, który atakuje i zwierzęta, i ludzi... Trzymali swoje odkrycie w tajemnicy i w ciągu kilku miesięcy ukryli wszystkie notatki, żele genetyczne, a może nawet samą szczepionkę w jakimś miejscu w laboratorium albo w którymś z porzuconych budynków na wyspie. Ich celem było oczywiście sprzedanie jej jakiejś zagranicznej firmie farmaceutycznej. A może mieli zamiar złożyć wymówienie, zatrudnić się w prywatnej firmie i udąć, że tam dokonali odkrycia. Dostaliby wtedy całkiem pokaźną gratyfikację sięgającą milionów dolarów. A honoraria od sprzedaży mogły sięgnąć dziesiątków milionów w zależności od szczepionki.

Znowu cisza. Zerknąłem na Beth. Właściwie przewidziała coś takiego, kiedy staliśmy na skraju urwiska.

— To całkiem logiczne — kontynuował doktor Zollner. — Nie? Ludzie, którzy stykają się w pracy z życiem i śmiercią, będą raczej sprzedawać życie. Dlatego chociażby, że to bardziej bezpieczne i lukratywne. Śmierć jest tania. Mógłbym was zabić mikroskopijną ilością węglika. Życie o wiele jest trudniej chronić i zachowywać. Jeśli śmierć Gordonów była w jakikolwiek sposób związana z ich pracą tutaj, to właśnie tak, jak to opisałem. Dlaczego pomyśleliście od razu o śmiertelnych wirusach i bakteriach? Dlaczego tak właśnie funkcjonują wasze umysły? Jeśli jedynym narzędziem jest młotek, mówimy, wtedy każdy problem wydaje się gwoździem. Prawda? Wcale was o to nie winię. Zawsze wyobrażamy sobie najgorsze. Na tym polega wasza praca.

Znowu nikt się nie odezwał.

Doktor Zollner potoczył po nas wzrokiem.

— Jeśli Gordonowie zrobili to, postąpili niemoralnie i naruszyli prawo. A ten, z kim się kontaktowali, był również człowiekiem niemoralnym, chciwym i, jak widać, niecofającym się przed morderstwem.

Wyglądało na to, że zacny doktor Zollner dobrze sobie wszystko przemyślał.

— To nie pierwszy przypadek, kiedy zatrudnieni przez rząd i wielkie korporacje naukowcy starają się wykraść własne odkrycia i zbić fortunę. To bardzo frustrujące dla geniusza, gdy widzi, jak inni otrzymują miliony za swoją pracę. Stawka jest bardzo wysoka. Gdyby tej szczepionki można było na przykład użyć przeciwko szerzącym się masowo chorobom, takim jak AIDS, wtedy w grę wchodzi setki milionów dolarów. Być może nawet miliardy dla odkrywców.

Wszyscy popatrzyliśmy po sobie. Miliardy dolarów.

— Tak to wygląda. Gordonowie chcieli być bogaci, ale jeszcze bardziej zależało im na sławie. Chcieli być rozpoznawani, chcieli, żeby szczepionka nosiła ich imię tak jak szczepionka Salka. Coś takiego nigdy by się tu nie zdarzyło. W tym miejscu staramy się unikać rozgłosu poza środowiskiem naukowym. Gordonowie byli trochę zbyt ekstrawaganccy jak na uczonych. Byli młodzi, chcieli mieć dużo rzeczy. Pragnęli, by ziścił się ich amerykański sen, i byli przekonani, że na to zasłużyli. I powiem wam, że rzeczywiście na to zasłużyli. Byli genialni, przepracowali i nisko opłacani. Poszukali więc na to jakiejś rady. Zastanawiam się tylko, co takiego odkryli, i martwię się, że już tego nie odzyskamy. Zastanawiam się także, kto ich zabił, chociaż jestem przekonany, że wiem, dlaczego to zrobił. Co wy na to? Tak? Nie?

— Sądzę, że coś takiego się zdarzyło, doktorze. Sądzę, że ma pan rację — odezwał się pierwszy Ted Nash.

George Foster pokiwał głową.

— Nasz tok rozumowania był właściwy, tyle że chodzi o nieco innego wirusa — powiedział. — Genetycznie zmodyfikowanego. O szczepionkę! To oczywiste.

— Wydaje się to logiczne — stwierdził Max, również kiwając głową. — Muszę przyznać, że odetchnąłem z ulgą.

— Trzeba jednak znaleźć mordercę — oznajmiła Beth. — Ale moim zdaniem możemy przestać szukać terrorystów i zacząć rozglądać się za kimś innym.

Przyglądałem się przez chwilę doktorowi Zollnerowi, a on przyglądał się mnie. Przez grube soczewki w okularach widać było

niebieskie zmrużone oczy. Chyba jednak nie Burl Ives. Bardziej przypominał pułkownika Sandersa. Tak, zdecydowanie. Wyjątkowo stosowne podobieństwo. Szef największego na świecie laboratorium chorób zwierzęcych wyglądał jak pułkownik Sanders z Kentucky Fried Chicken.

— A pan, detektywie Corey? — zapytał. — Ma pan jakąś inną koncepcję?

— Nie, skądże. W tej sprawie idę za głosem większości. Znałem Gordonów i pan najwyraźniej też, doktorze. Trafił pan prosto w dziesiątkę. Nie wiem, dlaczego w ogóle nie przyszło nam to do głowy — dodałem, patrząc na swoich kolegów. — Nie śmierć, ale życie. Nie choroba, ale lekarstwo.

— Szczepionka — poprawił mnie doktor Zollner. — Środek zapobiegawczy. Nie lekarstwo. Gdyby to była na przykład szczepionka przeciwko grypie, wtedy w samej Ameryce co rok sprzedawano by jej setki milionów. Gordonowie mieli wspaniałe wyniki w pracy nad szczepionkami antywirusowymi.

— Ma pan rację. Szczepionka. I pana zdaniem musieli to planować od jakiegoś czasu? — zapytałem doktora Zollnera.

— O tak. Już od samego początku, to znaczy od momentu, gdy zdali sobie sprawę, że trafili na trop jakiegoś odkrycia, musieliby zacząć robić fałszywe notatki i zapisywać fałszywe wyniki badań, prowadząc równocześnie dalej te prawdziwe. To naukowy ekwiwalent podwójnych ksiąg rachunkowych.

— I nikt nie zorientowałby się, co się dzieje? Nie ma tutaj żadnej inspekcji ani kontroli?

— Oczywiście, że jest. Ale Gordonowie nie mieli innych partnerów i zajmowali wysokie stanowiska w hierarchii. Poza tym sama ich dziedzina badań, inżynieria genetyczna wirusów, jest trochę egzotyczna i nie daje się tak łatwo skontrolować. A poza tym jeśli ktoś czegoś chce i ma iloraz inteligencji geniusza, zawsze znajdzie się jakiś sposób.

Pokiwałem głową.

— Niewiarygodne. I jak udało im się przemycić te rzeczy? — zapytałem. — To znaczy, jak duże są te płytki żelatynowe?

— Żelowe.

— No właśnie. Jakiej są wielkości?

— Mają może półtorej stopy szerokości i dwie i pół stopy długości.

— Jak można je wynieść z laboratorium?

— Nie mam pojęcia.

— A notatki?  
— Można przesłać faksem. Pokażę panu później.  
— A samą szczepionkę?  
— To już jest łatwiejsze. W waginie albo odbytnicy.  
— Nie chcę być niedelikatny, doktorze, ale nie sądzę, żeby udało im się wynieść wetkniętą w tyłek trzydziestocalową płytkę żelową, nie zwracając na siebie trochę uwagi.

Doktor Zollner odchrząknął.

— W gruncie rzeczy nie trzeba wynosić całej płytki. Można ją skopiować albo sfotografować jednym z tych małych szpiegowskich aparatów — stwierdził.

— Niewiarygodne.

Przypomniałem sobie faks stojący w gabinecie Gordonów.

— Owszem. A teraz przekonamy się, czy uda nam się ustalić, co się stało i jak to się stało — oświadczył doktor Zollner, wstając zza biurka. — Jeśli ktoś z państwa nie chce wchodzić do laboratorium, może poczekać w holu albo kafeterii. — Rozejrzał się, ale nikt się nie zgłosił. Doktor uśmiechnął się. Uśmiech miał bardziej podobny do Burla Ivesa niż pułkownika Sandersa. — Widzę, że nikomu nie brakuje odwagi. Proszę za mną.

Wszyscy wstaliśmy.

— I proszę się nie rozchodzić — dodałem.

Doktor Zollner uśmiechnął się do mnie.

— Kiedy znajdziemy się w strefie podwyższonego ryzyka, przy jacielu, będzie pan trzymał się tak blisko mnie, jak to możliwe.

Szkoda, że nie pojechałem się kurować na Karaiby.

## Rozdział 12

Wróciliśmy do holu i stanęliśmy przed żółtymi drzwiami.

— W szatni czeka na panią Donna — powiedział doktor Zollner do Beth. — Proszę zastosować się do jej poleceń. Spotkamy się po drugiej stronie damskiej szatni. — Popatrzył, jak wchodzi przez żółte drzwi do środka, po czym zwrócił się do nas. — Panowie, proszę za mną.

Ruszyliśmy za zacnym doktorem do męskiej przebieralni, która poza tym, że pomalowana była na szkaradny pomarańczowy kolor, nie odbiegała wyglądem od innych tego typu pomieszczeń. Szatniarz wręczył nam otwarte kłódki bez kluczy, świeżo wyprane laboratoryjne fartuchy i plastikowe torby. W tych ostatnich była papierowa bielizna, skarpetki i bawełniane kaptcie.

— Proszę zdjąć wszystko łącznie z bielizną i biżuterią — polecił Zollner, po czym wskazał nam rząd pustych szafek.

Rozebraliśmy się więc do rosołu i nie mogłem się doczekać, żeby powiedzieć Beth, że Ted Nash uzbrojony był w trzydziestkęósemkę z trzycalową lufą i że ta lufa była dłuższa od jego fiuta.

— Blisko serca — stwierdził George Foster a propos mojej rany na piersi.

— Ja nie mam serca — uspokoilem go.

Zollner włożył swój obszerny fartuch i znów bardziej przypominał pułkownika Sandersa.

Zatrzasnąłem kłódkę na skoblu i podciągnąłem papierowe kalesonki. Doktor Zollner omiół nas krytycznym spojrzeniem.

— Gotowi? W takim razie proszę za mną.

— Chwileczkę — powstrzymał go Max. — Nie dostaniemy masek ochronnych czy czegoś w tym rodzaju?



— Nie w strefie drugiej, panie Maxwell. Może w strefie czwartej, jeśli będzie pan chciał zejść tak daleko. Proszę za mną.

Ruszyliśmy w stronę wyjścia i Zollner otworzył drzwi opatrzone dziwnie wyglądającym symbolem zagrożenia biologicznego, pod którym znajdował się napis „Strefa druga”. Usłyszałem syk powietrza.

— To efekt podciśnienia — wyjaśnił doktor Zollner. — Jest o jeden funt na cal kwadratowy mniejsze niż na zewnątrz, dzięki czemu nie mogą się stąd przypadkowo wydostać żadne patogeny.

— To byłoby fatalne.

— Zamontowane na dachu specjalne filtry oczyszczają poza tym wydobywające się stąd powietrze.

Na twarzy Maksa widniał w dalszym ciągu uparty sceptycyzm; najwyraźniej nie chciał, żeby jakiegokolwiek zapewnienia podważyły jego wiarę, że Plum Island stanowi pod względem zagrożenia biologicznego ekwiwalent Three Mile Island i Czarnobyli razem wziętych.

Znaleźliśmy się w betonowym korytarzu. Doktor Zollner rozejrzał się dookoła.

— Gdzie jest pani Penrose? — zapytał.

— Jest pan żonaty, doktorze? — odparłem.

— Co? No tak, przebranie się może jej zająć więcej czasu.

W końcu w drzwiach oznaczonych napisem „Panie” ukazała się pani Penrose ubrana w luźny fartuch i bawełniane kapcie. Nadal wyglądała seksownie, w bieli bardziej podobna do amorka.

Usłyszała syk powietrza i doktor Zollner wyjaśnił jej efekt, jaki powoduje podciśnienie, po czym udzielił nam kilku instrukcji, uprzedzając, byśmy trzymali się z daleka od wózków i regałów z fiolkami i buteleczkami, w których znajdują się zabójcze zarazki i chemikalia.

— Przejdziemy się teraz trochę po laboratorium — oświadczył na koniec. — Pokażę państwu, co się tutaj dzieje, żebyście mogli opowiedzieć swoim przyjaciółom i kolegom, że nie produkujemy na Plum Island bomb węglkowych. — Roześmiał się, po czym dodał poważniejszym tonem. — Strefa piąta jest niedostępna dla gości z zewnątrz, ponieważ wymagane są tam specjalne szczepienia, a także przeszkolenie w używaniu skafandrów biologicznych oraz masek ochronnych. Niedostępne są także podziemia.

— A to dlaczego? — zapytałem.

— Ponieważ tam właśnie trzymamy martwych gości z kosmosu

i nazistowskich naukowców — odparł i ponownie się roześmiał.

Bawiło mnie odgrywanie prostaczka przed tłustym akademikiem z akcentem doktora Strangelove'a. Naprawdę. Co ważniejsze, dowiedziałem się, że Stevens zdążył już porozmawiać z Zollnerem.

— Myślałem, że goście z kosmosu i nazistowscy naukowcy są w podziemnych bunkrach — oświadczył pan Foster, siłąc się na dowcip.

— Nie, martwi kosmici są w latarni morskiej — odparł Zollner. — Przenieśliśmy nazistów z bunkrów, bo skarżyli się na wampiry.

Wszyscy się roześmieli — cha-cha-cha. Humor strefy skażenia. Powiniennem przesłać próbkę do „Reader's Digest”.

— W tej strefie jest dość bezpiecznie — oświadczył doktor Klaun. — Mieszczą się tutaj laboratoria genetyczne, biura oraz mikroskopy elektronowe; praca o niskim współczynniku ryzyka.

Szliśmy betonowymi korytarzami i co jakiś czas doktor Zollner otwierał stalowe żółte drzwi, witał się z osobą w środku i pytał, jak idzie praca.

Mieli tutaj przeróżne pozbawione okien dziwne pomieszczenia, w tym jedno, które wyglądało jak piwniczka z winami, z tą różnicą, że według Zollnera w butelkach znajdowały się kultury żywych komórek.

— Nowo powstające wirusy atakują zwierzęta, ludzi bądź też zarówno ludzi, jak i zwierzęta — komentował, kiedy szliśmy szarymi jak na łodzi podwodnej korytarzami. — My, ludzie, oraz inni przedstawiciele wyższych gatunków nie mamy immunologicznej bariery, która chroniłaby nas przed wieloma z tych śmiertelnych chorób. Dzisiejsze leki antywirusowe nie są zbyt skuteczne, w związku z czym kluczem do uniknięcia grożącej nam w przyszłości światowej katastrofy są antywirusowe szczepionki. A kluczem do nowych szczepionek jest inżynieria genetyczna.

— Jakiej katastrofy? — zaniepokoił się Max.

— Jeśli chodzi na przykład o choroby zwierzęce — odparł doktor Zollner, w ogóle nie zwalniając kroku i przemawiając dość lekkim tonem jak na rodzaj tematu — wybuch epidemii pryszczycy mogłby doprowadzić do wymarcia całego żywego inwentarza i zrujnować miliony ludzi. Ceny innych artykułów spożywczych mogłyby skoczyć czterokrotnie. Wirus pryszczycy jest chyba najbardziej zakaźny i złośliwy i dlatego tak bardzo fascynował ludzi zajmujących się bronią biologiczną. Szczęśliwym dniem dla tych dżentelmenów będzie dzień, gdy naukowcy zdołają zmodyfikować genetycznie wirus pryszczycy tak, by był w stanie zaatakować ludzi. Jeszcze gorsze, moim zdaniem, jest to, że niektóre wirusy same przechodzą mutacje i stają się niebezpieczne dla ludzi.

Nikt nie miał w związku z tym żadnych pytań ani komentarzy. Zaglądałiśmy do kolejnych pomieszczeń i doktor Zollner miał zawsze kilka miłych słów dla błądzących naukowców w białych fartuchach, pracujących w laboratoriach, których sam widok wprawiał mnie w niepokój. „Czego się dzisiaj nauczyliście?” — mówił. Albo: „Czy odkryliście dzisiaj coś nowego?”. I tym podobne rzeczy. Miałem wrażenie, że jego podwładni go lubią albo przynajmniej tolerują.

— Na przykład w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim — kontynuował swój wykład Zollner, gdy skręciliśmy w kolejny z niekończących się korytarzy — w Lancaster w Pensylwanii wybuchła bardzo zaraźliwa i zabójcza epidemia grypy. Zabiła siedemnaście milionów. Mam na myśli kurczaki. Drób. Ale rozu micie, do czego zmierzam. Ostatnia wielka ludzka epidemia grypy miała miejsce w roku tysiąc dziewięćset osiemnastym. Na całym świecie zmarło około dwudziestu milionów ludzi, w tym pięćset tysięcy w samych Stanach Zjednoczonych. W porównaniu z obecną liczbą ludności kraju stanowi to ekwiwalent mniej więcej półtora miliona ludzi. Potraficie sobie wyobrazić dzisiaj coś takiego? A wirus z roku tysiąc dziewięćset osiemnastego nie był szczególnie złośliwy i oczywiście podróżowano wtedy o wiele wolniej i nie tak często. Dzisiejsze autostrady i linie lotnicze sprawiają, że zaraźliwy wirus może w ciągu kilku dni rozprzestrzenić się na cały świat. Jeśli chodzi o najgroźniejsze wirusy, takie jak Ebola, pocieszające jest to, że zabijają tak szybko. Wszyscy w wiosce giną, zanim wirus zdąży ją opuścić.

— Czy o pierwszej odchodzi stąd prom? — zapytałem.

Doktor Zollner roześmiał się.

— Trochę się pan denerwuje, prawda? Nie ma się czego bać. Jesteśmy bardzo ostrożni. Traktujemy z wielkim szacunkiem znajdujące się w tym budynku małe organizmy.

— Brzmi to jak: „mój pies nie gryzie”.

— Zadaniem Departamentu Rolnictwa Stanów Zjednoczonych — kontynuował, ignorując mnie, doktor Zollner — jest ochrona kraju przed zwierzęcą epidemią z zewnątrz. Nasza placówka w odniesieniu do zwierząt jest odpowiednikiem Centrum Chorób Zakaźnych w Atlancie. I jak się zapewne domyślacie, ściśle z nimi współpracujemy ze względu na choroby, które przeskakują ze zwierząt na ludzi i odwrotnie. Mamy wielki ośrodek kwarantanny w Newburgh w stanie Nowy Jork, gdzie muszą spędzić jakiś czas wszystkie przybywające do tego kraju zwierzęta. To tak, jakby codziennie

przyplýwała do nas Arka Noego: konie wyścigowe, zwierzęta kupione przez ogrody zoologiczne, reproduktory, egzotyczne gatunki, takie jak strusie lub lamy, egzotyczne domowe zwierzęta w rodzaju wietnamskich świnek brzuchatych, najprzeróżniejsze ptaki z dżungli... Dwa i pół miliona zwierząt rocznie. Mówi się, że Newburgh to Ellis Island dla królestwa zwierząt — stwierdził i spojrział na nas. — W takim razie Plum Island to Alcatraz. Żadne zwierzę, które przybywa do nas z Newburgh czy skądkolwiek indziej, nie opuszcza żywe tej wyspy. Muszę przyznać, że wszystkie te zwierzęta sprowadzane do kraju dla zabawy i rekreacji przysparzają nam wiele pracy i problemów. Jest tylko kwestią czasu... Możecie ekstrapolować ze świata zwierząt na świat ludzi — dodał.

Ja z pewnością mogłem.

— Kiedyś wybrzeży tego kraju strzegły armaty Plum Island — oznajmił po chwili. — Teraz tę samą funkcję pełni ten ośrodek.

Dosyć poetyckie sformułowanie jak na naukowca, pomyślałem, potem jednak przypomniałem sobie, że to samo napisano w jednej z broszur, które dała mi Donna.

Zollner lubił gadać, a moja praca polegała na słuchaniu, więc jak na razie współpraca między nami układała się poprawnie.

Weszliśmy do pomieszczenia, w którym według doktora Zollnera znajdowało się laboratorium krystalografii rentgenowskiej. Nie miałem zamiaru się o to spierać.

Nad mikroskopem pochylała się kobieta, którą doktor Zollner przedstawił jako doktor Chen, koleżankę i dobrą znajomą Toma i Judy. Doktor Chen miała koło trzydziestki i była dość atrakcyjna, z długimi czarnymi włosami związanymi z tyłu czymś w rodzaju siatki, dzięki której loki nie opadają, gdy pracuje się przy mikroskopie w dzień i robi inne rzeczy w nocy. Zachowuj się przyzwoicie, Corey. Masz przed sobą panią doktor, która jest o wiele mądrzejsza od ciebie.

Doktor Chen przywitała się z nami. Sprawiała wrażenie raczej poważnej osoby, ale może była po prostu zmartwiona z powodu śmierci swoich przyjaciół.

Beth po raz kolejny dała do zrozumienia, że przyjaźniłem się z Gordonami i choćby z tej racji, jeśli nie z innej, zasługiwałem na swojego dolca tygodniowo. Ludzie nie lubią, kiedy banda gliniarzy zasypuje ich pytaniami. Co innego, gdy okazuje się, że jeden z policjantów również przyjaźnił się ze zmarłymi; wtedy podejście się zmienia. Tak czy owak wszyscy zgodziliśmy się, że śmierć Gordonów to straszna tragedia, i dobrze mówiliśmy o zmarłych.

Rozmowa zesłała na temat pracy doktor Chen.

— Robię zdjęcie rentgenowskie kryształów wirusa, żeby można było odtworzyć jego strukturę molekularną — wyjaśniła w popularny sposób, bym mógł ją zrozumieć. — Kiedy to zrobimy, staramy się zmodyfikować go w ten sposób, aby nie powodował choroby, lecz po wstrzyknięciu go zwierzęciu doprowadził do wyprodukowania antyciał, które zaatakują naturalną, wywołującą chorobę odmianę wirusa.

— Na tym właśnie polegała praca Gordonów? — zapytała Beth.

— Tak.

— Nad czym konkretnie pracowali? Nad jakim wirusem?

Doktor Chen zerknęła na doktora Zollnera. Nie lubię, kiedy świadkowie robią coś takiego. To tak jakby baseballista dostawał sygnał od trenera, że ma rzucić kręconą piłkę czy coś w tym rodzaju. Zollner musiał zaszykalizować szybki rzut, ponieważ doktor Chen postanowiła nie owijać niczego w bawełnę.

— Nad Ebolą — powiedziała.

Nikt się nie odezwał.

— Oczywiście nad małpią Ebolą — uściślił po chwili doktor Zollner. — Powiedziałbym wam wcześniej, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli wyjaśni wam to któraś z osób, które bliżej współpracowały z Gordonami — dodał, wskazując głową doktor Chen.

— Gordonowie starali się zmodyfikować genetycznie wirus małpiej Eboli — podjęła doktor — tak żeby nie wywołując choroby, spowodował reakcję immunologiczną w organizmie zwierzęcia. Istnieje wiele szczepów Eboli i nie wiemy dobrze, które z nich mogą przekraczać barierę międzygatunkową...

— Ma pani na myśli, atakować ludzi? — zapytał Max.

— Tak, atakować ludzi. Ale to pierwszy ważny krok na drodze do stworzenia szczepionki przeciwko ludzkiej Eboli.

— Nasze badania koncentrują się na ogół na tak zwanych zwierzętach gospodarskich, gatunkach hodowanych dla mięsa i skóry — oświadczył doktor Zollner. — Na przestrzeni ostatnich lat różne agencje rządowe zlecały nam jednak również inne zadania.

— Na przykład prowadzone na zlecenie wojska badania nad bronią biologiczną? — wtrąciłem.

— Ta wyspa ma unikatowe położenie — stwierdził doktor Zollner, nie odpowiadając wprost na moje pytanie. — Jest odizolowana, ale znajduje się blisko głównych ośrodków komunikacyjnych, blisko najlepszych krajowych uniwersytetów, skupiających wysoko wy-

kształconych uczonych. Poza tym ośrodek jest bardzo nowoczesnie wyposażony. Dlatego oprócz wojska współpracujemy również z innymi agencjami, tutaj i za granicą, kiedy tylko pojawi się coś niezwykłego albo potencjalnie... niebezpiecznego dla ludzkiej rasy. Coś takiego jak Ebola.

— Innymi słowy — powiedziałem — macie tutaj jakby pokoje do wynajęcia.

— To duży ośrodek — odparł.

— Czy Gordonowie byli pracownikami Departamentu Rolnictwa? — zapytałem.

— Nie jestem upoważniony, żeby o tym mówić.

— Kto im płacił?

— Wszystkie wynagrodzenia dostawali z Departamentu Rolnictwa.

— Ale nie każdy naukowiec, który dostaje pensję z Departamentu Rolnictwa, jest jego pracownikiem. Prawda?

— Nie mam zamiaru wdawać się z panem w semantyczne spory, panie Corey. — Zollner spojrział na doktor Chen. — Proszę, niech pani kontynuuje.

— W tego rodzaju pracy jest tyle oddzielnych zadań i stadiów, że pełny obraz tego, co się dzieje, ma tylko kierownik projektu. W tym wypadku był nim Tom. Judy była zastępcą kierownika. Oboje byli poza tym znakomitymi badaczami. Patrząc wstecz, domyślam się, na czym polegała ich metoda. Prosilili o sprawdzenie procedur, które były czymś w rodzaju fałszywych tropów, a czasami mówili komuś z nas, że zabrnęli w ślepą uliczkę. Dokładnie monitorowali kliniczne testy na małpach, a opiekunowie zwierząt nie byli dobrze poinformowani. Tom i Judy byli jedynymi osobami, które miały dostęp do wszystkich informacji. — Doktor Chen przerwała i przez chwilę się zastanawiała. — Nie wierzę, żeby oszukiwali od samego początku — powiedziała w końcu. — Moim zdaniem, dopiero kiedy zdali sobie sprawę, jak blisko są odkrycia skutecznej szczepionki przeciwko małpiej Eboli, przyszło im do głowy, żeby przenieść całą technologię do prywatnego laboratorium, gdzie następnym logicznym krokiem będzie wyprodukowanie ludzkiej szczepionki. Może wierzyli, że działają w ten sposób dla dobra ludzkości. Że zdołają wyprodukować tę szczepionkę szybciej poza naszym ośrodkiem, który, jak większość instytucji rządowych, jest dość powolny w działaniu i skłonny do formalizmu.

— Skoncentrujmy się na teorii, że zrobili to dla zysku, doktor Chen — powiedział Max. — Motyw dobra ludzkości nie bardzo do mnie przemawia.

Doktor wzruszyła ramionami.

— Czy mogę rzucić okiem? — zapytała Beth, wskazując mikroskop.

— To wirusy Eboli, oczywiście martwe — odparła doktor. — Żywe znajdują się wyłącznie w strefie piątej. Lecz mogę je państwu bezpiecznie pokazać na ekranie telewizora.

Włączyła telewizor i puściła kasetę video. Ekran rozjaśnił się i ukazały się na nim cztery prawie przezroczyste kryształy: różowe, trójwymiarowe i przypominające kształtem graniastosłupy. Jeśli były żywe, najwyraźniej czaiły się do skoku.

— Jak już powiedziałam, odwzorowuję strukturę molekularną wirusa — stwierdziła doktor Chen — po to, by inżynierowie genetyczni mogli wyciąć i przykleić gdzie indziej ten lub inny fragment. Zmodyfikowany wirus jest następnie wstrzykiwany małpie, która może zareagować w trojaki sposób: po pierwsze zaraża się Ebolą i umiera, po drugie nie zaraża się, po trzecie zaraża się i wytwarza antycyala. Ta trzecia reakcja jest tą, na którą czekamy. Oznacza, że mamy szczepionkę. Niekoniecznie jednak skuteczną lub bezpieczną. Małpa może zachorować na Ebolę po jakimś czasie albo, co zdarza się częściej, po wstrzyknięciu jej po pewnym okresie niezmodyfikowanego wirusa, antycyala nie są w stanie zapobiec chorobie. Reakcja immunologiczna jest zbyt słaba lub nie chroni przed wszystkimi szczepami. To bardzo frustrująca praca. Wirusy są na pozór takie proste, molekularnie i genetycznie, ale stwarzają większe problemy niż bakterie przez to, że łatwo mutują, trudniej je zrozumieć i trudniej zabić. Właściwie trzeba by zapytać, czy te kryształy są naprawdę żywe w tym sensie, w jakim rozumiemy życie. Spójrzcie na nie. Przypominają sople lodu.

Gapiliśmy się wszyscy na ekran telewizora i rzeczywiście wirusy wyglądały jak coś, co spadło z żyrandola. Trudno było uwierzyć, że ci jegomoście oraz ich kuzyni i bracia spowodowali tyle ludzkiego nieszczęścia i cierpienia, nie wspominając już o śmierci zwierząt. Było coś przerażającego w organizmie, który wydawał się martwy, ale wracał do życia, gdy zaatakował żywe komórki, i rozmnażał się tak szybko, że mógł uśmiercić w czterdzieści osiem godzin zdrowego ważącego dwieście funtów mężczyznę.

Doktor Chen wyłączyła telewizor.

Beth zapytała ją o wczorajsze zachowanie Gordonów i doktor Chen przyznała, że wydawali się trochę spięci. Judy skarżyła się na migrenę i postanowili, że wrócą do domu. Nikogo z nas specjalnie to nie zdziwiło.

— Sądzi pani, że coś stąd wczoraj zabrali? — zapytałem prosto z mostu doktor Chen.

Przez chwilę się zastanawiała.

— Nie wiem — odparła w końcu. — Nie sposób tego powiedzieć.

— Czy trudno jest stąd coś przemyścić? — zapytała Beth. — Jak pani by to zrobiła?

— Cóż... mogłabym wziąć jakąś próbkę stąd albo nawet z innego laboratorium, poszłabym do ubikacji i schowała ją w któryś z otworów anatomicznych. Nikt nie zauważyłby braku jednej próbki albo fiolki, zwłaszcza jeśli nie została rozpoznana i opisana. Następnie poszłabym do łazienki, wrzuciła ubranie do kosza, wzięła prysznic i poszła do szatni. W tym momencie mogłabym wyjąć fiolkę z miejsca, w którym ją schowałam, i włożyć do torebki. Ubrałabym się, wyszła z ośrodka, pojechała autobusem na przystań promową i wróciła do domu. Nikt nie obserwuje nas, kiedy bierzemy prysznic. Nie ma żadnych kamer. Przekonacie się, kiedy będziecie stąd wychodzić.

— A większe przedmioty? — zapytałem. — Zbyt duże, żeby je... po prostu zbyt duże.

— Do łazienki można zabrać wszystko, co mieści się pod fartuchem. Tam trzeba trochę pokombinować. Gdybym na przykład wzięła żel sekwencyjny, mogłabym go przykryć ręcznikiem.

— Mogłaby po pani także wrzucić do kosza razem z ubranie — powiedziała Beth.

— Nie, bo nie można po nie wrócić. Ubranie jest odkażane. Zużyty ręcznik właściwie też trzeba wrzucić do oddzielnego kosza. W tym miejscu najłatwiej zobaczyć, że coś jest wynoszone. Ale jeśli bierze się prysznic o nietypowej porze, istnieje duże prawdopodobieństwo, że nikogo już nie będzie.

Próbowałem wyobrazić sobie tę scenę: Toma i Judy wczoraj po południu, wynoszących stąd Bóg wie co, kiedy nikogo nie było pod prysznicami.

— Skoro zakłada się, że wszystko tutaj jest w pewnym stopniu skażone, jak może pani wkładać sobie fiolkę z czymkolwiek? — zapytałem.

— Najpierw trzeba oczywiście trochę się zabezpieczyć. Umyć ręce specjalnym mydłem w łazience, umieścić fiolkę w kondomie albo, jeśli to jakiś większy przedmiot, w sterylnej rękawiczce lub innej lateksowej osłonie. Trzeba zachować pewne środki ostrożności, ale nie można wpadać w paranoję. Jeśli chodzi o dane komputerowe,



mogą one być, i faktycznie są, przesyłane z laboratoriów do biur w części administracyjnej. Nie ma potrzeby kraść dyskietek ani taśm. Pisane ręcznie i drukowane notatki, obliczenia i wykresy przesyłane są faksem — dodała. — Jak sami widzicie, faksy są tutaj wszędzie i każdy gabinet w części administracyjnej jest wyposażony w to urządzenie. To jedyny sposób, żeby przekazać stąd jakiegokolwiek notatki. Dawno temu trzeba było używać specjalnego papieru, płukać go w roztworze odkażającym i suszyć przez cały dzień. Teraz, kiedy używamy faksu, notatki czekają na nas, kiedy wracamy do gabinetu.

Fantastyczne. Założę się, że ludzie, którzy wynaleźli faks, nigdy o tym nie pomyśleli. Wyobraziłem sobie telewizyjną reklamę: „Masz na swoich laboratoryjnych notatkach zarazki? Prześlij je do biura faksem. Ty musisz wziąć prysznic, one nie muszą”. Czy coś w tym rodzaju.

— Sądzi pani, że Gordonowie wzięli stąd coś, co może zagrozić żywym istotom? — zapytała Beth.

— Och, nie. Nie, nie. Cokolwiek stąd wzięli... jeśli w ogóle wzięli... nie jest patogenne. To jakiś lek, remedium, antidotum... nieważne, jak to nazwiemy. Coś dobrego. Dałabym sobie za to uciąć głowę.

— W razie czego wszyscy damy głowy — stwierdziła Beth.

Zostawiliśmy doktor Chen w sali rentgenowskiej i mszyliśmy dalej.

— Tak jak już mówiłem i jak skłonna jest sądzić doktor Chen — skomentował doktor Zollner na korytarzu — jeśli Gordonowie w ogóle coś stąd ukradli, była to genetycznie zmodyfikowana ludzka szczepionka. Najprawdopodobniej szczepionka przeciwko Eboli, ponieważ na tym koncentrowały się ich badania.

Wszyscy najwyraźniej się z nim zgadzali. Mnie osobiście doktor Chen wydawała się trochę za dobrze przygotowana. Miałem wrażenie, że nic znała Gordonów tak dobrze, jak twierdziła i jak twierdził doktor Zollner.

— Wśród badanych przez nas infekcji wirusowych są nieżyty, kongijska gorączka krwotoczna i posocznica — oznajmił. — Badamy także różne typy zapalenia płuc, riketsjozy, takie jak dur plamisty, szerokie spektrum chorób bakteryjnych, a także pasożytozy.

— Z biologii miałem troję, doktorze, i to tylko dzięki temu, że ściągałem — przerwałem mu. — Zgubiłem się już przy chorobie rikszarzy. Ale chciałbym zapytać o coś innego. Musicie chyba produkować mnóstwo tego świństwa, żeby je badać. Mam rację?

— Owszem, ale mogę pana zapewnić, że nie mamy możliwości technicznych, by wytwarzać jakiegokolwiek organizmy w ilościach potrzebnych do wyprodukowania broni biologicznej. Bo chyba o to panu chodzi?

— Chodzi mi o akty terrorystyczne. Czy produkujecie dość zarazków, żeby sprostać zapotrzebowaniu terrorystów?

Zollner wzruszył ramionami.

— Być może.

— Znowu to słowo, doktorze.

— No więc, dobrze, produkujemy dość, żeby mogli je wykorzystać terroryści.

— Czy to prawda — pytałem dalej — że wypełniona węglikiem puszką, rozpylona nad Manhattanem może zabić dwieście tysięcy ludzi?

— To możliwe — odpowiedział po krótkim zastanowieniu. — Kto wie? To zależy od wiatru. Od tego, jaka jest pora roku. Pora dnia.

— Powiedzmy, że to będzie jutro, w popołudniowej godzinie szczytu.

— W porządku... dwieście tysięcy. Trzysta tysięcy. Milion. To nie ma znaczenia, ponieważ nikt tego nie wie i nikt nie ma puszkii wypełnionej węglikiem. Co do tego, mogę pana zapewnić. Kontrola wykazała to ponad wszelką wątpliwość.

— To doskonałe. Czy nie było również wątpliwości co do innych substancji?

— Jak już powiedziałem, jeśli w ogóle czegoś brakuje, to szczepionki antywirusowej. Nad tym właśnie pracowali Gordonowie. Przekona się pan. Jutro obudzi się pan żywy. I pojutrze oraz pojutrze. Ale za sześć albo siedem miesięcy jakaś firma farmaceutyczna albo obcy rząd ogłosi, że ma szczepionkę przeciwko Eboli. Światowa Organizacja Zdrowia zamówi na początek dwieście milionów dawek i kiedy odkryjecie, kto się najbardziej na tym obłowił, będziecie mieli mordercę.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał.

— Zatrudniam pana, doktorze — powiedział w końcu Max.

Wszyscy uśmiechnęli się, a potem roześmieli. W gruncie rzeczy chcieliśmy w to wierzyć, wierzyliśmy w to i byliśmy tacy szczęśliwi, że szybowaliśmy w powietrzu, upajając się dobrymi wieściami, uradowani, że nie obudzimy się nazajutrz z posocznicą czy czymś podobnym. Prawdę mówiąc, nikt nie był już tak skoncentrowany jak wcześniej. Z wyjątkiem mnie.

Doktor Zollner w dalszym ciągu pokazywał nam różne pomieszczenia i opowiadał o diagnozowaniu, produkcji odczynników, badaniach nad antyciałami monoklonicznymi, inżynierii genetycznej, produkcji szczepionek i tak dalej. Bolała od tego głowa.

Pomyślałem sobie, że tego rodzaju praca wymaga szczególnych predyspozycji. Gordonowie, którzy sprawiali na mnie wrażenie całkiem normalnych, przez swoich kolegów uważani byli za nieco przemądrzałych... tak przynajmniej opisywał ich Zollner.

— Tak, moi pracownicy są raczej introwertyczni — przyznał, gdy o tym wspomniałem — jak zresztą większość naukowców. Wie pan, jaka jest różnica między biologiem introwertykiem i biologiem ekstrawertykiem?

— Nie.

— Mówiąc z panem, biolog ekstrawertyk gapi się na pańskie bury.

Zollner roześmiał się zdrowo i nawet ja zachichotałem, mimo że nie lubię, gdy ktoś wpycha się przede mnie na scenę. Ale to był w końcu jego teren.

Obejrzelśmy różne miejsca, w których pracowano nad projektem Gordonów, i w końcu ich własne laboratorium.

— Nikt inny tutaj nie pracuje? — zapytała Beth.

— Gordonowie mieli asystentów. Lecz to laboratorium stanowiło ich prywatną domenę. Może pani być pewna, że rano spędziłem tutaj całą godzinę, szukając czegoś, co byłoby nie w porządku, ale nie zostawili żadnych obciążających dowodów.

Pokiwałem głową. Niewykluczone, że jakieś dowody można tu było znaleźć poprzednio, ale jeśli wczorajszy dzień miał być ostatnim dniem ich tajnej pracy, dniem, kiedy wykradli stąd to, co chcieli wykraść, w takim razie z pewnością wyczyścili laboratorium z samego rana albo nawet poprzedniego dnia. Wszystko to oczywiście pod warunkiem, że wierzyłem w historyjkę o szczepionce przeciwko Eboli, czego wcale nie byłem pewien.

— Nie wolno panu wchodzić do gabinetu ofiar, niczego w nim przestawiać ani niczego ruszać — przypomniała Beth Zollnerowi.

Ten wzruszył ramionami, jak zrobiliby każdy na jego miejscu.

— Więc w jaki sposób miałem się o tym przekonać? Zna się pani na mojej pracy?

— Chcę tylko, żeby pan wiedział...

— Na przyszłość? W porządku, kiedy następnym razem dwoje moich naukowców padnie ofiarą morderstwa, może pani być pewna, że nie wejdę do ich laboratorium.

Beth Penrose była na tyle inteligentna, żeby nie drażyć sprawy.

Widziałem, że Pani Lege Artis najwyraźniej nie radzi sobie zbyt dobrze w tych nietypowych okolicznościach. Na jej obronę trzeba przyznać, że bardzo się starała. Gdyby należała do załogi *Titanica*, kazałaby podpisywać wszystkim odbiór kamizelek ratunkowych.

Wszyscy rozglądaliśmy się po laboratorium, ale nie było tu żadnych notesów, żadnych zlewek z napisem „Eureka”, żadnych tajemniczych zapisków na tablicy, żadnych zwłok w szafie, w ogóle niczego, co mógłby zrozumieć przeciętny laik. Jeśli znajdowało się tu kiedykolwiek coś interesującego lub obciążającego, dawno usunęli to Gordonowie, Zollner albo nawet Nash i Foster, jeśli zapuścili się tak daleko w trakcie swojej wcześniejszej wizyty tego ranka.

Stojąc tam, próbowałem się więc skomunikować z duchami, które prawdopodobnie wciąż przebywały w tym miejscu. Judy, Tom... dajcie mi jakąś wskazówkę, jakiś znak.

Zamknąłem oczy i czekałem. Fanelli twierdzi, że słyszy głosy zmarłych. Wskazują swoich morderców, ale mówią zawsze po polsku, hiszpańsku albo czasami po grecku i w ogóle ich nie rozumie. Chyba robi ze mnie balona. Jest jeszcze bardziej stuknięty niż ja.

Nie znalazłszy niczego w laboratorium Gordonów, ruszyliśmy dalej.

Udało nam się porozmawiać z kilkunastoma naukowcami, którzy z nimi współpracowali. Było oczywiście, że: (a) wszyscy kochali Toma i Judy; (b) Tom i Judy byli genialni; (c) Tom i Judy nie skrzywdziliby muchy, chyba że w grę wchodziłoby dobro nauki, człowieka lub zwierzęcia; (d) mimo że lubiani i szanowani, byli jednak jacyś inni; (e) chociaż kryształowo uczciwi w sprawach osobistych, bez większych skrupułów ocyaniliby rząd i wykradli szczepionkę wartą tyle, ile ważyła w złocie, jak wyraził się jeden z naszych rozmówców. Uderzyło mnie, że wszyscy czytali z tego samego skryptu.

Kontynuując przechadzkę, wspięliśmy się po schodach na drugie piętro. Powłóczyłem trochę postrzeloną nogą, a w postrzelonym płucu rzeziło mi tak głośno, że wydawało mi się, iż wszyscy to słyszą.

— Nie sądziłem, że to będzie takie męczące — powiedziałem do Maksa.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się z przymusem.

— Ogarnia mnie chwilami klaustrofobia — oznajmił cicho.

— Mnie też — odparłem.

Chociaż tym, co go dręczyło, nie była chyba klaustrofobia. Jak większość odważnych ludzi czynu, do których i ja się zaliczam, Max nie znosił niebezpieczeństwa, któremu nie mógł się przeciwstawić z otwartą przyłbicą.

Doktor Zollner opowiadał o prowadzonym tutaj programie szkoleń, o odwiedzających ośrodek naukowcach, słuchaczach studiów podyplomowych i weterynarzach, którzy przyjeżdżają na Plum Island, żeby się uczyć i wyklądać. Wspomniał także o współpracy z zagranicznymi ośrodkami w Izraelu, Kenii, Meksyku, Kanadzie i Anglii.

— Gordonowie byli w Anglii mniej więcej rok temu — dodał. — W Pirbright Laboratory, na południe od Londynu. To nasz siostrzany ośrodek.

— Czy odwiedzają was przedstawiciele wojsk chemicznych? — zapytałem.

Doktor Zollner zmierzył mnie badawczym spojrzeniem.

— Zadaje pan pytania na każdy poruszony przeze mnie temat. Cieszę się, że pan słucha.

— Chciałbym usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie.

— Te sprawy nie powinny pana interesować, panie Corey.

— Owszem, powinny, doktorze. Jeśli podejrzewamy, że Gordonowie wykradli organizmy, które mogą zostać wykorzystane przy produkcji broni biologicznej, i to spowodowało, że zostali zamordowani, w takim razie musimy wiedzieć, czy takie organizmy tu się znajdują. Innymi słowy, czy w tym budynku są specjaliści od broni biologicznej? Czy tu pracują? Prowadzą eksperymenty?

Doktor Zollner zerknął na panów Foster'a i Nash'a.

— Mijałbym się z prawdą, utrzymując, że nie odwiedza nas tu nikt z wojsk chemicznych — stwierdził. — Są bardzo zainteresowani szczepionkami i odtrutkami na różnego rodzaju zagrożenia biologiczne... Rząd Stanów Zjednoczonych nie prowadzi badań nad bronią biologiczną, nie rozpowszechnia jej i nie produkuje. Ale byłoby zbiorowym samobójstwem, gdybyśmy nie starali się znaleźć środków zaradczych. Po to, aby któregoś dnia, kiedy ten łajdak z puszką węglika będzie wiosłował swoim kanoe dookoła Manhatanu, mogli ochronić przed nim naszą ludność. Mogę pana zapewnić — dodał — że Gordonowie nie współpracowali z wojskiem, nie prowadzili badań w tej dziedzinie i w gruncie rzeczy nie mieli styczności z niczym do tego stopnia śmiernym...

— Z wyjątkiem Eboli.

— Rzeczywiście pan słucha. Moi podwładni powinni być tacy

uważni. Ale po co mielibyśmy zwracać sobie głowę Ebolą? Mamy przecież węglika. Próba udoskonalenia węglika to nic innego jak próba udoskonalenia prochu strzelniczego. Wirusy węglika są łatwe w hodowli, łatwo się rozmnażają, rozprzestrzeniają się drogą powietrzną, zabijają wystarczająco wolno, żeby chorzy zdążyli zarazić innych, i okaleczają tyle samo ofiar, ile uśmiercają, paraliżując system opieki zdrowotnej przeciwnika. Lecz oficjalnie nie mamy bomb ani pocisków artyleryjskich wypełnionych węglikiem. Dowcip polega na tym, że gdyby Gordonowie chcieli sprzedać jakąś broń biologiczną obcemu mocarstwu, nie zwracaliby sobie głowy Ebolą. Więc niech pan o tym zapomni.

— Czuję się znacznie lepiej. A propos, kiedy Gordonowie pojechali do Anglii?

— Niech pomyślę... To było w maju zeszłego roku. Pamiętam, że zazdrościłem im, że jadą do Anglii w maju. Czemu pan pyta?

— Czy naukowcy wiedzą, dlaczego zadają bez przerwy pytania?

— Nie zawsze.

— Rozumiem, że rząd pokrył wszystkie koszty ich podróży.

— Oczywiście. To była podróż służbowa. Chociaż nie — dodał po chwili. — Pamiętam, że na tydzień zatrzymali się potem na własny koszt w Londynie.

Pokiwałem głową. Nie przypominałem sobie, żeby Gordonowie płacili jakieś szczególnie wysokie rachunki w maju albo czerwcu zeszłego roku. Ciekawe, gdzie spędzili ten tydzień. Na pewno nie w londyńskim hotelu, chyba że wymknęli się z niego, nie płacąc. Nie pamiętałem również, żeby pobierali jakieś duże sumy w gotówce. To dawało do myślenia.

Problem z zadawaniem naprawdę sprytnych pytań w obecności Foster'a i Nash'a polegał na tym, że słyszeli udzielane na nie odpowiedzi. Nawet jeśli nie mieli pojęcia, dlaczego interesuje mnie dana sprawa, byli dość sprytni, żeby wiedzieć, że wbrew temu, co starałem się zasugerować Zollnerowi, większość pytań ma określony podtekst.

Szliśmy bardzo długim korytarzem i nikt się nie odzywał. Doktor Zollner zatrzymał się nagle jak wryty w miejscu.

— Słyszycie? — zapytał i przyłożył dłoń do ucha. — Słyszycie to?

Wszyscy zastygliśmy w bezruchu i nasłuchiwalismy.

— Co takiego? — zapytał w końcu Foster.

— Ten łoskot? To dudnienie?

Nash ukląkł i dotknął obu dłońmi podłogi.

— Trzęsienie ziemi? — zapytał.

— Nie — odparł Zollner. — To mój żołądek. Jestem głodny. — Roześmiał się i poklepał po brzuchu. — Rozchmurzcie się — dodał z tym swoim niemieckim akcentem, który potęgował śmieszność całej sytuacji. Wszyscy uśmiechnęli się, z wyjątkiem Nasha, który wyprostował się sztywno i otrzepał ręce.

Zollner podszedł do pomalowanych na czerwono drzwi, na których widniało sześć standardowych symboli zagrożeń oznaczających kolejno: Niebezpieczne Substancje Biologiczne, Radioaktywność, Odpady Chemiczne, Wysokie Napięcie, Niebezpieczeństwo Zatrucia i na koniec Nieprzetworzone Odchody Ludzkie.

— To nasza stołówka — oznajmił, otwierając drzwi.

W sali ze ścianami z surowego białego betonu znajdowało się kilkanaście stołów, zlew, lodówka, kuchenka mikrofalowa, tablice ogłoszeniowe, kranik z wodą oraz ekspres do kawy, ale ani jednej maszyny sprzedającej zimne napoje, być może dlatego, że nikt nie przychodził ich tu obsługiwać. Na kontuarze był faks, dzisiejsza karta dań, papier i ołówek.

— Ja stawiam — oznajmił doktor Zollner, po czym zamówił sobie solidny lunch, w skład którego, jak zobaczyłem, wchodziła zupa gulaszowa. Nie chciałem nawet myśleć, skąd pochodziło mięso na gulasz.

Po raz pierwszy od wyjścia ze szpitala poprosiłem o galaretkę i po raz pierwszy w życiu nie zamówiłem dania mięsnego.

Nikt nie sprawiał wrażenia specjalnie głodnego i wszyscy zamówili sałatki. Doktor Zollner przesłał faksem zamówienie.

— Przerwa na lunch zaczyna się tu o pierwszej, ale obsługa nas szybko, bo to ja złożyłem zamówienie — oznajmił, po czym poprosił, byśmy umyli ręce, co wszyscy zrobiliśmy, używając dziwnego brązowego mydła, które cuchnęło jodyną.

Naleśliśmy sobie kawy i usiedliśmy. Do stołówki wchodziły inne osoby, nalewały sobie kawy, wyjmowały jedzenie z lodówki i przesyłały faksem zamówienia. Zerknąłem na przegub ręki, ale nie miałem na nim zegarka.

— Gdyby zabrał pan ze sobą zegarek — stwierdził doktor Zollner — musiałbym go odkazić i poddać dziesięciodniowej kwarantannie.

— Mój zegarek nie przetrwałby odkażania — odparłem i spojrzałem na wiszącą na ścianie zegar. Była za pięć pierwsza.

Przez kilka minut luźno gawędziliśmy. W końcu otworzyły się drzwi i do środka wszedł mężczyzna w białym laboratoryjnym

fartuchu, popychając przed sobą stalowy wózek, który nie różnił się od innych używanych do wożenia lunchu wózków, poza tym że był przykryty plastikową folią.

Doktor Zollner zdjął folię, wyrzucił ją, następnie zaś — prawdziwy gospodarz — dał każdemu to, co zamówił, i odprawił człowieka z wózkiem.

— Ten facet musi teraz wziąć prysznic? — zapytał Max.

— Owszem. Wózek wędruje do odkażania i wraca do kuchni później.

— Czy można przemycić stąd jakieś większe przedmioty na wózek? — zapytałem.

Doktor Zollner układał przed sobą talerze ze znanostwem prawdziwego smakosza.

— Teraz, kiedy pan o tym wspomniał, widzę, że owszem, można — odparł odrywając wzrok od swojej ulubionej czynności. — Wózek jest jedynym przedmiotem, która wędruje regularnie między częścią administracyjną i badawczą. Ale gdyby chciał się pan nim posłużyć, musiałby pan wtajemniczyć dwie inne osoby. Pracownika, który go tutaj przywozi i odwozi, oraz tego, który go myje i zabiera z powrotem do kuchni. Jest pan bardzo sprytny, panie Corey.

— Rozumuję jak kryminalista.

Doktor Zollner roześmiał się i podniósł do ust łyżkę zupy. Mniam, mniam.

Konsumując swoją cytrynową galaretkę, przyglądałem się przez chwilę doktorowi. Polubiłem go. Był wesoły, przyjacielski, gościnnie i niegłupi. Oczywiście łąał w żywe oczy, ale zmusili go do tego inni ludzie. Przede wszystkim ci dwaj figlarze siedzący po drugiej stronie stołu i Bóg raczy wiedzieć jakie jeszcze osoby w Waszyngtonie, które przez cały ranek pouczały doktora Z. przez telefon, podczas gdy my zwiedzaliśmy ruiny i przeglądaliśmy broszurki o zarazie bydłowej i posocznicy. Doktor Z. pouczył z kolei doktor Chen, która wydawała się nieco zbyt doskonała. Z wszystkich zatrudnionych tu ludzi zaprowadził nas akurat do doktor Chen, której praca wydawała się w niewielkim stopniu związana z badaniami Gordonów. I przedstawił ją jako ich przyjaciółkę, co nie było prawdą; nigdy nie słyszałem, żeby o niej wspominali. A potem byli ci inni naukowcy, z którymi, popędzani przez Zollnera, zamieniliśmy tylko kilka słów i którzy czytali z tej samej ściągawki co Chen.

W tym miejscu pełno było luster i zasłon dymnych i jestem pewien, że zawsze tak było.

— Nie wierzę w tę historyjkę o szczepionce przeciwko Eboli —



oznajmiłem, zwracając się do Zollnera. — Wiem, co tutaj ukrywacie i co staracie się zakamuflować.

Doktor zatrzymał się w połowie kęsa, co z pewnością nie przyszło mu łatwo, i wlepił we mnie wzrok.

— To kosmici z Roswell, prawda, doktorze? — powiedziałem. — Gordonowie chcieli uchylić rąbka tajemnicy w sprawie kosmitów.

W stołówce zapadła martwa cisza; nawet kilku innych naukowców zerknęło w naszą stronę.

— Tym jest właśnie ta zielona galaretka: mózgiem kosmity — powiedziałem z uśmiechem. — Zjadam dowód rzeczowy.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Doktor Zollner zaśmiewał się tak głośno, że o mało się nie zakrztusił. Boże, ale jestem zabawny. Zollner i ja moglibyśmy odstawić razem wspaniałe numery; Corey i Zollner. To byłoby nawet lepsze od Archiwum Coreya.

Wszyscy zaczęli z powrotem jeść i podjęli przerwana pogawędkę. Zerknąłem na swoich kompanów. George Foster wpadł w lekką panikę, gdy oznajmiłem, że nie wierzę w bajeczkę o szczepionce przeciwko Eboli, ale teraz poczuł się zdecydowanie lepiej i zjadał kielki lucerny. Na twarzy Teda Nasha nie zobaczyłem paniki, lecz mordercze zamiary. Cokolwiek się tutaj działo, nie był to odpowiedni czas ani miejsce, by zarzucać komuś kłamstwo albo kamuflaż. Oczywiście moje i Beth spotkały się i jak zwykle nie wiedziałem, czy ją rozbawiłem, czy zirytowałem. Droga do serca kobiety prowadzi przez jej poczucie humoru. Kobiety lubią mężczyzn, którzy je rozśmieszają. Tak mi się wydaje.

Spojrzałem na Maksa, który sprawiał wrażenie mniej zgaszonego w tej prawie normalnej stołówce. Najwyraźniej smakowała mu sałatka z trzech rodzajów fasoli, choć nie jest to danie, które powinno się znajdować w jadłospisie osób pracujących w zamkniętym pomieszczeniu.

Po jakimś czasie rozmowa zeszała z powrotem na szczepionkę przeciw Eboli.

— Ktoś powiedział, że ta szczepionka byłaby warta tyle, ile waży w złocie — stwierdził doktor Zollner — i to mi coś przypomniało. Niektóre z testowanych przez Gordonów szczepionek miały złocisty odcień i pamiętam, że jedno z nich, Tom albo Judy, nazwało je płynnym złotem. Wydało mi się to dziwne, być może dlatego, że nigdy nie mówimy tutaj o pieniądzach ani zyskach.

— Oczywiście — wtrąciłem. — Jesteście agendą rządu. Pieniądze nie są wasze i nigdy nie powinniście osiągać zysków.

Doktor Zollner uśmiechnął się.

— Tak samo wygląda to w pańskiej branży — powiedział.

— Identycznie. Tak czy owak, uważamy teraz, że Gordonowie poszli po rozum do głowy i nie zadowolając się dłużej pracą w służbie nauki za państwowe pieniądze, odkryli kapitalizm i wyruszyli na poszukiwanie złota.

— Zgadza się. Rozmawiał pan z ich kolegami — dodał Zollner — dowiedział się, co tutaj robili, i może pan z tego wysnuć tylko jeden wniosek. Dlaczego wciąż jest pan taki sceptyczny?

— Nie jestem sceptyczny — skłamałem. Oczywiście, że byłem sceptyczny; jestem nowojorczykiem, a poza tym gliną. Nie chciałem jednak denerwować doktora Zollnera, pana Fostera oraz pana Nasha, w związku z czym dodałem: — Próbuję po prostu dopasować do siebie wszystkie fakty. Moim zdaniem, albo morderstwo Gordonów nie ma nic wspólnego z ich pracą tutaj i podążamy fałszywym tropem, albo też ma coś wspólnego i wtedy najprawdopodobniej związane jest ze szczepionką wartą miliony dolarów. Płynnym złotem. I okaże się, że Gordonowie zostali wystawieni do wiatru lub być może sami próbowali wystawić do wiatru swojego partnera i padli ofiarą morderstwa...

Pik. Jezu, znowu to usłyszałem. Było gdzieś blisko. Nie widziałem tej rzeczy, ale słyszałem jej echo i czułem obecność. Co to u licha było?

— Panie Corey?

— Hmm?

Doktor Zollner zmrużył oczy i przyglądał mi się badawczo zza okularów w małych druczanych oprawkach.

— Czy coś pana zaintrygowało?

— Nie. To znaczy tak. Skoro musiałem zdjąć swój zegarek, dlaczego pan mógł zatrzymać okulary?

— To jedyny wyjątek. Przy wyjściu będę musiał odkazić okulary w specjalnej kąpieli. Czy to podsunęło panu kolejną sprytną teorię?

— Płytki z żelami sekwencyjnymi udające soczewki okularów.

Doktor Zollner potrząsnął głową.

— Bzdura. Moim zdaniem żele sekwencyjne zostały stąd wykradzione w wózku na lunch.

— Oczywiście.

— Czy możemy kontynuować? — zapytał, spoglądając na ścienne zegar.

Wszyscy wstaliśmy i wyrzuciliśmy nasze papierowe i plastikowe śmieci do czerwonego plastikowego worka tkwiącego w czerwonym pojemniku.

— Przejdziemy teraz do strefy trzeciej — oświadczył doktor Zollner, kiedy znaleźliśmy się na korytarzu. — Ryzyko zarażenia jest tu oczywiście większe, więc jeśli ktoś z państwa nie chce tam wejść, każe odprowadzić go pod eskortą do łaźni.

Wszyscy najwyraźniej mieli wielką ochotę podać dalej w piekielne czeluście. No, może lekko przesadziłem, mówiąc o ochocie. Po krótkiej chwili przeszliśmy przez czerwone drzwi opatrzone napisem „Strefa 3”.

Naukowcy badają tutaj żywe patogeny: pasożyty, wirusy, bakterie, grzyby i inne paskudztwa, wyjaśnił Zollner, po czym pokazał nam laboratorium, w którym kobieta siedziała na stołku przy czymś w rodzaju otworu w ścianie. Miała maskę i lateksowe rękawiczki. Przed jej twarzą znajdowała się plastikowa osłona podobna do tej, którą umieszczają nad potrawami w barze sałatkowym, tyle że ta pani nie przyrządzała kwaszonej kapusty.

— Otwór, w którym znajdują się patogeny, zaopatrzone jest w wyciąg, w związku z czym ryzyko, że coś wpadnie do pokoju, jest niskie — oznajmił Zollner.

— Dlaczego w takim razie ona ma maskę, a my ich nie mamy? — zapytał Max.

— Dobre pytanie — poparłem go.

— Bo jest o wiele bliżej patogenów — poinformował nas Zollner. — Jeśli chcecie przyjrzeć im się z bliska, poproszę, żeby dano wam maski.

— Nie, dziękuję — odparłem.

— Nie, dziękuję — powtórzyli za mną wszyscy.

Doktor Zollner podszedł do kobiety, zamienił z nią przyciszonym głosem kilka słów i wrócił do nas.

— Pracuje nad wirusem choroby niebieskiego języka — powie dzał. — Może rzeczywiście podszedłem za blisko — dodał po krótkiej chwili. Wysunął z ust język, który był rzeczywiście trochę siny, i przyjrzał mu się, zezując w dół. — Boże wszechmogący, czyżbym... a może to ta jagodzianka, którą jadłem na deser? — zapytał i roześmiał się.

My też się roześmieliśmy. Prawdę mówiąc wisielczy humor trochę mi się przejadł, a potrafię znieść wiele głupich żartów.

Wszyscy wyszliśmy na korytarz.

Ta część budynku wydawała się mniej zaludniona od strefy drugiej, a ludzie, których oglądałem, zdziębko mniej pogodni.

— Nie ma tutaj dużo do oglądania — oświadczył Zollner — ale jeśli to powiem, pan Corey będzie nalegał, żebyśmy obejrzelі wszystkie zakamarki.

— Och, doktorze Zollner — zawołałem — czy dałem powód, żeby mówił pan o mnie takie rzeczy?

— Owszem.

— W takim razie obejrzymy wszystkie zakamarki. Usłyszałem dookoła kilka jęków, ale doktor Zollner zignorował je.

— Doskonale, proszę za mną — powiedział.

Następne pół godziny poświęciliśmy na oglądanie zakamarków i prawdę mówiąc, prawie cała strefa trzecia wyglądała tak samo: kolejne pomieszczenia, w których mężczyźni i kobiety gapili się w mikroskopy i przygotowywali preparaty ze śluzu oraz krwi i tkanek żywych oraz martwych zwierząt. Niektórzy przynosili tu nawet drugie śniadanie i pałaszowali kanapki, zajmując się jednocześnie tymi obrzydliwymi rzeczami.

Pogadaliśmy z kolejnymi kilkunastoma osobami, które znały Toma i Judy albo pracowały z nimi, ale choć dowiadywaliśmy się coraz więcej na temat ich pracy, w dalszym ciągu nie mieliśmy pojęcia, co kryło się w ich głowach.

Mimo wszystko nie był to moim zdaniem stracony czas — zawsze interesuje mnie środowisko, w którym obracali się zamordowani; potem wpadam na ogół na jakiś niegłupi pomysł. Czasami nawet w luźnej pogawędce ze znajomymi, rodziną i kolegami ktoś rzuci jakieś słowo, które pomaga znaleźć rozwiązanie. Czasami.

— Większość znajdujących się tu wirusów i bakterii — wyjaśnił Zollner — nie potrafi przekroczyć bariery gatunkowej. Moglibyście wypić całą probówkę wirusa pryszczycy i dostać co najwyżej rozwolnienia, podczas gdy krowa zdechłaby po podaniu dawki mieszczącej się na czubku szpilki.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Dlatego, że struktura genetyczna wirusa musi być dopasowana do komórki, żeby ją zarazić. Wirus pryszczycy nie potrafi się przyczepić do ludzkiej komórki.

— Ale są dowody, że choroba wściekłych krów może zaatakować ludzi — powiedziała Beth.

— Wszystko jest możliwe. Dlatego właśnie jesteśmy ostrożni. — odparł Zollner. — Zarazki gryzą — dodał.

Szczerze mówiąc, zarazki są do dupy.

— Tutaj pracujemy nad pasożytami — oznajmił, kiedy weszliśmy do kolejnego jasno oświetlonego laboratorium. — Najgorsza jest larwa o łacińskiej nazwie *Callitroga*. Wymyśliliśmy sprytny sposób na zwalczenie wywoływanej przez nią choroby. Odkryliśmy, że osobniki męskie i żeńskie kopulują tylko raz w życiu, w związku

z czym wysterylizowaliśmy miliony samców promieniami gamma i rozrzućiliśmy je z samolotu nad Ameryką Środkową. Kiedy taki samiec połączy się z samicą, nie rodzi się żadne potomstwo. Sprytne, nie?

— Ale czy samica jest zaspokojona? — nie mogłem powstrzymać cisnącego się na usta pytania.

— Musi być — odparł Zollner. — Nigdy nie kopuluje powtórnie.

— Można na to spojrzeć z innej strony — stwierdziła Beth.

Zollner roześmiał się.

— Owszem. Z punktu widzenia samicy.

Zakończywszy tę wesołą wymianę zdań, przyjrzelśmy się po kolei larwie *Callitroga* pod mikroskopem. Była obrzydliwa.

A potem ruszyliśmy dalej, zaglądając do laboratoriów, gdzie hodowano i przechowywano paskudne mikroby i pasożyty, i do najprzeróżniejszych dziwnych miejsc, których przeznaczenia i funkcji mogłem się tylko mgliście domyślać.

Pamiętałem przez cały czas, że moi dobrzy znajomi, Tom i Judy, wędrowali codziennie tymi korytarzami i zaglądali do wielu z tych pokojów. A mimo to nie wpadali z tego powodu w depresję ani niepokój. W każdym razie ja tego nie zauważyłem.

— To cała strefa trzecia — oznajmił w końcu doktor Zollner. — Teraz ponownie muszę zapytać, czy chcecie iść dalej. Strefa czwarta jest najbardziej skażona ze wszystkich stref, bardziej nawet niż strefa piąta. W piątce jest się zawsze w skafandrze oraz masce tlenowej i wszystko często się odkaża. Są tam nawet oddzielne prysznice. W strefie czwartej będziecie mogli, jeśli zechcecie, zobaczyć zagrody dla chorych i zdychających zwierząt, a także spalarnię i prosektorium. W związku z tym, chociaż zajmujemy się tutaj wyłącznie chorobami zwierzęcymi, w otoczeniu mogą znajdować się inne patogeny. Mam na myśli zarazki w powietrzu — dodał.

— Czy dostaniemy maski na twarze? — zapytał Max.

— Jeśli będziecie chcieli. — Doktor Zollner rozejrzał się dookoła. — W porządku, proszę za mną.

Podeszliśmy do kolejnych czerwonych drzwi, tym razem opatrzonych napisem „Strefa 4” oraz symbolem zagrożenia biologicznego. Jakiś błazen przylepił wyjątkowo paskudny obrazek trupiej czaszki: była popękana, a ze szpary wypełzał wąż i wił się wokół jednego z oczodołów. Jakby tego było mało, pomiędzy wyszczerzonych zębów wyłaził pająk.

— Wydaje mi się, że to Tom jest odpowiedzialny za to okropień-

stwo — oświadczył doktor Zollner. — Gordonowie wnosili tutaj trochę humoru.

— Owszem — zgodziłem się. Póki nie zginęli.

Nasz gospodarz otworzył czerwone drzwi i znaleźliśmy się w swego rodzaju sieni. Przy ścianie stał metalowy wózek, a na nim pudło z lateksowymi rękawiczkami i pudło z papierowymi maskami.

— Dla tych, którzy mają ochotę je nałożyć — powiedział doktor Z.

To trochę tak, jakby stwierdził, że spadochrony i kamizelki ratunkowe nie są obowiązkowe. W końcu albo ich się, do cholery, potrzebuje, albo nie.

— Nie są konieczne — skomentował swoją wcześniejszą uwagę doktor Zollner. — Przy wyjściu i tak weźmiemy prysznic. Ja osobiście nie zawracam sobie głowy rękawiczkami ani maskami. Zbyt kłopotliwe. Ale wy możecie się w nich czuć lepiej.

Miałem wrażenie, że trochę nas prowokuje. „Zawsze idę na skróty przez cmentarz, ale jeśli wolicie nadłożyć trochę drogi, nie mam nic przeciwko”.

— To miejsce nie może być brudniejsze od mojej łazienki — oświadczyłem.

— Prawdopodobnie jest o wiele czystsze — stwierdził doktor Zollner.

Najwyraźniej nikt nie chciał okazać się mięczakiem i zastosować środków profilaktycznych, przez których brak padamy w końcu ofiarą małych wrednych zarazków. Przeszliśmy przez drugie czerwone drzwi i znaleźliśmy się w takim samym szarym betonowym korytarzu jak w poprzedniej strefie. Różnica polegała na tym, że drzwi były tu szersze i każde miały dużą klamkę z zasuwką.

— To drzwi ze służą powietrzną — wyjaśnił Zollner.

Zauważyłem również, że w każdych drzwiach znajduje się małe okienko, a na ścianie obok wisi ramka z wsuniętą kartką.

— W tych pomieszczeniach trzymamy zwierzęta — powiedział Zollner, prowadząc nas do najbliższych drzwi. — To, co zobaczycie, może was wytrącić z równowagi albo przyprawić o mdłości. Więc nikt nie musi patrzeć. Afrykańska gorączka równikowa — przeczytał z wiszącej na betonowej ścianie kartki, po czym zajrzał przez okienko do środka zagrody. — Ten pan ma się całkiem nieźle. Jest tylko trochę niespokojny. Spójrzcie.

Wszyscy po kolei obejrzelśmy pięknego czarnego ogiera zamkniętego w pomieszczeniu podobnym do więziennej celi. Wyglądał

rzeczywiście nie najgorzej, ale co jakiś czas unosił z trudem pierś, jakby miał kłopoty z oddychaniem.

— Wszystkie przebywające tu zwierzęta są testowane wirusem lub bakterią — wytłumaczył Zollner.

— Testowane? — zdziwiłem się. — To znaczy zarażane?

— My mówimy „testowane”.

— A potem co się dzieje? Czują się trochę gorzej, a następnie przechodzą w stan wymuszonego wstrzymania oddechu?

— Zgadza się. Chorują i zdychają. Czasami jednak je poświęcamy. To znaczy zabijamy, nim przejdą wszystkie stadia choroby. Myślę, że każdy, kto tu pracuje, lubi zwierzęta i dlatego właśnie zdecydował się na taką pracę. Nikt w tym ośrodku nie chce zadawać im cierpień, ale gdybyście zobaczyli kiedyś miliony krów zarażonych pryszczycą, zrozumielibyście, dlaczego konieczne jest poświęcenie kilkudziesięciu sztuk. Chodźcie — powiedział, wieszając z powrotem ramkę na ścianie.

Tych nieszczęsnych zagród było tu wiele i mijaliśmy kolejne drzwi, za którymi najprzeróżniejsze zwierzęta znajdowały się w różnych stadiach agonii. Jedna z zamkniętych krów zobaczyła nas, podeszła chwiejnie do drzwi i patrzyła, jak się na nią gapimy.

— Jest w złej formie — stwierdził doktor Zollner. — Zaawan sowana pryszczycy; widzicie, jak stąpa? I spójrzcie na te pecherze wokół pyska. W tym stadium nie może nawet jeść, tak ją boli. Ślina jest gęsta jak ropa. To okropna choroba i walczymy z nią od dawna. Znajdujemy o niej zapiski w starych kodeksach. Jak już powiedziałem, jest wysoce zaraźliwa. Epidemię, która wybuchła kiedyś we Francji, wiatr przeniósł przez kanał La Manche do Anglii. Wywołuje ją jeden z najmniejszych odkrytych do tej pory wirusów, który może przez bardzo długi okres pozostawać w uśpieniu. Któregoś dnia — dodał po chwili — jakiś podobny organizm przejdzie mutację i zaatakuje ludzi...

W tym momencie byliśmy wszyscy, jak mógłby określić doktor Zollner, mentalnie i psychicznie przetestowani. Innymi słowy, mieliśmy pustkę w głowach i ołów w tyłkach. Co gorsza, podupadliśmy na duchu i gdybym miał duszę, byłaby w poważnych opałach.

— Nie wiem jak inni, ale ja zobaczyłem już dosyć — poinformowałem w końcu doktora Zollnera.

Wszyscy mnie poparli. Niestety wpadła mi do głowy ostatnia głupia myśl.

— Czy moglibyśmy zobaczyć to, nad czym pracowali Gordonowie? — zapytałem. — To znaczy, małpią Ebolę?

Zollner potrząsnął głową.

— Ebole może pan zobaczyć tylko w strefie piątej. — Przez chwilę się zastanawiał. — Ale mogę wam pokazać świnie z afrykańską gorączką która, tak samo jak Ebola, jest gorączką krwotoczną. Bardzo podobną.

Poprowadził nas innym korytarzem i zatrzymał się przy drzwiach z numerem 1130.

— Jest w ostatnim stadium... — stwierdził, spoglądając na kartę choroby — w stadium wykrwawiania... zdechnie do jutra. Jeśli to stanie się wcześniej, zostanie umieszczona w lodówce, z samego rana poddana sekcji, a potem spalona. To bardzo groźna choroba. Doprowadziła do wymarcia prawie całej populacji świń w pewnych częściach Afryki. Nie mamy na nią szczepionki ani lekarstwa. Jak już powiedziałem, jest blisko spokrewniona z Ebolą... — Popatrzył na mnie i wskazał ręką okienko w drzwiach. — Niech pan spojrzy.

Dałem krok do przodu i zerknąłem do środka. Podłoga zagrody pomalowana była na czerwono, co w pierwszej chwili mnie zdziwiło, ale potem zrozumiałem. Blisko środka leżała prawie bez ruchu duża świnia. Widziałem, jak krew sączy się z jej ryja, nozdrzy, nawet uszu. Mimo czerwonego koloru podłogi dostrzegłem lśniąca kałużę krwi przy jej zadzie.

— Widzi pan, jak krwawi? — mówił za moimi plecami Zollner. — Gorączka krwotoczna jest straszna. Organy zmieniają się w miazgę... Rozumie pan teraz, dlaczego ludzie tak boją się Eboli.

Pośrodku zauważyłem dużą metalową kratkę otworu odpływowego, do którego ściekała krew, i nie mogłem na to nic poradzić; leżałem znowu na bruku Zachodniej Sto Drugiej, życie wypływało ze mnie do cholernej studzienki kanalizacyjnej, widziałem to i rozumiałem, co czuje ta świnia, patrząc, jak sączy się z niej jej własna krew, słysząc szum w uszach i walenie w piersi, gdy serce próbuje zrekompensować spadek ciśnienia tętniczego, bijąc coraz szybciej i szybciej, aż w końcu wiadomo, że musi się zatrzymać.

— Panie Corey? Panie Corey? — usłyszałem dobiegający gdzieś z daleka głos Zollnera. — Czy może pan się odsunąć? Inni też chcą obejrzeć.



## Rozdział 13

— Nie chcemy, żeby jakiś wirus albo bakteria przejechały się z wami autostopem na kontynent — oznajmił całkiem niepotrzebnie doktor Zollner.

Rozebraliśmy się i wrzuciliśmy laboratoryjne fartuchy i kaptcie do kosza, a papierową bieliznę do pojemnika na śmieci.

Byłem trochę zdekoncentrowany i robiłem po prostu to, co inni.

Ruszyliśmy wszyscy za doktorem Zollnerem do łazienki — ja, Max, Nash i Foster — i stanawszy pod prysznicami, umyliśmy włosy specjalnym szamponem i wyszorowali paznokcie szczotką i płynem dezynfekującym. Wszyscy wypłukaliśmy usta jakąś paszkodną cieczą. Mydliłem się i zmywałem z siebie brud tak długo, że w końcu Zollner zwrócił na to uwagę.

— Już dosyć, bo złapie pan zapalenie płuc i umrze — powiedział i roześmiał się.

Wytarłem się państwowym ręcznikiem, po czym wyrzuciłem go do kosza i mszyłem z powrotem do szatni, nagi, wolny od zarazków i aż do bólu czysty, przynajmniej z wierzchu.

Poza nami w pomieszczeniu nie było nikogo. Nawet szatniarz gdzieś się zawieruszył. Mogłem się przekonać, w jaki sposób pracownik może przemycić z laboratorium do szatni duże przedmioty. W gruncie rzeczy nie wierzyłem jednak, że coś takiego się zdarzyło, więc pytanie, czy to możliwe, nie miało znaczenia.

Zollner zniknął i po chwili wrócił z kluczami do szafek, które nam rozdał.

Otworzyłem moją szafkę i zacząłem się ubierać. Ktoś troskliwy, niewykluczone, że pan Stevens, był uprzejmy uprać moje sorty,

usuwać przy okazji czerwoną glinę z kieszeni. No tak. Przynajmniej się starałeś, Corey.

Zbadałem swoją trzydziestkęsemkę. Na pierwszy rzut oka wydawała się w porządku, ale nie miałem pewności, czy jakiś figlarz nie zablokował iglicy, nie zatkał lufy albo nie wysypał prochu z pocisków. Zapamiętałem sobie, żeby sprawdzić dokładniej pukawkę i amunicję w domu.

— To było prawdziwe przeżycie — stwierdził półgłosem Max, którego szafka sąsiadowała z moją.

Pokiwałem głową.

— Czy teraz czujesz się lepiej, żyjąc po zawietrznej stronie Plum Island? — zapytałem.

— Jasne. Czuję się kurewsko dobrze.

— Zabezpieczenia zrobiły na mnie duże wrażenie — przyznałem. — Najnowocześniejsza technika.

— Może. Ale ja myślę o huraganie albo ataku terrorystów.

— Pan Stevens obroni wyspę przed terrorystami.

— A co będzie, jeśli nadejdzie huragan?

— Ta sama procedura co przy ataku nuklearnym: pochylasz się, wsadzasz głowę między nogi i całujesz się w tyłek na pożegnanie.

— No właśnie. — Max przyjrzał mi się uważnie. — Dobrze się czujesz?

— Jasne.

— Wyglądałeś tam, jakbyś strzelił sobie w żyłę.

— Zmęczyłem się. Rzęzi mi w płucu.

— Mam wyrzuty sumienia, że cię w to wciągnąłem.

— Nie wiem dlaczego.

Max uśmiechnął się.

— Jeśli przelecisz Panią Cnotkę, będziesz mi winien jednego.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz. — Włożyłem mokasyny i wstałem. — Jesteś chyba uczulony na tę mydlę — powiedziałem do Maksa. — Masz całą twarz w bąblach.

— Co? — Max przyłożył ręce do policzków i podbiegł do najbliższego lustra. Przez chwilę wbiął wzrok w swoje odbicie, pochylając się nad umywalką. — O czym ty, do diabła, mówisz? Nie mam żadnych bąbli.

— Naprawdę? To przez to oświetlenie.

— Daj sobie siana, Corey. To wcale nie jest śmieszne.

— Masz rację — przyznałem i podszedłem do drzwi szatni, przy których czekał doktor Zollner. — Mimo moich kiepskich manier

jestem pod wielkim wrażeniem pańskiego ośrodka i dziękuję, że poświęcił nam pan swój czas — oznajmiłem.

— Miło mi się z panem rozmawiało, panie Corey. Żałuję, że spotkaliśmy się w tak smutnych okolicznościach.

Po chwili podszedł do nas George Foster.

— Mam zamiar przedstawić pozytywną opinię na temat stosowanych tu zabezpieczeń — poinformował doktora Zollnera.

— Dziękuję.

— Uważam jednak, że ochrona zewnętrzna mogłaby być skuteczniejsza, i zarekomenduję podjęcie w tej kwestii prac studialnych.

Zollner pokiwał głową.

— Na szczęście wszystko zdaje się wskazywać — kontynuował Foster — że Gordonowie nie wykradli stąd żadnej niebezpiecznej substancji i jeśli coś w ogóle zabrali, była to eksperymentalna szczepionka.

Doktor Zollner ponownie kiwnął głową.

— Zaproponuję również, by w Forcie Terry zakwaterowano na stałe oddział piechoty morskiej.

Poczułem, że muszę czym prędzej opuścić pomarańczową szatnię i wyjść na słońce. Otworzyłem drzwi i wszyscy ruszyli w ślad za mną.

W przestronnym lśniąącym holu doktor Zollner rozejrzał się, szukając wzrokiem Beth, nadal niezorientowany w temacie.

Podeszliśmy do recepcji i wymieniliśmy nasze zawieszane na łańcuszkach białe plastikowe identyfikatory z powrotem na niebieskie.

— Czy jest tu jakiś sklepik, gdzie moglibyśmy kupić pamiątki i T-shirty z nadrukiem? — zapytałem.

Zollner roześmiał się.

— Nie, ale proponuję to w Waszyngtonie. Tymczasem powinien się pan modlić, żeby nie wynieść stąd pamiątki innego rodzaju.

— Dzięki, doktorze.

— Możecie popłynąć promem o trzeciej czterdzieści pięć — stwierdził Zollner, spoglądając na zegarek — albo, jeśli macie jakieś dalsze sprawy do przedyskutowania, wrócić do mojego gabinetu.

Chętnie wróciłbym do fortyfikacji i zbadał podziemne korytarze, obawiałem się jednak, że jeśli to proponuję, na pokładzie wybuchnie bunt. Poza tym, szczerze mówiąc, nie byłem w najlepszej formie i nie miałem ochoty na kolejną pieszą wycieczkę.

— Zaczekamy na szefową — powiedziałem Zollnerowi. — Nie podejmujemy bez niej ważniejszych decyzji.

Doktor Z. uśmiechnął się i pokiwał głową.

Uderzyło mnie, że nie wydaje się tym wszystkim szczególnie zatroskany — tym, że jacyś ludzie sprawdzają istniejące w laboratoriach zabezpieczenia i procedury ochronne, ani nawet tym, że dwoje jego najlepszych naukowców wykradło stąd coś dobrego i drogiego bądź też coś złego i zabójczego. Być może nie martwił się, ponieważ, jeśli nawet popełnił jakiś błąd lub ponosił odpowiedzialność za cudzą pomyłkę, w zasadzie nic mu nie groziło. Ubił już interes z rządem: zgodził się pomóc zatrzeć ślady w zamian za odpuśczenie grzechów. Istniała również możliwość, chociaż dość odległa, że to doktor Z. zabił Gordonów albo wiedział, kto to zrobił. Jeśli o mnie chodziło, w tej sprawie podejrzany był każdy, kto miał jakąkolwiek styczność z Tomem i Judy.

Beth wyszła z damskiej szatni i dołączyła do nas. Zauważyłem, że nie umalowała się zbyt dokładnie i ma zarumienione od długiego szorowania policzki.

Wymieniła identyfikatory, a doktor Zollner zrelacjonował jej swoją propozycję.

— Ja zobaczyłam już dosyć — stwierdziła — ale może chciecie obejrzeć podziemne bunkry albo coś innego?

Wszyscy potrząsnęliśmy głowami.

— Zastrzegamy sobie prawo ponownego odwiedzenia wyspy przed zakończeniem tej sprawy — poinformowała doktora Zollnera.

— Jeśli o mnie chodzi, jesteście zawsze mile widziani — odparł. — Lecz decyzja nie należy do mnie.

Na dworze rozległ się sygnał klaksonu i wyjrzałem przez oszklone drzwi. Przed budynkiem stał biały autobus, do którego wsiadało kilku pracowników.

— Wybaczcie, że nie odprowadzę was na prom — oznajmił doktor Z., po czym uściśnął nam wszystkim dłonie i życzył miłego dnia, nie okazując ani śladu radości, że ma nas w końcu z głowy. Dzentelmen w każdym calu.

Wyszliśmy na słońce i zanim wsiadłem do autobusu, nabrałem do płuc kilka galonów świeżego powietrza. Kierowca również należał do ochrony i domyśliłem się, że stanowi naszą eskortę.

W środku siedziało tylko sześciu pracowników. Żadnego z nich nie widziałem w trakcie naszej wycieczki.

Autobus ruszył z miejsca i po pięciu minutach zatrzymał się obok przystani. Wszliśmy na pokład biało-niebieskiego promu, *Plum Runner* włączył syrenę i odbiliśmy od brzegu.

Stojąc w głównej kabinie, gawędziliśmy o tym i owym. Jeden

z członków załogi, ogorzały od wiatru facet, podszedł i odebrał od nas przepustki.

— Jak się państwu podobała wyspa doktora Moreau? — zapytał.

Literacka aluzja dziwnie zabrzmiała w ustach starego wilka morskiego. Zamieniliśmy z nim kilka słów i dowiedzieliśmy się, że ma na imię Pete. On również napomknął, że czuje się fatalnie z powodu Gordonów.

Po chwili przeprosił nas i wspinał się po schodkach na górny pokład. Ruszyłem za nim i dogoniłem, zanim otworzył drzwi prowadzące na mostek.

— Ma pan chwilę czasu?

— Jasne.

— Znał pan Gordonów?

— Pewnie. Pływaliśmy tą łajbą w tę i z powrotem przez dwa lata.

— Powiedziano mi, że dojeżdżali do pracy własną motorówką.

— Czasami. Fajna nowa formuła trzysta trzy. Dwusilnikowa. Szybka jak wszyscy diabli.

Doszedłem do wniosku, że pora wyłożyć karty na stół.

— Czy mogli przemycać nią narkotyki? — zapytałem.

— Narkotyki? W życiu. Nie potrafiliby znaleźć wyspy, a co dopiero statku z narkotykami.

— Skąd pan wie?

— Czasami gadałem z nimi o łodziach. W ogóle nie znali się na nawigacji. Nie mieli nawet na pokładzie systemu nawigacyjnego. Nie wiedział pan o tym?

— Zgadza się. — Teraz, kiedy o tym wspomniał, uświadomiłem sobie, że nigdy nie widziałem na ich łodzi urządzenia do satelitarnej nawigacji. A ktoś, kto przemyca narkotyki, na pewno czegoś takiego potrzebuje. — Może pana nabierali — powiedziałem do Pete'a. — Może byli najlepszymi żeglarzami od czasów Magellana.

— Kogo?

— Dlaczego pan sądzi, że nie znali się na nawigacji?

— Namawiałem ich, żeby zapisali się na kurs. Wie pan. Nie byli nawet zainteresowani.

Pete trochę się naburmuszył.

— Może udawali tylko, że nie potrafią żeglować — nie dawałem za wygraną. — Wie pan. Żeby nikt nie pomyślał, iż przemycają narkotyki.

— Tak pan mówi? — Pete podrapał się w głowę. — Może. Ale ja nie sądzę. Nie lubili otwartej wody. Jeśli płynęli tą swoją motorówką i zobaczyli prom, podchodzili od zawietrznej i trzymali się

blisko nas. Nie lubili tracić z oczu ładu. Czy tak pana zdaniem zachowują się przemytnicy?

— Chyba nie. Więc kto i dlaczego ich zamordował?

Pete wzruszył ramionami teatralnym gestem.

— Niech mnie kule biją, jeśli wiem.

— Przecież się nad tym zastanawiałeś, Pete. Kto i dlaczego? Co sobie wpierw pomyślałeś? Co mówili ludzie?

Pete odchrząknął i zamruczał coś niezrozumiale.

— Z początku myślałem chyba, że ukradli coś z laboratorium — odparł. — Wie pan. Coś, co zgładziłoby całą ludzkość. I chcieli sprzedać to jakimś cudzoziemcom czy komuś. Wie pan. A potem interes nie wypalił i ktoś ich kropnął.

— Ale teraz już w to nie wierzysz?

— Słyszałem coś innego.

— Co mianowicie?

— Że skradli szczepionkę wartą miliony. To prawda? — zapytał, patrząc na mnie.

— Prawda.

— Chcieli się szybko wzbogacić i zamiast tego szybko przejechali się na tamten świat.

— Zapłatą za grzech jest śmierć.

— Podobno.

Pete przeprosił mnie i wszedł do sterówki.

Ciekawe, pomyślałem, że Pete i chyba w ogóle wszyscy, łącznie z waszym pokornym sługą, w pierwszym momencie zareagowali bardzo podobnie na śmierć Gordonów. Potem, po zastanowieniu, bardziej prawdopodobny wydał mi się przemyt narkotyków. Teraz pojawiła się hipoteza szczepionki. Ale czasami najbliższą prawdą jest pierwsza reakcja, to, co podpowiada instynkt. Tak czy inaczej, tym, co łączyło wszystkie trzy teorie, były pieniądze.

Stojąc na górnym pokładzie, obserwowałem oddalające się zielone brzegi Plum Island. Słońce stało wysoko na zachodzie i czułem na skórze jego przyjemny dotyk. Delektowałem się świeżym powietrzem, zapachem morza, nawet kołysaniem statku. Przyszła mi do głowy niepokojąca myśl, że staję się tubylcem. Za chwilę będę trybować mięczaki, cokolwiek to znaczy.

Beth Penrose weszła na górę, przez chwilę obserwowała kilwater, a potem oparła się plecami o reling i wystawiła twarz do słońca.

— Przewidziałeś, co powie nam Zollner — stwierdziłem.

Pokiwała głową.

— To całkiem sensowna teoria. Pasuje do faktów i rozwiązuje

problem, jaki sprawiało nam uwierzenie, że Gordonowie skradli zabójcze organizmy albo przemycali narkotyki. Gordonowie wykradli coś dobrego. Coś, co przynosi zysk. Pieniądze. Motywem są pieniądze. Złoto, które uwodzi świętych, jak powiedział Szekspir.

— W tym miesiącu zaliczyłem chyba dość cytatów z Szekspira. Nie wiem, dlaczego nie wpadło mi to do głowy... Tak bardzo uczepiliśmy się tych zarazków — dodałem po chwili — że ani razu nie pomyśleliśmy o medykamentach: szczepionkach, antybiotykach, lekach przeciwwirusowych i tak dalej. Te właśnie rzeczy bada się na Plum Island i te rzeczy ukradli Gordonowie. Jezu, chyba tracę rozum.

Beth uśmiechnęła się.

— Prawdę mówiąc, zaczęłam myśleć o czymś w rodzaju szczepionki już zeszłej nocy... a potem, kiedy Stevens wspomniał o szczepionce przeciwko pryszczycy, wiedziałam, do czego zmierza.

— W porządku. Teraz wszyscy mogą spać spokojnie. Nie grozi nam panika, histeria, stan wyjątkowy. A myślałem już, że nie dożyję Halloween.

Spojrzeliliśmy sobie prosto w oczy.

— Ale to oczywiście wszystko kłamstwo — stwierdziła Beth.

— Owszem. Chociaż naprawdę udane. To kłamstwo zdejmuje odium z Plum Island i w ogóle z agencji federalnych. FBI i CIA mogą po cichu prowadzić dochodzenie, nie mając na karku nas i dziennikarzy. Ty, Max i ja zostaliśmy właśnie wyłączeni z tej części sprawy, która dotyczy Plum Island.

— Zgadza się. Lecz w dalszym ciągu mamy na głowie podwójne morderstwo. I musimy rozwiązać ten problem sami.

— Masz rację — przyznałem. — Chyba będzie mi brakowało Teda Nasha.

Beth uśmiechnęła się, a potem spoważniała.

— Nie wchodziłabym w drogę komuś takiemu jak on — przestrzegła mnie.

— Pieprzę go.

— Straszny z ciebie twardziel.

— A co myślałaś... Oberwałem dziesięć kul i dopiłem do końca kawę, nim poszedłem do szpitala.

— Kule były trzy, leżałeś cały miesiąc w szpitalu i nie wróciłeś jeszcze do zdrowia.

— Rozmawiałeś z Maksem. Jesteś słodka.

Nie odpowiedziała. Zauważyłem, że nie daje się podpuszczać. Będę musiał o tym pamiętać.

— Co myślisz o Stevensie? — zapytała.  
— Odpowiedni człowiek na odpowiednim miejscu.  
— Kłamie?  
— Oczywiście.  
— A Zollner?  
— Polubiłem go.  
— Też kłamie?  
— Nie tak swobodnie jak Stevens. Został do tego nakłoniony. I dokładnie poinstruowany.

Beth pokiwała głową.

— Czy obleciał go strach? — zapytała.  
— Nie.  
— Dlaczego nie?  
— Bo nie ma się czego bać. Wszystko jest pod kontrolą. Stevens i Zollner dobili targu z rządem.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem.

— Też mam takie wrażenie. Bajeczka została wymyślona, napisana i wyreżyserowana późną nocą i wczesnym rankiem. W Waszyngtonie i na Plum Island przez całą noc paliły się światła. Dzisiaj obejrzelśmy przedstawienie.

— Dobrze to ujęłaś. Mówiłem, żebyś nie ufała tym dwóm błaznom.

— Nigdy jeszcze nie byłam w sytuacji, kiedy nie mogę ufać ludziom, z którymi pracuję.

— Ja byłem. To prawdziwe wyzwanie. Trzeba uważać na każde słowo, pilnować własnego tyłka, mieć oczy z tyłu głowy, wyczuwać woń szczurów i słyszeć to, co nie zostało powiedziane.

— Dobrze się czułeś tam w ośrodku? — zapytała, mierząc mnie wzrokiem.

— Czuję się świetnie.

— Powinieneś trochę odpocząć.

— Nash ma małego fiuta — powiedziałem, ignorując jej uwagę.

— Dziękuję, że mnie o tym poinformowałaś.

— Woląłem, żebyś wiedziała, bo zauważyłem, że jesteś nim zainteresowana. Nie chciałem, żebyś traciła czas dla faceta, który ma mały palec między nogami.

— To bardzo miło z twojej strony. Może byś tak się zajął swoimi sprawami?

— Dobrze.

Pośrodku cieśniny morze było trochę bardziej wzburzone i złapałem się relingu. Spojrzałem na Beth, która miała teraz zamknięte



oczy i z odchyłoną do tyłu głową łapała promienie ultrafioletowe. Chyba już mówiłem, że miała buzię jak amorek, jednocześnie niewinną i zmysłową. Koło trzydziestki, jak wspomniałem, po rozwodzie, jak wspomniała ona. Zastanawiałem się, czy jej były mąż był gliniarzem, czy nie podobало mu się, że ona jest gliniarzem, i w ogóle o co im poszło. Ludzie w jej wieku mają już pewien bagaż; ludzie w moim wieku taskają ze sobą sto kufrów. Wciąż miała zamknięte oczy.

— Co byś robił, gdyby dali ci rentę inwalidzką? — zapytała.

— Nie wiem — odparłem. — Max pewnie by mnie zatrudnił — dodałem po chwili.

— Gdyby stwierdzili siedemdziesięcioprocentowy ubytek zdrowia, nie mógłbyś chyba dalej pracować w policji. Nie sądzisz?

— Chyba nie. Nie wiem, co bym robił. Manhattan jest drogi. Mam tam mieszkanie. Sądzę, że musiałbym się wyprowadzić. Może tutaj.

— A co byś tu robił?

— Uprawiał winorośl. Hoduje się winorośl i tłoczy wino.

— Zgadza się.

Podniosła powieki i spojrzała na mnie. Nasze oczy spotkały się, zbały, spenetrowały i tak dalej. A potem Beth z powrotem opuściła powieki.

Żadne z nas nie odzywało się przez jakąś minutę. W końcu znów otworzyła te swoje zielononiebieskie oczy.

— Dlaczego nie wierzysz, że Gordonowie ukradli cudowną szczepionkę, żeby zbić na niej fortunę? — zapytała.

— Ponieważ ta teoria pozostawia wiele pytań bez odpowiedzi. Po pierwsze, po co im była potężna motorówka? Nie potrzebuje się łodzi za sto tysięcy dolarów, żeby przewieźć nią raz szczepionkę. Prawda?

— Może wiedzieli, że ukradną kiedyś tę szczepionkę i że będzie ich stać na fajną łódkę. Kiedy ją kupili?

— W kwietniu zeszłego roku — odpowiedziałem. — Tuż przed sezonem żeglarskim. Dziesięć tysięcy zaliczki, reszta w ratach.

— Okej, dlaczego jeszcze nie wierzymy w wersję Zollnera?

— Po co odbiorcy szczepionki mieliby mordować dwie osoby? Zważ, że ten, kto czekał na nich na tarasie, nie wiedział na pewno, co Gordonowie przywieźli w aluminiowym pojemniku.

— Co do morderstwa, oboje wiemy, że ludzie giną z bardziej błahych powodów. Co do towaru w pojemniku... może Gordonowie mieli na Plum Island współnika, który załadował szczepionkę na

ich łódź? Wspólnik na Plum Island dzwoni do osób, które czekają na Gordonów, i mówi im, że towar jest w drodze. Pomyśl o wspólnikach na Plum Island. Pomyśl o panu Stevensie. O doktorze Zollnerze. O doktor Chen. O panu Gibbsie. O kimkolwiek innym na wyspie.

— W porządku... wrzucamy to do worka z teoriami.

— Co jeszcze? — zapytała.

— Cóż, nie znam się na geopolityce, ale wirus Ebola jest dosyć rzadki i szansa, że Światowa Organizacja Zdrowia albo zagrożone infekcją afrykańskie państwa zamówią dużo szczepionek, jest raczej niewielka. Ludzie w Afryce umierają na różne uleczalne choroby, takie jak malaria i gruźlica i nikt nie kupuje dla nich dwustu milionów szczepionek.

— Zgoda... lecz nie wiemy dobrze, jakie numery odchodzą w handlu farmaceutykami, jak wygląda czarny rynek i tak dalej.

— Ale zgodzisz się chyba, że opowieść, iż Gordonowie wykradli tę szczepionkę, brzmi nieprawdopodobnie.

— Nie. To brzmi prawdopodobnie. Ja po prostu czuję, że to kłamstwo.

— W porządku. To prawdopodobne kłamstwo.

— Wspaniałe kłamstwo.

— Wspaniałe kłamstwo — zgodziłem się. — Które zmienia całą sprawę.

— Na pewno. Co jeszcze?

— Atlas nawigacyjny — powiedziałem. — Nie znalazłem tam wiele, ale chciałbym wiedzieć, co znaczą cyfry cztery cztery jeden zero sześć osiem jeden osiem.

— Co sądzisz o zabawie w archeologię?

— No właśnie. To dla mnie całkowita nowość i mam w związku z tym wiele pytań.

— Dlaczego Paul Stevens nas o tym poinformował?

— Ponieważ to tajemnica poliszynela i wkrótce i tak byśmy się o tym dowiedzieli.

— Zgoda. O co tutaj chodzi?

— Nie wiem — odparłem. — Ale to nie ma nic wspólnego z archeologią. To przykrywka czegoś innego, pretekst, żeby penetrować odległe części wyspy.

— A może rzecz pozbawiona jest znaczenia?

— Może. Mamy jeszcze czerwoną glinę, którą widziałem na podeszwach butów Gordonów i którą zobaczyłem na Plum Island. W drodze z głównego budynku na przystań nie ma żadnego miejsca, gdzie można wdepnąć w czerwoną glinę.

Beth pokiwała głową.

— Domyślam się, że wzięłaś trochę czerwonej gliny, kiedy poszedłaś za potrzebą? — powiedziała.

Uśmiechnąłem się.

— Rzeczywiście wzięłam. Ale ubierając się w szatni, zauważyłam, że ktoś był tak miły i uprał mi szorty.

Beth parsknęła śmiechem.

— Szkoda, że nie uprali moich ciuchów.

Oboje się uśmiechnęliśmy.

— Zażądam próbek ziemi — powiedziała. — Mogą ją odkazić, jeśli będą się upierali, że nic nie ma prawa opuścić wyspy. Zauważyłam, że masz skłonność do chodzenia na skróty — dodała. — Zwinąłeś wyciągi z kont, ukradłeś garść ziemi należącej do państwa i kto wie, co jeszcze zrobiłeś. Powinieneś się nauczyć przestrzegać reguł, detektywie Corey. Zwłaszcza że to nie twoja jurysdykcja i nie twoja sprawa. Możesz wpaść w kłopoty, a ja nie zamierzam nadstawiać za ciebie karku.

— Nie mam co do tego złudzeń. Tak się składa, że prowadząc normalne śledztwo, na ogół przestrzegam dokładnie zasad dotyczących uzyskiwania dowodów rzeczowych, praw podejrzanych, statystyki dowodzenia i całego tego chlamu. Ale grozi nam... nadal może nam grozić zaraza, która przyćmi wszystkie inne zarazy. Dlatego poszedłem kilka razy na skróty. Czas ma tu podstawowe znaczenie. Jeśli ocalę planetę, zostanę bohaterem.

— Masz przestrzegać regulaminu i postępować zgodnie z procedurą. Nie rób niczego, co utrudniłoby sformułowanie aktu oskarżenia i skazanie sprawcy.

— Nic mamy jeszcze śladu podejrzanego, a ty już martwisz się o rozprawę.

— W ten sposób pracuję nad sprawą.

— Zrobiłem chyba wszystko, co mogłem — odparłem. — Rezygnuję ze stanowiska konsultanta.

— Nie dąsaj się. Chciałabym, żebyś został. Właściwie mogłabym się od ciebie czegoś nauczyć.

Mimo kilku spięć i nieporozumień, odmiennych opinii i temperamentów, różnicy wieku, pochodzenia, a także zapewne innych upodobań muzycznych, grup krwi i Bóg wie czego jeszcze, najwyraźniej się polubiliśmy. W gruncie rzeczy, kiedy się nad tym zastanowić, nic łączyło nas nic prócz tej sprawy, choć i w jej ocenie nie mogliśmy się pogodzić. Mimo to czułem, jak wzbiera we mnie miłość. No dobrze, pożądanie. Ale znaczące. Bardzo się w to pożądanie zaangażowałem.

Spojrzeliliśmy znowu na siebie i znowu się uśmiechnęliśmy. To było idiotyczne. Czysta głupota. Czuję się jak kretyn. Była taka piękna... Podobał mi się jej głos, jej uśmiech, jej miedziane włosy w promieniach słońca, jej ruchy, jej dłonie... i znowu pachniała mydłem. Uwielbiałem ten zapach. Mydło kojarzy mi się z seksem. To długa historia.

— Co to za bezużyteczna działka? — zapytała w końcu.

— Co? A tak. Chodzi ci o Gordonów. — Opowiedziałem jej o czeku na dwadzieścia pięć tysięcy i mojej rozmowie z Margaret Wiley. — Nie jestem chłopakiem ze wsi — dodałem — ale nie sądzę, żeby ludzie, którzy nie mają za dużo szmalu, wydawali dwadzieścia pięć patoli po to, żeby móc objąć parę własnych drzewek.

— To dziwne — przyznała. — Ziemia jednak budzi emocje. Mój ojciec był jednym z ostatnich farmerów w zachodniej części Suffolk — dodała. — Ze wszystkich stron otaczały go powstałe z parcelacji działki. Kochał swoją ziemię, lecz zmienił się cały krajobraz: lasy, strumienie i inne farmy zniknęły, więc sprzedał ją. Ale potem nie był już tym samym człowiekiem, nawet z milionem w banku. — Przez chwilę milczała. — Myślę, że powinniśmy porozmawiać z Margaret Wiley i rzucić okiem na tę działkę, chociaż nie wydaje mi się, żeby to miało jakieś znaczenie dla sprawy.

— Dla mnie fakt, że Gordonowie nigdy nie powiedzieli mi, że mają kawał ziemi, jest znaczący. To samo dotyczy archeologii. Rzeczy, które nie mają sensu, domagają się wyjaśnień.

— Dziękuję, detektywie Corey.

— Nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak wykład, ale prowadzę zajęcia w szkole policyjnej Johna Jaya i czasem wymysknie mi się coś w tym stylu.

Przez moment przyglądała mi się z niedowierzaniem.

— Nigdy nie wiem, czy nie próbujesz zamącić mi w głowie — stwierdziła.

Właściwie chciałem jej zamącić w głowie, i to na dobre, ale w tym momencie starałem się o tym nie myśleć.

— Naprawdę uczę w tym college'u — powiedziałem.

Mieszcząca się na Manhattanie Wyższa Szkoła Kryminalistyki Johna Jaya należy do najlepszych tego typu uczelni w kraju i Beth nie mogła sobie chyba wyobrazić Johna Coreya w roli profesora.

— Czego uczysz? — zapytała.

— Z całą pewnością nie zasad zbierania dowodów rzeczowych, praw podejrzanych i tego rodzaju rzeczy.

— Z całą pewnością.

— Uczę praktycznych rzeczy, z którymi ma się do czynienia w śledztwie. Co widać na miejscu przestępstwa i tak dalej. Prowadzę zajęcia w piątek wieczorem. W ten wieczór rozwiązujemy największe kryminalne zagadki stulecia. Możesz wpaść, jeśli kiedykolwiek do tego wrócę. Może w styczniu.

— Niewykluczone, że to zrobię.

— Przyjdź wcześniej. Sala jest zawsze wypełniona po brzegi. Jestem bardzo zabawny.

— Nie mam co do tego wątpliwości.

Ja zaś nie miałem wątpliwości, że Beth Penrose zaczęła wreszcie rozważać serio pewne sprawy.

Prom zaczął zwalniać przed wejściem do portu.

— Rozmawiałaś już z Murphymi? — zapytałam.

— Nie. Zrobił to Max. Są na mojej dzisiejszej liście.

— To świetnie. Pojadę z tobą.

— Myślałam, że się wycofałeś.

— Jutro.

Beth wyjęła z torebki notatnik i zaczęła go kartkować.

— Chcę mieć z powrotem te wydruki komputerowe, które pożyczyleś — oznajmiła.

— Mam je w domu.

— W porządku. — Przebiegła wzrokiem kartkę. — Zadzwońię do laboratorium w sprawie odcisków. Poprosiłam poza tym prokuratora okręgowego o zgodę na ujawnienie wykazu rozmów telefonicznych Gordonów za ostatnie dwa lata.

— Dobrze. Załatw także listę mieszkańców Southold, którzy mają zarejestrowaną broń palną.

— Myślisz, że broń, z której popełniono morderstwo, może być zarejestrowana? — zapytała.

— Niewykluczone.

— Dlaczego tak uważasz?

— Przeczucie. Tymczasem przeczesuj dno w poszukiwaniu kul.

— Owszem, ale to może być naprawdę daleki strzał. Przepraszam za kalambur.

— Nie szkodzi. Jestem uodporniony na kiepskie kalambury.

— Domyślam się dlaczego.

— Poza tym, jeśli zbierzesz broń z Plum Island, postaraj się, żeby testy balistyczne przeprowadziła policja hrabstwa, a nie FBI.

— Wiem.

Wyliczyła kilkanaście innych rzeczy, które trzeba było zrobić,

i mogłem się przekonać, że ma bystry i uporządkowany umysł. Była poza tym spostrzegawcza i lotna. Brakowało jej tylko doświadczenia, żeby zostać naprawdę dobrym detektywem. Żeby zostać wybitnym detektywem, musiała nauczyć się rozluźniać, sprawiać, by ludzie mówili z nią swobodnie i czasami nawet za dużo. Robiła wrażenie osoby zdecydowanej i silnej, a większość świadków, nie mówiąc już o kolegach, reaguje na to postawą obronną.

— Wyluzuj się — powiedziałem.

Podniosła wzrok znad notesu.

— Słucham?

— Wyluzuj się. Przez chwilę milczała.

— Trochę niepokoi mnie ta sprawa — stwierdziła w końcu.

— Wszystkich nas niepokoi. Wyluzuj się.

— Spróbuję. Potrafię parodiować różne osoby — dodała z uśmiechem. — Mogę sparodiować ciebie. Chcesz zobaczyć?

— Nie.

Zgarbiła się, pochyliła ramiona, po czym wsadziła jedną rękę do kieszeni i podrapała się po brzuchu drugą.

— No co jest, kurde balans, z tą sprawą? — przemówiła basowym głosem z nowojorskim akcentem. — Co sobie wyobraża ten burak, Nash? He? Facet nie odróżnia krowiego placka od pizzy wegetariańskiej. Ma iloraz inteligencji nogi stołowej. He? Facet...

— Dziękuję ci bardzo — oświadczyłem chłodno.

Beth roześmiała się.

— Wyluzuj się — powiedziała.

— Nie mówię z takim wyraźnym nowojorskim akcentem.

— Tutaj tak to brzmi.

Byłem trochę poirytowany, ale i trochę rozbawiony. Tak mi się wydaje.

Przez kilka chwil żadne z nas się nie odzywało.

— Myślę, że sprawa nie ma już takiego priorytetu i to dobrze — oświadczyłem w końcu.

Pokiwała głową.

— Mniej ludzi będzie ci patrzyło na palce — dodałem. — Mniej federalnych, mniej polityków, mniej dziennikarzy. I nie będą ci udzielać więcej pomocy, niż potrzebujesz. Kiedy rozwiązesz tę sprawę, zostaniesz bohaterką — dodałem.

Badała mnie przez dłuższą chwilę wzrokiem.

— Myślisz, że ją rozwiążemy? — zapytała.

— Jasne.  
— A jeżeli nam się nie uda?  
— Mnie nie spadnie włos z głowy. Ale ty możesz mieć kłopoty z dalszą karierą.

— Dzięki.

Prom dobił do nabrzeża i marynarze rzucili w dół dwie cumy.

— Więc... oprócz teorii złych zarasków i złych narkotyków mamy teraz teorię dobrych medykamentów — oznajmiła, myśląc jakby na głos. — Nie zapominaj także, że Max poinformował media, że to było typowe morderstwo popełnione przez złapanego na gorącym uczynku włamywacza. I wiesz co? Mimo wszystko nie wykluczam tej możliwości.

— Mam dla ciebie jeszcze jedną teorię — powiedziałem. — Wyłącznie dla ciebie. Przypuśćmy, że Tom i Judy dowiedzieli się czegoś, czego nie powinni wiedzieć, albo zobaczyli na Plum Island coś, czego nie powinni zobaczyć. Przypuśćmy, że kropnęli ich pan Stevens albo twój przyjaciel pan Nash.

Beth przez dłuższy czas milczała.

— To brzmi jak scenariusz kiepskiego filmu. Ale pomyślę o tym — odparła.

— Wszyscy na brzeg! — zawołał z dolnego pokładu Max.

Beth ruszyła w stronę schodków, a potem zatrzymała się w pół kroku.

— Jaki jest numer twojej komórki? — zapytała. — Pożegnamy się na parkingu — powiedziała, kiedy go jej dałem — i zadzwonię do ciebie za jakieś dwadzieścia minut.

Dołączyliśmy do stojących na rufie Maksa, Nasha i Fostera i razem z sześcioma pracownikami ośrodka zeszliśmy na ląd. Na rejs powrotny na Plum Island czekały na nabrzeżu tylko trzy osoby i po raz kolejny uderzyło mnie, jak niesamowicie odizolowana jest ta wyspa.

— Cieszę się, że najbardziej niepokojący aspekt tej sprawy został wyjaśniony — oświadczył komendant policji Southold, Sylvester Maxwell, kiedy znaleźliśmy się na parkingu. — Czekają mnie inne obowiązki, w związku z czym śledztwo w sprawie zabójstwa pozostawiam teraz detektyw Penrose.

— Ja również jestem usatysfakcjonowany — stwierdził pan Ted Nash z CIA — i ponieważ wszystko wskazuje na to, że nie zostało naruszone bezpieczeństwo kraju i sprawa nie będzie miała reperkusji międzynarodowych, przekażę gorze sugestię, żeby nasza agencja przestała się nią zajmować.

— Doszło, jak się zdaje, do kradzieży państwowej własności — oznajmił pan George Foster z FBI — w związku z czym federalne biuro będzie dalej trzymało rękę na pulsie. Wracam dziś do Waszyngtonu, żeby złożyć raport. Sprawę przejmie nasze lokalne biuro i ktoś od nich się z wami skontaktuje, komendancie. Względnie z panią lub pani zwierchnikiem — dodał, spoglądając na Beth.

— Cóż, wygląda na to, że ze mną. Dziękuję wszystkim za okazaną pomoc — powiedziała detektyw Elizabeth Penrose z policji hrabstwa Suffolk.

Pora była się żegnać, ale Ted i ja musieliśmy jeszcze wymienić kilka ostatnich sztychów.

— Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy, detektywie Corey — zaczął Nash.

— Jestem o tym przekonany, Ted. Następnym razem spróbuj udać kobietę. Powinno ci to wyjść lepiej niż odgrywanie faceta z Departamentu Rolnictwa.

Pan Nash spiorunował mnie wzrokiem.

— Swoją drogą, zapomniałem wspomnieć — oświadczył — że znam pańskiego szefa, detektywa porucznika Wolfe'a.

— Jaki ten świat mały. To też niezły dupek. Ale wierzę, że szepniesz mu o mnie dobre słowo, prawda, przyjacielu? .

— Nie omieszkam wspomnieć, że przesyła mu pan wyrazy szacunku i wprost pali się, żeby wrócić do służby.

— To były interesujące i bardzo intensywne dwadzieścia cztery godziny — przerwał nam jak zwykle Foster. — Ten zespół może być, moim zdaniem, dumny ze swoich dokonań i nie mam wątpliwości, że lokalna policja doprowadzi sprawę do pomyślnego finału.

— Ujmując krótko: odwaliliśmy kawał dobrej roboty i powodzenia — powiedziałem.

Wszyscy podaliśmy sobie dłonie, nawet ja, mimo że nie wiedziałem, czy nadal mam tę posadę i czy w ogóle ją kiedykolwiek miałem. Niemniej słowa pożegnania były krótkie, nikt nie miał łez w oczach, nie obiecywał, że napisze albo zadzwoni, nikt się nie całował ani nie obejmował. W ciągu niespełna minuty Max, Beth, Nash i Foster wsiedli do swoich samochodów i odjechali, a ja zostałem na parkingu z palcem w nosie. Dziwne. Zeszłej nocy wszyscy myśleli, że zaczęła się apokalipsa i czterej jeźdźcy wyruszyli w straszliwą podróż. A teraz nikt nie przejmował się dwójkiem leżących w kostnicy złodziejów szczepionek. Prawda?

Ruszyłem do swojego samochodu. Kto brał udział w tej szopce? Po pierwsze, Ted Nash ze swoimi ludźmi; po drugie, George Foster,



ponieważ on też popłynął wcześniejszym promem z Nashem oraz czterema facetami w garniturach, którzy odjechali czarnym chevroletem caprice. Prawdopodobnie również Paul Stevens i doktor Zollner.

Byłem przekonany, że pewne agencje federalne dokonały mistyfikacji i oszukały w ten sposób środki przekazu, społeczeństwo i cały świat. Ale nie udało im się oszukać detektywów Johna Coreya i Elizabeth Penrose. Nie, moi państwo, nie udało się. Zastanawiałem się, czy Max kupił ich wersję. Ludzie są generalnie skłonni wierzyć w dobre wiadomości, a Max miał takiego fioła na punkcie zarazków, że naprawdę gotów był uwierzyć, że na Plum Island rozpylają w powietrzu antybiotyki i szczepionki. Powinienem z nim chyba porozmawiać. Później.

Pojawiało się kolejne pytanie: skoro to wszystko było mistyfikacją, co takiego starali się ukryć? Przyszło mi do głowy, że być może sami tego nie wiedzieli. Chcieli, żeby sprawę przekwalifikowano z globalnego horroru na pospolitą kradzież, i musieli zrobić to szybko, żeby się nie poparzyć. Może dopiero teraz zaczynają się zastanawiać, o co w tym wszystkim, do cholery, chodzi. Może tak samo jak ja nie mieli pojęcia, dlaczego Gordonowie zostali zamordowani.

Teoria numer dwa: Nash i Foster wiedzieli, kto i dlaczego zamordował Gordonów, i możliwe nawet, że sami to zrobili. Naprawdę nie wiedziałem, kim są ci dwaj figlarze.

Pamiętając o tym, przypomniałem sobie, co Beth powiedziała na temat Nasha. Że nie wchodziłaby takiemu człowiekowi w drogę.

Przystanąłem jakieś dwadzieścia jardów od mojego jeepa i rozejrzałem się dookoła.

Na parkingu stało teraz około stu pojazdów należących do pracowników Plum Island, ale w pobliżu nie było nikogo, w związku z czym schowałem się za furgonetkę i wyjąłem z kieszeni kluczyki. Jednym z udogodnień, które otrzymałem za swoje czterdzieści tysięcy dolców, była możliwość zdalnego zapłonu. Nacisnąłem dwa razy dłużej i raz krótko klawisz pilota i czekałem na eksplozję. Nie nastąpiła. Silnik zapalił. Odczekałem całą minutę, a potem podszedłem do jeepa i wsiadłem do środka.

Zastanawiałem się, czy nie jestem zanadto ostrożny. Gdyby mój samochód wybuchł, odpowiedź brzmiałaby prawdopodobnie „rie”. Przezorny zawsze ubezpieczony. Dopóki nie wiedziałem, kim jest morderca, moim drugim imieniem była paranoja.

# Rozdział 14

Jechałem na zachód Main Street, silnik jeepa kojąco mruczał, radio grało lekkie kawałki, a za oknami przesuwał się wiejski krajobraz i niebo nakrapiane mewami: najlepszy widok, jaki ma do zaferowania trzecia planeta od Słońca.

Zadzwoiła komórka i podniosłem ją do ucha.

— Tu telefon towarzyski. Czym mogę służyć?

— Spotykamy się w domu Murphych — oświadczyła detektyw Penrose.

— Nie sędzę — odparłem.

— Dlaczego?

— Mam wrażenie, że zostałem wylany. A jeśli nie, sam składam rezygnację.

— Zostałeś zatrudniony w wymiarze tygodniowym. Musisz przepracować co najmniej jeden tydzień.

— Kto tak powiedział?

— Spotykamy się u Murphych — powtórzyła i odłożyła słuchawkę.

Nienawidzę władczych kobiet. Niemniej dwadzieścia minut później przejechałem obok domu Murphych i zauważyłem detektyw Penrose, która siedziała w swoim nieoznakowanym czarnym fordzie LTD.

Zatrzymałem się kilka posesji dalej, zgasilem silnik i wysiadłem. Na prawo od działki Murphych policyjne taśmy wciąż odgradzały miejsce zbrodni. Przed domem Gordonów stał policjant z Suffolk, a na trawniku zaparkowana była furgonetka ruchomego punktu dowodzenia.

Beth rozmawiała przez telefon komórkowy. Widząc mnie, skończyła rozmowę i wysiadła.

— Właśnie miałam długą pogawędkę ze swoim szefem — oznajmiła. — Wszystkim bardzo się podoba teoria kradzieży szczepionki.

— Czy zasugerowałaś swemu szefowi, że to wierutna bzdura?

— Nie... zostawmy to na razie na boku. Spróbujmy rozwiązać zagadkę podwójnego morderstwa.

Podeszliśmy do frontowych drzwi i zadzwoniliśmy. Dom Murphych, dość brzydki, ale niezłe zachowany, przypominał ranczo z lat sześćdziesiątych, w oryginalnym, jak to mówią, stanie.

Drzwi otworzyła kobieta koło siedemdziesiątki i przedstawiliśmy się. Gospodyni wlepiła wzrok w moje szorty, zauważając prawdopodobnie, jak ładnie są uprane i jak świeżo pachną. Uśmiechnęła się do Beth, po czym zaprosiła nas do środka i zniknęła w głębi domu.

— Ed! Znowu policja! — zawołała.

Po chwili wróciła do salonu i wskazała nam dwuosobową kanapę. Usiedliśmy, prawie dotykając się policzkami.

— Napijcie się państwo kool-aid? — zapytała pani Agnes Murphy.

— Nie, dziękuję — odparłem. — Jestem na służbie, proszę pani.

Beth również odmówiła.

Pani Murphy usiadła w bujanym fotelu naprzeciwko nas.

Rozejrzałem się dookoła. Wnętrze utrzymane było w stylu, który nazywam klasycznym starym badziewiem: ciemne przedpotopowe meble, około sześciuset szpetnych bibelotów, nieprawdopodobnie lepkie pamiątki, albumy z wnukami i tak dalej. Ściany miały kredowozielony kolor poobiedniej mięty, a dywan... ale kogo to w końcu obchodzi?

Pani Murphy była odziana w różowe spodnie z syntetyku, który powinien przetrwać trzy tysiące lat.

— Lubiła pani Gordonów? — zapytałem.

Pytanie zaskoczyło ją, zgodnie z moim zamiarem.

— Nie znaleźmy ich zbyt dobrze, ale na ogół byli spokojni — odparła po chwili, zebrawszy myśli.

— Dlaczego pani zdaniem zostali zamordowani?

— Skąd mogę wiedzieć? — Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie wzajemnie. — Może to ma coś wspólnego z ich pracą — dodała w końcu.

W tej samej chwili do pokoju wszedł Edgar Murphy, wycierając ręce ściereczką. Był akurat w garażu, wyjaśnił, i naprawiał swoją spalinową kosiarkę. Wydawał się bliższy osiemdziesiątki i na miej-

scu prowadzącej śledztwo Beth Penrose żywiłbym poważne obawy, czy dotrwa do rozprawy.

Miał na sobie zielony kombinezon i robocze buty i był tak samo blady jak jego żona. Wstałem, uściśnąłem mu dłoń i siadłem z powrotem. Edgar usadowił się w fotelu ze zmienną regulacją oparcia, przechylił się do tyłu i wbił oczy prosto w sufit. Próbowałem utrzymać z nim kontakt wzrokowy, ale nie było to łatwe ze względu na moją i jego pozycję. Przypomniałem sobie, dlaczego nie odziedziam swoich rodziców.

— Rozmawiałem już z komendantem Maxwelllem — oznajmił.

— Wiem o tym, proszę pana — odparła Beth. — Jestem z wydziału zabójstw.

— A on skąd? — zapytał.

— Przysłał mnie komendant Maxwell — powiedziałem.

— Nieprawda. Znam wszystkich gliniarzy w miasteczku.

Jeszcze moment, a zamiast podwójnego będziemy mieli potrójne morderstwo. Spojrzałem w sufit, tam gdzie wpatrywał się Edgar, i przemówiłem, tak jakbym wysyłał sygnał do satelity, który przekazywał go z powrotem w dół.

— Jestem konsultantem. Niech pan posłucha, panie Murphy...

— Możesz się wyprostować, Ed? — przerwała mi pani Murphy. — To bardzo niegrzecznie siedzieć w ten sposób.

— Mam to w nosie. To mój dom. Chyba mnie dobrze słyszysz. Pan też dobrze mnie słyszy, prawda?

— Tak jest, proszę pana.

Beth przypomniała na początek kilka faktów, umyślnie trochę je przeinaczając i pan Murphy poprawił ją, udowadniając, że ma dobrą krótkoterminową pamięć. Pani Murphy również wprowadziła kilka uściśleń. Sprawiali wrażenie wiarygodnych świadków i wstydzilem się swojego zniecierpliwienia wobec starszych państwa; było mi strasznie głupio, że chciałem złożyć rozkładany fotel razem z siedzącym na nim Edem.

A jednak im dłużej trwała rozmowa, tym jaśniejsze stawało się, że dowiemy się niewiele nowego, jeśli idzie o nagie fakty: o wpół do szóstej Edgar i Agnes byli już po kolacji — starsi ludzie jedzą kolację koło czwartej — i siedzieli oboje w pokoju słonecznym. Oglądając telewizję, usłyszeli łódź Gordonów — poznali warkot jej silników.

— To bardzo głośne silniki — skomentowała Agnes. — Po co ludziom takie wielkie, głośne silniki?

Żeby denerwować sąsiadów, pani Murphy.

- Widzieliście państwo łódź? — zapytałem.
- Nie — odparł pan Murphy. — Nie chciało nam się patrzeć.
- Mogliście zobaczyć łódź z okien pokoju słonecznego.
- Owszem, widać stamtąd wodę. Ale oglądaliśmy telewizję.
- To ciekawsze niż oglądanie dumej zatoki.
- John... — odezwała się z wyrzutem Beth.

To prawda, mam wiele uprzedzeń i naprawdę się z tego powodu nienawidzę, ale jestem produktem mojej epoki, mojej płci i mojej kultury.

— Macie państwo piękny dom — powiedziałem, uśmiechając się do pani Murphy.

— Dziękuję.

Beth przejęła ode mnie na jakiś czas pałeczkę.

— Jesteście państwo pewni, że nie słyszeliście żadnego hałasu, który mógł być strzałem z pistoletu? — zapytała.

— Nie — oświadczył kategorycznie Edgar Murphy. — A mam całkiem niezły słuch. Usłyszałem, jak wołała mnie Agnes.

— Czasami strzały z pistoletu brzmią nieco inaczej, niż myślimy — tłumaczyła Beth. — Rozumiecie, w telewizji są bardzo głośne, ale w rzeczywistości brzmią czasem jak sztuczne ognie, ostre trzaski albo zapchany gaźnik. Czy słyszeliście jakiś dźwięk, kiedy umilkły silniki?

— Nie.

Moja kolej.

— W porządku, usłyszeliście, jak umilkły silniki — powiedziałem. — Czy w dalszym ciągu oglądaliście telewizję?

— Tak. Ale dość cicho. Siedzieliśmy naprawdę blisko telewizora.

— Plecami do okien?

— Tak.

— Dobrze. Oglądał pan dalej telewizję przez dziesięć minut. Co się stało, że pan wstał?

— To był jeden z ulubionych programów Agnes. Jakiś głupi talk-show. Montel Williams.

— Wyszedł więc pan z domu, żeby pogadać z Tomem Gordonem?

— Chciałem pożyczyć od niego przedłużacz — stwierdził Edgar, po czym wyjaśnił, że przeszedł przez dziurę w żywopłocie, przystanął na skraju drewnianego tarasu Gordonów i nagle zobaczył Toma i Judy, martwych jak kłody.

— Jak daleko stał pan od ciał? — zapytała Beth.

— Mniej niż dwadzieścia stóp.

— Jest pan tego pewien?

— Tak. Stałem na skraju tarasu, a oni leżeli naprzeciwko tych przesuwanych szklanych drzwi. Dwadzieścia stóp.

— W porządku. Skąd pan wiedział, że to Gordonowie?

— Z początku nie wiedziałem. Stałem po prostu jak wryty w miejscu, a potem zobaczyłem, że to oni.

— Skąd pan wiedział, że nie żyją?

— Też nie wiedziałem z początku. Ale zobaczyłem... to wyglądało, jak trzecie oko na czole. Wie pan? I nie poruszyli się nawet na cal. Mieli otwarte oczy, a nie słyhać było, żeby oddychali albo jęczeli. Nic.

Beth pokiwała głową.

— A potem co pan zrobił?

— Dałem stamtąd nogę.

Moja kolej.

— Jak długo mógł pan stać na tym tarasie? — zapytałem.

— Och, nie wiem.

— Pół godziny?

— Nie, skądże. Może jakieś piętnaście sekund. Podejrzałem, że prędzej pięć niż piętnaście. Wątkowałem z Edgarem te kilka sekund bardzo długo, pomagając mu przypomnieć sobie, czy zobaczył albo usłyszał coś niezwykłego, cokolwiek, o czym nie wspomniał wcześniej, ale bez skutku. Zapytałem go nawet, czy czuł w powietrzu zapach prochu, ale był uparty jak wół; relacja, którą złożył Maksowi, zawierała wszystkie fakty i nie zamierzał do niej niczego dodać. Pani Murphy dzielnie mu sekundowała.

Zastanawiałem się, co by było, gdyby Edgar przeszedł przez żywoptot mniej więcej dziesięć minut wcześniej. Zapewne by tutaj z nami nie siedział. Ciekawe, czy zdawał sobie z tego sprawę.

— Jak pana zdaniem morderca oddalił się z miejsca zbrodni, skoro nie słyszał pan ani nie widział żadnej łodzi ani samochodu?

— Myślałem o tym.

— I co?

— Widzi pan, tutaj dużo ludzi spaceruje, jeździ rowerem, biega i tak dalej. Wie pan? Nie sądzę, żeby ktoś zwrócił uwagę na rowerzystę albo biegacza.

— Zgadza się.

Ale biegacz z aluminiowym pojemnikiem na głowie mógłby wzbudzić pewne zainteresowanie. Istniało duże prawdopodobieństwo, że morderca był gdzieś w pobliżu, kiedy Edgar natknął się na ciała.

Zostawiłem w spokoju miejsce zbrodni i spróbowałem innego zestawu pytań.

— Czy Gordonowie mieli dużo znajomych? — zapytałem panią Murphy.

— Dosyć dużo. Często piekli coś na dworze. Zawsze było u nich kilka osób.

— Czy wypływali gdzieś wieczorem? — zapytała Beth.

— Czasami. Trudno było nie usłyszeć tych silników — odparł Edgar. — Kilka razy wrócili naprawdę późno.

— To znaczy jak późno?

— O drugiej, trzeciej w nocy. Pewnie łowili ryby.

Owszem, można łowić ryby z motorówki i robiłem to nawet kilka razy z Gordonami, lecz formuła 303 nie jest łodzią rybacką i jestem pewien, że Edgar dobrze o tym wiedział. Należał jednak do starej szkoły i uważał, że nikt nie powinien mówić źle o zmarłych — chyba że zostanie przyparty do muru.

Krążyliśmy tak przez dłuższy czas, pytając o zwyczaje Gordonów, o pojawiające się w okolicy obce samochody i tak dalej, i tak dalej. Nigdy dotąd nie pracowałem oczywiście z Beth Penrose, ale nadawaliśmy na tej samej fali i tworzyliśmy zgrany duet.

— Na zewnątrz sprawiali wrażenie udanej pary — oświadczyła nagle po kilku minutach pani Murphy.

— Myśli pani, że on miał jakąś przyjaciółkę? — zapytałem, chwytając aluzję.

— Nie miałam zamiaru sugerować, że...

— A może ona miała jakiegoś przyjaciela?

— To znaczy...

— Kiedy Toma nie było w domu, odwiedzał ją jakiś dzentelmen. Prawda?

— Nie twierdzę wcale, że to był przyjaciel albo ktoś w tym rodzaju.

— Niech pani nam o tym opowie.

Jej relacja nie okazała się wcale taka pieprzna. Jakiś czas temu, jeszcze w czerwcu, kiedy Tom był w pracy, a Judy w domu, przyjechał do niej białym sportowym samochodem nieustalonej marki przystojny, elegancko ubrany brodaty dzentelmen i godzinę później wyszedł. Było to interesujące, ale nie świadczyło raczej o jakimś romansie, który mógłby doprowadzić do zbrodni z namietności. Potem, kilka tygodni temu, w sobotę, kiedy Tom wypłynął gdzieś łodzią, jakiś mężczyzna zająchał przed dom „zielonym

jeepem", wyszedł na taras, gdzie pani Gordon opalała się w skąpym bikini, zdjął koszulę i przez jakiś czas opalał się obok niej.

— Nie wypada robić takich rzeczy, kiedy męża nie ma w domu — stwierdziła Agnes Murphy. — Pani Gordon była prawie naga, a ten facet zdjął koszulę i położył się obok niej. Rozmawiali chwilę, a potem on wstał i poszedł sobie, zanim jeszcze wrócił mąż. I co to miało znaczyć?

— Zapewniam panią, że nie było w tym nic zdrożnego — powiedziałem. — Po prostu wpadłem, żeby zobaczyć się w jakiejś sprawie z Tomem.

Pani Murphy spojrzała na mnie i poczułem na sobie również wzrok Beth.

— Byłem przyjacielem Gordonów — wyjaśniłem.

— Aha...

Pan Murphy zachichotał, wpatrując się w sufit.

— Moja żona ma brudne myśli — poinformował mnie.

— Ja też. Czy spotykaliście się z Gordonami na gruncie towarzyskim? — zapytałem panią Murphy.

— Zaprosiliśmy ich raz na obiad mniej więcej dwa lata temu, kiedy się wprowadzili. Zaraz potem zaprosili nas na grilla. Później nigdy się już nie spotykaliśmy.

Nie potrafiłem zgadnąć dlaczego.

— Znaliście państwo z nazwiska jakichś ich przyjaciół?

— Nie. Przypuszczam, że w większości to byli znajomi z Plum Island. To dziwni ludzie, jeśli chce pan znać moje zdanie.

I tak dalej. Oboje byli szalenie rozmowni. Pani Murphy bujała się, a pan Murphy majstrował przy dźwigni swojego fotela, zmieniając co chwila pozycję oparcia.

— Co takiego zrobili? — zapytał mnie w pewnej chwili, leżąc prawie na płask. — Ukradli zarazki, żeby zniszczyć cały świat?

— Nie. Ukradli szczepionkę, która jest warta masę pieniędzy. Chcieli być bogaci.

— Naprawdę? To nie był ich własny dom. Tylko go wynajmowali. Wie pan?

— Tak.

— Płacili za duży czynsz.

— Skąd pan wie?

— Znam właściciela. Młody facet, nazywa się Sanders. To budowlanec. Kupił tę działkę od Hoffmannów, którzy byli naszymi przyjaciółmi. Sanders zapłacił im za dużo, a potem wyremontował i wynajął Gordonom. Za dużo mu płacili.



— Będę z panią szczerą, pani Murphy — oświadczyła Beth. — Pewni ludzie sądzą, że Gordonowie przemycali narkotyki. Co pani o tym sądzi?

— To możliwe — odparła bez wahania. — Wypływali stąd o dziwnych godzinach. Wcale bym się nie zdziwiła.

— Czy z wyjątkiem mnie i tego brodatego mężczyzny w sportowym samochodzie widzieliście państwo na ich podwórku albo przed domem jakichś podejrzanych osobników? — zapytałam.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że widziałem — odparł Edgar.

— Pani Murphy?

— Nie, chyba nie. Większość ich gości sprawiała porządne wrażenie. Pili za dużo wina. W kontenerze na szkło było pełno butelek po winie... czasami hałasowali trochę, kiedy popili, ale muzyka była cicha... nie jak ten wściekły jazgot, który się teraz słyszy.

— Macie państwo klucz do ich domu?

Zobaczyłem, że pani Murphy zerka na pana Muqihy'ego, który gapił się w sufit. Przez chwilę trwało milczenie.

— Tak, mieliśmy klucz — powiedział w końcu. — Mieliśmy oko na ich dom, ponieważ na ogół nigdzie nie wychodzimy.

— I co się stało?

— Chyba w zeszłym tygodniu zobaczyliśmy furgonetkę ślusarza i kiedy facet odjechał, poszedłem tam, żeby sprawdzić, czy mój klucz dalej pasuje. Nie pasował. Myślałem, że Tom da mi nowy, ale się nie doczekałem. A on ma klucz do mojego domu. Wie pan? Więc zadzwoniłem do Gila Sandersa i zapytałem go, bo wie pan, właściciel powinien mieć klucz, ale on nic o tym nie wiedział. To nie moja sprawa, jeśli jednak Gordonowie chcieli, żebym pilnował ich domu, powinienem chyba mieć klucz. Teraz zastanawiam się, czy czegoś tam nie ukrywali — dodał.

— Mianujemy pana honorowym zastępcą szeryfa, panie Murphy. Ale niech pan nie powtarza nikomu oprócz komendanta Maxwella tego, co tu zostało powiedziane. Jeśli ktoś przyjdzie i będzie mówił, że jest z FBI albo z policji Suffolk, albo z policji Nowego Jorku, niech pan mu nie wierzy. Proszę wtedy zatelefonować do komendanta Maxwella lub detektywa Penrose. Dobrze?

— Okej.

— Czy ma pan łódź? — zapytała Beth.

— Już nie. Pochłaniała za dużo czasu i pieniędzy.

— Czy ktoś odwiedzał Gordonów łodzią?

- Czasami widziałem jakąś cudzą łódź przy ich przystani.
- Wiedział pan, do kogo należy?
- Nie. Raz widziałem łódkę zupełnie taką samą jak ta, którą mieli Gordonowie. Szybką motorówkę. Ale nie należała do nich. Inaczej się nazywała.
- Był pan dość blisko, żeby to zobaczyć? — zapytałem.
- Czasami patrzę przez lornetkę.
- Jak się nazywała?
- Nie pamiętam. Ale to nie była ich łódź.
- Wiedział pan kogoś na pokładzie? — zapytała Beth.
- Nikogo. Po prostu zauważyłem łódź. Nie widziałem, żeby ktoś na nią wchodził albo z niej schodził.
- Kiedy to było?
- Niech się zastanowię... chyba w czerwcu... na początku sezonu.
- Czy Gordonowie byli wtedy w domu?
- Nie wiem. Obserwowałem dom, żeby zobaczyć, kto wychodzi, ale udało im się mnie przechytrzyć i nim się zorientowałem, usłyszałem silniki i łódź odpłynęła.
- Ma pan dobry wzrok?
- Niezbyt dobry, chyba że używam lornetki.
- A pani?
- Tak samo.
- Czy gdybyśmy pokazali państwu fotografie różnych ludzi, potrafilibyście powiedzieć, czy widzieliście ich kiedykolwiek u Gordonów? — zapytałem, zakładając, że obserwowali przez lornetkę sąsiedni dom częściej, niż byli skłonni przyznać.
- Może.
- Pokiwałem głową. Wścibscy sąsiedzi mogą się okazać dobrymi świadkami, ale czasami podobnie jak tandetna kamera widzą zbyt wiele rzeczy nieistotnych, zamazanych i nudnych.
- Wypytywaliśmy ich jeszcze przez pół godziny, ale pula tematów topniała z minuty na minutę. Pan Murphy dokonał w końcu rzeczy zgoła niemożliwej, zasypiając w trakcie przesłuchania. Jego chrapanie zaczynało działać mi na nerwy.
- Wstałem i przeciągnąłem się.
- Beth również wstała i dała pani Murphy swoją wizytówkę.
- Dziękuję, że poświęciliście nam państwo swój czas. Proszę zadzwonić, jeśli przypomnicie sobie coś jeszcze.
- Zadzwoń.
- Proszę pamiętać, że to ja prowadzę śledztwo w sprawie tego

morderstwa — dodała Beth. — To jest mój partner. Pomaga nam komendant Maxwell. Nie powinniście państwo rozmawiać o tym z nikim innym.

Starsza pani pokiwała głową, ale nie byłem pewien, czy Murphy'owie są w stanie stawić czoło komuś takiemu jak Ted Nash z CIA.

— Pozwoli pani, że przejdziemy się po posiadłości? — zapytałem.

— Proszą bardzo.

— Przykro mi, że znudziłem pani męża — powiedziałem, zegnając się.

— To pora jego poobiedniej drzemki.

— Widzę.

Pani Murphy odprowadziła nas do frontowych drzwi.

— Boję się — stwierdziła.

— Nie ma powodu — odparła Beth. — Policja obserwuje całą okolicę.

— Ktoś może nas zamordować w łóżku.

— Naszym zdaniem to był ktoś, kogo Gordonowie znali. Jakies porachunki. Nic, czego powinni się państwo obawiać.

— A co będzie, jeśli wróci?

Poczułem, jak znowu ogarnia mnie zniecierpliwienie.

— Dlaczego morderca miałby tu wracać? — zapytałem nieco obcesowo.

— Zawsze wracają na miejsce zbrodni.

— Nigdy nie wracają na miejsce zbrodni.

— Robią to, kiedy chcą zabić świadków.

— Czy pani albo pan Murphy byliście świadkami morderstwa?

— Nie.

— W takim razie nie powinniście się martwić — stwierdziłem.

— Ale morderca może myśleć, że go widzieliśmy.

Spojrzałem na Beth.

— Każę, żeby patrol miał oko na wasz dom — powiedziała. — Gdybyście poczuli się zagrożeni albo coś usłyszeli, telefonujcie pod dziewięćset jedenaście. Ale naprawdę nie ma powodu do obaw — dodała.

Agnes Murphy pokiwała głową. Otworzyłem drzwi i wyszedłem na słońce.

— Właściwie ona ma rację, Beth.

— Wiem. Zajmę się tym.

Obeszliśmy dom z boku i znaleźliśmy dziurę w żywopłocie.

Widać było przez nią tył domu Gordonów i taras, a gdyby przeszło się na drugą stronę i spojrzano w lewo, błękitne wody zatoki. Niedaleko brzegu stała niebiesko-biała łódź.

— To policja wodna — powiedziała Beth. — Czterech plet wonurków szuka dwóch małych pociśków w mule i wodorostach. Mają niewielkie szanse.

Od zbrodni nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny i teren miał być pilnowany do następnego ranka, w związku z czym nie weszliśmy na działkę Gordonów. Musielibyśmy się wtedy po raz kolejny wpisać, a ja próbowałem się definitywnie wypisać i wymeldować. Ruszyliśmy jednak w stronę zatoki wzdłuż żywopłotu, który w miarę zbliżania się do słonej wody robił się coraz niższy. Mniej więcej trzydzieści stóp od brzegu mogłem zobaczyć, co jest po drugiej stronie. Podeszliśmy do miejsca, w którym woda uderzała w umocniony brzeg. Po lewej stronie był stary ruchomy pomost Murphych, a po prawej umocowany na palach pomost Gordonów. *Spirochete* nie było.

— Urząd Morski zabrał łódź do swojego portu — oznajmiła Beth. — Nasza ekipa będzie tam nad nią pracować. Co myślisz o Murphych?

— Myślę, że to oni zrobili.

— Co takiego?

— Zabili Toma i Judy. Nie bezpośrednio. Dopadli ich po prostu na tarasie, opowiadali przez pół godziny o sobotniej wyprzedaży w supermarkecie i Gordonowie wyciągnęli pistolety i strzelili sobie w łeb.

— To możliwe — zgodziła się Beth. — Ale co się stało z pistoletami?

— Edgar przerobił je na uchwyty do papieru toaletowego.

Beth roześmiała się.

— Jesteś okropny. Ty też będziesz kiedyś stary.

— Nie, nie będę.

Żadne z nas nie odzywało się przez kilka sekund. Wpatrywaliśmy się w zatokę. Woda podobnie jak ogień przyciąga wzrok.

— Miałeś romans z Judy Gordon? — zapytała w końcu Beth.

— Gdybym miał, od razu powiedziałbym o tym Maksowi i tobie.

— Powiedziałbyś Maksowi. Nie mnie.

— No dobrze. Nie miałem romansu z Judy Gordon.

— Ale pociągała cię.

— Pociągała każdego faceta. Była piękną kobietą. I bardzo inteligentną — dodałem szybko, tak jakbym przywiązywał do tego

jakaś wagę. To znaczy, czasami przywiązuję, ale na ogół zapominam zaliczyć bystrość umysłu do ważnych cech. — Kiedy mamy do czynienia z młodą atrakcyjną parą, być może należałoby wziąć pod uwagę motyw seksualny. Beth pokiwała głową.

— Pomyślimy o tym.

Z miejsca, gdzie stałem, widziałem maszt na podwórku Gordonów. Wciąż powiewała na nim trupia czaszka, a na poprzecznej belce, przepraszam, na noku wisiały dwie flagi sygnałowe.

— Potrafisz narysować te flagi? — zapytałem Beth.

— Jasne. — Wyjęła swój notes i długopis i naszkicowała obie. — Myślisz, że to ma znaczenie? Że to jakiś sygnał?

— Dlaczego nie? W końcu to flagi sygnałowe.

— Moim zdaniem pełnią funkcję wyłącznie dekoracyjną. Ale sprawdzimy to.

— Dobrze. Wracajmy na miejsce zbrodni.

Przekroczyliśmy granicę posiadłości i zeszedliśmy na przystań Gordonów.

— W porządku, ja jestem Tom, ty Judy — powiedziałem. — Wypłynęliśmy z Plum Island w południe, teraz jest koło wpół do szóstej. Jesteśmy w domu. Wyłączam silniki. Ty wyskakujesz z łodzi pierwsza i przywiązujesz cumę. Ja wystawiam aluminiowy pojemnik na pomost. Zgadza się?

— Zgadza.

— Wdrapuję się na pomost, łapiemy pojemnik za uchwyty i niesiemy go. — Idąc obok siebie, naśladowaliśmy w pewnym sensie Gordonów. — Patrzymy w stronę domu — tłumaczyłem. — Jeśli ktoś jest na którymś z trzech poziomów tarasu, widzimy go. Zgadza się?

— Tak — odparła. — Powiedzmy, że ktoś tam jest, ale my go znamy i idziemy dalej.

— W porządku. Lecz tobie wydaje się, że ta osoba mogłaby zejść na dół i wam pomóc. Zwykła ludzka uprzejmość. Tak czy owak idziemy dalej.

Dotarliśmy, idąc obok siebie, na drugi poziom tarasu.

— W którymś momencie powinniśmy się zorientować, czy przesuwane szklane drzwi są zamknięte, czy otwarte — stwierdziła Beth. — Jeśli są otwarte, to nas zaniepokoi. Zatrzymamy się albo zawrócimy. Drzwi nie powinny być otwarte.

— Chyba że spodziewamy się, iż ktoś będzie na nas czekać w środku.

— Zgoda — powiedziała. — Ale to będzie musiał być ktoś, kto ma nowy klucz.

Weszliśmy na najwyższy poziom tarasu i zatrzymaliśmy się kilka stóp od dwóch obrysów kredą, Beth przy obrysie Judy, ja przy obrysie Toma.

— Gordonowie mieli jeszcze tylko kilka stóp do pokonania, minutę albo mniej życia — kontynuowałem. — Co widzisz?

Beth spojrzała na kredowe obrysy, potem na stojący przed nami dom, szklane drzwi i teren po lewej i prawej stronie.

— Zmierzają w stronę domu, do którego zostało im jakieś dwadzieścia stóp — odezwała się w końcu. — Nic nie wskazuje na to, żeby próbowali uciekać. Wciąż idą obok siebie, oprócz domu nie ma tu żadnego miejsca, w którym można się ukryć, a z odległości dwudziestu stóp nie sposób dwukrotnie celnie strzelić w głowę. Musieli znać zabójcę albo jego widok wcale ich nie zaniepokoił.

— Racja. Myślę, że zabójca mógł leżeć na ogrodowym leżaku, udając, że śpi. Dlatego właśnie nie zszedł na dół, żeby powitać ich na pomoście. Gordonowie znali go i niewykluczone, że Tom zawołał: „Hej, Joe, wstawaj i pomóż nam wnieść ten pojemnik ze szczepionką przeciwko Eboli”. Albo z wąglikiem. Albo z forszą. Facet wstaje z leżaka, ziewa, robi kilka kroków w ich stronę, staje w odległości, z której mógłby splunąć im w twarz, wyciąga pistolet i strzela obojgu w głowę. Zgadza się?

— Całkiem możliwe.

Beth obeszła obrysowane kredą kontury i stanęła tam, gdzie musiał stać zabójca, mniej niż pięć stóp od ofiar. Ja podszedłem tam, gdzie stał Tom. Beth podniosła do góry prawą dłoń i złapała się za nadgarstek lewą.

— Bang — rzuciła, celując palcem w moją twarz.

— Nie nieśli pojemnika, kiedy padły strzały — stwierdziłem. — W przeciwnym razie wypuściliby go z rąk. Tom i Judy postawili najpierw pojemnik na ziemi.

— Nie jestem pewna, czy w ogóle nieśli pojemnik. To twoja teoria.

— W takim razie gdzie jest pojemnik, który zawsze znajdował się w łodzi?

— Kto to może wiedzieć? Wszędzie. Spójrz na te obrysy, John. Padli tak blisko siebie, że nie bardzo wierzę, żeby nieśli między sobą długą na cztery stopy skrzynkę.

Zerknąłem ponownie na obrysy. W tym, co mówiła, było trochę racji.

— Mogli postawić pojemnik nieco wcześniej — powiedziałem — i podejść do zabójcy, który leżał na leżaku, stał tutaj albo właśnie wyszedł przez szklane drzwi.

— Możliwe. Tak czy owak Gordonowie znali zabójcę albo zabójców.

— Zgoda. Sądzę, że nieprzypadkowo spotkali się akurat w tym miejscu. Zabójcy łatwiej byłoby zabić ich wewnątrz domu niż tutaj. Mimo to wybrał to miejsce... zaplanował morderstwo właśnie tutaj.

— Dlaczego?

— Przychodzi mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie: miał zarejestrowaną broń i nie chciał, żeby pociski poddano badaniom balistycznym, jeśli znajdzie się w kręgu podejrzanych.

Beth pokiwała głową i spojrzała na zatokę.

— W pomieszczeniu pociski mogłyby utkwąć w ścianie — kontynuowałem — i być może nie zdołały ich odzyskać. Zdecydował się zatem na dwa strzały z bliska z dużego kalibru, wiedząc, że wpadną do zatoki.

Beth kiwnęła ponownie głową.

— Na to wygląda, prawda? To zmienia wizerunek zabójcy. Nie jest ćpunem ani zbirem z niezarejestrowaną pukawką. To ktoś, kto nie ma dostępu do lewej broni; porządny obywatel z zarejestrowanym pistoletem. To właśnie sugerujesz?

— To pasuje do tego, co tu widzę — odparłem.

— Dlatego prosisz o nazwiska mieszkańców, którzy mają zarejestrowaną broń.

— Owszem. Broń dużego kalibru i zarejestrowaną, a nie nielegalną albo poszukiwaną przez policję. I prawdopodobnie samopowtarzalny pistolet, a nie rewolwer, ponieważ do rewolweru raczej trudno jest zamontować tłumik. Trzymajmy się tej teorii.

— Jak porzadnemu obywatelowi z zarejestrowanym pistoletem udało się zdobyć nielegalny tłumik? — zapytała Beth.

— Trafne pytanie. — Przemyślałem ponownie swoją koncepcję. — Po raz kolejny trafiamy w tej sprawie na drobny szczegół, który dyskwalifikuje świetną hipotezę — stwierdziłem.

— Zgadza się. I mamy jeszcze te dwadzieścia czterdziestekpiątek na Plum Island.

— Faktycznie.

Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas, próbując poskładać wszystko do kupy, próbując cofnąć się dwadzieścia cztery godziny w czasie.

Przez szklane drzwi zobaczyłem w pewnym momencie umundurowanego policjanta z Southold, ale on nas nie zauważył i przeszedł gdzie indziej.

— Kiedy byłem dzieckiem — powiedziałem do Beth po pięciu minutach bezowocnego deliberowania — przyjeżdżałem tutaj z Manhattanu z moją typową amerykańską rodziną: tatą, mamą, bratem Jimem i siostrą Lynne. Wynajmowaliśmy na ogół ten sam domek koło wiktoriańskiej rezydencji wujka Harry'ego i siedzieliśmy w nim dwa tygodnie, zżerani przez moskity. Parzyły nas po krzywy, kaleczyliśmy palce wędkarskimi haczykami, a potem palilo nas słońce. Musiało nam się to podobać, ponieważ czekaliśmy na ten wyjazd przez cały rok.

Beth uśmiechnęła się.

— Któregoś roku — podjąłem — kiedy miałem może dziesięć lat, znalazłem kulę od muszkietu i to bardzo mną wstrząsnęło. Rozumiesz, to, że jakiś facet wystrzelił ją sto albo dwieście lat wcześniej. I wtedy żona Harry'ego, moja ciocia June... Panie, świeć nad jej duszą... zabrała mnie w jedno miejsce koło osady Cutchogue, gdzie, jak oznajmiła, była kiedyś wioska Indian Corchaug, i pokażała, jak szukać grotów strzał, garnków, kościanych igieł i tak dalej. Niewiarygodne.

Beth nie odzywała się, ale wpatrywała się we mnie, jakby wszystko to było szalenie interesujące.

— Pamiętam, że nie mogłem spać całą noc, rozmyślając o kulach od muszkietu, grotach strzał, osadnikach i Indianach, żołnierzach brytyjskich i amerykańskich. Zanim jeszcze skończyły się te magiczne dwa tygodnie, postanowiłem, że kiedy dorosnę, zostanę archeologiem. Nie zostałem, ale myślę, że to jeden z powodów, dla których jestem detektywem.

Opowiedziałem jej o podjeździe wujka Harry'ego, o tym jak wysypywali tam kiedyś popioły i muszle skorupiaków, żeby się nie kurzyło.

— I za tysiąc lat — dodałem — jakiś archeolog będzie kopał w sąsiedztwie, odkryje te popioły i muszle i dojdzie do wniosku, że odkrył bardzo długie palenisko. W rzeczywistości odkrył podjazd, ale będzie tak kombinował, żeby to, co uważa za palenisko, pasowało do jego teorii. Rozumiesz?

— Jasne.

— Świetnie. A oto, co mówię moim studentom. Chcesz posłuchać?

— Strzelaj.

— W porządku, proszę państwa... to, co widzicie w miejscu zbrodni, jest sceną zastygłą w czasie, która już się nie porusza, nie jest dynamiczna. Możecie stworzyć na temat tej martwej natury



kilka teorii, ale to tylko teorie. Detektyw, podobnie jak archeolog, potrafi zbierać fakty i solidne naukowe dowody, a mimo to wyciągać błędne wnioski. Dodajcie do tego kilka kłamstw, fałszywych tropów i ludzi, którzy chcą pomóc, lecz popełniają pomyłki. Oraz ludzi, którzy mówią ci to, co chcesz usłyszeć i co pasuje do twojej teorii, ludzi, którzy chcą przy okazji upiec własną pieczeń, i samego mordercę, który stara się skierować podejrzenia na kogoś innego. Prawda leży gdzieś w całej tej plątaninie sprzeczności, niekonsekwencji i kłamstw. W tym momencie — dodałem, zwracając się do Beth — jeśli dobrze wyliczyłem czas, dzwoni dzwonek i mówię: „waszym zadaniem jest poznanie prawdy, panie i panowie”.

— Brawo — powiedziała.

— Dziękuję.

— Więc kto zabił Gordonów?

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odparłem.

## Rozdział 15

Staliśmy na nakrapianej słońcem alejce koło czarnego forda Beth Penrose. Zbliżała się szósta wieczór.

— Co powiesz na mały koktajl? — zapytałem.

— Potrafisz znaleźć dom Margaret Wiley?

— Może. Czy serwuje koktajle?

— Zapytamy ją. Wskakuj.

Wsiadłem do samochodu. Beth uruchomiła silnik i pojechaliśmy na północ przez Nassau Point, a potem wąskim pasem lądu i w głąb North Fork.

— Którędy teraz? — zapytała.

— Chyba w prawo.

Wzięła zakręt z piskiem opon.

— Zwolnij trochę — powiedziałem.

Zwolniła.

Przyjemnie było jechać z opuszczonymi szybami. Słońce zachodziło, powietrze było czyste jak lza. Oddaliliśmy się od zatoki i znajdowaliśmy się teraz w krainie winnic i farm.

— Kiedy byłem mały — stwierdziłem — były tutaj dwa rodzaje farm: ziemniaczane, należące głównie do Polaków i Niemców, którzy przybyli na przełomie wieków, oraz owocowe i warzywne, należące w większości do pierwszych osadników. Są tutaj farmy, które należą do tej samej rodziny od trzystu pięćdziesięciu lat. Trudno to pojąć.

— Moja rodzina posiadała tę samą farmę przez sto lat — odparła po chwili Beth.

— Naprawdę? I twój ojciec ją sprzedał?

— Musiał. Kiedy się urodziłam, farma leżała w samym środku

osiedla. Uważano nas za dziwaków. Dzieciaki wyśmiewały się ze mnie w szkole. Dlatego że byłam córką farmera. Ale tato śmiał się ostatni — dodała z uśmiechem. — Dostał milion dolców za swoje akry. Wtedy to były duże pieniądze.

— Teraz też — stwierdziłem. — Odziedziczyłaś je?

— Jeszcze nie. Ale trwonię fundusz powierniczy.

— Wyjdiesz za mnie? — zapytałem.

— Nie, ale pozwolę ci poprowadzić moje BMW.

— Zwolnij i skręć tutaj w lewo.

Beth skreśliła i ruszyliśmy ponownie na północ.

— Myślałam, że jesteś żonaty — powiedziała, zerkając na mnie.

— Rozwiodłem się.

— To już przeszłość?

— Tak sądzę.

Prawdę mówiąc, nie przypominałem sobie, bym dostał ostateczną decyzję.

— Pamiętam migawki w telewizji po tym, jak cię postrzelili... atrakcyjna żona odwiedzająca szpital razem z burmistrzem i komisarzem policji... coś sobie z tego przypominasz?

— Niewiele. Słyszałem o tym. W prawo i zaraz potem w lewo.

Znaleźliśmy się na Lighthouse Road.

— Zwolnij — powiedziałem. — Będziemy patrzyli na numery.

Po obu stronach wąskiej drogi do oddalonej o milę latarni morskiej w Horton Point stały małe domki otoczone przez winnice. Na skrzyńce pocztowej jednego z nich widniało nazwisko „Wiley”. Beth zatrzymała samochód na trawiastym poboczu.

— To chyba tutaj.

— Na to wygląda. W książce telefonicznej jest sporo Wileyów. To pewnie potomkowie pierwszych osadników.

Wysiedliśmy z samochodu i podeszliśmy kamienną ścieżką do frontowych drzwi. Nie było dzwonka. Zapukaliśmy i przez dłuższą chwilę czekaliśmy. Pod wielkim rosnącym obok dębem stał zaparkowany samochód, w związku z czym obeszlśmy dom dookoła.

Ubrana w letnią sukienkę w kwiaty, chuda kobieta koło siedemdziesiątki pielila warzywa w ogródku.

— Pani Wiley? — zawołałem.

Podniosła wzrok znad grządek i podeszła do nas. Spotkaliśmy się na trawniku między domem i ogródkiem.

— Jestem detektyw Corey — przedstawiłem się. — Telefono wałem do pani zeszłej nocy. To moja partnerka, detektyw Beth Penrose.

Zmierzyła wzrokiem moje szorty, jakbym miał otwarty rozporek albo coś w tym rodzaju.

Beth pokazała pani Wiley swoją odznakę i starsza pani najwyraźniej pozbyła się wątpliwości co do niej. Wciąż jednak nie miała pewności co do mnie.

Uśmiechnąłem się do niej. Miała przejrzyste szare oczy, siwe włosy i interesującą twarz z półprzezroczystą skórą: twarz, która przypominała mi stare malowidło — nie jakiś konkretny obraz, malarza albo styl, ale po prostu stare malowidło.

— Zadzwoił pan bardzo późno — oświadczyła, spoglądając na mnie.

— Nie mogłem spać. To podwójne morderstwo nie daje mi zasnąć, pani Wiley. Przepraszam.

— Nie sądzę, żebym potrzebowała przeprosin. Czym mogę państwu służyć?

— Interesuje nas działka, którą sprzedała pani Gordonom — odparłem.

— Powiedziała panu chyba wszystko, co wiem.

— Owszem, proszę pani. Zapewne pani to zrobiła. Chcemy tylko zadać kilka dodatkowych pytań.

— Siadajcie tutaj — powiedziała, wskazując stojące pod płaczącą wierzbą pomalowane na zielono drewniane leżaki.

Leżaki, które były popularne w czasach mojego dzieciństwa, ostatnio wróciły do łask i wszędzie sieje widać. Te, które stały na podwórku pani Wiley, nigdy, jak przypuszczałem, nie opuściły tego miejsca, w związku z czym nie musiały wcale powracać. Dom, podwórko, starsza pani w długiej bawełnianej sukience, wierzba, zardzewiała huśtawka i stara opona zwisająca na sznurze z gałęzi dębu — wszystko to miało posmak lat czterdziestych albo pięćdziesiątych, niczym stara fotografia, którą ostatnio podkolorowano. Czas naprawdę biegł tutaj wolniej. Mówi się, że na Manhattanie teraźniejszość jest tak silnie obecna, że zasłania przeszłość. Tutaj przeszłość była tak silna, że zasłaniała teraźniejszość.

Czułem zapach morza, odległej o jakieś ćwierć mili cieśniny Long Island, a także aromat winogron, które spadły na ziemię w pobliskiej winnicy. Tego rodzaju unikalne środowisko, niezwykle melanz morza, pół uprawnych i winnic odnaleźć można tylko w kilku miejscach Wschodniego Wybrzeża.

— Mieszka pani w pięknym miejscu — powiedziałem do pani Wiley.

— Dziękuję.

Margaret Wiley była trzecią starszą osobą, którą spotykałem tego dnia, i postanowiłem, że pójdzie mi z nią lepiej niż z Edgarem i Agnes. W gruncie rzeczy Margaret i tak nie pozwoliłaby mi na żadne głupoty; czułem to. Była zmierzającą prosto do sedna, konkretną osobą, wymagającą dobrych manier damą ze starej rodziny. Jestem dobrym gliniarzem, ponieważ potrafię z miejsca rozpoznać typ osobowości i dostosować do niej swoje podejście. Nie znaczy to oczywiście, że jestem sympatyczny, wrażliwy i pełen współczucia. Jestem arogancką, egocentryczną i upartą męską szowinistyczną świnią. To strefa, w której czuję się wygodnie. Ale uważnie słucham i mówię to, co trzeba. To należy do mojej pracy.

— Sama zajmuje się pani domem? — zapytałem panią Wiley.

— Na ogół tak. Mam żonatego syna, dwie zamężne córki i czworo wnuków. Wszyscy mieszkają w okolicy. Mój mąż Thad zmarł przed sześciu laty.

Beth złożyła jej kondolencje.

— Pani jest właścicielką tych winnic? — zapytała.

— Posiadam część tej ziemi. Dzierżawię ją winiarzom. Na normalnych zasadach. Winiarze twierdzą, że potrzebują dwudziestu lat. Ja w ogóle się nie znam na uprawie winorośli. Czy to wystarczająca odpowiedź na pani pytanie?

— Tak, proszę pani. Dlaczego sprzedała pani akr Gordonom?

— A co to ma wspólnego z ich morderstwem?

— Nie możemy tego powiedzieć, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej na temat tej transakcji.

— To była zwyczajna sprzedaż.

— Szczerze mówiąc — zwróciłem się do pani Wiley — dziwi mnie, że Gordonowie wydali tyle pieniędzy na ziemię, na której nie można nic wybudować.

— Chyba panu już mówiłam, detektywie, że chcieli mieć widok na cieśninę.

— Owszem, proszę pani. Czy wspominali, do czego jeszcze mogłaby im się przydać ta działka? Na przykład do łowienia ryb, urządzania pikniku, pływania łodzią?

— Na obozowisko. Mówili, że chcą tam rozbić namiot. I łowić ryby. Chcieli surfować w nocy ze swojej własnej plaży. Wspominali także, że chcą sobie kupić teleskop. Chcieli studiować astronomię. Odwiedzili nawet Custer Institute. Był pan tam?

— Nie, proszę pani.

— To takie małe obserwatorium w Southold. Gordonowie zainteresowali się astronomią.

To było dla mnie coś nowego. Można by sądzić, że ludzie, którzy przez cały dzień wpatrują się przez mikroskop w zarazki, nie będą mieli ochoty gapić się przez kolejny obiekt w nocy.

— A pływanie łodzią? — zapytałem.

— Nie sposób stamtąd spuścić żadnej łodzi, może z wyjątkiem czółna. Ziemia położona jest na wysokim urwisku i trudno byłoby cokolwiek wciągnąć.

— Ale można przybić łodzią do plaży?

— Możliwe, że podczas przypływu, ale przy brzegu można się nadziać na skały. Lepiej chyba zarzucić kotwicę i dopłynąć na plażę wpływ albo dojść podczas odpływu.

Pokiwałem głową.

— Wspominali, że chcą tam coś uprawiać?

— Nie. Ta ziemia nie nadaje się pod uprawę. Nie mówiłam panu o tym?

— Nie przypominam sobie.

— Mówiłam. Cokolwiek zasadziliby na tym wzgórzu, musiałyby się długo przyzwyczajać do wiatru i słonego powietrza. Można by spróbować uprawiać warzywa w głębi łądu — dodała.

— Rozumiem. Jakie wrażenie wywarli na pani Gordonowie? — zapytałem, zmieniając temat.

Margaret zmierzyła mnie przeciągłym spojrzeniem.

— Bardzo miła para — stwierdziła. — Bardzo sympatyczni.

— Szczęśliwi?

— Wyglądali na szczęśliwych.

— Czy byli podnieceni zakupem?

— Można tak powiedzieć.

— Czy zwrócili się z propozycją kupna bezpośrednio do pani?

— Tak. Najpierw zasięgaliby dyskretnie języka... dowiedziałam się o ich pianach na długo, zanim do mnie przyszli. Kiedy się wreszcie pojawili, powiedziałam, że nie jestem zainteresowana.

— Dlaczego?

— Nie lubię sprzedawać ziemi.

— Z jakiego powodu?

— Ziemia powinna pozostać w rodzinie. Odziedziczyłam kilka działek po rodzinie matki. Ten kawałek ziemi, którym interesowali się Gordonowie, należał kiedyś do rodziny męża — dodała i przez chwilę się zastanawiała. — Thad kazał mi przyrzec, że niczego nie sprzedam. Chciał, żeby wszystko dostały dzieci. Ale to był tylko jeden akr. Prawdę mówiąc, wcale nie potrzebowałam tych pieniędzy, ale Gordonom tak strasznie zależało na tym cyflu. — Spojrzała na

mnie i na Beth. — Zapytałam dzieci i uznały, że ojciec nie miałby nic przeciwko temu.

Zawsze zdumiewało mnie, że wdowy i dzieci, które nie miały pojęcia, co kupić staruszkowi na gwiazdkę albo Dzień Ojca, doskonale wiedziały, czego chciałyby świętej pamięci nieboszczyk, kiedy już wyzionął ducha.

— Gordonowie dobrze wiedzieli, że działka nie może być odrolniona — dodała pani Wiley.

— Wspomniała pani o tym. Czy w związku z tym nie zgodzi się pani — zapytałem zgrzyźliwie — że cena dwudziestu pięciu tysięcy dolarów przekracza znacznie wartość rynkową tego gruntu?

Margaret Wiley pochylała się do przodu na swoim krześle.

— Dałam im również prawo przejazdu przez mój teren. Zobaczymy, za ile pójdzie działka, kiedy sprzeda ją agencja nieruchomości.

— Nie winię panią o to, że zrobiła pani dobry interes. Zastanawiam się tylko, dlaczego Gordonom tak bardzo zależało na tej ziemi.

— Powtórzyłam panu to, co mi powiedzieli. Nic więcej nie wiem.

— Za dwadzieścia pięć tysięcy widok musi rzeczywiście zapierać dech.

— Rzeczywiście zapiera.

— Wspomniała pani, że dzierżawi ziemię...

— Tak. Moi synowie nie są zainteresowani działalnością rolniczą ani uprawą winorośli.

— Czy mówiła pani o tym kiedykolwiek z Gordonami? To znaczy, że dzierżawi pani ziemię?

— Chyba tak.

— I nigdy nie zapytali pani, czy mogliby wydzierżawić tę działkę?

Przez chwilę się zastanawiała.

— Nie. Teraz kiedy pan o to pyta, uświadamiam sobie, że nie.

Zerknąłem na Beth. To najwyraźniej nie miało sensu. Dwoje naukowców na państwowych etatach, którzy mogą być w każdej chwili przeniesieni gdzie indziej, wynajmuje dom przy południowym brzegu Long Island, następnie zaś kupuje jeden akr przy północnym brzegu, żeby mieć kolejny wspaniały widok.

— Zgodziłyby się pani, gdyby chcieli wydzierżawić tę ziemię? — zapytałam panią Wiley.

Kiwnęła głową.

— Chyba nawet bym wołała — odparła.

— Ile zażądałaby pani rocznie?  
— No nie wiem... Z ziemi nie ma wielkiego pożytku... Myślą, że tysiąc dolarów nie byłoby za dużo. Widok jest bardzo piękny — dodała.  
— Czy byłaby pani tak uprzejma i pokazała nam tę działkę?  
— Mogę wam powiedzieć, jak tam dojechać. Możecie też obejrzeć plany w gminie.  
— Naprawdę byłibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby pojechała pani z nami — wtrąciła Beth.  
Pani Wiley spojrzała na zegarek, a potem na Beth.  
— No dobrze. Zaraz wracam.  
Wstała i zniknęła za tylnymi drzwiami z siatki.  
— Twarda starucha — powiedziałem do Beth.  
— Wyzwalasz w ludziach to, co najgorsze.  
— Tym razem byłem bardzo miły.  
— Tak się zachowujesz, kiedy jesteś miły?  
— Tak, teraz jestem miły.  
— Przechodzą mnie ciarki.  
— Gordonowie musieli mieć tę ziemię na własność — powiedziałem, zmieniając temat.  
Beth pokiwała głową.  
— Dlaczego?  
— Nie wiem... To ty mi powiedz.  
— Zastanów się.  
— Dobrze...  
Pani Wiley wyszła z domu przez tylne drzwi, nie zamykając ich na klucz. Trzymając w ręku torebkę i kluczyki do samochodu podeszła do mniej więcej pięcioletniego prostego szarego dodge'a. Gdyby Thad żył, na pewno pochwaliliby jej wybór.  
Beth i ja wsiedliśmy do forda i ruszyliśmy za nią. Po chwili skręciliśmy w prawo w Middle Road, czteropasmową drogę, prowadzącą ze wschodu na zachód, równoległą do starej kolonialnej Main Road. Middle Road biegnie przez sam środek pól uprawnych i winnic i roztaczają się z niej wspaniałe widoki. Słońce grzało przednią szybę, w powietrzu unosił się zapach winogron, za kierownicą siedziała superbabka z lokami koloru miedzi i gdybym nie prowadził śledztwa w sprawie morderstwa moich przyjaciół, zagwizdałbym z uciechy.  
Po lewej stronie, mniej więcej milę na północ, widziałem, jak płaski teren podnosi się nagle w górę tak stromo, że nie nadawał się pod żadną uprawę. Na zboczach rosły drzewa i krzewy. W rzeczywistości-



tości była to skarpa, której północna ściana opadała ku morzu, ale z tego miejsca nie widać było wody i wzniesienie wydawało się pasmem niskich wzgórz.

Pani Wiley miała ciężką stopę i co chwila wyprzedzaliśmy traktory i półciągarówki.

Zielony znak poinformował nas, że znajdujemy się w osadzie Peconic. Po obu stronach drogi ciągnęły się winnice, wszystkie z pozłaczanymi i lakierowanymi znakami firmowymi, bardzo wyszukanymi i zapowiadającymi drogę wina.

— Wódka ziemniaczana — powiedziałem do Beth. — To jest to. Potrzebuję tylko dwudziestu akrów i gorzelnii. Corey i Krumpinski, wyborowa wódka ziemniaczana, czysta i kolorowa. Poproszę Marthę Stewart, żeby napisała menu i zaproponowała zakąski: mięczaki, małże i ostrygi. Bardzo wyszukane. Co o tym sądzisz?

— Kto to jest Krumpinski?

— Nie wiem. Jakiś Polak. Polska wódka. Stanley Krumpinski. Stanowi element strategii rynkowej. Siedzi na swojej werandzie i opowiada dziwne rzeczy o wódce. Ma dziewięćdziesiąt pięć lat. Jego brat bliźniak Stephen pił wino i zmarł w trzydziestym piątym roku życia. Co ty na to?

— Daj mi się zastanowić. Wracając do tego akra ziemi, cała historia wydaje się jeszcze dziwniejsza, kiedy się pomyśli, że Gordonowie mogli go wydzierżawić za tysiąc dolarów. Czy to ma jakiś związek z morderstwem?

— Może mieć. Z drugiej strony niewykluczone, że mamy po prostu do czynienia z błędną decyzją ze strony Gordonów albo nawet z próbą jakiegoś szwindlu. Mogli znać sposób na odkupienie praw budowlanych. Wtedy za dwadzieścia pięć patoli mieliby położoną nad samą wodą działkę budowlaną wartą może i sto tysięcy. Czysty zysk.

Beth pokiwała głową.

— Porozmawiam w hrabstwie na temat porównywalnych cen sprzedaży. Ty oczywiście masz już nową teorię — powiedziała, zerkając na mnie.

— Może. Nie oczywiście.

— Musieli mieć tę ziemię na własność — dodała po krótkiej chwili. — Prawda? Po co? Chcieli coś zbudować? Chodziło o prawo przejazdu? Może stan planował w tym miejscu utworzenie dużego parku? Może są tam złoża ropy naftowej? Gaz, węgiel, diamenty, mbyny...? Co?

— Na Long Island nie ma żadnych minerałów, żadnych szlachet-

nych metali ani kamieni. Tylko piasek, glina i skała. Nawet ja to wiem.

— Racja... ale coś ci chodzi po głowie.

— Nic konkretnego. Mam coś w rodzaju... przeczucia... jakbym wiedział, co jest ważne, a co nie. Jak w trakcie jednego z tych obrazkowych testów na skojarzenia. No wiesz: pokazują ci obrazki ptaka, pszczoły, niedźwiedzia i miski klozetowej. Który nie pasuje?

— Niedźwiedź.

— Niedźwiedź? Dlaczego niedźwiedź?

— Bo nie lata.

— Miska klozetowa też nie lata — zauważyłem.

— W takim razie niedźwiedź i miska klozetowa.

— Nie jesteś zbyt... tak czy inaczej, potrafię wyczuć, co pasuje do danej sekwencji, a co nie.

— To coś w rodzaju tego pikania w głowie?

— Coś w tym rodzaju.

Pani Wiley błysnęła światłami stopu i skręciła z szosy w polną drogę. Beth, która się zagapiła, o mało nie minęła zjazdu i wzięła zakręt na dwóch kołach. Jechaliśmy teraz na północ, w stronę cypla. Po lewej stronie ciągnęło się pole kartoflane, po prawej winnica. Gnaliśmy po wertepach trzydzieści mil na godzinę, wzniesając tumany kurzu, który poczułem na języku. Zasunąłem szybę i poradziłem Beth, żeby zrobiła to samo.

Pani Wiley skręciła w węższą, porytą koleinami drogę, biegnącą równoległe do urwiska, które znajdowało się teraz nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od nas. Po kilkuset jardach zatrzymała się pośrodku drogi i Beth stanęła tuż za nią.

Starsza pani wysiadła, my także. Byliśmy od stóp do głów pokryci kurzem, podobnie jak samochód w środku i na zewnątrz.

Podeszliśmy do pani Wiley, która stanęła u stóp wzniesienia.

— Nie padało od dwóch tygodni — powiedziała. — Winiarze lubią, kiedy nie pada o tej porze roku. Mówią, że grona są wtedy słodsze, mniej wodniste. Gotowe do zbioru.

Strzepywałem kurz z podkoszulka i brwi i mało mnie to obchodziło.

— Ziemniaki też nie potrzebują deszczu o tej porze roku — kontynuowała pani Wiley. — Ale warzywa i drzewa owocowe lubią, kiedy jest mokro.

Naprawdę miałem to w nosie, ale nie bardzo wiedziałem, jak jej to w uprzejmy sposób zakomunikować.

— Jedni modlą się o deszcz, inni o słońce. Takie jest życie — stwierdziłem.

— Pan nie jest stąd, prawda? — zapytała, mierząc mnie wzrokiem.

— Nie, proszą pani. Ale mieszka tutaj mój wujek. Nazywa się Harry Bonner. Brat mojej matki. Ma nadmorski majątek w Matituck. A może to jest nadmorski folwark? Tak czy owak...

— Jego żona, June, zmarła chyba w tym samym czasie co mój Thad.

— Chyba tak.

Fakt, że Margaret Wiley знаła wujka Harry'ego, zanadto mnie nie zdziwił. Cała tutejsza ludność liczy jakieś dwadzieścia tysięcy osób, czyli o pięć tysięcy mniej, niż pracuje w Empire State Building. Nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy pracownicy Empire State Building znają się nawzajem, ale Margaret oraz, jak sędzę, świętej pamięci Thad Wileyowie znali Harry'ego i świętej pamięci June Bonnerów. Przyszedł mi do głowy dziwny pomysł, żeby spiknąć razem Margaret i szalonego Harry'ego. Wezmą ślub, ona umrze, a potem Harry też przeniesie się do wieczności i zostawi mi tysiąc akrów na North Fork. Najpierw musiałbym się oczywiście pozbyć swoich kuzynów. Brzmiało to nieco za bardzo po szekspirowsku. Miałem silne wrażenie, że za długo przebywałem tutaj w siedemnastym stuleciu.

— John? Pani Wiley mówi do ciebie.

— Przepraszam. Zostałem ciężko ranny i mam okresowe utraty świadomości.

— Wygląda pan fatalnie — poinformowała mnie pani Wiley.

— Dziękuję.

— Pytałam, jak się miewa pański wujek.

— Doskonale. Wrócił do miasta. Zarabia mnóstwo forsy na Wall Street. Ale od śmierci cioci June jest bardzo samotny.

— Proszę go ode mnie pozdrowić.

— Zrobię to.

— Pańska ciotka była wspaniałą kobietą. — Margaret powiedziała to z lekkim przekąsem, jakby dziwiła się, że ma takiego stukniętego siostrzeńca. — June była archeologiem i historykiem amatorem — dodała.

— Zgadza się. Należała do Towarzystwa Historycznego Peconic. Pani też tam należy?

— Owszem. Tam właśnie poznałam June. Pańskiego wujka nie bardzo to interesowało, ale sfinansował kilka prac wykopaliskowych.

Odsłoniliśmy fundamenty chaty z tysiąc sześćset osiemdziesiątego pierwszego roku. Powinien odwiedzić pan muzeum, jeśli jeszcze pan tam nie był.

— Prawdę mówiąc, miałem zamiar tam dziś pojechać, ale wyskoczyła ta sprawa.

— Po Święcie Pracy jest otwarte tylko w weekendy. Ale mam klucz.

— Zadzwoń do pani. — Spojrzałem na wznoszącą się nad płaskim terenem skarpe. — Czy to jest ziemia Gordonów?

— Tak. Widzi pan ten palik? To południowo-zachodni róg. Wschodni róg jest sto jardów dalej przy tej drodze. Działka zaczyna się tutaj, biegnie na szczyt wzgórza, potem w dół po drugiej stronie i kończy się przy wodomierzu.

— Nie brzmi to zbyt dokładnie.

— Wystarczająco dokładnie. Takie jest prawo i obyczaj. Teren prywatny kończy się przy wodomierzu. Plaża należy do wszystkich.

— Za to właśnie kocham ten kraj.

— Kocha pan?

— Absolutnie.

Przez chwilę mi się przyglądała.

— Jestem Córá Amerykańskiej Rewolucji — oświadczyła.

— Tak właśnie myślałem.

— Moja rodzina, Willisowie, mieszka w tej gminie od roku tysiąc sześćset pięćdziesiątego trzeciego.

— Mój Boże.

— Przybyli do Massachusetts na następnym statku po *Mayflower*. Na *Fortune*. Potem przenieśli się tutaj, na Long Island.

— Niewiarygodne. Pomyśleć, że minęła panią taka okazja. Mogła pani zostać potomkinią osadników z *Mayflower*.

— Jestem potomkinią osadników z *Fortune* — stwierdziła. Rozejrzała się dookoła i podążyłem za jej spojrzeniem. Na południe od nas po lewej stronie ciągnęło się pole kartoflane, po prawej winnica. — Trudno sobie wyobrazić, jak wyglądało tutaj życie w szesnastym wieku. Tysiące mil od Anglii, lasy, które trzeba było karczować toporami, nieznaną klimatem, nieznaną ziemią, nieliczny żywy inwentarz, niepewne zaopatrzenie w tkaniny, narzędzia, ziarno, proch strzelniczy i kule. I wszędzie dookoła wrogo nastawieni Indianie.

— To było chyba gorsze niż Central Park w sierpniu po północy.

— Bardzo trudno jest ludziom takim jak my... mam na myśli moich ziomków... pozbywać się choćby jednego akra ziemi — powiedziała, ignorując moją uwagę.

— Oczywiście. — Ale za dwadzieścia pięć tysięcy możemy porozmawiać, dodałem w myśli. — Znalazłem kiedyś kulę od muszketu — poinformowałem ją.

Spojrzała na mnie, jakbym upadł na głowę. Głędziła jeszcze przez chwilę, zwracając się wyłącznie do Beth, a potem obejrzała się przez ramię.

— Nie muszę wam chyba pokazywać drogi na górę — stwierdziła. — Tam biegnie ścieżka. Wspinaczka nie jest trudna, ale musicie uważać, kiedy znajdziecie się po drugiej stronie. Urwisko jest strome i można się łatwo poślizgnąć. To wzniesienie jest właściwie tylną moreną ostatniego zlodowacenia. Dokładnie tutaj kończył się lodowiec.

Prawdę mówiąc, miałem lodowiec tuż przed sobą.

— Dziękuję, że była pani tak cierpliwa i poświęciła nam swój czas, pani Wiley — powiedziałem.

Starsza pani ruszyła w stronę swojego dodge'a, a potem odwróciła się i spojrzała na Beth.

— Ma pani jakieś pojęcie, kto to mógł zrobić? — zapytała.

— Nic, proszę pani.

— Czy to miało jakiś związek z ich pracą?

— W pewnym sensie. Ale nie wiązało się z bronią bakteriologiczną i niczym niebezpiecznym.

Margaret Wiley nie wydawała się przekonana. Wsiadła do samochodu, uruchomiła go i odjechała, wzniecając tumany kurzu.

— Udław się tym kurzem, Margaret! — zawołałem w ślad za nią. — Ty stara...

— John!

Strzepnąłem ponownie kurz z podkoszulka.

— Wiesz, dlaczego Córy Amerykańskiej Rewolucji nie uprawiają zbiorowego seksu? — zapytałem Beth.

— Nie, ale zaraz się tego dowiem.

— Owszem. Córy Amerykańskiej Rewolucji nie uprawiają zbiorowego seksu, ponieważ nie chce im się potem pisać tych wszystkich liścików z podziękowaniami.

— Czy te dowcipy pochodzą z jakiegoś niewyczerpanego źródła?

— Wiesz dobrze, że tak.

Spojrzelśmy oboje na wzgórze.

— Zobaczmy ten widok za dwadzieścia pięć kawałków — powiedziałem.

Znaleźliśmy wąską ścieżkę i ja ruszyłem nią pierwszy. Mijaliśmy gęste krzaki, karłowate dęby i trochę większe drzewa, które wy-

glądały jak klony, ale z tego, co wiedziałem, równie dobrze mogły być bananowcami.

Beth, ubrana w popelinową spódnicę khaki i buty na wysokim obcasie, nie miała tu łatwo. Kilka razy podałem jej rękę w bardziej stromych miejscach. Podciągnęła spódnicę, albo sama jej się zadarła, i miałem okazję przyjrzeć się jej kształtnym nogom.

Na górę było tylko pięćdziesiąt stóp, ekwiwalent pięciu pięt, które pokonywałem niegdyś lekkim krokiem i miałem potem w sobie dość energii, by wyważyć kopniakiem drzwi, przygwoździć sprawcę do podłogi, skuć go kajdankami, wywlec na ulicę i zaprowadzić na komisariat. Ale to było kiedyś. Teraz było inaczej i trzęsły się pode mną nogi. Czarne plamy latały mi przed oczyma i musiałem się zatrzymać i przykłęknąć.

— Dobrze się czujesz? — zapytała Beth.

— Tak... zaczekaj chwilę... Zaczepnąłem kilka oddechów i ruszyłem dalej.

Po chwili znaleźliśmy się na szczycie wzniesienia. Roślinność była tutaj znacznie bardziej karłowata z powodu stale wiejących wiatrów i słonego powietrza. Spojrzeliśmy na cieśninę Long Island — rozciągający się stąd widok był naprawdę wspaniały. Chociaż od południowej strony teren wznosił się tylko na pięćdziesiąt stóp, od północy urwisko było dwa razy wyższe. Zgodnie z tym, co mówiła pani Wiley, opadało bardzo stromo w dół i zerkając znad krawędzi, zobaczyliśmy kępy traw oraz wąwozy erozyjne, strugi biota i piargi sunące ku długiej ładnej plaży, która biegła długie mile na wschód i zachód.

Cieśnina była spokojna i zobaczyliśmy na niej kilka żaglówek i motorówek. Potężny frachtowiec płynął do Nowego Jorku albo jednego z portów po północnej stronie. W odległości około dziesięciu mil widać było wybrzeże Connecticut.

Wysoki brzeg biegł jakąś milę na zachód i kończył się przy półwyspie, który wrzynał się w cieśninę. Na wschodzie obniżał się dopiero kilka mil dalej w Horton Point, który można było łatwo poznać po latarni morskiej.

Za nami, tam, skąd przyszliśmy, ciągnęły się tereny rolnicze. Z góry widać było szachownicę sadów, winnic, kartoflisk i kukurydzy. Na zielonym tle odznaczały się oryginalne szalowane domy i białe, nie czerwone, stodoły.

— Niezły widok — powiedziałem.

— Niesamowity — zgodziła się Beth. — Ale czy warto było za niego zapłacić dwadzieścia pięć tysięcy?

- Oto jest pytanie. Jak sądzisz?
- Teoretycznie nie. Ale tutaj, na górze, tak.
- Dobrze powiedziane.

Zobaczyłem stojący w wysokiej trawie głaz, usiadłem na nim i przez chwilę wpatrywałem się w wodę. Beth stanęła obok i również patrzyła na morze. Byliśmy oboje spoceni, brudni, zakurzeni i zmęczeni.

- Czas na koktajl — powiedziałem. — Wracajmy.
- Jeszcze chwilę. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy Tomem i Judy. Powiedz mi, czego tutaj chcieli, czego szukali.

— Dobrze...

Stanąłem na kamieniu i rozejrzałem się dookoła. Słońce zachodziło i na wschodzie niebo zrobiło się purpurowe. Na zachodzie było różowe, wyżej błękitne. Nad nami latały mewy, wody zatoki nakrapiane były białymi grzywami fal, ptaki śpiewały w gałęziach drzew, bryza wiała z północnego wschodu i w powietrzu unosił się zapach jesieni i soli.

— Spędziliśmy dzień na Plum Island — powiedziałem do Beth. — Całe osiem godzin siedzieliśmy w laboratorium, w białych fartuchach, otoczeni przez wirusy. Wzięliśmy prysznic, wróciliśmy motorówką albo promem do domu, wskoczyliśmy do samochodu i przyjechaliśmy w to miejsce. Tu jest otwarta przestrzeń i czyste rzeźkie powietrze. Człowiek czuje, że żyje. Zabraliśmy butelkę wina i koc. Wypiliśmy wino, pokochaliśmy się i leżąc na kocu, patrzyliśmy, jak pokazują się gwiazdy. Może nawet zeszedliśmy na plażę i popływaliśmy na desce pod rozgwieżdżonym niebem. Byliśmy o milion mil od laboratorium. A potem wróciliśmy do domu, gotowi do kolejnego dnia w strefie zagrożenia.

Beth stanęła na skraju urwiska, a potem cofnęła się i podeszła do jedynego większego drzewa rosnącego na grzbiecie wzniesienia. Był to mający z dziesięć stóp powykręcany dąb. Pochyliła się i po chwili wyprostowała, trzymając w ręku zwój liny.

— Patrz, co znalazłam.

Podszedłem do niej i przyjrzałem się znalezisku. Lina z zielonego nylonu miała może pół cala grubości i umieszczone co trzy stopy węzły, które służyły jako uchwyty. Jeden koniec przywiązany był do pnia drzewa.

— Jest prawdopodobnie dość długa, żeby można było się na mej spuścić na samą plażę — powiedziała.

Kiwnąłem głową.

— Na pewno ułatwia zejście i wejście.

Beth ukłękła i spojrzała w dół. Ja zrobiłem to samo. Widzieliśmy miejsca, w których wspinający się wytarli trawę. Zboczne było, jak już wspomniałem, strome, ale osoba w niezłej formie mogła się po nim wdrapać nawet bez liny.

Wychyliłem się jeszcze bardziej i tam, gdzie nie było trawy, zauważyłem czerwonawe pasy gliny i rudy żelaza. Spostrzegłem coś jeszcze: mniej więcej dziesięć stóp niżej w zboczu znajdowało się coś w rodzaju niszy albo półki. Beth również ją zobaczyła.

— Sprawdzę, co to takiego — powiedziała.

Pociągnęła za sznur i upewniwszy się, że jest bezpiecznie przymocowany do drzewa, a drzewo bezpiecznie przymocowane do ziemi, złapała go oburącz i stopniowo popuszczając, zeszła dziesięć stóp w dół.

— Chodź tutaj — zawołała po chwili. — To ciekawe.

— Dobrze.

Trzymając się liny, zszedłem w dół i stanąłem obok Beth.

Półka miała około dziesięciu stóp długości i najwyżej trzy szerokości. Pośrodku znajdowała się jama; na jej ścianach widać było ślady po łopacie. Beth i ja przykucnęliśmy i zajrzeliśmy do środka. Otwór był pusty i niewielki: mniej więcej trzy stopy średnicy i cztery stopy głębokości. Nie miałem pojęcia, do czego mógł służyć.

— Można tu wstawić kosz z wiktuałami i lodówkę z winem — rzuciłem.

— Albo położyć się nogami do środka i głową na zewnątrz i uciąć sobie drzemkę — dodała Beth.

— Albo się pokochać.

— Skąd wiedziałam, że zaraz to powiesz?

— Bo to prawda. — Wyprostowałem się. — Może mieli zamiar poszerzyć tę jamę.

— Po co?

— Nie wiem.

Odwróciłem się twarzą do cieśniny i usiadłem ze zwieszonymi nogami.

— Tu jest całkiem miło. Siadaj.

— Zimno mi.

— Dam ci mój podkoszulek.

— Nie chcę go, śmierdzi.

— Sama też nie pachniesz jak róża.

— Jestem zmęczona, brudna, podarłam rajstopy i muszę iść do toalety.



— Jakie to romantyczne.

— Mogło być. Ale nie jest w tej chwili.

Wstała, złapała za linę i wspięła się po zboczu. Zaczekałem, aż wejdzie na samą górę, i ruszyłem w ślad za nią.

Beth zwinęła linę i położyła ją z powrotem pod dębem. Odwróciła się i stanęliśmy twarzą w twarz, oddaleni najwyżej o stopę. Był to jeden z tych niezręcznych momentów: trwał dokładnie trzy sekundy, a potem podniosłem rękę, pogładziłem ją po plecach i po policzku i przysunąłem się bliżej. Byłem przekonany, że za chwilę zewrą się nasze usta, ale ona zrobiła krok do tyłu i wymówiła magiczne słowo, na które wszyscy amerykańscy mężczyźni reagują jak pies Pawłowa:

— Nie.

Natychmiast odskoczyłem sześć stóp do tyłu, splotłem ręce za plecami, a mój mały drewniany rycerz opadł w dół niczym zeschnięty gałąź.

— Wziąłem twoje swobodne zachowanie za seksualną zachętę. Wybacz — zawołałem.

W gruncie rzeczy nie wyglądało to dokładnie w ten sposób. Beth powiedziała „nie”, a ja zawałałem się i na mojej twarzy ukazało się żalodne rozczarowanie.

— Nie teraz — stwierdziła i to trochę mnie pocieszyło. — Może później — dodała i to wprawiło mnie w jeszcze lepszy humor. — Lubię cię — oznajmiła na koniec i to ucieszyło mnie najbardziej.

— Możemy z tym poczekać — powiedziałem i naprawdę miałem szczerzy zamiar poczekać, pod warunkiem że nie potrwa to dłużej niż siedemdziesiąt dwie godziny, co stanowiło jakby mój limit. Choć zdarzało się, że czekałem dłużej.

Nie mówiąc więcej na ten temat, zeszliliśmy na dół i wsiedliśmy do jej czarnego forda.

Beth uruchomiła silnik, wrzuciła bieg, a potem przerzuciła dźwignię z powrotem na parkowanie, cmoknęła mnie lekko w policzek, wrzuciła bieg i pojechaliśmy, zostawiając za sobą chmurę kurzu.

Miłą dalej skręciliśmy w Middle Road. Miała dobrą orientację i trafiła z powrotem do Nassau Point bez mojej pomocy.

Dostrzegła czynną stację benzynową i oboje skorzystaliśmy z toalety, żeby, jak to mówią, się odświeżyć. Nie pamiętałem, kiedy ostatnim razem byłem taki brudny. W pracy prezentuję się raczej elegancko: manhattański dandys w skrojonych na miarę garniturach.

Czułem się z powrotem małym chłopcem, myszkującym po indiańskich cmentarzyskach.

Na stacji kupiłem coś na ząb: suszoną wołowinę, krakersy z orzeszkami ziemnymi oraz gumowe żelki. W samochodzie poczęstowałem Beth, ale odmówiła.

— Jeśli żuje się wszystko razem — powiedziałem — w smaku nie różni się to od tajskiej potrawy o nazwie sandang phon. Odkryłem to przez przypadek.

— Mam nadzieję.

Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu. Kombinacja wołowiny, krakersów orzechowych i gumowych niedźwiadków w rzeczywistości smakowała paskudnie, ale konałem z głodu i chciałem się pozbyć kurzu drażniącego gardło.

— Co o tym sądzisz? — zapytałem Beth. — Mam na myśli tę działkę.

Przez chwilę się zastanawiała.

— Wydaje mi się, że polubiłabym Gordonów — stwierdziła w końcu.

— Na pewno.

— Jesteś smutny?

— Tak... To znaczy, nie byliśmy wielkimi przyjaciółmi. Znałem ich tylko przez kilka miesięcy, ale byli dobrymi ludźmi. Lubili życie i dobrą zabawę. Byli zbyt młodzi, żeby skończyć w ten sposób.

Beth pokiwała głową.

Wjechaliśmy po grobli do Nassau Point. Robiło się ciemno.

— Wszystko mi mówi, że ta działka jest tym, na co wygląda — stwierdziła. — Romantycznym ustroniem, miejscem, które mogli nazwać swoim własnym. Pochodzili ze Środkowego Zachodu, gdzie ich rodzina miała prawdopodobnie własną ziemię, i znaleźli się w roli podnajemców w miejscu, gdzie, podobnie jak tam, skąd przybyli, ziemia znaczy bardzo wiele... Zgadza się?

— Zgadza.

— A mimo to...

— No właśnie. A mimo to mogliby zaoszczędzić dwadzieścia tysięcy, gdyby wynajęli działkę na pięć lat. Musieli ją mieć na własność — dodałem. — Pomyśl o tym.

— Cały czas o tym myślę.

Podjechaliśmy pod dom Gordonów i Beth zatrzymała się za moim jeepem.

— To był długi dzień — stwierdziła.

— Pojedźmy do mnie. Jedź za mną.

— Nie, dziś wieczór wracam do domu.  
— Dlaczego?  
— Nie ma powodu, żeby siedzieć tu dłużej, dwadzieścia cztery godziny na dobę, a hrabstwo nie płaci za motel.  
— Wpadnij najpierw do mnie. Oddam ci te wydruki komputerowe.  
— Mogą poczekać. Jutro rano muszę iść do pracy. Może spotkamy się, powiedzmy, o piątej po południu?  
— U mnie.  
— Dobrze. U ciebie, o piątej. Będę wtedy miała jakieś informacje.  
— Ja też.  
— Wolalabym, żebyś nie pracował nad tą sprawą, dopóki się nie zobaczymy.  
— Dobrze.  
— Wyjaśnij z Maxwellem, jaki jest twój oficjalny status.  
— Dobrze.  
— I odpocznij.  
— Ty też.  
— A teraz wynoś się z mojego samochodu — powiedziała i uśmiechnęła się. — Jedź do domu. Naprawdę.  
— Pojadę. Naprawdę.  
Wysiadłem z forda. Beth zakręciła o sto osiemdziesiąt stopni, pomachała mi ręką i odjechała. Wsiadłem do jeepa, obiecując sobie, że nie zrobię niczego, co kazałoby mu odezwać się po francusku. Zapiałem pasy, zablokowałem drzwi i zwolniłem ręczny hamulec. Uruchomiłem silnik i samochód nie pisnął ani słówka.  
Jadąc z powrotem do swojego nadmorskiego majątku, nadmorskiego folwarku, czy jak to się nazywa, uświadomiłem sobie, że zapomniałem użyć zdalnego zapłonu. Ale jakie to w końcu miało znaczenie? Instalowane w samochodach nowe bomby i tak eksplodują po mniej więcej pięciu minutach. Poza tym nikt nie próbował mnie zabić. To znaczy, ktoś kiedyś próbował mnie zabić, ale to miało związek z czymś innym. Atak mógł być całkiem przypadkowy, a jeśli go zaplanowano, strzelający uznali, że jestem wyłączony z akcji, rachunki za to, co ich tak wkurzyło, zostały wyrównane i nie muszą mnie dobijać. W ten sposób postępuje mafia — jeśli delikwent przeżyje, zostawiają go na ogół w spokoju. Niestety dzentelmeni, którzy pruli do mnie ze swoich pukawek, mieli zdecydowanie latynoskie rysy. A ci panowie uważają, że zadanie jest wykonane, dopiero kiedy zdołają ofiarę ukatrupić.

W tym momencie nie było to jednak dla mnie takie ważne. Bardziej obchodziło mnie to, co działo się tutaj. Znalazłem się w tym spokojnym zakątku planety, próbując uleczyć ciało i umysł, i okazało się, że pod pozorami sielanki zdarzają się tu bardzo dziwne rzeczy. Nie mogłem przestać myśleć o świni krwawiącej z uszu, nozdrzy i pyska... Zdałem sobie sprawę, że ludzie pracujący na tej małej wyspie odkryli substancję, która może zabić prawie wszystkie żywe istoty na ziemi.

Wygodną rzeczą w wypadku broni biologicznej była zawsze łatwość, z jaką można było zaprzeczyć, że się ją wytwarza, i zatrzeć wszelkie ślady. Cała domena badań biologicznych i doskonalenia tej broni zawsze opierała się na kłamstwach, błędach i zaprzeczeniach.

Skręciłem na podjazd przed domem wujka Harry'ego. Opony jeepa zachrzęściły na muszelkach. W domu było ciemno i kiedy zgasilem przednie światła, cały świat pogrążył się w mroku. Jak ludzie na wsi żyją w ciemności?

Wcisnąłem podkoszulek w szorty, żeby nie zasłaniał kolby trzydziestkiósemki. Nie wiedziałem nawet, czy ktoś przy niej nie majstrował; ktoś, kto dobiera się do szortów faceta, z całą pewnością majstruje również przy jego broni. Powinienem był to sprawdzić wcześniej.

Tak czy owak, trzymając klucze w lewej ręce i gotów w każdej chwili sięgnąć prawą po broń, otworzyłem frontowe drzwi. Rewolwer powinienem trzymać w dłoni, ale mężczyźni, nawet kiedy są zupełnie sami, muszą pokazać, że mają jaja. Czy ktoś na mnie patrzył? Chyba ja sam. Masz jaja, Corey. Jesteś prawdziwym mężczyzną. Prawdziwi mężczyźni muszą czasem szybko się wysikać, co zrobiłem w łazience przylegającej do kuchni.

Nie zapalając światła, sprawdziłem automatyczną sekretarkę w gabinecie i zobaczyłem, że mam dziesięć wiadomości; dość dużo jak na faceta, który w poprzednim tygodniu nie otrzymał ani jednej.

Domyślając się, że żadna nie będzie specjalnie przyjemna ani radosna, nalałem sobie dużą solidną brandy z kryształowej karafki do kryształowego kieliszka wujka Harry'ego.

Siedząc w rozkładanym fotelu wujka i sącąc złocisty płyn, wahałem się, czy odsłuchać wiadomości, czy wypić kolejną brandy, czy pójść do łóżka. Kolejna brandy przeważała kilka razy; odsuwałem konfrontację z elektronicznym horrorem automatycznej sekretarki do momentu, gdy zaszumi mi trochę w głowie.

W końcu wcisnąłem stosowny klawisz.

— Masz dziesięć wiadomości — oznajmił głos, zgadzając się w tej kwestii ze wskazaniami licznika.

Pierwsza wiadomość, z siódmej rano, była od wujka Harry'ego, który widział mnie w telewizji poprzedniej nocy, ale nie chciał dzwonić tak późno, co nie przeszkodziło mu zresztą zadzwonić tak wcześnie. Na szczęście o siódmej rano byłem już w drodze na Plum Island.

Potem szły cztery podobne wiadomości: jedna od moich rodziców na Florydzie, którzy nie widzieli mnie w telewizji, ale słyszeli, że tam byłem; druga od damy o imieniu Cobi, którą widuję od czasu do czasu i która nie wie, czemu chce zostać panią Cobi Corey; następne kolejno od mojego brata Jima i siostry Lynne, którzy są tak mili, że pozostają w kontakcie. Telefonów na temat mojego krótkiego występu telewizyjnego byłoby prawdopodobnie więcej, ale mało ludzi ma mój numer i nie wszyscy mnie poznali, ponieważ straciłem sporo na wadze i wyglądałem nieciekawie.

Nie było telefonu od mojej byłej żony, która, choć już mnie nie kocha, chce, abym wiedział, że lubi mnie jako człowieka, co jest dość dziwne, gdyż nie bardzo dają się lubić. Kochać tak, ale nie lubić.

Następnie zgłosił się mój partner, Dom Fanelli, który zadzwonił o dziewiątej rano. „Cześć, garbusie, widziałem cię w porannych wiadomościach. Co ty tam, do diabła, wyprawiasz? Dwóch Latynosów chce odstrzelić ci dupę, a ty pokazujesz się w telewizorze i teraz wszyscy wiedzą, gdzie jesteś. Może wyślesz po prostu swój plakat do Kolumbii na poste restante? Jezu, John, postaram się znaleźć tych facetów, nim oni znajdą ciebie. Mam dla ciebie kolejne dobre wieści: szef dziwi się, co u licha, robisz na miejscu zbrodni. Co się tam w ogóle dzieje? Kto kropnął tych dwoje? Była z niej niezła laska. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, zadzwoń. Trzymaj pipi w swoim tipi. Ciao”.

Uśmiechnąłem się. Poczciwy stary Dom. Facet, na którym mogłem polegać. Pamiętałem, jak stał nade mną, gdy wykrwawiałem się na ulicy. W jednej ręce trzymał nadgryzionego pączka, w drugiej swoją spluwę.

— Dorwę ich, John — powiedział i wbił zęby w pączek. — Bóg mi świadkiem, że dorwę tych skurwysynów, którzy cię zabili.

Pamiętam, że poinformowałem go, że jeszcze nie umarłem, a on

odparł, że o tym wie, ale prawdopodobnie umrę. Miał łzy w oczach, co bardzo mnie zmartwiło. Próbował coś do mnie mówić, żując jednocześnie pączek, i nie mogłem go zrozumieć, a potem zaczęło mi szumieć w uszach i straciłem przytomność.

Następny telefon, z godziny dziewiątej trzydzieści, był z „New York Timesa” i zdziwiło mnie, skąd wiedzieli, kim jestem i gdzie mieszkam.

„Jako nowy subskrybent może pan otrzymywać naszą gazetę — oznajmił głos — w dni powszednie i niedziele tylko za trzy dolary sześćdziesiąt centów tygodniowo przez trzynaście tygodni. Proszę zadzwonić do nas pod numer jeden osiemset sześćset trzydzieści jeden dwadzieścia pięć zero zero i natychmiast zostanie pan objęty naszą subskrypcją”.

— Dostaję „Timesa” w pracy. Następny.

„John, chciałbym, żebyś wiedział, że nie jesteś już zatrudniony jako konsultant przez gminę Southold. Jestem ci winien dolara, ale zamiast tego wolałbym ci postawić drinka”.

— Mam cię w dupie, Max.

Następny telefon był od pana Teda Nasha, superagenta CIA.

„Chciałem panu przypomnieć, że morderca albo mordercy pozostają na wolności i może pan być ich celem. Współpraca z panem była dla mnie prawdziwą przyjemnością i jestem pewien, że się jeszcze spotkamy. Proszę na siebie uważać”.

— Pierdol się, Ted.

Jeśli chcesz mnie przestraszyć, miej przynajmniej dość odwagi, żeby przyjść tutaj i powiedzieć mi to w twarz.

Na automatycznej sekretarce nagrała się jeszcze jedna wiadomość, ale ja nacisnąłem klawisz wstrzymujący odgrywanie, po czym zadzwoniłem do motelu Soundview i poprosiłem do telefonu Teda Nasha. Recepcjonista, młody człowiek, oznajmił, że nie zameldował się u nich nikt o takim nazwisku.

— A George Foster?

— Nie, proszę pana.

— Beth Penrose?

— Właśnie się wymeldowała.

Opisałem mu Nasha i Fostera.

— Owszem, zameldowali się u nas dwaj dżentelmeni, którzy odpowiadają temu opisowi — powiedział.

— Są tam jeszcze?

— Tak.

— Niech pan powie temu większemu facetowi, temu z kręconymi

czarnymi włosami, że pan Corey dostał jego wiadomość i że też powinien na siebie uważać. Zapamiętał pan?

— Tak jest.

— Niech pan mu poza tym powie, żeby się odpiardolił.

— Tak jest, proszę pana.

Odłożyłem słuchawkę i ziewnąłem. Czułem się jak śmieć. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin nie spałem dłużej niż trzy godziny. Ziewnąłem ponownie.

Wcisnąłem klawisz na automatycznej sekretarce, żeby odtworzyć ostatnią wiadomość.

„Cześć, telefonuję z samochodu... — odezwał się głos Beth. — Chciałam po prostu podziękować za dzisiejszą pomoc. Nie wiem, czy to zrobiłam. Tak czy owak miło było cię poznać i jeśli się jutro nie spotkamy... co jest możliwe, bo mam mnóstwo biurowej roboty i raportów do napisania... w każdym razie odezwę się. Jeszcze raz dziękuję”.

— Koniec wiadomości — oświadczył automat.

Jeszcze raz odtworzyłem ostatnią. Beth zadzwoniła niespełna dziesięć minut po tym, jak się pożegnaliśmy, i jej głos brzmiał wyraźnie chłodno i oficjalnie. W gruncie rzeczy było to zerwanie. Przyszła mi do głowy kompletnie paranoiczna myśl, że Beth i Nash zostali kochankami, są w tej chwili w jego pokoju i uprawiają namiętny dziki seks. Opanuj się, Corey. Ludziom, których chcą zniszczyć, bogowie zasłaniają oczy spermą.

Co złego mogło mnie jeszcze spotkać? Spędziłem cały dzień w strefie zagrożenia i złapałem prawdopodobnie dżumę, podpadłem w pracy, Pedro i Juan wiedzą, gdzie jestem, Max, mój kumpel, zwolnił mnie z funkcji konsultanta, bubek z CIA grozi mi nagłą śmiercią bez żadnego racjonalnego powodu, moja prawdziwa miłość odchodzi i oczyma duszy widzę, jak oplata nogami tego chloptasia. Poza tym Tom i Judy, którzy mnie lubili, nie żyją. A jest dopiero dziewiąta wieczór.

Pomyślałem o wstąpieniu do klasztoru. Albo jeszcze lepiej o miesiącu na Karaibach. Spędziłbym go, pływając z wyspy na wyspę z moim wielkim przyjacielem Peterem Johnsonem.

Mogłem też zostać tutaj i stawić czoło przeciwnościom losu. Zemsta, odwet, zwycięstwo i chwała. Czyli wszystko to, do czego był stworzony John Corey. Co więcej, miałem coś, czego nie miał nikt poza mną: luźne pojęcie, o co w tym wszystkim chodzi.

Siedziałem w pogrążonym w mroku cichym gabinecie i po raz

pierwszy tego dnia mogłem spokojnie się zastanowić. Mój umysł zarejestrował wiele rzeczy i patrząc w ciemne okno, zacząłem je składać razem.

Małe piknięcia, które słyszałem w głowie, zmieniały się na czarnym ekranie okna w białe kropki i powoli formował się z nich jakiś zarys. Nie widziałem jeszcze całego obrazu, a tym bardziej jego szczegółów, ale domyślałem się, jakie ma rozmiary, kształt i gdzie go szukać. Potrzebowałem jeszcze kilku białych kropek i jeszcze kilku piknięć. Wiedziałem, że kiedy się pojawią, będę znał odpowiedź na pytanie, dlaczego zamordowano Toma i Judy Gordonów.



# Rozdział 16

Poranne słońce zaglądało przez okno do mojej sypialni na piętrze i byłem szczęśliwy, że żyję; szczęśliwy, że leżąca obok mnie na poduszce zakrwawiona martwa świnia okazała się tylko złym snem. Przez chwilę nasłuchiwałem śpiewu ptaków, żeby upewnić się, czy nie jestem przypadkiem jedyną żywą istotą na ziemi. Gdzieś nad zatoką zaskrzeczała mewa. Na moim trawniku gęgały kanadyjskie gęsi. W oddali szczekał pies. Jak na razie nie było najgorzej.

Wstałem, umyłem się, ogoliłem i zrobiłem sobie filizankę liofilizowanej kawy w mikrofalówce.

Noc upłynęła mi na rozmyślaniach albo jak mówimy w branży, na rozumowaniu dedukcyjnym. Zatelefonowałem również do wujka Harry'ego, rodziców i rodzeństwa oraz Dorna Fanellego, lecz nie do „New York Timesa” i Maksa. Oznajmiłem wszystkim, że osoba, którą widzieli w telewizji, to nie ja i że nie widziałem wiadomości, o których mowa; że wieczór spędziłem w Olde Towne Tavern, oglądając Monday Night Football — co powinienem był robić — i mam na to świadków. Wszyscy chyba dali się nabrać. Miałem nadzieję, że uwierzy w to również mój zwierzchnik, wspomniany już porucznik detektyw Wolfe.

W rozmowie z wujkiem H. napomknąłem, że Margaret Wiley czuje do niego miętę, ale nie wydawał się tym zainteresowany.

— Dickie Johnson i ja razem się urodziliśmy — poinformował mnie — razem dojrzewaliśmy, mieliśmy razem masę kobiet i razem się zestarzeliliśmy, ale on umarł przede mną.

Przygnębiające. Potem zadzwoniłem do Doma Fanellego, ale nie było go w domu, w związku z czym zostawiłem wiadomość u jego żony Mary, z którą przyjaźniłem się przed moim ślubem. Mary

i moja była nie przypadły sobie jednak do gustu i ani mój rozwód, ani fakt, że zostałem postrzelony, nie uczyniły z nas z powrotem przyjaciół. To dziwne. Chodzi mi o żony partnerów. Stosunki między nimi są w najlepszym wypadku znośne.

— Przekaż Domowi, że to nie ja byłem w telewizji — poprosiłem Mary. — Mnóstwo ludzi dało się nabrać.

— Dobrze.

— Jeśli zginę, powiedz Domowi, że to sprawka CIA.

— Dobrze.

— Poza tym są pewni ludzie na Plum Island, którzy też próbują mnie zabić. Przekaż mu to.

— Dobrze.

— Powiedz mu, żeby, jeśli zginę, porozmawiał z Sylwestrem Maxwellem, szefem tutejszej policji.

— Dobrze.

— Jak się czują dzieciaki?

— Dobrze.

— Muszę kończyć. Wkłęśło mi się płuco — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Cóż, udało mi się przynajmniej przekazać wiadomość, a jeśli podsłuchiwali mnie federalni, dobrze, żeby wiedzieli, że opowiadam na lewo i prawo, iż CIA próbuje mnie ukatrupić.

Oczywiście w gruncie rzeczy wcale tak nie myślałem. Ted Nash może i miał ochotę mnie załatwić, lecz wątpię, żeby jego mocodawcy zaaprobowali skasowanie faceta tylko dlatego, że jest zgryźliwym kutasem. Z drugiej strony, jeśli ta sprawa związana była w jakiś znaczący sposób z Plum Island, nie zdziwiłbym się, gdyby pojawiły się kolejne trupy.

W nocy sprawdziłem też swoją broń i amunicję, używając latarki i szkła powiększającego. Wszystko było chyba w porządku. Paranoja jest nawet zabawna, jeśli nie zabiera człowiekowi zbyt wiele czasu i nie zbacza się przez nią z wytyczonego kursu. Chodzi mi o to, że jeśli ktoś ma paskudny dzień, może nagle uwierzyć, że ktoś dybie na jego życie albo chce w jakiś inny sposób mu zaszkodzić. Człowiek zaczyna wtedy dziwne gierki, uruchamiając na przykład samochód za pomocą zdalnego zapłonu, wyobrażając sobie, że ktoś założył mu podsłuch na telefon albo majstrował przy jego broni. Niektórzy wariaci wymyślają sobie wyimaginowanych przyjaciół, którzy każą im zabijać ludzi. Inni wariaci wymyślają sobie wrogów, którzy próbują ich zabić. Ci ostatni są, moim zdaniem, trochę mniej szaleni i o wiele bardziej użyteczni.

Tak czy owak, resztę nocy spędziłem, przeglądając ponownie finansowe dane Gordonów. Miałem do wyboru to albo Jaya Leno.

Prześledziłem uważnie kwity z maja i czerwca zeszłego roku, żeby odkryć, jak Gordonowie sfinansowali tygodniowe wakacje w Londynie po zakończeniu podróży służbowej. Zauważyłem teraz, że rachunek za kartę Visa, podobnie jak za Amex był w czerwcu troszeczkę wyższy niż zazwyczaj. Mały wybój na normalnie równej drodze. Również rachunek telefoniczny za czerwiec był o mniej więcej sto dolarów wyższy, co mogło wskazywać na zwiększoną liczbę rozmów zamiejscowych w maju. Zakładałem, że wzięli ze sobą gotówkę albo czekci podróżne, w całym tym okresie nie pobierali jednak dużych kwot pieniędzy. Była to pierwsza i jedyna wskazówka, że Gordonowie mieli dostęp do jakiegoś innego źródła gotówki. Ludzie dysponujący nielegalnymi dochodami kupują często tysiące dolarów w czekach podróżnych, wyjeżdżają za granicę i używają życia. A może Gordonowie wiedzieli, jak przeżyć w Anglii za dwadzieścia dolarów dziennie.

Poza tym wydruki w zasadzie nie dostarczyły żadnych informacji. Cokolwiek planowali, dobrze to ukryli, względnie cała rzecz nie wiązała się z dużymi wydatkami albo wpłatami. Przynajmniej na to konto. Gordonowie byli bardzo inteligentni, powtarzałem sobie. I jako naukowcy byli ostrożni, cierpliwi i metodyczni.

Była środa, godzina osma rano, a ja wypilem już drugą tego dnia kiepską kawę i szukałem w lodówce czegoś, co mógłbym przekąsić. Sałata z musztardą? Nie, dziękuję. Marchewka z masłem? Może być.

Stanąłem przy oknie w kuchni, oddając się dedukcji, dumając o niebieskich migdałach i pogryzając marchewkę. Czekałem na telefon od Beth, która potwierdzi, że spotkamy się o piątej po południu, ale w kuchni panowała cisza, jeśli nie liczyć tykania zegara.

Tego ranka byłem ubrany bardziej szykownie w brązowe bawelniane spodnie i oksfordzką koszulę w paski. Na oparciu kuchennego krzesła wisiał niebieski blezer. Moja trzydziestkaósemka tkwiła w kaburze przy kostce, a moja odznaka — jeśli miała tutaj jakąkolwiek wartość — w kieszeni marynarki. Niepoprawny optymista, miałem również kondom w portfelu. Byłem gotów do walki, do miłości i do wszystkiego, co miał przynieść nadchodzący dzień.

Trzymając w rękę marchewkę, zszedłem po pochyłości w stronę zatoki. Nad wodą unosiła się lekka mgielka. Patrząc pod nogi, dotarłem do samego końca pomostu, który wymagał generalnego remontu. Przypomniałem sobie dzień, kiedy po raz pierwszy przy-

płynęli do mnie Gordonowie — było to gdzieś w połowie czerwca, zaledwie tydzień po naszym pierwszym spotkaniu, które odbyło się w restauracji Claudia w Greenport.

Kiedy przybili do pomostu wujka Harry'ego, siedziałem na tylnej werandzie, w swojej tradycyjnej pozie rekonwalescenta, popijając rekonwalescencje piwo i obserwując zatokę przez lornetkę.

Tydzień wcześniej u Claudia poprosili mnie, żebym opisał, jak wygląda mój dom od strony zatoki, i bezbłędnie do mnie trafili.

Pamiętałem, że zszedłem do nich na pomost, żeby się przywitać, a oni namówili mnie na wspólną przejażdżkę. Zwiedziliśmy szereg zatoczek, które leżą między North i South Fork: Great Peconic Bay, Little Peconic Bay, Noyack Bay, Southold Bay, a potem Gardiners Bay oraz Orient Point. W którymś momencie Tom dodał ostro gazu i myślałem, że uniesiemy się w powietrze. Motorówka zadarła dziób w górę i pokonała chyba barierę dźwięku. Wtedy również Gordonowie pokazali mi Plum Island.

— Tam pracujemy — powiedział Tom.

— Któregoś dnia załatwimy ci przepustkę — dodała Judy. — To naprawdę interesujący ośrodek.

I miała rację.

Tego samego dnia złapał nas silny wiatr na Plum Gut. Myślałem, że wyrzycam z siebie flaki i zastanawiałem się, czy nie stąd właśnie Gut\* wzięło swoją nazwę.

Pamiętam, że spędziliśmy na wodzie cały dzień i wróciliśmy tutaj wyczerpani, opaleni, odwodnieni i głodni. Tom pojechał po pizzę, a Judy i ja popijaliśmy piwo na tylnej werandzie i patrzyliśmy, jak zachodzi słońce.

Nie wydaje mi się, żebym był specjalnie sympatycznym facetem, ale Gordonowie zadali sobie wiele trudu, żeby się ze mną zaprzyjaźnić. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego to robią. Z początku nie zależało mi szczególnie na ich towarzystwie. Ale Tom był sprytny i zabawny, a Judy piękna. I inteligentna.

Pewne rzeczy nie mają czasami sensu, kiedy się dzieją, i dopiero po jakimś czasie albo jakimś wydarzeniu odkrywa się znaczenie tego, co zostało powiedziane albo zrobione. Prawda?

Gordonowie chyba wiedzieli, że znajdują się albo mogą się znaleźć w niebezpieczeństwie. Zawarli już wcześniej znajomość z Maxwellem i chcieli, żeby jakaś osoba albo osoby wiedziały, że

\* Gra słów: ang. „gut” to flaki, wnętrzności, ale także cieśnina, przejście między mieliznami.

łączą ich z nim bliskie stosunki. Następnie poświęcili dość dużo czasu waszemu oddanemu słudze i ponownie odnoszę wrażenie, iż chodziło o pokazanie komuś, że Tom i Judy przyjaźnią się z panem władzą. Może, gdyby coś poszło nie tak, Max i ja mieliśmy otrzymać od nich listy. Nie robiłem sobie jednak większych nadziei.

Jeśli chodzi o rzeczy, które nabierają sensu dopiero w retrospekcji, przypomniałem sobie, że tego konkretnego wieczoru, zanim jeszcze Tom wrócił z pizzami, Judy, która wypila trzy piwa na pusty żołądek, zapytała mnie, ile może być wart dom wujka Harry'ego.

— Jakież czterysta tysięcy dolarów, może więcej. Dlaczego pytasz?

— Z ciekawości. Czy twój wuj chce go sprzedać?

— Zaproponował mi go poniżej wartości rynkowej, ale musiałbym go spłacać przez dwieście lat.

Na tym dyskusja się zakończyła, ale kiedy ludzie pytają, ile wart jest jakiś dom, samochód albo łódź, a potem czy jest na sprzedaż, oznacza to, że albo są wścibscy, albo sondują rynek. Gordonowic nie byli wścibscy. Teraz oczywiście wiedziałem, że spodziewali się zarobić wkrótce duże pieniądze. Jeśli jednak ich źródłem miała być nielegalna transakcja, nie mogli raczej obnosić się ze swoim bogactwem i kupować rezydencji za czterysta tysięcy dolarów. Z tego względu oczekiwany szmal musiał albo pochodzić z legalnego źródła, albo przynajmniej sprawiać takie wrażenie. Szczepionka? Niewykluczone.

A potem coś poszło nie tak i te genialne mózgi rozbryzgały się na cedrowym pomoście, tak jakby komuś wypadła z rąk pięcioletnia paczka mielonej wołowiny.

Pamiętam, że wtedy wieczorem wspomniałem w rozmowie z Tomem, że tam, na Plum Gut, wydawało mi się, iż znajdujemy się w niebezpieczeństwie. Tom przerzucił się z piwa na wino i był na lekkim rauszu.

— Bezpieczna łódź to taka, która stoi w porcie — odparł. Jak na technokratę miał nieco filozoficzne podejście do życia. — Ale nie po to przecież buduje się łodzie.

Rzeczywiście nie po to. Przyszło mi do głowy, że ludzie, którzy zajmują się wirusem Ebola i innymi śmiertelnymi substancjami, muszą być z natury ryzykantami. Tak długo udawało im się wychodzić bez szwanku z konfrontacji, że w końcu doszli do wniosku, iż są nietykalni. Postanowili spróbować swoich sił w kolejnej niebezpiecznej grze, tym razem bardziej lukratywnej. Znaleźli się jednak na obcym terenie, niczym pletwonurek, który wybiera się na

wspinaczką w góry, lub vice versa — dużo hartu ducha i okazała pojemność płuc, ale brak wiedzy, jak to się robi.

Wracając do środy rano we wrześniu, Tom i Judy, którzy nie tak dawno jeszcze stali ze mną na pomoście wujka Harry'ego, teraz byli martwi i piteczka, by użyć nowej metafory, znalazła się po mojej stronie kortu.

Odwróciłem się i ruszyłem z powrotem w stronę domu, orzeźwiony porannym powietrzem i moją marchewką, motywowany przez pamięć o dwojgu uroczych ludziach, z jasnym umysłem i właściwym dystansem do wczorajszych zmartwień i rozczarowań. Byłem wypoczęty i gotów do walki. Do skopania komuś tyłka.

Pojawiła się kolejna najwyraźniej niezlokalizowana kropka, którą trzeba było umieścić na ekranie sonaru; symbolizowała pana Fredrica Tobina, właściciela winnicy.

Najpierw jednak, w nadziei, że ktoś zatelefonował, gdy kontemlowałem zatokę, sprawdziłem automatyczną sekretarkę. Żadnych wiadomości. Dziwka. Wyluzuj się, John.

Bardziej poirytowany niż zraniony, wyszedłem z domu. Miałem na sobie blezer pana Ralpa Laurena, oksfordzką koszulę pana Tommy'ego Hilfigera, spodnie pana Eddiego Bauera, bokserki pana Perry'ego Ellisa, płyn po gołeniu pana Karla Lagerfelda i rewolwer panów Smitha oraz Wesson.

Uruchomiłem zdalnie samochód i wskoczyłem do środka.

— Bonjour, jeep.

Dojechałem do Main Road i skręciłem w stronę wschodzącego słońca. Main Road biegnie w większości przez tereny wiejskie, ale przecinając osiedla, staje się zgodnie ze swą nazwą główną ulicą. Pomędzy osiedlami mija się stodoły i farmy, szkółki, dużo straganów z płodami rolnymi, kilka dobrych i niewyszukanych restauracji, trochę sklepów z antykami i parę naprawę uroczych drewnianych kościółków w nowoangielskim stylu.

Jedyną zmianą, która zaszła tutaj od czasu, gdy byłem chłopcem, jest pojawienie się kilkudziesięciu winiarni. Bez względu na to, gdzie znajdują się winnice, większość ich właścicieli założyła kwatery główne przy Main Road, żeby przyciągnąć turystów. Organizuje się specjalne wyjazdy połączone z darmową degustacją wina i obowiązkową wizytą w sklepie z pamiątkami, gdzie jednoliniowy wycieczkowiec czuje się zobligowany do zakupu nektaru z miejscowych gron, jak również winnych kalendarzy, książek kucharskich, korkociągów, podstawek i nie wiadomo czego jeszcze.

Większość winiarni mieści się w przebudowanych stodołach

i innych rolniczych zabudowaniach, niektóre jednak są całymi nowoczesnymi kompleksami, gdzie znajdują się autentyczne urządzenia do tłoczenia wina, sklep z winem i pamiątkami, restauracja, ogródek winny i tak dalej. Main Road nie jest dokładnie tym samym co Rue de Soleil, a North Fork różni się nieznacznie od Côte du Rhone, ale okolica jest dość przyjemna i stanowi swoiste skrzyżowanie Cape Cod i Napa Valley.

Same wina, mówiono mi, nie są najgorsze. Niektóre, mówiono mi, są całkiem dobre. Są wśród nich nawet takie, mówiono mi, które wygrały krajowe i międzynarodowe konkursy. Ja osobiście wolę budweisera.

W osiedlu Peconic zajechałem na duży wysypany żwirem parking, przy którym stała drewniana tablica z napisem WINNICE FREDRICA TOBINA. Tablica polakierowana była na czarno, litery wyryte w drewnie i pomalowane na złoty kolor. Czarny lakier przecinały dziwaczne smugi w różnych kolorach i wziąłem je za akt wandalizmu, gdyby nie to, że takie same smugi widziałem na etykietach win w sklepie Tobina i na winach w domu Toma i Judy. Biorąc to pod uwagę, uznałem je za dzieło sztuki. Coraz trudniej odróżnić sztukę od aktu wandalizmu.

Wysiadając z mojego drogiego sportowego pojazdu terenowego, zauważyłem, że na parkingu stoi kilkanaście podobnych do niego wozów. Może tu właśnie znajdowało się ich pastwisko. Albo należały do miejskich i podmiejskich kowbojów, dla których synonimem bezdroża jest wysypany żwirem parking. Ale popadam w dygresję.

Ruszyłem w stronę kompleksu Tobina. W powietrzu fruwał milion pszczoł, zwabionych silnym aromatem tłoczonych i fermentujących winogron. Mniej więcej połowie z nich przypadł do gustu mój lagerfeld.

Jak mam opisać winiarnię Tobina? Gdyby francuskie chateau zbudowano z amerykańskiego cedru, wyglądałoby dokładnie jak ta budowla. Pan Tobin wydał najwyraźniej małą fortunę na urzeczywistnienie swego marzenia.

Byłem tutaj wcześniej i znałem to miejsce. Zanim jeszcze wszedłem do środka, wiedziałem, że na lewo od recepcji, gdzie przyjmowano gości, znajduje się duży sklep z winem i pamiątkami.

Właściwa wytwórnia wina mieści się w prawym skrzydle rozległego piętrowego budynku, gdzie umieszczono miedziane kadzie, tłocznie i całe wyposażenie. Zwiedzałem ją kiedyś razem z wycieczką i słuchałem głośzenia przewodnika. Od zarania dziejów nie wymyślono chyba tak wielu bzdur na temat czegoś tak małego jak

owoc winorośli. Śliwka jest przecież większa. Prawda? Ludzie robią wino ze śliwek. Prawda? Co jest takiego podniecającego w winogronie?

Nad całym kompleksem wznosi się wysoka na pięćdziesiąt stóp masywna wieża, coś w rodzaju zamkowej fortecy, na szczycie której powiewa wielka flaga. Wspominając o fladze, nie mam na myśli gwiaździstego sztandaru. Mówię o czarnej fladze ze znakiem firmowym Tobina. Ktoś tutaj lubi oglądać wysoko swoje nazwisko.

Całe to cudo pomalowane jest na biało i z oddali przypomina jeden z francuskich zamków z piaskowca, które widuje się w turystycznych katalogach. Freddie władował nielichy grosz w swoją siedzibę i zastanawiałem się, ile forsy można dokładnie zarobić na tłoczeniu winogron.

Kontynuując malowany słowem obraz Chateau Tobin: dalej na lewo mieści się mały lokalik, który kobiety i autorzy przewodników kulinarnych nieodmiennie opatrują epitetem przemiły. Na mnie robił wrażenie sztywnego i bezdusznego. Z całą pewnością nie znajdował się na liście knajp, które zaczną odwiedzać, gdy sanepid zamknie Olde Towne Tavernę.

Restauracja ma kryty markizą taras, gdzie ludzie ubierający się u Eddiego, Tommy'ego, Alpha, Liz oraz Carole mogą siedzieć i chrząnąć głupoty o winie, które tak naprawdę jest alkoholizowanym sokiem z winogron.

Do przemiłej restauracji przylega większa sala, która wedle tego co napisał w broszurze Fredric Tobin, właściciel, idealnie nadaje się na wesela, chrzciny albo bar micwę.

Byłem tam w czerwcu, na jednym z wydawanych przez pana Tobina podwieczorków. Pretekstem była premiera nowego rocznika, przez co zapewne rozumiał, że wino jest gotowe do sprzedaży i tankowania. Byłem, jak już chyba wspomniałem, gościem Gordonów; w przyjęciu uczestniczyło około dwustu osób, śmietanka North Fork: bankierzy, adwokaci, lekarze, sędziowie, politycy, kilka osób z Manhattanu, które mają tutaj letnie domy, zamożni kupcy, agenci nieruchomości i tak dalej. Wśród miejscowego towarzystwa można było dostrzec kilku artystów, rzeźbiarzy i pisarzy, którzy z różnych i niejasnych przyczyn nie osiedlili się po drugiej stronie zatoki w Hamptons. Wielu z nich nie było po prostu na to stać, chociaż oczywiście opowiadali, że są artystycznie uczciwi od swoich hamptonskich kolegów. Gówno prawda. Max również został zaproszony, ale nie mógł przyjść. Tom i Judy, zgodnie z tym, co mówili, byli jedynymi obecnymi tam pracownikami Plum Island.



— Organizatorzy przyjęć unikają ludzi z Plum Island jak zarazy — stwierdził Tom.

Obaj setnie się z tego uśmieliśmy. Jezu, brakowało mi Toma. I Judy też. Była inteligentna.

Pamiętam, że podczas owej degustacji soku z winogron Tom przedstawił mnie gospodarzowi Fredricowi Tobinowi, nieżonatemu dżentelmenowi, który już na pierwszy rzut oka sprawia! wrażenie faceta w miękkich pantoflach, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Ubrany był w pretensjonalny fioletowy garnitur, jedwabną białą koszulę oraz krawat ozdobiony winogronowym motywem. Myślałem, że się porzygam.

Pan Tobin był grzeczny, lecz potraktował mnie dość chłodno, co zawsze mnie irytuje, gdy uczestniczę w tego rodzaju spędach. Detektyw wydziału zabójstw przekracza jakby społeczne podziały i gospodarz na ogół chętnie gości kogoś takiego, żeby opowiedział to i owo. Wszyscy uwielbiają opowieści o zbrodniach. Ale Fredric olał mnie, nim zdążyłem mu powiedzieć, co sędzę na temat wina.

Poskarżyłem się Tomowi i Judy, że monsieur nie był nawet na tyle grzeczny, żeby spróbować mnie poderwać. W odpowiedzi Gordonowie stwierdzili, że Freddie (nikt nie ośmieliłby się tak do niego zwrócić) jest w rzeczywistości stuprocentowym heteroseksualistą. Osobisty urok i wyrafinowane maniery Fredrica, jak ujęła to Judy, wprowadzały niekiedy w błąd ludzi, którzy brali go za geja albo biseksualistę. Mnie nigdy się to nie zdarzyło.

Dowiedziałem się od Gordonów, że subtelny i szarmancki pan Tobin studiował uprawę winorośli we Francji i otrzymał nawet jakiś tytuł w dziedzinie wyciskania soku.

Tom pokazał mi młodą damę, która była aktualną kochanką pana Tobina. Dziewczyna zwałała z nóg: miała mniej więcej dwadzieścia pięć lat, niebieskie oczy, blond włosy i figurę, jakby wyszła z formy. Och, Freddie, ty szczęśliwy sukinsynu. Jak mogłem się tak co do ciebie pomylić?

Tak wyglądało moje jedyne spotkanie z Władcą Pszczół. Potrafiłem od biedy zrozumieć, dlaczego Tom i Judy szukali towarzysztwa tego faceta — przede wszystkim lubili wino, a Tobin robił jedno z najlepszych. Poza tym z branżą winiarską związany był cały towarzyski rytuał, w skład którego wchodziło to przyjęcie, prywatne obiady, organizowane w winnych ogródkach koncerty na świeżym powietrzu, ekstrawaganckie pikniki na plaży i tak dalej. Gordonowie najwyraźniej to akceptowali, co mnie dziwiło i choć nie podlizywali się ani nie schlebiali Fredricowi Tobinowi, na pewno

nie mieli z nim wiele wspólnego pod względem towarzyskim, finansowym, zawodowym i każdym innym. W gruncie rzeczy to, że utrzymywali bliskie stosunki z facetem takim jak Fredric, nie bardzo pasowało do mojego o nich wyobrażenia. Jeśli chodzi o imię mistrza, mamy tu szczególny przypadek pozbycia się „e”, podczas gdy wszyscy dookoła je sobie dodają. Mówiąc bez ogródek, Fredric Winiarz sprawiał wrażenie nadętego dupka i cieszyłem się na myśl, że spuszczę z niego trochę powietrza. Miał poza tym brodę i prawdopodobnie biały sportowy samochód.

Kręciłem się chwilę po sklepie z pamiątkami, próbując znaleźć jakiś miły prezent dla mojej utraconej miłości, coś w rodzaju kozika, na którego rękojeści znajdowałby się napis „Rznęłam się na North Fork”. Z braku czegoś takiego znalazłem ładną, ręcznie malowaną płytkę ceramiczną z siedzącym na żerdzi rybołowem. To bardzo dziwnie wyglądający ptak, ale płytka spodobała mi się, ponieważ nie była ozdobiona żadnym winnym motywem.

— Czy pan Tobin jest u siebie? — zapytałem młodą atrakcyjną kasjerkę, kiedy pakowała prezent.

— Nie jestem pewna — odparła, zerkając na mnie.

— Zdawało mi się, że widziałem jego samochód. Biały sportowy wóz. Prawda?

— Pewnie jest gdzieś w pobliżu. Dziesięć dolarów dziewięćdziesiąt siedem centów z podatkiem.

Zapłaciłem dziesięć dolarów dziewięćdziesiąt siedem centów i odebrałem pakunek i resztę.

— Czy zwiedzał już pan naszą wytwórnię? — zapytała.

— Nie, ale widziałem kiedyś, jak warzy się piwo. — Wyjąłem odznakę z kieszeni marynarki i pokazałem ją. — Policja. Chciałbym, żeby wcisnęła pani przycisk, który połączy panią z biurem pana Tobina, i powiedziała, żeby przybiegł tu w podskokach. Dobrze?

Kiwnęła głową i zrobiła to, o co ją prosiłem.

— Marilyn, jest tutaj policjant, który chce się widzieć z panem Tobinem — powiedziała do telefonu.

— W podskokach.

— Niezwłocznie — przetłumaczyła. — Dobrze... tak, przekażę mu. Zaraz tu będzie — poinformowała mnie, odkładając słuchawkę.

— Którędy na górę?

Kasjerka pokazała zamknięte drzwi w ścianie naprzeciwko.

— To wejście do biur i apartamentów w wieży.

— Dziękuję.

Podszedłem do drzwi, otworzyłem je i znalazłem się w dużym

obitym boazerią holu, który stanowił parter wieży. Jedne drzwi prowadziły stąd do kadzi fermentacyjnych, drugie z powrotem do recepcji, przez którą wszedłem do budynku, trzecie, oszklone, na tyły winiarni. Poza tym były tu schody na górę, a na prawo od nich winda.

Jej drzwi otworzyły się i na zewnątrz wybiegł pan Tobin. Tak bardzo śpieszył się do sklepu z pamiątkami, że omiótł mnie tylko przelotnym spojrzeniem. Zauważyłem, że ma na twarzy wyraz głębokiej troski.

— Panie Tobin — odezwałem się.

Odwrócił się w moją stronę.

— Tak?

— Detektyw Courtney.

Czasami przekręcam własne nazwisko.

— Aha... czym mogę panu służyć?

— Chciałem zająć panu trochę czasu.

— O co chodzi?

— Jestem detektywem z wydziału zabójstw.

— Aha... Gordonowie.

— Tak, proszę pana.

Najwyraźniej nie pamiętał mojej twarzy, która nie zmieniła się przecież tak bardzo od czerwca, kiedy się ostatnio spotkaliśmy. To prawda, zmieniło się trochę moje nazwisko, ale nie zamierzałem mu ułatwiać życia. Jeśli chodzi o mój status, jurysdykcję i wszystkie te formalne bzdury, nie odtworzyłem po prostu wiadomości, którą Max nagrał mi na automatycznej sekretarce.

— Był pan zdaje się przyjacielem ofiar — powiedziałem.

— Spotykaliśmy się na gruncie towarzyskim.

— Rozumiem.

Co się tyczy stroju Fredrica Tobina, przyznaję ze smutkiem, że był ubrany podobnie jak ja: w ciuchy z naszywkami wielkich domów mody oraz mokasyny. Nie miał krawatu w winogrona, ale z kieszonki niebieskiego blezera wystawała mu głupawa fioletowa chusteczka.

Pan Tobin był mężczyzną koło pięćdziesiątki lub trochę młodszym, mniej niż średniego wzrostu, co mogło tłumaczyć jego kompleks Napoleona. Niezbyt tęgi, miał krótkie brązowe włosy, niestety nie wszystkie własne, oraz elegancko przystrzyżoną brodkę. Jego zęby, również sztuczne, były perłowo białe, twarz ładnie opalona. Ogólnie rzecz biorąc był bardzo zadbanym i elokwentnym facetem i dobrze się trzymał. Żadne kosmetyki i zabiegi pielęgn-

nacyjne nie mogły jednak zmienić ciemnych jak paciorki oczu, które biegały po całym pomieszczeniu, jakby miały za chwilę wypaść z orbit.

Używał płynu po goleniu o sosnowym zapachu, który, jak przypuszczam, nie przyciąga pszczoł.

— Mam rozumieć, że chce mnie pan przesłuchać? — zapytał.

— Tylko kilka rutynowych pytań.

Prawdą mówiąc, w sprawie o zabójstwo nie ma takiej rzeczy jak aitynowe pytania.

— Przykro mi, ale ja nie... to znaczy nie mam najmniejszego pojęcia, co mogło się przytrafić Gordonom.

— Zostali zamordowani.

— Wiem... to znaczy...

— Potrzebuję po prostu kilku ogólnych informacji na ich temat.

— Może powinienem zadzwonić do mojego adwokata.

Słyszac to, uniosłem brwi.

— Ma pan do tego prawo — oświadczyłem. — Możemy to zrobić na komisariacie w obecności pańskiego adwokata. Albo tutaj i zajmie nam to nie dłużej niż dziesięć minut.

Najwyraźniej się nad tym zastanawiał.

— No nie wiem... nie mam doświadczenia w takich sprawach...

— Niech pan posłucha, panie Tobin — oznajmiłem, używając swego najbardziej spolegliwego tonu. — Nie jest pan podejrzany. Rozmawiam po prostu z przyjaciółmi Gordonów. Wie pan: ogólne informacje.

— Rozumiem. No cóż... jeśli sądzi pan, że mogę pomóc, chętnie odpowiem na wszystkie pytania.

— Doskonale. — Nie chciałem, żeby miał pod ręką telefon. — Nigdy jeszcze nie oglądałem z bliska winnicy. Możemy się tam przejść? — zapytałem.

— Oczywiście. Kiedy pan przyjechał, właśnie się tam wybierałem.

— W ten sposób i wilk będzie syty, i owca cała.

Ruszyłem za nim przez oszklone drzwi na zalane słońcem podwórko. W pobliżu stały dwie małe ciężarówki załadowane winogronami.

— Dwa dni temu zaczęliśmy winobranie — poinformował mnie pan Tobin.

— W poniedziałek.

— Tak.

— To dla pana wielki dzień.

- Dzień spełnienia.
- Rozumiem, że był pan tu przez cały dzień.
- Od samego rana.
- Pokiwałem głową.
- Zbiory są dobre?
- Jak na razie bardzo dobre, dziękuję.

Przecieliśmy trawnik i ruszyliśmy między dwoma rzędami jeszcze niezebranych winorośli. Unosząca się w powietrzu woń była naprawdę przyjemna, a pszczoły, dzięki Bogu, jeszcze mnie nie odnalazły.

— Co pan kupił? — zapytał pan Tobin, wskazując na torbę ze swoim znakiem firmowym.

— Malowaną płytkę ceramiczną. Lubię obsypywać prezentami moją dziewczynę.

— Którą?

— Beth.

— Pytałem o płytkę.

— Aha. Tę z rybołowem.

— Ostatnio wracają.

— Malowane płytki?

— Nie. Rybołowy. Niech pan posłucha, detektywie...

— To dziwne ptaki. Czytałem, że ich pary łączą się na całe życie. Przypuszczam, że nie są katolikami. Dlaczego uprawiają monogamię?

— Detektywie...

— Ale potem przeczytałem wyniki kolejnych badań. Samice kopulują tylko z jednym partnerem, jeśli ten wraca do tego samego gniazda. Wie pan, ekologowie stawiają im takie specjalne słupy z platformami, na których budują swoje gniazda. Rybołowy. Nie ekologowie.

— Detektywie...

— Chodzi o to, że tak naprawdę samica nie jest wcale zwolenniczką monogamii. Jest przywiązana do gniazda. Wraca do niego co roku i pieprzy się z pierwszym samcem, który się pojawi. Zupełnie jak te damy, które mieszkają w letnich domach w Southampton. Wie pan? Nigdy nie chcą być same. Rozumiem, zdarza się, że małżonek odwalił kity albo wziął nogi za pas i nigdy już nie wrócił. Ale bywa, że spóźnił się po prostu na pociąg. Wie pan? A ona już zabawia się z facetem, który przyszedł naprawić basen. Wracając do rybołowów...

— Przepraszam, detektywie... jak brzmi pańskie nazwisko?

— Może mi pan mówić John.

Zerknął na mnie i widziałem, że próbuje mnie sobie przypomnieć, ale nie za bardzo mu się to udaje. Tak czy owak, po moim monologu w stylu porucznika Colombo, uznał, że jestem prostakiem, i trochę się rozluźnił.

— Byłem wstrząśnięty, kiedy się o tym dowiedziałem — oznajmił. — To straszna tragedia. Byli tacy młodzi i pełni życia.

Nie odezwałem się.

— Wie pan coś na temat pogrzebu?

— Nie, proszę pana. Gordonowie są chyba jeszcze w prosektorium. Pocięli ich na kawałki, a potem złożyli z powrotem. Tak jak w układance, z tą różnicą, że patologowie zachowują organy. Choć z drugiej strony i tak nikt nie pozna, że czegoś brakuje, prawda?

Pan Tobin nie skomentował mojej uwagi.

Szliśmy przez chwilę bez słowa przez winnicę. Czasami, kiedy nie zadaje się pytań, przesłuchiwany denerwuje się i zaczyna sam mówić, nie mogąc znieść ciszy.

— Sprawiali takie miłe wrażenie — stwierdził po kilku chwilach pan Tobin.

Pokiwałem głową.

— Nie mogli mieć żadnych wrogów — dodał po kilku chwilach. — Z drugiej strony wiadomo, że na Plum Island dzieją się dziwne rzeczy. To, co się stało, wygląda właściwie na włamanie. Tak mówili w radiu. Komendant Maxwell stwierdził, że to włamanie. Ale niektóre gazety próbują to wiązać z Plum Island. Powinienem zatelefonować do komendanta Maxwella. Jesteśmy przyjaciółmi. Znajomymi. Przyjaźnił się z Gordonami.

— Naprawdę? Wszyscy tutaj najwyraźniej się znają.

— Na to wygląda. To kwestia geografii. Z trzech stron otacza nas woda. Jesteśmy prawie małą wyspą. Wcześniej czy później każdy się z każdym spotka. Dlatego to takie niepokojące. To mógł być każdy z nas.

— Ma pan na myśli, że mógł być zabójcą czy ofiarą?

— Właściwie jedno i drugie — odparł pan Tobin. — Ktoś stąd może być zabójcą, a ofiarą mógł być każdy... Myśli pan, że będą kolejne morderstwa?

— Mam nadzieję, że nie. I bez tego mam dosyć roboty.

Szliśmy dalej wzdłuż naprawdę długiego rzędu winorośli. Pan T. chwilowo umilkł.

— Jak dobrze znał pan Gordonów? — zapytałem.

— Byliśmy znajomymi. Oczarowała ich magia i romantyka winiarstwa.

- Naprawdę?
- Interesuje pana wino, detektywie?
- Nie. Osobiście wolę piwo. Czasami piję wódkę. A propos, jak to się panu podoba? — Opowiedziałem mu o wódce Krumpin-skiego, czystej oraz kolorowej. — Co pan o tym sądzi? Pokrewny przemysł, prawda? Wszędzie tutaj rosną kartofle. Cała Long Island będzie nurzać się w alkoholu. Niektórzy widzą tylko sok z winogron i kartoflany zacier. My widzimy wino i wódkę. Co pan na to?
- Interesujący koncept. — Tobin zerwał z gałązki grono białych owoców i wycisnął sobie miąższ i sok do ust. — Bardzo dobre. Mocne, słodkie, ale nie za słodkie. W tym roku było akurat tyle, ile trzeba deszczu i słońca. To będzie dobry rocznik.
- Bardzo się cieszę. Kiedy ostatnio widział pan Gordonów?
- Mniej więcej przed tygodniem. Proszę, niech pan spróbuje — dodał, dając mi do ręki kilka winogron.
- Włożyłem jedno do ust, przeżułem i wyplułem skórkę.
- Niezłe.
- Owoce były pryskane. Powinien pan wycisnąć miąższ prosto do ust. Proszę — powiedział, podając mi pół grona.
- Spacerowaliśmy po winnicy niczym dwaj starzy kumple, wyciskając sobie do ust miąższ — ale nie wzajemnie. Na to było jeszcze za wcześnie. Pan Tobin rozprawił dalej o pogodzie i uprawie winorośli.
- Mamy taką samą średnią opadów jak w Bordeaux — stwierdził.
- Co pan powie?
- Ale nasze czerwone nie są tak intensywne jak te, które dojrzewają w Bordeaux. Nasze mają inną teksturę.
- Oczywiście.
- W Bordeaux pozwalają, żeby skórki macerowały się w młodym winie długi czas po zakończeniu fermentacji. Potem wino dojrzewa w beczkach przez dwa albo trzy lata. U nas nie zdaje to egzaminu. Nasze i ich grona dzieli ocean. Należą do tego samego gatunku, ale rozwinęły swój własny charakter. Dokładnie tak jak my.
- Trafna uwaga.
- Musimy również delikatniej niż w Bordeaux ściągać osad. W poprzednich latach popełniłem w tej dziedzinie kilka błędów.
- Wszyscy jesteście omylni.
- Ochrona owoców jest u nas o wiele ważniejsza niż troszczenie się o smak garbnika. Nie uzyskujemy tu taniny, którą mają w Bordeaux.

- Dlatego cieszę się, że jestem Amerykaninem.
- Przy produkcji wina nie wolno zbytnio wierzyć w dogmaty ani teorie. Trzeba odkryć to, co daje najlepsze efekty.
- To samo można powiedzieć o mojej pracy.
- Ale możemy się uczyć od starych mistrzów. W Bordeaux nauczyłem się, jak ważna jest rozpiętość liścia.
- To najlepsze miejsce, żeby się tego nauczyć.
- Nie było to tak nużące jak lekcja historii, lecz niewiele się od niej różniło. Nie zamierzałem jednak mu przerywać. Słumiłem ziewnięcie.
- Rozpiętość liścia pozwala złapać więcej słońca na tych północnych szerokościach. W południowej Francji, Włoszech albo Kalifornii nie mają takich problemów. Ale tutaj, na North Fork, podobnie jak w Bordeaux, trzeba szukać równowagi między osłoną, jaką daje liść, i nasłonecznieniem owoców.
- Facet gadał i gadał.
- Mimo to, wbrew mojemu pierwszemu wrażeniu, zorientowałem się, że prawie go lubię. Nie chcę przez to powiedzieć, że kiedykolwiek mogliśmy zostać wielkimi przyjaciółmi, lecz Fredric Tobin miał w sobie pewien urok, choć może żdziebko zbyt intensywny. Widać było, że kocha to, co robi; czuł się między tymi rzędami winorośli jak w domu. Zaczynałem rozumieć, dlaczego mogli go polubić Gordonowie.
- North Fork ma swój własny mikroklimat — powiedział. — Inny niż w bezpośrednim sąsiedztwie. Wie pan, że mamy więcej słońca niż mają go po drugiej stronie zatoki, w Hamptons?
- Żartuje pan? Czy wiedzą o tym wszyscy ci bogacze w Hamptons?
- I więcej słońca niż po drugiej stronie cieśniny, w Connecticut — dodał.
- Co pan mówi? Dlaczego tak się dzieje?
- To ma coś wspólnego z wielkimi masami wody i dominującymi w tym rejonie wiatrami. Connecticut ma klimat kontynentalny, my morski. W zimie może tam być nawet dziesięć stopni mniej. Taka temperatura byłaby zabójcza dla winorośli.
- Jasna sprawa.
- Poza tym nie ma tu nigdy wielkich upałów, które również mogłyby zaszkodzić uprawom. Otaczające nas wody mają łagodzący wpływ na klimat.
- Jest cieplej, słoneczniej, wracają rybołowy. Żyć nie umierać.
- I mamy tutaj bardzo szczególną ziemię. To polodowcowa



gleba, bogata w odpowiednie minerały i drenowana przez znajdujące się pod spodem piaski.

— Ja cię kręcę. Gdyby ktoś powiedział mi, kiedy byłem mały: „Słuchaj, John, któregoś dnia wszędzie tutaj będą winnice”, roześmiałbym mu się w twarz i kopnął w jaja.

— Interesuje to pana?

— Bardzo. — Ani trochę.

Weszliśmy między kolejne rzędy, gdzie mechaniczny kombajn torturował winorośl, wsysając do wnętrza całe pęki gron. Jezu. Kto wymyśla takie maszyny?

Po chwili skręciliśmy dalej i zobaczyłem kilka hoźych dziewcząt w szortach i podkoszulkach Tobina, które robiły to ręcznie. Władca Winogron zatrzymał się i przez chwilę z nimi dowcipkował. Widać było, że wypuścił się na łowy i dziewczoje reagowały prawidłowo. Facet mógł być ich ojcem, ale one wyczuwały szmal. Ja musiałbym użyć całego swego sprytu i uroku osobistego, by któraś z nich zechciała ściągnąć te szorty, ale znam bogaczy, którzy mówią mniej sprytnie i czarujące rzeczy młodym damom — na przykład „Polećmy concorde'em do Paryża w ten weekend” — i efekt jest za każdym razem murowany.

Po kilku chwilach zostawiliśmy młode zbieraczki i ruszyliśmy dalej.

— Nie słuchałem dziś rano wiadomości — powiedział pan Tobin — ale jeden z moich pracowników słyszał w radiu, że Gordonowie wykradli ponoć nową cudowną szczepionkę i mieli zamiar ją sprzedać. Wszystko wskazuje na to, że zostali wystawieni do wiatru i zamordowani. Czy to prawda?

— Chyba tak to właśnie wyglądało.

— Nie grozi nam żadna plaga ani epidemia?

— W żadnym wypadku.

— To dobrze. Zeszłej nocy wiele osób nie mogło zasnąć.

— Nie muszą się już martwić. Gdzie pan był w poniedziałek wieczór?

— Ja? Jadłem obiad z przyjaciółmi. W mojej własnej restauracji, tutaj obok.

— O której godzinie?

— Koło ósmej. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy nic o śmierci Gordonów.

— A gdzie pan był wcześniej? Powiedzmy o piątej, wpół do szóstej.

— W domu.

- Sam?
- Mam gosposię i przyjaciółkę.
- To pięknie. Czy przypomniał sobie, gdzie pan był o wpół do szóstej?
- Oczywiście. W domu. To był pierwszy dzień winobrania — dodał. — Przyjechałem tutaj o świcie. O czwartej po południu byłem skonany i pojechałem do domu się zdrzemnąć. Potem wróciłem tu na obiad. Chcieliśmy uczcić początek zbiorów. Nigdy nie wiadomo, kiedy wypadnie ten dzień, więc uroczystość jest zawsze spontaniczna. Za tydzień albo dwa wydam wielkie przyjęcie w związku z zakończeniem winobrania.
- Co za życie. Kto był na tym obiedzie? — zapytałem.
- Moja dziewczyna, zarządca posiadłości, kilkoro przyjaciół... To brzmi jak przesłuchanie — stwierdził, baczenie mi się przyglądając.
- Powinno brzmieć. I brzmiało. Nie chciałem jednak, żeby pan Tobin spłoszył się i zadzwonił do adwokata albo do Maksa.
- To tylko standardowe pytania — powiedziałem. — Chcemy po prostu ustalić, gdzie wszyscy byli w poniedziałkowy wieczór i co łączyło ich z zamordowanymi. Tego rodzaju rzeczy. Kiedy będziemy mieli podejrzanego, wtedy znajomi albo współpracownicy Gordonów mogą zeznawać jako świadkowie. Rozumie pan? Nigdy nie wiemy, do czego mogą się przydać pewne informacje.
- Rozumiem.
- Znowu zaczęliśmy mówić o winie i pozwoliłem mu trochę ochłonać. Facet był gładki, ale jak wszyscy ostrożny w rozmowie z policjantem.
- Kiedy i gdzie widział pan Gordonów w zeszłym tygodniu? — zapytałem po kilku chwilach.
- Niech pomyślę... Na obiedzie w moim domu. Zaprosiłem kilka osób.
- Co pana urzekło w Gordonach?
- Co pan przez to rozumie?
- Dokładnie to, co powiedziałem.
- Wyjaśniłem chyba, że rzecz miała się odwrotnie, detektywie — odparł.
- W takim razie dlaczego pan ich do siebie zapraszał?
- No cóż... prawdę mówiąc, opowiadali fascynujące rzeczy o Plum Island. Moi goście zawsze to uwielbiali. Gordonowie zarabiali na swój obiad — dodał.
- Naprawdę?

Tom i Judy rzadko opowiadali mi o swojej pracy.

— Poza tym byli wyjątkowo atrakcyjną parą. Czy pan... chodzi mi o to, że kiedy pan ich zobaczył... Judy była naprawdę piękną kobietą.

— Z całą pewnością. Przeleciał ją pan?

— Słucham?

— Czy utrzymywał pan stosunki seksualne z panią Gordon?

— Skądże znowu.

— Próbował ją pan poderwać?

— Oczywiście, że nie.

— A przynajmniej pan o tym myślał?

Przez chwilę zastanawiał się nad tym.

— Czasami — odparł w końcu. — Ale nie uganiam się za cudzymi żonami. Nie muszę.

— Naprawdę?

Domyślałam się, że szampan robi swoje, gdy ma się własną winnicę, chateau, kadzie fermentacyjne i zakład butelkowania. Ciekawe, czy facet, który jest właścicielem mikrobrowaru, bzyka tyle samo panienek co winiarz? Chyba nie. Trzeba to sprawdzić.

— Czy był pan kiedyś w domu Gordonów? — zapytałem.

— Nie. Nie wiem nawet, gdzie mieszkają.

— Więc gdzie pan wysyłał zaproszenia?

— Zajmuje się tym moja asystentka od spraw public relations. Ale teraz, kiedy pan spytał, przypominam sobie, że mieszkają... to znaczy mieszkali w Nassau Point.

— Owszem, proszę pana. Mówili o tym w wiadomościach. Zabito dwoje mieszkańców Nassau Point.

— Tak. Pamiętam również, że mówiono, iż mieszkali nad samą wodą.

— W istocie. Często pływali stamtąd bezpośrednio motorówką na Plum Island. Zapewne o tym wspominali, zabawiając was innymi historyjkami na temat tej wyspy.

— Tak, mówili o tym.

Zauważyłem, że na czole pana Tobina pojawiły się kropelki potu. Musiałem pamiętać, że najbardziej niewinni ludzie pocą się w trakcie przesłuchania, nawet gdy prowadzone jest ono w zmodyfikowany i cywilizowany sposób. Kiedyś, dawno temu, mówiło się o „wypacaniu” informacji z delikwenta: światło w oczy, wielogodzinne sesje, środki specjalne — cokolwiek to miało znaczyć. Dzisiaj jesteśmy czasami bardzo grzeczni, ale bez względu na to, jak grzecznie traktujemy ludzi, niektórzy, zarówno winni, jak i niewinni, nie lubią po prostu być przesłuchiwani.

Zrobiło się trochę ciepłej. Zdjąłem blezer i zarzuciłem go na ramię. Mój smith & wesson tkwił w kaburze przy kostce, w związku z czym pan T. nie miał powodów do obaw.

Pszczoly odnalazły mnie w końcu.

— Czy one żądają? — zapytałem.

— Jeśli pan je zdenerwuje, tak.

— Ja ich wcale nie denerwuję. Lubię pszczoły.

— Właściwie to osy. Musi pan używać wody kolońskiej, którą lubią.

— Używam lagerfelda.

— To jedna z ich najbardziej ulubionych marek. Niech pan je ignoruje.

— Dobrze. Czy Gordonowie byli zaproszeni na to poniedziałkowe przyjęcie?

— Nie. Nie zapraszałbym ich raczej na takie kameralne spotkanie. W tym obiedzie uczestniczyli tylko bliscy przyjaciele i osoby związane z branżą.

— Rozumiem.

— Dlaczego pan o to pyta?

— Uderzyła mnie po prostu ironia losu. Gdyby pan ich zaprosił, może wróciliby do domu wcześniej, przebrali się i spóźnili na spotkanie ze śmiercią...

— Nikt nie spóźnia się na spotkanie ze śmiercią — odparł.

— No tak... chyba ma pan rację.

Mijaliśmy teraz winorośle z fioletowymi owocami.

— Dlaczego z fioletowych gron powstaje czerwone wino? — zapytałem pana Tobina.

— Dlaczego...? No cóż... myślę, że poprawniej byłoby chyba nazywać je fioletowym.

— Ja bym tak je nazwał.

— Ten gatunek to pinot noir. Noir znaczy czarny.

— Uczyłem się francuskiego. Te grona są fioletowe, nazywają się czarne, a wino jest czerwone. Widzi pan teraz, dlaczego ludzie nie mogą się w tym połapać?

— To naprawdę nie jest takie skomplikowane.

— Obawiam się, że jest. Z piwem jest łatwiej. Mamy lagera i pilznera. Prawda? Poza tym ale i porter. Choć możemy o nich zapomnieć, podobnie jak o ciemnym i o bocku. W zasadzie mamy lagera i pilznera, piwo lekkie i piwo pełne. Wchodzi się do baru i widzi, co podają, bo na każdym kranie jest nazwa. Można zapytać: „Jakie macie butelkowe?”. Kiedy już panu pokażą, mówi pan: „Budweysera”. Koniec pieśni.

Pan Tobin uśmiechnął się.

— Bardzo zabawne. W gruncie rzeczy lubię dobre zimne piwo w upalny dzień. Ale niech pan o tym nikomu nie mówi — dodał, pochylając się do mnie konspiracyjnie.

— Będę milczał jak grób. To pole nigdy się nie skończy. Ile ma pan tu akrów?

— Dwieście. I kolejne dwieście rozrzucone po całej okolicy.

— To kawał ziemi. Dzierżawi ją pan?

— Częściowo.

— Dzierżawi pan grunty Margaret Wiley?

Nic odpowiedział od razu i gdyby siedział naprzeciwko mnie przy stole, zobaczyłbym wyraz jego twarzy w momencie, gdy powiedziałem „Margaret Wiley”. Ale już samo zawahanie było interesujące.

— Chyba tak — stwierdził w końcu. — Tak, dzierżawimy. Około pięćdziesięciu akrów. Dlaczego pan pyta?

— Wiem, że oddała ziemię w dzierżawę winiarzom. Pani Wiley przyjaźniła się z moim wujostwem. To mały półwysep. Więc jest pan największym gronem na tym widelcu? — zapytałem, zmieniając temat.

— Tobin jest największą winnicą na North Fork, jeśli to pan miał na myśli.

— Jak pan to osiągnął?

— Dzięki ciężkiej pracy, wiedzy na temat winorośli, uporowi i wysokiej jakości mojego produktu. No i odrobinie szczęścia — dodał. — Najbardziej boimy się huraganów. Od końca sierpnia do połowy października. Któregoś roku zaczęliśmy zbiory bardzo późno. Gdzieś w połowie października. Od Karaibów szło co najmniej sześć huraganów. Ale każdy z nich skrzył w ostatniej chwili w innym kierunku. Czuwa nad nami Bachus. To bóg wina — dodał.

— I cholernie dobry kompozytor — stwierdziłem.

— Mówi pan o Bachu.

— Zgadza się.

— Swoją drogą, organizujemy tutaj czasem koncerty i wystawiamy opery. Jeśli pan chce, mogę pana wciągnąć na listę zapraszanych.

Zmierzaliśmy z powrotem w stronę wielkiego drewnianego zamku.

— To byłoby fantastyczne — powiedziałem. — Wino, opera, miłe towarzystwo. Przyślę panu moją wizytówkę. Właśnie mi się

skończyły. Nie widzę pańskiego domu — dodałem, rozglądając się dookoła.

— Właściwie tu nie mieszkam. Mam apartament na szczycie wieży, ale mój dom jest na południe stąd.

— Nad wodą?

— Tak.

— Pływa pan łódką?

— Trochę.

— Motorówką czy żaglówką?

— Motorówką.

— Czy Gordonowie odwiedzali pana w domu?

— Owszem. Kilka razy.

— Przyplýwali pewnie swoją łodzią.

— Raz czy dwa.

— A czy pan zawiął do nich kiedyś swoją łodzią?

— Nie.

Miałem ochotę zapytać go, czy ma białą formułę 303, ale czasami nie powinno się pytać o rzeczy, o których wiedzę można zebrać w inny sposób. Pewne pytania płoszą ludzi, każą im mieć się na baczności. A chociaż Fredric Tobin nie był podejrzany o morderstwo, miałem wrażenie, że coś ukrywa.

Po chwili weszliśmy do winiarni tymi samymi drzwiami, którymi wyszliśmy.

— Gdybym mógł w czymś pomóc, proszę dać mi znać — powiedział.

— W porządku... wie pan co? Mam dzisiaj randkę i chciałbym kupić butelkę wina.

— Niech pan spróbuje naszego merlota. Rocznik dziewięćdziesiąty piąty jest niezrównany. Ale trochę drogi.

— Może mi pan pomóc? Chciałbym się jeszcze dowiedzieć kilku rzeczy.

Przez chwilę się wahał, a potem zaprowadził mnie przez sklep z pamiątkami do przestronnej sali, w której degustowano wino. Było to bardzo eleganckie pomieszczenie z długim na trzydzieści stóp barem, sześcioma łozami, stojącymi wszędzie skrzynkami i półkami z winem, witrażowymi oknami, kamienną posadzką i tak dalej. Kilkunastu entuzjastów snuło się po sali, wygłaszając głupie komentarze, popijając za darmo i gawędząc z młodymi ludźmi, którzy nalewali im do kieliszków i próbowali się uśmiechać.

Pan Tobin przywitał się z jedną z hostess, dwudziestokilkuletnią atrakcyjną dziewczyną o imieniu Sara. Domyśliłem się, że Fredric

sam zajmował się doborem personelu, polegając w tym względzie na własnym guście.

— Saro, nalej panu...

— Mam na imię John.

— Nalej Johnowi merlota rocznik dziewięćdziesiąty piąty. Sara naląła mi pewną ręką do małego kieliszka. Zakołysaiem winem, żeby pokazać, że znam się na rzeczy,

a potem powąchałem.

— Miły bukiet — powiedziałem i podniosłem kieliszek do światła. — Ładny kolor — stwierdziłem. — Fioletowy.

— Ma śliskie palce.

— Gdzie?

— Chodzi o sposób, w jaki przywiera do szkła.

— Oczywiście. — Wypiłem trochę. Było całkiem dobre. Na pewno pasowało do steku. — Owocowe i przyjazne — powiedziałem.

Pan Tobin pokiwał z entuzjazmem głową.

— Tak — zgodził się. — I odważne.

— Bardzo odważne. — „Odważne”? — Trochę cięższe i pełniejsze od merlota z Napa Valley — dodałem.

— Właściwie jest odrobinę lżejsze.

— To miałem na myśli. — Powinienem się przymknąć, kiedy dobrze mi szło. — Dobre — mruknąłem i odstawiłem kieliszek.

— Nalej cabemeta rocznik dziewięćdziesiąty piąty — powiedział Tobin, zwracając się do Sary.

— Nie trzeba.

— Chcę, żeby pan wyczuł różnicę.

Sara naląła i wypiłem trochę.

— Dobre — oświadczyłem. — Mniej odważne.

Gawędziliśmy jeszcze chwilę i pan Tobin uparł się, bym spróbował białego.

— To moja mieszanka chardonnay i kilku innych gatunków, których nazw nie zamierzam wyjawiać. Ma piękny kolor i nazywamy ją Złotą Jesienią.

Skosztowałem wina.

— Przyjazne, ale niezbyt odważne.

Pan Tobin nie odpowiedział.

— Myślał pan, żeby nazwać jedną z odmian Gronami Gniewu? — zapytałem.

— Przekażę ten pomysł specjalistom od marketingu.

— Ładne etykiety — pochwaliłem go.

— Wszystkie moje czerwone wina mają etykiety z jakimś obrazem Pollocka, a białe de Kooninga — poinformował mnie.

— Naprawdę?

— Wie pan: Jacksona Pollocka i Willema de Kooninga. Obaj mieszkali na Long Island i namalowali tutaj swoje najlepsze dzieła.

— A, chodzi panu o tych malarzy. Racja, Pollock to ten, co rozchlapuje farbę.

Pan Tobin nie odpowiedział, ale zerknął na zegarek, najwyraźniej znudzony moim towarzystwem. Rozejrzałem się i dostrzegłem pustą łóżę, oddaloną nieco od obsługi i klientów.

— Usiądźmy tam na minutkę — zaproponowałem.

Tobin mszył niechętnie w ślad za mną i usiadł naprzeciwko.

— Jeszcze tylko kilka rutynowych pytań — wyjaśniłem, popijając cabernet. — Od jak dawna zna pan Gordonów?

— Mniej więcej od półtora roku.

— Czy rozmawiali z panem kiedyś na temat swojej pracy?

— Nie.

— Twierdził pan, że lubili opowiadać o Plum Island.

— Owszem. Ale bardzo ogólnie. Nigdy nie zdradzali żadnych rządowych sekretów — stwierdził z uśmiechem.

— To dobrze. Wiedział pan, że są archeologami amatorami?

— Tak... wiedziałem.

— Wiedział pan, że należą do Towarzystwa Historycznego Peconic?

— Tak. Tam się poznaliśmy.

— Najwyraźniej wszyscy tu należą do Towarzystwa Historycznego Peconic.

— Mamy pięciuset członków. To jeszcze nie wszyscy.

— Ale wszyscy, z którymi rozmawiam, należą. Czy to nie jest przykrywka jakiejś innej działalności? Organizujecie może sabaty czarownic?

— Z tego, co wiem, nie. Ale to byłoby całkiem zabawne.

Obaj uśmiechnęli się. Wyglądał, jakby się nad czymś namyślał. Potrafię zgadnąć, kiedy ktoś się namyśla, i nigdy nie przeszkadzam.

— Tak się składa, że Towarzystwo wydaje przyjęcie w sobotni wieczór — oznajmił w końcu. — U mnie w ogrodzie. Ostatnie przyjęcie na świeżym powietrzu w tym sezonie, jeśli dopisze pogoda. Może pan wpadnie? Razem z osobą towarzyszącą.

Teraz, po śmierci Gordonów, miał pewnie dwa wolne miejsca.



— Dziękuję, postaram się przyjść — odparłem. Wiedziałem, że na pewno mnie tam nie zabraknie.

— Zaprosiłem również komendanta Maxwella. Zna wszystkie szczegóły.

— Wspaniale. Mam coś przynieść? Może wino?

Uśmiechnął się grzecznie.

— Wystarczy, jeśli przyniesie pan siebie.

— I osobę towarzyszącą — przypomniałem mu.

— Tak. I osobę towarzyszącą.

— Czy słyszał pan kiedyś... jakieś plotki o Gordonach? — zapytałem.

— Jakie plotki?

— Na przykład o ich życiu seksualnym.

— Ani słowa.

— O problemach finansowych?

— Nie interesują mnie takie rzeczy.

I tak to trwało przez kolejne dziesięć minut. Czasami udaje się złapać kogoś na kłamstwie, czasami nie. Każde kłamstwo, bez względu na to jak drobne, jest ważne. W gruncie rzeczy nie złapałem pana Tobina na żadnym, ale byłem na sto procent pewien, że znał Gordonów lepiej, niż starał się dać do zrozumienia. Samo w sobie nie miało to jednak większego znaczenia.

— Potrafi pan wymienić jakichś ich przyjaciół? — zapytałem.

Przez chwilę się zastanawiał.

— Na przykład pański kolega, pan Maxwell — powiedział w końcu, po czym wymienił kilka innych nazwisk, których nie znałem. — Naprawdę nie znałem dobrze ich znajomych ani kolegów z pracy — dodał. — Mówiłem już... no, nie będę owijał w bawełnę. Czasami wpraszali się tam, gdzie ich nie chciano. Ale byli atrakcyjni, elokwentni i mieli interesującą pracę. Oboje byli doktorami. Można powiedzieć, że wszyscy czerpaliśmy korzyści z tej znajomości... Lubię się otaczać interesującymi i pięknymi ludźmi. Może to trochę płytkie, ale zdziwiłby się pan, jak płytkcy mogą się okazać interesujący i piękni ludzie. Przykro mi z powodu tego, co się stało, ale nie jestem w stanie panu więcej pomóc.

— I tak bardzo mi pan pomógł, panie Tobin. Jestem naprawdę wdzięczny, że poświęcił mi pan swój czas i nie upierał się, żeby w rozmowie uczestniczył adwokat.

Tobin nie odpowiedział.

Wyszedłem z łoży, a on w ślad za mną.

— Odprowadzi mnie pan do samochodu? — zapytałem.

— Jeśli ma pan ochotę.

Zatrzymałem się przy kontuarze, na którym leżało mnóstwo literatury na temat wina, w tym również broszurki o winnicach Tobina. Wziąłem kilka z nich i wrzuciłem do mojej torby.

— Mam fioła na punkcie broszur — wyjaśniłem. — Zabrałem wszystkie możliwe broszury z Plum Island: na temat zarazy bydłowej, promienicy szczęki... swoją drogą wiele się uczę przy tej sprawie.

Tobin ponownie nic nie powiedział.

Poprosiłem, żeby znalazł mi merlota rocznik 95, co zrobił.

— Jackson Pollock — powiedziałem a propos etykiety. — Nigdy bym nie zgadł. Teraz będę miał o czym porozmawiać z moją dziewczyną.

Zaniosłem wino do kasy i jeśli żywiłem nadzieję, że pan Tobin zrobi mi prezent na koszt firmy, grubo się myliłem. Zapłaciłem pełną cenę plus podatek.

— Tak się składa, że podobnie jak pan byłem znajomym Gordoów — oświadczyłem, kiedy wyszliśmy na słońce.

Tobin stanął w miejscu i ja też się zatrzymałem. Popatrzył na mnie.

— John Corey — powiedziałem.

— Ach tak... nie usłyszałem dobrze pańskiego nazwiska.

— Corey. John.

— Tak... przypominam sobie teraz. To pan jest tym policjantem, który został ranny.

— Zgadza się. Czuję się już o wiele lepiej.

— Nie pracuje pan w nowojorskiej policji?

— Tak, proszę pana. Szeryf Maxwell zatrudnił mnie, żebym mu pomógł.

— Rozumiem.

— Więc Gordonowie wspominali panu o mnie.

— Owszem.

— Mówili o mnie miłe rzeczy?

— Z całą pewnością, ale nie pamiętam dokładnie.

— Właściwie już się raz spotkaliśmy. Urządzał pan wielką degustację wina tu, w swojej wielkiej sali.

— No tak.

— Był pan ubrany w fioletowy garnitur i krawat w winorośle i grona.

Przyjrzał mi się uważnie.

— Tak, chyba się spotkaliśmy.

— Nie ma co do tego wątpliwości. — Rozejrzałem się po

wysypanym żwirem parkingu. — Teraz wszyscy mają napęd na cztery koła. Mój stoi tam. Mówi po francusku — wyjaśniłem, po czym uruchomiłem go za pomocą pilota. — To białe porsche należy do pana?

— Owszem. Skąd pan wiedział?

— Tak sobie pomyślałem. Wygląda pan po prostu na faceta, który jeździ białym porsche. — Podałem mu rękę, którą uściśnął. — Może wpadnę na to przyjęcie.

— Mam nadzieję, że złapie pan tego, kto to zrobił — powiedział.

— Na pewno go złapię. Zawsze ich łapię. Ciao. Bonjour.

— Bonjour to dzień dobry.

— Zgadza się. Au revoir.

Rozstaliśmy się i nasze buty zachręściły po żwirze. Pszczoły towarzyszyły mi aż do jeepa, ale wskoczyłem szybko do środka, zatrzaskałem drzwi i odjechałem.

Jadąc rozmyślałem o panu Fredricu Tobinie, obywatelu ziemskim, bon vivancie, koneserze pięknych rzeczy, miejscowym potentacie oraz znajomym zamordowanych.

Policyjne doświadczenie podpowiadało mi, że jest czysty jak łąza i nie powinienem zaprzętać sobie nim głowy. Pan T. nie pasował do żadnej z teorii, które wymyśliłem, żeby wyjaśnić, dlaczego Gordonowie zostali zamordowani i kto to mógł zrobić. Mimo to instynkt mówił mi, żeby nie spuszczać oka z tego dżentelmena.

## Rozdział 17

Jadąc na zachód Main Road, studiowałem instrukcję użytkowania pojazdu. Nacisnąłem kilka klawiszy na tablicy rozdzielczej i voila, wszystkie odczyty zmieniły się z metrycznych na stuprocentowo amerykańskie. To chyba największa frajda, jaką może mieć kierowca samochodu.

Czując się technologicznie wzbogacony, zadzwoniłem z telefonu komórkowego do mojej automatycznej sekretarki.

— Mówię ci, gdyby nasi przodkowie widzieli, jak mijamy w naszych bolidach ich stare farmy i wioski...

— Masz trzy wiadomości — oznajmiła sekretarka.

Jedna musiała być od Beth. Nadstawiłem uszu, ale pierwsza była od Maksa, który powtórnie informował mnie, że nie zajmuję się już tą sprawą, i prosił, żebym do niego zatelefonował, czego nie miałem zamiaru robić. Druga wiadomość była od Dorna Fanellego:

„Cześć, J.C. Mary przekazała mi, że dzwoniłeś. Gdyby była ci potrzebna pomoc, daj znać. Tymczasem staram się namierzyć dżentelmenów, którzy ćwiczyli na tobie celność swoich pukawek, i nie chcę się od tego odrywać, jeśli mnie naprawdę nie potrzebujesz. Dlaczego tyle osób chce ukatrupić mojego poczciwego kumpla? Rozmawiałem z Wolfe'em i facet nie wierzy, że w telewizji pokazali kogoś innego. Chce, żebyś odpowiedział na kilka pytań. Ma podobno informacje, że to byłeś ty. Posłuchaj mojej rady i puszczaj wszystkie rozmowy na sekretarkę. To tyle na razie. Spróbuj nie napytać sobie biedy”.

— Dzięki.

Ostatnia wiadomość była nie od Beth, lecz od mojego zwierzchnika, detektywa porucznika Andrew Wolfe'a we własnej osobie.

„Chciałbym, żebyś zadzwonił do mnie tak szybko, jak to możliwe” — powiedział tylko. Zabrzmiało to złowrogo.

Zastanawiałem się, czy Nash i Wolfe naprawdę się znali. Tak czy owak, nie ulegało wątpliwości, że to Nash poinformował Wolfe'a, iż John Corey rzeczywiście wystąpił w telewizji i że John Corey prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa, podczas gdy powinien się kurować. Wszystkie te informacje były prawdziwe i Andrew Wolfe na pewno chciał, żebym mu to wyjaśnił. Mogłem oczywiście wyjaśnić, jak wplątano mnie w tę sprawę, o wiele trudniej byłoby mi jednak wytłumaczyć detektywowi porucznikowi, dlaczego uważam go za dupka.

Biorąc to wszystko pod uwagę, lepiej było do niego nie telefonować. Może powinienem porozmawiać z moim adwokatem. Żaden dobry uczynek nie pozostanie bez kary. Próbowałem po prostu spełnić swój obywatelski obowiązek, a facet, który mnie w to wszystko wciągnął, mój stary kumpel Max, wysłał mnie intelektualnie, wpędził w żalospny konflikt z federalnymi, a potem zabrał odznakę. Właściwie nawet mi jej nie dał. A Beth nie zadzwoniła.

Powtarzałem sobie bez przerwy, że jestem bohaterem, choć nie wiem, czy sam fakt, że ktoś został postrzelony, może świadczyć o jego bohaterstwie. Kiedy byłem mały, bohaterami byli tylko ci, którzy zastrzelili jakichś drani. Dzisiaj każdy, kto zachoruje, zostanie wzięty za zakładnika albo oberwie zabląkaną kulą, robi za bohatera. Mimo to nie wahałbym się ani chwili, by wykorzystać status bohatera w celu ratowania swojej skóry. Problem polegał na tym, że żywot wykreowanych przez media bohaterów nie trwa na ogół dłużej niż dziewięćdziesiąt dni. Postrzelono mnie w połowie kwietnia. Może powinienem jednak zatelefonować do adwokata.

Zbliżałem się teraz do centrum Cutchogue, które można łatwo przeoczyć, jeśli nie zwraca się uwagi. Cutchogue, miła i zadbana stara osada, prosperuje, jak większość w tej okolicy, głównie dzięki winnicom. Nad Main Street zawieszono były długie transparenty reklamujące najprzeróżniejsze imprezy, jak choćby doroczny festiwal morski East End Seaport oraz koncert w latarni morskiej w Horton, gdzie mieli wystąpić Izotopowi Tupacze. Nie pytajcie, kto to taki.

Lato oficjalnie się skończyło, lecz sezon jesienny obfitował w propozycje dla stałych mieszkańców i mniejszej liczby turystów. Zawsze podejrzewałem, że co rok w listopadzie odbywa się tu wielkie przyjęcie, przeznaczone tylko dla tubylców, którzy świętują odwrót turystycznej stonki.

Jechałem bardzo powoli, szukając siedziby Towarzystwa Historycznego Peconic, mieszczącego się, jak pamiętałem, gdzieś w pobliżu Main Road. Po lewej stronie drogi ciągnęły się łąnia Cutchogue Village, szcycące się tym, że stoi tutaj najstarszy budynek w stanie Nowy Jork, wzniesiony, według tablicy informacyjnej, w roku 1649. Wyglądało to obiecująco i skręciłem w wąską dróżkę, która przecinała łąnia. Stały tu liczne, stare drewniane i kryte gontem domy, zabrakło jednak na szczęście pręgierzy, dybów, krzeseł do pławienia czarownic oraz innych akcesoriów wczesno-amerykańskiego sadomasochizmu.

W końcu zobaczyłem duży biały szalowany budynek, prawdziwy dworek z wysokimi białymi kolumnami. Na stojącej na trawniku drewnianej tablicy w stylu chippendale widniał napis „Towarzystwo Historyczne Peconic”. Niżej umieszczono informację „Muzeum”, a jeszcze niżej Gift Shoppe. Przez dwa „p” i z „e” na końcu. Wygrałem kiedyś w scrabble tym słowem.

Na dwóch krótkich łańcuszkach wisiała kolejna tablica informująca, w jakich godzinach i dniach czynne są muzeum i sklep z pamiątkami. Po Święcie Pracy otwarte były tylko w weekendy i święta.

Na tablicy znajdował się również numer telefonu, pod który niezwłocznie zadzwoniłem. W słuchawce odezwał się kobiecy głos, brzmiący, jakby nagrano go w roku 1640, informujący o godzinach otwarcia, organizowanych przez towarzystwo imprezach i tym podobnych rzeczach.

Nie będąc człowiekiem, który przejmuje się cudzym rozkładem zajęć, wysiadłem, wspiąłem się po schodach do drzwi i zastukałem starą mosiężną kołatką. Waliłem nią całkiem zdrowo, ale najwyraźniej nikogo nie było w środku. Na parkingu z boku domu nie stał żaden samochód.

Wróciłem do jeepa i zadzwoniłem do mojej nowej przyjaciółki, Margaret Wiley.

— Dzień dobry, pani Wiley. Mówi detektyw Corey — powiedziałem, kiedy odebrała telefon.

— Tak?

— Wspomniała pani wczoraj, że powinienem obejrzeć muzeum Towarzystwa Historycznego Peconic i przez cały dzień o tym myślałem. Czy sądzi pani, że mógłbym je dzisiaj odwiedzić albo porozmawiać z kimś z zarządu? Jak nazywa się prezes? Wither-spoon?

— Whitestone. Emma Whitestone.

— Właśnie. Czy byłoby to dzisiaj możliwe?

— Nie wiem...

— Może zatelefonowałbym do pani Emmy Whitestone...

— Ja do niej zadzwonię. Może zgodzi się z panem spotkać przed muzeum.

— Świetnie. Naprawdę bardzo pani dziękuję.

— Jak mam się z panem skontaktować?

— Wie pani co? Zadzwonię za dziesięć albo piętnaście minut. Jestem teraz w samochodzie i muszę się zatrzymać i kupić jakiś prezent mojej matce. Dziś są jej urodziny. Założę się, że przy muzeum jest również sklep z prezentami.

— Owszem, jest.

— To wspaniale. Rozmawiałem z wujkiem Harrym i pozdrowiłem go od pani.

— Dziękuję.

— Kazał przekazać pani wyrazy szacunku i powiedział, że przedzwoni, kiedy tylko tu zajrzy. — Nie wspomniałem o trapiącej wujka impotencji.

— To miło z jego strony.

— Doskonale. Będę naprawdę wdzięczny, jeśli pani Whitestone albo ktoś inny z zarządu spotka się ze mną przed południem.

— Zrobię, co będę mogła. Może sama przyjadę.

— Proszę się nie fatygować. I dziękuję za wczorajszą pomoc.

— Nie ma o czym mówić. Właściwie miała rację.

— Zadzwonię za piętnaście minut.

— Czy jest z panem dzisiaj pańska przyjaciółka?

— Moja partnerka?

— Tak, ta młoda dama.

— Wkrótce do mnie dołączy.

— To urocza kobieta. Miło mi się z nią rozmawiało.

— Mamy zamiar się pobrać.

— To fatalnie — stwierdziła i odłożyła słuchawkę.

No tak. Wrzuciłem bieg i ponownie odezwał się kobiecy głos prosząc, bym spuścił ręczny hamulec, co uczyniłem. Przez chwilę majstrowałem przy komputerze pokładowym, próbując zlikwidować tę opcję i bojąc się trochę, że głos powie: „Dlaczego chcesz mnie zabić? Czyżbyś mnie nie lubił? Próbuję ci tylko pomóc”.

A co będzie, jeśli drzewi zablokują się, a pedał gazu pójdzie do dechy? Wrzuciłem instrukcję użytkownika pojazdu do schowka, po

czym skręciłem w ulicę o uroczej nazwie Skunk Lane, a potem w drogę prowadzącą do Nassau Point.

Przejeżdżając obok domu Gordonów, zauważyłem stojącego przed nim białego jeepa Maksa. Wjechałem na podjazd Murphych tak, żeby nie widać mnie było z sąsiedniego domu.

Podszedłem do tylnych drzwi domu Murphych i zobaczyłem, że siedzą w pokoju telewizyjnym, zwanym również pokojem słonecznym, w dobudowanym do budynku aneksie. Telewizor grał i zastukałem do drzwi.

Edgar Murphy wstał, zobaczył mnie i otworzył drzwi.

— To znowu pan?

— Owszem. Zajmę państwu tylko minutkę.

Zaprosił mnie gestem do środka. Pani Murphy przywitała mnie bez większego entuzjazmu. Nie wyłączyli telewizora. Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że jestem w domu rodziców na Florydzie: ten sam pokój, ten sam program telewizyjny, ci sami ludzie.

— Proszę opisać sportowy samochód, który widzieliście państwo w czerwcu przed domem sąsiadów — poprosiłem.

Oboje starali się, jak mogli, ale ich możliwości opisowe były ograniczone. Wyjąłem w końcu z kieszeni długopis i poprosiłem, żeby narysowali kształt samochodu na gazecie, lecz stwierdzili, że nie potrafią. Naszkicowałem im kontur porsche. Nic powinno się w ten sposób naprowadzać świadków, ale trudno. Oboje pokiwali głowami.

— Tak, to ten — oznajmił pan Murphy. — Wielki pękaty samochód. Jak odwrócona wanna.

Pani Murphy zgodziła się z nim.

Wyjąłem z kieszeni broszurę Winnic Tobina i złożyłem ją tak, żeby widać było tylko małą czarno-białą fotkę ich właściciela. Nie pokazałem im całej broszury, bo opowiadaliby na lewo i prawo, że policja podejrzewa Fredrica Tobina o zamordowanie Gordonów.

Murphy przyjrzeni się z uwagą zdjęciu. Pokazując tylko jedną fotografię, bez wymieszania jej z innymi, również naprowadzałem świadków, nie miałem jednak czasu ani cierpliwości, żeby trzymać się procedury. Nie zapytałem za to, czy tego mężczyznę widzieli w sportowym samochodzie.

— To ten mężczyzna, którego widziałam w sportowym samochodzie — stwierdziła pani Murphy.

Pan Murphy był tego samego zdania.

— Czy jest podejrzany? — zapytał.



— Nie, proszę pana. W porządku, przepraszam, że znowu państwa niepokoiłem. Czy ktoś próbował państwa wypytywać w związku z tą sprawą?

— Nie.

— Pamiętajcie, żeby nie rozmawiać z nikim poza komendantem Maxwellem, detektyw Penrose i mną.

— Gdzie ona jest? — zainteresował się pan Murphy.

— Detektyw Penrose? W domu. Poranne nudności.

— Jest w ciąży? — chciała wiedzieć Agnes.

— W pierwszym miesiącu — odparłem. — W porządku...

— Nie zauważyłam obrączki — stwierdziła.

— Wie pani, jakie są te dzisiejsze dziewczęta — powiedziałem, kiwając ze smutkiem głową. — Okej, jeszcze raz dziękuję.

Wyszedłem szybko, wsiałem do jeepa i odjechałem.

Najwyraźniej pan Fredric Tobin co najmniej raz był w domu Gordonów. Mimo to zupełnie zapomniał o swojej czerwcowej wizycie. Choć może to nic był on. Może odwiedził ich jakiś inny brodacze w białym porsche.

Może powinienem się dowiedzieć, dlaczego pan Tobin mnie okłamał.

Sprawdziłem ponownie swoją automatyczną sekretarkę i okazało się, że mam dwie nowe wiadomości. Pierwsza była od Maksa:

„John, mówi szeryf Maxwell — oznajmił. — Być może nie wyraziłem się jasno w kwestii twojego statusu. Nie pracujesz już dłużej dla gminy. Okej? Zadzwoń do mnie adwokata Fredrica Tobina i był w nie najlepszym humorze. Rozumiesz? Nie wiem dokładnie, o czym dyskutowałeś z panem Tobinem, ale to powinna być ostatnia oficjalna rozmowa, jaką z nim odbyłeś. Przedzwoń do mnie”.

Ciekawe. Staram się tylko pomóc i w nagrodę dostaję kopniaka w tyłek od miejscowego szefa policji.

Następny telefon był od mojej byleją, która nazywa się Robin Paine, co świetnie do niej pasuje, i która przypadkowo jest również adwokatem.

„Cześć, John, tu Robin. Chciałam ci przypomnieć, że nasz roczny okres separacji kończy się pierwszego października i po tym dniu jesteśmy oficjalnie rozwiedzeni. Dostaniesz kopię postanowienia pocztą. Nie musisz nic podpisywać ani robić. To się dzieje automatycznie. Po pierwszym październiku nie będziesz mógł cudzołożyć, chyba że się powtórnie ożenisz — dodała lżejszym tonem. — Ale nie żęń się, dopóki nie dostaniesz postanowienia, bo popełnisz

bigamię. Widziałam cię w telewizji. Sprawa wygląda na fascynującą. Trzymaj się".

Dobrze. Robin była kiedyś asystentką w biurze prokuratora okręgowego i tam się poznaliśmy. Walczyliśmy po tej samej stronie barykady. A potem ona zmieniła front, przyjmując dobrze płatną posadę u renomowanego obrońcy, któremu spodobał się jej styl w sądzie. Być może spodobało mu się coś więcej niż styl, niemniej w naszym małżeństwie doszło do konfliktu interesów. Mówiąc w skrócie, ja próbuję wsadzić złoczyńców do mamra, a ona robi wszystko, żeby pozostali w branży. Miarka się przebrała, gdy Robin wzięła sprawę narkotykowego bossa, który, niezależnie od problemów z amerykańskim wymiarem sprawiedliwości, poszukiwany był w Kolumbii za skasowanie sędziego. Rozumiem, że ktoś musi to robić — i kosi się niesamowity szmal — ale poczułem, że zagrożone jest moje małżeństwo. „Albo ja, albo twoja praca", powiedziałem, na co odparła: „Może to ty powinieneś zmienić pracę" i wcale nie żartowała — jej firma potrzebowała właśnie prywatnego detektywa i Robin chciała, żebym się u niej zatrudnił. Wyobraziłem sobie, jak prowadzę śledztwo dla niej i jej szefa-idioty. W przerwach między sprawami robiąc im kawę. W porządku. Proszę o rozwód.

Niezależnie od tych drobnych konfliktów na tle zawodowym kiedyś naprawdę się kochaliśmy. A teraz pierwszego października oficjalnie stanie się moją byłą, a ja stracę okazję, żeby popełnić cudzołóstwo albo bigamię. Życie bywa okrutne.

Przejechałem przez groblę i skręciłem w Main Road, kierując się z powrotem do Cutchogue, po czym zadzwoniłem do Margaret Wiley.

— Złapałam Emmę w jej kwaciarni — poinformowała mnie. — Jest w drodze do siedziby Towarzystwa.

— To bardzo miło, że zechce poświęcić mi trochę czasu.

— Powiedziałam jej, że to dotyczy morderstwa Gordonów.

— Nie jestem pewien, czy tak jest w istocie, pani Wiley. Ciekawi mnie po prostu...

— Sam pan jej to powie. Emma czeka na pana.

— Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę chyba jeszcze przede mną. Podjechałem ponownie pod siedzibę Towarzystwa i zatrzymałem się na małym parkingu obok furgonetki, na której widniał napis „Kwiaciarnia Whitestone".

Podszedłem do frontowych drzwi i zobaczyłem przylepioną obok kołatki żółtą kartkę z wiadomością: „Proszę wejść, panie Corey".

Dom, jak już wspomniałem, był duży, mniej więcej z połowy ubiegłego stulecia; typowa rezydencja bogatego kupca albo kapitana statku. Na lewo od obszernej sieni znajdował się duży salon, na prawo jadalnia. Umeblowanie składało się z samych antyków, szkaradnych, jeśli chcecie znać moją opinię, lecz z pewnością wartych parę groszy. Nie widząc ani nie słysząc nikogo, przechodziłem z pokoju do pokoju. Nie było to właściwie typowe muzeum z eksponatami, lecz dobrze zachowany dom z epoki. Nie zobaczyłem tu żadnych złowrogich akcentów, żadnych obrazów płonących kościołów, żadnych czarnych świec, żadnych koronek z pentagramami i czarnymi kotami. W kuchni nie pyrkotał kocioł czarownicy.

Nie bardzo wiedziałem, czego tutaj szukam. Coś mnie po prostu przyciągnęło. Z drugiej strony miałem już dosyć przypadków z podręcznika geriatry i myśl o rozmowie z kolejną siedemdziesięciolatką napawała mnie zgrozą. Przed spotkaniem z panią Whitestone powinienem otworzyć wino Tobina i wypić duszkiem całą butelkę.

Po kilku chwilach znalazłem sklep z prezentami — Gift Shoppe — w którym kiedyś chyba była letnia kuchnia, i wszedłem do środka. Światła były zgaszone, ale przez okna wpadało trochę słońca.

Można tu było kupić miejscowe wydawnictwa, miejscowe rękodzieło, indiańskie narzędzia, koronki, suszone zioła, prasowane kwiaty, herbatki ziołowe, kwiatowe zapachy, świece (ale nie czarne), akwarele, malowaną ceramikę, paczuszki z nasionami i tak dalej. Co ludzie robią z tym całym chłamek?

Wziąłem do ręki starą zniszczoną listwę, na której ktoś wymalował stary żaglowiec. Przyglądając się malowidłu poczułem, że ktoś mnie obserwuje.

Odwróciłem się w stronę wejścia i zobaczyłem ładną kobietę koło trzydziestki, która stała tam, mierząc mnie wzrokiem.

— Szukam Emmy Whitestone — powiedziałem.

— Pan musi być John Corey.

— Muszę być. Wie pani, gdzie mogę ją znaleźć?

— To ja jestem Emma Whitestone.

Słońce wyrzało zza chmur.

— Aha... — wyjąkałem. — Spodziewałem się kogoś starszego.

— Ja spodziewałam się kogoś młodszego.

— O...

— Margaret powiedziała, że jest pan młodym człowiekiem. Ale pan jest raczej w średnim wieku.

— Hmm...

Podeszła bliżej i podała mi rękę.

— Jestem prezesem Towarzystwa Historycznego Peconic. W czym mogę panu pomóc?

— Cóż... właściwie nie wiem.

— Ja też nie.

W porządku, oto dokładny rysopis: była wysoka — tylko o kal niższa ode mnie — szczupła i zgrabna, z długimi do ramion brązowymi włosami, które umyła, ale nie wyprasowała. Lekko umalowana, bez lakieru na paznokciach, biżuterii, kolczyków, obrączki i zaręczynowego pierścionka. W ogóle nie miała na sobie dużo rzeczy. Pod letnią beżową sukienką z cienkimi ramiączkami nie widziałem wiele, jeśli chodzi o bieliznę. Na pewno nie miała biustonosza, dostrzegłem jednak zarys skąpych majteczek. Poza tym była boso. Przez chwilę wyobrażałem sobie panią Whitestone ubierającą się tego ranka: włożyła figi i sukienkę, maznęła szminką usta, przyczesła włosy i to wszystko. Mogła się łatwo rozebrać w ciągu czterech sekund. Z moją pomocą jeszcze szybciej.

— Panie Corey? Zastanawia się pan, w czym mogę panu pomóc?

— Owszem, proszę pani. Chwileczkę.

Choć niezbyt mocno zbudowana, sprawiała wrażenie szybkiej i chyba wytrzymałej. Miała sympatyczne szarzielone oczy, a jej twarz, oprócz tego, że ładna, wydawała się na pierwszy rzut oka niewinna. Przypominała mi pochodzące z lat sześćdziesiątych zdjęcie dzieci kwiatów, ale może przyszło mi to do głowy, bo była kwaciarką. Przyglądając się bliżej, dostrzegłem w jej rysach cichą zmysłowość. Naprawdę.

Powinienem także wspomnieć, że miała ładną równą opaleniznę, która nadawała jej skórze odcień kawy z mlekiem. Stała przede mną atrakcyjna i zmysłowa kobieta. Emma Whitestone.

— To ma coś wspólnego z Gordonami?

— Tak. — Odłożyłem na bok listwę. — Znała ich pani?

— Owszem. Utrzymywaliśmy przyjazne stosunki, ale nie byliśmy przyjaciółmi. To okropne — dodała.

— Tak.

— Podejrzewa pan, kto to mógł zrobić?

— Nie.

— Słyszałam przez radio, że być może ukradli szczepionkę.

— Na to wygląda.

Przez chwilę się zastanawiała.

— Pan ich znał — stwierdziła w końcu.

— Zgadza się. Skąd pani wie?

- Pańskie nazwisko padło kilka razy w rozmowie.
- Tak? Mam nadzieję, że w miłym kontekście.
- Bardzo miłym. Judy trochę się w panu podkochiwała — dodała.
- Naprawdę?
- Nie wiedział pan o rym?
- Może i wiedziałem. Czy ma pani tutaj coś w rodzaju listy członków? — zapytałem, chcąc zmienić temat.
- Jasne. Biuro jest na górze. Kiedy pan przyjechał, zajmowałam się papierkową robotą. Proszę za mną.
- Ruszyłem za nią. Pachniała lawendą.
- Piękny dom — powiedziałem, kiedy mijaliśmy kolejne pokoje.
- Osobiście pana później oprowadzę — odparła, zerkając na mnie przez ramię.
- Wspaniale. Żałuję, że nie wziąłem kamery.
- Wchodziliśmy po szerokich schodach na górę, ona pierwsza, ja lekko z tyłu. Jej majteczki były naprawdę skąpe. I miała ładne stopy, jeśli to dla was ważne.
- Na piętrze zaprowadziła mnie do, jak to określiła, górnego saloniku i poprosiła, żebym usiadł w fotelu koło kominka, co uczyniłem.
- Mogę panu zaproponować ziołową herbatę? — zapytała.
- Wypiłem już dziś kilka filiżanek, dziękuję.
- Siadła naprzeciwko mnie na drewnianym bujanym fotelu i skrzyżowała nogi.
- Czego konkretnie chciałby się pan dowiedzieć, panie Corey?
- John. Proszę mi mówić John.
- Dobrze, John. Mów mi Emma.
- Przede wszystkim, Emmo, chciałbym ci zadać kilka pytań na temat Towarzystwa Historycznego Peconic. Czym się zajmujecie?
- Historią. Na North Fork działa kilka towarzystw historycznych, które mieszczą się na ogół w zabytkowych budynkach. Nasze jest największe i nosi nazwę Peconic. Indianie określali nią cały ten region. Mamy około pięciuset członków. Niektórzy pełnią ważne funkcje w tutejszej społeczności, inni są prostymi farmerami. Zajmujemy się ochroną, rejestrowaniem i zachowaniem naszego dziedzictwa.
- Oraz odkrywaniem więcej na jego temat.
- Tak.
- Poprzez archeologię.

- Owszem. Oraz badania. Mamy tutaj interesujące archiwa.
- Czy mógłbym je później zobaczyć?
- Później możesz zobaczyć wszystko, na co masz ochotę — odparła z uśmiechem.
- Och, moje serce. Czy tylko tak się ze mną drażniła, czy mówiła serio? Uśmiechnąłem się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem. Skup się na tym, po co tu przyjechałeś.
- Czy Gordonowie byli aktywnymi członkami? — zapytałem.
- Tak.
- Kiedy wstąpili do Towarzystwa?
- Mniej więcej półtora roku temu. Przeprowadzili się tu z Waszyngtonu. Pochodzili ze Środkowego Zachodu, ale pracowali dla rządu w Waszyngtonie. Chyba o tym wiesz.
- Rozmawiali z tobą kiedykolwiek o swojej pracy?
- Raczej nie.
- Czy byłeś u nich kiedyś w domu?
- Raz.
- Spotykałeś się z nimi na stopie towarzyskiej?
- Od czasu do czasu. Nasze stowarzyszenie opiera się w dużej mierze na tego rodzaju więziach. To jedna z przyczyn, dla których dobrze się u nas czuli.
- Czy Tom coś do ciebie czuł? — zapytałem.
- Niewykluczone — odparła. Nie wydawała się wcale obrażona ani wstrząśnięta.
- Ale nie współżyłaś z nim seksualnie?
- Nie. Nigdy o to nie poprosił.
- Odchrząknąłem.
- Rozumiem.
- Proszę posłuchać, panie Corey... John. Marnujesz tylko swój i mój czas, zadając mi tego rodzaju pytania. Nie wiem, dlaczego ani kto zamordował Gordonów, ale nie miało to nic wspólnego z mną ani seksualnym trójkątem, w którym brałabym udział.
- Wcale tego nie powiedziałem. Staram się tylko poznać życie erotyczne ofiar w ramach szerszego dochodzenia.
- No więc nie spałam z nim. Myślę, że był wierny. Z tego, co wiem, ona też była mu wierna. Trudno tutaj mieć jakiś romans, żeby wszyscy naokoło się nie dowiedzieli.
- Może tak ci się tylko wydaje.
- Przez chwilę mi się przyglądała.
- A ty współżyłeś z Judy?
- Nie, nie współżyliśmy ze sobą, pani Whitestone. To nie jest

brazylijski serial. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa i to ja zadaję pytania.

— Nie bądź taki wrażliwy.

Wzięłam głęboki oddech.

— Przepraszam.

— Chcę, żebyś znalazł mordercę. Zadawaj swoje pytania.

— Dobrze. W porządku... Jaka była twoja pierwsza myśl, kiedy dowiedziałas się, że zostali zamordowani?

— Nie wiem. Pomyślałam chyba, że to musi mieć coś wspólnego z ich pracą.

— A co teraz myślisz?

— Nie mam żadnego zdania.

— Trudno mi w to uwierzyć.

— Chyba będziesz musiał.

— No dobrze.

W dalszym ciągu nie wiedziałem jasno, czego chcę się od niej dowiedzieć i czego konkretnie szukam. Ale miałem w głowie coś w rodzaju mapy, na której była Plum Island, Nassau Point, wysoki brzeg nad cieśniną Long Island, Winnice Tobina i Towarzystwo Historyczne Peconic. Po połączeniu tych punktów linią otrzymywało się pozbawiony znaczenia geometryczny pięciobok. Jeśli jednak połączyło się je w sposób metafizyczny, pięciobok nabierał być może sensu. Co było wspólnym elementem tych pięciu punktów? Może nic, lecz wydawały się w jakiś sposób związane; wydawały się mieć coś wspólnego.

Zastanawiałem się, co takiego piknęło mi w głowie tam, na Plum Island. Historia? Archeologia? Coś w tym rodzaju. Ale co konkretnie?

— Znasz jakichś ludzi, którzy pracują na Plum Island? — zapytałam.

Przez chwilę się namyślała.

— Właściwie nie. Pracuje tam kilku moich klientów. Oprócz Toma i Judy nie znam tamtejszych naukowców i żaden z nich nie należy do Towarzystwa. To zamknięta grupa. Trzymają się razem.

— Czy wiesz coś o planowanych wykopaliskach na Plum Island?

— Wiem tylko, że Tom Gordon obiecał nam, że będziemy mogli kopać na wyspie.

— Nie zajmujesz się archeologią?

— Raczej nie. Wolę pracę w archiwach. Skończyłam archiwistykę. Na Uniwersytecie Columbia.

— Naprawdę? Ja prowadzę wykłady w szkole Johna Jaya.

Która mieści się zaledwie pięćdziesiąt przecznic na południe od Columbii. Nareszcie znaleźliśmy coś, co nas łączy.

— Czego uczysz? — zapytała.

— Kryminalistyki i ceramiki — odparłem.

Uśmiechnęła się. Poruszyła palcami stóp. Ponownie skrzyżowała nogi. Beżowe. Majteczki były beżowe tak jak sukienka. Mnie też wypadło chyba skrzyżować nogi, jeśli nie chciałem, by pani Whitestone zauważyła, że Lord Wafel obudził się z drzemki. Trzymaj pipi w swoim tipi.

— Archiwistyka — powiedziałem. — To musi być fascynujące.

— I jest. Pracowałam jakiś czas w Stony Brook, a potem dostałam pracę tutaj, w bibliotece Cutchogue. Założono ją w tysiąc osiemset czterdziestym pierwszym roku i wciąż płacą taką samą jak wtedy pensję. Wychowałam się tutaj, ale trudno z niej wyżyć, jeśli nie prowadzi się jakiegoś interesu. Mam kwaciarnię.

— Tak, widziałem furgonetkę.

— Zgadza się. Jesteś detektywem. Co tutaj robisz? — zapytała.

— Wracam do zdrowia.

— No tak. Teraz sobie przypomniałam. Świetnie wyglądasz.

Ona też wyglądała fantastycznie, ale nie należy prawić komplementów świadkowi, w związku z czym zachowałem to spostrzeżenie dla siebie. Miała przyjemny gardłowy głos, który wydawał mi się seksowny.

— Znasz Fredrica Tobina? — zapytałem.

— Kto go nie zna?

— Należy do Towarzystwa Historycznego Peconic.

— Jest naszym największym sponsorem. Daje pieniądze i wino.

— Jesteś koneserem wina?

— Nie. A ty?

— Naturalnie. Potrafię odróżnić merlota od budweisera. Z związanymi oczyma.

Uśmiechnęła się.

— Założę się — powiedziałem — że wielu ludzi żałuje, że nie przzeruciło się na wino przed wielu laty. Mam na myśli produkcję wina.

— Nie wiem. To interesujące, ale niezbyt lukratywne.

— Dla Fredrica Tobina jest lukratywne — zauważyłem.

— Fredric żyje ponad stan.

Wyprostowałem się w fotelu.

— Dlaczego tak mówisz?

— Bo to prawda.



— Dobrze go znasz? Osobiście?

— A ty znasz go osobiście? — zapytała.

Naprawdę nie lubię być przesłuchiwany, ale stąpałem po cienkim lodzie. Oto jak upadają wielcy tego świata.

— Byłem na jednej z jego degustacji. Jeszcze w czerwcu. Byłaś tam?

— Tak.

— Przyszedłem z Gordonami.

— Zgadza się. Chyba cię widziałam.

— Ja cię nie widziałem. Zapamiętałbym.

Uśmiechnęła się.

— Jak dobrze go znasz? — powtórzyłem.

— Właściwie byliśmy ze sobą związani.

— W jakim sensie?

— W tym sensie, że byliśmy kochankami, panie Corey. Przykro było mi to słyszeć. Mimo to musiałem brnąć dalej.

— Kiedy to było? — zapytałem.

— Zaczęło się... jakieś dwa lata temu i trwało... czy to takie ważne?

— Możesz nie odpowiadać na żadne z pytań.

— Wiem o tym.

— Co się stało?

— Nic takiego. Fredric po prostu kolekcjonuje kobiety. Trwało to około dziewięciu miesięcy. Całkiem niezły wynik, choć obojgu nam zdarzały się lepsze. Zaliczyliśmy Bordeaux, dolinę Loary, Paryż. Weekendy spędzaliśmy na Manhattanie. Było dobrze. Jest bardzo hojny.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem. Zdążyłem się przywiązać do Emmy Whitestone i denerwowało mnie trochę, że Fredric pierwszy dobrał się do słoika z konfiturami.

— Mam zamiar zadać ci osobiste pytanie i nie musisz na nie odpowiadać — powiedziałem. — W porządku?

— W porządku.

— Czy w dalszym ciągu jesteście...? Chodzi mi...

— Fredric i ja jesteśmy przyjaciółmi. Ma teraz kochankę. Nazywa się Sondra Wells. Kompletny falsyfikat, łącznie z nazwiskiem.

— Mówiłaś, że żyje ponad stan.

— Tak. Jest winien bankom i prywatnym inwestorom całą fortunę. Za dużo wydaje. Najsmutniejsze jest to, że jego winnica przynosi duże zyski i mógłby prawdopodobnie żyć na wysokim poziomie, gdyby nie Foxwoods.

- Foxwoods?
- No wiesz. To indiańskie kasyno. W Connecticut.
- Zgadza się. Facet uprawia hazard?
- Od dawna. Raz tam z nim pojechałam. Stracił pięć tysięcy dolarów w jeden weekend. W blackjacka i ruletkę.
- Mój Boże. Mam nadzieję, że miał bilet powrotny na prom.

Roześmiała się.

Foxwoods. Płyne się z Orient Point do New London albo ekspresowym promem do Foxwoods, przepuszcza trochę forsy i wraca do Orient w niedzielę wieczorem. Miłe urozmaicenie codziennego kieratu na North Fork. Jeśli ktoś nie jest nałogowym hazardzistą, spędza miło czas, wygrywa albo traci kilka setek, je kolację, ogląda show, nocuje w eleganckim hotelu. Wymarzony weekend z panią. Wielu autochtonom nie podoba się jednak bliskość jaskini grzechu. Żony nie lubią, kiedy ich małżonkowie trwonią krowawicę. Ale, jak gdzie indziej, wszystko jest kwestią właściwych proporcji.

A więc Fredric Tobin, chłodny i wytworny właściciel winnicy, dandys, który wydawał się panować nad każdym swoim ruchem, był hazardzistą. Choć z drugiej strony, gdy się nad tym zastanowić, czyż istniał większy hazard od corocznego winobrania? Uprawa winorośli wciąż stanowiła tutaj coś w rodzaju eksperymentu i jak na razie szło nieźle. Żadnej zarazy, żadnych przymrozków ani rekordowych upałów. Ale któregoś dnia huragan Annabelle albo Zeke zdmuchnie milion winogron do cieśniny Long Island i będziemy mieli największą w historii wazę z ponczem.

No i byli jeszcze Tom i Judy, którzy codziennie kusili los, badając chorobotwórcze zarazki. A potem postawili wszystko na jedną kartę i przegrali. Fredric postawił na uprawę winorośli i wygrał, a potem grał w ruletkę i blackjacka i też przegrał.

— Wiesz może, czy Gordonowie jeździli kiedykolwiek z panem Tobinem do Foxwoods? — zapytałam.

— Nie sądzę. Ale i tak bym o tym nie wiedziała. Minął już rok, odkąd Fredric i ja się rozstaliśmy.

— Racja. Ale wciąż ze sobą rozmawiacie. Wciąż jesteście przyjaciółmi.

— Chyba jesteśmy. Nie lubi, kiedy jego byłe kochanki mają do niego żal. Chce zachowywać z wszystkimi przyjazne stosunki. To może okazać się całkiem interesujące w trakcie imprez towarzyskich. Lubi przebywać w jednym pomieszczeniu z tuzinem kobiet, z którymi uprawiał seks.

Kto tego nie lubi?

— I nie wydaje ci się, żeby coś łączyło pana Tobina i panią Gordon? — zapytałem.

— Nie mam stuprocentowej pewności. Ale nie sądzę. Nie uganiał się za żonami.

— To bardzo rycersko z jego strony.

— Nie, był po prostu tchórzem. Bał się mężów i stałych kochanków. Musiał mieć w tej dziedzinie jakieś przykre doświadczenia. — Zaśmiała się na swój gardłowy sposób. — Tak czy owak — dodała — wolał zaprzyjaźnić się z Tomem Gordonem, niż przespać się z Judy Gordon.

— Dlaczego?

— Nie mam pojęcia. Nigdy nie rozumiałam, co takiego Fredric widzi w Tomie.

— Myślałem, że było odwrotnie.

— Tak sądzili ludzie. Ale to Fredricowi zależało na przyjaźni z Tomem.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Z początku myślałam, że chce w ten sposób dotrzeć do Judy, ale szybko zorientowałam się, że Fredric nie podrywa żon. Potem myślałam, że to wiąże się z pracą Gordonów albo z tym, że byli tacy atrakcyjni. Fredric kolekcjonuje ludzi. Uważa, że jest najważniejszą osobą na North Fork. Może to prawda. Nie jest najbogatszy, ale posiadanie winnicy daje mu pewien status. Rozumiesz?

Pokiwałem głową. Czasami kopie się długie dni i tygodnie i nic nie znajduje. A czasami odkrywa się złoto. Choć zdarza się, że to tylko tombak. Mam na myśli, że to było fascynujące, ale czy wiązało się w jakiś sposób z podwójnym morderstwem? Poza tym czy nie było w tym trochę przesady? Chęci odwetu ze strony pani Whitestone? Nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy była kochanka każe mi węszyć pod niewłaściwym drzewem, żeby pognać trochę drugą stronę.

— Myślisz, że Fredric Tobin mógł zabić Gordonów? — zapytałem ją prosto z mostu.

Popatrzyła na mnie, jakbym stracił rozum.

— Fredric? On nie skrzywdziłby nawet muchy.

— Skąd wiesz?

— Bóg wie, że dałam mu dość powodów, żeby mi przyłożył — odparła z uśmiechem. — Po prostu nie używa przemocy. Całkowicie panuje nad swoimi emocjami, nad gniewem. I dlaczego miałby zabić Toma i Judy Gordonów?

— Nie wiem. Nie wiem nawet, dlaczego zostali zamordowani.  
A ty?

Przez chwilę nie odpowiadała.

— Może chodziło o narkotyki — stwierdziła w końcu.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Fredric martwił się o nich. Brali kokę.

— On ci to powiedział?

— Tak.

Interesujące. Zwłaszcza że Fredric w ogóle mi o tym nie wspominał i nie było w tym cienia prawdy. Wiem, jak wygląda i zachowuje się ktoś biorący kokę i Gordonowie jej nie brali. Więc dlaczego Tobin przypinał im łatkę?

— Kiedy ci o tym mówił?

— Niedawno. Kilka miesięcy temu. Powiedział, że przyszli do niego i pytali, czy ma ochotę na naprawdę dobry towar. Handlowali koką, żeby zarobić na swoje działki.

— Wierzysz w to?

Wzruszyła ramionami.

— To możliwe.

— No dobrze... powróćmy do stosunków, które łączyły pana Tobina z Gordonami. Twoim zdaniem to on szukał z nimi kontaktu i kultywował tę znajomość.

— Na to wyglądało. W ciągu dziewięciu miesięcy, które z nim spędziłam, rozmawiał z nimi dużo przez telefon i rzadko kiedy nie zapraszał ich na przyjęcia.

Z całą pewnością nie było to zgodne z tym, co usłyszałem od pana Tobina.

— Co go tak fascynowało w Gordonach? — zapytałem panią Whitestone.

— Nie mam pojęcia. Ale wiem, że starał się, by wszyscy myśleli, że jest dokładnie na odwrót. Najśmieszniejsze było to, że Gordonowie wyraźnie się na to godzili, tak jakby Tobin zaszczycał ich swoim towarzystwem. Ale kiedy kilka razy byliśmy tylko we czwórkę, widziało się, że traktują go jak równego sobie. Rozumiesz?

— Tak. Ale dlaczego grali narzuconą im rolę?

Ponownie wzruszyła ramionami.

— Kto to może wiedzieć? — odparła i spojrzała mi prosto w oczy. — Wyglądało to prawie tak, jakby go szantażowali. Jakby coś na niego mieli. W obecności innych był grubą rybą. Prywatnie traktowali go dość poufale.

Szantaż. Pozwoliłem, żeby to słowo zapadło mi w pamięć.

— Ja tylko zgaduję. Spekuluję. Nie pałam żądzą odwetu ani nic w tym rodzaju — dodała Emma Whitestone. — Spędziłam przyjemne chwile z Fredrikiem i lubiłam go, ale nie byłam zraniona, kiedy zerwaliśmy.

— Dobrze. — Spojrzałam na nią i nasze oczy się spotkały. — Czy rozmawiałaś z Fredrikiem po morderstwie? — zapytałam.

— Tak, wczoraj rano. On telefonował.

— Co powiedział?

— Nic więcej ponad to, co zwykle. Normalne rzeczy.

Zadałem kilka szczegółowych pytań na temat tej rozmowy i rze czywiście wydawała się zwyczajna i pro forma.

— Rozmawiał z tobą dzisiaj? — zapytałam.

— Nie.

— Odwiedziłem go rano.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Sam nie wiem.

— Nie wiesz także, dlaczego przyjechałeś tutaj.

— Zgadza się.

Nie chciałem jej wyjaśniać, że po odwiedzeniu Plum Island i Murphych nie miałem już potencjalnych świadków, że właściwie odebrano mi tę sprawę i musiałem przesłuchiwać ludzi, których policji z Suffolk nie przyjdzie na myśl przesłuchać. Nie wyskrobywałem resztek z dna beczki, ale pracowałem jakby trochę na uboczu.

— Znasz jakichś przyjaciół Gordonów? — zapytałam.

— W gruncie rzeczy nie obracaliśmy się w tych samych kręgach, chyba że byliśmy z Fredrikiem. A wtedy to byli raczej jego przyjaciele.

— Czy nie przyjaźnił się z nimi komendant Maxwell?

— Chyba tak. Nigdy nie rozumiałam, na czym opierała się ta znajomość, podobnie jak ich zażyłe stosunki z Fredrikiem.

— Mam kłopoty ze znalezieniem jakichkolwiek przyjaciół Gordonów.

— Z tego, co wiem, wszyscy ich przyjaciele pracują na Plum Island. To nie jest wcale takie dziwne. Mówiłam ci: to zamknięta grupa. Powinieneś szukać tam, a nie tu — dodała.

— Może masz rację.

— Co sądzisz o Fredricu? — zapytała.

— Uroczy człowiek. Przebywanie z nim to prawdziwa przyjemność.

Co było prawdą. Ale teraz, gdy wiedziałem, że posuwał tu obecną

panią Whitestone, byłem bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że w sprawach seksu nie ma na tym świecie sprawiedliwości.

— Ma paciorkowate oczy — dodałem.

— I rozbiegane.

— Owszem. Czy mogę cię o coś prosić? — zapytałem.

— Możesz.

— Nie mów mu o naszej rozmowie.

— Nie będę wchodziła w szczegóły. Ale powiem mu, że rozmawialiśmy. Nie mam zwyczaju kłamać — dodała. — Potrafię też dochować tajemnicy.

— To wszystko, o co proszę.

Na Manhattanie nikt nie ma tyłu wspólnych znajomych co tu. Musiałem o tym pamiętać, musiałem to wziąć pod uwagę i musiałem dostosować do tego mój styl. Ale jestem inteligentny i potrafię to zrobić.

— Zakładam, że znasz komendanta Maxwella — powiedziałem w związku z powyższym.

— Kto go nie zna?

— Chodziłaś z nim kiedyś?

— Nie. Ale próbował mnie poderwać.

— Nie lubisz gliniarzy?

Roześmiała się. Znowu poruszyła palcami stóp i znowu skrzyżowała nogi. Mój Boże.

Zadawałem jej różne pytania przez następne piętnaście minut. Pani Whitestone знаła dużo plotek i знаła dobrze wielu ludzi, ale wszystko to w małym stopniu odnosiło się do sprawy. Problem polegał na tym, że chociaż nie wiedziałem, co tu robię, coraz bardziej mi się tu podobało. Mimo to zachowywałem się jak prawdziwy dżentelmen. Podrywanie policjantki jest w porządku, ponieważ jako koleżanka z pracy zawsze może facetowi powiedzieć, żeby się odwalił. Lecz z cywilami, zwłaszcza tymi, których może potem wezwać prokurator okręgowy, trzeba być ostrożnym. Nie wolno skompromitować siebie ani świadka. Niemniej byłem zainteresowany.

Nie myślcie, że jestem facetem, który przeskakuje z kwiatka na kwiatek. Wciąż usychałem z tęsknoty za Beth.

— Czy mogę skorzystać z telefonu? — zapytałem panią Whitestone.

— Jasne. Tu obok — odparła, wskazując drzwi do sąsiedniego pokoju.

Wchodząc tam, poczułem się tak, jakbym przeszedł z wieku

dziewiętnastego do dwudziestego. W nowocześnie urządzonej siedzibie zarządu Towarzystwa były biurka, szafki na akta, kopiarka i tak dalej. Skorzystałem z telefonu na jednym z biurk i połączyłem się ze swoją automatyczną sekretarką. Była do mnie jedna wiadomość:

„Detektywie Corey, tu detektyw Collins z policji hrabstwa Suffolk — odezwał się męski głos. — Detektyw Penrose prosiła, bym do pana zadzwonił. Jest teraz na przedłużającej się konferencji. Powiedziała, że nie może się z panem spotkać dzisiaj po południu i zadzwoni wieczorem albo jutro rano”.

Koniec wiadomości. Odłożyłem słuchawkę i rozejrzałem się po pokoju. Pod jednym z biurk leżały skórzane sandały, należące najprawdopodobniej do pani Whitestone.

Wróciłem do biblioteki, ale nie usiadłem.

— Coś nie tak? — zainteresowała się Emma Whitestone, spoglądając na mnie.

— Nie. W którym miejscu stanęliśmy?

— Nie pamiętam.

Spojrzałem na zegarek.

— Czy możemy to skończyć przy lunchu? — zapytałem.

— Jasne — odpowiedziała, wstając z fotela. — Ale najpierw oprowadzę cię po domu.

I zrobiła to. Pokój po pokoju. Większą część piętra zajmowały biura, magazyny i archiwa, ale były również dwie sypialnie urządzone w starym stylu. Jedna, według Emmy, z połowy siedemnastego wieku, druga z tej samej epoki, w której wzniesiono budynek, czyli z połowy osiemnastego wieku.

— Dom zbudował kapitan statku handlowego, który zbił fortunę w Ameryce Południowej — powiedziała.

— Na kokainie?

— Nie, głuptasie. Na półszlachetnych kamieniach z Brazylii. Nazywał się Samuel Farnsworth.

Dotknąłem ręką nierównego materaca.

— Ucinasz sobie tu drzemkę? — zapytałem.

— Czasami — odparła z uśmiechem. — To piernat.

— Z piór rybołówów?

— Możliwe. Dawniej było ich tu pełno.

— Teraz wracają.

— Wszystko teraz wraca. Cholerny jeleni zeżał moje rododendrony. Chciałeś zobaczyć archiwa — dodała, kiedy wyszliśmy z sypialni.

— Owszem.

Zaprowadziła mnie do pomieszczenia, które było kiedyś prawdopodobnie dużą sypialnią i w którym stały teraz szafki na akta, półki i długi dębowy stół.

— Mamy tu oryginalne księgi i dokumenty sięgające połowy szesnastego wieku — wyjaśniała. — Akty prawne, listy, testamenty, kazania, rozkazy wojskowe, manifesty i dzienniki okrętowe. Niektóre są fascynujące.

— Dlaczego się tym zajęłaś?

— Przypuszczam, że jakiś wpływ miał na to fakt, że się tu wychowałam. Moja rodzina wywodzi się z pierwszych osadników.

— Mam nadzieję, że nie jesteś spokrewniona z Margaret Wiley.

Uśmiechnęła się.

— Nie polubiłeś Margaret?

— Bez komentarza.

— Praca archiwisty przypomina trochę pracę detektywa — podjęła. — Wiesz, różne tajemnice, pytania, na które trzeba odpowiedzieć, rzeczy, które trzeba odkryć. Nie sądzisz?

— Teraz, kiedy o tym wspomniałaś, jestem gotów się zgodzić. Prawdę mówiąc — dodałem — w dzieciństwie chciałem zostać archeologiem. Znalazłem kiedyś kulę od muszkietu. Gdzieś tutaj. Nie pamiętam gdzie. Teraz, kiedy jestem stary i schorowany, może powinienem zacząć pracować w archiwum.

— Nie jesteś jeszcze taki stary. Ale mogłoby ci się to spodobać. Mogę cię nauczyć czytać stare dokumenty.

— Nie są po angielsku?

— Tak, ale siedemnastowieczna albo osiemnastowieczna angielszczyzna może sprawiać pewne kłopoty. Pisownia jest okropna, a pismo trudne do odcyfrowania. Spójrz na to — rzuciła, otwierając leżący na stole segregator. W środku były plastikowe koszulki, a w nich stare pergaminy. — Przeczytaj — powiedziała, przerzuciwszy kilka stron.

Pochyliłem się i przyjrzałem wyblakłemu pismu.

— Droga Martho — przeczytałem. — Nie wierz w te plotki o mnie i o pani Farnsworth. Jestem wierny i uczciwy. Co u ciebie? Twój kochający mąż George.

Emma roześmiała się.

— Zmyślasz.

— Ale to na pewno coś w tym rodzaju.

— Daj, ja przeczytam. — Przysunęła do siebie segregator. — To list od Phillipa Shelleya do królewskiego gubernatora lorda Bel-



lomonta, z dnia trzeciego sierpnia tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego ósmego roku — oznajmiła, po czym odczytała list, który dla mnie był zupełnie nieczytelny. Roilo się tam od „wielmożnych panów”, „dobrodziejów”, „unizonych sług” i tego rodzaju określeń. Facet skarżył się na jakąś niesprawiedliwość, która spotkała go w sporze o ziemię. Ci ludzie przepławili się przez ocean na nowy kontynent i mieli te same troski co w Southwold przez „w”.

— Robi wrażenie — oświadczyłem pani Whitestone.

— To nic trudnego. Możesz się nauczyć w kilka miesięcy. Fredrica nauczyłam w dwa miesiące, mimo że ma kłopoty z koncentracją.

— Naprawdę?

— Sam język nie jest tak trudny jak pismo i ortografia.

— Na pewno. Możesz mi dać listę członków? — poprosiłem.

— Oczywiście.

Weszliśmy do biura zarządu, gdzie dała mi oprawiony spis członków i włożyła sandały.

— Jak zostałeś prezesem? — zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem... Zabiera mi to tylko czas. To jeden z głupich pomysłów Fredrica na społeczny awans. Byłam tutaj archiwistką, co bardzo mi odpowiadało. A potem zaproponował mnie na prezesa, a wszystko, co zaproponuje Fredric, staje się ciałem. No i jestem dalej archiwistką. Kwiaciarka, archiwistka i prezes Towarzystwa Historycznego Peconic.

— Nie jesteś głodna?

— Pewnie, że jestem. Zadzwońię do kwaciarni. — Kiedy rozmawiała, myszkowałem przez chwilę w gabinecie. — Mogę już nie wrócić po południu — usłyszałem, jak mówi przyciszonym tonem.

Owszem, pani Whitestone, jeśli mam tu coś do powiedzenia, może pani nie wrócić.

Odłożyła słuchawkę i zeszliliśmy na dół.

— Urządzamy tutaj niewielkie koktajle i przyjęcia. Jest bardzo miło na Boże Narodzenie — powiedziała.

— A propos przyjęć... idziesz na podwieczorek, który pan Tobin urządza u siebie w sobotę?

— Być może. A ty?

— Chyba powinienem. W ramach obowiązków służbowych.

— Może aresztujesz go na oczach wszystkich i wyprowadzisz z domu w kajdankach? — zasugerowała.

— To mogłoby być zabawne, ale nie sądzę, żeby zrobił coś złego.

- Na pewno zrobił coś złego.
- Ruszyła za mną i wyszliśmy na zewnątrz. Zrobiło się ciepłej.
- Emma zamknęła drzwi na klucz i odkleiła kartkę z wiadomością.
- Pojedziemy moim — powiedziałem, po czym uruchomiłem jeeпа pilotem.
- Fajna opcja — stwierdziła.
- Można odpalić zdalnie bombę w samochodzie — oświadczyłem.
- Roześmiała się. Wcale nie żartowałem.
- Wsiadliśmy do mojego sportowego pojazdu terenowego i wrzuciłem tylny bieg, celowo zostawiając niedomknięte drzwi.
- Drzwi od strony kierowcy nie są zamknięte — oznajmił kobiecie głos.
- To głupia opcja — zauważyła Emma.
- Wiem. Brzmi zupełnie jak głos mojej byłej żony. Próbuje ją skasować. Opcję, a nie byłą żonę.
- Emma bawiła się przez chwilę przyciskami komputera pokładowego.
- Od jak dawna jesteś rozwiedziony? — zapytała.
- Właściwie oficjalnie będę dopiero od pierwszego października. Tymczasem staram się nie popełnić cudzołóstwa ani bigamii.
- To nie powinno być takie trudne.
- Nie wiedziałem, jak mam to traktować.
- Gdzie zjemy? — zapytałem, wyjeżdżając z parkingu. — Ty wybierasz.
- Może nie będziemy zmieniać nastroju i pojedziemy do historycznej oberży? Co powiesz na General Wayne Inn? Byłeś tam?
- Chyba tak. To ta knajpa Johna Wayne'a?
- Nie, głuptasie. Chodzi o Szalonego Anthony'ego Wayne'a. Spał tam.
- Czy dlatego oszalał? Po nocy na nierównym piernacie?
- Nie... jesteś historycznie upośledzony?
- Totalnie niedouczony.
- Szalony Anthony Wayne był generałem w wojnie o niepodległość. Dowodził Green Mountain Boys.
- Zgadza się. Ich największym przebojem było „My Heart's on Fire and You're Sitting on My Hose”.
- Emma Whitestone przez chwilę milczała, zastanawiając się, jestem tego pewien, czy podjęła właściwą decyzję.
- Oberża jest w Great Hog Neck — powiedziała w końcu. — Poprowadzę cię.

— W porządku — odparłem i pojechaliśmy do knajpy o nazwie General Wayne Inn znajdującej się w miejscowości o nazwie Great Hog Neck.

Czy dobrze się czułem w tym miejscu? Czy tęskniłem za Manhattanem? Trudno powiedzieć. Gdybym miał kupę szmalu, mógłbym mieszkać i tu, i tu. Ale nie mam kupy szmalu. Ta konstatacja sprawiła, że pomyślałem o Fredricu Tobinie, który, jak się okazało, również nie miał wielkiego szmalu. Zazdrościłem mu, sądząc, że ma wszystko, czego dusza zapragnie — wino, panienki, szmal — a tymczasem facet jest bankrutem. Co gorsza, ma długi. Dla człowieka pokroju Fredrica Tobina utracenie tego wszystkiego byłoby równoznaczne z utratą życia. Równie dobrze mógłby zginąć. Ale nie zginął. Zginęli za to Tom i Judy. Czy istniał tu jakiś związek? Możliwe. To stawało się interesujące.

Mój czas jednak się kończył. Mogłem udawać gliniarza jeszcze przez jakieś czterdzieści osiem godzin, a potem zostaną odsunięty przez policję z Southold, Suffolk i Nowego Jorku.

Jadąc, dumalem nad tym wszystkim. Pani Whitestone mówiła mi, jak jechać.

— Czy wersja o kradzieży szczepionki jest prawdziwa? — zapytała w końcu.

— Chyba tak. Tak.

— To nie ma nic wspólnego z bronią bakteriologiczną?

— Nie.

— Ani z narkotykami?

— Z tego, co udało mi się ustalić, nie.

— Włamanie?

— Na to wygląda, ale wydaje mi się, że to miało raczej coś wspólnego z kradzieżą szczepionki.

Niech ktoś mi zarzuci, że nie umiem grać w zespole. Wcisnąłem oficjalny kit tak samo dobrze jak wszyscy.

— Masz jakąś inną teorię? — zapytałem.

— Nie, nie mam. Ale coś mi mówi, że zamordowano ich z powodów, których jeszcze nie znamy.

Dokładnie to samo myślałem. Bystra kobieta.

— Byłaś kiedyś mężatką? — zapytałem.

— Tak. Wyszłam za mąż młodo, na drugim roku studiów. Trwały to siedem lat. I jestem od siedmiu lat rozwiedziona — dodała. — Możesz to sobie dodać.

— Masz dwadzieścia pięć lat.

— Jak ci to wyszło?

— Czterdzieści dwa?

— Skręć w prawo — powiedziała. — Prawo jest po mojej stronie.

— Dzięki.

Przejażdżka była przyjemna i wkrótce znaleźliśmy się na Great Hog Neck — kolejnym wrzynającym się w zatokę półwyspie, leżącym na północny wschód od Nassau Point, który ludzie nazywają czasami Little Hog Neck.

Zauważyłem, że miejscowe nazwy mają trzy główne źródła: rdzennych Amerykanów, angielskich osadników i agentów nieruchomości. Ci ostatni mają mapy z miłymi nazwami, które wymyślili, żeby zastąpić paskudne nazwy w rodzaju Great Hog Neck.

Minęliśmy niewielkie obserwatorium Instytutu Custera, o którym wspominała pani Wiley, i wysłuchałem krótkiego wykładu na jego temat, a także na temat stojącego naprzeciwko Muzeum Amerykańskich Indian.

— Czy Gordonowie interesowali się astronomią? — zapytałem Emmę.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Wiesz, że kupili akr ziemi od pani Wiley.

— Tak. To nie był dobry interes — dodała po krótkiej chwili.

— Do czego im była potrzebna ta ziemia?

— Nie wiem... Dla mnie to nigdy nie miało sensu.

— Czy Fredric wiedział o tym, że kupili ten akr?

— Tak. To oryginalny dom Whitestone'ow — powiedziała, zmieniając temat. — Zbudowany w roku tysiąc sześćset osiemdziesiątym piątym.

— Wciąż należy do rodziny?

— Nie, lecz zamierzam go odkupić. Fredric miał mi pomóc, ale... Wtedy właśnie zdałam sobie sprawę, że nie jest taki zamożny, za jakiego uchodzi.

Pozostałem to bez komentarza.

Hog Neck, podobnie jak Nassau Point, składało się w większości z drewnianych chałup i kilku nowszych domów weekendowych, zbudowanych często z szarego drewna, żeby wyglądały na starsze, niż są w rzeczywistości. Między nimi ciągnęły się zagajniki i pola, na których według Emmy od czasów kolonialnych wspólnie wypasano bydło.

— Czy Indianie nastawieni są przyjaźnie? — zapytałem.

— Nie ma tu żadnych Indian.

— Wszyscy odeszli?

— Wszyscy odeszli.

— Z wyjątkiem tych z Connecticut, którzy założyli największe kasyno stąd do Las Vegas.

— W moich żyłach też płynie indiańska krew — oświadczyła.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Wiele starych rodzin ma domieszkę indiańskiej krwi, ale się z tym nie obnosi. Niektórzy przychodzą nawet do mnie z prośbą, bym wykreśliła ich krewnych z archiwów.

— Nie do wiary. — Wiedziałem, że mówiąc to, spełniam wymogi politycznej poprawności, a jednak za każdym razem, gdy to robię, muszę coś schrzańić. Zasady zmieniają się z tygodnia na tydzień. — To rasistowskie przesady — dodałem, nie chcąc ryzykować.

— Rasowe, ale niekoniecznie rasistowskie. Tak czy owak, nie obchodzi mnie, czy ktoś wie, że mam indiańską krew. Moja prababka od strony matki należała do szczepu Corchaugów.

— Masz ładną karnację skóry.

— Dzięki.

Podjechaliśmy pod duży drewniany dom zbudowany na mającej kilka akrów zalesionej działce. Przypomniałem sobie, że będąc chłopcem, widziałem go raz albo dwa razy. W mojej głowie wciąż tkwiły wspomnienia z różnych miejsc, zatrzymane w kadrze sceny z dzieciństwa, przesuujące się niczym przezrocza w diaskopie.

— Mam wrażenie, że jadłem tutaj obiad z rodzicami, kiedy byłem małym szkrabem — poinformowałem panią Whitestone.

— Całkiem możliwe. Ta oberża ma dwieście lat. A ty?

— Dobrze gotują? — zapytałem, nie zaspokajając jej ciekawości.

— To zależy. Ale to miła knajpa, z daleka od utartego szlaku. Nikt nas nie zobaczy i nikt nie będzie plotkował.

— Prawidłowe rozumowanie.

Wjechałem na wyspany żwirem podjazd, zaparkowałem i otworzyłem drzwi, nie gasząc silnika. Zabrzęczał cichy dzwoneczek i na schemacie mojego samochodu pokazały się otwarte drzwi.

— Skasowałaś głos — zawołałem.

— Nie chciałam, żeby denerwował cię głos byłej żony.

Wysiedliśmy z samochodu i ruszyliśmy w stronę oberży. Emma wzięła mnie pod ramię, co trochę mnie zdziwiło.

— Kiedy kończysz służbę? — zapytała.

— Teraz.

## Rozdział 18

Lunch upłynął w dość przyjemnej atmosferze. Lokal był prawie pusty i niedawno odrestaurowany. Jeśli ktoś popuścił wodze wyobraźni, mógł pomyśleć, że jest rok 1784 i Szalony Anthony Wayne wali kubkiem w blat stołu, domagając się grogu.

Kuchnia była typowo amerykańska, bez żadnych odchyień, co odpowiadało moim mięsożernym gustom, a pani Emma Whitestone okazała się typową amerykańską dziewczyną, bez żadnych odchyień, co również odpowiadało moim mięsożernym gustom.

Nic rozmawialiśmy o morderstwie, o lordzie Tobinie ani o żadnych innych nieprzyjemnych sprawach. Emma miała prawdziwego fioła na punkcie przeszłości, a mnie fascynowało to, co mówiła. No, może nie do końca, ale historia opowiadana jej gardłowym głosem nie była w każdym razie zbyt trudna w odbiorze.

Wspomniała o wielbnym Youngsie, który w roku 1640 przywiódł tu swoje stadko z Connecticut, a ja zastanawiałem się na głos, czy przyплыnęli promem z New London, co spowodowało z jej strony chłodne spojrzenie. Opowiedziała o kapitanie Kiddzie i innych mniej znanych piratach, którzy żeglowali po tych wodach przed trzydziestu laty, a następnie o Hortonach od latarni morskiej, z których jeden wybudował tę właśnie oberżę. Potem była wojna o niepodległość i Francis Marion, Bagienny Lis, na którego cześć nazwano, jak oznajmiła, East Marion. Sprzeczałem się z nią, twierdząc, że nazwę Marion nosiło na pewno jedno z miast w Anglii, ale ona wiedziała dobrze, o czym mówi. Opowiedziała mi o Underhillach, Tuthillach oraz o Whitestone'ach, którzy, jak się okazało, przybyli do Ameryki na pokładzie *Mayflower*, a także o ludziach noszących imiona

w rodzaju Abijah, Chauncey, Ichabod i Barnabas, oraz o Joshuach, Samuelach i Isaacach, którzy nie byli w ogóle Żydami.

Pik! Podczas gdy Paul Stevens znużył mnie do utraty zmysłów swoim wygenerowanym przez komputer głosem, Emma Whitestone oczarowała swoim przydechem, nie mówiąc już o szarozielonych oczach. Rezultat netto był jednak za każdym razem taki sam: usłyszałem coś, co wywołało opóźnioną reakcję w moim mózgu, normalnie funkcjonującym zwawo. Pik! Czekałem, że powie to znowu, próbując jednocześnie przypomnieć sobie, co to było i dlaczego uznałem, że to takie ważne. Niestety bez skutku. Tym razem jednak wiedziałem, że ta rzecz usadowiła się na samym wierzchu i wkrótce ją odzyskam.

— Czuję tutaj obecność Szalonego Anthony'ego Wayne'a — powiedziałem.

— Naprawdę? Opowiedz mi o tym.

— Siedzi przy tym stole przy oknie i łypie na ciebie okiem. Mnie posyła bardzo nieprzyjemne spojrzenia. „Co takiego ujrzała w nim ta białogłowa?“, mruczy pod nosem.

Emma uśmiechnęła się.

— Odbiło ci.

— Białogłowa? Czy niewiasta?

— Nauczę cię osiemnastowiecznej angielszczyzny, jeśli przestaniesz świrować.

— Dzięki.

I tak zanim się zorientowaliśmy, minęła trzecia i kelner zaczął się niecierpliwie. Nie znoszę przerywać dochodzenia, żeby uganiać się za spódniczkami — „detectus interruptus”. Nie ulega kwestii, że kluczowe dla sprawy są pierwsze siedemdziesiąt dwie godziny. Ale mężczyzna musi czasem zaspokajać pewne biologiczne potrzeby, a ja byłem w sytuacji podbramkowej.

— Jeśli masz czas, możemy popływać moją łodzią — powiedziałem.

— Masz łódź?

Właściwie nie mam, w związku z czym nie była to może najlepsza propozycja. Ale mam posesję położoną nad samą wodą oraz przystań i mogłem zawsze powiedzieć, że łódź zatoneła.

— Mieszkam w domu mojego wuja — wyjaśniłem. — W folwarku nad zatoką.

— W majątku nad zatoką.

— Zgadza się. Chodźmy.

Wyszliśmy z oberży generała Wayne'a i pojechaliśmy do mojego

majątku, który leżał mniej więcej dwadzieścia minut na zachód od Hog Neck.

— Ta droga nazywała się kiedyś Królewskim Traktem — poinformowała mnie, gdy jechaliśmy na zachód Main Road. — Zmienili nazwę po wojnie o niepodległość.

— Świetny pomysł.

— Ciekawe, że moja Alma Mater, Uniwersytet Columbia, również nazywała się Kings College i jej również zmieniono nazwę po wojnie o niepodległość.

— Gdyby wybuchła kolejna wojna o niepodległość, też chciałbym zmienić dużo nazw — stwierdziłem.

— Na przykład?

— Po pierwsze, Wschodnia Siedemdziesiąta Druga, przy której mieszkam. Nazwałbym ją Ulicą Czereśniową. Przyjemniej brzmi. Po drugie, kot mojej byłej żony, Śnieżka... nazwałbym go Zdechlakiem — oświadczyłem i zacząłem podawać inne nazwy, które zmieniałbym, gdyby wybuchła kolejna wojna o niepodległość.

— Podoba ci się tutaj? — zapytała, przerywając mi.

— Chyba tak. Okolica jest przyjemna, ale nie wiem, czy tutaj pasuję.

— Mieszka tu wielu ekscentryków — poinformowała mnie.

— Nie jestem ekscentrykiem. Jestem czubkiem.

— Tych też tutaj nie brakuje. To nie jest jakaś zabita dechami wiocha. Znam farmerów, którzy mają dyplomy Bluszczowej Ligi, znam astronomów z Instytutu Custera, są tu właściciele winnic, którzy studiowali we Francji, naukowcy z Plum Island i ośrodka w Brookhaven, akademicy z Uniwersytetu Stony Brook, artyści, poeci, pisarze...

— I archiwistki.

— Owszem. Denerwuje mnie, kiedy ludzie z miasta uważają nas za ciołków.

— Ja tak na pewno nie uważam.

— Przez dziewięć lat mieszkałam na Manhattanie. Miasto mnie zmęczyło. Tęskniłam za domem.

— Wyczuwam w tobie pewne wielkomiejskie wyrafinowanie połączone z wiejskim urokiem. Jesteś tam, gdzie powinnaś.

— Dziękuję.

Zaliczyłem chyba pozytywnie jeden z ważniejszych testów, jakie czekały mnie w drodze ku sypialni.

Jechaliśmy teraz przez uprawne pola i winnice.

— Jesień jest tutaj długa i ospała — powiedziała Emma. —



Gałęzie drzew wciąż uginają się pod owocami, nie zebrano wielu warzyw. W okolicy Święta Dziękczynienia w Nowej Anglii może przószyć śnieg, a u nas wciąż trwają zbiory. Czy cię nie nudzę?

— Ależ skąd. Malujesz słowami przepiękny obraz.

— Dziękuję.

Byłem już na półpiętrze schodów prowadzących na górę. Właściwie trochę się przekomarzaliśmy, jak ludzie, którzy są nieco spięci, bo wiedzą, że mogą wylądować w pościeli.

— Wielka pudernica — stwierdziła Emma, kiedy skręciliśmy w długi podjazd prowadzący do mojej wiktoriańskiej rezydencji.

— Gdzie?

— Tak nazywamy stare wiktoriańskie domy.

— Racja. Swoją drogą moja ciocia należała do Towarzystwa Historycznego Peconic. June Bonner.

— Nazwisko brzmi znajomo.

— Znała Margaret Wiley. Ciocia urodziła się tutaj i dlatego namówiła wujka Harry'ego na ten letni domek.

— Jak brzmiało jej panięskie nazwisko?

— Nie jestem pewien... może Witherspoonhamptonshire.

— Czy robisz sobie żarty z mojego nazwiska?

— Nigdy bym nie śmiał.

— Dowiedz się, jak się nazywała.

— Dobrze — odparłem, zatrzymując się przed wielką pudernicą.

— To stara rodzina, mogę to sprawdzić. Mam mnóstwo wiadomości o starych rodzinach.

— Tak? Dużo szkieletów w szafach?

— Czasami.

— Może w rodzinie ciotki June byli sami złodzieje i kurwy.

— Tak też się zdarza. W moim drzewie genealogicznym jest ich dość sporo.

Zachichotałem.

— Niewykluczone, że nasze rodziny są spokrewnione — powiedziała. — Możemy być spowinowaceni przez małżeństwo.

— Niewykluczone. — Byłem teraz u szczytu schodów, od drzwi sypialni dzieliło mnie zaledwie dziesięć stóp. W rzeczywistości wciąż siedziałem w jeepie. — Jesteśmy na miejscu — oznajmiłem i wysiadłem.

Ona także wysiadła i spojrzała na dom.

— Należy do ciotki? — spytała.

— Należał. Ciocia nie żyje. Wujek Harry chce, żebym go kupił.

— Jest za duży na jedną osobę.

— Mogę go przeciąć na pół.

Weszliśmy do środka, zwiedziliśmy parter, ja sprawdziłem przy okazji automatyczną sekretarkę — żadnych wiadomości — po czym zabrałem z kuchni dwa piwa, wyszliśmy na werandę i usiedliśmy w wiklinowych fotelach.

— Uwielbiam patrzeć na wodę — powiedziała.

— To dobre miejsce, żeby to robić. Siedziałem tu przez kilka miesięcy.

— Kiedy musisz wracać do pracy?

— Nie jestem pewien. W przyszły czwartek mam wizytę u lekarza.

— Jak to się stało, że zająłeś się tą sprawą?

— Poprosił mnie komendant Maxwell.

— Nie widzę twojej łodzi — stwierdziła.

Spojrzałem na rozklekotany pomost.

— Musiała zatonać.

— Zatonać?

— A, teraz sobie przypomniałem. Oddałem ją do naprawy.

— Co masz?

— Eee... to dwudziestoczerostopowy... whaler...?

— Żeglujesz?

— Masz na myśli żaglówkę?

— Tak. Żaglówkę.

— Nie. Wolę motorówki. A ty pływasz na żaglach?

— Trochę.

I tak to szło.

Zdjąłem marynarkę i mokasyny i podwinąłem rękawy koszuli. Ona zsunęła z nóg sandały i oboje oparliśmy bose stopy o balustradę. Jej beżowa sukienka powędrowała kilka cali na północ od kolan.

Przyniosłem lornetkę i na zmianę przyglądaliśmy się zatoce, łodziom, niebu i moczarom, które w czasach, kiedy byłem chłopcem, nazywały się bagnami.

Wypiłem pięć butelek piwa, a ona dzielnie dotrzymywała mi kroku. Lubię kobiety, które nie wylewają za kołnierz. Była lekko wstawiona, ale wciąż miała jasny umysł i nie płatał się jej język.

— To główny przystanek na napowietrznym szlaku biegnącym wzdłuż wybrzeży Atlantyku — powiedziała, trzymając w jednej ręce lornetkę, a w drugiej budweisera. — Coś w rodzaju popasu dla wędrownych ptaków. Widzę stada kanadyjskich gęsi, długie klucze nurów i poszarpaną linię dzikich kaczek — dodała, przyłożywszy do oczu lornetkę. — Wszystkie zatrzymają się tutaj gdzieś do

listopada, a potem ruszą dalej na południe. Rybołowy zatrzymają się dopiero w Ameryce Południowej.

— To dobrze — stwierdziłem.

Położyła lornetkę na kolanach i przez dłuższą chwilę patrzyła na morze.

— W sztormowe dni — podjęła — kiedy wieje silny wiatr z północnego zachodu, niebo robi się srebrzystoszare i ptaki za czynają się dziwnie zachowywać. Jest w tym jakieś niesamowite złowróżbne piękno, które nie tylko można dostrzec, ale i usłyszeć.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu.

— Chcesz zobaczyć resztę domu? — zapytałem w końcu.

— Jasne.

Pierwszym pomieszczeniem, jakie pokazałem jej na górze, była sypialnia, i na tym zwiedzanie dobiegło końca.

Zrzucenie ciuszków zajęło jej właściwie trzy sekundy. Miała naprawdę śliczną równomierną opaleniznę, jędrne ciało i wszystko dokładnie tam, gdzie trzeba, i dokładnie jak to sobie wyobrażałem.

Była naga, kiedy ja wciąż mozoliłem się z guzikami koszuli. Patrzyła, jak się rozbieram, i wlepiła wzrok w rewolwer tkwiący w kaburze na kostce.

— Wymaga tego regulamin — wyjaśniłem, wiedząc, że wielu kobietom niezbyt podoba się, gdy mężczyzna jest uzbrojony. Było to prawdą w Nowym Jorku, ale niekoniecznie tu, na Long Island.

— Fredric też nosi broń — odparła.

Ciekawe.

Tak czy owak, w końcu udało mi się rozebrać, a ona podeszła i dotknęła mojej piersi.

— To oparzenie?

— Nie, dziura od pocisku — odpowiedziałem i odwróciłem się. — Widzisz? To rana wylotowa.

— Mój Boże.

— Kula nie naruszyła żadnego z organów. Zobacz tutaj.

Pokazałem jej ranę na moim podbrzuszu i miejsce na pośladku, gdzie wyszła druga kula. Otarcie na lewej łydce nie było już tak interesujące.

— Mogli cię zabić — stwierdziła.

Wzruszyłem ramionami. Drobiazg, łaskawa pani.

Tak czy owak, cieszyłem się, że sprzątaczką zmieniła pościel, że w nocnej szafce mam kondomy i że Piotruś Pan reaguje na Emmę Whitestone. Wyłączyłem dzwonek telefonu.

A potem przykleknąłem po swojej stronie łóżka, żeby odmówić

swoj pacierz, a ona wskoczyła na łóżko i owinęła mi swoje długie, długie nogi wokół szyi.

Nie wchodząc w detale, poszło nam całkiem dobrze i zasnęliśmy, trzymając się w ramionach. Była miła w dotyku i nie chrapała.

Kiedy się obudziłem, słońce zachodziło za oknem, a Emma spała na boku, zwinięta w kłębek. Czuję, że powinienem zająć się czymś bardziej konstruktywnym aniżeli południowy seks. Ale czym? Miałem skutecznie związane ręce: zdawałem sobie sprawę, że jeśli Max albo Beth nie podzielią się ze mną wynikami ekspertyz i autopsji, będę musiał działać w całkowitym oderwaniu od nowoczesnych zdobyczy kryminalistyki. Potrzebne mi były bilingi telefoniczne, raporty na temat odcisków palców, więcej informacji o Plum Island oraz dostęp do miejsca przestępstwa. I obawiałem się, że na żadną z tych rzeczy nie mogę liczyć.

Pozostawało mi zatem tylko zdzieranie zelówek, korzystanie z telefonu oraz prowadzenie rozmów z ludźmi, którzy mogli coś wiedzieć. Byłem zdecydowany nie wycofywać się niezależnie od tego, czy to się komuś podoba, czy nie.

Przyjrzałem się w przyćmionym świetle Emmie. Urodzona piękność. Z wysokim ilorazem inteligencji.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie.

— Zobaczyłam, że mi się przyglądasz — powiedziała.

— Jesteś bardzo wdzięcznym obiektem obserwacji.

— Masz tutaj jakąś dziewczynę?

— Nie, ale jest ktoś na Manhattanie.

— Manhattan mnie nie obchodzi.

— A ty? — zapytałem.

— Jestem między jednym a drugim romanssem.

— To dobrze. Pojedziemy coś zjeść?

— Może później. Mogę coś przyrządzić.

— Mam sałatę, musztardę, masło, piwo i herbatniki.

Usiadła, przeciągnęła się i ziewnęła.

— Mam ochotę popływać. — Wstała z łóżka i włożyła sukienkę. — Chodźmy na pomost.

— Dobrze — odparłem i włożyłem koszulę.

Zbiegliśmy na dół, wyszliśmy przez gabinet na tylną werandę i ruszyliśmy po trawie w stronę zatoki. Emma rozejrzała się dookoła.

— To ustronne miejsce?

— Raczej tak.

Ściągnęła sukienkę i rzuciła ją na deski pomostu. Ja zrobiłem to samo z koszulą. Stąpając po kamieniach, weszła do wody i zanurzyła się. Ruszyłem za nią.

Woda była zimna i w pierwszej chwili zapało mi dech. Wypląneliśmy poza pomost w ciemne wody zatoki. Była dobrą, silną pływaczką. Poczulem, jak sztywnieje mi prawe ramię i zaczyna rzezić w płucach. Myślałem, że wracają mi siły, ale ten wysiłek trochę mnie wyczerpał. Zawróciłem w stronę pomostu i złapałem się drewnianej drabinki.

Emma wróciła w ślad za mną.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— Jak najbardziej.

Młóciliśmy oboje nogami wodę obok pomostu.

— Uwielbiam pływać nago — oznajmiła.

— Nie musisz się bać, że ktoś odgryzie ci twojego robaczka.

— Łowisz ryby?

— Od czasu do czasu.

— Możesz złapać flądre z tego pomostu.

— Mogę ją kupić w supermarkecie.

— Gdybyś wypłynął łodzią kilkaset jardów, mógłbyś złowić brązowego pstrąga, morlesza albo okonia.

— A gdzie złowię pieczone żeberka?

— Nie powinieneś jeść wołowiny.

— Na lunch zjadłaś hamburgera.

— Wiem. Ale to nie jest zbyt zdrowe. Podobnie jak uprawianie seksu z nieznanymi.

— Jestem facetem, który lubi ryzyko, Emmo.

— Ja chyba też. Nawet cię nie znam.

— Dlatego właśnie mnie lubisz.

Zachichotała.

Prawdę mówiąc, większość kobiet uważa gliniarzy za bezpiecznych partnerów. Spotykając policjanta w barze, zakładają, że nie jest masowym mordercą, przeszedł ostatnio badanie lekarskie i ma prawdopodobnie kilka dolców w portfelu. Kobiety nie są ostatnimi czasy zbyt wymagające.

Przekomarzaliśmy się przez kilka chwil, a potem objęliśmy się i zaczęliśmy całować, co jest naprawdę miłe, kiedy człowiek jest nagi i zanurzony w wodzie. Lubię słoną wodę. Sprawia, że czuję się czysty i lekki.

Całując Emmę, dotknąłem jedną ręką jej niewiarygodnej pupy, drugą piersi. Dawno już nie miałem takiej frajdy. Ona położyła

jedną dłoń na moim pośladku, a drugą objęła mój peryskop, który natychmiast się wyprostował.

— Czy możemy zrobić to w wodzie? — zapytałem.

— To możliwe. Musisz być w dobrej formie. Musisz poruszać stopami i trzymać powietrze w płucach, żeby unosić się na wodzie i jednocześnie... no wiesz... robić to.

— Nie ma problemu. Mój pływak jest wystarczająco duży, żeby utrzymać nas oboje na powierzchni.

Emma roześmiała się. W końcu dokonaliśmy tej wodnej akrobacji, płosząc zapewne przy okazji mnóstwo ryb. Przestało mi rządzić w płucu.

Potem odwróciliśmy się na plecy i unosiły nas fale.

— Zobacz, mój ster wystaje z wody — powiedziałem.

— Myślałam, że to grotmaszt — odparła, zerkając na mnie.

No, dosyć tych wodniackich sprośności. Uniosłem lekko głowę i zobaczyłem, jak Emma oddała się od brzegu wraz z odpływem. W świetle księżycy jej piersi naprawdę wyglądały jak dwie bliźniacze wulkaniczne wyspy.

— Zobacz, John. Spadające gwiazdy. Spojrzałem na południowe niebo i ujrzałem je.

— Pomyśl jakieś życzenie — zawołała.

— Dobrze. Chcę...

— Nie mów, bo się nie spełni.

— To życzenie już się spełniło, Emmo. Ty i ja.

Czy to nie było romantyczne? I zdążyłem się dwa razy pokochać. Gdy opada pożądanie, w człowieku budzi się wstręt albo miłość. Chyba byłem zakochany.

Przez kilka sekund nie odzywała się.

— To było miłe — stwierdziła w końcu.

— Mówiłem serio.

Unosiliśmy się na wodzie.

— Spójrz tam na wschód — powiedziała po kilku minutach. — Widzisz gwiazdozbiór Andromedy?

— Musiałbym nałożyć okulary.

— Tam. Popatrz.

Próbowała połączyć dla mnie kilkanaście gwiazd, ale jeśli nawet była tam w górze jakaś Andromeda, ja jej nie widziałem.

— Tak. Teraz widzę. To ta w wysokich obcasach — oznajmiłem w końcu, nie chcąc być niegrzeczny.

Emma kazała mi spojrzeć dalej na wschód.

— Tam jest Pegaz. Wiesz, ten skrzydlaty rumak Muz.

— Wiem. W zeszłą sobotę postawiłem na niego w piątej gonitwie w Belmont. Przyszedł czwarty.

— Pegaz urodził się z piany morskiej i krwi zabitej Meduzy — ciągnęła Emma, która nauczyła się już mnie ignorować.

— Nie pisali o tym w programie wyścigów.

— Chcesz się znowu pokochać?

— Tak.

— Więc przestań świrować.

— Załatwione — odparłem i zamierzałem dotrzymać obietnicy.

Co za noc: nad głowami jasny księżyc w pełni, wiejąca od brzegu lekka bryza, zapach soli i morza, gwiazdy migoczące na ciemnogramatowym niebie, piękna kobieta tuż obok, nasze ciała unoszące się i opadające w powolnym rytmie fal. Lepiej już chyba być nie może. Reasumując, było to o wiele przyjemniejsze doświadczenie niż moja nieudana randka ze śmiercią.

Znowu pomyślałem o Tomie i Judy. Spojrzałem na niebo i wysłałem im miłą myśl, rodzaj pozdrowienia i pożegnania, a także obietnicy, że zrobię wszystko, by odnaleźć ich zabójcę. Poprosiłem również, żeby dali mi jakąś wskazówkę.

Przypuszczam, że jakiś wpływ miało na to poczucie totalnej błogości, seksualne odprężenie, a może to, że przyglądałem się konstelacjom, łączyłem świetne punkty... cokolwiek to było, odniosło skutek. Cały obraz, piknięcia, punkty, linie, wszystko to połączyło się nagle w okamgnieniu i mój umysł zaczął pracować tak szybko, że nie mogłem nadażyć za własnymi myślami.

— Mam! — wrzasnąłem głośno, wydechając przy tym tyle powietrza, że poszedłem pod wodę.

Po chwili wynurzyłem się, prychając na wszystkie strony. Emma podpłynęła do mnie z zatroskanym wyrazem twarzy.

— Dobrze się czujesz?

— Doskonale!

— Co ci się stało?

— Drzewa kapitana Kidda!

— Drzewa kapitana Kidda!

— Co mi o nich powiedziałaś? — zapytałem, łapiąc ją za ramiona.

— Że rosną przy Zatoce Mattituck.

— Mówimy o piracie, kapitanie Kiddzie, prawda?

— Tak. O Williamie Kiddzie.

— Gdzie jest ta zatoka? — zapytałem.

— Na północ stąd. Dlaczego pytasz?

— Co ma wspólnego kapitan Kidd z tym miejscem?

— Nie wiesz?

— Nie. Dlatego cię pytam.

— Myślałam, że wszyscy wiedzą.

— Ja nie wiem. Powiedz mi.

— Podobno gdzieś tam zakopany jest jego skarb.

— Gdzie?

— Gdzie? Gdybym to wiedziała, byłabym bogata. —  
Uśmiechnęła się. — I na pewno bym ci nie powiedziała.

Jezu. Kręciło mi się w głowie. Wszystko pasowało jak ulał... a może całkowicie się myliłem. Nie, do diabła, wszystko pasowało. Fragmenty łamigłówki, które wyglądały przedtem jak przykład teorii chaosu, teraz połączyły się i stały ogólną teorią wszystkiego.

— Nic ci nie jest? Zrobiłeś się taki błąd. A może siny.

— Czuję się świetnie. Muszę się napić.

— Ja też. Wiatr jest coraz zimniejszy.

Dopłynęliśmy do brzegu, złapaliśmy ubranie i pobiegliśmy nago do domu. Przyniosłem dwa ciepłe szlafroki, dwa kieliszki oraz karafkę wujka Harry'ego i usiedliśmy na werandzie, popijając brandy i obserwując światła na zatoce. Niedaleko domu przepłynęła łódź z żaglem połyskującym upiornie w świetle księżyca. A potem na rozgwieżdżonym niebie pojawiły się poszarpane chmury. Co za noc. Co za noc.

— Jestem blisko. Rozwiążę to — powiedziałem do Toma i  
Judy.

Emma zerknęła na mnie i podniosła kieliszek.

— Opowiedz mi o kapitanie Kiddzie — poprosiłem, nalewając  
jej więcej brandy.

— Co chciałbyś wiedzieć?

— Wszystko.

— Dlaczego?

— Dlaczego...? Bo fascynują mnie piraci.

Przyjrzała mi się z ukosa.

— Od kiedy?

— Od dziecka.

— Czy to ma coś wspólnego z morderstwem?

Spojrzałem na Emmę. Mimo naszego niedawnego zbliżenia prawie jej nie znałem i nie wiedziałem, czy dochowa tajemnicy. Zdałem sobie również sprawę, że zbyttno się podniecam kapitanem Kiddem.

— Jaki może być związek między kapitanem Kiddem a zamordowaniem Gordonów? — zapytałem, starając się wyciszyć



emocje.

— Nie wiem. To ty mi powiedz.

— Jestem po służbie. Ciekawią mnie po prostu historyjki o piratach.

— Ja też jestem po służbie. Żadnej historii aż do jutra.

— W porządku — zgodziłem się. — Zostaniesz na noc?

— Może. Daj mi się zastanowić.

— Proszę bardzo.

Puściłem kasetę z muzyką taneczną i ubrani w szlafroki tańczyliśmy boso na werandzie, piliśmy brandy i przyglądaliśmy się zatoce i gwiazdom.

Był to jeden z tych zaczarowanych wieczorów, jedna z owych magicznych nocy, które często stanowią preludium do czegoś niekoniecznie dobrego.

## Rozdział 19

Pani Emma Whitestone postanowiła zostać na noc.

Wstała wcześniej, znalazła płyn do płukania ust i używała go tak głośno, że się obudziłem. Potem wzięła prysznic, osuszyła włosy moją suszarką, przyczesła je palcami, znalazła w swojej torebce szminkę i coś do oczu i umalowała się, stojąc nago przed moim lustrem.

Następnie włożyła majtki i sandały i wsunęła sukienkę przez głowę.

Była kobietą praktycznie bezobsługową, niewymagającą systemów podtrzymania życia, gdy trzeba spędzić jedną noc poza domem.

Nie przywykłem do tego, żeby dama była gotowa przede mną, i musiałem się zwiąć pod prysznicem. Włożyłem swoje najbardziej obcisłe dżinsy, białą tenisową koszulkę i mokasyny. Trzydziestkęósemkę zostawiłem zamkniętą w szufladzie.

Zgodnie z życzeniem pani Whitestone pojechaliśmy do Cutchogue Diner, lokalu żywcem przeniesionego z lat trzydziestych. W środku siedzieli farmerzy, dostawcy, miejscowi kupcy, kilku turystów, kierowców ciężarówek i być może jeszcze jedna para poznająca się bliżej przy śniadaniu po spędzeniu ze sobą upojnej nocy.

— Czy ludzie nie będą plotkować, kiedy zobaczą cię w tym samym stroju co wczoraj? — zapytałem, kiedy usiedliśmy w małej łoży.

— Przestali plotkować o mnie już wiele lat temu.

— A co z moją reputacją?

— Twoja reputacja, John, może tylko zyskać na tym, że jesteś ze mną.

O tak rannej porze byliśmy nieco zgryźliwi. Emma zamówiła obfite śniadanie — parówki, sadzone jajka, frytki i grzanekę — wyjaśniając, że nie jadła kolacji.

— Wypiłaś swoją kolację — przypomniałem jej. — Proponowałem, że pojedę po pizzę.

— Pizza nie jest dla ciebie dobra.

— To, co zamówiłaś, nie jest dobre dla ciebie.

— Nie będę jadła lunchu. Co z kolacją?

— Właśnie miałem zamiar cię zaprosić.

— Dobrze. Wpadnij po mnie do kwaciarni o szóstej.

— Okej.

Rozejrzałem się i zauważyłem dwóch umundurowanych gliniarzy z Southold, ale ani śladu Maksa. Podano nam jedzenie i zaczęliśmy jeść. Uwielbiam cudzą kuchnię.

— Dlaczego tak cię zainteresował kapitan Kidd? — zapytała Emma.

— Kto? A... ten pirat. To fascynujące, że miał swoją kryjówkę właśnie tutaj, na North Fork. Teraz to sobie przypomniałem. Z czasów kiedy byłem dzieckiem.

— Wczoraj byłeś strasznie podniecony — stwierdziła, bacznie mi się przyglądając.

Po pierwszym wybuchu entuzjazmu, którego żałowałem, próbowałem rozegrać to bez zbytnej emocji. Ale panią Whitestone wciąż ciekawiła moja ciekawość.

— Jeśli znajdę skarb, podzielę się z tobą — oświadczyłem.

— Jesteś słodki.

— Chciałbym jeszcze raz odwiedzić siedzibę Towarzystwa — powiedziałem tak nonszalancko, jak to tylko możliwe. — Może dziś po południu?

— Po co?

— Muszę kupić coś dla mojej mamy w sklepie z pamiątkami.

— Jeśli wstąpisz do Towarzystwa, dam ci zniżkę.

— Świetnie. Mógłbym po ciebie wpaść, powiedzmy, o czwartej?

— Dobrze — zgodziła się, wzruszając ramionami.

Przyjrzałem się Emmie, na której twarz padało słońce. Zdarza się, że rankiem następnego dnia — mówię to z prawdziwym smutkiem — człowiek zastanawia się, gdzie miał oczy zeszej nocy, albo, co gorsza, zajakie grzechy katował tak swojego kutafona. Ale tego ranka czułem się świetnie. Podobała mi się Emma Whitestone. Podobał mi się sposób, w jaki wcinała sadzone jajka, cztery parówki, furę frytek i posmarowaną masłem grzanekę, popijając to wszystko sokiem i herbatą ze śmietanką.

Zerknęła na zegar za kontuarem i uświadomiłem sobie, że nie nosi nawet zegarka. Ta kobieta wydawała się swobodna jak ptak, a jednocześnie była prezesem i archiwistką Towarzystwa Historycznego Peconic. Miły kontrast.

Wiele osób uśmiechało się do niej i mówiło dzień dobry, i widziałem, że jest ogólnie lubiana. Jeśli można z tego odnieść wrażenie, że zakochałem się po raz drugi w tym tygodniu, nie będę zaprzeczał. Martwił mnie tylko brak krytycyzmu Emmy Whitestone wobec mężczyzn, zwłaszcza wobec Fredrica Tobina i być może również wobec mnie. Możliwe, że w ogóle nie oceniała ludzi zbyt surowo. Może lubiła wszystkich mężczyzn. Nie ulega przecież kwestii, że ja i Fredric bardzo się różniliśmy. W nim pociągało ją, jak sądzę, wyrzucenie na tylnej kieszeni, we mnie z pewnością wyrzucenie z przodu spodni.

Tak czy owak, gawędziliśmy sobie mile, a ja zdecydowany byłem nie pomszczać aż do popołudnia tematu piratów ani kapitana Kidda. W końcu jednak ciekawość wzięła górę. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Pożyczyłem ołówek od kelnerki i napisałem na serwetce cyfry 44106818.

— Dużo bym wygrał, gdybym postawił na te numery w loterii? — zapytałem Emmę, obracając ku niej serwetkę.

Uśmiechnęła się między kęsami grzanki.

— Główną nagrodę — odparła. — Skąd masz te cyfry?

— Gdzieś je przeczytałem. Co oznaczają?

Rozejrzała się dookoła i ściszyła głos.

— Kiedy kapitan Kidd siedział w więzieniu w Bostonie oskarżony o piractwo, wysłał gryps do swojej żony Sarah i na samym dole widniały te cyfry.

— I co?

— I przez ostatnie trzysta lat wszyscy próbują zgadnąć, co mogły oznaczać.

— A twoim zdaniem co znaczą?

— Najprawdopodobniej odnoszą się w jakiś sposób do ukrytego skarbu.

— Nie sądzisz, że to po prostu jego numer z pralni chemicznej?

— Znów zaczynasz się wygłupiać?

— Tylko żartowałem. Rozumiesz? Żartowałem.

Przewróciła oczyma. Prawdę mówiąc było trochę za wczesnie na mój humor.

— Nie chcę o tym tutaj mówić — powiedziała. — Ostatnia fala Kiddmanii miała miejsce w latach czterdziestych i nie chcę, żeby

oskarżono mnie, że dałam hasło do kolejnych masowych poszukiwań skarbu.

— W porządku.

— Masz jakieś dzieci? — zapytała mnie.

— Niewykluczone.

— Mówię poważnie.

— Nie, nie mam dzieci. A ty?

— Nie mam. Ale chciałabym mieć.

I tak to szło. Po kilku chwilach wróciłem do tematu cyfr.

— Czy to mogą być współrzędne geograficzne? — zapytałem szeptem.

— To oczywiście — odparła, chociaż najwyraźniej nie chciała o tym mówić. — Ośmiocyfrowe współrzędne geograficzne. Minuty i sekundy. Oznaczony nimi punkt znajduje się gdzieś na Deer Isle w stanie Maine. — Pochyliła się nad stołem i mówiła dalej. — Wszystko, co robił Kidd po powrocie w rejon Nowego Jorku w roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, jest dość dobrze udokumentowane, dzień po dniu, przez wiarygodnych świadków, więc jakakolwiek wizyta na Deer Island w celu zakopania skarbu nie wydaje się prawdopodobna. Istnieje jednak pewna legenda dotycząca Deer Island. John Jacob Astor odnalazł tam ponoć skarb kapitana Kidda albo jakiegoś innego pirata i od tego bierze początek fortuna Astorów. — Pociągnęła łyk herbaty i dodała: — Zakopanemu skarbowi kapitana Kidda poświęcone są dziesiątki książek, sztuk, ballad, plotek, legend i mitów. Dziewięćdziesiąt procent należy do tej ostatniej kategorii, czyli do mitu.

— No dobrze, ale czy te cyfry, które Kidd umieścił w liście do żony, nie świadczą, że jest w tym jakieś ziarno prawdy?

— Owszem, te cyfry coś znaczą. Jeśli nawet są to współrzędne geograficzne, instrumenty nawigacyjne były w tamtych czasach zbyt prymitywne, żeby wyznaczyć dokładnie jakiś punkt. Zwłaszcza jeśli chodzi o długość geograficzną. Metodami dostępnymi w roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym dziewiątym można było wyznaczyć ośmiocyfrowe współrzędne z dokładnością do kilkuset jardów. Także dzisiaj, przy stosowaniu urządzeń satelitarnych, margines błędu może wynosić nawet dwadzieścia stóp. Jeśli ryjesz w ziemi i pomyliłeś się o dwadzieścia stóp, możesz wykopać niepotrzebnie mnóstwo dziur. Moim zdaniem teorię współrzędnych geograficznych można odłożyć ad acta i sprawdzić inne.

— Na przykład jakie?

Westchnęła zniecierpliwiona i ponownie rozejrzała się dookoła.

— Popatrz na to. — Wzięła ołówek i serwetkę i napisała nad każdą cyfrą odpowiadającą jej literę alfabetu. Napis brzmiał DDA-OFHAAH. — Myślę, że kluczem są trzy ostatnie litery — stwierdziła.

— H-A-H?

— Tak. Hah-hah-hah. Rozumiesz?

— Hah-hah. — Przeczytałem to normalnie i wspaniale, a potem odwróciłem serwetkę do góry nogami. — Czy Kidd cierpiał na dysleksję?

Roześmiała się.

— To nie ma sensu, John. Przez ostatnie trzysta lat zmagaly się nad tym umysły większe od twojego czy mojego. I okazało się, że te cyfry pozbawione są jakiegokolwiek znaczenia. Są żartem. Hah-hah-hah.

— Ale dlaczego...? Kidd siedział w więzieniu, groziła mu szubienica...

— No więc dobrze, nie są pozbawione znaczenia i nie są żartem. Ale znaczyły coś wyłącznie dla Kidda i jego żony. Udało jej się odwiedzić go w więzieniu kilka razy. Rozmawiali ze sobą. Byli sobie bardzo oddani. Mógł jej dać jakieś wskazówki ustnie albo w innym liście, którego nie znamy.

To staowało się interesujące. Przypominało rzeczy, którymi zajmuję się w pracy, tyle że ten trop miał trzysta lat.

— Masz jeszcze jakieś inne teorie? — zapytałem.

— Najbardziej przekonująca wydaje się hipoteza, że cyfry oznaczają odległość w krokach. W ten sposób piraci zapisywali za-zwyczajaj, gdzie znajdują się zakopane przez nich skarby.

— Odległość w krokach?

— Tak.

— W krokach liczonych skąd?

— To jest to, o czym wiedziała pani Williamowa Kiddowa, a czego ty nie wiesz.

— Aha. — Zerknąłem na cyfry. — Wygląda mi to na mnóstwo kroków.

— Tu także musisz znać osobisty szyfr. To może znaczyć... — spojrzała na serwetkę — czterdzieści cztery kroki, kurs dziesięć stopni i sześćdziesiąt osiem kroków, kurs osiemnaście stopni. Lub odwrotnie. Lub czytane wspaniale. Kto wie? To i tak nie ma znaczenia, jeśli się nie zna punktu startowego.

— Myślisz, że skarb jest pod jednym z tych dębów? Pod jednym z drzew kapitana Kidda?

— Nie wiem. Skarb albo został odnaleziony — dodała — i jego

odkrywca nie uznał za stosowne powiadomić o tym świata, albo nigdy go nie było, albo do tej pory jest zakopany i pozostanie zakopany na zawsze.

— A ty co myślisz?

— Myślę, że powinnam już otworzyć kwaciarnię.

Zmiała w rękę serwetkę i wsadziła mi ją do kieszeni koszuli. Zapłaciłem rachunek i wyszliśmy. Cutchogue Diner znajdował się pięć minut od siedziby Towarzystwa Historycznego, gdzie Emma zostawiła swoją furgonetkę. Kiedy podjechałem na parking, cmoknęła mnie w policzek, jakbyśmy byli czymś więcej niż tylko kochankami.

— Do zobaczenia o czwartej — powiedziała. — Kwaciarnia Whitestone przy Main Road w Mattituck.

Wysiadła, wskoczyła do furgonetki, zatrąbiła, pomachała mi i odjechała.

Przez jakiś czas siedziałem w moim jeepie, słuchając lokalnych wiadomości. Ruszylibym może gdzieś w drogę, ale nie wiedziałem gdzie. Prawdę mówiąc zbadałem większość tropów, które powinienem zbadać, a nie miałem biura, do którego mógłbym pojechać i przeglądać papiery. Nie oczekiwałem żadnych telefonów od świadków czy z policyjnego laboratorium. Niewielu ludzi wiedziało nawet, gdzie przesłać mi anonimowy donos. W gruncie rzeczy czułem się jak prywatny detektyw, chociaż nie miałem stosownej koncesji.

Mimo to od spotkania z Emmą Whitestone dokonałem kilku zaskakujących odkryć. Gdybym miał jeszcze jakieś wątpliwości, dlaczego Gordonowie zostali zamordowani, powinny je rozwiać te cyfry, 44106818, które znalazłem w ich morskim atlasie.

Z drugiej strony, jeśli Tom i Judy rzeczywiście poszukiwali skarbów — a na podstawie zebranych dowodów nie miałem wątpliwości, że to robili — nie wynikało z tego wcale, że to właśnie z tego powodu spotkała ich śmierć. Jak udowodnić związek między ich archeologicznymi poszukiwaniami na Plum Island i pociskami, które dosięgły ich na własnej przystani?

Wywołałem moją automatyczną sekretarkę. Dwie wiadomości: jedna od Maksa, który pytał, gdzie ma mi wysłać czek na jednego dolara, i druga od mojego szefa, detektywa porucznika Wolfe'a, który ponownie żądał, bym się z nim skontaktował, informując ponadto, że siedzę po same uszy w gównie.

Wrzuciłem bieg i ruszyłem. Czasami dobrze jest po prostu jechać przed siebie.

„Mamy kolejne informacje w sprawie morderstw dokonanych w Nassau Point na dwojgu naukowców z Plum Island — oznajmił facet w radiu. — Policja z Southold oraz policja hrabstwa Suffolk wydały wspólne oświadczenie”.

Spiker — sądząc po głosie, był to Don z wtorkowego ranka — przeczytał je w całości. Jezu, gdybyśmy potrafili skłonić spikerów wielkich sieci w mieście, żeby czytali nasze oświadczenia bez własnych komentarzy, byłibyśmy chyba w siódmym niebie. Wspólne oświadczenie było balonem, w którego gondoli podróżowały wyłącznie dwa trupy. Podkreślano w nim, że motywem zbrodni była kradzież szczepionki przeciwko Eboli. W oddzielnym oświadczeniu FBI informowało, że nie wie jeszcze, czy sprawcy są obywatelami Stanów, czy cudzoziemcami, ale dysponuje kilkoma wyraźnymi tropami. Światowa Organizacja Zdrowia wyraziła z troską z powodu kradzieży tak „ważnej i istotnej szczepionki”, której desperacko potrzebują kraje Trzeciego Świata.

Najbardziej wkurzało mnie to, że autorzy oficjalnej wersji wydarzeń zrobili z Toma i Judy pozbawionych serca cynicznych złodziei: najpierw okradali swoich pracodawców, prowadząc za państwowe pieniądze własne badania, a potem, kiedy udało im się odkiść szczepionkę, ukradli formułę i prawdopodobnie kilka próbek, zamierzając sprzedać je z dużym zyskiem. Tymczasem ludzie w Afryce umierają tysiącami na straszliwą chorobę.

Mogłem sobie wyobrazić, jak Nash, Foster, czterej faceci w garniturach, których widziałem wtedy na przystani, oraz cała banda macherów z Białego Domu i Pentagonu grzeją linie telefoniczne między Plum Island i Waszyngtonem. Kiedy tylko ci geniusze dowiedzieli się, że Gordonowie pracowali przy genetycznie zmodyfikowanych szczepionkach, idealna historyjka nasunęła im się jak gdyby sama przez się. To prawda, chcieli zapobiec wybuchowi paniki, ale byłem gotów założyć się o moją dożywotnią rentę, której jeszcze nie dostałem, że nikt w Waszyngtonie nie pomyślał o reputacji ani o rodzinach Gordonów, układając bajeczkę, gdzie występowali w roli złodziei.

Na ironię losu zakrawało to, że Foster, Nash i rząd byli przekonani, że Gordonowie skradli jakieś śmiertelne zarazki, które posłużą do produkcji broni biologicznej. Waszyngtońscy ważniacy, poczynając od prezydenta i kończąc na niższych szczeblach dowodzenia, w dalszym ciągu spali w nałożonych na pizamy biologicznych skafandrach. I bardzo dobrze. Kit im w oko.

Zatrzymałem się przy delikatesach w Cutchogue i kupiłem kubek



kawy i plik gazet: „New York Timesa”, „Post”, „Daily News” i wydawaną na Long Island „Newsday”. We wszystkich czterech gazetach doniesienia na temat Gordonów relegowano gdzieś na ostatnie strony i ograniczono do kilku linijek. Nawet „Newsday” nie poświęcił lokalnym morderstwom wiele uwagi. Jestem pewien, że sporo osób w Waszyngtonie cieszyło się, że cała historia przestaje budzić wielkie zainteresowanie. Ja też. Podobnie jak im, dawało mi to wolną rękę.

I podczas gdy Foster, Nash i spółka szukali zagranicznych agentów i terrorystów, ja kierowałem się szóstym zmysłem i tym, co sądziłem o Tomie i Judy. Z radością i niezbyt wielkim zaskoczeniem przekonałem się, że nie jestem w błędzie: ta sprawa nie miała nic wspólnego z bronią biologiczną, z narkotykami i w ogóle z jakimkolwiek naruszeniem prawa. Poważnym naruszeniem prawa.

Nie miałem pojęcia, kto ich zamordował. Wiedziałem jednak, że nie są przestępcami, i zamierzałem przywrócić im dobre imię.

Wypiłem kawę, cisnąłem gazety na tylne siedzenie i mszyłem w drogę. Pojechałem do Soundview, nadmorskiego motelu z lat pięćdziesiątych, wszedłem do środka i zapytałem o panów Fostera i Nasha. Recepcjonista poinformował mnie, że dzentelmeni, o których pytam, już się wymeldowali.

Przez jakiś czas kręciłem się... nie chcę powiedzieć bez celu, ale kiedy człowiek nie wie, dokąd i po co jedzie, wtedy albo jest pracownikiem państwowym, albo nie ma celu.

W końcu ruszyłem do Orient Point. Był kolejny ładny dzień, trochę chłodniejszy i bardziej wietrzny, ale przyjemny.

Podjechałem pod przystań promów odchodzących na Plum. Chciałem przyjrzeć się samochodom na parkingu, zobaczyć, czy me dzieje się tam coś niezwykłego, być może wpaść na jakiegoś starego znajomego. Kiedy zbliżyłem się do bramy, na drodze stanął strażnik i podniósł w górę rękę. Będąc człowiekiem gołębiego serca, nie rozjechałem go.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał facet, podchodząc do mojego okna.

Pokazałem mu odznakę.

— Współpracuję z FBI przy sprawie Gordonów — oznajmiłem.

Facet badał przez dłuższą chwilę moją odznakę i legitymację, a ja obserwowałem jego twarz. Najwyraźniej zajmowałem podczas nie miejsce na liście sabotażystów, szpiegów oraz zbrojców i nie był z tego powodu zachwycony. Popatrzył na mnie i odchrząknął.

— Proszę zjechać na bok, wypiszę panu przepustkę.

— W porządku — odparłem i zjechałem na bok.

Nie spodziewałem się strażnika przy bramie, a powinienem był. Facet wszedł do ceglanego budynku, a ja wjechałem na parking. Mam problemy z podporządkowaniem się władzy.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem, były stojące tuż przy wjeździe na prom dwa wojskowe pojazdy opancerzone. W każdym z nich siedzieli żołnierze w mundurach i kiedy podjechałem bliżej, stwierdziłem, że to piechota morska. We wtorek rano nie widziałem na Plum Island ani jednego wojskowego pojazdu, od tego czasu jednak wiele się zmieniło.

Dostrzegłem również dużego czarnego chevroleta caprice, niewykluczone, że tego samego, którego widziałem we wtorek. Zanotowałem jego numery rejestracyjne.

A potem jadąc wzdłuż rzędu zaparkowanych samochodów, zauważyłem białego forda taurusa z numerami biura wynajmu samochodów i domyśliłem się, że przyjechali nim Nash i Foster. Na Plum Island działy się dzisiaj ważne rzeczy.

Na horyzoncie i przy kei nie było żadnego promu i oprócz marines, którzy siedzieli w swoich pojazdach opancerzonych, nigdzie nie widać było żywego ducha.

Kiedy jednak spojrzałem w tylne lusterko, zobaczyłem czterech, dokładnie czterech umundurowanych strażników, którzy biegli w moją stronę, wymachując rękoma i wrzeszcząc. Najwyraźniej źle rozumiałem strażnika przy bramie. Niech to szlag.

Ruszyłem w stronę czterech strażników. Słyszałem teraz, jak krzyczą: „Stój! Stój!”. Na szczęście nie sięgali po broń.

Chciałem, żeby raport, jaki złożą panom Fosterowi i Nashowi, był zabawny, w związku z czym zacząłem krążyć wokół nich, machając ręką i wołając: „Stój! Stój!”. Wykonałem kilka ósemek, następnie zaś, nim ktoś zdążył zamknąć stalową bramę czy użyć broni, ruszyłem ku wyjściu. Skręciłem ostro w lewo w Main Road i dodałem gazu, kierując się z powrotem na zachód. Nikt za mną nie strzelał. Dlatego właśnie kocham ten kraj.

Po dwóch minutach znalazłem się na wąskim pasie lądu, który łączy Orient Point z East Marion. Po prawej ręce miałem cieśninę, po lewej zatokę, pośrodku mnóstwo ptaków. Atlantycki Napowietrzny Szlak Nadbrzeżny. Człowiek codziennie uczy się czegoś nowego.

Nagle z kierunku dwunasta zero zero nadleciała wielka biała mewa. Jej atak był przepięknie wykonany i dokładnie obliczony: długi stromy szus w dół, ślizg, krótki trzepot skrzydeł i nawrót

w górę. Następnie z idealnym wyczuciem czasu otworzyła luki bombowe i spuściła fioletowo-zielony ładunek, który rozprysnął się na przedniej szybie. Taki to był dzień.

Włączyłem wycieraczki, ale zbiornik spryskiwacza był pusty i rozmazałem to świństwo po całej szybie. Fuj. Zjechałem na bok.

— Niech to szlag!

Jak zawsze przygotowany na każdą ewentualność, wziąłem drogą butelkę merlota z tylnego siedzenia, wyjąłem ze schowka mój niezawodny szwajcarski wojskowy szczyryk z korkociągiem, otworzyłem wino i polałem nim przednią szybę przy włączonych wycieraczkach. Potem wypłem trochę. Całkiem niezłe. Polałem znowu szybę i pociągnąłem kilka łyków. Kierowca przejeżdżającego samochodu zatrąbił i pomachał do mnie. Na szczęście miewi ładunek zrobiony był w zasadzie z tego samego co wino i na szybie pozostała tylko fioletowa mgielka. Wypłem do końca zawartość butelki i rzuciłem ją na tylne siedzenie.

Jadąc dalej, pomyślałem o Emmie Whitestone. Jestem facetem, który nazajutrz zawsze wysyła kwiaty. Wysyłanie kwiatów kwiaciarce wydawało się jednak lekką przesadą. Z tego, co wiedziałem, to ona musiałaby zrealizować zamówienie. Zrobiłaby bukiet i wręczyła go sama sobie. Czysta głupota, jak powiedziała by Emma. Musiałem jej kupić jakiś prezent. Wino Tobina również nie wydawało się odpowiednie ze względu na łączące ich kiedyś stosunki. W dodatku Emma mogła mieć wszelkie wyroby miejscowego rękodziela, na jakie tylko miała ochotę. Nienawidzę kupować kobietom ubrań ani biżuterii, ale nie pozostało mi chyba nic innego.

Skrećiwszy z powrotem w Main Road, zatrzymałem się na stacji i zatankowałem. Wlałem również spryskiwacz do zbiornika, umyłem szybę i zainwestowałem parę dolarów w lokalną mapę.

Następnie skorzystałem ze sposobności, żeby sprawdzić, czy nikt nie zaparkował w pobliżu i mnie nie obserwuje. Nie stwierdziłem, by ktoś mnie śledził, a mimo incydentu na Zachodniej Sto Drugiej na ogół potrafię to odkryć.

Chociaż nie groziło mi raczej żadne niebezpieczeństwo, postanowiłem, że pojedę do domu po broń. Potem jednak zmieniłem zdanie.

Uzbrojony wyłącznie w mapę i moją wybitną inteligencję, skierowałem się na północ, w stronę wzgórz. Nie bez pewnych trudności znalazłem właściwą polną drogę, która prowadziła na właściwy pagórek. Zaparkowałem, wysiadłem z samochodu i ruszyłem na górę.

Tym razem pokręciłem się trochę wśród zarośli i wysokiej trawy. Znalazłem głąz, na którym siedziałem, i stwierdziłem, że jest dość duży, by posłużyć jako punkt odniesienia, gdybym chciał tu coś zakopać.

Potem podszedłem do skraju urwiska. Nie ulegało kwestii, że w ciągu ostatnich trzystu lat wzgórze podlegały intensywnej erozji. Przedmiot, który ktoś zakopał od północnej strony — od strony cieśniny — mógł zostać odsłonięty przez wodę i wiatr i spaść na dół, na plażę. Wszystko zaczynało układać się w logiczną całość.

Zszedłem ze wzgórze, wskoczyłem do jeepa i z pomocą mapy dotarłem do zachodniego brzegu zatoki Mattituck. I rzeczywiście zobaczyłem tam... nie, nie drzewa, lecz tablicę z napisem OSIEDLE KAPITANA KIDDA. Jakiś deweloper uznał widać, że trafi tą nazwą w marketingową dziesiątkę.

Osiedle składało się z kilku rancz i utrzymanych w stylu Cape Cod domów z lat sześćdziesiątych. Wjechałem w boczną uliczkę i przystanęm przy jadącym na rowerze chłopcu.

- Wiesz, gdzie są Drzewa Kapitana Kidda? — zapytałem.

Chłopiec, mniej więcej dwunastoletni, nie odpowiedział.

— Gdzieś tutaj, przy brzegu zatoki, rosną dęby, które ludzie nazywają Drzewami Kapitana Kidda — dodałem.

Dzieciak spojrział na mnie, spojrział na mój pojazd z napędem na cztery koła i uznał chyba, że jestem kimś w rodzaju Indiany Jonesa.

— Będzie pan szukał skarbu? — zapytał.

— Nie... chcę tylko sfotografować drzewa.

— Pod jednym z nich zakopał swój skarb.

Wyglądało na to, że wszyscy oprócz mnie wiedzieli świetnie, co w trawie piszczy. Tak to bywa, kiedy człowiek buja w obłokach.

— Gdzie to jest? — zapytałem.

— Wykopałem tam kiedyś z kolegami wielką dziurę, ale przepędzili nas gliniarze. Drzewa są w parku i nie wolno tam kopać.

— Chcę tylko zrobić parę zdjęć.

— Jeśli chce pan kopać, mogę uważać na gliniarzy.

— Dobrze. Prowadź.

Zjechałem w ślad za chłopcem krętą drogą, która prowadziła w stronę cieśniny i kończyła się przy nadbrzeżnym parku, gdzie siedziało kilka młodych matek z dziećmi w wózkach. Po prawej stronie była zatoczka Mattituck, dalej przystań jachtowa. Zjechałem na bok i wysiadłem z samochodu. Nie widziałem żadnych dużych dębów, tylko zarośla i kilka karłowatych drzewek rosnących po drugiej stronie drogi. Na wschodzie zarośla graniczyły z plażą, na

północy z zatoczką. Na zachodzie były wzgórza, a na południu, tam, skąd przyjechałem, Osiedle Kapitana Kidda.

— Gdzie ma pan łopatę? — zapytał mnie dzieciak.

— Zrobią tylko zdjęcia.

— Gdzie ma pan aparat?

— Jak się nazywasz?

— Billy. A pan?

— Johnny. To na pewno właściwe miejsce?

— Jasne.

— Gdzie są Drzewa Kapitana Kidda?

— Tam. W parku — odparł, wskazując porośnięte krzakami pole, które przypominało bardziej rezerwat przyrody niż coś, co mieszkaniec Manhattanu zwykł uważać za park. W dalszym ciągu nie widziałem ani jednego wysokiego dębu.

— Nie widzę żadnych drzew — powiedziałem.

— Tam — stwierdził, pokazując kilka karłowatych dębów, dzikich wiśni i innych drzewek nieprzekraczających dwudziestu stóp wysokości. — Widzi pan to drzewo? Pod nim właśnie kopałem z Jerrym. Którejś nocy tam jeszcze wrócimy.

— Świetny pomysł. Chodźmy je obejrzeć.

Billy rzucił rower na ziemię i ruszyłem z moim nowym partnerem przez pole. Trawa była wysoka, ale krzaki nie rosły zbyt gęsto, w związku z czym szło nam się dość łatwo. Gdyby Billy uważał bardziej na lekcji przyrody, wiedziałby, że tych kilka drzewek nie może mieć trzystu ani czterystu lat. W gruncie rzeczy ja też nie spodziewałem się tu zobaczyć wysokich na sto stóp dębów z wyrzniętymi na korze puszczelami i trupią czaszką.

— Ma pan łopatę w samochodzie? — zapytał Billy.

— Nie. Dzisiaj badam tylko teren. Jutro przyjadą tu buldożery.

— Jeśli znajdzie pan skarb, będzie mi pan musiał odpalić dołą.

— Jeśli znajdę skarb, mój chłopcze — odparłem z najlepszym, na jaki mnie było stać, pirackim akcentem — poderżnę gardła wszystkim, którzy będą się domagali swojej doli.

Billy złapał się oburącz za gardło i głośno zacharczał.

Idąc dalej, kopałem butem piaszczysty grunt i w końcu znalazłem to, czego szukałem — wielki na pół spróchniały pień przykryty roślinnością i glebą.

— Widziałeś tu więcej takich pniaków? — zapytałem Billy'ego.

— Jasne. Są tutaj wszędzie.

Rozglądając się dookoła, wyobraziłem sobie pradawne dęby, które rosły niegdyś w kolonialnych czasach na płaskim terenie przy brzegu

zatoczki. To miejsce stanowiło naturalną przystań dla statków i ludzi. Oczyma wyobraźni ujrzałem trójmasztowiec, który wchodzi do cieśniny i zarzuca kotwicą przy brzegu. Kilku ludzi dopływa szalupą tam, gdzie stał teraz przy drodze mój samochód. Przywiązują łądz do drzewa i schodzą na ląd. Ze sobą niosą skrzynię — dokładnie tak jak Tom i Judy. Żeglarze — William Kidd i kilku jego marynarzy — wchodzi do dębowego lasu, kopią dół, chowają tam skarb, a potem zaznaczają drzewo i odpływają z nadzieją, że kiedyś tu wrócą. I oczywiście nigdy nie wracają. Dlatego tyle jest legend o zakopanych skarbach.

— Pod tym drzewem kopaliśmy razem z Jerryem — oświadczył Billy. — Chce pan zobaczyć?

— Jasne.

Podeszliśmy do wysokiej na piętnaście stóp, rosochatej dzikiej wiśni. Billy pokazał mi płytki dół tuż przy pniu, do połowy zasypany piaskiem.

— To tutaj.

— Dlaczego nie kopaliście z drugiej strony? Albo kilka stóp dalej?

— Nie wiem... zgadywaliśmy. Ma pan może mapę? Z zaznaczonym skarbem?

— Mam. Ale gdybym ci ją pokazał, musiałbyś przejść z zawiązanymi oczyma po desce wystającej z pokładu.

— Aaaach!

Billy spariodował w dość udany sposób upadek w odmęty wieczności. Ruszyłem razem z nim z powrotem do samochodu.

— Dlaczego nie jesteś w szkole? — zapytałem.

— Dziś jest żydowski Nowy Rok.

— Jesteś Żydem?

— Ja nie, ale mam kolegę Żyda. Nazywa się Danny.

— Gdzie jest Danny?

— Poszedł do szkoły.

Chłopak miał zadatki na adwokata.

Podeszliśmy do mojego jeeпа i wyjąłem z portfela pięć dolarów.

— Bardzo mi pomogłeś, Billy.

— Dzięki — odparł, przyjmując banknot. — Mogę panu jeszcze w czymś pomóc?

— Nie. Muszę teraz wracać i złożyć raport w Białym Domu.

— W Białym Domu?

Podniosłem z ziemi rower, podałem go Billy'emu, a potem wsiadłem do jeeпа i zapaliłem silnik.

— Drzewo, pod którym kopaliscie, nie jest dość stare, żeby rosło tutaj w czasach kapitana Kidda — powiedziałem.

— Naprawdę?

— Kapitan Kidd żył przed trzystu laty.

— Kurczę blade.

— Wiesz, gdzie są te stare spróchniałe pnie? Kiedy kapitan Kidd zszedł na ląd, były wielkimi drzewami. Poszukaj skarbu wokół jednego z nich.

— Dzięki!

— Jeśli znajdziesz skarb, zgłoszę się po swoją dołę.

— W porządku. Ale mój kumpel Jerry może poderznąć panu gardło. Ja tego nie zrobię, bo powiedział mi pan, gdzie kopać.

— Jerry może poderznąć gardło tobie.

— Aaarrggghhh! — zacharczał Billy na pożegnanie.

Następny przystanek, prezent dla Emmy. W drodze układałem kolejne fragmenty łamigłówki.

W okolicy mogło się znajdować wiele ukrytych skarbów, ale ten, którego szukali i być może znaleźli Gordonowie, zakopany był na Plum Island. Byłem tego absolutnie pewien.

A ponieważ Plum Island należała w całości do rządu, wszystko, co się tam znajdowało, stanowiło własność państwową, dokładniej rzecz biorąc, własność Departamentu Spraw Wewnętrznych.

W związku z czym najprostszym sposobem pozbawienia cesarza tego, co cesarskie, było przeniesienie skarbu z ziemi cesarza na własną ziemię. Na własną, niewynajmowaną. Dlatego, voila, akur ziemi nabyty od Margaret Wiley.

Pozostawało jednak kilka pytań. Na przykład, skąd Gordonowie wiedzieli, że na Plum Island zakopana jest skrzynia ze złotem? Odpowiedź: dzięki swoim zainteresowaniom oraz udziałowi w pracach Towarzystwa Historycznego Peconic. Względnie ktoś domyślił się już dawno temu, że na Plum Island znajduje się skarb, ale ponieważ nie miał dostępu na wyspę, zaprzyjaźnił się z Gordonami, którzy jako naukowcy mogli poruszać się po niej bez żadnych przeszkód. Następnie ta osoba względnie osoby zdradziły sekret Gordonom, po czym wszyscy razem uknuli spisek i zawarli umowę, podpisaną krwią przy migotliwym płomieniu świecy.

Tom i Judy byli porządnymi obywatelami, ale nie byli świętymi. Przypomniałem sobie Beth mówiącą o „złocie, które uwiodło świętych” i zdałem sobie sprawę, jak bliska była prawdy.

Gordonowie zamierzali zakopać z powrotem skarb na swojej własnej ziemi, a potem odkopać go i zapłacić uczciwie podatek

wujowi Samowi oraz stanowi Nowy Jork. Może ich partner miał inne plany. Tak. Ich partnera nie satysfakcjonowała połowa łupu, od której trzeba było z pewnością zapłacić bająński podatek.

Zacząłem się zastanawiać, ile mógł być wart skarb. Najwyraźniej dosyć, żeby popełnić podwójne morderstwo.

Teoria, jak nauczam moich studentów, musi pasować do wszystkich faktów. Jeśli fakty są sprawdzone i nie pasują do teorii, wtedy trzeba zmienić teorię.

W tej sprawie większość wcześniej poznanych faktów wprowadzała w błąd. Odsuwając je na bok, otrzymałem w końcu coś, co fizycy nazywają ogólną teorią wszystkiego i co obejmowało archeologiczne wykopaliska na Plum Island, kosztowną motorówkę, wynajmowaną za ciężkie pieniądze rezydencję nad samą wodą, *Spirochete* zarzucającą kotwicę przy brzegach Plum Island, członkostwo w Towarzystwie Historycznym Peconic, akcr nienadającej się pozornie do niczego ziemi nad cieśniną i może również podróż do Anglii. Mogłem dodać do tego dziwaczne wywieszanie przez Gordonów pirackiej flagi, brakujący aluminiowy pojemnik oraz ośmiocyfrową liczbę na ich morskiej mapie — ogólna teoria łączyła wszystkie te pozornie niezwiązane ze sobą fakty.

Albo — i było to całkiem duże „albo” — z mózgu wypłynęło mi zbyt wiele krwi i całkowicie się myliłem, kompletnie goniłem w piętękę, umysłowo nie nadawałem się do pracy detektywa, będąc zdalny najwyżej do tego, by zostać stójkowym na Staten Island.

To też było możliwe. Weźmy choćby Fostera i Nasha, dwóch niegłupich skądinąd facetów, którzy mieli do dyspozycji wszelkie możliwe środki, a mimo to kompletnie gonili w piętękę, podążając mylnym tropem. Ich umysły, chociaż bystre, ograniczał wąski światopogląd: globalne intrygi, broń biologiczna, międzynarodowy terroryzm. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie słyszeli o kapitanie Kiddzie. I dobrze.

Niezależnie od mojej ogólnej teorii, były jednak rzeczy, których nie znałem, oraz rzeczy, których nie rozumiałem. Nie wiedziałem na przykład, kto zamordował Toma i Judy Gordonów. Nieraz łapie się mordercę, zanim pozna się wszystkie fakty i zanim zrozumie się zgromadzony materiał — w takim wypadku morderca jest czasami uprzejmy wyjaśnić, czego się nie odkryło, czego nie zrozumiało, jakie były jego motywy i tak dalej. Kiedy składa zeznanie, chce od niego czegoś więcej niż przyznania się do winy — chce się dowiedzieć, jak działa umysł kryminalisty. Przyda mi się to następnym razem, a zawsze jest ten następny raz.



Tym razem miałem to, co uważałem za dowód, lecz nie mordercę. Wiedziałem o nim tyle, że był bardzo sprytny. Nie chciało mi się wierzyć, żeby Gordonowie uknuli spisek z idiotą.

Jednym z punktów na mojej mentalnej mapie tej sprawy były Winnice Tobina. Nawet teraz, kiedy dowiedziałem się o skarbie kapitana Kidda i wymyśliłem swoją ogólną teorię, nie bardzo wiedziałem, w którym miejscu umieścić znajomość łączącą Gordonów i Fredrica Tobina.

Choć z drugiej strony może i wiedziałem... Ruszyłem w stronę winiarni Tobina.

## Rozdział 20

Należące do właściciela winnicy białe porsche stało na parkingu. Zatrzymałem się obok i wysiadłem ze swojego jeeпа.

Parter centralnej wieży łączył różne skrzydła budynku i dostałem się tam przez salę recepcyjną. Na schodach i drzwiach windy, z której wysiadł poprzednio pan Tobin, znajdowały się tabliczki z napisem WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU. Drzwi windy otwierało się kluczem, w związku z czym ruszyłem na górę na piechotę, co i tak na ogół robię, po przeciwpożarowych schodach z betonu i stali, zbudowanych wewnątrz drewnianej wieży. Na każdym piętrze znajdowały się stalowe drzwi opatrzone tabliczką. Na pierwszym: KSIĘGOWOŚĆ. KADRY. FAKTURY; na drugim: SPRZEDAŻ. MARKETING. DOSTAWY i tak dalej.

Na drzwiach na trzecim piętrze widniał napis DYREKCJA. Minąłem je i dotarłem na czwarte, gdzie znajdowały się kolejne stalowe drzwi, tym razem nieoznaczone. Nacisnąłem klamkę, ale były zamknięte. Dostrzegłem zawieszoną pod sufitem kamerę oraz interkom.

Wróciłem na trzecie piętro i otworzyłem drzwi, za którymi znajdowała się recepcja. Pośrodku stało okrągłe biurko, ale nikt z nim nie siedział. Czworko otwartych drzwi prowadziło do gabinetów, które z tego, co mogłem zauważyć, miały kształt fragmentów tortu: oczywisty rezultat tego, że wieża była okrągła. Każdy gabinet miał piękne panoramiczne okno. Pięte drzwi były zamknięte.

W otwartych gabinetach nie zobaczyłem nikogo, a ponieważ było wpół do drugiej, domyśliłem się, że wszyscy są na lunchu.

Wszedłem do recepcji i rozejrzałem się. Skóra, którą obito meble, wyglądała na prawdziwą i była oczywiście purpurowa. Na ścianach

wisiały reprodukcje de Kooninga i Pollocka — względnie pozwolono zawiesić tutaj bohomazy dzieciom i wnukom personelu. Podwieszona pod sufitem kamera wycelowana była prosto na mnie i pomachałem do obiektywu.

Zamknięte drzwi otworzyły się i wyszła zza nich — sprawiająca wrażenie kompetentnej — kobieta koło trzydziestki.

— Czym mogę panu służyć? — zapytała.

— Proszę powiedzieć panu Tobinowi, że chce się z nim zobaczyć pan Corey.

— Czy ma pan umówione spotkanie?

— Spotykamy się ze sobą regularnie.

— Pan Tobin wychodzi właśnie na lunch. Jest już spóźniony.

— W takim razie go podwiozę. Proszę mu powiedzieć, że tutaj jestem. — Nienawidzę świecić w oczy odznaką w gabinecie faceta, chyba że przybywam tam, aby mu pomóc albo zakuć w kajdanki. Delikwent może się czasami wkurzyć, gdy straszy mu się sekretarki blachą i wciska na chama do środka. — Proszę mu powiedzieć, że to ważne — dodałem.

Kobieta zapukała do zamkniętych drzwi, weszła do środka i zamknęła je za sobą. Odczekałem całą minutę, co w moim wypadku świadczy o wyjątkowej cierpliwości, po czym wszedłem w ślad za nią. Pan Tobin i młoda dama stali oboje przy biurku pogrążeni w rozmowie. Fredric skubał swoją krótko ostrzyżoną bródkę i przypominał trochę Mefistofelesa. Miał na sobie blezer w kolorze burgunda, czarne spodnie oraz różową oksfordzką koszulę. Zerknął na mnie, ale nie odwzajemnił mojego szerokiego przyjaznego uśmiechu.

— Przepraszam, że wdzieram się w ten sposób, panie Tobin — oznajmiłem — ale goni mnie trochę czas i wiedziałem, że nie będzie pan miał mi za złe.

Tobin, stojąc przy biurku, odprawił młodą damę. Facet był prawdziwym dżentelmenem; nie okazywał ani cienia gniewu.

— To nieoczekiwana przyjemność — powiedział.

Uwielbiam ten zwrot.

— Dla mnie również — oświadczyłem. — Nie sądziłem, że zobaczymy się przed pańskim bankietem, ale potem zupełnie niespodziewanie padło pańskie nazwisko.

— W jakich okolicznościach?

Kiedy bzykałem pańską dziewczynę, chciałem odrzec, ale miałem dla niego przygotowaną bardziej kulturalną odpowiedź.

— Rozmawiałem po prostu z kimś o tej sprawie, rozumie pan,

o Tomie i Judy, o miłości, jaką darzyli wino, i o tym, jak bardzo cenili sobie znajomość z panem. I ta osoba wspomniała, że ona również знаła pana, a także Toma i Judy. W ten sposób padło pańskie nazwisko.

— I dlatego mnie pan odwiedził? — zapytał Tobin, nie dając się złapać na tę przynętę.

— Właściwie nie — odparłem, nie dodając nic więcej. Chciałem, żeby to przetrawił. Tobin wciąż stał odwrócony plecami do okna. Okrążyłem jego biurko i wyjrzałem na zewnątrz. — Co za widok.

— Najpiękniejszy widok na North Fork, chyba że jest się właścicielem latami morskiej.

— Zgadza się.

Gabinet pana Tobina wychodził na północ, na jego winnice. Nieliczne zachowane na ich terenie pola uprawne i sady tworzyły miły dla oka efekt szachownicy. Dalej wznosiły się polodowcowe wzgórza i z tej wysokości mogłem dostrzec za nimi wody cieśniny.

— Ma pan lornetkę? — zapytałem.

Przez chwilę się wahał, a potem podszedł do kredensu i dał mi lornetkę. Popatrzyłem przez nią na cieśninę.

— Widać stąd wybrzeże Connecticut — skomentowałem.

— Owszem.

Przesunąłem lornetkę na lewo, kierując ją na wzgórze, które moim zdaniem mogło należeć do Toma i Judy.

— Dowiedziałem się właśnie, że Gordonowie kupili tam akr ziemi. Wiedział pan o tym? — zapytałem pana Tobina.

— Nie.

Emma twierdzi coś wręcz przeciwnego, Fredric.

— Mogli się pana poradzić. Zapłacili dwadzieścia pięć kawałków za grunt, na którym nie można nic wybudować.

— Powinni wiedzieć, że prawa budowlane zostały sprzedane hrabstwu.

— Nie mówiłem nic o tym, że prawa budowlane zostały sprzedane hrabstwu — oznajmiłem, odsuwając lornetkę od oczu. — Stwierdziłem tylko, że nie mogli nic zbudować na swojej działce. Powodem mógł być jej rolny status, brak wód podziemnych albo niemożność doprowadzenia prądu. Dlaczego sądzi pan, że prawa budowlane zostały sprzedane hrabstwu?

— Właściwie coś. o tym słyszałem — odparł.

— Aha. Więc wiedział pan, że kupili kawałek ziemi.

— Chyba ktoś mi o tym wspomniał. Nie wiedziałem, gdzie leży

ta działka. Ale słyszałem, że nabyto ją z wyłączeniem praw budowlanych.

— Właśnie.

Odwróciłem się z powrotem do okna i skierowałem ponownie lornetkę na skarpe. Na zachodzie wzgórza opadały ku zatoce Matituck i widziałem teren, na którym znajdowały się drzewa i Osiedle Kapitana Kidda. Po prawej stronie, daleko na wschodzie, widać było Greenport, a także Orient Point i Plum Island.

— To lepsze niż taras widokowy w Empire State Building. Nie jest tak wysoko, ale...

— Czym mogę panu służyć, panie Corey?

— Jest pan prawdziwym pieśczochem losu — stwierdziłem, ignorując jego pytanie. — Czteryśta akrów pierwszorzędnej ziemi, dom nad wodą, porsche i kto wie co jeszcze. I siedzi pan tutaj w tej czteropiętrowej wieży... swoją drogą, co jest na czwartym piętrze?

— Mój apartament.

— No widzi pan. Kobiety chyba to uwielbiają?

Pan Tobin puścił tę uwagę mimo uszu.

— Po naszym wczorajszym spotkaniu rozmawiałem z moim adwokatem — oświadczył.

— Naprawdę?

— Poradził mi, żebym rozmawiał z policją tylko w jego obecności.

— To pańskie prawo. Powiedziałem panu o tym.

— Po dokładniejszym zbadaniu przez niego sprawy wyszło również na jaw, że nie jest już pan zatrudniony jako konsultant przez komendanta Maxwella i że nie był pan zatrudniony przez gminę w trakcie rozmowy ze mną.

— To kwestia dyskusji.

— Tak czy owak nie przebywa pan tutaj w oficjalnym charakterze.

— W porządku. A skoro nie jestem już policjantem, może pan ze mną swobodnie rozmawiać. To chyba proste.

Fredric zignorował moją uwagę.

— Mój adwokat obiecał, że będzie współpracował z tutejszą policją, został jednak poinformowany, że komendantowi Maxwellowi nie jest potrzebna ani jego, ani moja współpraca. Komendantowi Maxwellowi nie spodobało się, że pan tu przyszedł i mnie wypytywał. Wprawił pan w zakłopotanie jego i mnie. Musi pan wiedzieć, że jestem hojnym sponsorem czołowych tutejszych polityków — dodał — nie szczędzę czasu i pieniędzy na odbudowę i konserwację

miejscowych zabytków, wspieram finansowo szpital i liczne organizacje charytatywne, w tym również Towarzystwo Dobroczynne Policji. Czy wyraziłem się jasno?

— Ależ oczywiście. Już jakieś dziesięć zdań wcześniej. Wpadłem tylko, żeby zapytać, czy mogę zabrać pana na lunch.

— Umówiłem się już z kimś innym.

— W porządku, może zjemy coś innym razem.

— Naprawdę muszę już iść — oświadczył, spoglądając na zegarek.

— Jasne. Zjadę razem z panem windą.

Tobin wzięł głęboki oddech, kiwnął głową i wyszliśmy z jego gabinetu do sekretariatu.

— Pan Corey załatwił to, co miał do załatwienia, i nie będzie musiał tu wracać — oznajmił sekretarce.

To się nazywa kultura. Facet mógłby mi wsunąć naoliwionego kutafona i przez kilka dni nawet bym nie poczuł.

Pan T. włożył klucz do zamka windy, która niezwłocznie stawiała się na wezwanie.

— Pamięta pan tę butelkę merlota? — zapytałem, kiedy wsiedliśmy, chcąc przerwać niezręczne milczenie. — Bardzo mi się przydała. To naprawdę głupie, może zabawne, choć pan chyba nie podzieli mojego zdania... musiałem użyć wina, żeby zmyć ptasie gówno z przedniej szyby samochodu.

— Co?

Drzwi windy otworzyły się i wyszliśmy na zewnątrz.

— Wielka mewa zbombardowała moją przednią szybę — wyjaśniłem. Tobin ponownie spojrzął na zegarek. — Druga połowa, którą wypilem, była bardzo dobra. Niezbyt odważna.

— To straszne marnotrawstwo markowego wina — stwierdził.

— Wiedziałem, że pan to powie.

Tobin przeszedł przez drzwi, które prowadziły do recepcji dla odwiedzających. Podążyłem w ślad za nim.

— A propos tej pani, która sprawiła, że przyszło mi na myśl pańskie nazwisko... pamięta pan?

— Tak?

— Twierdzi, że była pańską przyjaciółką. Ale mnóstwo ludzi tak twierdzi, choć są tylko znajomymi, którzy chcą, żeby spłynęło na nich trochę pańskiego blasku.

Nie odpowiedział. Ciężko jest sprowokować kogoś, kto odgrywa pana na włościach. Pan Tobin nie zamierzał tracić zimnej krwi.

— Tak czy owak ta pani twierdzi, że była pańską przyjaciółką. Zna pan Emmę Whitestone?

Pan Tobin zmylił chyba na chwilę krok, ale potem ruszył dalej i zatrzymał się dopiero przy samochodzie.

— Owszem, spotykaliśmy się ze sobą mniej więcej przed rokiem — powiedział.

— I pozostaliście przyjaciółmi?

— Dlaczego nie?

— Wszystkie moje były chcą mnie utopić w łyżce wody.

— Nie mam pojęcia dlaczego.

Zachichotałem. To dziwne, mimo że podejrzewałem go o zamordowanie moich przyjaciół, wciąż lubiłem tego faceta. Nie zrozumcie mnie źle: jeśli to naprawdę jego sprawka, postaram się, by podłączyli go do prądu względnie stracili w dowolny inny sposób, jaki preferuje się w tym stanie. Teraz jednak odpowiadałem grzecznością na grzeczność.

Inną dziwną rzeczą było to, że od naszego poprzedniego spotkania okazało się, że coś nas łączy. To znaczy dotarliśmy tam, gdzie dotarło przed nami niewielu mężczyzn... no, może trochę więcej niż niewielu. Miałem ochotę poklepać go po plecach i zapytać: „Powiedz, Freddie, miałeś z nią taką samą frajdę jak ja?” czy coś w tym rodzaju. Ale dzentelmeni nie całują się i nie opowiadają o swoich podbojach.

— Wyczuwam, że sądzi pan, iż wiem o Gordonach więcej, niż mówię — oświadczył Fredric Tobin. — Zapewniam pana, że tak nie jest. Jeśli jednak policja w Southold albo Suffolk będzie chciała, abym złożył zeznanie, z radością to zrobię. Tymczasem jest pan tu mile widziany jako klient i jako zaproszony do mojego domu gość. Nie jest pan mile widziany w moim biurze i nie życzę sobie, żeby zadawał mi pan jeszcze jakieś pytania.

— Brzmi to rozsądnie.

— Do widzenia.

— Życzę smacznego.

Tobin wszedł do swojego porsche i odjechał. Spojrzałem na wieżę, nad którą powiewała jego flaga. Jeśli facet ukrywał jakieś dowody rzeczowe, mogły się znajdować albo w jego nadmorskiej rezydencji, albo w apartamencie na najwyższym piętrze wieży. Ponieważ oficjalne przeszukanie było raczej wykluczone i nie sądziłem, by jakiś sędzia wydał nakaz rewizji, wyglądało na to, że będę musiał sam sobie wydać nakaz rewizji o północy.

Jadąc z powrotem jeepem, połączyłem się z moją automatyczną sekretarką i otrzymałem dwie wiadomości. Pierwsza pochodziła od niezidentyfikowanej biurwy z działu kadr nowojorskiej policji.

Oznajmiła, że moje badanie lekarskie zostało przesunięte na przyszły wtorek, i prosiła, żebym potwierdził otrzymanie wiadomości. Nie mogąc się z tobą skontaktować, szefowie zawsze proszą jakiegoś podwładnego albo kogoś z księgowości lub działu kadr, żeby powiadomił cię telefonicznie o sprawie, na którą trzeba odpowiedzieć. Nienawidzę chowania się za cudzymi plecami.

Następną wiadomość przekazała moja była partnerka, Beth Penrose.

„Cześć, John — powiedziała. — Przepraszam, że się wcześniej nie odzywałam, ale mieliśmy tutaj urwanie głowy. Wiem, że oficjalnie nie pracujesz już nad tą sprawą, ale jest kilka rzeczy, które chciałabym z tobą przedyskutować. Może spotkalibyśmy się jutro po południu? Zadzwoń do mnie albo ja zadzwonię do ciebie i ustalimy czas i miejsce. Uważaj na siebie”.

No tak. Jej ton był przyjazny, ale nie tak jak wówczas, gdy ostatnio rozmawialiśmy. Nie wspominając już o cmoknięciu w policzek. Nie wiem, może prawienie sobie czułości za pośrednictwem automatycznej sekretarki to nie najlepszy pomysł. Co bardziej prawdopodobne, gorące uczucie, jakie rozkwitło w trakcie tych dwu intensywnych dni, przywiodło, gdy wróciła do swojej firmy i swojego świata. To się zdarza.

Teraz miała ochotę przedyskutować ze mną kilka spraw, co oznaczało, że chce się dowiedzieć, czy czegoś nie odkryłem. Dla Beth Penrose stałem się po prostu jednym z wielu świadków. Może jestem cyniczny. A może musiałem usunąć z moich myśli Beth Penrose, aby umieścić tam Emmę Whitestone. Nigdy nie byłem dobry w godzeniu ze sobą kilku romansów. To gorsze niż jednoczesne prowadzenie tuzina spraw o zabójstwo i o wiele bardziej niebezpieczne.

Tak czy inaczej musiałem kupić prezent Emmie i zauważyłem przy Main Street sklep z antykami. Zatrzymałem się i wysiadłem. W Ameryce wspaniałe jest to, że w obrocie znajduje się znacznie więcej antyków, niż zostało oryginalnie wytworzonych.

Przez chwilę rozglądałem się bezradnie dookoła i właścicielka, miła drobna starsza pani, zapytała, czy może mi pomóc.

— Potrzebuję prezentu dla młodej damy.

— Dla żony? Córki?

Dla kogoś, kogo dobrze nie znam, ale z kim się przespałem.

— Dla przyjaciółki.

— Aha.



Pokazała mi kilka rzeczy, ale jestem zupełnie zielony, jeśli chodzi o antyki. W końcu wpadł mi do głowy genialny pomysł.

— Czy jest pani członkiem Towarzystwa Historycznego Peconic? — zapytałem.

— Nie, ale należę do Towarzystwa Historycznego Southold.

Wielki Boże, nie mieli chyba tutaj innych rzeczy do roboty.

— Zna pani może Emmę Whitestone?

— Oczywiście. Bardzo sympatyczna młoda dama.

— Dokładnie. Szukam czegoś dla niej.

— To miło z pana strony. Z jakiej okazji?

Standardowy upominek postkoitalny w dowód wdzięczności i afektu.

— Pomogła mi odnaleźć coś w archiwum.

— Jest w tym bardzo dobra. Czego pan szukał?

— Może to głupio zabrzmiało, ale od dzieciństwa fascynowali mnie piraci.

Właścicielka sklepu zachichotała. A może zarechotała.

— Nasze wybrzeża odwiedzał słynny kapitan Kidd — powiedziała.

— Naprawdę?

— Przed wojną o niepodległość kręciło się tu wiele piratów. Łupili Francuzów i Hiszpanów na Karaibach, a potem przyплыwali na północ, żeby wydać zdobyte pieniądze albo zreperować swoje statki. Niektórzy osiedlali się w tych stronach. Mając tyle złota i diamentów, szybko stawali się czołowymi obywatelami — dodała z uśmiechem. — Wiele starych fortun wyrosło tutaj z pirackich łupów.

Spodobał mi się staroświecki sposób, w jaki się wysławiała.

— Wiele współczesnych fortun bierze początek z korporacyjnego piractwa — skomentowałem.

— Nie znam się na tym, ale wiem, że ci, co przemycają narkotyki, przypominają starych piratów. Kiedy byłam małą dziewczynką, mieliśmy szmuglerów rumu. Nasza społeczność szanuje prawo, ale tuż obok przebiegają szlaki morskie.

— Oraz Nadbrzeżny Szlak Atlantycki.

— To dotyczy ptaków.

— Owszem.

Po kilku minutach pogawędki przedstawiłem się jako John, a ona jako pani Simmons.

— Czy Towarzystwo Historyczne Southold dysponuje jakimiś informacjami na temat piratów? — zapytałem.

— Tak. Ale niezbyt wieloma. Mamy w naszym archiwum kilka oryginalnych listów i dokumentów. A w naszym małym muzeum oryginalny list gończy.

— Macie może autentyczną mapę z zaznaczonym skarbem, którą mógłbym skopiować?

Pani Simmons uśmiechnęła się.

— Zna pani Fredrica Tobina? — zapytałem.

— Kto go nie zna? Bogaty jak Krezus.

— Czy należy do waszego Towarzystwa? Pan Tobin, nie Krezus.

— Nie, ale hojnie wspiera naszą działalność.

— Czy odwiedza wasze archiwum?

— Z tego, co wiem, odwiedzał. Ale nie w ostatnim roku.

Pokiwałem głową. Musiałem pamiętać, że to nie Manhattan, że cała tutejsza społeczność liczy około dwudziestu tysięcy mieszkańców i choć nie można powiedzieć, że wszyscy się znają, prawdą jest, że każdy zna kogoś, kto zna kogoś innego. Dla detektywa to prawdziwa żyła złota.

Tak czy owak przynajmniej jedna z moich kwerend zakończyła się sukcesem.

— Czy może pani polecić coś dla pani Whitestone? — zapytałem.

— O jakiej mówimy cenie?

— Nic nie jest zbyt drogie dla pani Whitestone. Pięćdziesiąt dolarów.

— No cóż...

— Sto.

Pani Simmons uśmiechnęła się i pokazała mi porcelanowy nocnik z rączką, ozdobiony ręcznie malowanymi różami.

— Emma je kolekcjonuje — powiedziała.

— Nocniki?

— Tak. Używa ich w charakterze donic. Zebrała całkiem dużą kolekcję.

— Jest pani pewna?

— Oczywiście. Trzymam go dla niej, żeby obejrzała. Wykonano go w Anglii w stylu późnowiktoriańskim.

— W porządku... biorę go.

— Właściwie kosztuje trochę więcej niż sto dolarów.

— To znaczy?

— Dwieście.

— Czy był kiedykolwiek używany?

— Tak mi się wydaje.

- Można u pani płacić Visa?
- Oczywiście.
- Może pani go zapakować?
- Włożę go do specjalnej torby na upominki.
- Może pani zawiązać kokardkę na rączce?
- Jak pan sobie życzy.

Po sfinalizowaniu transakcji opuściłem sklep z antykami, ze wspaniałym nocnikiem w ślicznej różowo-zielonej torbie.

Następnie udałem się do Biblioteki Publicznej Cutchogue, założonej w 1841 i wciąż wypłacającej te same pensje. Biblioteka mieściła się na skraju wiejskich błoni, w dużym drewnianym budynku z wieżyczką, wyglądającym, jakby kiedyś był w nim kościół.

Zaparkowałem i wszedłem do środka. Za biurkiem siedziała groźnie wyglądająca starsza dama, która zerknęła na mnie znad połówek okularów. Uśmiechnąłem się do niej i przeszedłem dalej.

Nad półkami wisiał wielki transparent z napisem: ZNAJDŹ UKRYTY SKARB — CZYTAJ KSIĄŻKI. Świetna rada.

Znalazłem katalog, który, dzięki Bogu, nie był skomputeryzowany, i po dziesięciu minutach siedziałem już w alkwie, przeglądając informator zatytułowany *Księga skarbów*.

Przeczytałem tam o jakimś Johnie Shelbym z Thackham w Anglii, który w roku 1672 spadł z konia w zarośla i znalazł w nich żelazny garnek zawierający więcej niż pięćset złotych monet. Zgodnie z angielskim prawem wszelka ukryta bądź utracona własność należała do Korony. Shelby nie chciał jednak oddać złota królewskim urzędnikom, w związku z czym aresztowano go, oskarżono o zdradę i ścięto. Była to chyba ulubiona historyjka pracowników urzędu skarbowego.

Przeczytałem o stanowych oraz federalnych przepisach regulujących kwestię odnalezionych skarbów. Generalnie zasada była prosta: „Znalazca skarb zatrzymuje, ten, co go stracił, w brodę sobie pluje”.

Funkcjonowało jednak coś, co nazywało się Ustawą o Ochronie Amerykańskich Zabytków, i było raczej jasne, że wszystko, co zostało odkryte na państwowej ziemi, podpadało pod jurysdykcję sekretarza rolnictwa, obrony albo spraw wewnętrznych w zależności od tego, do kogo należał dany teren. Każdy, kto chciał prowadzić wykopaliska na państwowej ziemi, musiał uzyskać pozwolenie, a wszystko, co znalazł, i tak należało do Wuja Sama. Naprawdę złoty interes.

Kiedy jednak znalazło się pieniądze, kosztowności i w ogóle

cokolwiek wartościowego na własnej ziemi, skarb przechodził na własność znalazcy pod warunkiem, że udowodnił trzy rzeczy: że pierwotny właściciel nie żyje, jego spadkobiercy nie są znani, a własność nie pochodzi z kradzieży. Można było również zatrzymać skarb, jeśli pochodził z kradzieży, a jego prawowici właściciele nie żyli, byli nieznanymi bądź też byli wrogami państwa w czasie, gdy został zdobyty. Jako przykład podawano tu pirackie skarby oraz wojenne łupy i trofea. Jak na razie nieźle.

I żeby tę korzystną sytuację uczynić jeszcze korzystniejszą, urząd skarbowy w jakimś niewiarygodnym akcie wielkoduszności wymagał uiszczenia podatku tylko od tej części skarbu, którą spieniężyło się w danym roku, o ile znalazca nie był profesjonalnym poszukiwaczem skarbów. Zatem jeśli ktoś był na przykład biologiem, posiadał kawałek ziemi i przypadkiem bądź też w rezultacie zabawy w archeologię znalazł w niej zakopany skarb wart, powiedzmy, dziesięć albo dwadzieścia milionów dolarów, nie płacił od niego ani grosza podatku, dopóki nie sprzedał jakiejś części. Życie nie umierać. Przyszło mi do głowy, czy w ramach hobby nie zająć się poszukiwaniem skarbów. Jeśli się dobrze zastanowić, robiłem to właśnie w tej chwili.

Gdy skarb miał wartość historyczną albo był związany z kulturą narodową — wyczytałem dalej — wtedy jego wartość mogła niepomiaralnie wzrosnąć. W tym miejscu w książce przytaczano konkretny przykład zaginionego skarbu kapitana Kidda.

Przeczytałem jeszcze kilkanaście stron, zapoznając się z paroma interesującymi przykładami i historiami. Jedna z nich zwróciła moją szczególną uwagę: w roku 1950 pewien człowiek przeglądał stare papiery w dziale admiralicji Archiwum Publicznego w Londynie. Natknął się na wyblakły list napisany w 1750 przez słynnego pirata, niejakiego Charlesa Wilsona, do swego brata. List odnaleziono na pirackim statku zdobytym przez brytyjską flotę. „Mój bracie, pisał Wilson, sto kroków na północ od drugiej zatoczki na Chincoteague Island w Wirginii płyną trzy strumyki. U źródła najdalej wysuniętego na północ strumyka wznosi się wzgórze, na którym oddzielone od siebie o półtora jarda rosną trzy cedry. Między tymi drzewami zakopałem dziesięć żelaznych skrzyń ze srebrem, złotem, brylantami i biżuterią na sumę dwustu tysięcy funtów szterlingów. Udaj się potajemnie na to wzgórze i odkop skarb”.

Jak można się domyślać, brat Charlesa Wilsona nie otrzymał tego listu, ponieważ zdobyła go brytyjska marynarka. Kto zatem znalazł skarb? Brytyjska marynarka? Czy człowiek, który dwieście

lat później znalazł ten list w Archiwum Publicznym? Autor *Księgi skarbów* milczał na ten temat.

Ważne było, że istniało coś takiego jak dział admiralicji w Archiwum Publicznym w Londynie i Bóg jeden wie, co można było tam znaleźć, jeśli człowiek dysponował czasem, cierpliwością, szkłem powiększającym, znajomością starej angielszczyzny i miał w sobie trochę optymizmu, chęci zysku oraz żądzy przygód. Miałem wrażenie, że wiem już, czym zajmowali się Gordonowie w Londynie w ciągu tego tygodnia w zeszłym roku.

Musiałem założyć, że przeczytali to, co czytałem w tej chwili, i znali paragrafy dotyczące odnalezionych skarbów. Nawet bez tego zdrowy rozsądek podpowiedziałby im, że wszystko, co znajdą na Plum Island, należy do państwa — nie ma mowy o żadnym pół na pół i w ogóle o żadnym podziale — i że wszystko, co znajdą na terenie swej wynajętej posiadłości, należy do właściciela, a nie do podnajemców. Nie trzeba kończyć prawa, żeby to wiedzieć.

Wtedy prawdopodobnie przyszło im do głowy, że łatwo rozwiążą problem własności, trzymając w tajemnicy fakt, że znaleźli coś na Plum Island. Nieco później zaś uświadomili sobie, że lepiej zrobią — i na dłuższą metę bardziej im się to opłaci — jeśli zmienią miejsce odkrycia skarbu, ogłoszą, że go znaleźli, zyskają sławę, zapłacą podatek wyłącznie od tego, co spieniężą każdego roku, i przejdą do historii jako para młodych doktorów biologii, którzy znaleźli skarb kapitana Kidda i stali się nieprzyzwoicie bogaci.

Wyłoniło się jednak kilka problemów. Po pierwsze musieli wiedzieć z Plum Island to, co na niej znaleźli. Po drugie zakopać skarb w taki sposób, by jego ponowne odkrycie nie tylko sprawiało pozory prawdopodobieństwa, ale żeby nie można go było naukowo podważyć. Rozwiązaniem było zerodowane urwisko.

Wszystko to wydawało mi się logiczne. Im również wydawało się logiczne, ale gdzieś po drodze Tom i Judy zrobili albo powiedzieli coś, co sprawiło, że zostali zamordowani.

Fredric Tobin okłamał mnie kilka razy, między innymi w kwestii charakteru swojej znajomości z Gordonami, którą można było interpretować na różne sposoby. Poza tym był bankrutem albo znalazł się już na najlepszej drodze, żeby nim zostać. Dla detektywa prowadzącego sprawę zabójstwa było to coś w rodzaju migającego czerwonego światła albo dzwonka alarmowego.

Tobin nie tylko zaprzyjaźnił się z Gordonami, lecz uwiódł — lub w każdym razie oczarował — Emmę Whitestone, historyczkę i archiwistkę. To prawdopodobnie Tobin dowiedział się w jakiś

sposób, że na Plum Island znajduje się zakopany skarb. I to prawdopodobnie Tobin fundnął Gordonom tygodniowy pobyt w Londynie, żeby to zbadali i w miarę możliwości ustalili dokładną lokalizację.

Fredric Tobin był moim głównym podejrzanym, ale nie skreślałem na razie z listy Paula Stevensa oraz innych osób na Plum Island. Wszystko wskazywało na to, że spisek był większy, niż początkowo sądziłem, i że mogli w nim uczestniczyć Stevens, Zollner, inni pracownicy ośrodka, Tobin oraz... Emma Whitestone.

# Rozdział 21

Znalazłem kwaciarnię Emmy bez większych kłopotów; w ciągu ostatnich trzech miesięcy wiele razy ją mijałem.

Zaparkowałem nieopodal, przejrzałem się w tylnym lusterku, wysiadłem i wszedłem do środka.

W kwaciarni było pełno kwiatów i unosił się przyjemny zapach.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał młodzieniec za ladą.

— Umówiłem się tutaj z Emmą Whitestone.

— Pan John?

— We własnej osobie.

— Miała kilka dostaw... niech pan poczeka. Janet! — zawołał, obracając się do tyłu.

Z pokoiku na zapleczu wyszła Janet, kobieta powyżej czterdziestki, a także młodsza, dwudziestokilkuletnia dziewczyna, którą Janet przedstawiła jako Ann.

— Emma prosiła, żeby spotkał się pan z nią w siedzibie Towarzystwa Historycznego — poinformowała mnie.

— Nie ma sprawy.

— Mówiła, że nie mogła się z panem skontaktować — kontynuowała Janet.

— Nic się nie stało. Trafię tam bez trudu.

— Może się trochę spóźnić — dodała Ann. — Musi dostarczyć kwiaty kilku klientom.

— Drobiazg. Zaczekam tam na nią. Jeśli będzie trzeba, będę czekał całą noc.

Czy do przekazania mi prostej informacji potrzebne były aż trzy osoby? Najwyraźniej wszyscy chcieli mi się przyjrzeć.

— Proszę zatelefonować, gdyby miał pan jakiś problem — oznajmił młody człowiek, wręczając mi wizytówkę.

— Z pewnością to zrobię. Dziękuję państwu wszystkim za pomoc. — Podszedłem do wyjścia i odwróciłem się. — Emma ma naprawdę miłą kwiaciarnię — dodałem.

Wszyscy troje się uśmiechnęli.

Sprawdzian został zaliczony.

Jadąc z powrotem do Cutchogue, rozmyślałem o Emmie. Byłem naprawdę podły, dopuszczając do siebie myśl, że jest w zмовie z Tobinem i nie wiadomo z kim jeszcze. W końcu cały personel kwiaciarni pofatygował się, żeby zerknąć na jej nowego przyjaciela.

Z drugiej strony, łądując w łóżku z dopiero co poznaną kobietą, człowiek zastanawia się, czy sprawił to jego urok, czy fakt, że miała ona w tym jakiś ukryty cel. Ale to ja szukałem z nią kontaktu, nie na odwrót. Skąd wziąłem jej nazwisko? Od Margaret Wiley? Nie, znalazłem je wcześniej w notesie Gordonów na Plum Island. Wszyscy ci ludzie wydawali się ze sobą związani. Może Margaret też brała udział w spisku. Może brali w nim udział wszyscy dorośli mieszkańcy North Fork, a ja byłem jedynym człowiekiem z zewnątrz. Podobnie jak w jednym z tych horrorów, gdzie Bogu ducha winny turysta zjawia się w wiosce, której cała ludność składa się z czarowników i wiedźm, i nim się spostrzeże, pożerają go na obiad.

Zajechałem na niewielki parking przed budynkiem Towarzystwa Historycznego. Nie widziałem nigdzie furgonetki z kwiaciarni, ale obok stał dziesięcioletni ford.

Zostawiłem nocnik na tylnym siedzeniu, uznając, że nie powinienem go chyba teraz wręczać. Może po kolacji będzie bardziej odpowiednia pora.

Do drzwi przyklepiona była kolejna karteczka z napisem „Wejdz”, w związku z czym wszedłem.

— Emma! — zawołałem, wchodząc do wielkiej sieni. Żadnej odpowiedzi. Minąłem kilka pokoiów i zawołałem ponownie. Cisza. Nie chciało mi się wierzyć, że wyszła gdzieś, zostawiając w otwar domu wszystkie te antyki.

Podszedłem do schodów i zawołałem kolejny raz. Bez odpowiedzi. Przyszło mi do głowy, że może siedzi na klozecie i nie powinienem wydierać się w ten sposób. Gdyby chwilę poczekała, mogłaby użyć mojego upominku.

Tak czy owak zacząłem wchodzić po schodach, które skrzypiały



przy każdym kroku. Nie chcę powiedzieć, że żałowałem, że nie wziąłem ze sobą broni, ale żałowałem, że nie wziąłem ze sobą broni.

Wszedłem na pierwsze piętro i przez chwilę nasłuchiwałem. Żadnych dźwięków prócz tych, które wydaje normalnie stary dom. Postanowiłem, że zajrzę do saloniku, który znajdował się w połowie długiego korytarza.

Podszedłem do drzwi, które były zamknięte, i otworzyłem je. Zawiasy przeraźliwie zaskrzypiały. Jezu.

Wszedłem do środka i nagle zza do połowy otwartych drzwi rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk. Odwróciłem się i zobaczyłem Emmę, która skoczyła na mnie z obnażonym kordem, wbijając mi go w brzuch.

— Giń, podły piracie! — wrzasnęła.

Serce skoczyło mi w piersi i o mało nie zsiąłem się w spodnie.

— Zabawne — stwierdziłem z uśmiechem.

— Przestraszyłeś się, nie?

Miała na głowie trójgraniasty kapelusz, a w ręku miękką plastikowy kord.

— Trochę mnie zaskoczyłaś.

— Wyglądałaś na więcej niż zaskoczonego. Uspokoiwszy się, zobaczyłem, że ma na sobie brązowe spodnie, niebieską bluzkę i sandały.

— Wzięłam ten kord i kapelusz ze sklepu z upominkami — powiedziała. — Mamy tam cały dział dzieciennych zabawek.

Podeszła do kominka i podniosła ze stojącego obok fotela czarny piracki kapelusz z białą trupa czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, oraz plastikową szablę, przepaskę na oko i coś, co przypominało z wyglądu pergamin. Dała mi kapelusz i opaskę, nalegając, bym ją nałożył, po czym wsunęła mi szpadę za pasek i pokazała pośliskły pergamin, na dole którego znajdował się napis „Pyratc Mapped”. Była tam obowiązkowa wyspa z palmą, kompas, twarz z nadętymi policzkami, z której ust wiał zachodni wiatr, wykropkowany morski szlak, trójmasztowiec oraz wąż morski — wszystko, co trzeba, łącznie z wielkim czarnym iksem w miejscu, gdzie ukryto skrzynię ze złotem.

— To jeden z naszych największych przebojów dla dzieci w każdym wieku — stwierdziła. — Ludzi fascynują pirackie skarby.

— Naprawdę?

— Ciebie nie?

— To ciekawe. Czy Fredric interesował się pirackimi skarbami?  
— Może.  
— Wspomniałaś, że uczyłaś go czytać stare angielskie manuskrypty.  
— Owszem, ale nie wiem, co dokładnie chciał czytać. — Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie. — O co chodzi, John? — zapytała.  
— Nie jestem pewien.  
— Dlaczego wypytyujesz mnie o Fredrica?  
— Jestem zazdrosny.  
— Dlaczego chciałaś się ze mną tutaj spotkać? — zapytała, ignorując moją odpowiedź.  
— Czy mogę liczyć, że zachowasz to dla siebie?  
— Co zachowam dla siebie?  
— Te historie o piratach.  
— Jakie historie?  
Nie jest łatwo wytłumaczyć świadkowi, czego się chce, nie wyjawiając jednocześnie dlaczego.  
— Poznałem twoich pracowników — powiedziałem, zmieniając temat. — Janet, Ann i...  
— Warrena.  
— Tak. Zaliczyłem sprawdzian.  
Uśmiechnęła się i wzięła mnie za rękę.  
— Chodź przejrzyj się w lustrze.  
Wyszliśmy z salonu i zaprowadziła mnie do osiemnastowiecznej sypialni. Spojrzałem na siebie w pirackim kapeluszu, z opaską na oku i zatkniętą za pasek szpadą.  
— Wyglądam jak kretyń.  
— Rzeczywiście.  
— Dzięki.  
— Założę się, że nigdy nie robiłeś tego na puchowym piernacie.  
— Nie. Nigdy.  
— Nie wolno ci zdejmować kapelusza i opaski.  
— Czyja to ma być fantazja? Twoja czy moja? Roześmiała się i nim się zorientowałem, zrzuciła z siebie całe ubranie z wyjątkiem kapelusza, po czym przytrzymując go ręką, wskoczyła do łóżka, na kołdrę, będącą prawdopodobnie bezcennym antykiem, na którym nikt dotąd nie uprawiał seksu.  
Dostosowując się do zabawy, nie zdjąłem kapelusza i opaski.  
Miała, jak już mówiłem, długie nogi, a łóżka w dawnych czasach były krótkie, w związku z czym jej głowa w kapeluszu opierała się

o wezłowie, a stopy o tylną deskę. Wyglądało to trochę zabawnie i roześmiałem się.

— Z czego się śmiejesz?

— Z ciebie. Jesteś większa niż to łóżko.

— Zobaczmy, jaki ty jesteś duży.

Tak czy inaczej, jeśli nie robiliście tego nigdy na puchowym piernacie, niewiele straciliście. Rozumiem teraz, dlaczego na tych starych, wiszących na ścianach portretach wszyscy mają takie poważne miny.

## Rozdział 22

Później, w archiwum, usiedliśmy oboje na golasa przy dębowym stole. Emma zrobiła sobie w kubku ziołowej herbaty, która miała zapach maści na odciski.

Przygotowała trochę materiałów — oryginalne dokumenty oprawione w plastik, kilka książek, a także reprodukcje starych listów i dokumentów. Przerzucała je teraz, popijając herbatę. Byłem w typowym postkoitalnym nastroju, kiedy mężczyzna ma ochotę wyjść albo się zdrzemnąć. Nie mogłem jednak zrobić ani jednego, ani drugiego; musiałem zabrać się do roboty.

— Co cię dokładnie interesuje? — zapytała Emma.

— Pirackie skarby. Czy są jakieś w okolicy?

— Jasne. Wystarczy wbić w ziemię łopatę, żeby znaleźć złote i srebrne monety, brylanty i perły. Farmerzy twierdzą, że utrudnia im to orkę.

— Wyobrażam sobie. A mówiąc poważnie?

Nienawidzę, kiedy ktoś zgrywa przede mną mądrą.

— Z tą okolicą wiąże się wiele pirackich legend i prawdziwych historii. Chcesz, żebym ci opowiedziała najbardziej znaną? Historię kapitana Kidda?

— Owszem, chcę. Ale nie od początku stworzenia. Powiedz tylko, w jaki sposób Kidd związany jest z tym miejscem i zakopanym skarbem.

— Dobrze... przede wszystkim kapitan Kidd był Szkotem, ale mieszkał na Manhattanie ze swoją żoną Sarah i dwójką dzieci. Dokładnie rzecz biorąc, mieszkali na Wall Street.

— Wciąż pełno tam piratów.

— Kidd nie był prawdziwym piratem. Był kaprem, wynajętym

przez lorda Bellomonta, który pełnił wtedy funkcję gubernatora Massachusetts, Nowego Jorku i New Hampshire — oświadczyła i wypila łyk herbaty. — Kapitan William Kidd wypłynął w roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym szóstym, z królewskim patentem, z Nowego Jorku, żeby napadać na piratów i odbierać im łupy. Bellomont wyłożył dużo własnych pieniędzy, żeby zbudować i wyposażać statek Kidda, *Adventure Galley*. Akcję popierało również wiele bogatych i wpływowych osobistości w Anglii, w tym czterech lordów i sam król Wilhelm.

— Przewiduję kłopoty. Nigdy nie wchodzi w spółkę z władzą.

— Amen.

Słuchając jej, zastanawiałem się, czy tę historię znał Tobin, a jeśli tak, czy poznał ją przed spotkaniem, czy po spotkaniu z Emmą Whitestone. I dlaczego ktoś mógłby serio myśleć, że liczący trzysta lat skarb wciąż czeka na swego odkrywcę. Rozmawiając z Billym, przekonałem się, że skarb kapitana Kidda jest marzeniem, dziecienną bajką. Mógł oczywiście istnieć, ale otaczało go tyle legend i mitów, tyle było, jak powiedziała Emma w Cutchogue Diner, fałszywcyli map i wskazówek, że w ciągu ostatnich trzystu lat trop został całkowicie zatarty. Lecz potem przypomniałem sobie faceta, który znalazł list Charlesa Wilsona w londyńskim archiwum. Być może Tobin i Gordonowie również znaleźli jakieś konkretne dowody.

— Nie wskórawszy nic na Karaibach — kontynuowała Emma — Kidd popłynął szukać piratów na Oceanie Indyjskim. Tam napadł i złupił dwa statki należące do Wielkiego Mogoła. W ich ładowniach znajdowały się bajeczne skarby warte w tamtych czasach dwieście tysięcy funtów. W przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze około dwudziestu milionów dolarów.

— Niezły zarobek.

— Owszem. Niestety Kidd popełnił błąd. Mógł związany był przymierzem z królem Wilhelmem i poskarżył się brytyjskiemu rządowi. Kidd bronił się, twierdząc, że kapitanowie Mogoła mieli francuskie listy żelazne. Anglia i Francja toczyły wówczas ze sobą wojnę, więc jeśli nawet statki Mogoła nic były statkami pirackimi, można je było od biedy uznać za wrogie jednostki. Na nieszczęście dla Kidda brytyjski rząd utrzymywał dobre stosunki z Mogołem, a brytyjska Kompania Wschodnioindyjska robiła z nim świetne interesy. Kidd wpadł w tarapaty i jedyną rzeczą, która mogła go z nich wyciągnąć, był ten łup wart dwieście tysięcy funtów.

— Pieniądze mają dar przekonywania.

— Zawsze miały.

A propos pieniędzy, ponownie przyszedł mi do głowy Fredric Tobin. Choć nie byłem zazdrosny o to, że przyjaźnił się kiedyś z Emmą, uznałem, że byłoby fajnie, gdybym mógł go posadzić na krześle elektrycznym. Nieładnie, John.

— William Kidd popłynął z powrotem do Ameryki — ciągnęła Emma. — Po drodze zatrzymał się na Karaibach i dowiedział się, że jest poszukiwany pod zarzutem piractwa. Myśląc perspektywicznie, zostawił mniej więcej jedną trzecią część łupów w Indiach Zachodnich pod opieką osoby, której ufał. Wielu członków załogi uznało, że to nie ich problem, wzięło swoją część skarbu i zostało na Karaibach. Kidd kupił mniejszy statek, słup o nazwie *San Antonio* i popłynął do Nowego Jorku, żeby odeprzeć zarzuty. Po drodze kolejni marynarze schodzili na ląd w Delaware i New Jersey. Kidd wciąż miał jednak na pokładzie fantastyczny skarb, wart dziesięć albo piętnaście milionów dzisiejszych dolarów.

— Skąd wiesz, że tyle tego było?

— Nikt tego nie wie na pewno. To dane szacunkowe oparte głównie na skardze Mogoła do rządu brytyjskiego, która mogła być grubo przesadzona.

— Mogołowie kłamią.

— Chyba tak. Ale niezależnie od tego, ile skarb jest wart, kiedy liczy się uncję po uncji, weź pod uwagę, że część kosztowności może mieć dziś wartość muzealną. Wystarczy, żebyś wzięła zwykłą złotą monetę z tej epoki, wartą nie więcej niż tysiąc dolarów, i wystawił ją na aukcji wraz z dokumentem potwierdzającym, że stanowiła część skarbu kapitana Kidda, żeby jej cena podwoiła się albo nawet potroiła.

— Widzę, że na Columbii zaliczyłaś kurs marketingu.

Uśmiechnęła się, a potem zmierzyła mnie baczny spojrzeniem.

— To ma coś wspólnego z zamordowaniem Gordonów, prawda? — powiedziała.

Nasze oczy się spotkały.

— Proszę, mów dalej.

Przez chwilę milczała, a potem podjęła przerwany wątek.

— Dobrze... wiemy z dokumentów i publicznych przekazów, że Kidd wpłynął do cieśniny Long Island od wschodu i zawinął do Oyster Bay, gdzie spotkał się z niejakim Jamesem Emmotem, adwokatem znanym z tego, że bronił piratów.

— Moja była żona pracuje w jego firmie. Wciąż zajmują się takimi sprawami.

— W którymś momencie Kidd skontaktował się z żoną —

podjęła Emma, ignorując moją uwagę — która przyjechała do niego i została na pokładzie *San Antonio*. Wiemy, że w tym czasie cały skarb znajdował się na statku.

— To znaczy, że adwokat jeszcze go nie zabrał?

— Emmot został hojnie opłacony przez Kidda, żeby bronić go przed zarzutami piractwa.

Przyglądałem się Emmie Whitestone, gdy mówiła. W świetle palącej się w archiwum lampy, z leżącymi przed nią papierami, wyglądała i przemawiała jak kierowniczką szkoły. Przypominała kobiety, które wykładały w college'u Johna Jaya — pewne siebie, znające temat, kompetentne i opanowane podczas zajęć, przez co stawały się w moich oczach seksowne i zmysłowe. Może mam tę słabość do nauczycielek już od szóstej klasy, kiedy zaczęła u nas uczyć panna Myerson, która do dzisiaj śni mi się w niedwuznacznych sytuacjach.

— Pan Emmot udał się do Bostonu i spotkał z lordem Bellomontem — kontynuowała Emma — któremu przekazał list od Kidda. Dał mu również dwa znalezione na zdobytych statkach francuskie listy żelazne, które stanowiły dowód, że Mogol układał się z Francuzami za plecami Anglików, a zatem jego statki zasłużenie padły łupem Kidda.

— Skąd Kidd wiedział o istnieniu tych listów, gdy atakował statki? — zapytałem.

— Trafne pytanie. Podczas procesu nigdy nic poruszono tej kwestii.

— Więc twierdzisz, że adwokat oddał Bellomontowi te dwa listy, które stanowiły ważny dowód obrony?

— Tak, a Bellomont ze względów politycznych chciał, żeby Kidda powieszono.

— Do dupy taki adwokat. Powinno się zawsze oddawać fotokopie i zatrzymywać oryginały.

Emma uśmiechnęła się.

— Oczywiście. Oryginałów nigdy nie okazano podczas procesu w Londynie i bez tych francuskich listów żelaznych Kidd został skazany i stracony. Listy zostały odnalezione w British Museum w roku tysiąc dziewięćset dziesiątym — dodała.

— Trochę za późno, żeby uchronić go przed szubienicą.

— Owszem. W gruncie rzeczy William Kidd został wrobiony.

— Przykra sprawa. Ale co się stało ze skarbem, który znajdował się w ładowniach *San Antonio*?

— Oto jest pytanie. Powiem ci, co wydarzyło się po spotkaniu

Emmota z lordem Bellomontem w Bostonie, a ty, ponieważ jesteś detektywem, powiesz, co się stało ze skarbem.

— Postaram się stanąć na wysokości zadania.

— Emmot, najwyraźniej niezbyt dobry prawnik, odniósł na podstawie rozmowy z Bellomontem wrażenie, że jeśli Kidd pojawi się w Bostonie, zostanie potraktowany sprawiedliwie. Bellomont napisał nawet list, który Emmot miał przekazać Kiddowi. Znalazło się w nim między innymi takie oto zapewnienie — dodała, biorąc do ręki kopię listu — „Zasięgnąłem opinii Rady Jego Królewskiej Mości, która uważa, że skoro masz waćpan tak czyste sumienie, jak twierdzisz, możesz tu bezpiecznie zawinąć. Zostaniesz odpowiednio zaopatrzony, byś mógł przyprowadzić swój drugi statek, i nie mam cienia wątpliwości, że uzyskam dla ciebie łaskę króla”.

— Wygląda to na królewskie koszałki-opałki — stwierdziłem.

Emma pokiwała głową.

— „Zaręczam słowem i honorem — przeczytała dalej — iż dotrzymam złożonej obietnicy, i zapewniam, że wszelkie skarby, jakie tu ze sobą przywieziesz, pozostaną pod pieczę wskazanych przez Radę zaufanych osób do czasu, gdy otrzymam z Anglii stosowne tyżące ich rozkazy”. Czy po lekturze tego listu przyplynałbyś do Bostonu, żeby odeprzeć ciężące na tobie zarzuty? — zapytała, podnosząc wzrok.

— Nigdy w życiu. Jestem nowojorczykiem. Potrafię wyczuć szwindel na milę.

— Podobnie jak William Kidd. Był nowojorczykiem i na dodatek Szkotem. Ale co miał począć? Cieszył się pewnym poważaniem na Manhattanie, miał na pokładzie żonę oraz dwójkę dzieci i uważał, że jest niewinny. Co najważniejsze, miał pieniądze: jedną trzecią na Karaibach, a resztę na pokładzie *San Antonio*. Zamierzał posłużyć się skarbem, żeby ratować życie.

Kiwnąłem głową. Ciekawe, jak niewiele *rzeczy* zmieniło się w ciągu tych trzystu lat. Oto rząd wynajmuje faceta, żeby wykonał brudną robotę, ten wypełnia część zadania, lecz przez pomyłkę przysparza mocodawcom politycznych kłopotów. Wtedy ci próbują nie tylko odzyskać swoją forszę, ale i zarobioną przez niego uczciwie dołą, w związku z czym wrabiają go i posyłają na szubienicę. Tyle że gdzieś po drodze przepada większość szmalu.

— Tymczasem Kidd wciąż przemieszczał się z miejsca na miejsce — kontynuowała Emma — żeglując po cieśninie Long Island, z Oyster Bay do Gardiners Island i do Block Island. W tym okresie jego statek traci nieco na wadze.



- Kidd ukrywa łupy.
- Na to wygląda i to dało początek wszystkim legendom o zakopanym skarbie. Ten człowiek ma na pokładzie złoto i kosztowności warte dziesięć albo piętnaście milionów dolarów i wie, że w każdej chwili może zostać ujęty na morzu. Ma mały statek wyposażony tylko w cztery działa. Jest szybki, ale nie zdoła się oprzeć okrętom wojennym. Co byś zrobił na jego miejscu?
- Próbowałbym wziąć nogi za pas.
- Kidd nie ma już prawie załogi ani zapasów żywności. Na pokładzie jest jego żona i dzieci.
- Ale ma forszę. Powinien brać forszę i wiać.
- Kidd zrobił inaczej. Postanowił, że odda się w ręce władz. Ale nie jest idiotą i decyduje się ukryć łupy... pamiętaj, że mówimy również o złocie, które Bellomont, czterej lordowie i król mają dostać za zainwestowane w wyprawę pieniądze. Skarb staje się teraz ubezpieczeniem Kidda na życie.
- Pokiwałem głową.
- Zakopuje go więc.
- Zgadza się. W roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym dziewiątym teren poza Manhattanem i Bostonem jest bardzo słabo zaludniony, Kidd ma więc tysiące miejsc, gdzie może zejść na ląd i zakopać skrzynie z kosztownościami.
- Na przykład pod którymś z Drzew Kapitana Kidda.
- Tak. A dalej na wschód znajdują się Rafy Kapitana Kidda, które są w rzeczywistości nadmorskimi wzgórzami, ponieważ na Long Island nie ma raf ani klifu.
- Wyprostowałem się na krześle.
- Chcesz powiedzieć, że fragment wybrzeża nosi nazwę Raf Kapitana Kidda? Gdzie to jest?
- Gdzieś między Mattituck Inlet i Orient Point. Nikt nie wie tego na pewno. To stanowi po prostu część legendy.
- Ale w tej legendzie jest ziarno prawdy.
- Dlatego ludzie tak się nią interesują.
- Kiwnąłem głową. Jedna z tych opowieści — o Rafach Kapitana Kidda — skłoniła Gordonów do kupna gruntu od pani Wiley. Bardzo sprytnie.
- Nie ma wątpliwości, że Kidd ukrył skarb w kilku miejscach — dodała Emma. — Na North Fork, na Block Island albo na Fisher Island. Wspomina o tym większość przekazów.
- Mówi się o jakichś innych miejscach?

— O jeszcze jednym i tu akurat wiadomo, że to prawda. Gardiners Island.

— Gardiners Island?

— Tak. To udokumentowana historia. W czerwcu tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego dziewiątego, w czasie gdy żeglował z miejsca na miejsce, próbując dobić targu z lordem Bellomontem, Kidd zarzucił kotwicą przy brzegu Gardiners Island, żeby uzupełnić zapasy. Wyspa nazywała się wtedy Isle of Wight, ale należała, podobnie jak dzisiaj, do rodziny Gardinerów.

— Chcesz powiedzieć, że ludzie, do których należy dzisiaj ta wyspa, to Gardinerowie, i że ta sama rodzina posiadała wyspę w roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym dziewiątym?

— Tak. Wyspa należy do tego samego rodu od roku tysiąc sześćset trzydziestego dziewiątego, gdy król Karol Pierwszy przyznał ją Gardinerom. W roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym dziewiątym mieszkał tam wraz z rodziną John Gardiner, trzeci pan na włościach. Historia kapitana Kidda wiąże się w dużej części z dziejami tego rodu — stwierdziła. — Na Gardiners Island jest Dolina Kidda oraz kamienny obelisk zaznaczający miejsce, w którym John Gardiner zakopał część skarbu kapitana Kidda. Wyspa jest w całości prywatna, ale obecny dziedzic oprowadza po niej czasami gości. Fredric i ja skorzystaliśmy z jego zaproszenia — dodała po chwili.

— Więc naprawdę był jakiś zakopany skarb — powiedziałem, pozostawiając bez komentarza ostatnią informację.

— Tak. William Kidd zarzucił kotwicę przy brzegu, a John Gardiner wypłynął małą łodzią na morze, żeby zobaczyć, kto pojawił się przy jego wyspie. Z tego, co wiadomo, spotkanie upłynęło w przyjaznej atmosferze i dwaj panowie wymienili podarki. Spotkali się później co najmniej raz i przy tej okazji Kidd przekazał Gardinerowi całkiem pokaźną część łupów i poprosił, żeby je dla niego zakopał.

— Mam nadzieję, że dostał pokwitowanie.

— Ostatnie słowa, jakimi pożegnał Gardinera, brzmiały: „Jeśli zgłoszę się, a skarbu nie będzie, zapłacisz za to głową, ty albo twój syn”.

— To lepsze niż podpisane pokwitowanie.

Emma wypila łyk herbaty i spojrzała na mnie.

— Kidd oczywiście nigdy nie wrócił. Po otrzymaniu kolejnego miłego listu od Bellomonta ruszył do Bostonu, żeby odeprzeć zarzuty. Zawinął tam pierwszego lipca. Pozwolono mu przez tydzień

cieszyć się wolnością, żeby zobaczyć, z kim się spotyka, następnie zaś na rozkaz Bellomonta został aresztowany i zakuty w kajdany. Jego statek i bostońskie mieszkanie przeszukano. Znalaziono sakwy ze złotem, srebrem, a także trochę biżuterii i diamentów. Było tego dużo, ale nie tyle, ile się spodziewano, i nawet w przybliżeniu nie tyle, żeby pokryć koszt wyprawy.

— Co stało się z łupami zakopanymi na Gardiners Island? — zapytałem.

— Wiadomość o nich doszła w jakiś sposób... w tej kwestii istnieją różne relacje... do uszu Bellomonta, który wysłał Gardinerowi list przez specjalnego posłańca. — Emma wzięła do ręki fotokopię i zaczęła czytać. — „Uwięziłem w tutejszej twierdzy kapitana Kidda oraz kilku jego ludzi. Przesłuchiwany przeze mnie i przez członków Rady, wyznał między innymi, że zostawił ci skrzynię ze złotem i kilka innych skrzyń, które w imieniu Jego Królewskiej Mości nakazuję ci natychmiast tu dostarczyć, abym mógł je przekazać koronie i wynagrodzić ci wszelkie związane z przyjazdem tutaj niewygody. Podpisano: Bellomont”.

Emma podała mi list i rzuciłem na niego okiem. Pewne partie były nawet czytelne. Nie do wiary, że coś takiego przetrwało trzysta lat. Uświadomiłem sobie, że być może jakiś inny liczący trzy stulecia dokument, wskazujący miejsce, gdzie ukryto pozostałą część skarbu, doprowadził do zamordowania dwojga dwudziestowiecznych naukowców.

— Mam nadzieję, że John Gardiner wysłał do Bellomonta list, w którym pytał „Jaki Kidd? Jakie złoto?” — powiedziałem.

Emma uśmiechnęła się.

— Nie, John Gardiner nie miał zamiaru narażać się władzom. Osobiście odwiózł skarb do Bostonu.

— Założę się, że coś sobie z niego uszczknął.

— To jest fotokopia oryginalnego spisu przedmiotów, które John Gardiner dostarczył lordowi Bellomontowi — powiedziała, podając mi kartkę papieru. — Oryginał znajduje się w Archiwum Publicznym w Londynie.

Spojrzałem na fotokopię oryginału, który był w wielu miejscach podarty i dla mnie zupełnie nieczytelny. Oddałem go Emmie.

— Naprawdę potrafisz to przeczytać?

— Otrzymała, podnosząc kopię do lampy. — „Otrzymał od pana Johna Gardinera w dniu siedemnastego lipca: jedna sakwa złotego kruszcu, jedna sakwa złotych i srebrnych monet, jedna paczka złotego kruszcu, jedna sakwa z trzema srebrnymi

pierścieniami różnych szlachetnych kamieni, jedna sakwa nieoszlifowanych kamieni, jedna paczka z kryształami górskimi, dwa pierścienie z chalcedonem, dwa małe agaty i dwa ametysty, wszystkie w tej samej sakwie, jedna sakwa srebrnych guzików, jedna sakwa srebrnego złomu, dwie sakwy ze złotymi sztabami i dwie sakwy ze srebrnymi sztabami. Całego wspomnianego wyżej złota jest tysiąc sto jedenaście uncji, srebra dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt trzy uncje, kamieni szlachetnych siedemnaście uncji...". — Emma podniosła wzrok znad spisu. — To całkiem okazały skarb, ale jeśli wierzyć temu, co Mogoł napisał w skardze do brytyjskiego rządu, złota i drogocennych kamieni było dwadzieścia razy więcej, niż odzyskano z Gardiners Island i znaleziono na *San Antonio* i w bostońskim mieszkaniu Kidda. Okej, detektywie, gdzie jest pozostała część łupów? — zapytała z uśmiechem.

— No cóż... jedna trzecia wciąż znajduje się na Karaibach — odparłem, odwzajemniając jej uśmiech.

— Owszem. Ten skarb, którego istnienie jest dobrze udokumentowane, nie został odnaleziony i dał początek setce legend podobnych do tutejszych.

— Swoją część otrzymali też marynarze, zanim wszyscy dali nogę ze statku.

— Tak, ale cały udział przypadający załodze nie przekraczał jednej dziesiątej wartości skarbu. Taka była zasada.

— Plus zwrot kosztów medycznych i stomatologicznych...

— Gdzie jest reszta skarbu?

— Możemy przyjąć, że trochę uszczknął z niego John Gardiner.

— Możemy przyjąć.

— Sporo dostał też ten prawnik, Emmot.

Emma kiwnęła głową.

— Ile zostało?

Wzruszyła ramionami.

— Kto wie? Wartość nieodzyskanych łupów szacuje się na pięć do dziesięciu milionów dzisiejszych dolarów. Jak już jednak powiedziałam, skarb, gdyby odnaleziono go w spróchniałej skrzyni w miejscu, gdzie został zakopany, i wystawiono na aukcji u Sotheby'ego, poszedłby za dwa albo trzy razy tyle. Samą mapę — dodała — jeśli w ogóle istnieje i jeśli sporządził ją własnoręcznie Kidd, można by sprzedać na aukcji za kilkaset tysięcy dolarów.

— Za ile sprzedajecie mapy w sklepie z pamiątkami?

— Za cztery dolary.

— Nie są autentyczne?

Uśmiechnęła się i dopiła do końca herbatę.

— Zakładamy — powiedziałem — że Kidd zakopał skarb w jednym albo kilku miejscach, żeby się zabezpieczyć, żeby kupić sobie wolność i uratować przed stryczkiem.

— Tak zawsze uważano. Jeśli zostawił część skarbu na Gardiners Island, w takim razie najprawdopodobniej zrobił to samo w innych miejscach. Mamy przecież Drzewa Kapitana Kidda i Rafy Kapitana Kidda.

— Pojechałem obejrzeć Drzewa Kapitana Kidda — oświadczyłem.

— Naprawdę?

— Znalazłem chyba to miejsce, ale wszystkie drzewa są wycięte.

— Zgadza się. Jeszcze na przełomie wieków roślo tam kilka wielkich dębów. Teraz wszystkie zniknęły. Ludzie kopali wokół pni.

— Wciąż można odnaleźć kilka pniaków — zauważyłem.

— W czasach kolonialnych — poinformowała mnie — tak zawzięcie szukano zakopanych skarbów, że Benjamin Franklin zwalczał tę ogólnonarodową manię w gazetach. Jeszcze w latach trzydziestych ludzie wciąż ryli tutaj w ziemi. Szaleństwo już się skończyło, ale legenda wciąż stanowi fragment lokalnej kultury. Dlatego nie chciałem, żeby ktoś w Cutchogue Diner usłyszał, że rozmawiamy o zakopanym skarbie. Połowa cholernej osady stanęłaby zaraz przy łopatach — dodała z uśmiechem.

— Zadziwiające. Więc skarb kapitana Kidda miał być jego ubezpieczeniem na życie. Dlaczego nie uchronił go przed szubienicą?

— Złożyło się na to wiele nieporozumień, pech i mściwość. Przede wszystkim nikt w Bostonie ani w Londynie nie wierzył, by Kiddowi udało się odzyskać skarb pozostawiony na Karaibach, i mieli prawdopodobnie rację. Można go było spisać na straty. Był również problem polityczny związany ze skargą Mogoła. Sam Kidd rozgrywał to całkiem sprytnie. W zamian za łupy domagał się pełnego ułaskawienia ze strony króla. Ale król i inni uważali chyba, że ze względu na brytyjską Kompanię Wschodnioindyjską i tak muszą zwrócić łupy Mogołowi, nie interesowało więc ich ułaskawienie Kidda w zamian za wskazanie miejsca ukrycia skarbu. Woleli raczej powiesić Kidda i zrobili to.

— Czy Kidd powiedział coś na temat ukrytego skarbu w trakcie procesu?

— Nic. Z zachowanych protokołów procesu wynika, że Kidd zdał sobie w pewnym momencie sprawę, że zawiśnie bez względu

na to, co powie lub zrobi. Myślę, że pogodził się z tym i postanowił, że na złość im wszystkim zabierze swój sekret do grobu.

— Albo powiedział żonie.

— To bardzo prawdopodobne. Pani Kidd miała trochę własnych funduszy, ale po śmierci męża powodziło jej się bardzo dobrze.

— Wszystkim wdowom się świetnie powodzi.

— Bez seksistowskich uwag, proszę. Powiedz, co stało się ze skarbem.

— Mam za mało informacji — odparłem. — Materiał dowodowy jest stary. Mimo to skłaniam się do wniosku, że część skarbu wciąż tkwi gdzieś w ziemi.

— Myślisz, że Kidd powiedział żonie, gdzie znajduje się cały skarb?

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

— Kidd zdawał sobie sprawę, że jego żonę też mogą aresztować i zmusić do mówienia. Więc... myślę, że początkowo nic jej nie mówił, ale kiedy znalazł się w lochu w Bostonie i mieli go wysłać do Londynu, prawdopodobnie dał jej kilka wskazówek. Takich jak ta ośmiocyfrowa liczba.

Emma skinęła głową.

— Zawsze uważano, że Sarah Kidd zdołała odzyskać jakąś część skarbu. Nie sądzę jednak, by mąż zdradził jej wszystkie miejsca, bo gdyby ją aresztowano i zmuszono do mówienia, wtedy niewielka szansa na to, że uda mu się kupić zań wolność, stopniałaby do zera. Naprawdę wierzę — dodała — że zabrał ze sobą do grobu informacje przynajmniej na temat części ukrytego skarbu.

— Czy go torturowano?

— Nie — odparła — i to od początku wydawało się dziwne. W tamtych czasach torturowano ludzi z bardziej błahych powodów. W całej historii Kidda jest wiele niejasności.

— Gdybym żył w tamtych czasach, wszystkie bym rozwikłał.

— Gdybyś żył w tamtych czasach, powieszono by cię za wicherzycielstwo.

— Bądź miła, Emmo.

Przez chwilę przetwarzałem otrzymane informacje i ponownie przyszedł mi na myśl szczegółowy list Charlesa Wilsona do brata.

— Uważasz, że Kidd potrafił opisać z pamięci wszystkie miejsca, gdzie zakopał skarb? — zapytałem. — Czy to fizycznie możliwe?

— Chyba nie. Bellomont szukał informacji o ukrytym skarbie i znalazł kilka dokumentów na pokładzie *San Antonio* oraz w bostońskim mieszkaniu Kidda. Nie było tam jednak żadnych map...

a jeśli były, gubernator zachował je dla siebie. Bellomont zmarł, zanim Kidda powieszono w Londynie, zatem jeśli miał jakieś mapy, na pewno przepadły po jego śmierci. Jak widzisz, John, mamy tu wiele luźnych wzmianek, gdybania i niekonsekwencji. Ludzie, którzy interesują się całą sprawą, bawią się w historycznych detektywów od kilkuset lat. A ty znalazłeś już rozwiązanie? — zapytała z uśmiechem.

— Jeszcze nie. Potrzebuję paru minut.

— Nie musisz się śpieszyć. Tymczasem chciałabym się czegoś napić. Chodźmy.

— Poczekaj. Mam jeszcze kilka pytań.

— No dobrze. Strzelaj.

— W porządku. Jestem kapitanem Kiddem i pływam po cieśninie Long Island... jak długo?

— Kilka tygodni.

— Doskonale. Zawinąłem do Oyster Bay, gdzie skontaktowałem się z adwokatem, następnie wzięłem na pokład żonę i dzieci, które przyjechały z Manhattanu. Byłem na Gardiners Island... poprosiłem pana Gardinera, żeby zakopał część mojego skarbu. Czy wiem, gdzie to zrobił?

— Nie i dlatego nie jest ci potrzebna mapa. Kidd powiedział po prostu Gardinerowi, że jeśli po powrocie nie otrzyma skarbu, utnie mu głowę.

— To lepsze od mapy. Nie musiał nawet kopać dołu.

— Zgadza się.

— Myślisz, że podobnie postąpił w innych miejscach?

— Kto wie? Najprostszym sposobem było zejście na ląd z kilkoma marynarzami, potajemne zakopanie skarbu i sporządzenie mapy.

— Wtedy pozostawali świadkowie znający miejsce jego ukrycia.

— Tradycyjną piracką metodą zapewnienia sobie dyskrecji było zabicie tego, kto wykopał dół, i wrzucenie go do środka. Następnie kapitan i zaufany pierwszy oficer zasypywali dół ziemią. Wierzono, że duch zabitego marynarza będzie strzegł skarbu. Rzeczywiście przy odkopywanych skrzyniach znajduje się często szkielety.

— Które mogą stanowić dowód popełnienia morderstwa — stwierdziłem.

— Jak już wspomniałam, załoga Kidda mogła w tym momencie stopnieć do sześciu albo siedmiu ludzi. Jeśli ufał jednemu z nich na tyle, by zostawić pod jego pieczęią statek i rodzinę, mógł wyprawić się łodzią na brzeg i zakopać skarb osobiście. Wykopanie dołu w piasku nie jest dużym przedsięwzięciem inżynierskim. Na

starych filmach widać na ogół większą grupę marynarzy schodzącą na ląd, ale tak naprawdę potrzeba do tego jednej albo dwóch osób, w zależności od rozmiarów skrzyni. Pokiwałem głową.

— Nasze błędne rozumienie historii wynika w dużym stopniu z tego, że oglądaliśmy za dużo złych filmów.

— Chyba masz rację — przyznała. — Ale jedna rzecz w tych filmach jest raczej prawdziwa: poszukiwanie skarbu zaczyna się od odnalezienia dawno zagubionej mapy. Na dole sprzedajemy je za cztery dolary, ale naiwni kupują je od setek lat za dziesiątki tysięcy.

Przyszło mi do głowy, że Tom i Judy lub Fredric Tobin mogli w jakiś sposób wejść w posiadanie jednej z takich map — tej prawdziwej.

— Wspomniałaś, że Gardiners Island nazywała się kiedyś Isle of Wight — powiedziałem.

— Tak.

— Czy inne tutejsze wyspy miały również inne nazwy?

— Jasne. Wszystkie wyspy miały oczywiście z początku indiańskie nazwy. Potem część z nich uzyskała nazwy angielskie lub holenderskie. Jednak nawet one zmieniały się z biegiem lat. Nazewnictwo geograficzne Nowego Świata sprawiało wiele kłopotów. Niektórzy angielscy kapitanowie mieli tylko mapy wydane w Holandii, inni takie, na których wyspy lub rzeki miały złe nazwy. Pisownia była fatalna, a część map miała po prostu puste miejsca albo celowo mylące informacje.

— Weźmy na przykład Robins Island albo Plum Island... jak nazywały się w czasach Kidda?

— Nie jestem pewna co do Robins, ale Plum Island nazywała się tak samo, tyle że zapisywano ją jako P-L-U-M-B-E. Wzięło się to z wcześniejszej holenderskiej nazwy, która brzmiała P-R-U-M-E-Y-L-A-N-D. Mogła oczywiście istnieć jeszcze wcześniejsza nazwa, a ktoś taki jak William Kidd, który przed przyjęciem misji od Bellomonta nie pływał po morzu od wielu lat, mógł mieć albo kupić stare kilkudziesięcioletnie mapy. Zdarzało się to całkiem często. Piracka mapa z zaznaczonym skarbem mogła powielać błędy tej, na podstawie której została sporządzona. Musisz także pamiętać, że nie zachowało się do dzisiaj zbyt wiele autentycznych pirackich map, trudno więc wyciągać jakieś generalne wnioski na temat ich dokładności. To zależało od samego pirata. Wielu z nich było prawdziwymi głupcami.

Uśmiechnąłem się.



— Jeśli pirat wolał nie rysować mapy — mówiła dalej Emma — wtedy szanse odnalezienia skarbu na podstawie pisemnych wskazówek są o wiele mniejsze. Przypuśćmy na przykład, że znalazłeś pergamin, na którym jest napisane: „Zakopałem skarb na Pruyum Eyland — od Orlej Skały idź trzydzieści kroków do bliźniaczych dębów, a potem czterdzieści kroków na południe” i tak dalej. Jeśli nie wiesz, gdzie była Pruyum Eyland, jesteś w kropce. Jeśli dowiesz się, że tak nazywała się kiedyś Plum Island, musisz odnaleźć skałę, którą wszyscy w tamtej epoce znali jako Orlą. I możesz zapomnieć o dębach. Rozumiesz?

— Tak.

— Archiwista jest także kimś w rodzaju detektywa — powiedziała po chwili Emma. — Mogę cię o coś zapytać?

— Jasne.

— W porządku... Gordonowic trafili na jakąś informację o skarbie kapitana Kidda albo o innym pirackim skarbie, a potem ktoś się o tym dowiedział i dlatego właśnie zostali zamordowani. Mam rację? — zapytała, patrząc mi w oczy.

— Tak to mniej więcej wyglądało — odparłem. — Dopracowuję szczegóły.

— Czy Gordonowie zdążyli odkopać skarb?

— Tego nie wiem.

Nie cisnęła mnie dalej.

— Jak Gordonowie mogli trafić na tę informację? — zapytałem. — Nie widać tutaj przecież żadnych teczek z napisem „Pirackie mapy skarbów”, prawda?

— Prawda. Jedyne znajdujące się w tym miejscu pirackie mapy to te, które sprzedajemy na dole. Tutaj oraz w innych towarzystwach historycznych i muzeach istnieje jednak wiele dokumentów, których nikt nie czytał, a jeśli nawet czytał, to nie odkrył ich prawdziwego znaczenia. Rozumiesz?

— Tak.

— Ludzie, którzy przekopują się przez stare dokumenty w British Museum albo londyńskim Archiwum Publicznym, odnajdują rzeczy, których inni nie dostrzegli albo nie zrozumieli. Więc, owszem, można trafić na pewne informacje tutaj, w innych zbiorach lub prywatnych domach.

— W prywatnych domach?

— Przynajmniej raz w roku dostajemy w darze coś, co zostało znalezione w starych domach. Testament albo stare akty prawne. Przypuszczam... choć to tylko domysł... że Gordonowic, którzy nie

byli zawodowymi historykami ani archiwistami, natknęli się po prostu na coś tak oczywistego, że nawet oni zdali sobie sprawę, z czym mają do czynienia.

— Na przykład na mapę?

— Owszem, na mapę, która przedstawiała łatwy do rozpoznania obszar i zawierała informacje na temat ukształtowania terenu, kierunków, wskazań kompasu, liczby kroków i tak dalej. Jeśli wpadło im w ręce coś takiego, mogli po prostu udać się we wskazane miejsce i zacząć kopać. — Przez chwilę się zastanawiała. — Gordonowie prowadzili na Plum Island wykopaliska... może w rzeczywistości szukali skarbu.

— Nie ma co do tego żadnej wątpliwości.

Emma przyglądała mi się przez dłuższą chwilę.

— Z tego, co słyszałam, ryli dziury na całej wyspie. Wynika z tego, że raczej nie wiedzieli, gdzie...

— Archeologiczne wykopaliska były przykrywką. Dawały im możliwość włóczenia się z łopatami w odległe rejony wyspy. Nie zdziwiłbym się także, gdyby mistyfikacją była duża część poszukiwań archiwalnych.

— Dlaczego?

— Nie pozwolono by im zachować niczego, co odkopali na Plum Island. Wyspa należy do rządu. Musieli więc stworzyć własną legendę. O tym, jak odkryli w archiwum... tutaj lub w Londynie... coś na temat Drzew Kapitana Kidda albo Raf Kapitana Kidda i to sprawiło, że zaczęli myśleć o odnalezieniu skarbu. W rzeczywistości od dawna wiedzieli, że skarb jest na Plum Island.

— Nie do wiary.

— Owszem, trzeba tylko spojrzeć na problem z drugiej strony. Zacząć od autentycznej mapy albo pisemnych instrukcji, które lokalizują skarb na Plum Island. Powiedzmy, że byłabyś w posiadaniu takich informacji. Co zrobiłabyś ty, Emma Whitestone?

— Przekazałabym je po prostu władzom — odparła, nie zastanawiając się długo. — To ważny historyczny dokument, a skarb, jeśli istnieje, ma również historyczną wartość. Jeżeli leży na Plum Island, powinien zostać odkopany na Plum Island. Inne postępowanie byłoby nie tylko nieuczciwe, ale stanowiłoby historyczny szwindel.

— W historii mamy wiele kłamstw, oszustw i szwindli. Właśnie w ich wyniku skarb znalazł się w ogóle tam, gdzie się znalazł. Dlaczego nie popełnić kolejnego? Skarb należy do tego, kto go znalazł. Prawda?

— Nie. Jeśli odkryto go na cudzej ziemi... należy do właściciela, choćby nawet było nim państwo. Gdybym odkryła, gdzie leży, przyjąłabym nagrodę.

Uśmiechnąłem się.

— A co ty byś zrobił? — zapytała, spoglądając na mnie.

— Ja? Postąpiłbym w duchu kapitana Kidda, to znaczy próbowałbym dobić targu. Nie zdradziłbym ot tak lokalizacji osobie, która jest właścicielem terenu. Sprawiedliwie byłoby sprzedać sekret w zamian za jakąś część. Nawet Wuj Sam zgodziłby się na taki układ.

— Chyba tak — przytaknęła po krótkim namyśle. — Ale Gordonowie zrobili inaczej.

— Owszem. Gordonowie mieli partnera albo partnerów, którzy moim zdaniem byli bardziej pazerni od nich. I bardziej bezwzględni. Tak naprawdę nie wiemy, co mieli zamiar zrobić Gordonowie, ponieważ już nie żyją. Możemy zakładać, że na samym początku trafili na konkretną informację na temat skarbu na Plum island i wszystko, co robili później, jest wyłącznie sprytną mistyfikacją: Towarzystwo Historyczne Peconic, archeologia, wizyty w archiwach, nawet ten tydzień w Archiwum Publicznym w Londynie... wszystko to były przygotowania do przewiezienia skarbu z ziemi Wujka Sama i ponownego zakopania go na ziemi Gordonów.

Emma pokiwała głową.

— Dlatego kupili tę działkę od pani Wiley... chcieli mieć miejsce, na którym zakopaliby ponownie skarb. Rafy Kapitana Kidda.

— Zgadza się. Czy to cię przekonuje, czy uważasz mnie za wariata?

— Jesteś wariatem, ale mimo to wydaje się to dość przekonujące.

— Jeśli stawką jest dziesięć albo dwadzieścia milionów, nie wolno ci niczego sfuszerować — stwierdziłem. — Nic śpieszysz się, zacierasz ślady, nim ktokolwiek zorientuje się, że je w ogóle zostawiasz, przewidujesz z góry problemy z historykami, archeologami i rządem. Zyskasz nie tylko fortunę, ale i sławę i, czy to ci się podoba, czy nie, znajdziesz się w świetle jupiterów. Jesteś młoda, przystojna, inteligentna i nadziana. I nie chcesz mieć żadnych kłopotów.

— Ale coś poszło nie tak — stwierdziła po krótkiej chwili.

— Coś musiało pójść nie tak: oboje nie żyją.

Żadne z nas przez jakiś czas się nie odzywało. Miałem teraz wiele odpowiedzi, ale pytań było o wiele więcej. Na niektóre z nich

nigdy nie uda się odpowiedzieć, ponieważ Tom i Judy Gordonowie, podobnie jak William Kidd, zabrali ze sobą do grobu kilka sekretów.

— Kto twoim zdaniem ich zabił? — zapytała w końcu Emma.

— Prawdopodobnie ich partner albo partnerzy.

— To wiem... ale kto?

— Jeszcze nie mam pojęcia. Przychodzi ci ktoś na myśl?

Potrząsnęła głową, ale chyba ktoś przyszedł jej na myśl.

Wtajemniczyłem Emmę Whitestone, której tak naprawdę nie znałem, w wiele spraw. Ale wiem na ogół, komu mogę zaufać. A gdybym się pomylił i Emma należała do spisku, nie miało to większego znaczenia, gdyż i tak o wszystkim wiedziała. I jeśli pójdzie i powie Fredricowi Tobinowi czy komuś innemu, że go rozpracowałem, tym lepiej. Fredric Tobin mieszkał wysoko w swojej wieży i trzeba było dużo dymu, żeby go stamtąd wykurzyć. A jeżeli brał w tym udział ktoś inny, o kim nie wiedziałem, w takim razie dym mógł wypłoszyć i jego. W śledztwie przychodzi czasem taki moment, kiedy trzeba pozwolić wrzodowi pęknąć. Zwłaszcza gdy brakuje czasu. Zastanawiałem się przez chwilę, czy zadać jej następne pytanie.

— Podobno kilka osób z Towarzystwa Historycznego było na Plum Island w związku z planowanymi pracami archeologicznymi — powiedziałem w końcu. — To prawda?

Emma kiwnęła głową.

— Czy był wśród nich Fredric Tobin?

Zobaczyłem na jej twarzy wahanie wynikające prawdopodobnie z poczucia lojalności.

— Tak — odparła wreszcie. — Fredric był raz na wyspie.

— Oprowadzali go po niej Gordonowie?

— Tak. Myślisz, że...? — zapytała, patrząc mi prosto w oczy.

— Mogę spekulować na temat motywu albo metody, ale nigdy nie spekuluję na temat podejrzanych — odparłem. — Zależy mi, żebyś nikomu o tym nie mówiła.

Pokiwała głową.

Przyjrzałem się Emmie. Była chyba osobą, na jaką wyglądała: uczciwą, inteligentną i w sympatyczny sposób zwariowaną. Podo- bała mi się. Wziąłem jej dłoń i przez chwilę trzymaliśmy się za ręce.

— Dziękuję, że podzieliłaś się ze mną swoją wiedzą — powiedziałem.

— To była czysta przyjemność.

Pokiwałem głową. Moje myśli pobiegły z powrotem do Williama Kidda.

— W końcu zawisł? — zapytałem.

— Zawisł. Przed procesem, który odbył się w Old Bailey, przez ponad rok trzymali go w Anglii, zakutego w łańcuchy. Nie zapewniono mu obrońcy, nie dopuszczono żadnych świadków i żadnych dowodów. Został uznany za winnego i powieszony na Nabrzeżu Skazańców nad Tamizą. Ciało oblano smołą i zawieszono skute w łańcuchy jako przestrozę dla innych żeglarzy. Wrony rozdziobywały przez kilka miesięcy gnijące zwłoki.

— Chodźmy na tego drinka — zaproponowałem, wstając z krzesła.

## Rozdział 23

Miałem ochotę na porządną pastę, w związku z czym zaproponowałem kolację u Claudia. Emma zgodziła się.

Knajpa Claudia mieści się w Greenport, który, jak już wspomniałem, ma dwa tysiące mieszkańców, czyli mniej niż budynek, gdzie mieszkam.

Pojechaliśmy na wschód Main Road. Kiedy dotarliśmy do miasteczka, minęła siódma i zaczynał się zmierzch.

Sama miejscowość nie jest tak oryginalna i starożytna jak pobliskie osady; była i jest czynnym portem rybackim i handlowym. W ostatnich latach pojawiło się tu kilka modnych butików i restauracji, ale u Claudia wygląda prawie tak samo, jak kiedy byłem dzieckiem. W czasach gdy na North Fork brakowało dobrych knajp, zawsze można było wpaść do Claudia, który usadowił się na samym końcu Main Street, przy brzegu zatoki, i działał chyba od początku stulecia.

Zaparkowałem i ruszyliśmy długim nabrzeżem. Stał przy nim zacumowany na stałe duży stary trójmasztowiec oraz kilka motorówek, których pasażerowie jedli prawdopodobnie kolację u Claudia. Z pobliskiego baru krewetkowego wchodzili i wychodzili ludzie. Był kolejny miły wieczór i powiedziałem coś na temat ładnej pogody.

— Na Karaibach tworzy się tropikalny układ depresyjny — stwierdziła Emma.

— Czy powinienem wziąć prozac?

— Miałam na myśli mały huragan.

— Aha.

Czyli coś w rodzaju małego lwiątko. Huragany były fajne, gdy obserwowałem je z okien mieszkania na Manhattanie. Nie były fajne na tym skrawku lądu wznoszącym się nie więcej niż pięćdziesiąt stóp nad poziom morza. Pamiętałem pewien sierpniowy huragan, który przeżyłem tutaj w dzieciństwie. Kiedy się zrywał, było nawet zabawnie, potem zrobiło się strasznie.

Szliśmy więc spacerkiem i rozmawialiśmy. Na początku znajomości — powiedzmy, w ciągu pierwszych trzech dni — odczuwa się coś w rodzaju podniecenia; potem partnerzy zdają sobie często sprawę, że się nie lubią. Na ogół, gdy jedna z osób mówi: „Mam nadzieję, że uwielbiasz koty”.

Z Emmą Whitestone jak na razie szło nieźle. Ona też chyba dobrze się czuła w moim towarzystwie.

— Dobrze mi z tobą — oświadczyła nawet.

— A to dlaczego?

— Nie jesteś podobny do większości mężczyzn, z którymi się spotykam... wszyscy chcą się czegoś o mnie dowiedzieć, rozmawiać o mnie, dyskutować o sztuce, polityce i filozofii, poznać moją opinię na każdy temat. Ty jesteś inny. Chcesz po prostu seksu.

Roześmiałem się.

Emma wzięła mnie pod ramię i ruszyliśmy dalej nabrzeżem, przyglądając się stojącym przy nim łodziom.

— Tak sobie pomyślałam... — stwierdziła — gdyby Tom i Judy żyli i ogłosili, że znaleźli ten legendarny skarb, piracki skarb, skarb kapitana Kidda, wtedy na pewno zwaliliby się nam na kark dziennikarze. Kręciliby się po całym Southold, wypytywali ludzi na ulicach, filmowali Main Street i tak dalej... dokładnie tak, jak się działo, kiedy popełniono morderstwo.

— To jest właśnie ich praca.

— Ironia losu polega na tym, że przyjechali tutaj, aby opowiedzieć o zamordowaniu Gordonów, a nie o ich fortunie.

Pokiwałem głową.

— Interesująca uwaga.

— Ciekawe, czy dziennikarze odwiedziliby nasze Towarzystwo, żeby usłyszeć historię skarbu.

— Pewnie tak.

— Mówiłam ci, że mieliśmy tu kilka inwazji poszukiwaczy skarbów. Jeszcze w latach trzydziestych, podczas Wielkiego Kryzysu i nawet w latach pięćdziesiątych wystarczyło, że ktoś puścił głupią plotkę albo znalazł kilka monet na plaży, a zjawiały się tabuny ludzi ryjących na plażach, wydmach i w lasach... Teraz to się

uspokoilo. Może zmieniły się czasy. Czy bawiłeś się w piratów, kiedy byłeś mały? — zapytała mnie.

— Zastanawiałem się nad tym... Przypominam sobie teraz, że słyszałem czasami opowieści o piratach. Ale niezbyt często. Moja ciotka była bardziej wysublimowana. Miała fioła na punkcie Indian, zanim ktokolwiek się nimi zainteresował.

— Moja rodzina miała fioła na punkcie pierwszych osadników i wojny o niepodległość. Mam starszego brata i pamiętam, że raz czy dwa bawił się w piratów z kolegami. Bawili się w to chyba sami chłopcy. Tak jak bawią się w policjantów i złodziei czy w Indian i kowbojów.

— Dzisiaj bawią się w ćpuna i dealera. Ale spotkałem też pewnego dzieciaka na Osiedlu Kapitana Kidda — dodałem, po czym opowiedziałem Emmie o Billym, poszukiwaczu skarbów.

— To jest niczym powracająca fala — skomentowała. — Może piraci są znów w modzie. Czytałeś *Wyspą Skarbów* Roberta Louisa Stevensona?

— Jasne. I *Złotego żuka* Edgara Allana Poego. Pamiętasz ten głupi rebus z rysunkiem małego koziołka... koźlęcia. Rozwiązałaś go?

— Rozwiązałam. A czytałeś *Wolferta Webbera* Washingtona Irvinga?

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Bombowa piracka opowieść — poinformowała mnie z uśmiechem. — Oglądałeś może któryś z tych starych filmów płaszczka i szpady z lat trzydziestych i czterdziestych?

— Uwielbiałem je.

— W naszym języku niewiele jest słów bardziej romantycznych i intrygujących niż „pirat”, „zakopany skarb”, „galeon”... co jeszcze?

— „Rębacz”. Lubię to słowo.

— A „Morze Hiszpańskie”?

— Też. Cokolwiek to znaczy.

Staliśmy na nabrzeżu koło starego trójmasztowca i bawiliśmy się w promieniach zachodzącego słońca w tę głupią grę, wynajdując takie słowa, jak: bukanier, dublon, kord, rapier, kuternoga, bukszpryt, kasztel, reda, kardamon, puszkarz, abordaż, hakownice, falkonety, a także — spijając ostatnie resztki z baryłki rumu — zwroty w rodzaju „rychtować działą”, „ster prawo na burt” i „rumpel od wiatru”. W końcu wybuchliśmy oboje śmiechem.

— Lubię cię — powiedziałem.

— Oczywiście, że mnie lubisz.



Idąc z powrotem nabrzeżem do Claudia trzymaliśmy się autentycznie za ręce, czego nie robiłem od dłuższego czasu.

Jak na dzień powszedni w restauracji było dość tłoczno i usiedliśmy przy barze, żeby czekając na stolik, czegoś się napić.

Jak już wspominałem, to stara knajpa. Zbudowano ją w tysiąc osiemset trzydziestym roku i szczyli się tym, że jest najstarszą restauracją w Ameryce, prowadzoną nieprzerwanie od roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego przez tę samą rodzinę Claudiów. Moja rodzina każdego ranka miała problem ze wspólnym użytkowaniem kuchni i łazienki; nie wyobrażam sobie, jak można to robić przez sto trzydzieści lat.

Z tego, co powiedział mi barman, w czasach gdy Greenport był osadą wielorybniczą, w budynku mieściła się oberża, a bar, w którym siedziałem z Emmą, przyplłynął barką z Manhattanu w tysiąc osiemset osiemdziesiątym którymś.

Lokal, w którym dominuje mahoń, rżnięte szkło i włoski marmur, sprawia egzotyczne wrażenie i różni się nieco od tutejszych swojskich kolonialnych wnętrz. Mogę tu odnieść wrażenie, że jestem z powrotem na Manhattanie, zwłaszcza gdy poczuję dochodzący z restauracji zapach jedzenia. Czasami tęsknię za Manhattanem i miejscami takimi, jak Little Italy, gdzie trwał właśnie festyn świętego Januarego. Gdybym wrócił do Nowego Jorku, spacerowałbym teraz z Domem Fanellim po Mulberry Street, opychając się ulicznymi frykasami i lądując pod koniec wieczoru w kawiarni. Naprawdę musiałem podjąć jakieś decyzje w kwestii mojej przyszłości.

Emma poprosiła o białe wino.

— Podajemy w kieliszkach sześć różnych miejscowych gatunków — odparł barman. — Ma pani może jakiś ulubiony?

— Tak... pindar.

Kochana dziewczyna. Szczera i wierna. Nie będzie piła wina swego byłego kochanka w obecności nowego. Mówię wam, im człowiek starszy, tym więcej musi dźwigać na swoich barkach bagaży i tym trudniej mu je unieść.

Zamówiłem budweisera i stuknęliśmy się szklankami.

— Jeszcze raz dziękuję za wszystko — powiedziałem.

— Jaka lekcja historii najbardziej ci się podobała?

— Historia puchowego piernatu.

— Mnie też.

I tak to mniej więcej wyglądało.

Na ścianach wisiało mnóstwo pamiątek, czarno-białe fotografie

przodków Claudia, stare zdjęcia z regat, scenki uliczne z Greenport i tym podobne. Lubię stare knajpy: są czymś w rodzaju żywych muzeów, gdzie można zamówić piwo.

Właśnie u Claudia, w czerwcu, spotkałem po raz pierwszy Gordonów i to także, prócz tego, że mój żołądek domagał się czerwonego sosu, było jednym z powodów, dla których chciałem tutaj przyjść. Czasami dobrze jest powrócić fizycznie w jakieś miejsce, jeśli człowiek chce przypomnieć sobie, co się tam wydarzyło.

Dawno temu siedziałem przy jednym z tych stołów z rodzicami i rodzeństwem, omawiając wydarzenia dnia i to, co planowaliśmy robić nazajutrz. Od lat już o tym nie myślałem.

Odsunąłem jednak od siebie dziecinne wspomnienia, które lepiej jest przywoływać na kozetce u psychiatry, i skupiłem się na tym, co zdarzyło się w czerwcu tego roku.

Przyszedłem tutaj, do baru, ponieważ było to jedno z nielicznych miejsc, które znałem. Pamiętam, że wciąż byłem jeszcze trochę osłabiony, ale nie ma lepszej rzeczy niż zimne piwo, kiedy trzeba poprawić sobie samopoczucie.

Zamówiłem swój normalny napój, budweisera, i natychmiast zauważyłem bardzo atrakcyjną kobietę, siedzącą kilka stołków dalej. Sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął, był wczesny wieczór, padał deszcz i w środku siedziało niewielu gości. Spojrzałem na nią. Kobieta uśmiechnęła się i wkroczyłem do akcji.

— Cześć — powiedziałem.

— Dzień dobry — odparła.

— Nazywam się John Corey.

— Judy Gordon.

— Jest pani sama?

— Tak... z wyjątkiem mojego męża, który jest w toalecie.

— Aha... — Zauważyłem teraz ślubną obrączkę. Dlaczego nigdy nie patrzę, czy mają obrączkę? Chociaż z drugiej strony, jeśli nawet mają obrączkę, lecz siedzą same... ale popadam w dygresję. — Pójdę po niego — zaproponowałem.

— Niech pan nie ucieka — odparła z uśmiechem.

Serce krwawiło mi z miłości, ale zacząłem się żegnać. Miałem już zamiar się wycofać, kiedy pojawił się Tom i Judy przedstawiła mnie.

Przeprosiłem oboje, ale Tom zaproponował, żebym wypił z nimi jeszcze jedno piwo.

Zauważyłem, że oboje mówią z trochę obcym akcentem, i odeszedłem do wniosku, że są turystami albo kimś w tym rodzaju. Nie

mieli w sobie ani trochę tej nowojorskiej obcesowości, do której przywykłem. Byli jak ten facet z dowcipu, który podchodzi na ulicy do nowojorczyka i pyta „Przepraszam pana, czy mógłby pan powiedzieć, jak trafić do Empire State Building, czy mam od razu się odpierdolić?”.

Tak czy inaczej, nie chciałem pić z nimi piwa, czując się niezręcznie po tym, jak próbowałem ją poderwać i w ogóle, lecz z jakiegoś powodu, którego nigdy do końca nie zrozumiałem, postanowiłem, że jednak zostanę.

Potrafię być małomówny, ale ci ludzie byli tak otwarci, że wkrótce opowiedziałem im o mojej niedawnej przygodzie. Oboje zapamiętali mnie z telewizji i stałem się dla nich kimś w rodzaju bohatera.

Wspomnieli, że pracują na Plum Island, co mnie zainteresowało, i że przyплыли tu bezpośrednio z pracy własną motorówką, co również mnie zainteresowało. Tom zaproponował, bym ją obejrzał, ale zostawiłem to bez odpowiedzi, jako że nie pasjonuję się szczególnie łodziami.

W trakcie rozmowy wyszło na jaw, że mam dom nad wodą. Tom poprosił, bym opisał, jak wygląda od strony morza, żeby mogli mnie odwiedzić. Zrobiłem to i ku mojemu zdumieniu tydzień później złożyli mi razem z Judy wizytę.

Tam, u Claudia, przypadliśmy sobie do gustu i godzinę później zjedliśmy razem kolację. Było to zaledwie przed trzema miesiącami, całkiem niedawno, ale miałem wrażenie, że dobrze ich znam. Teraz jednak odkrywałem o nich rzeczy, o których wcześniej nie miałem pojęcia.

— Halo? John?

— Przepraszam. Rozmyślałem o swoim pierwszym spotkaniu z Gordonami. To było tutaj, w tym barze.

— Naprawdę? Bardzo przeżyłeś to, co się stało?

— Nie zdawałem sobie sprawy, jak dobrze czuję się w ich towarzystwie. Traktuję to bardziej osobiście, niż moim zdaniem powinienem — dodałem.

Pokiwała głową. Pogwarzyliśmy o tym i owym. Pomyślałem, że gdyby trzymała z zabójcą albo była w jakikolwiek sposób w to zamieszana, starałaby się mnie trochę wy badać. Ale ona najwyraźniej unikała tego tematu, co nawet mi odpowiadało.

Nasz stolik był już gotów i wyszliśmy na coś w rodzaju zamkniętego patio z widokiem na zatokę. Robiło się odczuwalnie chłodniej i żałowałem, że lato ma się ku końcowi. Zakosztowałem własnej śmiertelności — zakosztowałem dosłownie, gdy krew lała mi się

z ust — i coraz krótsze dni oraz podmuchy chłodnego wiatru przypominały mi chyba, że moje lato też się skończyło, że mały Johnny, który robił takie wielkie oczy na widok kuli od muszkietu, dorósł wreszcie, leżąc podziurawiony kulami w rynsztoku Zachodniej Sto Drugiej.

Ameryka jest krajem drugiej i trzeciej szansy, miejscem, gdzie każdy może ponowić nieudaną próbę i mając wystarczającą ilość okazji, tylko kompletny idiota nie zdoła w końcu zrobić tego, co zamierzał.

— Jesteś jakiś roztargniony — stwierdziła Emma.

— Próbuję się zdecydować, czy mam ochotę na smażone calamari czy na scungli.

— Smażone nie jest dla ciebie dobre.

— Tęsknisz za miastem? — zapytałem.

— Od czasu do czasu. Brakuje mi anonimowości. Tutaj wszyscy wiedzą, z kim sypiasz.

— Nic dziwnego, skoro każesz paradować wszystkim swoim kochankom przed personelem.

— A ty tęsknisz za miastem?

— Nie wiem... nie będę wiedział, póki tam nie wrócę. Przepraszam, ale muszę iść do toalety.

Poszedłem do samochodu, zabrałem z niego torbę z nocnikiem, wróciłem do knajpy i postawiłem ją przed Emmą.

— To dla mnie? — zapytała.

— Tak.

— Och, John, wcale nie musiałeś. Czy mam to teraz otworzyć?

— Proszę.

Sięgnęła do torby i wyjęła z niej nocnik, który był owinięty różową bibułą.

— Co to takiego...?

Nagle ogarnęła mnie panika. Może starej damie w antykwariacie coś się pokręciło? Może pomyliła Emmę Whitestone z kimś innym?

— Zaczekaj — powiedziałem. — Chyba nie powinnaś tego tutaj otwierać.

Inni goście zaczęli zerkać i uśmiechać się w naszą stronę.

Emma ściągnęła bibułę, odsłaniając biały nocnik w różowe różyczki, i złapała go za uchwyt.

Z ust gości wydarł się stłumiony jęk. Albo tak mi się przynajmniej zdawało. Ktoś się roześmiał.

— Och, John — zawołała Emma. — Jest piękny. Skąd wie działeś?

— Jestem w końcu detektywem.

Przez chwilę podziwiała nocnik, obracając go na wszystkie strony, sprawdzając znak manufaktury i tak dalej. Po chwili do stolika podszedł kelner.

— Jeśli pani woli, na zapleczu mamy toalety — oświadczył.

Wszystkich nas to rozbawiło. Emma oznajmiła, że zasadzi w nocniku miniaturowe róże, a ja, że na pewno zniechęci to ludzi do siadania na nim. Skończywszy dowcipkować, zamówiliśmy kolację.

Zjedliśmy przyjemny posiłek, rozmawiając i obserwując port. Emma zapytała, czy chcę, żeby znowu została na noc, na co odpowiedziałem twierdząco. Otworzyła wtedy torebkę i wyjęła z niej parę majtek oraz szczoteczkę do zębów.

— Jestem przygotowana — stwierdziła.

W pobliżu przebywał akurat kelner humorysta.

— Czy mam podać państwu kawę, czy naprawdę śpieszycie się do domu? — zapytał.

Jadąc z powrotem do Mattituck, miałem znowu dziwne wrażenie, że to wszystko nie skończy się dobrze: że diabli wezmą śledztwo, moją zawodową karierę, a także znajomość z Emmą i znajomość z Beth, jeśli w tym ostatnim przypadku można było w ogóle mówić o jakiejś znajomości. Złowroga cisza i czyste niebo zapowiadały nadchodzący huragan.

## Rozdział 24

Nazajutrz rano, gdy się ubierałem, zadzwonił dzwonek do drzwi, ale ponieważ na dole była Emma, nie pofatygowałem się, żeby otworzyć.

Skończyłem się ubierać; włożyłem brązowe spodnie, oksfordzką koszulę w paski, błękitny blezer oraz mokasyny bez skarpetek, standardowy ubiór mieszkańca nadmorskich prowincji. Na Manhattanie ludzie nienoszący skarpetek nocują na ogół na dworcu; tutaj jest to szczytem mody.

Zszedłem na dół mniej więcej dziesięć minut później i zastałem przy kuchennym stole Emmę Whitestone popijającą kawę z Beth Penrose.

Był to jeden z tych momentów, które wymagają wyjątkowego taktu.

— Dzień dobry, pani detektyw — powitałem Beth.

— Dzień dobry.

— To moja partnerka, Beth Penrose — wyjaśniłem Emmie. — Chyba się już poznałyście.

— Chyba tak — odparła. — Pijemy kawę.

— Myślałem, że spotkamy się później — powiedziałem do Beth.

— Zmieniłam plany. Wczoraj wieczorem zostawiłam ci wiadomość na automatycznej sekretarce.

— Nie odtworzyłem jej.

Emma wstała.

— Muszę jechać do pracy — oznajmiła.

— Och... odwieżę cię.

Beth również wstała od stołu.

— Ja też muszę już lecieć — stwierdziła. — Wpadłam tylko po

te finansowe wydruki. Jeśli masz je gdzieś na wierzchu, mogę je zabrać.

— Siadajcie — zwróciła się do nas obojga Emma. — Macie robotę. — Ruszyła w stronę drzwi. — Przedzwonię do Warrena, żeby mnie podwiózł. Mieszka tu niedaleko. Będę w gabinecie.

Wychodząc z kuchni, unikała ze mną kontaktu wzrokowego.

— Jest prezesem Towarzystwa Historycznego Peconic — poinformowałem Beth.

— Naprawdę? Trochę młoda jak na taką funkcję.

Nalałem sobie kawy.

— Pomyślałam, że w ramach uprzejmości poinformuję cię o postępach śledztwa.

— Nie jesteś mi winna żadnych uprzejmości.

— Bardzo mi pomogłeś.

— Dziękuję.

Oboje staliśmy, ja popijając kawę, Beth sprząając ze stołu kubek, łyżeczkę i serwetkę, jakby miała zaraz wyjść. Zauważyłem stojącą przy krześle teczkę.

— Usiądź — powiedziałem.

— Muszę już iść.

— Napijmy się chociaż razem kawy.

Nalała sobie następny kubek i siadła naprzeciwko mnie.

— Jesteś dziś bardzo elegancki — stwierdziła.

— Próbuję zmienić swój image. Nikt nie brał mnie poważnie — odparłem. Miała na sobie kolejny szyty na miarę kostium, tym razem granatowy, i białą bluzkę. Z błyszczącymi oczyma wyglądała bardzo ponętnie i świeżo. — Ty też jesteś elegancka — dodałem.

— Dziękuję. Dobrze się ubieram.

— To prawda.

Trochę zbyt oficjalnie, ale to w końcu nie moja sprawa. Nic potrafiłem wyczuć, co sądzi o moim gościu, jeżeli w ogóle cokolwiek sądziła. Niezależnie od słabości, jaką do niej czułem, musiałem przyznać, że zerwała ze mną jak prawdziwa profesjonalistka. Teraz wróciła.

Nie byłem pewien, czy powinienem wyjawić, że w trakcie jej nieobecności poczyniłem znaczące postępy; że prawdopodobnie odkryłem motyw podwójnego morderstwa i że moim zdaniem trzeba przyjrzeć się bliżej Fredricowi Tobinowi. W imię czego miałem w końcu nadstawić karku? Mogłem się przecież mylić. Po przespanej nocy nie byłem już taki przekonany, że Fredric Tobin rzeczywiście zamordował Toma i Judy Gordonów. Wiedział z pew-

nością więcej, niż mówił, ale wydawało się bardziej prawdopodobne, że za cyngiel pociągnął ktoś inny; ktoś w rodzaju Paula Stevensa. Postanowiłem, że dowiem się, czy Beth ma coś, co mogłoby mi się przydać, i sprawdzę, czego oczekuje ode mnie. Zapowiadał się ciekawy sparringowy mecz.

— Max zakończył moją karierę gminnego konsultanta — oświadczyłem, rozpoczynając pierwszą rundę.

— Wiem.

— W związku z tym nie sędzę, by wolno mnie było informować o postępach śledztwa.

— Mówisz serio? Czy się dąsasz?

— Jedno i drugie.

Przez chwilę bawiła się łyżeczką od kawy.

— Naprawdę wysoko cenię twoje opinie i analizy — oznajmiła.

— Dziękuję. Rozejrzała

się po kuchni.

— Niezły dom.

— Wielka pudemica.

— Należy do twojego wujka?

— Tak. Pracuje na Wall Street. Można tam zarobić kupę forsy. Wspomina o mnie w swoim testamencie. To nałogowy palacz.

— Dobrze, że masz jakieś miejsce, żeby się kurować.

— Powinienem pojechać na Karaiby.

Uśmiechnęła się.

— Nie miałbyś tam tyle zabawy. Swoją drogą, jak się dzisiaj czujesz?

— Doskonale. Czuję się świetnie, póki się nie przeforsuję.

— Nie forsuj się.

— Nie będę.

— Czy odkryłeś coś w ciągu tych kilku dni? Podążałeś jakimś tropem?

— Niespecjalnie. Jak już powiedziałem, Max wyłączył mnie ze śledztwa, a mój szef zobaczył mnie w telewizorze na miejscu zbrodni. Wydaje mi się również, że twój przyjaciel, pan Nash, naopowiadał mu o mnie złych rzeczy. Bardzo nieładnie postąpił.

— Dałeś mu porządnie w kość, John. Założę się, że jest na ciebie trochę wściekły.

— Niewykluczone. Chce prawdopodobnie zakończyć mój cykl życiowy.

— Nic o tym nie wiem.

Ale ja wiem.



- Co ważniejsze — oznajmiłem — będę musiał się gęsto tłumaczyć przed wielkimi szefami przy Police Plaža.
- To fatalnie. Daj znać, jeśli będę mogła w czymś pomóc.
- Dziękuję. Jakoś sobie poradzę. Wywalenie z roboty postrzelonego gliniarza nie zostałyby dobrze odebrane przez media.
- A ty sam? Chcesz odejść czy zostać?
- Zostać.
- Na pewno?
- Tak. Chcę wrócić do służby. Jestem gotów.
- To świetnie. Takie sprawiasz wrażenie.
- Dziękuję. Więc kto zabił Toma i Judy Gordonów? — zapytałem. Uśmiechnęła się z przymusem.
- Myślałam, że ty mi to powiesz.
- Nie można oczekiwać zbyt wiele za dolara tygodniowo. Czy to był dolar miesięcznie?
- Przez chwilę znowu bawiła się łyżeczką, a potem spojrzała mi w oczy.
- Kiedy cię poznałam, nic bardzo mi się spodobałeś — oznajmiła. — Wiesz dlaczego?
- Niech pomyślę... arogancki, przemądrzały, zbyt przystojny. Ku memu zaskoczeniu kiwnęła głową.
- Coś w tym rodzaju. Teraz zdałam sobie sprawę, że jest w tobie coś więcej.
- Zaręczam ci, że nie ma.
- Na pewno jest.
- Może próbuję nawiązać kontakt z tkwiącym we mnie dzieckiem?
- To udaje ci się bardzo dobrze. Powinieneś raczej nawiązać kontakt ze swoją stłumioną dorosłością.
- Nie powinno się tak mówić do rannego bohatera.
- Generalnie uważam — kontynuowała — że jesteś lojalny w stosunku do przyjaciół i traktujesz serio swoją pracę.
- Dziękuję. Przejdźmy do sedna. Chcesz, żebym opowiedział ci, co zrobiłem.
- Kiwnęła głową.
- Zakładając, że cokolwiek zrobiłeś. Ostatnio najwyraźniej zajmowałeś się innymi sprawami — dodała z nutką sarkazmu.
- To ma związek z pracą. Emma jest prezesem...
- Emma wsunęła głowę do kuchni.
- Wydaje mi się, że słyszałam klakson. Miło było cię poznać, Beth. Porozmawiamy później John.

Wyszła i usłyszałem po chwili, jak otwierają się i zamykają frontowe drzwi.

— Miła dziewczyna — stwierdziła Beth. — Nie zabiera ze sobą dużo bagażu.

Nie skomentowałem tego.

— Masz dla mnie te wydruki? — zapytała.

— Tak — odparłem, wstając. — Są w gabinecie. Zaraz wracam.

Opuściłem kuchnię, ale zamiast udać się do gabinetu, wyszedłem na zewnątrz.

Emma siedziała na wiklinowym fotelu, czekając na Warrena. Na okrągłym podjeździe stał samochód Beth, policyjny czarny ford.

— Wydawało mi się, że słyszałam klakson — powtórzyła. — Zaczekam tutaj.

— Przepraszam, że nie mogę cię odwieźć do pracy.

— Nie ma sprawy. Warren mieszka tuż obok. Już jedzie.

— To świetnie. Zobaczymy się później?

— W piątek wieczorem wypuszczam się zawsze z dziewczynami.

— I co robią dziewczyny?

— To samo co chłopcy.

— Dokąd się wypuszczają?

— Normalnie do Hamptons. Szukamy bogatych mężów i kochanków.

— Jednocześnie?

— Który pierwszy się trafi. Dobijamy targu.

— Wpadnę później do kwaciarni. Gdzie jest twój nocnik? — zapytałem.

— W sypialni.

— Przywiozę ci go.

Na długim podjeździe pojawił się samochód i Emma wstała z fotela.

— Twoją partnerkę zaskoczyła moja obecność — stwierdziła.

— Spodziewała się chyba, że to ja otworzę drzwi.

— Sprawiała wrażenie nie tylko zaskoczonej. Była trochę... zbita z tropu. Zdezorientowana. Przygnębiona.

Wzruszyłem ramionami.

— Mówiłeś, że z nikim się tu nie spotykasz.

— Bo się nie spotykam. Poznałem ją w ten poniedziałek.

— Mnie poznałeś w środę.

— To prawda, ale...

— Posłuchaj, John, nie dbam o to, lecz...

— Ona jest tylko...

— Przyjechał Warren. Muszę lecieć.

Zeszła po schodach, a potem wróciła, pocałowała mnie w policzek i pobiegła do samochodu.

Pomachałem Warrenowi.

No tak. Wróciłem do środka, poszedłem do gabinetu i wcisnąłem przycisk automatycznej sekretarki. Pierwsza wiadomość, z siódmej wieczorem, była od Beth, która oznajmiła: „Jutro o dziesiątej spotykam się z Maksem. Chciałabym do ciebie wcześniej wpaść... mniej więcej o wpół do dziewiątej. Jeśli masz inne plany, zadzwoń do mnie do domu albo na komórkę”. Podała numer telefonu komórkowego i dodała: „Jeśli podasz kawę, przywiozę pączki”.

Ton głosu był bardzo przyjazny. Naprawdę powinna była zadzwonić do mnie rano z samochodu. Ale to nic. Doświadczenie, którego nabrałem z biegiem lat, mówi mi, że jeśli nie odbierze się jakiejś wiadomości, na ogół zdarza się coś ciekawego.

Następna wiadomość, z ósmej wieczorem, była od Dorna Fanelcgo: „Hej, jesteś w domu? — zapytał. — Odbierz, jeśli tam jesteś... No dobra. Posłuchaj, odwiedzili mnie dzisiaj dwaj panowie z jednostek antyterrorystycznych, gość z FBI o nazwisku Whittaker Whitebread czy coś w tym rodzaju, prawdziwy picuś-głancuś, oraz jego kolega z policji, facet, z którym kilka razy się spotkaliśmy, »paisano«. Wiesz, kogo mam na myśli. Interesowało ich, czy nie miałem od ciebie jakiejś wiadomości. Chcą się z tobą spotkać we wtorek, kiedy przyjedziesz na komisję lekarską. Mam cię do nich przywieźć. Wydaje mi się, że FBI samo nie wierzy w swój komunikat na temat tej szczepionki przeciwko Eboli. Próbują coś ukryć. Powiedz, czy dostaniemy wszyscy trypra i odpadną nam kutasy? Swoją drogą, jutro wieczorem wybieramy się na festyn świętego Januarego. Bierz tyłek w troki i przyjeżdżaj. Spotykamy się w barze Taormina; Kenny, Tom, Frank i ja. Może będzie kilka lasek. Będziemy »mangia, mangia, mangia. Belissimo. Molto bene«. Przyjeżdżaj, jeśli twój pepperoni czuje się samotny. Ciao”.

Interesujące. Mam na myśli wizytę panów z jednostek antyterrorystycznych. Z pewnością nie spędzała im snu z powiek obawa, że na czarnym rynku pojawi się cudowny lek przeciwko Eboli. Najwyraźniej w Waszyngtonie wciąż trzęśli portkami. Powinienem im powiedzieć, żeby się nie martwili: chodzi o piracki skarb, kochani. Wiecie, kapitan Kidd, dublony, eskudy, cokolwiek to znaczy. Choć z drugiej strony, lepiej niech szukają terrorystów. Może w końcu jakiegoś znajdą. Przyda im się mały trening.

Festyn świętego Januarego. Ślinka ciekła mi na myśl o smażonych

calamari i calzone. Jezu, czasami czułem się tu jak na wygnaniu. A czasami zaczynało mi się podobać; cisza, spokój, natura, rybołówstwo...

Mogłem śmiało zdążyć na spotkanie w Taorminie, na razie jednak nie chciałem osmalić sobie skrzydeł. Potrzebowałem trochę więcej czasu i miałem go do wtorku, gdy wezmą mnie w obroty: najpierw komisja lekarska, potem Wolfe, a na koniec faceci z jednostek antyterrorystycznych. Zastanawiałem się, czy Whittaker Whitebread i George Foster są ze sobą w kontakcie. A może to jedna i ta sama osoba?

Kiedy brałem wydruki finansowe z biurka, mój wzrok padł na torbę z Tobin Vineyards. W środku był kafelek z namalowanym rybołowem. Wziąłem go do ręki, potem pomyślałem „nie”, potem „tak”, potem znowu „nie”, i w końcu „może później”. Odłożyłem go i ruszyłem z powrotem do kuchni.

## Rozdział 25

Beth Penrose wyjęła papiery z teczki i rozłożyła je na stole. Zobaczyłem teraz również talerz pączków. Dałem jej plik wydruków, który odłożyła na bok.

— Przepraszam, że to tyle trwało — powiedziałem. — Musiałem wysłuchać nagrań z automatycznej sekretarki. Dostałem twoją wiadomość.

— Powinnam zadzwonić do ciebie z samochodu — stwierdziła.

— Nic się nie stało. Jesteś zawsze mile widziana. No i co tam masz? — zapytałem, wskazując papieiy na stole.

— Notatki. Raporty. Chcesz, żebym ci opowiedziała?

— Jasne.

Nalałem nam obojgu kawę i usiadłem.

— Odkryłeś coś w tych wydrukach? — zapytała Beth.

— Tylko wyższe rachunki telefoniczne, a także Visy i Ameksu po ich podróży do Anglii.

— Twoim zdaniem ta podróż miała jakiś inny cel poza służbowym i turystycznym?

— Niewykluczone.

— Sądzisz, że spotkali się tam z obcym agentem?

— Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek dowiedzieli się, co robili w Anglii — odparłem.

Nie miałem naturalnie wątpliwości, że spędzili ten tydzień na badaniu liczących sobie trzysta lat dokumentów, nie omieszkając wpisać się w księdze gości Archiwum Publicznego i British Museum i wyrabiając w ten sposób reputację poszukiwaczy skarbów. Nie byłem jednak gotów podzielić się z nią tym odkryciem.

Beth zapisała coś w notesie. Może jakiś archiwista zainteresuje

się kiedyś notatkami detektywa wydziału zabójstw z końca dwudziestego wieku. Ja też prowadziłem kiedyś notatki, ale nie potrafiłem odczytać własnego pisma, w związku z czym do niczego mi się nie przydały.

— Zacznijmy od samego początku — powiedziała Beth. — Po pierwsze, nie odnaleźliśmy jeszcze dwóch pocisków na dnie zatoki. Zadanie jest prawie niewykonalne i dali sobie z tym spokój.

— Trafna decyzja.

— Teraz odciski palców. Prawie wszystkie zdjęte w domu należą do Gordonów. Dotarliśmy do gosposi, która sprzątała dom tego ranka. Odnaleźliśmy również jej odciski.

— Co z atlasem morskim?

— Tylko odciski Gordonów i twoje. Zbadałam pod szkłem powiększającym i lampą ultrafioletową wszystkie mapy — dodała — szukając jakichś znaków, dziurek od szpilki, tajnego pisma... czegokolwiek. Bez skutku.

— Naprawdę myślałem, że coś znajdziesz.

— Niestety nie. Wyniki sekcji potwierdzają to, co było do przewidzenia — oznajmiła, zaglądając do notatek. — Śmierć w obu wypadkach nastąpiła w wyniku ciężkiego urazu mózgu spowodowanego strzałem w głowę. Oba pociski rozerwały piąty czołowe mózgu i tak dalej... Obecność drobin prochu strzelniczego wskazuje na bliską odległość, możemy więc raczej wykluczyć strzelbę. Patolog nie da za to głowy, ale twierdzi, że strzał został oddany z odległości pięciu do dziesięciu stóp, a kaliber pocisków mieści się w górnym przedziale: czterdziestkaczwórka albo czterdziestkapiątka.

— Tak mniej więcej to sobie wyobrażaliśmy.

— Owszem. Badanie toksykologiczne nie wykazało obecności żadnych narkotyków, legalnych i nielegalnych... — dodała, zaglądając do raportu. — Zawartość żołądka: prawie nic. Zjedli pewnie wczesne i lekkie śniadanie. Żadnych znaków na żadnym ciele, żadnych infekcji, żadnych dostrzegalnych objawów chorobowych. — Beth czytała jeszcze przez chwilę raport, a potem podniosła wzrok. — Zmarła była w pierwszym miesiącu ciąży — oznajmiła.

Pokiwałem głową. Miły sposób uczczenia nagłej sławy i boactwa.

Przez minutę albo dwie żadne z nas się nie odzywało. W raporcie z sekcji jest zawsze coś takiego, co psuje nastrój. Jednym z najbardziej niewdzięcznych obowiązków spoczywających na detektywie

wydziału zabójstw jest wymóg obecności podczas sekcji. Ma to coś wspólnego z łańcuchem dowodowym i z prawniczego punktu widzenia jest nawet sensowne, ale ja nie lubię oglądać rozcinania ciał, wyjmowania i ważenia organów i całej tej jatki. Wiedziałem, że Beth była obecna przy sekcji Gordonów, i zastanawiałem się, jak zniósłbym widok wyjmowania wnętrzości i mózgu z ludzi, których znałem. Beth przełożyła na stole kilka papierów.

— Czerwone błoto znalezione na podszwach ich butów — powiedziała — składa się głównie z gliny, rudy żelaza i piasku. W okolicy jest tego tak dużo, że próba ustalenia konkretnego miejsca mija się z celem.

— Czy na ich dłoniach są oznaki świadczące o tym, że wykonywali jakieś czynności manualne? — zapytałem.

— Owszem. Tom ma otarcie na kłębie prawej dłoni. Oboje mieli styczność z ziemią, której drobiny pozostały pod paznokciami mimo prób wymycia ich morską wodą. Na ubraniach stwierdzono ślady zabrudzenia tą samą ziemią.

Pokiwałem głową.

— Co twoim zdaniem robili? — zapytała.

— Ryli w ziemi.

— Po co?

— Szukali skarbów.

Potraktowała to jako kolejny przykład mojego mądrzenia się i zignorowała, czego się zresztą spodziewałem. Podała jeszcze kilka innych informacji, żadna z nich nie była jednak szczególnie istotna.

— Przeszukanie domu nie przyniosło niczego interesującego — dodała. — Nie zapisywali też wiele w komputerze, z wyjątkiem danych finansowych i podatkowych.

— Jaka jest różnica między kobietą i komputerem? — zapytałem ją.

— Powiedz.

— Do komputera możesz wsunąć trzyipółcalowego flopa.

Beth zamknęła na sekundę oczy, pomasaowała skronie i wzięła głęboki oddech.

— Mieli szafkę — podjęła po chwili — w której przechowywali listy, dokumenty i tak dalej. Wszystko to czytamy i analizujemy. Może to być interesujące, ale na nic jeszcze nie trafiliśmy.

— Wszystkie ważne albo obciążające materiały zostały prawdopodobnie skradzione — stwierdziłem.

Beth pokiwała głową.

— Gordonowie mieli drogie ubrania, nawet te przeznaczone do użytku codziennego, piwniczką z siedemnastoma butelkami wina, cztery albumy fotograficzne... jesteś na kilku zdjęciach... oraz rolodex, który porównujemy z tym znalezionym w ich gabinecie na Plum Island. Nie znaleźliśmy żadnej pornografii, żadnych akcesoriów seksualnych, żadnych kaset magnetofonowych, nic niezwykłego w apteczce, nic w kieszeniach letnich strojów i spakowanych okryć zimowych, żadnych kluczy, które nie pasowałyby do ich drzwi. Jednego klucza brakuje: do domu Murphych, jeśli wierzyć panu Murphy'emu, który twierdzi, że dał go Gordonom.

Odwróciła kartkę i czytała dalej. Zwracam baczną uwagę na wszystkie tego rodzaju rzeczy, ale jak na razie nic nie odbiegało od normy.

— Znaleźliśmy akt kupna działki od pani Wiley — oznajmiła Beth. — Jest w porządku. Nie ma żadnych dowodów na to, żeby mieli skrytkę bankową. Albo inne konta. Znaleźliśmy też dwa ubezpieczenia na życie na sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Na każdym z nich współmałżonek figuruje jako główny uposażony, a rodzice i rodzeństwo jako uposażeni zastępczy. Tak samo wygląda to w wypadku państwowych ubezpieczeń na życie. Jest także testament, bardzo prosty, również wskazujący jako spadkobierców małżonka oraz rodziców i rodzeństwo.

— Jesteście bardzo skrupulatni — stwierdziłem.

— Owszem. Nic ciekawego na ścianach... zdjęcia rodziny, reprodukcje dzieł sztuki, dyplomy...

— Co z ich adwokatem? — zapytałem.

— Na ścianie?

— Nie, Beth, chodzi mi o to, kto jest ich adwokatem.

— Nie lubisz, kiedy ktoś łapie cię za słówka, prawda? — powiedziała z uśmiechem. — Ale sam...

— Proszę, mów dalej. Kto jest ich adwokatem?

Beth wzruszyła ramionami.

— Owszem, mamy nazwisko ich adwokata. Mieszka w Bloomington w Indianie i skontaktujemy się z nim. Rozmawiałam przez telefon z rodzicami obojga — dodała. — To czynność, którą najmniej lubię w tej pracy.

— Ja też.

— Wyperswadowałam im przyjazd tutaj. Wyjaśniłam, że kiedy



tylko patolog skończy sekcję, wyślemy zwłoki do dowolnego wskazanego przez nich domu pogrzebowego. Max uprzedził ich, że być może będziemy musieli zatrzymać rzeczy osobiste do momentu, gdy, mam nadzieję, zamkniemy sprawę i dojdzie do procesu. Wszystko jest takie przykre, kiedy ma się do czynienia z morderstwem... — dodała. — Już sama śmierć jest okropna. Morderstwo jest... trudne dla wszystkich.

— Wiem.

Beth wzięła do ręki kolejną kartkę.

— Pytałam o *Spirochete* w Agencji do Spraw Narkotyków, Straży Przybrzeżnej i nawet w urzędzie celnym. Ciekawe, że wszyscy znali tę łódź; zwracają uwagę na motorówki tej klasy. Z tego, co udało mi się ustalić, Gordonowie byli czysti. *Spirochete* nigdy nie widziano na otwartym Atlantyku i nigdy nie pojawiły się podejrzenia, że łódź uczestniczy w szmuglu, prze mycie narkotyków czy jakiegokolwiek innej nielegalnej działalności.

Pokiwałem głową. Nie była to do końca prawda, ale nie zamierzałem teraz prostować jej informacji.

— Do twojej wiadomości — kontynuowała Beth — formuła trzysta trzy SR-jeden ma zanurzenie trzydziestu trzech cali, co pozwala jej poruszać się po względnie płytkich wodach. Zabiera osiemdziesiąt osiem galonów paliwa, ma dwa silniki MerCruisera o pojemności siedmiu i czterech dziesiątych litra i łącznej mocy czterystu pięćdziesięciu koni mechanicznych. Jej prędkość maksymalna wynosi siedemdziesiąt pięć mil na godzinę. Nowa kosztuje dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów, ale ta była używana i Gordonowie kupili ją za siedemdziesiąt pięć tysięcy. To wyczynowa łódź przekraczająca znacznie ich możliwości finansowe, a także potrzeby. Tak jakby kupili ferrari zamiast zwykłego kombi.

— Zebrałaś mnóstwo informacji — zauważyłem.

— Owszem. A co twoim zdaniem robiłam?

— Myślę, że możemy wykluczyć przemyt narkotyków i podobne rzeczy — odparłem, ignorując zaczepkę. — Jeśli idzie o kupno wyczynowej łodzi, może nie potrzebowali jej osiągnięć na co dzień, ale na wszelki wypadek chcieli mieć coś szybkiego.

— Na wypadek czego?

— Na wypadek, gdyby ktoś ich ścigał.

— Kto miałby ich ścigać? I dlaczego?

— Nie wiem. — Wziąłem pączek z cynamonem i wbiłem w niego zęby. — Dobry. Ty go upiekłaś?

— Oczywiście. Podobnie jak pączki z kremem, ekierki i pączki z dżemem.

— Jestem pod wrażeniem, ale na torbie jest napis Cukiernia Nicole.

— Prawdziwy z siebie detektyw.

— Tak jest, proszą pani. Co jeszcze masz?

Beth przełożyła kilka papierów.

— Załatwiłam przez biuro prokuratora okręgowego wykaz ich rozmów telefonicznych za ostatnie dwa lata.

Wyprostowałam się na krześle.

— I co?

— Jak łatwo się było spodziewać, dużo telefonów do domu. Do rodziców, przyjaciół, krewnych i tak dalej; do Indiany, jeśli chodzi o Toma, do Illinois, jeśli idzie o Judy. Dużo połączeń z Plum Island, z firmami usługowymi i restauracjami. W ciągu ostatnich dwunastu tygodni kilka telefonów do Towarzystwa Historycznego Peconic i do Margaret Wiley, dwa do szeryfa Maxwella, jeden do Paula Stevensa w Connecticut i dziesięć do ciebie.

— Chyba się zgadza.

— Na pewno się zgadza. Poza tym jeden albo dwa razy w miesiącu telefon do Winiarni Tobina w Peconic, a także do Fredrica Tobina w Southold i do Fredrica Tobina w Peconic.

— Pan Tobin ma nadmorską rezydencję w Southold — oświadczyłem — a także apartament w winiarni, która znajduje się w Peconic.

Beth spojrzała na mnie.

— Skąd o tym wiesz?

— Ponieważ Emma, która przed chwilą stąd wyszła i pełni funkcję prezesa Towarzystwa Historycznego Peconic, jest bliską przyjaciółką pana Tobina. Zostałem również zaproszony na przyjęcie, które jego lordowska mość wydaje jutro wieczorem w swoim domu. Uważam, że ty też powinnaś tam zajrzeć.

— Dlaczego?

— To świetna sposobność, żeby porozmawiać z miejscowymi. Będzie tam prawdopodobnie Max.

Beth pokiwała głową.

— Dobrze.

— Szczegółów dowiesz się od Maksa. Właściwie nie mam oficjalnego zaproszenia.

— Okej.

— Rozmowy telefoniczne.

Beth spojrzała na swoje komputerowe wydruki.

— W maju zeszłego roku były cztery telefony z Londynu, opłacone ich kartą telefoniczną: jeden do Indiany, jeden do Illinois, icdn na numer centrali Plum Island oraz czterdziestominutowa rozmowa z Fredrikiem Tobinem.

— Interesujące.

— Co jest z tym Tobinem?

— Nie jestem pewien.

— Powiedz, czego jesteś pewien.

— Myślałem, że to ty zdajesz raport, i nie chcę ci przeszkadzać.

— Nie, teraz twoja kolej, John.

— Nie bawię się w tę grę, Beth. Skończ to, co masz do powiedzenia, tak jakbyś informowała swoich szefów. Potem powiem ci, co odkryłem.

Zastanawiała się przez chwilę, najwyraźniej nie chcąc być nabita w butelkę przez Johna Coreya.

— Masz coś ciekawego? — zapytała.

— Tak. Naprawdę mam. Kontynuuj.

— Dobrze... gdzie ja byłam?

— Wykazy rozmów telefonicznych.

— Tak. Obejmują dwadzieścia pięć miesięcy, czyli około tysiąca rozmów, i dałam je do analizy komputerowej. Odkryłam interesujący fakt: kiedy Gordonowie przyjechali tutaj w sierpniu przed dwoma laty, najpierw wynajmowali dom w Oriencie, niedaleko promu. I już po czterech miesiącach przeprowadzili się do domu w Nassau Point.

— Czy dom w Oriencie był nad wodą? — zapytałem.

— Nie.

— To jest odpowiedź. W ciągu czterech miesięcy od przyjazdu uznali, że potrzebują domu nad wodą, przystani i łodzi. Dlaczego?

— To właśnie próbujemy ustalić — stwierdziła Beth.

— Owszem. Ja już to ustaliłem. Gordonowie doszli z jakiegoś powodu do wniosku, że trzeba coś znaleźć i odkopać na Plum Island. I jesienią przed dwoma laty pierwsza część planu... wynajęcie domu nad wodą oraz kupno łodzi... została zrealizowana. Kontynuuj — powiedziałem do Beth.

— Dobrze... Plum Island... robili nas w konia i musiałam z nimi ostro pograć.

— Brawo.

— Kazałam przetransportować promem dó Orient Point i przc-

wieźc policyjną ciężarówką do naszego laboratorium wszystko, co znajdowało się w ich gabinecie.

— Podatnicy hrabstwa Suffolk będą zachwyceni.

— Pobrałam też z gabinetu odciski palców, wyczyściłam go i zamknęłam na kłódkę.

— Mój Boże. Jesteś wzorem skrupulatności.

— To podwójne morderstwo, John. Jak postępujecie w takim wypadku w mieście?

— Zawiadamiamy wydział sanitarny. Proszę, mów dalej.

Beth wzięła głęboki oddech.

— Okej... zdobyłam także spis wszystkich pracowników Plum Island i oddelegowałam pięciu detektywów, żeby z nimi porozmawiali.

— Doskonale. Chcę osobiście przesłuchać Donnę Albę.

— Nie wątpię. Jeśli ją znajdziesz, daj nam znać.

— Nie ma jej?

— Wyjechała na wakacje — wyjaśniła Beth. — To miałam na myśli mówiąc, że robią nas w konia.

— Wciąż starają się zacierać ślady. Nie mogą się powstrzymać. Taka już ich biurokratyczna natura. Gdzie są twoi kumple, Nash i Foster? — zapytałam.

— Nie są moimi kumplami i nie mam pojęcia. Są gdzieś w pobliżu, ale nie rzucają się w oczy. Wymeldowali się z Soundview.

— Wiem. Co jeszcze?

— Załatwiłam w sądzie nakaz wydania całego znajdującego się na Plum Island uzbrojenia. Mieli tam pistolety kaliber czterdzieści pięć, kilka rewolwerów, tuzin M-szesnaście i dwa karabiny z drugiej wojny światowej.

— Mój Boże. Mieli zamiar dokonać na nas inwazji?

Beth wzruszyła ramionami.

— Dużo broni zostawiła im chyba armia. Tak czy inaczej bardzo im się to nie spodobało. Każda sztuka broni zostanie poddana badaniom balistycznym na wypadek, gdybyśmy odnaleźli kiedykolwiek pociski.

— Trafna decyzja. Kiedy uzbroisz z powrotem Plum Island?

— W poniedziałek albo wtorek.

— Widziałem piechotę morską na przystani promowej. Po rozbrojeniu oddziałów biednego pana Stevensa uznali widać, że potrzebują ochrony.

— To nie mój problem.

— Swoją drogą, jestem pewien, że nie oddali całego arsenału.

— Jeśli tego nie zrobili, poproszę o nakaz aresztowania Stevensa.

Żaden sędzia nie wydałby takiego nakazu, ale i tak nie miało to znaczenia.

— Proszę, mów dalej — powiedziałem.

— Złożyłam niespodziewaną wizytę doktor Chen, która mieszka w Stony Brook. Odniosłam wrażenie, że została odpowiednio poinstruowana przed naszym spotkaniem w laboratorium, ponieważ rozmawiając ze mną w domu trochę się zacinała. Wyciągnęłam z doktor Chen, że owszem, nie można wykluczyć, iż Gordonowie wykradli jakiegoś niebezpiecznego wirusa albo bakterię.

Pokiwałam głową. Wykonała bardzo dobrą policyjną robotę, na piątkę. Część informacji była ważna, część nie. Z tego, co wiedziałem, tylko trzy osoby mogły w kontekście tej sprawy użyć słów „piracki skarb”: ja, Emma i morderca.

— Przesłuchałam ponownie Kennetha Gibbsa, również w domu. Mieszka w Yaphank, niedaleko komendy. Jest trochę gburowaty, ale nie wydaje mi się, żeby wiedział coś więcej, niż nam powiedział. Paul Stevens to inna historia... — dodała.

— Z całą pewnością. Rozmawiałaś z nim?

— Próbowалам... wciąż mi się wymyka. Myślę, że on coś wie, John — dodała. — Na Plum Island mało jest rzeczy, które działałyby się bez wiedzy szefa ochrony.

— Chyba tak.

— Myślisz, że jest podejrzany? — zapytała, patrząc mi w oczy.

— Budzi moje podejrzenia, a to oznacza, że jest podejrzany.

Beth przez chwilę się zastanawiała.

— Nie jest to zbyt naukowe podejście, ale ten facet sprawia wrażenie zabójcy.

— Na pewno. Mam całą kategorię ludzi, którzy wyglądają i zachowują się jak zabójcy.

Nie wiedziała, czyjej nie podpuszczam, czego tym razem akurat nie robiłem.

— Tak czy owak próbuję zebrać o nim trochę informacji — dodała — ale ludzie, którzy mają do nich dostęp... FBI... zwlekają z odpowiedzią.

— Na pewno zrobili już to, o co prosiłaś, tyle że nie chcą podzielić się z tobą swoją wiedzą.

Beth pokiwała głową.

— Kurewska sprawa — stwierdziła niespodziewanie.

— Mówiłem ci od początku. Gdzie mieszka Stevens?

— W New London w Connecticut. Chodzi stamtąd rządowy prom na Plum Island.

— Daj mi jego adres i numer telefonu.

Znalazła to, o co prosiłem, w notatkach, i zaczęła pisać.

— Nie trzeba — powstrzymałem ją. — Mam fotograficzną pamięć. Po prostu mi powiedz.

Ponownie spojrzała na mnie z lekkim niedowierzaniem. Dlaczego nikt nie traktuje mnie poważnie? W końcu podała mi adres i numer telefonu Paula Stevensa i umieściłem te dane w stosownym zakamarku umysłu.

— Chodźmy się przejść — zaproponowałem, wstając.

## Rozdział 26

Wysliśmy z domu i zatrzymaliśmy się na skraju wody.

— Ładnie tu u ciebie — stwierdziła.

— Zaczynam to doceniać.

Podniosłem z ziemi płaski kamień i puściłem kaczkę. Odbiła się trzy razy, nim zatonąła.

Beth znalazła odpowiedni kamyk, podniosła ramię i cisnęła go, wprawiając w ruch całe ciało. Odbił się cztery razy, nim poszedł na dno.

— Nieźle rzucasz — pochwaliłem ją.

— Jestem miotaczką w drużynie wydziału zabójstw. Podniosła kolejny kamyk i rzuciła go w pal na końcu pomostu. Chybiła o kilka cali i spróbowała ponownie.

Patrzyłem, jak to robi. To, co rajcowało mnie przedtem, rajcowało mnie w dalszym ciągu. Przede wszystkim jej wygląd, ale również powściągliwość. Lubię, kiedy są powściągliwe. Tak mi się przynajmniej wydaje. Tak czy owak, byłem tego prawie pewien, fakt, iż zastała u mnie Emmę, wprawił ją w zakłopotanie i trochę zdenerwował. Co ważniejsze, zaskoczyło ją to, co czuła, a czuła prawdopodobnie, że powinna stawić czoło wyzwaniu.

— Brakowało mi twojego towarzystwa — powiedziałem. — Nieobecność przedmiotu miłości sprawia, że serce staje się bardziej czułe.

— W takim razie na pewno mnie pokochasz — stwierdziła, zerkając na mnie między rzutami -\*- ponieważ najprawdopodobniej to nasze ostatnie spotkanie.

— Nie zapomnij o jutrzejszym przyjęciu.

— Jeśli podejrzewam jakąś osobę z tych, z którymi rozmawialiśmy — stwierdziła, ignorując moją uwagę — to jest nią Paul Stevens.

— Dlaczego?

Cisnęła ponownie kamykiem w pal i tym razem trafiła.

— Zadzwoiłam do niego wczoraj na Plum Island i powiedzieli, że go nie ma. Kiedy naciskałam, stwierdzili, że jest chory. Zatelefonowałam do niego do domu, ale nikt nie odbierał. Kolejny znikający wyspiarz — dodała.

Ruszyliśmy wzdłuż kamienistego wybrzeża.

Mnie też nie podobało się zachowanie pana Stevensa. Był potencjalnym podejrzanym. Jak wspomniałem, mogłem się albo poważnie mylić co do Fredrica Tobina, albo Tobin był w zмовie ze Stevensem. Możliwe również, że myliłem się co do obu. Wydawało mi się, że kiedy znajdę motyw, będę miał mordercę. Ale motywem okazały się pieniądze; a kiedy chodzi o pieniądze, wszyscy są podejrzani.

Szliśmy brzegiem na wschód, mijając domy moich sąsiadów. Zaczynał się przyływ i woda pluskała o kamienie. Beth wsadziła ręce do kieszeni żakietu i stąpała z opuszczoną głową, jakby zatopiona w myślach. Od czasu do czasu kopała kamyk albo muszlę. Kiedy zobaczyła leżącą na brzegu małą rozgwiazdę, pochyliła się, podniosła ją i wrzuciła z powrotem do morza.

— Jeśli chodzi o doktora Zollnera — powiedziała po pewnym czasie — odbyliśmy miłą rozmowę przez telefon.

— Dlaczego nie wezwałaś go do siebie?

— Zrobiłabym to, ale jest w Waszyngtonie. Wezwano go, żeby złożył oświadczenie w FBI, Departamencie Rolnictwa i tak dalej. Potem wyrusza w podróż: do Ameryki Południowej, Anglii i mnóstwa innych miejsc, gdzie potrzebna jest jego wiedza. Trzymają go poza moim zasięgiem — dodała.

— Załatw nakaz.

Nie odpowiedziała.

— Czy Waszyngton utrudnia ci śledztwo? — zapytałem.

— Mnie osobiście nie. Ale wywierane są naciski na ludzi, dla których pracuję. Wiesz, jak to jest, kiedy nie odpowiada się na twoje telefony, załatwienie rzeczy, o które prosisz, trwa zbyt długo, odkładane są spotkania, na których ci zależy.

— Pracowałem kiedyś nad taką sprawą. Politycy i biurokraci każą ci się kręcić w kółko, dopóki nie wiedzą, czy możesz im pomóc, czy zaszkodzić.

— Czego tak naprawdę się boją i co próbują ukryć? — zapytała.



— Politycy boją się wszystkiego, czego nie rozumieją, a nie rozumieją niczego. Po prostu pracuj dalej nad sprawą.

Kiwnęła głową.

— Odwaliłaś kawał porządnej roboty.

— Dzięki.

Zawróciliśmy i ruszyliśmy z powrotem w stronę mojego domu.

Beth najwyraźniej lubiła papierkową robotę, detale, małe klocki, które składały się na sprawę. Są detektywi, którzy wierzą, że można rozwiązać sprawę na podstawie analiz laboratoryjnych, balistycznych i tak dalej. Czasami tak się rzeczywiście dzieje. W tej sprawie pytania zaczęły jednak padać z lewej strony pola i trzeba było tam się znaleźć, żeby je przechwycić.

— W laboratorium zbadano dwa należące do Gordonów samochody i łódź — oznajmiła Beth. — Wszystkie odciski palców są ich, z wyjątkiem twoich, moich i Maksa na łodzi. Na pokładzie znaleziono poza tym coś dziwnego.

— Tak?

— Dwie rzeczy. Po pierwsze ziemię, o której wiemy. Po drugie małe, bardzo małe drzazgi zgniętego drewna. Nie takiego, które fala wyrzuca na brzeg. Nic było w nim soli. To było drewno, które ktoś zakopał, z wciąż obecnymi grudkami ziemi. Co ty na to? — zapytała, spoglądając na mnie.

— Daj mi pomyśleć.

— Dobrze.

— Skontaktowałam się z szeryfem hrabstwa, niejakim Willem Parkerem w sprawie pozwoleń na broń krótką, które wydał w gminie Southold.

— Znakomicie.

— Sprawdziłam również nasz rejestr i mam wydruk komputerowy, z którego wynika, że mieszkańcom gminy Soutlioki wydano tysiąc dwieście dwadzieścia cztery pozwolenia na pistolet.

— Zatem na dwadzieścia kilka tysięcy obywateli tej gminy mamy około tysiąca dwustu posiadaczy licencji na broń. To duża liczba, ale można się z nią uporać.

— Paradoksalne wydaje się to — poinformowała mnie Beth — że kiedy mówiło się o epidemii, koszty nie grały roli. Ale teraz ta sprawa nie może pochłonąć całego naszego budżetu.

— Gordonowie są dla mnie ważni. Zależy mi na wykryciu sprawców tego morderstwa.

— Wiem o tym. Mnie też na tym zależy. Tłumaczę ci po prostu, jaka jest rzeczywistość.

— Może powinienem zatelefonować do twojego szefa i wytłumaczyć mu, jaka jest rzeczywistość?

— Daj spokój, John. Zajmą się tym.

— W porządku.

Podczas gdy miejscowa policja ograniczała przeznaczone na tę sprawę środki, tajne agencje federalne zwiły się jak w ukropie. Szukały co prawda niewłaściwego sprawcy, ale nie był to mój problem.

— Czy pan Tobin jest na liście posiadaczy broni? — zapytałem.

— Owszem. Przejrzałam ją pod kątem osób, które znam. Jedną z nich był Tobin.

— Kto jeszcze?

— Max. Ma pozasłużbową czterdziestkępiątkę.

— No to mamy sprawcę — stwierdziłem półzartem. — Jaką broń ma Tobin?

Beth zerknęła na mnie.

— Dwie sztuki: dziewięćmilimetrowy browning oraz colta kaliber czterdzieści pięć.

— Mój Boże. Strzela z nich do złodziei winogron?

— Przewozi chyba gotówką albo coś w tym rodzaju. W tej gminie, jeśli dobrze żyjesz z szeryfem i komendantem, nie musisz mieć nadzwyczajnych powodów, żeby dostać pozwolenie na broń.

— To ciekawe.

W stanie Nowy Jork obowiązują surowe przepisy dotyczące posiadania małej gabarytowo broni, ale w pewnych miejscach uzyskanie pozwolenia jest, jak widać, łatwiejsze niż gdzie indziej. Posiadanie dwóch pistoletów nie czyniło jeszcze z F. Tobina zabójcy, świadczyło jednak o typie jego osobowości. Freddie był facetem o nienagannych manierach, który, jak stwierdziła Emma, nie posuwałby się do fizycznej ani werbalnej przemocy, bez wahania jednak posłałby człowiekowi kulkę w łeb, gdyby poczuł się przez niego w najmniejszym stopniu zagrożony.

Kiedy zbliżyliśmy się do mojego kawałka wybrzeża, Beth zatrzymała się i odwróciła w stronę wody. Przez chwilę stała bez ruchu — w klasycznej pozie, niczym na olejnym malowidle zatytułowanym „Kobieta patrząca na morze”. Ciekawe, czy lubi kąpać się nago, pomyślałem, po chwili jednak uznałem, że nie należy do takich kobiet.

— Dlaczego tak cię interesuje Fredric Tobin? — zapytała.

— Powiedziałem ci... okazało się, że przyjaźnił się z Gordonami bliżej, niż myślałem.

— I co z tego?

- Nie wiem. Kontynuuj.
- Zerknęła na mnie ponownie, a potem stanęła tyłem do zatoki i naszyła przed siebie.
- Przeszukaliśmy również mokradła na północ od domu Gordonów — oznajmiła — i znaleźliśmy miejsce, gdzie łódź mogła /ostać wciągnięta w szuwary.
- Naprawdę? Dobra robota.
- Dziękuję. Jest całkiem możliwe, że ktoś wpłynął tam łodzią o niskim zanurzeniu. Szczyt przyływu w poniedziałek był o dziewiętnastej zero dwa, więc o wpół do szóstej poziom wody był zbliżony do maksymalnego. Na mokradłach koło domu Gordonów wynosi on dwie stopy. Używając żerdzi, można wepchnąć płaskodenną łódź w szuwary i nikt z łądu jej nie zobaczy.
- Doskonale. Dlaczego sam o tym nie pomyślałem?
- Ponieważ spędzasz zbyt wiele czasu na wymyślaniu głupawych odzywek.
- Właściwie wcale ich nie wymyślam.
- Nie twierdzę, że jakaś łódź na pewno tam wpłynęła, ale wszystko wskazuje, że tak było. Kilka trzcin zostało niedawno złamanych. W mule nie ma żadnych wgłębień, lecz od morderstwa było osiem przyływów, które usunęły prawdopodobnie wszystkie ślady.
- Kurczę, to wygląda zupełnie inaczej niż na Manhattanie. Szuwary, mokradła, muł, przyływy, wielkie głębokie zatoki z pociśkami na samym dnie. Przypomina to sierżanta Prestona z Yukonu.
- Widzisz, o co mi chodzi? Jesteś totalnym idiotą.
- Przepraszam...
- Drobiazg. Rozmawiałam z Maksem przez telefon. Bardzo go wkurzyło, że przepuściłeś Fredrica Tobina przez wyżymaczkę.
- Mam w dupie Maksa.
- Postarałam się to załagodzić.
- Jestem ci bardzo wdzięczny.
- Dowiedziałeś się czegoś od Fredrica Tobina? — zapytała.
- Jasne. O tym, jakie znaczenie ma rozpiętość liścia. O maccrowaniu skórek w beczułkach. Co jeszcze...?
- Czy powinnam go przesłuchać?
- Tak, powinnas — odparłem po krótkim zastanowieniu.
- Czy możesz mi podać jakiś powód, dla którego powinnam to zrobić?
- Mogę. Ale nie w tej chwili. Powinnas jednak zapomnieć o narkotykach, wirusach, szczepionkach i wszystkim, co wiąże się z pracą Gordonów.

Szliśmy dalej. Beth przez długi czas milczała.  
— Jesteś tego pewien? — zapytała w końcu.  
— Tak.  
— W takim razie jaki jest motyw? Powiedz mi.  
— Obawiam się, że będę musiał wystawić na próbę twoją cierpliwość.

- Romans? Seks? Zazdrość?
- Odpada.
- Ziemia kupiona od Margaret Wiley?
- Wiąże się ze sprawą.

Beth sprawiała wrażenie zatopionej w rozmyślaniach.

Znajdowaliśmy się teraz z powrotem na terenie posiadłości mojego wujka i stanęliśmy naprzeciwko siebie obok przystani, trzymając ręce w kieszeniach. Próbowałem ustalić, co czuję do tej kobiety w świetle nowej znajomości z Emmą. Beth zaś próbowała ustalić, kto zabił Gordonów. Przyszło mi do głowy, że kiedy sprawa zostanie rozwiązana, będziemy być może musieli wszyscy ustalić, co i do kogo czujemy.

- Znajdź kamyk i rzuć, jak potrafisz najlepiej — odezwała się.
- To mają być zawody?
- Oczywiście.
- Jaka jest nagroda?
- Nie przejmuj się. I tak nie wygrasz.
- Czy nie jesteśmy przypadkiem zbyt pewni siebie?

Znalazłem naprawdę odpowiedni kamyk — okrągły, płaski na dole i wklęsły na górze. Przymierzyłem się, jakby to był rzut, od którego zależy wynik całego meczu, i cisnąłem. Kamyk uderzył w wodę, odbił się, uderzył, odbił się, uderzył, odbił się, uderzył, odbił się i zatonał. Nieźle.

- Cztery razy — powiedziałem na wypadek, gdyby nie liczyła.

Beth wybrała już swój kamyk — okrągły, trochę większy od mojego i wklęsły po obu stronach. To inna szkoła. Zdjęła żakiet, podała mi go, zważyła kamyk w dłoni, jakby zastanawiała się, czy nie roztrzaskać mi nim czaszki, po czym wyobrażając sobie prawdopodobnie, że tam na falach kołysze się moja głowa, rzuciła.

Kamyk odbił się cztery razy i byłby zatonał, gdyby nie trafił na małą falę, od której odbił się po raz piąty.

Beth wytarła ręce i wzięła ode mnie żakiet.

- Bardzo dobrze — powiedziałem.
- Przegrałeś — stwierdziła, wkładając żakiet. — Powiedz, co wiesz.

— Jesteś takim świetnym detektywem. Dam ci po prostu elementy układanki, a tyje sama ułożysz. Posłuchaj: wynajęty nad wodą dom, szybka motorówka, akr ziemi kupiony od Margaret Wiley, Towarzystwo Historyczne Peconic, historia Plum Island i sąsiednich wysp, nie wyjaśniony tydzień w Londynie... co jeszcze... cyfry cztery-cztery-jeden-zero-sześć-osiem-jeden-osiem... co jeszcze?

— Paul Stevens?

— Możliwe.

— Fredric Tobin?

— Możliwe.

— W jakim charakterze? Podejrzanego? Świadka?

— Pan Tobin i jego winiarnia znajdują się na skraju bankructwa. Tak przynajmniej słyszałem. Więc może być zdesperowany. A zdesperowani ludzie robią desperackie rzeczy.

— Sprawdzę jego finanse — stwierdziła. — Tymczasem dziękuję za wspaniałe wskazówki.

— Wszystko tu jest, dziecko. Poszukaj wspólnego mianownika, nici, która biegnie przez wszystkie te punkty.

Najwyraźniej nie podobała jej się ta gra.

— Muszę jechać. Powiem Maksowi, że rozwiązałeś tę sprawę i powinien do ciebie zatelefonować — oznajmiła, ruszając przez trawnik w stronę domu. Podążyłem w ślad za nią.

W kuchni zaczęła zbierać swoje papiery.

— Swoją drogą — zapytałem — co oznaczały te dwie flagi sygnałowe?

— Dwie litery, B i V — odpowiedziała, nie przestając się pakować. — W alfabecie fonetycznym Bravo i Victor.

— A znaczenia umowne? Co oznaczają poza tym te litery!'

— Bravo oznacza również niebezpieczny ładunek. A Victor potrzebna pomoc.

— Zatem te dwie flagi znaczą „niebezpieczny ładunek, potrzebna pomoc”.

— Owszem, co miałyby sens, gdyby Gordonowie przewozili śmiertcionośne mikroorganizmy. Albo nielegalne narkotyki. Mogło to stanowić sygnał dla ich współnika. Ale powiedziałaś, że to nie ma nic wspólnego z wirusami ani narkotykami.

— Zgadza się.

— Według mojego kolegi, który jest żeglarzem — poinformowała mnie — wiele osób wywiesza na łodziach flagi, które nie są niczym więcej jak żartem albo ozdobą. Nie wolno tego robić na wodzie, ale na łodzi nikt nie traktuje ich poważnie.

— To prawda. I Gordonowie często to robili — odparłem. Ale tym razem... niebezpieczny ładunek, potrzebna pomoc... — Założmy, że to był sygnał dla kogoś — powiedziałem. — Idealny sygnał. Bez konieczności łączenia się przez telefon albo komórkę, co można zarejestrować. Po prostu staroświecka flaga sygnałowa. Mamy na pokładzie towar, mówili Gordonowie, chodź pomóż go nam rozładować.

— Jaki towar?

— Oto jest pytanie.

— Jeśli dysponujesz jakimiś informacjami albo dowodami, których nie chcesz ujawnić... a przypuszczam, że tak właśnie jest... wtedy możesz mieć kłopoty z prawem, detektywie.

— Proszę bez pogrózek.

— Prowadzę śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa, John. Gordonowie byli twoimi przyjaciółmi i to nie jest jakaś gra...

— Daj spokój. Nie potrzebuję kazania. Siedziałem na werandzie, zajmując się własnymi sprawami, kiedy zjawił się tu Max z kapeluszem w ręku. Następnego dnia wieczorem stałem z palcem w nosie na parkingu przystani promowej po całym dniu spędzonym w strefie zagrożenia. A teraz...

— To ty daj spokój. Traktowałam cię bardzo dobrze...

— Co ty powiesz? Przez dwa dni nie dawałaś znaku życia...

— Pracowałam. A ty co robiłeś?

1 tak to trwało przez jakieś dwie minuty.

— Zawrzyjmy rozejm — zaproponowałem w końcu. — To do niczego nie prowadzi.

Beth opanowała się.

— Przepraszam — powiedziała.

— Masz za co. Ja też przepraszam.

Tak oto pogodziliśmy się, nie dając sobie buzi.

— Nie chcę cię naciskać, ale oświadczyłeś, że kiedy powiem ci, co wiem, ty zrobisz to samo — oznajmiła.

— I dotrzymam słowa. Ale nie dziś rano.

— Dlaczego?

— Porozmawiaj najpierw z Maksem. Będzie znacznie lepiej, jeśli poinformujesz go o wynikach swojej pracy, a nie o moich teoriach.

Przez chwilę namyślała się, a potem pokiwała głową.

— Dobrze. Kiedy będę mogła usłyszeć twoje teorie?

— Potrzebuję jeszcze trochę czasu. Tymczasem pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Zobaczmy, czy dojdiesz do tych samych wniosków co ja.

Milczała.

— Mogę ci tylko obiecać — dodałem — że kiedy pozbięram to wszystko razem, podam ci rozwiązanie na srebrnej tacy.

— To bardzo miło z twojej strony. Co będziesz chciał w zamian?

— Nic. Potrzebny ci jakiś sukces. Ja i tak jestem u szczytu kariery.

— Jesteś w poważnych tarapatkach i rozwiązanie tej sprawy wcale ci nie pomoże; wprost przeciwnie.

— Nie dbam o to.

Beth spojrzała na zegarek.

— Muszę się spotkać z Maksem — stwierdziła.

— Odprowadzę cię do samochodu.

Wyszliśmy na zewnątrz i wsiadła do swojego forda.

— Zobaczymy się najpóźniej jutro wieczorem. Na przyjęciu u Tobina — powiedziała.

— Zgadza się. Możesz udawać dziewczynę Maksa — odparłem z uśmiechem. — Dziękuję, że wpadłaś.

Zatoczyła koło, ale zamiast skierować się w stronę szosy, podjechała nagle z powrotem pod drzwi i ostro przyhamowała.

— John! — zawołała prawie bez tchu. — Powiedziałeś, że Gordonowie szukali zakopanego skarbu. Jeśli coś znaleźli, musieli wykraść to z Plum Island, która należy do państwa, i zakopać ponownie na własnej ziemi: na działce kupionej od Margaret Wilej. Zgadza się? Uśmiechnąłem się i podniosłem w górę oba kciuki, a potem odwróciłem się i wszedłem do domu. W kuchni dzwonił telefon. To była Beth.

— Co takiego wykopali? — zapytała.

— Telefon nie jest bezpieczny.

— Kiedy mogę się z tobą spotkać? I gdzie?

Wydawała się podekscytowana i wcale się temu nie dziwiłem.

— Skontaktuję się z tobą.

— Obiecuj.

— Dobrze. Tymczasem radzę ci zachować to dla siebie.

— Rozumiem.

— Cześć.

— John...

— Tak?

— Dziękuję.

Odłożyłem słuchawkę.

— Nie ma za co.

Wyszedłem na dwór przez kuchenne drzwi i ruszyłem na koniec pomostu. Odkryłem, że dobrze mi się tam myśli.

Nad wodą zawisła poranna mgła i zobaczyłem sunącą przez szary tuman niedużą wiosłową łódkę. Jej kurs przecinał kabinowy jacht. Wioślarz podniósł coś do ust i usłyszałem głośne buczenie syreny przeciwmgielnej. Przypomniałem sobie puszki z aerozolem emitujące dźwięk syreny przeciwmgielnej, syreny dla ubogich. Ich buczenie słyszało się na wodzie wystarczająco często, by nie zwracać na nie uwagi nawet wtedy, gdy rozbrzmiewało w słoneczne dni, pamiętałem bowiem, że zakotwiczone na redzie duże statki również używały syren, żeby wezwać na pokład załogę. I jeśli ten dźwięk rozległ się gdzieś blisko, można było nie usłyszeć dwóch następujących po sobie szybko strzałów z pistoletu. Syrena była czymś w rodzaju tłumika dla ubogich. Zresztą bardzo sprytnego.

Wszystko układało się teraz w całość, nawet małe szczegóły. Mogłem z satysfakcją stwierdzić, że mam motyw zabójstwa — skarb kapitana Kidda. Nie potrafiłem jednak z całkowitą pewnością przypisać go konkretnej osobie: Tobinowi, Stevensowi czy w ogóle komukolwiek. W paranoidalnych momentach wydawało mi się, że w sprawie maczali palce Maks i Emma.

Biorąc pod uwagę miejscowe środowisko, mogłem mieć naprawdę do czynienia z rozgałęzionym spiskiem. Ale kto pociągnął za cyngiel? Próbowałem sobie wyobrazić Maksa, Emmę, Tobina, Stevensa, a nawet Zollnera na przystani domu Gordonów... A może kogoś innego, kogoś, kogo nawet nie znałem, o kim nawet nie pomyślałem. Trzeba być bardzo ostrożnym i diabelnie pewnym swego, zanim zacznie się nazywać kogoś mordercą.

Musiałem również odnaleźć skarb, nie dlatego, że mi na tym specjalnie zależało, ale dlatego, że zależało wszystkim poza mną. Mały Johnny wyrusza na poszukiwanie. Musi przechytryć złych piratów, odzyskać skarb i oddać go władzom. Bardzo przygnębiająca perspektywa.

Zastanawiałem się, czy kilka milionów w złocie i klejnotach uczyniłoby mnie szczęśliwym. Blask złota uwodzi nawet świętych. Nim zadumałem się nad tym głębiej, pomyślałem o ludziach, którzy zginęli z jego powodu — byli wśród nich marynarze zaatakowanego przez Kidda statku, z pewnością kilku marynarzy Kidda oraz sam Kidd, powieszony przy londyńskim nabrzeżu, następnie zaś nie wiadomo ilu zabitych albo zrujnowanych, którzy szukali w ciągu ostatnich trzystu lat legendarnego skarbu. I w końcu Tom i Judy Gordonowie. Miałem niepokojące przeczucie, że ten łańcuch zabójstw nie skończy się na nich.



# Rozdział 27

Koło południa wpadłem do kwiaciarni, żeby dostarczyć nocnik. Ponieważ nie jadłem śniadania, zaprosiłem Emmę na lunch, ale odparła, że jest zajęta. W krainie kwiatów piątek jest dniem wzmożonej pracy — przyjęcia, kolacje i tak dalej. Były też trzy pogrzeby, których z samej natury nie można wcześniej przewidzieć. W weekendy miała prócz tego stałe zamówienie z Winnic Tobina na kwiaty do ich restauracji. No i oczywiście nazajutrz Fredric wydawał wielki bankiet.

— Płaci rachunki? — zapytałem.

— Nie. Dlatego postawiłam z nim sprawę jasno. Gotówka albo karta kredytowa. Żadnych czeków. I skończyłam z zaopatrywaniem jego domu.

Ton jej głosu sugerował, że chętnie skończyłaby nie tylko z tym.

— Mogę ci przynieść sandwicza? — zapytałem.

— Nie, dziękuję. Naprawdę muszę wracać do pracy.

— Do zobaczenia jutro.

Wyszedłem z kwiaciarni i ruszyłem Main Street. Coś w naszej krótkiej znajomości uległo zmianie. Potraktowała mnie z wyraźnym chłodem. Kobiety potrafią człowieka zmrozić, a jeśli próbuje się je ugłaskać, obniżają po prostu temperaturę. To zabawa, do której trzeba dwojga, i gra się w niej znaczonymi kartami, w związku z czym zawsze się wycofuję.

Kupiłem sobie sandwicza i piwo w delikatesach, wsiadłem do jeepa i pojechałem na działkę Toma i Judy na urwisku. Tam siadłem na gładzie i zjadłem swój lunch. Rafy Kapitana Kidda. Kto by pomyślał. Nie miałem wątpliwości, że cyfry 44106818, które znali wszyscy zainteresowani, zostaną zaaranżowane tak, by pasować do

miejsca na ścianie urwiska, gdzie miał być znaleziony skarb — czterdzieści cztery kroki albo czterdzieści cztery stopnie, dziesięć kroków albo dziesięć stopni i tak dalej. Z cyframi i ich znaczeniem można bawić się w dowolny sposób, kiedy trzeba je dostosować do wybranego przez siebie miejsca.

— Nieźle główkowaliście, kochani. Cholernie żałuję, że nie przyszlście z tym do mnie. Uniknęlibyście wtedy śmierci.

Gdzieś obok zaświergotał ptak, jakby w odpowiedzi.

Stałem na skale, skierowałem lornetkę na południe, na pola uprawne i winnice, i po krótkiej chwili dojrzałem wznoszącą się nad polodowcową równiną wieżę Tobina Groźnego, najwyższy obiekt w zasięgu wzroku: namiastkę penisa lorda Freddiego.

— Ty mały gnoju — powiedziałem na głos.

Poczułem, że chcę uciec — uciec od mojego telefonu i domu, od Beth, Maksa, Emmy, FBI, CIA, moich szefów i nawet moich kumpi w mieście. Spoglądając na leżące po drugiej stronie cieśniny wybrzeże Connecticut, uświadomiłem sobie, że mam ochotę odwiedzić kasyno Foxwoods.

Zszedłem na dół, wsiadłem do jeepa i pojechałem na przystań promową w Orient Point. Pogoda była ładna, fala niewielka i po godzinie i dwudziestu minutach mój jeep i ja znaleźliśmy się w New London w Connecticut.

Stamtąd pojechałem do Foxwoods, rozległego kasyna i hotelu stojącego w szczerym polu — a dokładniej rzecz biorąc na terenie należącym do plemienia Mashantucket Pequotow, gdzie wyrównywali oni stare rachunki z bladymi twarzami. Zameldowałem się w hotelu, kupiłem przybory toaletowe, udałem się do swojego pokoju, rozpakowałem szczoteczkę do zębów i zszedłem na dół do przestronnego kasyna, aby stawić czoło przeznaczeniu.

Szło mi nieźle w blackjacka, straciłem trochę w automatach, przegrałem parę setek w kości i dałem się oskubać przy kole ruletki. O ósmej wieczorem byłem do tyłu tylko na dwa tysiące dolarów. Dawno się tak dobrze nie bawiłem.

Wyobraziłem sobie, że jestem Freddiem Tobinem — z superlaską na ramieniu, dziesięcioma patolami do tyłu tygodniowo, winiarnią pompującą szmal, ale pompującą nie dość szybko. Cały mój świat ma wkrótce legnąć w gruzach. Mimo to jakoś się trzymam i dalej trwonię pieniądze, ponieważ wkrótce przypadnie mi główna wygrana. Nie główna wygrana w Foxwoods; moja główna wygrana spoczywa w ziemi od trzystu lat, wiem gdzie, i jest na wyciągnięcie ręki — widzę to miejsce, przepływając obok Plum Island moja

łodzią. Nie jestem jednak w stanie jej zdobyć bez pomocy Toma i Judy Gordonów, którym powierzyłem mój sekret i z których uczyniłem moich wspólników. I ja, Fredric Tobin, dobrze wybrałem. Ze wszystkich naukowców Plum Island, z całego zatrudnionego tam personelu, Tom i Judy najlepiej nadają się do tego, żeby ich zwerbować — są młodzi, inteligentni i zrównoważeni, wiedzą, czego chcą i co najważniejsze, lubią żyć na wysokim poziomie.

Zakładałem, że Tobin zwerbował Gordonów niedługo po ich przyjeździe tutaj. Świadczył o tym fakt, że po niespełna czterech miesiącach Tom i Judy wyprowadzili się z domu położonego w głębi łądu i blisko przystani promowej do obecnej rezydencji nad wodą. Stało się to za sugestią Tobina, podobnie jak kupno łodzi.

Fredric Tobin szukał oczywiście wspólnika na Plum Island już wcześniej i odrzucił prawdopodobnie wielu kandydatów. Domyślałem się, że nawiązał z kimś kontakt, ale coś poszło źle i ta osoba bądź osoby już nie żyły. Musiałem sprawdzić, czy któregoś z pracowników Plum Island nie spotkała przed dwoma lub trzema laty nagła śmierć.

Uświadomiłem sobie, że mam trudne do zaakceptowania uprzedzenia wobec Fredrica Tobina, że naprawdę chcę, aby to on okazał się zabójcą. Nie Emma, nie Max, nie Zollner, nawet nie Stevens. Chciałem posłać na krzesło elektryczne Freddiego.

Staralem się, jak mogłem, obsadzić w roli mordercy innych, ale wciąż wracałem do Tobina. Beth, choć nie powiedziała tego wprost, podejrzewała Paula Stevensa i biorąc wszystko pod uwagę, był on bardziej prawdopodobnym kandydatem. Na moją opinię o Tobinie w zbyt wielkim stopniu wpływało to, co czułem do Emmy. Nie mogłem po prostu przestać myśleć o nich dwojgu w łóżku. Nic czułem się w ten sposób od kilkunastu lat.

Nie chciałem wrabiać Freddiego, postanowiłem jednak, że będę działał tak, jakby to on zrobił, i zobaczę, czy uda mi się zebrać przeciwko niemu dowody.

Co do Paula Stevensa, on też mógł w tym maczać palce, ale jeśli Tobin zwerbował Stevensa, do czego byli mu potrzebni Gordonowie? Może Stevens nie brał pierwotnie udziału w zмовie, ale miał zamiar w odpowiednim momencie się włączyć? Może niczym sęp czekał, aż inni wykonają za niego ciężką robotę? A może uknuł wszystko sam bez pomocy Tobina i kogokolwiek innego? Z całą pewnością należał do grona podejrzanych: znał dobrze Plum Island, codziennie spotykał się z ofiarami, miał sposobność, broń, a przede wszystkim cechy charakteru pozwalające uknuć spisek i zabić

wspólników. Przy odrobinie szczęścia może pośle na krzesło i Stevensa, i Tobina.

Nie można było jednak wykluczyć, że zrobił to zupełnie ktoś inny...

Rozmyślałem o wszystkim, co zaszło, nim Tom i Judy padli martwi na taras. Nietrudno było zauważyć, że Gordonowie i Tobin żyli ponad stan, za dużo wydawali, pełni euforii i zarazem obaw o sukces swego przedsięwzięcia.

Skrupulatnie przygotowywali grunt przed rzekomym odkryciem skarbu. Co ciekawe, zdecydowali, że nie zakopią go na terenie nadmorskiej posiadłości Tobina. Woleli pójść śladem miejscowej legendy. Rafy Kapitana Kidda. Oczywiście potem mieli oznajmić światu, że to dzięki żmudnym badaniom trafili na to konkretne miejsce. Przyznaliby również, że wystawili do wiatru biedną Margaret Wiley, która plułaby sobie w brodę, przekonana, że to Thad ukarał ją z za grobu. Gordonowie ofiarowaliby jej na pocieszenie jakiś ładny brylant.

W śledztwie o morderstwo szukam często najprostszego motywu, a tu motyw był rzeczywiście prosty, była nim chciwość. Freddie nigdy nie nauczył się z nikim dzielić, a nawet gdyby chciał to zrobić, wątpię, czy skarb był dość duży, by pokryć jego długi i ocalić winnicę. Jego udział na pewno nie wynosiłby więcej niż pięćdziesiąt procent, kolejne pięćdziesiąt zabrałby fiskus. Jeśli nawet skarb wart był dziesięć milionów dolarów, Freddie powinien się cieszyć, gdyby zostało mu dwa i pół miliona. Zdecydowanie za mało dla takiego utracjusza jak lord Tobin. A jeśli istniał jeszcze jeden wspólnik — na przykład Paul Stevens — Gordonowie na pewno musieli odejść.

Wciąż nie znałem jednak odpowiedzi na kilka pytań — jeżeli Gordonowie rzeczywiście odkopali skarb na Plum Island, czy mieli go ze sobą w dniu, gdy zginęli na tyłach własnego domu? Czy skarb znajdował się w aluminiowym pojemniku? I gdzie ukryli oryginalną skrzynię, którą trzeba było zakopać i odkopać tak, by nie wzbudziło to podejrzeń wścibskich archeologów i urzędników skarbowych?

Dumając nad tym wszystkim, nie zwracałem uwagi na kręcące się koło. Ruletka jest dobra dla ludzi, którzy mają o czym myśleć, ponieważ to taka bezmyślna gra. Podobnie jak w automatach wszystko zależy tu od czystego szczęścia. Ale w automatach można kontrolować tempo przegranej i spędzić całą noc w stanie katatonii przed jednorękim bandytą, tracąc co najwyżej pieniądze na spr-

wunki. Z ruletką jest inaczej: przy stawce wynoszącej dziesięć dolarów, z szybkim krupierem i szybkimi graczami, można szybko ponieść znaczne straty.

Wstałem od stołu, pobrałem po raz kolejny gotówkę na kartę kredytową i usiadłem przy pokerowym stoliku. Czego się nie robi dla dobra śledztwa.

W pokera szło mi całkiem nieźle i koło północy znowu byłem do tyłu tylko na dwa tysiące. Poza tym konałem z głodu. Zamówiłem sandwicza i piwo u jednej z roznoszących koktajle panienek i grałem w pokera do pierwszej, nie wygrywając wiele, ale i nie tracąc.

Następnie wycofałem się do jednego z barów i przerzuciłem na szkocką. Obejrzałem powtórkę wiadomości, w których nie wspomniano ani słowem o zamordowaniu Gordonów.

Odtworzyłem w pamięci całą sprawę — od momentu kiedy Maks wszedł na moją werandę, aż do chwili obecnej. A przy okazji zadumałem się nad swoim życiem miłosnym, moją pracą i w ogóle, następnie zaś zadałem sobie pytanie, dokąd zmierzam.

Mniej więcej o drugiej w nocy byłem o dwa tysiące dolarów biedniejszy, lekko wstawiony, samotny, lecz nieosamotniony, najprawdopodobniej w siedemdziesięciu pięciu procentach fizycznie i być może w stu procentach umysłowo niezdolny do wykonywania zawodu i właściwie miałem prawo się nad sobą trochę uzalić. Zamiast tego wróciłem do ruletki. Nie miałem szczęścia w miłości, powinno mi się zatem poszczęścić w hazardzie.

O trzeciej nad ranem, po przegraniu kolejnego tysiąca poszedłem spać.

Budząc się w sobotę rano, miałem przez chwilę to dziwne uczucie, że nie wiem, gdzie jestem. Czasami pomaga w takich okolicznościach leżąca obok kobieta, tym razem jednak żadnej nie było. W końcu rozjaśniło mi się w głowie i przypomniałem sobie, że oskalpowali mnie Pequoci; a może powinienem raczej powiedzieć, finansowo zweryfikowali rdzenni mieszkańcy tego kontynentu.

Wziąłem prysznic, ubrałem się, spakowałem szczenięczkę do węków i zjadłem śniadanie w kasynie. •

Na dworze był kolejny śliczny letni, prawie jesienny dzień. Może tak właśnie wyglądał babie lato. Wsiadłem do jeepa i ruszyłem na południe, do New London.

Na północnych obrzeżach miasta zatrzymałem się na stacji benzynowej i zapytałem o drogę. Po piętnastu minutach znalazłem się

na Ridgefield Road, podmiejskiej uliczce, przy której stały schludne drewniane nowoangielskie domy. Otoczenie było prawie wiejskie i nie potrafiłem powiedzieć, czy aby tu mieszkać, trzeba mieć wiele, czy też niezbyt wiele szmalu. Domy były średniej wielkości, a samochody w średnim przedziale cenowym, doszedłem więc do wniosku, że mieszkają tu średnio zarabiający ludzie.

Zatrzymałem się przy numerze siedemnastym, typowym białym domu w stylu Cape Cod, oddalonym mniej więcej sto stóp od ulicy. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali w pewnej odległości. Wysiadłem z jeepa, ruszyłem alejką do drzwi i zadzwoniłem.

Czekając, rozglądałem się dookoła. Na podjeździe nie było żadnego samochodu. Nie było także żadnych dzieciennych zabawek, w związku z czym wydedukowałem, że pan Stevens jest albo nieżonaty, albo żonaty i bezdzietny, albo żonaty z odchowanymi dziećmi, albo pożarł swoje dzieci. To tyle, jeśli chodzi o moje zdolności dedukcyjne.

Zauważyłem także, że wszędzie panuje wzorowy porządek. Podwórko wyglądało, jakby mieszkał tu ktoś o chorym, pedantycznym, faszystowskim umyśle.

Nikt nie otworzył drzwi, podszedłem zatem do garażu, który przylegał *do* budynku, i zerknąłem *przez boczną* szybę *do środka*. Żadnego samochodu. Wyszedłem na tylne podwórko, które ciągnęło się jakieś pięćdziesiąt jardów aż do zagajnika. Na przyjemnym wyłożonym płytkami patio stał grill i ogrodowe meble.

Podszedłem do tylnych drzwi i zajrzałem przez szybę *do* schludnej i czystej rustykalnej kuchni.

Poważnie zastanawiałem się, czy nie włamać się do środka i nie zwinąć dla jaj jego dyplomu, ale przyglądając się ponownie domowi zauważyłem, że wszystkie okna oklejone są alarmową taśmą, a pod okapem na prawo ode mnie zamontowana jest zataczająca półkole kamera. Facet był kuty na cztery nogi.

Obszedłem z powrotem dom, wsiałem do jeepa i wystukałem numer Stevensa. W słuchawce odezwał się głos podający kilka możliwości skontaktowania się z nim: przez domowy faks, domową pocztą elektroniczną, pager, skrzynkę pocztową, służbowy telefon, służbowy faks, służbową pocztą elektroniczną i na koniec przez zostawienie ustnej wiadomości po usłyszeniu dwóch sygnałów. Nie miałem tyłu opcji od czasu, gdy stanąłem przed maszyną sprzedającą kondomy. Wcisnąłem trójką na tarczy mego telefonu. Usłyszałem numer pagera Stevensa, wystukałem go, wystukałem numer mojej komórki i odłożyłem słuchawkę. Minutę później telefon zadzwonił.

— Zakład Wodociągów i Kanalizacji New London — powiedziałem, podnosząc słuchawkę.

— Paul Stevens. Daliście wiadomość na mój pager.

— Tak, proszę pana. Pękł główny wodociąg przed pana domem na Ridgefield Road. Chcemy zainstalować pompy w pańskiej piwnicy, żeby pana nie zalało.

— W porządku. Jestem teraz w samochodzie... będę za dwadzieścia minut.

— Doskonale.

Odłożyłem słuchawkę i czekałem.

Mniej więcej pięć minut później — nie dwadzieścia — przed dom zajeżdżał szary ford escort i wysiadł z niego Paul Stevens ubrany w czarne spodnie i brązową wiatrówkę.

Wysiadłem z jeepa i spotkaliśmy się na trawniku przed domem.

— Co tu, do diabła, robisz? — przywitał mnie ciepło.

— Wybrałem się po prostu na przejażdżkę i pomyślałem, że wpadnę.

— Wynoś się w tej chwili z mojej posiadłości.

Mój Boże. Nic spodziewałem się takiego paskudnego powitania.

— Naprawdę nie lubię, żeby mówiono do mnie w ten sposób — oznajmiłem.

— Ty gnoju... grałeś mi na nerwach przez cały pieprzony ranek...

— Słuchaj no pan...

— Pierdol się, Corey. Zabieraj stąd swoją dupę.

Naprawdę miałem do czynienia z zupełnie innym panem Stevensem aniżeli ten z Plum Island, który, choć niezbyt przyjazny, był przynajmniej grzeczny. Naturalnie wtedy musiał być grzeczny. Teraz tygrys znajdował się w swoim legowisku i w pobliżu nie było nadzorców.

— Wyluzuj się, Paul... — powiedziałem.

— Głuchy jesteś? Mówiłem, żebyś się stąd wynosił. A swoją drogą, głupi gnoju, pękła tutaj rura. Zjeżdżaj.

— Dobrze. Ale muszę pójść po moją partnerkę — oznajmiłem, pokazując dom. — Beth Penrose. Jest za domem.

— Wsiadaj, kurwa, do samochodu. Ja po nią pójde. — Ruszył alejką, a potem obejrzał się przez ramię. — Powinienem was oboje aresztować za wtargnięcie na cudzy teren. Macie szczęście, że nie wysiadłem z samochodu i nie zacząłem strzelać.

Odwróciłem się, podszedłem do jeepa, po czym zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, że znika właśnie za rogami garażu. Przebiegłem sprintem trawnik oraz podjazd i dogoniłem go, gdy mijał róg do-

mu i skręcał na tylne podwórko. Słyszac mnie, obrócił się na pięcie i sięgnął po broń, ale grubo się spóźnił. Trafiłem go w podbródek pięścią. Stevens wydał z siebie głuche stęknienie i padł na plecy z rozpostartymi szeroko rękoma i nogami. Było to prawie komiczne.

Uklęknałem przy biednym Paulu i obmacałem go, znajdując w wewnętrznej kieszeni wiatrówki jego małą zabawkę na sobotni wieczór — beretkę kaliber sześć i pół milimetra. Wyjąłem z niej magazynek, opróżniłem go i włożyłem naboje do własnej kieszeni. Następnie wsunąłem z powrotem magazynek i wsadziłem broń na miejsce.

Przejrzałem zawartość portfela — miał w nim trochę gotówki, karty kredytowe, prawo jazdy, książeczkę zdrowia, legitymację Plum Island oraz wydane w Connecticut pozwolenie na beretkę, colta kaliber czterdzieści pięć i magnum trzysta pięćdziesiąt siedem. Nie było tam żadnych fotografii, numerów telefonu, wizytówek, kluczy, kondomów, kuponów loteryjnych i w ogóle nic, co zasługiwałoby na uwagę, z wyjątkiem tego, że miał dwa wielkokalibrowe pistolety, co mogłoby nie wyjść na jaw, gdybym go nie znokautował i nie przejrzał portfela.

Włożyłem mu portfel z powrotem do kieszeni, wyprostowałem się i czekałem cierpliwie, aż wstanie i przeprosi za swoje zachowanie. Ale on leżał tam dalej, kręcąc tym swoim głupim łbem i wydając idiotyczne dźwięki. Nie krwawił, ale w miejscu, gdzie mu przysunąłem, zaczęło się pojawiać zaczerwienienie. Wiedziałem, że po jakimś czasie przybierze kolor niebieski, a później interesującej purpury.

W końcu podszedłem do zwiniętego ogrodowego węża, odkręciłem kran i spryskałem pana Stevensa. Najwyraźniej mu to pomogło, bo podniósł się na nogi, ociekając wodą, chwiejąc się i trzęsąc.

— Znalazłeś moją partnerkę? — zapytałem go.

Wydawał się trochę zagubiony i przypominał mnie samego, gdy pewnego ranka obudziłem się z potwornym kacem. Potrafiłem mu współczuć. Naprawdę.

— Pęknięta rura — powiedziałem. — Jezu, nigdy bym na to nie wpadł. Powiedz mi, Paul, kto zabił Toma i Judy?

— Pierdol się.

Spryskałem go ponownie wodą i zasłonił twarz rękoma.

Rzuciłem wąż na ziemię i podszedłem bliżej.

— Kto zabił moich przyjaciół?



Przez chwilę wycierał twarz skrajem wiatrówki, a potem najwyraźniej coś sobie przypomniał. Jego prawa ręka powędrowała do kieszeni i wyjęła stamtąd pukawkę.

— Ty skurwielu! — zawołał. — Ręce na kark!

Położyłem ręce na kark i to sprawiło, że chyba poczuł się lepiej.

Potarł ręką podbródek i widać było, że go boli. Stopniowo docierało do niego, że został wystrychnięty na dudka, znokautowany i spryskany wodą. Widziałem, że go to rozzłościło i że podsyca w sobie gniew.

— Zdejmij marynarkę — rozkazał.

Zdjąłem ją, odsłaniając moją prywatną trzydziestkęósemkę w kaburze pod pachą.

— Rzuć marynarkę na ziemię, powoli rozepnij kaburę i pozwól, żeby spadła.

Zrobiłem, co kazał.

— Masz jeszcze jakąś broń?

— Nie, proszę pana.

— Podciągnij nogawki spodni.

Podciągnąłem nogawki, pokazując, że nie mam kabury na kostce.

— Odwróć się i wyciągnij ze spodni koszulę.

Odwróciłem się i wyciągnąłem koszulę, pokazując, że nie mam kabury na plecach.

— Odwróć się z powrotem. Stań na ponownie twarzą do niego.

— Ręce na kark!

Położyłem ręce na kark.

— Odejdź od swojego pistoletu.

Dałem krok do przodu.

— Uklęknij.

Uklęknałem.

— Ty gnoju... ty skurwielu... — syczał. — Za kogo ty się, kurwa, uważasz, przyłaząc tu w ten sposób, naruszając moją prywatność i prawa obywatelskie?

Był naprawdę mocno wkurzony i używał wielu nieprzyzwoitych wyrazów.

W naszej branży jest niemal regułą, że przestępcy przysięgają, iż są niewinni, natomiast ci naprawdę niewinni bardzo się irytują i grożą najprzeróżniejszymi konsekwencjami prawnymi. W związku z czym pan Stevens pasował do kategorii niewinnych. Pozwoliłem mu się trochę dotlenić.

W końcu udało mi się przerwać na chwilę potok jego słów.

— Ma pan może jakieś mgliste pojęcie, kto to mógł zrobić? — zapytałem.

— Gdybym miał, na pewno bym ci nie powiedział, cwaniaczku.

— Może wie pan, dlaczego zostali zamordowani?

— Nie próbuj mnie przesłuchiwać, ty gnoju. Zamknij, kurwa, dziób.

— Czy to znaczy, że nie mogę liczyć na pańską współpracę?

— Stul dziób! — Stevens przez chwilę się zastanawiał. — Powinienem cię zabić za wtargnięcie na teren mojej posiadłości, ty głupi chuju. Drogo zapłacisz za to, że mnie uderzyłeś. Powinienem kazać ci się rozebrać i porzucić cię w lesie.

Znowu zaczął się podniecać i był bardzo pomysłowy w kwestii wyrównania ze mną rachunków.

Zdrętwiały mi trochę nogi, w związku z czym wstałem z kłeczek.

— Na kolana! Na kolana! — wrzasnął Stevens.

Podszedłem do niego, a on wycelował z beretty w moje klejnoty i pociągnął za spust. Skrzywiłem się, mimo iż wiedziałem, że w magazynku nie ma ani jednego naboju.

Stevens zorientował się, że popełnił duży błąd, próbując przestrelić mi jaja z niezaladowanego pistoletu. Nie odrywał wzroku od beretty.

Tym razem uderzyłem go lewym sierpowym, nie chcąc urazić obolałej szczęki z prawej strony. Miałem nadzieję, że doceni to, gdy odzyska przytomność.

Padł ponownie na trawnik.

Wiedziałem, że kiedy się ocknie, poczuje się rzeczywiście okropnie, będzie mu naprawdę głupio i w ogóle. Było mi go nawet trochę żal. No, może niezupełnie. Tak czy inaczej po drugim nokaucie nie mogłem liczyć na to, że dobrowolnie przekaże mi jakieś informacje, nie sądziłem też, by udało mi się go zmusić do mówienia. Tortury nie wchodziły raczej w grę, chociaż trochę mnie kusilo.

Podniosłem z ziemi marynarkę i kaburę z pistoletem, po czym, jako że jestem prawdziwym wesolkiem, związałem razem sznurówadła pana Stevensa.

Następnie wsiałem do jeepa i odjechałem, mając nadzieję, że oddalę się na odpowiednią odległość, zanim facet ocknie się i wezwie gliny.

Jadąc, rozmyślałem o Paulu Stevensie. Nie ulegało wątpliwości, że miał nie po kolei w głowie. Ale czy był mordercą? Nie sprawiał takiego wrażenia. A jednak coś w nim było... facet coś wiedział. Byłem o tym przekonany. I bez względu na to, co wiedział, nie

chciał tego ujawnić, a to oznaczało, że albo kogoś osłania, albo kogoś szantażuje, albo kombinuje, jak zarobić parę groszy na całej sprawie. Tak czy inaczej był teraz, mówiąc delikatnie, wrogiem świadkiem.

I dlatego zamiast popłynąć z powrotem na Long Island promem z New London — co czyniąc, musiałbym minąć punkt kontrolny i narazić się na bliższy kontakt z gliniarzami z Connecticut — aiszyłem na zachód malowniczymi bocznymi drózkami, śpiewając do wtóru z wykonawcą jakiejś stacji z Oklahomy, gdzie wiatr owiewa równiny i tak dalej.

Bolała mnie prawa dłoń, a lewa trochę zdrętwiała. Kłykcie prawej były faktycznie nieco spuchnięte. Jezu.

— Starzejesz się — mruknąłem, rozprostowując obie dłonie. Uuch!

Zadzwoił mój telefon komórkowy, ale nie odebrałem go. Po jakimś czasie przekroczyłem granicę stanu Nowy Jork, gdzie dysponowałem mocniejszymi argumentami w rozmowie z policją, gdyby podążała moim tropem.

Minąłem zjazd na Throgs Neck Bridge, gdzie skręciłaby większość ludzi udających się na Long Island, i wybrałem Whitestone Bridge, którego nazwa wydawała mi się bardziej odpowiednia.

— Most Emmy Whitestone — zaśpiewałem. — Czuję, że ko cham, czuję, że kocham, czuję, że kocham cudowną dziewczynę!

Uwielbiam cklive melodyjki.

Zjechawszy z mostu, skręciłem na wschód, z powrotem w stronę North Fork. Nie korzystając z promu, nadłożyłem sporo drogi, ale nie wiedziałem, jaki numer zamierza mi wykręcić Paul Stevens po oberwaniu dwa razy w szczękę na własnym podwórku. Nie mówiąc już o niewątpliwie irytującym upadku, którym zakończyła się próba zrobienia kroku z zawiązanymi sznurowadłami.

W głębi duszy nie sądziłem jednak, by zawiadomił policję. A jeśli nie powiadomił ich o wtargnięciu na swój teren oraz czynnej napaści, było to bardzo wymowne. Paul odpuścił sobie tę rundę, wiedząc, że czeka go kolejna. Problem polegał na tym, że następnym razem to on wybierze czas oraz miejsce i może mnie trochę zaskoczyć. Trudno. Ktoś, kto lubi grać w ostrą piłkę, żeby zmienić sportową dyscyplinę, może się czasem spodziewać paru fauli.

O siódmej wieczorem byłem z powrotem na North Fork po przejechaniu jakichś trzystu mil. Nie chciałem wracać do domu, w związku z czym wpadłem na kilka piw do Olde Towne Taveme.

— Spotkał pan kiedyś Fredrica Tobina? — zapytałem barmana, faceta o imieniu Aidan, którego znałem.

— Obsługiwałem raz przyjęcie w jego domu — odparł. — Ale nie zamieniłem z nim nawet pięciu słów.

— Co o nim mówią? Aidan  
wzruszył ramionami.

— Nie wiem... słyszałem różne rzeczy.

— Na przykład?

— Jedni mówią, że jest gejem, inni, że straszny z niego kobieciarz. Jedni, że jest bankrutem i narobił długów, inni, że ma forsy jak lodu. Rozumie pan? W wypadku kogoś takiego jak on, kto przyjeżdża tu i zaczyna biznes z niczego, zawsze będzie pan miał sprzeczne opinie. Nastąpił paru ludziom na odcisk, ale kilku innym oddał przysługę. Trzyma sztamę z politykami i gliniarzami. Rozumie pan?

— Rozumiem. Gdzie mieszka? — zapytałem Aidana.

— Tu niedaleko w Southold, w miejscu, które nazywa się Founders Landing. Wie pan, gdzie to jest?

— Nie — odparłem i Aidan powiedział mi, jak trafić.

— Na pewno pan nie przeoczy — dodał. — To duża chałupa.

— Ktoś opowiadał mi, że gdzieś tutaj jest zakopany piracki skarb — powiedziałem.

Aidan roześmiał się.

— A jakże. Mój starszynek mówi, że kiedy byłem mały, ludzie ryli dziury w całej okolicy. Jeśli ktoś coś znalazł, nie puścił pary z gęby.

— Jasne. Po co dzielić się z Wujem Samem.

— Nie żartuję.

— Słyszał pan coś nowego o tym podwójnym morderstwie w Nassau Point?

— Nie — odparł. — Moim zdaniem, ci ludzie skradli coś niebezpiecznego, a to, co władze i gliniarze chrzanią o jakiejś szczepionce, to lipa. Co mają zresztą powiedzieć ludziom? Że jutro będzie koniec świata? Nie. Nie martwcie się, mówią, nic złego wam się nie stanie. Trele-morele.

— Zgadza się.

Mam wrażenie, że CIA, FBI i w ogóle wszelkie władze powinny zawsze najpierw testować swoje brednie na barmanach, fryzjerach i taksówkarzach i dopiero potem próbować sprzedać je reszcie kraju. Ja na przykład często konfrontuję swoje teorie z rzeczywistością, prezentując je barmanom albo fryzjerowi, i na ogół to działa.

— Wie pan, jaka jest różnica między chorobą wściekłych krów i napięciem przedmiesiączkowym? — zapytał mnie Aidan.

— Jaka?

— Nie ma żadnej. — Aidan uderzył ściereczką w kontuar i roześmiał się. — Rozumie pan?

— Owszem — odparłem. Wyszedłem z Olde Towne Taverny, dosiadłem swego mmaka i pocwałowałem do Founders Landing.

## Rozdział 28

Kiedy dotarłem do Founders Landing, było już dość ciemno, ale przy końcu drogi widziałem ciągnący się do samego morza park. Zobaczyłem również kamienną tablicę z napisem „Founders Landing — 1640” i wydedukowałem, że w tym właśnie miejscu wylądowała grupa osadników z Connecticut. Gdyby zahaczyli najpierw o Foxwoods, przybyliby tu prawdopodobnie w samych skarpetkach.

Na wschód od parku stał wielki dom, większy od domu wujka Harry'ego i w stylu bardziej kolonialnym niż wiktoriańskim. Otoczony był eleganckim ogrodzeniem z kutego żelaza i widziałem zaparkowane od frontu i z boku samochody. Słyszałem również muzykę dobiegającą z tyłu posiadłości.

Zaparkowałem na ulicy i podszedłem do otwartej bramy z kutego żelaza. Nie byłem pewien, czy jestem dość elegancki, ale zauważyłem przed sobą parę i facet ubrany był tak samo jak ja: w niebieski blezer, bez krawata i skarpetek.

Obszedłem dom i znalazłem się na długim szerokim trawniku, który opadał ku zatoce. Były tam pasiaste namioty, rozpięte między drzewami kolorowe lampy, pochodnie tonga, sztormowe świece na osłoniętych parasolami stołach, kwiaty dostarczone przez panią Whitestone, sześciuosobowa kapela grająca bigbandowe kawałki, kilka barów i długi bufet; szczyt nadmorskiej elegancji, najlepsze, co miała do zaoferowania prastara cywilizacja, której w dodatku sprzyjała pogoda. F. Tobin był naprawdę wybrańcem losu.

Zauważyłem również rozpięty między wysokimi dębami duży niebiesko-biały transparent z napisem „Doroczny Bal Towarzystwa Historycznego Peconic”.

— Dobry wieczór — powiedziała, podchodząc do mnie, ładna dziewczyna ubrana w kostium z epoki.

— Jak na razie dobry.

— Proszę wybrać sobie kapelusz.

— Słucham?

— Musi pan mieć kapelusz, żeby dostać drinka.

— W takim razie poproszę o sześć kapeluszy.

Zachichotała, po czym wzięła mnie pod ramię i zaprowadziła do długiego stołu, na którym stały dwa tuziny idiotycznych nakryć głowy: trójgraniaste kapelusze w różnych kolorach, niektóre opatrzone piórami, inne ze złożonymi haftami w stylu marynarskich czapek z epoki, jeszcze inne z trupimi czaszkami i skrzyżowanymi piszczelami.

— Biorę piracką czapkę — zdecydowałem. Wzięła jedną z nich ze stołu i nałożyła mi na głowę.

— Niebezpiecznie pan wygląda — stwierdziła.

— Żeby pani wiedziała.

Dziewczyna wyjęła z wielkiego pudła plastikowy kord, podobny do tego, którym zaatakowała mnie Emma, i zatknęła mi go za pas.

— Teraz jest pan gotów — oznajmiła.

Zostawiłem ją, by mogła powitać nową grupę gości, i mszyłem dalej, w kapeluszu i z bronią za pasem. Orkiestra grała „Księżycową Serenadę”.

Rozglądając się dookoła spostrzegłem, że nie ma jeszcze zbyt wielu gości. Po trawniku przechadzało się nie więcej jak pięćdziesiąt osób w kapeluszach. Większość powinna przybyć po zachodzie słońca, mniej więcej za pół godziny. Nie widziałem Maksa, Beth, Emmy i w ogóle nikogo, kogo znałem. Udało mi się jednak zlokalizować najbliższy bar i poprosiłem o piwo.

— Przepraszam, ale mamy tylko wino i napoje orzeźwiające — poinformował mnie barman, przebrany w piracki kostium.

— Co takiego? To skandal. Chcę się napić piwa. Mam kapelusz.

— Tak, proszę pana, ale nie mamy piwa. Czy mogę zaproponować panu wino musujące? Też ma bąbelki i może pan udawać.

— Czy mogę zaproponować, żeby zorganizował pan piwo, nim tu wrócę?

Pozbawiony piwa szwendałem się po trawniku i badałem teren. Widziałem stąd park i miejsce, gdzie wylądowali pierwsi osadnicy, coś w rodzaju lokalnego Plymouth Rock, choć prawie nieznanego ludziom z zewnątrz. Kto wie, że w ślad za *Mayflower* płynęła

*Fortune!* Czy kogoś obchodzi, kto zajął drugie i trzecie miejsce? Żyjemy w Ameryce.

Przyglądałem się gościom pana Tobina, którzy spacerowali, stali i siedzieli przy białych okrągłych stołach, wszyscy w kapeluszach z piórami, z kieliszkami w dłoniach, pogrążeni w pogawędce. Stanowili spokojną grupkę, a przynajmniej takie sprawiali wrażenie o tej wczesnej porze — żadnego picia rumu i seksu na plaży, żadnego pływania nago albo siatkówki na golasa. Zwyczajna towarzyska impreza.

Spostrzegłem, że pan Tobin ma długą przystań, na której końcu znajduje się okazały hangar. Przycumowanych przy niej było kilka łodzi, jak sądziłem, należących do gości. Gdyby bal odbywał się tydzień wcześniej, stałaby wśród nich *Spirochete*.

Będąc człowiekiem z natury ciekawym, ruszyłem w stronę hangaru. Tuż przy wejściu przycumowany był duży, mający mniej więcej trzydzieści pięć stóp jacht kabinowy. Nazywał się *Jesienne Złoto*; przypuszczałem, że należy do Tobina, który nazwał go tak na cześć najnowszego gatunku wina bądź też jeszcze nieodkrytego skarbu. Tak czy inaczej pan Tobin lubił swoje zabawki.

Wszedłem do hangaru. W środku było ciemno, ale w padającym z obu stron świetle ujrzałem stojące przy pomoście dwie łodzie. Ta po prawej stronie była niewielką płaskodenną łajbą typu whaler, jaką pływa się po płytkich wodach i mokradłach. Z lewej strony stała motorówka, taka sama formuła 303 jak łódź Gordonów. Przez ułamek sekundy miałem upiorne wrażenie, że Gordonowie wrócili z zaświatów, żeby popsuć przyjęcie i śmiertelnie nastraszyć Frediego. Ale to nie była *Spirochete* — motorówka nazywała się *Sondra*, prawdopodobnie na cześć obecnej dupęki Fredrica. Przypuszczam, że łatwiej jest zmienić nazwę łodzi, niż usunąć tatuaż z ramienia.

Tak czy inaczej, bardziej od jachtu i motorówki zainteresował mnie płaskodenny whaler. Zeskoczyłem na jego pokład i zauważyłem, że ma doczepiony silnik i dulki. Obok, na pomoście, leżały dwa wiosła i co ciekawsze, długa żerdź, która służy do przepychania łodzi przez sitowie i szuwały, gdzie nie sposób użyć wiosła ani silnika. Poza tym pokład whalera był trochę zabłocony. Na rufie stała plastikowa skrzynka z różnymi gratami, wśród których była zgniecioną puszką przeciwmgielnej syreny.

— Szuka pan czegoś?

Odwrociłem się i zobaczyłem pana Fredrica Tobina, stojącego z kieliszkiem w dłoni na pomoście. Na głowie miał raczej wymyślny



purpurowy pieróg z zatkniętym piórem. Wpatrywał się we mnie, gładząc swoją bródkę. Istny Mefistofeles.

— Podziwiałem pańską łódź — odparłem.

— Tę łódź? Ludzie zwracają na ogół uwagę na motorówkę albo chris-crafta — stwierdził, pokazując stojący obok hangaru jacht.

— Myślałem, że nazywa się *Jesienne Złoto* — powiedziałem.

— Chris-craft to marka.

W jego cichym głosie brzmiał ton skrywanej irytacji, który niezbyt mi się podobał.

— To małeństwo bardziej mieści się w moim przedziale cenowym — odparłem, posyłając mu rozbijający uśmiech. Zawsze tak robię, nim popsuję komuś zabawę. — Kiedy zobaczyłem tę motorówkę, wydawało mi się, że Gordonowie wrócili z zaświatów — oświadczyłem.

Wcale mu się to nie spodobało.

— Ale potem spostrzegłem, że to nie *Spirochete*... nazywa się *Sondra* i to nawet do niej pasuje. Wie pan... szybka, smukła, gorąca.

Uwielbiam wkurzać dupków.

— Przyjęcie odbywa się przed domem, panie Corey — oznajmił chłodno pan Tobin.

— Zauważyłem. Niezłą ma pan chałupę — stwierdziłem, wspinając się na pomost.

— Dziękuję.

Prócz owocowego kapelusza pan Tobin miał na sobie białe brezentowe spodnie, dwurzędową niebieską marynarkę oraz klującą w oczy szkarłatną apaszkę.

— Podoba mi się pańskie nakrycie głowy — pochwaliłem jego wybór.

— Przedstawię pana kilku moim gościom — powiedział.

— O niczym innym nie marzę. — Wyszliśmy z hangaru i ruszyliśmy pomostem w stronę łądu. — Jak daleko stąd do przystani Gordonów? — zapytałem.

— Nie mam pojęcia.

— Niech pan zgadnie.

— Może osiem mil. Dlaczego pan pyta?

— Dziesięć — odparłem. — Trzeba opłynąć Great Hog Neck. Sprawdziłem na mapie samochodowej. Koło dziesięciu mil.

— O co panu chodzi?

— O nic. Chciałem po prostu podtrzymać rozmowę.

Byliśmy teraz z powrotem na trawniku.

— Nie będzie pan wypytywał żadnego z moich gości o morder-

stwo Gordonów — przypomniał mi pan Tobin. — Rozmawiałem z komendantem Maxwellem, który zgodził się ze mną w tej kwestii i ponownie potwierdził, że nie występuje pan tu w oficjalnym charakterze.

— Obiecuję, że żadnemu z pańskich gości nie będę zwracał głowy policyjnymi pytaniami na temat morderstwa Gordonów.

— I w ogóle żadnymi pytaniami na temat Gordonów.

— Obiecuję. Ale muszę się napić piwa.

Pan Tobin rozejrzał się dookoła i zobaczył młodą damę z tacą zastawioną winem.

— Proszę, idź do domu i przynieś temu panu piwo — polecił jej. — Należ jej do kieliszka.

— Tak, proszę pana — odparła i odeszła.

Bycie bogatym i mówienie ludziom „przynieś to, przynieś tamto” musi być prawdziwą frajdą.

— Nie wygląda pan dobrze w kapeluszu — stwierdził pan Tobin, po czym przeprosił mnie i zostawił samego. Nie ruszałem się z miejsca bojąc się, że nie znajdzie mnie dziewczyna z piwem.

Zapadł już zmierzch i wszędzie migotały kolorowe żarówki, paliły się pochodnie i płonęły świece. Wiejąca od lądu bryza odganiała owady. Orkiestra grała „Gwiezdny pył”. Trębacz był niesamowity. Życie jest piękne. Cieszyłem się, że nie zginąłem.

Patrzyłem, jak Fredric rozkręca przyjęcie, osoba po osobie, para po parze, grupka po grupce, śmiejąc się, żartując, poprawiając im kapelusze i zatykając plastikowe miecze za pasek paniom, które miały pasek. W przeciwieństwie do najstynniejszego utracjusza z Long Island, Jaya Gatsby'ego, Fredric Tobin nie obserwował swoich bankietów z oddali. On starał się być w samym środku i integrować się, sprawiając wrażenie najdoskonalszego z gospodarzy.

Facet miał stalowe nerwy, musiałem to przyznać. Był bankrutem, jeśli wierzyć Emmie Whitestone, i podwójnym mordercą, jeśli wierzyć temu, co podpowiadał mi instynkt, nie wspominając o tym, co zobaczyłem w hangarze. Musiał wiedzieć, że znam te jego dwie tajemnice, a mimo to nic po sobie nie pokazywał. Bardziej obchodziło go, bym nie zepsuł mu bankietu, niż to, że mogą sparać mu życie. Naprawdę twardy klient.

Kelnerka powróciła z kieliszkiem wypełnionym piwem.

— Nie lubię wina — oznajmiłem, biorąc go z tacy.

Uśmiechnęła się.

— Ja też nie. W lodówce jest więcej piwa — poinformowała mnie, puszczając oko.

Czasami odnoszę wrażenie, że mam w sobie seksapil, charyzmę i zwierzęcy magnetyzm. Innym razem wydaje mi się, że śmierdzi mi z ust i nieprzyjemnie pachnę. Tej nocy czułem, że jestem na fali, gorący jak pistolet za trzy dolary; przekrzywiłem na bakier kapelusze, poprawiłem kord i rzuciłem się w wir zabawy.

Wśród gości przeważały osoby w młodym i średnim wieku; nie było prawie starszych pań i Cór Amerykańskiej Rewolucji. Nie spostrzegłem na przykład Margaret Wiley. Widziałem głównie pary — świat składa się głównie z par — ale było również kilka samotnych dusz, z którymi mogłem nawiązać rozmowę, gdyby nie zjawiała się żadna z moich jedynek i prawdziwych miłości.

Zauważyłem kobietę w białej, jakby jedwabnej sukni i wypożyczonym nakryciu głowy, spod którego wystawały długie blond włosy. Rozpoznałem w niej flamę lorda Freddiego, którą Gordonowie pokazali mi podczas degustacji wina. Szła na ukos trawnikiem i mszyłem jej naprzeciw.

— Dzień dobry — powiedziałem.

— Dzień dobry — odparła z uśmiechem.

— Jestem John Corey.

Moje nazwisko najwyraźniej jej nic nie mówiło. Wciąż się uśmiechała.

— Sondra Wells. Przyjaciółka Fredrica Tobina — przedstawiła się.

— Wiem. Spotkaliśmy się w czerwcu w winiarni. Na degustacji wina. Byłem tam z Gordonami.

Uśmiech spętał jej z twarzy.

— To straszne, co ich spotkało.

— Z całą pewnością.

— Prawdziwa tragedia.

— Tak. Przyjaźniła się pani z Gordonami?

— Freddie się przyjaźnił. Ja ich lubiłam... ale nie wiem, czy oni lubili mnie.

— Jestem pewien, że tak. Zawsze bardzo pochlebnie się o pani wyrażali.

W rzeczywistości ani razu o niej nie wspomnieli.

Sondra ponownie się uśmiechnęła.

Wysławiała się i zachowywała bardzo poprawnie, tak jakby chodziła do specjalnej szkoły, żeby się tego nauczyć; wszystko to było zbyt wymęczone i wyobraziłem sobie Tobina, który posłał ją w jakieś miejsce, gdzie musiała stąpać z książką na głowie i recytować Elizabeth Barrett Browning z ołówkiem w ustach.

Osobiście nie rozumiałem, jak ktoś mógł zamienić Emmę Whitestone na Sondrę Wells. Ale piękno jest, jak powiadają, w oku patrzącego.

— Lubi pani żeglować? — zapytałem.

— Nie. Ale Fredric chyba to bardzo lubi.

— Mam dom nad wodą na zachód stąd. Uwielbiam pływać łodzią.

— Jak miło.

— Właściwie jestem pewien, że widziałem pana Tobina... zaraz, kiedy to było... w ostatni poniedziałek, w porze koktajlu, w jego małej wiosłowej łódce. Chyba panią z nim widziałem.

Przez chwilę się zastanawiała.

— W poniedziałek? W poniedziałek byłam cały dzień na Manhattanie. Fredric kazał kierowcy zabrać mnie i gosposię do miasta i spędziłam dzień na zakupach.

Zobaczyłem, że jej mały mózdzek zaczyna pracować i zaciskają się nerwowo usta.

— Widział pan Fredrica w łodzi z... jakąś inną osobą?

— Może to nie był Fredric. A jeśli to on, mógł być sam albo z mężczyzną.

Ponownie zacisnęła usta.

Uwielbiam babrać się w gównie. Poza tym wiedziałem już teraz, że w czasie, gdy popełnione zostało morderstwo, Sondra i gosposia były na Manhattanie.

— Czy podobnie jak Fredric interesuje się pani lokalną historią i archeologią? — zapytałem.

— Nie i cieszę się, że dał temu spokój. Tyle jest różnych hobby. Dlaczego musiał wybrać sobie akurat takie?

— Może to miało jakiś związek z archiwistką Towarzystwa Historycznego Peconic.

Sondra zmierzyła mnie naprawdę chłodnym spojrzeniem i byłaby odeszła, gdyby w tej samej chwili nie pojawił się koło nas Fredric.

— Mogę cię na chwilę porwać? Fisherowie chcą ci powiedzieć cześć. Wybacz pan? — zapytał, spoglądając na mnie.

— Wybaczę, chyba że Fisherowie mnie też chcą powiedzieć cześć.

Fredric posłał mi nieprzyjemny uśmiech, a Sondra spiorunowała wrokiem, po czym odeszli, zostawiając upierdliwego gościa, by zadumał się nad swym nagannym zachowaniem.

Mniej więcej o wpół do dziewiątej zobaczyłem Maksa i Beth. Max, podobnie jak ja, miał na głowie piracki kapelusz, a Beth

nałożyła jakiś głupawy czepek. Ubrana w białe spodnie i marynarską bluzę w niebiesko-białe pasy, wyglądała inaczej. Podszedłem do długiego bufetu, przy którym stali. Max opychał się parówkami, które bardzo lubię. Przywitaliśmy się i ukradłem mu jednego hot doga.

— Miły wieczór — stwierdziła Beth. — Dziękuję, że zasugerowałeś, żebym tu przyszła.

— Nigdy nie wiadomo, czego się dowiesz, nadstawiając ucha.

— Beth opowiedziała mi o postępach śledztwa — poinformował mnie Max. — Odwaliła w ciągu tych czterech dni kawał roboty.

Zerknąłem na Beth, żeby zorientować się, czy wspomniała Maksowi o swojej wizycie u mnie. Pokręciła lekko głową.

— Jeszcze raz dziękuję ci za pomoc — dodał Maks.

— Nie ma o czym mówić. Zawsze możesz do mnie znowu zadzwonić.

— Nie odpowiadałeś na moje telefony.

— Nie i nigdy tego nie zrobię.

— Nie sądzę, żebyś miał powód się dąsać — stwierdził.

— Nie? Spróbuj spojrzeć na to z mojej strony, Max. Powinienem był wykopać cię ze swojej werandy.

— No cóż... przepraszam, jeśli sprawiłem ci jakiś kłopot.

— Dziękuję za przeprosiny.

— John ma kłopoty w pracy dlatego, że ci pomógł — wtrąciła Beth.

— Przykro mi — oświadczył Max. — Mogę przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych, jeśli powiesz mi, do kogo zadzwonić.

— Bez obrazy, Max, ale moi zwierzchnicy nie będą chcieli gadać z komendantem wiejskiego posterunku.

Właściwie nie byłem aż tak wściekły na Maksa, a gdybym nawet był, trudno się na niego długo gniewać. W gruncie rzeczy to poczciwy chłop z jajami; jego jedyną wadą jest to, że zawsze dba o własne interesy. Czasami udaję, że jestem na kogoś wściekły, aby ten ktoś uznał, że jest mi coś winien. Na przykład jakąś informację.

— Swoją drogą, czy w ciągu ostatnich dwu, trzech lat nie zginął tutaj jakiś inny pracownik Plum Island? — zapytałem.

Max przez chwilę się zastanawiał.

— Dwa lata temu zatonął w łecie jeden facet... — stwierdził w końcu. — Doktor jakiś tam... chyba weterynarz...

— Jak zatonął?

— Daj mi pomyśleć... był w swojej łodzi... tak, wypłynął nocą na ryby i kiedy nie wrócił do domu, zawiadomiła nas jego żona.

Skontaktowaliśmy się ze Strażą Przybrzeżną, która koło pierwszej w nocy znalazła jego pustą łódź. Następnego dnia wyrzuciło go na brzeg morze — dodał, wskazując głową Shelter Island.

— Były jakieś ślady świadczące o tym, że ktoś mu pomógł?

— Miał guza na głowie i przeprowadzono sekcję zwłok, ale wszystko wskazywało na to, że poślizgnął się na pokładzie, uderzył głową o skraj burty i wypadł z łodzi. Zdarza się. Dlaczego o to pytasz?

— Podobnie jak ty — odparłem — przyrzekłem panu Tobinowi, że nie będziemy dyskutować na ten temat na jego bankiecie. Poza tym mam ochotę na piwo — dodałem i oddaliłem się, zostawiając Maksa z niczym.

— To było nieładne — stwierdziła, doganiając mnie, Beth.

— Zasłużył sobie na to.

— Pamiętaj, że muszę z nim pracować.

— Więc pracuj z nim.

Zobaczyłem moją ulubioną kelnerkę, a ona zobaczyła mnie. Na tacy miała kieliszek z piwem, który mi wręczyła. Beth wzięła wino.

— Chcę, żebyś opowiedział mi o archeologicznych wykopaliskach i o Fredricu Tobinie — powiedziała. — A także o wszystkim, co odkryłeś, i o wnioskach, do jakich doszedłeś. W zamian proponuję ci oficjalny status i dostęp do wszystkich danych policji Suffolk. Co ty na to?

— Nie potrzebuję twojego statusu. I tak mam już dosyć kłopotów. Jutro powiem ci wszystko, co wiem. A potem wynoszę się stąd.

— Nie graj tak ostro, John.

Nie odpowiedziałem.

— Chcesz, żebym zatelefonowała do twojego szefa? Jak się nazywa?

— Nadinspektor Dupek. Nie przejmuj się mną. — Orkiestra grała „As Times Goes By”. — Chcesz zatańczyć?

— Nie. Możemy porozmawiać?

— Jasne.

— Uważasz, że zatonięcie innego pracownika Plum Island ma jakiś związek z tą sprawą?

— Niewykluczone. Możemy tego nigdy nie odkryć. Ale widzę pewną prawidłowość.

— Jaką prawidłowość?

— Ładnie wyglądasz w tym czepek.

— Chcę rozmawiać o sprawie, John.

— Nie tutaj i nie teraz.

— Kiedy i gdzie?  
— Jutro.  
— Dziś wieczorem. Powiedziałeś, że powiesz mi dziś wieczorem.  
Pojadę z tobą do domu.  
— Nie wiem, czy mogę to zrobić.  
— Słuchaj, John. Nie proponuję ci seksu. Muszę po prostu z tobą porozmawiać. Pojedźmy do baru albo gdzie indziej.  
— Moim zdaniem, nie powinniśmy stąd razem wychodzić...  
— No tak... jesteś zakochany.  
— Nie... to znaczy może i jestem. Tak czy owak to może poczekać do jutra. Jeśli nie popełniłem jakiegoś błędu, nasz człowiek jest tutaj i wydaje właśnie przyjęcie. Na twoim miejscu od jutra wziąłbym go pod dyskretną obserwację. Tylko go nie wystrasz. Dobi-ze?  
— Dobrze, ale...  
— Spotkamy się jutro. Opowiem ci wszystko i wycofuję się. W poniedziałek wracam na Manhattan. We wtorek mam wyznaczone badanie lekarskie i inne służbowe spotkania. W porządku? Jutro. Obiecuję.  
— W porządku.  
Stuknęła kieliszkiem w mój i wypiliśmy.  
Zaczęliśmy niezobowiązująco gawędzić i w pewnym momencie zobaczyłem Emmę. Stała w grupce ludzi, wśród których był Frednc Tobin, jej podejrzany o morderstwo eks-kochanek. Nie wiem, dlaczego fakt, że ze sobą rozmawiali, tak mnie zdenerwował. To znaczy, powinienem być chyba bardziej wyrafinowany. Czy wściekałem się, kiedy moja żona wyjeżdżała ze swoim szefem w długie delegacje służbowe? Nie bardzo.  
Beth pobięła za moim wzrokiem.  
— Sprawia bardzo miłe wrażenie — stwierdziła.  
Nie odpowiedziałem.  
— Wspomniałam o niej Maksowi — dodała. Na to też nie zamierzałem odpowiadać.  
— Była kiedyś... dziewczyną Fredrica Tobina. Zresztą chyba o tym wiesz. Wspominam o tym na wypadek, gdybyś nie wiedział. Jeśli Tobin jest podejrzany, powinieneś uważać, o czym z nią mówisz. A może dlatego właśnie się z nią zaprzyjaźniłeś? Żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Tobinie? John? Czy ty mnie słuchasz?  
— Wiesz co, Beth — powiedziałem — czasami żałuję, że jeden z tych pocisków naprawdę mnie nie wykastrował. Nie dawałbym wtedy wodzić się na pasku kobietom.

— Kiedy będziesz się następnym razem kochał, zmienisz zdanie — zauważyła i zostawiła mnie samego.

Rozglądając się dookoła, uświadomiłem sobie ponownie, że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, w bankiecie braliby udział Tom i Judy. Ciekawe, czy skarb miał zostać odkryty w tym tygodniu? Czy ogłosiliby już swoje odkrycie prasie? Czy też zwlekaliby z tym do dzisiejszego wieczoru?

Tak czy owak, Gordonowie znajdowali się dziś wieczór w lodówce, skarb był gdzieś ukryty, a ich prawdopodobny zabójca stał mniej więcej pięćdziesiąt stóp ode mnie, gawędząc z kobietą, którą bardzo polubiłem. Zauważyłem, że Tobin i Emma stoją teraz sami, rozmawiając tete-a-tete.

Miałem tego dosyć i ruszyłem w stronę wyjścia, rzucając na ziemię kord i kapelusz. Mniej więcej w połowie drogi usłyszałem swoje imię, ale nie zwolniłem kroku.

— JOHN!

Odwrociłem się.

Emma biegła w moją stronę.

— Dokąd idziesz?

— Tam, gdzie będę mógł się napić piwa.

— Idę z tobą.

— Nie potrzebuję towarzystwa.

— Potrzebujesz liczego towarzystwa, przyjacielu — poinformowała mnie. — Na tym polega twój problem. Zbyt długo byłeś sam.

— Prowadzisz rubrykę złamanych serc w lokalnym tygodniku?

— Nie dam się sprowokować i nie pozwolę ci stąd samemu wyjść. Dokąd się wybierasz?

— Do Olde Towne Taverne.

— Moja ulubiona knajpa. Próbowalesz ich nachos?

Wzięła mnie pod rękę i wyszliśmy przez bramę. Wsiadłem do jej starego samochodu i po upływie dwudziestu minut siedzieliśmy w łoży w Olde Towne Taverne, popijając piwo i czekając na nachos i skrzydełka kurczaka. Sądząc po wyglądzie innych sobotnich gości, nie wrócili oni właśnie ani nie wybierali się na bankiet u Freddiego.

— Dzwoniłam do ciebie wczoraj w nocy — powiedziała Emma.

— Myślałem, że wypuściłaś się z dziewczętami.

— Zadzwoiłam po powrocie. Koło północy.

— Nie udały wam się łowy?

— Nie. Rozumiem, że już spałeś.



— Prawdę mówiąc, pojechałem do Foxwoods. Puszczają tam ludzi w samych skarpetkach.

— Opowiedz mi o tym.

— Mam nadzieję, że nie zdradziłaś Fredricowi tego, o czym dyskutowaliśmy — powiedziałem po jakimś czasie.

Zawahala się o sekundę za długo.

— Nie... ale powiedziałam mu... powiedziałam, że ze sobą chodzimy. — Uśmiechnęła się. — Czy my ze sobą chodzimy?

— Archiwiści zawsze gdzieś chodzą... od półki z aktami z roku tysiąc siedemset siedemdziesiątego szóstego do półki z aktami z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego.

— Poważnie.

— Poważnie, wolałbym, żebyś w ogóle nic o mnie nie mówiła.

Wzruszyła ramionami.

— Jestem szczęśliwa i chcę, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Życzył mi szczęścia.

— Co za dżentelmen.

Uśmiechnęła się.

— Jesteś zazdrosny?

— Wcale nie. — Dopilnuję, żeby trafił na krzesło elektryczne. — Uważam po prostu, że nie powinnaś mu o nas wspominać. I na pewno nie powinnaś wspominać o pirackim skarbie.

— Dobrze.

I tak spędziłyśmy miło czas przy kolacji, a potem pojechaliśmy do niej. Mieszkała w małym domku w Cutchogue. Pokazała mi kolekcję nocników, których miała dziesięć. We wszystkich zasadziła rośliny i ustawiła w alkwie. W moim rosły już miniaturowe róże.

Zniknęła na moment, a potem pojawiła się z opakowanym elegancko prezentem dla mnie.

— To z naszego sklepiku — oznajmiła. — Nie zwinęłam tego, ale udzieliłam sobie czterdziestoprocentowej bonifikaty.

— Naprawdę nie musiałaś...

— Zobacz, co to jest — powiedziała.

Zrobiłem to. Podarowała mi książkę zatytułowaną *Opowieść o pirackim skarbie*.

— Otwórz ją.

Otworzyłem i przeczytałem: „Dla Johna, mojego ulubionego bukaniera. Z wyrazami miłości, Emma”. Uśmiechnąłem się.

— Dziękuję. Zawsze o czymś takim marzyłem.

— Może nie zawsze. Ale pomyślałam, że będziesz chciał to przejrzeć.

— Na pewno to zrobię.

Tak czy owak domek był miły i czysty, nie było w nim kota, Emma lubiła Beatlesów i Bee Gees, miała whisky, piwo i dwie poduszki dla mnie. Materac był sprężysty. Czego więcej mógłbym pragnąć? No, może bitej śmietany. Ją też miała.

Nazajutrz rano, w niedzielę, poszliśmy na śniadanie do Cutchogue Diner, a potem, nie pytając mnie o zdanie, Emma zawiozła mnie do miłego drewnianego kościółka metodystów.

— Nie jestem jakąś dewotką, ale czasem podnosi mnie to na duchu — wyjaśniła. — No i pomaga w interesach.

Wziąłem więc udział w nabożeństwie, gotów dać nurka pod ławkę, gdyby załamało się sklepienie.

Po nabożeństwie zabraliśmy mój samochód spod dworku pana Tobina i Emma pojechała za mną do mego dworku.

Kiedy robiła sobie herbatę, zadzwoniłem do Beth do pracy. Nie było jej, w związku z czym zostawiłem wiadomość u faceta, który oznajmił, że pracuje nad sprawą Gordonów.

— Proszę jej przekazać, że nie będzie mnie przez cały dzień — powiedziałem. — Postaram się z nią skontaktować wieczorem. Jeśli mi się nie uda, niech wpadnie do mnie jutro rano na kawę.

— W porządku.

Zadzwoniłem do Beth do domu i usłyszałem automatyczną sekretarkę. Zostawiłem tę samą wiadomość.

Czując, że zrobiłem, co mogłem, żeby dotrzymać obietnicy, wróciłem do kuchni.

— Wybierzmy się gdzieś na niedzielną przejażdżkę — zaproponowałem.

— Nie mam nic przeciwko.

Odprowadziła samochód do domu, a potem pojechaliśmy moim jeepem do Orient Point i wybraliśmy się promem do New London. Spędziliśmy dzień w Connecticut i na Rhode Island; zwiedziliśmy dworki w Newport, zjedliśmy kolację w Mystic i wróciliśmy promem na Long Island.

Stojąc na pokładzie, patrzyliśmy na morze i na gwiazdy.

Prom płynął przez Plum Gut i po prawej stronie widziałem latarnię w Orient Point. Po lewej, na tle nocnego nieba, sterczała ciemna i złowroga stara kamienna latarnia na Plum Island. Trochę bujało.

— Zbliża się sztorm — zauważyła Emma. — Morze robi się

wzburzone, jeszcze nim popsuje się pogoda. Poza tym spada ciśnienie. Nie czujesz tego?

— Czego?

— Że spada ciśnienie.

— Aha... — Wystawiłem język. — Jeszcze nie.

— Ja to czuję. Jestem bardzo wrażliwa na zmiany pogody.

— Czy to dobrze, czy źle?

— Myślę, że dobrze.

— Ja też tak myślę.

— Na pewno nic nie czujesz? Nie rwą cię twoje rany?

Skupiłem uwagę na swoich ranach i rzeczywiście trochę mnie rwały.

— Dziękuję, że mi o nich przypomniałaś.

— Dobrze jest być w stałym kontakcie ze swoim ciałem, rozumieć wpływ, jaki żywioły wywierają na nie i na umysł.

— Absolutnie.

— Ja na przykład robię się trochę szalona podczas pełni.

— Trochę bardziej szalona — uściśliłem.

— Tak, bardziej szalona. A ty?

— Jestem wtedy strasznie pożądlivy.

— Naprawdę? Podczas pełni?

— Podczas pełni, podczas nowiu, a także w drugiej i trzeciej kwadrze.

Roześmiała się.

Zerknąłem na mijaną przez nas Plum Island. Dostrzegłem kilka migających boi kanałowych i poświatę w miejscu, gdzie za drzewami stało laboratorium. Poza tym jednak wyspa spowita była w takim samym mroku jak przed trzystu laty i zmrużywszy oczy, mogłem sobie wyobrazić słup Williama Kidda, *San Antonio*, podpływający do wyspy w lipcową noc w roku 1699. Widziałem spuszczaną na morze łódź z siedzącym w środku Kiddem i może jeszcze jednym członkiem załogi i widziałem, jak wiosłują potem w stronę brzegu...

— O czym myślisz? — zapytała Emma, przerywając moje rozmyślenia.

— Podziwiam po prostu noc.

— Wpatrywałeś się w Plum Island.

— Owszem. Myślałem o... Gordonach.

— Myślałeś o kapitanie Kiddzie.

— Musisz być wiedźmą.

— Jestem dobrą metodystką i dziwką. Ale tylko raz w miesiącu.

Uśmiechnąłem się.

— No i jesteś wrażliwa na zmiany pogody.  
— Zgadza się. Czy powiesz mi coś więcej o tym... o tym morderstwie? — zapytała.  
— Nie, nie powiem.  
— W porządku. Rozumiem. Jeśli będziesz czegoś ode mnie potrzebował, po prostu powiedz. Zrobię, co mogę, żeby ci pomóc.  
— Dziękuję.  
— Chcesz zostać u mnie na noc? — zapytała, kiedy prom zbliżył się do nabrzeża.  
— Owszem, chcę, ale... powinienem wracać do domu.  
— Mogę pojechać do ciebie.  
— Cóż... prawdę mówiąc, miałem dzisiaj porozmawiać albo spotkać się z detektyw Penrose i powinienem zorientować się, czy to jeszcze możliwe.  
— W porządku.  
I na tym stanęło.  
— Zobaczę się z tobą jutro po pracy — powiedziałem, kiedy odwoziłem ją do domu.  
— Dobrze. Jest taka miła restauracja nad wodą, do której chciała-bym cię zabrać.  
— Nie mogę się doczekać — odparłem.

Pocałowaliśmy się na progu i wróciłem do domu.

Na automatycznej sekretarce nagranych było siedem wiadomości. Nie byłem w nastroju, żeby ich wysłuchiwać. Mogły poczekać do rana.

Zasypiając próbowałem podjąć jakąś decyzję w sprawie Fredrica Tobina. Czasami zdarza się, że ma się już ptaszka w garści, a mimo to go się nie ma. Nadchodzi pewien krytyczny moment, gdy trzeba postanowić, czy powinno się go obserwować, stawić mu czoło, wykurzyć z krzaków, czy też udawać, że już nas nie interesuje.

Powinienem również uświadomić sobie, że osaczone zwierzę, lub człowiek, może okazać się niebezpieczne — że w polowaniu bierze udział myśliwy oraz zwierzyzna i że zwierzyzna ma o wiele więcej do stracenia.

Nie bardzo wyobrażałem sobie Tobina w roli zagonionego w ślepy zaułek inteligentnego zwierzęcia, ponieważ zrobił na mnie wrażenie snoba, podobnie jak ja zrobiłem na nim wrażenie prostaka. Obaj wiedzieliśmy, że to nieprawda, a jednak obaj daliśmy się trochę oszukać. Tak czy owak, winę za to, co się zdarzyło, składam na siebie.

## Rozdział 29

W poniedziałek rano, gdy się obudziłem, padał deszcz, pierwszy deszcz od wielu tygodni i farmerzy na pewno cieszyli się, choć właściciele winnic pluli sobie w brodę. Znałem co najmniej jednego właściciela winnicy, który miał większe problemy od padającego deszczu.

Ubiorając się, słuchałem radia, z którego dowiedziałem się, że do wybrzeży Wirginii zbliża się huragan, wskutek czego pogoda popsuje się na obszarze sięgającym aż do północy aż do Long Island. Cieszyłem się, że wieczorem wracam na Manhattan.

Nie byłem w moim mieszkaniu na Siedemdziesiątej Drugiej od ponad miesiąca i nie łączyłem się przez cały ten okres z tamtejszą automatyczną sekretarką, częściowo dlatego, że nie miałem ochoty, przede wszystkim jednak, jak sądzę, ponieważ zapomniałem kodu dostępu.

Koło dziewiątej rano zszedłem na dół ubrany w eleganckie dżinsy oraz koszulkę polo i zrobiłem sobie kawy. Czekałem, że Beth odwiedzi mnie albo zatelefonuje.

Na kuchennym blacie leżał nieprzeczytany od piątku lokalny tygodnik i nie zdziwiłem się zbytnio, widząc na pierwszej stronie wiadomość o poniedziałkowym morderstwie. Wyszedłem z gazetą i kubkiem kawy na tylną werandę i przeczytałem relację o podwójnym morderstwie napisaną przez miejscowego reporterskiego asa. Facet był dostatecznie nieprecyzyjny, dostatecznie stroniczy i miał dostatecznie fatalny styl, żeby pisać do „Newsday” albo „Timesa”.

Zauważyłem artykuł o Winnicach Tobina. Zacytowano w nim właściciela, który stwierdził, że „winobranie zacznie się u nas lada dzień. Zapowiada się niezły rok, być może najlepszy od dziesięciu lat, jeśli nie spadną ulewne deszcze”.

No cóż, Freddie, właśnie zaczęło lać. Ciekawe, czy skazańcom podają do ostatniego posiłku kieliszek wina.

Po jakimś czasie odłożyłem tygodnik na bok i sięgnąłem po prezent od Emmy. Przekartkowałem *Opowieść o pirackim skarbie*, obejrzałem ilustracje oraz mapę Long Island, której przyglądałem się kilka minut, a potem znalazłem rozdział o kapitanie Kiddzie i przeczytałem na chybił trafił relację wielmożnego Roberta Livingstona, który początkowo wspierał finansowo Kidda.

*Słyszając, że kapitan Kidd przybył w te strony, żeby stawić się przed obliczem jego ekscelencji lorda Bellomonta — relacjonował Livingston — piszący te słowa udał się niezwłocznie z Albany najkrótszą drogą przez puszcze, aby spotkać się z rzeczonym Kiddem i zaczekać na jego lordowską mość. Po przybyciu do Bostonu kapitan Kidd poinformował, że na pokładzie jego słupu, stojącego podówczas w porcie, znajduje się czterdzieści beli towarów, jak również cukru. Stwierdził także, że ma czterdzieści funtów srebra. Rzeczony Kidd oświadczył dalej, że w miejscu, które tylko on potrafi odnaleźć, gdzieś między Bostonem i Nowym Jorkiem, ukrył czterdzieści funtów złota.*

Dokonałem w pamięci szybkich obliczeń, z których wynikało, że czterdzieści funtów złota byłoby dziś warte około trzystu tysięcy dolarów, jak to mówią, na pniu, nie biorąc pod uwagę wartości historycznej ani numizmatycznej, które zdaniem Emmy mogły czterokrotnie podbić cenę.

Przez następną godzinę czytałem książkę i im dłużej czytałem, tym bardziej byłem przekonany, że prawie wszyscy zaangażowani w tę sprawę, od lorda Bellomonta po najpodlejszego majtka, łgali jak najęci. Nie było dwóch relacji, które by się pokrywały, a dane dotyczące wartości i ilości złota, srebra i drogich kamieni poważnie się różniły. Wszyscy byli zgodni tylko w jednym: skarb został ukryty na brzegu w kilku miejscach wzdłuż cieśniny Long Island. Nikt nie wspomniał ani razu o Plum Island, ale czyż było lepsze miejsce, żeby coś ukryć? Z tego, co się dowiedziałem w trakcie wycieczki na Plum, na wyspie nie było wówczas portu i raczej nie odwiedzały jej statki w poszukiwaniu pitnej wody i prowiantów. Należała do białych osadników i z tego względu była niedostępna dla Indian, ale najprawdopodobniej i tak nikt na niej nie mieszkał. A skoro Kidd zostawił część cennego skarbu u Johna Gardinera,

człowieka, którego przedtem nie znał, dlaczego nie miałby popłynąć pięć czy sześć mil dalej na Plum Island i nie zakopać tam kolejnej skrzyni? Wydawało mi się to całkiem logiczne. Zastanawiałem się tylko, jak dowiedział się o tym Fredric Tobin. Opowie o tym chętnie podczas konferencji prasowej, na której dowiemy się o odkryciu skarbu: „Zawdzięczam to ciężkiej pracy, znajomości kultur winnych, wytrwałości i wysokiej jakości oferowanego przeze mnie produktu. A także odrobinie szczęścia”.

Tak czy owak, zmitrężyłem na werandzie sporo czasu, czytając, obserwując pogodę, analizując sprawę i czekając na Beth, która już dawno powinna przyjść.

W końcu wróciłem do domu i wysłuchałem siedmiu wiadomości, które nagrały się na automatycznej sekretarce.

Pierwsza była od wujka Harry'ego, który oznajmił, że jego przyjaciel chce wynająć dom, w związku z czym, jeśli nie zamierzam go kupić, może bym się łaskawie wyniósł. Druga od detektywa porucznika, który stwierdził krótko: „Wkurzasz mnie”. Trzecia od Emmy, która zadzwoniła w piątek w nocy, żeby powiedzieć cześć; czwarta, z soboty rano, od Maksa, który opisał szczegółowo bankiet u Tobina i dodał, że uciął sobie miłą pogawędkę z Beth i powinienem do niego zatelefonować. Piąta wiadomość była od Dorna Fanellego. „Żałuj, że cię tam nie było, »paisano« — oświadczył. — Co za noc. Wino łało się strumieniami, poderwaliśmy w Taorminie cztery szwedzkie turystki: dwie stewardesy, jedną modelkę i jedną aktorkę. Zadzwoniłem poza tym do twojego kumpla, Jacka Rosena z »Daily News«, który napisze o twoim powrocie do Nowego Jorku po udanej rekonwalescencji na wsi. Ranny bohater wraca w domowe pielesze. Cudowne. Jeśli zadzwonisz do niego w poniedziałek przed południem, artykuł ukaże się we wtorek, żeby dupki z Police Plaża mogły go przeczytać, zanim urwą ci jaja. Widzisz, jaki ze mnie kumpel? Zadzwoni do mnie w poniedziałek, to pójdziemy wieczorem na drinka i opowiem ci o Szwedkach. Ciao”.

Uśmiechnąłem się. Cztery Szwedki, takiego dzwona. Szósta wiadomość była od Beth, która zatelefonowała do mnie w niedzielny rano, pytając, gdzie zniknąłem w sobotę i kiedy możemy się spotkać. A siódma, z niedzieli po południu, również od Beth, która potwierdziła moją wiadomość i uprzedziła, że wpadnie do mnie do domu w poniedziałek rano.

W związku z czym, kiedy na krótko przed południem odezwał się dzwonek do drzwi, nie zdziwiłem się zbytnio na jej widok.

— Wejdz — powiedziałem.

Zostawiła parasolkę na werandzie i weszła do domu. Miała na sobie kolejny szyty na miarę kostium, tym razem w kolorze rdzy. Pomyślałem, iż powinienem ją uprzedzić, że jestem sam.

— Jestem sam — oznajmiłem.

— Wiem — odparła.

Wpatrywaliśmy się w siebie przez kilka bardzo długich sekund. Wiedziałem, co powie, i nie chciałem tego słuchać. Ale ona i tak powiedziała.

— Emmę Whitestone znalazł w domu jeden z jej pracowników. Wszystko wskazuje na to, że została zamordowana.

Nie odezwałem się. Co mogłem powiedzieć? Po prostu stałem w miejscu.

Beth wzięła mnie pod ramię i zaprowadziła do salonu.

— Siadaj — poleciła.

Usiadłem na kanapie. Ona siadła obok i wzięła mnie za rękę.

— Nie wiem, co czujesz... to znaczy wiem, że musiałeś ją bardzo lubić...

Pokiwałem głową. Po raz drugi w życiu to nie ja byłem tym, kto przynosił złe wieści. Byłem tym, kto dowiadywał się o śmierci kogoś bliskiego. To było odrętwiające. Nie mogłem tego do końca pojąć, bo nie wydawało się realne.

— Byłem z nią wczoraj mniej więcej do dziesiątej wieczór — powiedziałem.

— Nie ustaliliśmy jeszcze godziny śmierci — odparła. — Znalaziono ją w łóżku... śmierć nastąpiła prawdopodobnie w wyniku uderzeń w głowę zadanych pogrzebaczem, który leżał na podłodze... zamki nie były sforsowane. Kuchenne drzwi nie były zamknięte na klucz.

Pokiwałem głową. Miał klucz, którego nigdy nie zwrócił, a ona nie pomyślała w ogóle o zmianie zamku. Wiedział, że w domu jest pogrzebacz.

— Sprawca starał się upozorować włamanie... opróżniona torebka i szkatułka z biżuterią, brak gotówki. Tego rodzaju rzeczy.

Odetchnąłem głęboko i nic nie powiedziałem.

— Nie żyją także państwo Murphy'owie — dodała Beth. — Wszystko wskazuje również na morderstwo.

— Mój Boże.

— Policjant z Southold patrolował mniej więcej raz na godzinę ich ulicę, zwracając szczególną uwagę na dom Murphych, ale... nic nie zauważył. Kolega, który zmienił go koło ósmej rano, spostrzegł, że na trawniku leży gazeta. Była tam również o dziewiątej. Wiedział,



że oboje wstają wcześniej i zabierają gazetę, więc... Chcesz tego słuchać? — zapytała.

— Tak.

— Okej... więc zatelefonował do nich, potem zastukał do frontowych drzwi, a następnie obszedł dom i odkrył, że tylne drzwi nie są zamknięte. Wszedł do środka i znalazł ich w łóżku. Oboje zginęli w wyniku uderzeń w głowę zadanych łomem, który leżał zakrwawiony na podłodze. Dom został splądrowany — dodała. — Ponieważ policja patrolowała ulicę, przypuszcza się, że sprawca dostał się do środka od strony zatoki.

Pokiwałem głową.

— Możesz sobie wyobrazić, co się dzieje na policji w Southold i w całym North Fork. Jeśli mają tu jedno morderstwo rocznie, to dużo.

Pomyślałem o Maksie, który tak bardzo cenił sobie święty spokój.

— Policja z Suffolk wysyła specjalną ekipę — kontynuowała Beth — ponieważ teraz uważa się, że po okolicy grasuje psychopata, włamujący się do domów i mordujący mieszkańców. Moim zdaniem osoba, która zamordowała Gordonów, zabrała stamtąd klucz Murphych i dlatego nie stwierdziliśmy sforsowanych zamków, a tylne drzwi były otwarte. To wskazywałoby na pewien stopień premedytacji.

Pokiwałem głową. Tobin wiedział, że być może będzie musiał się pozbyć w pewnym momencie Murphych, i był na tyle przewidujący, żeby zabrać klucz. Kiedy Beth wspomniała, że w domu Gordonów nie odnaleziono klucza Murphych, to powinno nas zaalarmować. Kolejny przykład na to, że nie docenialiśmy zabójcy.

— Powinniśmy przewidzieć... — mruknąłem.

Beth kiwnęła głową.

— Wiem. Co do Emmy Whitestone... albo drzwi również były niezamknięte, albo ktoś miał klucze... ktoś, kogo znała.

Spojrzałem jej prosto w oczy i zobaczyłem, że oboje wiemy, o kim mówi.

— W niedzielę rano kazałam zgodnie z twoją sugestią wziąć pod obserwację Fredrica Tobina. Pilnowali go przez cały dzień, ale ktoś z góry odwołał inwigilację od północy do ósmej rano... z przy czyn budżetowych... więc w zasadzie nie wiadomo, co robił po dwunastej.

Nie odpowiedziałem.

— Miałam kłopoty z uzyskaniem zgody na jakąkolwiek inwigilację Tobina. Facet pozostaje po prostu poza wszelkim podejrzeniem.

Nie miałam na niego nic, co uzasadniałoby dwudziestoczegodzinny nadzór — dodała, zawieszając znacząco głos.

Słuchałem tego, co mówi, ale przed oczyma wciąż miałem Emmę. Emmę w moim domu, Emmę pływającą w zatoce, Emmę na przyjęciu towarzystwa historycznego, Emmę w sypialni, gdzie znaleziono ją martwą... Co by było, gdybym został u niej na noc? Skąd ktoś mógł wiedzieć, że nie jest sama? Uświadomiłem sobie, że Tobin zabiłby i mnie, gdyby zobaczył, że śpię tam przy niej.

— Swoją drogą — dodała Beth — rozmawiałam z Fredrikiem Tobinem na jego bankiecie i był czarujący. Ale jest trochę za śliski... To znaczy, ten człowiek ma dwie twarze. Pod tym uśmiechem kryje się coś niekoniecznie miłego.

Pomyślałem o Fredricu Tobinie. Przypomniałem sobie, jak rozmawiał z Emmą na trawniku podczas wydanego przez siebie przyjęcia. Mówiąc z nią wtedy wiedział, że ją zamorduje. Ciekawiło mnie jednak, czy postanowił ją zabić, żeby zamknąć jej usta, czy też chciał po prostu powiedzieć: „Pierdolę cię, Corey. Pierdolę cię za to, że jesteś takim cwaniakiem, pierdolę za to, iż odkryłeś, że zabiłem Gordonów, pierdolę za to, że pierdoliłeś moją byłą dziewczynę, i w ogóle generalnie cię pierdolę”.

— Czuję się trochę odpowiedzialna za Murphych — stwierdziła Beth.

Pomyślałem o Edgarze i Agnes. Byli przyzwoitymi ludźmi, uczynnymi obywatelami i na nieszczęście dla siebie samych wiedzieli zbyt dużo o tym, co działo się w ciągu ostatnich dwu lat w sąsiednim domu.

— W środek pokazałem Murphym zdjęcie Tobina — wyjaśniłem. — Zidentyfikowali w nim osobnika, który podjeżdżał do Gordonów białym sportowym samochodem... Tobin ma białe porsche.

Beth pokiwała głową.

— Rozumiem.

— Mordercą jest Fredric Tobin — powiedziałem.

Nie odezwała się.

— Zamordował Toma i Judy Gordonów — kontynuowałem — Edgara i Agnes Murphych, prawdopodobnie tego weterynarza z Plum Island oraz Emmę Whitestone. I może jeszcze inne osoby. Traktuję to bardzo osobiście. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza — oznajmiłem, wstając.

Wyszedłem na werandę. Padał coraz bardziej ulewny deszcz, szary deszcz, siąpiący z szarego nieba na szarą zatokę. Wiatr wiał od południa.

Emmo. Emmo.

Wciąż znajdowałem się w fazie szoku i zaprzeczenia, ale powoli wzbierał we mnie gniew. Im dłużej myślałem o Tobinie, który rozwalił jej głowę żelaznym pogrzebaczem, tym bardziej chciałem rozwalić mu głowę żelaznym pogrzebaczem.

Podobnie jak wielu gliniarzy, których osobiście dotyka zbrodnia, chciałem wykorzystać swoją wiedzę i możliwości, żeby osobiście zająć się sprawą. Ale gliniarz nie może być członkiem straży obywatelskiej, a członek straży obywatelskiej nie może być gliniarzem. Z drugiej strony zdarzają się sytuacje, kiedy trzeba odłożyć odznakę i zatrzymać broń...

## Rozdział 30

Beth zostawiła mnie samego i zdołałem się wziąć trochę w garść. Po jakimś czasie wyszła na werandę i dała mi kubek kawy wzmocniony czymś, co pachniało jak brandy.

Staliśmy oboje w milczeniu, wpatrując się w zatokę.

— O co w tym wszystkim chodzi, John? — zapytała po kilku minutach.

Wiedziałem, że jestem jej winien pewne informacje.

— O złoto — odpowiedziałem.

— Złoto?

— Tak. O zakopany skarb, prawdopodobnie piracki. Być może o skarb samego kapitana Kidda.

— Kapitana Kidda?

— Tak.

— Był zakopany na Plum Island?

— Tak... z tego, co się domyślam, Tobin jakoś się o tym dowiedział i zdając sobie sprawę, że nigdy nie będzie miał dostępu do jednego z najbardziej niedostępnych miejsc w kraju, zaczął szukać współnika, który miał taki dostęp.

Beth przez chwilę się nad tym zastanawiała.

— Oczywiście... — stwierdziła w końcu. — Teraz wszystko zaczyna mieć sens... Towarzystwo Historyczne, archeologiczne wykopki, dom nad wodą, motorówka... wszyscy tak bardzo uczyliśmy się broni biologicznej, a potem narkotyków...

— Właśnie. Ale kiedy całkowicie wykluczyło się te możliwości, tak jak zrobiłem to ja, gdyż wiedziałem, że Gordonowie nie są do czegoś takiego zdolni, wtedy trzeba było przemyśleć wszystko od nowa.

— Zgodnie ze słowami doktora Zollnera: „Kiedy jedynym narzędziem, którym dysponujesz, jest młotek, wtedy każdy problem wygląda jak gwóźdź” — stwierdziła.

Kiwnąłem głową.

— Opowiedz mi o wszystkim — poprosiła. — Teraz.

Wiedziałem, że chce, bym przestał myśleć o Emmie, i że ma rację; powinienem skupić się na sprawie, zając czymś konstruktywnym.

— Dobrze... — powiedziałem. — Kiedy byłem na Plum Island, ta zabawa w archeologię zaintrygowała mnie; to zupełnie nie pasowało do Toma i Judy. Gordonowie zdawali sobie sprawę, że tak właśnie bym zareagował, dlatego nigdy mi o tym nie mówili. Moim zdaniem już wtedy myśleli o dniu, gdy po rzekomym odkryciu skarbu na ich działce ktoś mógłby sobie przypomnieć o wykopaliskach na Plum Island i połączyć jedno z drugim. Więc im mniej osób o tym wiedziało, tym lepiej.

— Nie byłaby to pierwsza sytuacja, w której coś wartościowego przenosi się i odkrywa w bardziej odpowiednim miejscu — zauważyła Beth.

— To było sedno całego planu. Znak X na pirackiej mapie musiał zostać przeniesiony z ziemi Wuja Sama na ziemię Toma i Judy.

Beth przez chwilę się zastanawiała.

— Sądysz, że Gordonowie wiedzieli dokładnie, w którym miejscu skarb został zakopany na Plum Island? — zapytała. — Czy może próbowali go dopiero znaleźć? Nie widziałam zbyt wielu świeżych wykopalisk na wyspie.

— Moim zdaniem informacje Tobina były pewne i wiarygodne, ale może niezbyt precyzyjne. Dowiedziałem się kilku rzeczy o pirackich mapach od Emmy i z tej książki... — pokazałem leżący na stoliku tomik. — Skarby zakopywane były na ogół na krótki okres i dlatego pewne instrukcje dotyczą punktów orientacyjnych, od dawna nie istniejących: drzew, które wycięto, głazów, które runęły do morza... tego rodzaju rzeczy.

— Jak wpadłeś na to, żeby porozmawiać z Emmą?

— Chciałem po prostu dowiedzieć się czegoś o Towarzystwie Historycznym Peconic. Miałem zamiar poświęcić na to godzinę i było mi naprawdę wszystko jedno, z kim będę rozmawiał... a potem w trakcie rozmowy okazało się, że była kiedyś przyjaciółką Tobina.

Beth kontemplowała to przez jakiś czas, wpatrując się w zatokę.

— Spotkałeś się więc z Fredrikiem Tobincem — stwierdziła.

— Nie, pojechałem do niego, zanim jeszcze spotkałem się z Emmą.

— W takim razie co skłoniło cię, żeby z nim porozmawiać? Co mogło go twoim zdaniem łączyć z morderstwami?

— Z początku nic. Wykonywałem po prostu podrzędną policyjną robotę, rozmawiając z przyciętymi, nie podejrzanymi. Poznałem Tobina w jego winiarni jeszcze w czerwcu, zaproszony tam przez Gordonów. Nie przypadł mi zbyt do gustu i dziwiłem się, co takiego widzą w nim Gordonowie. Po spędzeniu z nim kilku godzin we środe, uznałem, że osobiście jest w porządku, ale nie udziela prawidłowych odpowiedzi na proste pytania. Rozumiesz?

Kiwnęła głową.

— A potem, po rozmowie z Emmą, zacząłem analizować to, co łączyło tutaj różne osoby.

Beth ponownie kiwnęła głową. Wpatrywała się w deszcz, najwyraźniej nad czymś dumając.

— Spędziłam te dwa dni, zajmując się odciskami palców, raportem z sekcji zwłok, Plum Island i tak dalej — powiedziała w końcu. — Tymczasem ty podążałeś zupełnie innym tropem.

— Bardzo słabym, ale nie miałem nic innego do roboty.

— Wciąż jesteś wściekły, że tak cię potraktowano?

— Byłem. Może to właśnie mnie motywowało. To nie ma teraz znaczenia. Ważne jest, że wszystko ci przekazuję. Chcę, żeby Tobin został aresztowany, skazany i usmażony.

— Może wcale do tego nie dojść i sam zdajesz sobie z tego świetnie sprawę — oświadczyła, patrząc mi prosto w oczy. — Dopóki nie będziemy mieli czegoś konkretnego, facet nie zostanie skazany. Nie wydaje mi się nawet, żeby biuro prokuratora zdecydowało się wystawić nakaz aresztowania.

Wiedziałem o tym. Wiedziałem również, że kiedy problemem jest gwóźdź, potrzebny jest tylko młotek. A ja miałem młotek.

— Czy masz coś jeszcze? — zapytała. — Chodzi mi o jakieś konkretne dowody.

— Owszem. W hangarze Tobina znalazłem małą płaskodenną łódź i żerdź, za pomocą której można przepłynąć przez mokradła. A także przeciwmgielną syrenę w aerozolu — dodałem i opowiedziałem jej o moim spotkaniu z Tobinem w hangarze.

— Siadaj — poprosiła, kiwając głową.

Usiadłem w moim wiklinowym fotelu, ona na bujaku i przez godzinę opowiadałem jej o wszystkim, co wydarzyło się od momentu, kiedy rozstaliśmy się we wtorkowy wieczór, wspominając rów-

niez o tym, że przyjaciółka Tobina, Sondra Wells, i gosposia wyjechały z North Fork, kiedy popełniono morderstwo, choć Tobin sugerował, że były wtedy w domu.

Beth słuchała, wpatrując się w deszcz i morze. Wiatr wzmagał się i co jakiś czas słychać było jego zawrodoenie.

— Więc kupując ziemię od Margaret Wiley, Gordonowie nie chcieli wykiwać Tobina — stwierdziła Beth, kiedy skończyłem.

— Nie. To on kazał im ją kupić ze względu na legendę o Rafach Kapitana Kidda. Są jeszcze Drzewa Kapitana Kidda, ale urządzono tam teraz publiczny park. Co do skał albo urwiska, to w źródłach historycznych nie są one zlokalizowane z taką dokładnością jak drzewa, i Tobin wiedział, że może wykorzystać każde urwisko na tym terenie. Nie chciał jednak, żeby rozeszło się, iż kupuje bezużyteczny kawałek wybrzeża... stałoby się to przedmiotem różnych plotek i spekulacji. Kazał więc Gordonom kupić ziemię za własne pieniądze, których nie mieli za dużo. Mieli za to sporo szczęścia, kupując tanią działkę od Margaret Wiley... choć może Tobin też o tym wiedział. Plan polegał na tym, żeby odczekać jakiś czas, zakopać skarb, a potem go odkryć.

— Niewiarygodne.

— Owszem. A ponieważ prawie niemożliwe jest sfalszowanie wieku pionowego wykopu, postanowili, że zakopią skrzynię ze skarbem w bocznej ścianie urwiska... na wysokości tej skalnej półki, którą odkryliśmy... a potem powiedzą, że odsłoniła ją erozja. Rozkopując ją dalej kilofami i łopatami, zniszczyliby w zasadzie całe miejsce i naruszyliby samą skrzynię. Wydobyć skarb uniemożliwiłoby więc w praktyce późniejsze zbadanie urwiska.

— Niewiarygodne — powtórzyła Beth.

— Wszyscy troje byli bardzo inteligentni i nie zamierzali tego spieprzyć. Mieli zamiar sprzątnąć Wujowi Samowi sprzed nosa skarb o wartości dziesięciu lub dwudziestu milionów dolarów i zrobić to w taki sposób, żeby ten dowiedział się o wszystkim, dopiero kiedy zaczną o tym trąbić media. I byli dobrze przygotowani do konfrontacji z urzędem skarbowym.

Opowiedziałem jej o przepisach regulujących kwestię własności skarbu, wysokość płaconego podatku i tak dalej.

— Ale jak Tobin spodziewał się dostać swoją dolę po ogłoszeniu przez Gordonów, że odkryli skarb? — zapytała.

— Przede wszystkim od prawie dwóch lat uchodzili za jego przyjaciół. Odkryli w sobie pasję do wina, która moim zdaniem nie była autentyczna, ale stanowiła dobry pretekst, żeby pokazywać się

w publicznych miejscach razem z Tobinem. — Powtórzyłem Beth wszystko, czego dowiedziałem się od Emmy na temat natury ich znajomości. — Klóciło się to ze stwierdzeniami samego Tobina. Miałem więc kolejną drobną niekonsekwencję. Beth pokręciła głową.

— To, że się z kimś przyjaźnisz, nie znaczy jeszcze, że podzielił się z nim skarbem wartym miliony — stwierdziła.

— Nie. W związku z czym wymyślili bajeczkę, którą mieli zamiar przedstawić po odkryciu. Powiem ci, jak to miało wyglądać: Najpierw wszyscy troje interesowali się lokalną historią i po pewnym czasie te zainteresowania doprowadziły ich do odkrycia jakiejś informacji o pirackim skarbie. W tym momencie, według tego, co mieli przekazać prasie, zawarli przyjacielską umowę, że będą wspólnie prowadzili poszukiwania i podzielą się tym, co znajdą.

Słuchała. Widziałem, że w zasadzie przekonywała ją moja rekonstrukcja tego, co zdarzyło się przed morderstwami.

— Gordonowie i Tobin oświadczyliby — dodałem — że przekopali się przez archiwa różnych tutejszych towarzystw historycznych, co jest prawdą, oraz że kontynuowali poszukiwania w Anglii i gdzie indziej. Doszli do przekonania, że skarb zakopany jest na terenie należącym do Margaret Wiley, i chociaż fakt, że będą musieli ją wykiwać, budził w nich pewne wyrzuty sumienia, dla poszukiwaczy skarbów wszystkie chwytaki są dozwolone. Daliby jej zresztą jakiś ładny klejnot czy coś w tym rodzaju. I zaznaczyli, że ryzykowali dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, nie mieli bowiem stuprocentowej pewności, że skarb rzeczywiście się tam znajduje.

Odchyliłem się do tyłu w fotelu i przez chwilę słuchałem wiatru i deszczu. Jeszcze nigdy nie czułem się tak źle; byłem zdumiony, jak bardzo brakuje mi Emmy Whitestone, która pojawiła się w moim życiu tak nagle i niespodziewanie i tak samo nagle przeniosła się do innego świata, gdzieś między konstelacjami.

Wziąłem głęboki oddech i podjąłem przerwany wątek.

— Przypuszczam, że Gordonowie i Tobin przygotowali fałszywe dokumenty na poparcie twierdzenia, iż odkryli lokalizację w jakimś archiwum. Nie wiem, co to miało być: podrobiony pergamin, może fotokopia zagubionego oryginału. Mogli też po prostu oświadczyć: „Nie wasza sprawa, jak do tego doszliśmy. Szukamy następnych skarbów”. Władz nie obchodzi zresztą, jak to znaleźli, tylko gdzie to znaleźli i ile jest warte. Czy to wszystko wydaje ci się sensowne? — zapytałem, spoglądając na Beth.



— Przedstawiłeś to w całkiem przekonujący sposób — odparła po krótkim namyśle. — Ale wciąż mam wrażenie, że ktoś mógłby powiązać odkrycie skarbu z Plum Island.

— To możliwe. Co innego jest jednak podejrzewać, a co innego udowodnić, że skarb został znaleziony gdzie indziej.

— Tak, lecz to jedyny słaby punkt w świetnym poza tym planie.

— Owszem. Więc pozwól, że przedstawię ci inną teorię, taką, która wyjaśnia, co się rzeczywiście zdarzyło: Tobin nie miał zamiaru dzielić się czymkolwiek z Gordonami. Sprawił, że uwierzyli we wszystko, co przed chwilą powiedziałem, namówił do kupna ziemi, a potem cała trójka wymyśliła historyjkę o tym, jak odnaleźli skarb i dlaczego zamierzają go podzielić. W rzeczywistości Tobin również obawiał się, że ktoś wpadnie na to, że skarb pochodzi z Plum Island. Gordonowie byli potrzebni, gdy trzeba go było zlokalizować i wywieźć z wyspy. Potem stali się ciężarem, słabym punktem, oczywistą wskazówką, gdzie naprawdę został odnaleziony skarb.

Beth milczała, bujając się w fotelu.

— Trzy osoby mogą dochować sekretu, jeśli dwie z nich nie żyją — powiedziała po chwili.

— Właśnie. Gordonowie byli inteligentni, lecz trochę naiwni i nigdy nie zetknęli się z kimś tak złym i podstępym jak Fredric Tobin. Niczego nie podejrzewali, ponieważ realizowali od początku cały scenariusz, kupili ziemię i brnęli dalej. W rzeczywistości Tobin wiedział od samego początku, że ich zabije. Potem zamierzał zakopać skarb i odkryć go na terenie własnej posiadłości przy Founders Landing albo sprzedać go na lewo tutaj lub za granicą, zachowując dla siebie nie tylko część należną Gordonom, lecz również część stanowiącą własność Wuja Sama.

— Teraz, kiedy widzimy, że jest zdolny do morderstwa z zimną krwią, wydaje się to bardzo prawdopodobne.

— Tak czy owak, to facet, którego szukasz.

Beth siedziała, podpierając dłońią podbródek, ze stopami zaczeponymi o przednią listwę fotela.

— Jak poznałeś Gordonów? — zapytała mnie w końcu. — To znaczy, jak to się stało, że tacy ludzie jak oni znaleźli czas, żeby... Rozumiesz, o co mi chodzi.

— Nie doceniasz mojego uroku osobistego — odparłem, próbując się uśmiechnąć. — Ale to trafne pytanie. Sam je sobie zadaję. Może naprawdę mnie polubili. A może coś podejrzewali i chcieli się zabezpieczyć. Zaprzyjaźnili się również z Maksem, więc możesz go zapytać, jak do tego doszło.

— No więc jak ich poznałeś? — powtórzyła. — Powinnam była cię o to zapytać już wtedy w poniedziałek, na miejscu przestępstwa.

— Powinnaś — przyznałem. — Spotkałem ich w barze u Claudia. Znasz go?

— Wszyscy znają.

— Próbowałem poderwać Judy.

— To dobry sposób na zawarcie znajomości.

— Owszem. Tak czy inaczej, miałem wrażenie, że nasze spotkanie było przypadkowe i może tak rzeczywiście było. Z drugiej strony, Gordonowie znali już Maksa, a Max znał mnie i być może wiedzieli, że ten postrzelony gliniarz z telewizji jest jego przyjacielem i liże rany w Mattituck. Przesiadywałem i przesiaduję tylko w dwóch lokalach: w Olde Towne Taverne i u Claudia. Więc całkiem możliwe, że... choć z drugiej strony trudno powiedzieć. W gruncie rzeczy to nieistotne... chyba że chce się zaspokoić zwykłą ciekawość. Czasami coś zdarza się po prostu przez zrzącenie losu.

— Owszem. Tyle że w naszej pracy musimy szukać motywów i celowego działania. Zrząceniem losu jest to, czego nie można inaczej wytłumaczyć. Jak się czujesz, John? — zapytała, zerkając na mnie.

— Świetnie.

— Serio.

— Trochę przygnębiony. To przez tę pogodę.

— Cierpisz?

Nie odpowiedziałem.

— Odbyłam dłuższą rozmowę telefoniczną z twoim partnerem — poinformowała mnie.

— Z Domem? Nic o tym nie wiem. Na pewno by mi powiedział.

— Nie zrobił tego.

— O czym z nim rozmawiałaś?

— O tobie.

— O czym konkretnie?

— Twój przyjaciele martwią się o ciebie.

— Powinni raczej martwić się o siebie, jeśli obgadują mnie za moimi plecami.

— Może byś przestał udawać twardziela?

— Zmień temat.

— Dobrze. — Wstała, podeszła do balustrady i popatrzyła na zatokę, na której pojawiły się białe grzywy fal. — Nadchodzi huragan — stwierdziła. — Może nas ominie. Więc gdzie jest skarb? — zapytała, odwracając się do mnie.

— To bardzo dobre pytanie. — Ja też wstałem i popatrzyłem na rozkołysane morze. W zasięgu wzroku nie było żadnej łodzi, a po trawniku zaczęły fruwać śmiecie. Za każdym razem, kiedy wiatr cichł na kilka sekund, słyszałem, jak fale uderzają w kamienisty brzeg.

— I gdzie są twoje dowody rzeczowe? — dodała Beth.

— Jednego i drugiego możemy poszukać w domu, mieszkaniu albo firmie pana Tobina — odpowiedziałem, wciąż wpatrując się w zatokę.

Przez chwilę się zastanawiała.

— Przedstawię to, co wiem, prokuratorowi okręgowemu — stwierdziła — i poproszę, żeby zwrócił się do sędziego o nakaz rewizji.

— Świetny pomysł. Jeśli potrafisz uzyskać nakaz rewizji, nie mając w rękę żadnych konkretnych dowodów, to jesteś o wicie sprytniejsza ode mnie — odparłem. — Sędzia będzie miał pewne zastrzeżenia przed wydaniem nakazu rewizji domu oraz firmy poważanego obywatela, który nie wszedł dotychczas w zatarg z prawem. Chyba o tym wiesz. — Przyglądałem się jej twarzy, kiedy to analizowała. — Za to właśnie kocham ten kraj. — dodałem. — Policja i władze nie dobiorą się nikomu do tyłka bez przestrzegania odpowiedniej procedury. A jeśli jesteś bogata, możesz liczyć na jeszcze lepszą procedurę niż przeciętny obywatel.

— Co twoim zdaniem powinniśmy... co powinnam teraz zrobić? — zapytała, ignorując moją uwagę.

— Rób, co chcesz. Ja nie zajmuję się już tą sprawą.

Fale zaczęły się łamać, co nie zdarzało się na ogół w tej części zatoki. Przypomniałem sobie, co Emma powiedziała o obserwowaniu wody przed zbliżającym się huraganem.

— Wiem, że jestem w stanie... to znaczy myślę, że jestem w stanie przyskrzynić tego faceta, jeżeli to rzeczywiście zrobił.

— Cieszę się.

— Jesteś pewien, że to on?

— Jestem pewien.

— A Paul Stevens?

— To wciąż wielka niewiadoma. Może jest współnikiem Tobina, może kimś, kto go szantażuje, może szakalem czekającym, żeby zagarnąć skarb. A może po prostu facetem, który zawsze wygląda tak, jakby coś przeszkobał.

— Powinniśmy z nim porozmawiać.

— Zrobiłem to.

Beth uniosła brwi.

— Kiedy?

Opisałem jej swoją niezapowiedzianą wizytę w domu pana Stevensa w stanie Connecticut, nie wspominając o tym, że go znokautowałem.

— W najlepszym razie — zakończyłem — jego wina polega na tym, że nas oszukał i spiskował z Nashem i Fosterem.

— Może też być w to wplątany o wiele głębiej — stwierdziła. — Cóż... mam nadzieję, że trafimy na jakieś ślady tam, gdzie popełniono nowe morderstwa. To byłby przełom.

— Zgadza się. Tymczasem Tobin zwęszy, co się dzieje. Ma w kieszeni połowę tutejszych polityków i przyjaźni się z policjantami z Southold.

— Wyłączymy z tego Maksa.

— Róbcie to, co trzeba. Nie spłoszcie tylko Tobina, bo jeśli poczuje pismo nosem, znikną wszystkie dowody, do których ma dostęp.

— Na przykład skarb?

— Na przykład. Albo broń, z której popełniono morderstwa. Gdybym zabił dwie osoby z zarejestrowanego na mnie pistoletu i nagle pojawili się w mojej firmie policjanci, wyrzuciłbym spluwę do Atlantyku i oświadczył, że ją zgubiłem albo że została skradziona. Ogłoś, że znalazłaś jeden z pocisków — dodałem. — To powinno go wystraszyć, jeśli wciąż ma broń. Następnie weź go pod obserwację i sprawdź, czy nie próbuje się jej pozbyć.

Kiwnęła głową i spojrzała mi prosto w oczy.

— Chciałabym prowadzić tę sprawę razem z tobą. Co ty na to? — zapytała.

Wziąłem ją pod ramię, zaprowadziłem do kuchni i zdjąłem z widełek słuchawkę telefonu.

— Połącz się z jego biurem i sprawdź, czy tam jest — powie działem.

Beth zatelefonowała do informacji, dostała numer winiarni i wybrała go.

— Proszę z panem Tobinem. Co mam mu powiedzieć? — zapytała, czekając na połączenie.

— Podziękuj mu po prostu za uroczę przyjęcie.

— Mówi detektyw Penrose z policji hrabstwa Suffolk. Chciałabym mówić z panem Tobinem — oświadczyła i przez chwilę słuchała odpowiedzi. — Proszę mu tylko powtórzyć, że dziękuję za uroczę wieczór. — Znowu przez chwilę słuchała. — Czy mogłabym się z nim w jakiś sposób skontaktować? — zapytała, zerkając na

mnie. — Dziękują. Tak, to chyba dobry pomysł — stwierdziła i odłożyła słuchawkę. — Nie ma go i nie wiadomo, kiedy wróci i jak się z nim skontaktować — poinformowała mnie. — A poza tym zamykają winiarnię z powodu złej pogody.

— Dobrze. Zatelefonuj do niego do domu.

Wyjęła z torebki notes, znalazła w nim zastrzeżony numer Tobina i wystukała go.

— Czy dzwonię do niego do domu, żeby podziękować za uroczę przyjęcie? — zapytała.

— Zgubiłaś na trawniku złoty medalionik swojej babci.

— Jasne. Czy zastałam pana Tobina? A może panią Wells? Dziękuję, zadzwonię później. Nie, nie musi pani nic przekazywać... nie, proszę się nie bać. Powinna pani udać się do schronu... w takim razie proszę zatelefonować na policję albo po straż ogniową, oni przyjadą i zabiorą panią. Dobrze? Proszę to zaraz zrobić. — Beth odłożyła słuchawkę. — Gospośia — wyjaśniła. — Pochodzi ze wschodniej Europy. Nie lubi huraganów.

— Ja też za nimi nie przepadam. Gdzie jest pan Tobin?

— Nie ma go i nie wiadomo, gdzie jest. Pani Wells wyjechała na Manhattan i wróci, kiedy skończy się burza. Gdzie on się podziewa?

— Nie mam pojęcia. Ale wiemy, gdzie go nie ma.

— Swoją drogą byłoby lepiej, żebyś się stąd wyniósł — stwierdziła. — Ludziom, którzy mieszkają nad samą wodą, doradza się ewakuację.

— Meteorolodzy to urodzeni alarmiści — odparłem i w tej samej chwili niebo rozdarła błyskawica.

— Czasami mają rację — powiedziała.

— Właściwie i tak miałem jechać na Manhattan. Jutro spotkani się z ludźmi, którzy zadecydują o moim losie.

— W takim razie wyjedź już teraz. Na pewno się nie rozpozodzi.

W czasie gdy zastanawiałem się, co robić, wiatr porwał fotel z trawnika i na niebie pojawiła się kolejna błyskawica. Przypomniałem sobie, że miałem zatelefonować do Jacka Rosena z „Daily News”, ale i tak było już za późno, żeby zamieścić w jutrzejszym wydaniu artykuł na mój temat. Nie sądziłem zresztą, żeby ranny bohater wrócił do domu jutro lub pojutrze.

— Przejdźmy się — powiedziałem do Beth.

— Dokąd?

— Spróbujemy znaleźć Fredrica Tobina... i podziękować mu za uroczy wieczór.

# Rozdział 31

Lało jak z cebra, a wiatr huczał niczym przejeżdżający pociąg.

Znalazłem w szafie dwie żółte peleryny i przypiąłem kaburę z trzydziestkąósemką. Następnie musiałem pokonać potłjazd usłany połamanymi konarami i odpadkami. Uruchomiłem jeepa, wrzuciłem bieg i przejechałem po gałęziach.

— Ma napęd na cztery koła i wysokie na czternaście cali zawieszenie — pochwaliłem się Beth.

— Potrafi pływać jak amfibia?

— Wkrótce się przekonamy.

Klucząc wąskimi drogami nadmorskiej części Mattituck, przejeżdżałem przez kolejne konary i mijałem fruujące pokrywy pojemników na śmieci. W końcu trafiłem na blokujące szosę powalone drzewo.

— Od dzieciństwa nie byłem na wsi podczas huraganu — powiedziałem.

— To nie jest huragan, John — poinformowała mnie Beth.

— Na mnie sprawia wrażenie huraganu — oparłem, objeżdżając po czyjejs łące wielkie drzewo.

— Huragan ma prędkość co najmniej sześćdziesięciu pięciu węzłów. To tropikalna wichura.

Włączyła radio i tematem numer jeden był oczywiście Jasper.

„Przesuwa się na północno-północny wschód z szybkością około piętnastu mil na godzinę — oznajmił spiker. — Podmuchy wiatru sięgają sześćdziesięciu węzłów, czyli dla was, szczurów lądowych, około siedemdziesięciu mil na godzinę. Jeśli nie zmieni kierunku, dotrze do lądu na wysokości południowego wybrzeża Long Island około ósmej wieczorem. Wydane zostało ostrzeżenie dla małych

jednostek żeglujących po oceanie i cieśninie. Osobom wybierającym się w podróż zaleca się pozostanie w domu i...".

— Alarmista — mruknąłem, wyłączając radio.

— Mój dom stoi w głębi łądu, jeśli chciałbyś się potem gdzieś zatrzymać — powiedziała Beth. — Na Manhattan jedzie się stamtąd dwie godziny samochodem albo pociągiem. Możesz wyruszyć, kiedy minie najgorsza burza.

— Dziękuję.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu; w końcu dotarliśmy do Main Street, na której nie było gałęzi, ale którą płynęły potoki wody. Ruch był niewielki i zamknięto prawie wszystkie przydrożne lokale i sklepy. Niektóre miały zabite deskami drzwi i okna. Zobaczyłem przewrócony na bok wiejski stragan i słup, który runął na ziemię, pociągając za sobą druty elektryczne i telefoniczne.

— Nie sądzę, żeby to było dobre dla winorośli — stwierdziłem.

— To nie jest dobre dla niczego.

Po dwudziestu minutach wjechałem na wysypany żwirem parking Winiarni Tobina. Nie stał na nim żaden samochód, a na wystawionej tablicy widniał napis „Zamknięte”.

Spojrzałem w górę. Chociaż niebo było prawie czarne, ani w jednym oknie wieży nie paliło się światło.

Po obu stronach parkingu ciągnęły się winnice i deszcz smagał zawieszony na tyczkach pędy winorośli. Widziałem, że jeśli rozpetą się jeszcze większa burza, całe zbiory diabli wezmą. Przypomniałem sobie krótki wykład Tobina na temat zbawionego wpływu, jaki na winnice wywiera morski klimat — co jest prawdą, póki nie znajdują się na drodze huraganu.

— Jasper — mruknąłem.

— Tak się nazywa. — Beth rozejrzała się po parkingu. — Nie wydaje mi się, byśmy zastali Tobina — stwierdziła. — Nie widzę żadnych samochodów, a w winiarni jest ciemno. Jedźmy do jego domu.

— Zajrzyjmy najpierw do biura.

— John, winiarnia jest zamknięta.

— Zamknięta to względne określenie.

— Bynajmniej.

Podjechałem pod sam budynek, a potem skręciłem w prawo poza parking, na pośnięty trawą teren między winiarnią i winnicą. Na tyłach budynku stało między pustymi beczkami po winie kilka ciężarówek.

— Co chcesz zrobić? — zapytała Beth.

Podjechałem pod tylne drzwi przy samej wieży.

— Zobacz, czy są otwarte — poprosiłem. Spojrzała na mnie, jakby miała zamiar coś powiedzieć.

— Po prostu sprawdź, czy drzwi są otwarte. Zrób, o co proszą.

Wyskoczyła z jeepa, podbiegła do drzwi, nacisnęła klamkę, po czym obejrzała się, pokręciła głową i ruszyła z powrotem w stronę samochodu. Dodałem gazu i wjechałem jeepem w drzwi, które otworzyły się na oścież. Zgasilem silnik, wyskoczyłem na zewnątrz, złapałem Beth za ramię i wbiegłem z nią do środka wieży.

— Zwariowałeś?

— Z góry jest fajny widok.

Drzwi windy, o czym wiedziałem, otwierały się kluczem, ruszyłem więc po schodach. Beth chwyciła mnie za rękę.

— To się nazywa włamanie — oświadczyła. — Nie mówiąc już o takim drobiazgu jak naruszenie praw obywatelskich.

— To publiczny budynek.

— Jest zamknięty.

— Zastałem wyważone drzwi.

— John...

— Wracaj do jeepa. Poradzę sobie.

Zmierzyliśmy się wzrokiem. „Wiem, że jesteś wściekły, ale nie rób tego”, mówiły jej oczy.

Odwrociłem się i pobiegłem sam po schodach. Po drodze sprawdzałem wszystkie drzwi, ale były zamknięte. Na drugim piętrze usłyszałem za sobą kroki i wyciągnąłem swoją trzydziestkęósemkę. Stałem na skraju podestu i zobaczyłem Beth wyłaniającą się zza rogu.

— To moje wykroczenie — powiedziałem jej. — Nie potrzebuję współlnika.

— Drzwi były wyważone — odparła. — Podjęliśmy interwencję.

— To samo ci mówiłem.

Dalej ruszyliśmy razem.

Na trzecim piętrze, tam gdzie mieściła się dyrekcja, drzwi również były zamknięte. Nie oznaczało to wcale, że tam nikogo nie ma — takie drzwi przeciwpożarowe można zamknąć, ale i tak otwierają się od środka. Zacząłem w nie walić.

— Nie sądzę, żeby ktoś tam był, John...

— Taką mam nadzieję.

Wbiegłem na czwarte piętro, a ona w ślad za mną. Nacisnąłem klamkę, ale te drzwi także były zamknięte.

— To jego apartament? — zapytała Beth.



— Tak.

W szklanej gablocie na ścianie zawieszony był obowiązkowy strażacki topór do cięcia stali, a obok gaśnica. Zdjąłem gaśnicę z wieszaka, rozbiłem nią szybę i wziąłem do ręki topór. Brzęk tłuczonego szkła odbił się echem na klatce schodowej.

— Co ty wyprawiasz?! — zapytała, prawie krzyżąc.

Odepchnąłem ją i wałnąłem toporem w klamkę, która od razu odpadła. Zamek pozostał w drzwiach, ale kolejne uderzenie naruszyło jego obudowę i w końcu drzwi otworzyły się na oścież.

Kilka razy głęboko odetchnąłem. W lewym płucu czułem dziwny przeciąg. Miałem wrażenie, że otworzyłem coś, co bardzo długo się zasklepiało.

— Posłuchaj mnie, John...

— Cicho. Nasłuchuj, czy nikt nie idzie.

Wyciągnąłem broń spod peleryny i ona zrobiła to samo. Przez chwilę staliśmy bez ruchu, a potem zajrzałem przez drzwi, które właśnie otworzyłem. Widok na apartament zasłaniał mi japoński jedwabny parawan, który ukrywał stalowe drzwi przed delikatnymi oczami pana Tobina. W środku było cicho i ciemno.

W lewej ręce wciąż trzymałem topór. Cisnąłem go w jedwabny parawan, który przewrócił się, odsłaniając duży salon połączony z jadalnią.

— Nie możemy tam wchodzić — szepnęła Beth.

— Musimy tam wejść. Ktoś wyważył drzwi. Gdzieś tu są włą mywacze.

Hałas powinien zwrócić uwagę każdego, kto znajdował się w pobliżu, ale nic nie słyszałem. Domyślałem się, że wyważając drzwi na dole, włączyłem alarm, ale burza uaktywniła prawdopodobnie dziesiątki alarmów podłączonych do różnych centrali na całym North Fork. Tak czy owak, gdyby zjawili się gliniarze, jakoś byśmy sobie z nimi poradzili — w końcu sami byliśmy gliniarzami.

Trzymając spluwę w dwóch rękach i zataczając nią łuk od lewej strony do środka, wszedłem do salonu. Beth robiła to samo od prawej strony do środka.

— To nie jest dobry pomysł, John — stwierdziła. — Po prostu się uspokój. Wiem, że jesteś zdenerwowany, i nie winię cię o to, ale nie możesz tego zrobić. Musimy stąd wyjść i...

— Cicho — syknąłem. — Panie Tobin! Czy jest pan w domu? Ma pan gości — zawołałem, lecz nie doczekałem się odpowiedzi.

Wszedłem głębiej do salonu, który oświetlało tylko ciemne niebo

za wielkimi łukowatymi oknami i dwoma świetlikami osadzonymi w wysokim na dwanaście stóp suficie.

Apartament, jak można się było spodziewać, robił nielicze wrażenie — salon miał kształt półkola, zamkniętego od północy okrągłą ścianą. W drugiej, południowej połówce koła mieściła się otwarta kuchnia, którą częściowo widziałem, oraz sypialnia zajmująca jej południowo-zachodni wycinek. Drzwi do sypialni były otwarte i zajrzałem do środka. Wszystko wskazywało na to, że jesteśmy sami. Jeśli Tobin tam był, to krył się pod łóżkiem albo w szafie, srając w portki ze strachu.

Rozejrzałem się po salonie. W szarym świetle widziałem, że urządzone jest w nowoczesnym i lekkim stylu, dokładnie tak, jak powinno się urządzać salony na szczycie wieży. Na ścianach wisiały akwarele przedstawiające znane mi lokalne widoki — latarnię na Plum Island, latarnię w Horton Point, trochę wiejskich pejzaży, kilka starych drewnianych domów, a nawet Gospodę Generała Wayne'a.

— Miła chata — stwierdziłem.

— Bardzo miła.

— Facet może się tu nieźle zabawiać z panienkami. Pani

Penrose nie zareagowała na moją uwagę. Podszedłem do okna wychodzącego na północ i przez chwilę obserwowałem szalejącą burzę. Część winorośli leżała na ziemi; niezbrane jeszcze grona były już na pewno do niczego i domyślałem się, że porwie je wiatr.

— Włamywaczy już tu nie ma — oświadczyła Beth, trzymając się mojego scenariusza. — Powinniśmy wyjść i napisać w raporcie, że odkryliśmy ślady włamania.

— Świetny pomysł. Skontroluję tylko, czy sprawcy na pewno uciekli — powiedziałem i dałem jej kluczyki. — Posiedź w moim jeepie. Zaraz wrócę.

— Przetawię samochód na parking — odparła po krótkim wahaniu. — Będę czekała piętnaście minut. Nie dłużej.

— Okej.

Odwróciłem się od niej i wszedłem do sypialni.

W miejscu, gdzie wybraniec bogów poił kobiety szampanem, było więcej pluszów i miękkości. Przy łóżku rzeczywiście stało w specjalnym stojaku wiaderko na szampana. Skłamałbym twierdząc, że nie potrafiłem sobie wyobrazić Emmy leżącej tutaj z panem Wino. Ale to i tak nie miało już znaczenia. Emma nie żyła, a on wkrótce miał do niej dołączyć.

Po lewej znajdowała się wielka łazienka z wielogłowicowym prysznicem, jacuzzi i tak dalej. Życie pieściło Fredrica Tobina po głowie, póki nie zaczął wydawać więcej, niż zarabiał. Uświadomiłem sobie, że gdyby nie transfuzja złota, ta burza i tak kompletnie by go zrujnowała.

W sypialni było biurko, które dokładnie przetrząsnąłem, nie znalazłem jednak nic ciekawego ani obciążającego.

Przez następne dziesięć minut buszowałem po apartamencie. W salonie stała zamknięta szafa i rozwaliłem jej drzwi toporem, znalazłem w niej jednak tylko srebrną zastawę, trochę obrusów i kryształów, przeznaczoną do wina lodówkę ze szklanymi drzwiczkami, pojemnik na cygara i inne rzeczy, bez których nie sposób wyobrazić sobie miłego życia, w tym sporą kolekcję kaset porno.

Przewróciłem do góry nogami szafę łącznie z lodówką, ale nic nie znalazłem.

Szukając czegokolwiek chodziłem po salonie i rozładowywałem frustrację, rozwalając różne rzeczy toporem.

We wbudowanej w ścianie szafce stał kombajn audio-wideo, składający się między innymi z telewizora, magnetowidu i kompaktu. Było tam też kilka półek z książkami. Rozbiłem sprzęt i wywaliłem książki na podłogę, każdą przedtem dokładnie wytrząsając.

A potem coś zwróciło moją uwagę. W złotej ramce formatu średniej wielkości książki znajdował się stary pergamin. Wziąłem go do ręki i obróciłem do okna. Była na nim wyrysowana wyblakłym tuszem mapa z jakimiś napisami pod spodem. Zabrałem ją do kuchni i położyłem na blacie obok jednego z tych wsadzanych do kontaktów awaryjnych światełek, które rzucało słabą poświatę. Zdjąłem ramę i wyjąłem postrzępiony na brzegach pergamin. Widziałem teraz, co przedstawiała mapa: odcinek wybrzeża z niewielką zatoczką. Napis trudno było odcyfrować i żałowałem, że nie może mi pomóc Emma.

Z początku sądziłem, że to fragment Plum Island, po chwili jednak przypomniałem sobie, że nie ma na niej żadnych zatoczek oprócz portu, który znacznie różnił się od tego, co widziałem na mapie.

Pomyślałem, że to może być Mattituck Inlet, gdzie znajdowały się Drzewa Kapitana Kidda, lecz linia brzegu nie była podobna do tego, co widziałem na własne oczy i w swoim atlasie drogowym. Istniała jeszcze trzecia możliwość: Rafa Kapitana Kidda, ale i w tym wypadku nie dostrzegałem podobieństwa między znanym mi wy-

brzeżem, które było bardzo proste, a linią brzegową na mapie, krętą i przedstawiającą zatokę.

W końcu uznałem, że pergamin jest zwykłą starą mapą, którą Tobin oprawił w ramkę dla ozdoby. Prawda? Nieprawda. Gapiąc się w zapisany wyblakłym tuszem napis, próbowałem odczytać jakieś słowa... I wreszcie dostrzegłem nazwę, która była znajoma: Founders Landing.

Mądrzejszy o te dwa słowa zorientowałem się, że mapa istotnie przedstawia ćwierćmilowy odcinek wybrzeża obejmujący Founders Landing, bezimienną zatoczkę i to, co dzisiaj stanowiło posiadłość Fredrica Tobina.

Na dole znajdowały się najwyraźniej jakieś wskazówki; widziałem kilka cyfr i udało mi się odczytać słowo „dąb”.

Nagle usłyszałem dobiegający z salonu hałas i wyciągnąłem pistolet.

— John?

— Jestem tutaj.

Beth weszła do kuchni.

— Myślałem, że odjechałaś — mruknąłem.

— Przyjechała policja z Southold. Zadzwoił do nich strażnik. Powiedziałam, że kontrolujemy sytuację.

— Dzięki.

— Salon jest kompletnie zdemolowany — stwierdziła.

— Huragan John.

— Ulżyło ci?

— Nie.

— Co tam masz?

— Mapę z zaznaczonym skarbem. Stała na widoku w tej złotej ramce.

Zerknęła na nią okiem.

— To Plum Island.

— Nie. Mapa Plum Island i wszelkie inne dokumenty, które naprowadziły ich na ślad skarbu, są już od dawna zniszczone. To mapa Founders Landing i terenu, który należy teraz do Tobina.

— O czym to świadczy?

— Jestem pewien, że to fałszykat. W trakcie moich studiów archiwistycznych dowiedziałem się, że można kupić autentyczny czysty pergamin liczący sobie sto, dwieście i trzysta lat. A potem poszukać w Nowym Jorku ludzi, którzy potrafią zmieszać węgiel z oliwą i czymś tam jeszcze i napisać na nim wszystko, co sobie zażycysz.

Beth pokiwała głową.

— Tobin kazał sporządzić mapę pokazującą, że na terenie jego posiadłości znajduje się zakopany skarb?

— Tak. Jeśli się uważnie przyjrzyysz, dostrzeżesz, że ten tekst na dole to wskazówki. A tutaj... widzisz ten znak?

Beth wzięła pergamin do ręki.

— Tak, widzę — odparła i odłożyła go z powrotem. — Nigdy nie zamierzał pozwolić Gordonom, żeby zakopali skarb na wzgórzu.

— Nie. Miał zamiar odebrać skarb, zabić ich i zakopać go na terenie własnej posiadłości.

— Myślisz, że już go tam zakopał?

— Sprawdźmy to.

— Kolejne włamanie?

— Gorzej. Jeśli zastanę go w domu, połamię mu nogi tym toporem, a potem zagrozę, że zrobię mu poważną krzywdę, jeśli nie zacznie mówić. Mogę cię gdzieś podrzucić — dodałem.

— Jadę z tobą. Potrzebujesz opieki, a poza tym muszę poszukać na trawniku medalionu babci.

Schowałem pergamin do kieszeni koszuli i zabrałem topór. Idąc do wyjścia, wziąłem mosiężną lampę i wybiłem nią szybę w jednym z wysokich okien. Podmuch wiatru porwał kilka czasopism ze stolika do kawy.

— Wieje już z szybkością sześćdziesięciu pięciu węzłów? — zapytałem.

— Nie, ale niedługo tak będzie.

## Rozdział 32

Jazda z Tobin Vineyards do Founders Landing, zajmująca normalnie około dwudziestu minut, trwała z powodu burzy całą godzinę. Drogi były usłane gałęziami, a deszcz tak zalewał przednią szybę, że musiałem wlec się z zapalonymi reflektorami, mimo że nie minęła jeszcze piąta po południu. Podmuchy wiatru spychały co rusz jeepa z drogi.

Beth włączyła radio. Facet od pogody twierdził, że wichura nie kwalifikuje się jeszcze do miana huraganu, ale mało jej brakuje. Jasper wciąż parł na północ z szybkością piętnastu mil na godzinę, a centrum niżu znajdowało się około sześćdziesięciu mil od brzegu Long Island. Sztorm nabierał siły na otwartym Atlantyku.

— Ci ludzie próbują wszystkich nastraszyć — skomentowałem.

— Mój ojciec powiedział, że huragan we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku kompletnie zniszczył duże obszary Long Island.

— Mój ojciec też mi o nim opowiadał. Starsi ludzie mają skłonność do przesady.

— Jeśli Tobin będzie w domu, ja się tym zajmę — stwierdziła Beth, zmieniając temat.

— Proszę bardzo.

— Mówię serio. Tym razem rozegrasz to na mój sposób, John. Nie zrobimy niczego, co naraziłoby na szwank dobro śledztwa.

— Już to zrobiliśmy. I nie przejmuj się tak bardzo dobrem śledztwa.

Nic na to nie odpowiedziała. Próbowałem połączyć się z moją automatyczną sekretarką, ale telefon milczał.

— Nie ma u mnie prądu — poinformowałem Beth.

- Prawdopodobnie nie ma go na całym obszarze.
- To niesamowite. Zaczynam lubić huragany.
- To tropikalna wichura.
- Racja. Ją też lubię.

Uświadomiłem sobie, że nie wrócę już dziś wieczorem na Manhattan, nie stawię się na jutrzejsze spotkanie i znajdę się w związku z tym po uszy w gównie. Zdałem sobie sprawę, że wcale się tym nie przejmuję.

Pomyślałem ponownie o Emmie i przyszło mi do głowy, że gdyby nie zginęła, moje życie stałoby się szczęśliwsze. Mimo całego gładzenia o tym co lepsze — życie na wsi czy w mieście — naprawdę roilem, że osiadę tu z Emmą Whitestone i będę łowił ryby, pływać, kolekcjonować nocniki i robić inne rzeczy, którymi zajmują się tutejsi mieszkańcy. Uzmysłowiłem sobie też, że nic mnie już nie łączy z North Fork — ciotka June umarła, wujek Harry wynajmował dom, Max i ja nigdy nie naprawimy tego, co się między nami popsło, Gordonowie nie żyli, a teraz odeszła również Emma. W dodatku także na Manhattanie sprawy nie przedstawiały się dla mnie zbyt różowo. Zerknąłem na Beth Penrose.

Wyczuła to i spojrzała na mnie. Nasze oczy się spotkały.

- Niebo jest bardzo piękne po przejściu burzy — powiedziała. Kiwnąłem głową.
- Dziękuję.

Wokół Founders Landing rosło wiele starych drzew i niestety duże ich fragmenty leżały teraz na drodze i polach. Objężdżanie ich w drodze do posiadłości Tobina zajęło mi kolejny kwadrans.

Brama z kutego żelaza była zamknięta.

- Sprawdzę, czy uda mi się ją otworzyć — zasugerowała Beth, ale ze względu na brak czasu rozwalilem bramę jeepem.
- Może postarałbyś się obniżyć trochę poziom adrenaliny — skomentowała.

— Cały czas się staram.

Jadąc długą aleją zobaczyłem, że na trawniku, gdzie nie tak dawno odbywało się nasze przyjęcie, leżą połamane gałęzie, kosze na śmieci, ogrodowe meble i wszelkiego rodzaju odpadki.

Wody zatoki były wzburzone. Wielkie fale przewalały się przez kamienistą plażę, docierając aż do trawnika. Przystań Tobina jakoś się trzymała, ale ze ścian hangaru odpadło kilka desek.

- Ciekawe — mruknąłem.
- Co takiego?
- Nie ma chris-crafta.
- Musi stać gdzieś w suchym doku — stwierdziła Beth. — Nikt nie wy pływałby w taką pogodę.

— To prawda.

Nie widziałem również żadnych samochodów na podjeździe. W domu było kompletnie ciemno. Podjechałem do garażu, który mieścił się w oddzielnym budynku na tyłach rezydencji, po czym skręciłem ostro w prawo i rozwalilem jego drzwi na kawałki. Przed sobą zobaczyłem przywalone fragmentem drzwi białe porsche, a w drugiej części garażu fordą bronco.

— Są tu dwa samochody — poinformowałem Beth. — Skurwiel może być w domu.

— Pozwól, że ja się tym zajmę.

— Oczywiście.

Wyczołowałem jeepa, objechałem dom od tyłu i zatrzymałem się na patio pomiędzy poprzewracanymi przez wiatr meblami.

Wysiadłem, trzymając w ręku strażacki topór. Beth zadzwoniła do drzwi. Staliśmy przez jakiś czas pod markizą, ale nikt nie kwapił się nam otworzyć, w związku z czym zrobiłem to sam toporem.

— John, na litość boską, uspokój się — powiedziała Beth.

Weszliśmy do kuchni. Nie było prądu i wokół panowała cisza i ciemność.

— Kryj te drzwi — poprosiłem Beth, po czym wyszedłem do holu. — Panie Tobin! — zawołałem w górę schodów. Nikt nie odpowiadał. — Jesteś w domu, Fredric? Hej, przyjacielu! — krzyknąłem. — Mam zamiar odrąbać ci łeb.

Nagle usłyszałem nad głową skrzypienie podłogi. Rzuciłem topór, wyciągnąłem trzydziestkęósemkę i pobiegłem na górę, przeskakując po cztery stopnie naraz. Zawróciwszy przy słupku, skierowałem się w stronę, skąd usłyszałem skrzypnięcie.

— Ręce do góry! — krzyknąłem. — Policja! Policja!

Usłyszałem hałas dobiegający z jednej z sypialni i wpadłem tam akurat na czas, żeby zobaczyć zamykające się drzwi szafy. Otworzyłem je i stojąca w środku kobieta wrzasnęła ze strachu. Miała koło pięćdziesiątki i była prawdopodobnie gosponią.

— Gdzie jest pan Tobin? — zapytałem.

Kobieta zakryła twarz rękoma.

Do sypialni weszła tymczasem Beth. Minęła mnie i wzięła gosponię za ramię.

— Wszystko w porządku. Jesteśmy z policji — wyjaśniła.

Wyprowadziła ją z szafy i posadziła na łóżku.

Po minucie miłej pogawędki dowiedzieliśmy się, że pani ma na imię Eva, nie mówi dobrze po angielsku i że pana Tobina nie ma w domu.



— Jego samochody są w garażu — powiedziała Beth.  
— Pan przyjdź do domu, a potem wyjdź.  
— Wyjdź dokąd?  
— Pan wziąć łódź.  
— Łódź?  
— Tak.  
— Kiedy? Jak dawno temu?  
— Niedawno — odparła Eva.  
— Jest pani pewna? — zapytała Beth.  
— Tak. Ja na niego patrzeć. — Eva wskazała okno. — Łódź odpłynąć tam.  
— Był sam?  
— Tak.  
— Niech pani podejdzie do okna — poleciłem.  
Eva wstała z łóżka i zbliżyła się do okna.  
— Ta łódź... w jakim kierunku popłynęła? W którą stronę? — zapytałem, zataczając krąg ręką.  
Eva wskazała na lewo.  
— Tam.  
Spojrzałem na zatokę. Jacht popłynął na wschód, ale na wodzie widziałem tylko fale.  
— Dlaczego wypłynął na morze? — zapytała Beth.  
— Może chce wyrzucić broń, z której zabił — odparłem.  
— Moim zdaniem mógł sobie wybrać lepszy dzień — stwierdziła. — Kiedy wypłynął? — zwróciła się do Ewy. — Dziesięć minut temu? Dwadzieścia?  
— Może dziesięć. Może więcej.  
— Dokąd popłynął?  
Eva wzruszyła ramionami.  
— Pan mówić, że dziś wróci. Mówić, żeby tu zostać. Żeby się nie bać. Ale ja się bać.  
— To tylko tropikalna wichura — poinformowałem ją.  
Beth wzięła Ewę za rękę, wyszła z nią z sypialni i zaprowadziła na dół, do kuchni. Ja ruszyłem za nimi.  
— Musi pani zostać na parterze — powiedziała Beth. — Niech pani się trzyma z daleka od okien. Rozumie pani?  
Eva pokiwała głową.  
— Niech pani poszuka świec, zapalek i latarki. Jeśli pani się boi, może pani zejść do piwnicy. Rozumie pani?  
Eva ponownie pokiwała głową i podeszła do kredensu, żeby wyjąć świece.

— Dokąd on popłynął w taką pogodą? — zapytała mnie Beth po krótkim namyśle.

— Powinien być w winiarni i robić wszystko, żeby ratować swoją własność. Ale na pewno nie popłynął tam łodzią. — Widziała pani, jak idzie do łodzi? — zapytałem Evę. — Rozumie pani?

— Tak. Ja widzieć, jak pan iść do łodzi.

— Czy coś niósł? — próbowałem ustalić, uciekając się do małej pantomimy. — Coś w rękach?

— Tak.

— Co?

Eva najwyraźniej nie chciała odpowiedzieć na moje pytanie.

— Co niósł? — przyszła mi z pomocą Beth.

— Broń.

— Broń?

— Tak. Duża broń. Długa broń.

— Strzelbę? — zapytała Beth, starając się pokazać, jak wygląda strzelba.

— Tak. — Eva pokazała nam dwa palce. — Dwa razy strzelba.

Beth i ja spojrzeliśmy na siebie.

— I do kopania — dodała Eva. Teraz ona wykonała małą pantomimę, udając, że kopie w ziemi. — Do kopania.

— Niósł łopatę?

— Tak. Łopata. W garażu. Przez chwilę się zastanawiałem.

— A pudło? — zapytałem. — Niósł może pudło? Albo torbę?

Eva wzruszyła ramionami.

— Co o tym sądzisz? — zapytała Beth.

— Cóż... na pewno nie sądzę, żeby Fredric Tobin wybrał się na ryby z dwiema strzelbami i łopatą — stwierdziłem. — Klucze. Gdzie są klucze? — zwróciłem się do gosposi.

Eva zaprowadziła nas do kuchennego telefonu, obok którego wisiała na ścianie szafka z kluczami. Pedantyczny aż do bólu pan Tobin wszystkie je oznaczył. Zauważyłem, że zniknęły kluczyki do chris-crafta, ale klucze do motorówki wisiały na swoim miejscu.

— Na dole. Na dole piwnica — powiedziała nagle Eva, kiedy obmyślałem swój następny nieprzemyślany krok.

Oboje spojrzeliśmy na nią.

— Pan schodzić piwnica — oświadczyła, pokazując drzwi po drugiej stronie kuchni. — Cqś na dole.

Beth i ja spojrzeliśmy na siebie.

Pan Tobin nie był najwyraźniej Pracodawcą Roku i Eva cieszyła

się, mogąc mu trochę zaszkodzić — chociaż dostrzegąłem w jej oczach strach i wiedziałem, że boi się nie tylko huraganu. Nie wątpiłem, że Tobin też by ją zamordował, gdyby nie kłopot, jaki miałyby ze zwłokami na terenie własnej posiadłości.

Podszedłem do drzwi i nacisnąłem klamkę, ale były zamknięte na klucz. Podniosłem topór i przyjąłem pozycję bojową.

— Zaczekaj! — zawołała Beth. — Musimy mieć jakiś pretekst, żeby tam wejść.

— Czy udziela nam pani zgody na przeszukanie? — zapytałem Evę.

— Proszę?

— Dziękuję.

Zamachnąłem się toporem, wbilem ostrze w drewno przy klamce i otworzyłem drzwi, odsłaniając wąskie ciemne schody prowadzące do piwnicy.

— Możesz w każdej chwili odejść — poinformowałem Beth.

Pani Lege Artis doznała chyba objawienia, zdając sobie sprawę, że wdepnęliśmy w to oboje tak głęboko, iż możemy teraz złamać każde dowolne prawo, którego jeszcze nie złamaliśmy. Wzięła latarkę od Ewy i podała mi ją.

— Ty pierwszy, bohaterze — powiedziała. — Będę cię kryć.

— Dobrze — odparłem i zacząłem schodzić po schodach, trzymając w jednej ręce latarkę, w drugiej topór. Beth wyciągnęła swojego glocka kaliber dziewięć milimetrów i ruszyła za mną.

Piwnica była bardzo stara i miała nie więcej niż siedem stóp wysokości. Na pierwszy rzut oka niewiele się w niej znajdowało; była zbyt wilgotna, żeby coś w niej przechowywać, i zbyt ponura nawet na pralnię. Nie widziałem niczego poza piecem i termą i nie miałem pojęcia, o co chodziło Evie.

A potem promień latarki zatrzymał się na długiej ceglanej ścianie po drugiej stronie i podeszliśmy bliżej.

Ściana wzniesiona z połączonych zaprawą cegieł była o wiele nowsza od kamiennych fundamentów i dzieliła piwnicę na dwie części, sięgając na górze aż po stare dębowe belki.

W samym jej środku znajdowały się bardzo eleganckie rzeźbione dębowe drzwi. W świetle latarki ukazała się zawieszona na nich mosiężna tabliczka z napisem „Prywatna Piwniczka Jego Lordowskiej Mości”.

Ponieważ Jego Lordowska Mość nie miał za grosz poczucia humoru, doszedłem do wniosku, że tabliczkę dostał w prezencie od jakiejś wielbicielki, może nawet od Emmy.

— Czy powinniśmy tam wejść? — zapytała szeptem Beth.

— Tylko jeśli drzwi nie są zamknięte na klucz. Regulamin przeszukania i zatrzymania — odparłem. Podałem jej latarkę i nacisnąłem masywną mosiężną klamkę. Bez skutku. Nad klamką zauważyłem mosiężną dziurkę od klucza. — Nie są zamknięte, po prostu się zacięły — oznajmiłem i wałnąłem toporem w dziurkę od klucza. Drewno rozszczępiło się, ale drzwi trzymały. Ustały dopiero po kilku uderzeniach.

Kiedy się otwierały, Beth zgasiła latarkę i stanęliśmy po obu stronach framugi, odwróćmy plecami do ściany, z wyciągniętymi pistoletami.

— Policja! — zawołałem. — Wychodzić z rękoma do góry!

Żadnej odpowiedzi.

Cisnąłem do środka topór, który wylądował na podłodze z metalicznym brzękiem. Nikt w niego nie strzelił.

— Idź pierwsza — powiedziałem do Beth. — Mnie postrzelili już raz w tym roku.

— Dzięki — odparła, gotując się do skoku. — Idę na prawo.

Skoczyła szybko do środka, ja za nią. Skręciłem w lewo i oboje staliśmy jakiś czas bez ruchu, trzymając gotowe do strzału pistolety. Nic nie widziałem, ale czułem, że jest tutaj chłodniej i chyba bardziej sucho niż w drugiej części piwnicy.

— Policja! — zawołałem. — Ręce do góry!

Czekaliśmy kolejne pół minuty, a potem Beth włączyła latarkę. Snop światła padł na stojaki z winem. Powoli omiotła nim całe pomieszczenie. Pośrodku zobaczyłem stół, na którym stały dwa kandelabry i kilka świeczników. Obok leżały zapalki. Zapaliłem około dziesięciu świeczek, które zalały piwnicę migotliwym blaskiem i wprawiły w taniec butelki.

Zgodnie z tym, czego można się było spodziewać w składzie win, wszędzie stały drewniane stojaki. Były tam również pootwierane i zamknięte drewniane skrzynki oraz kartony z winem oraz sześć beczulek zaopatrzonych w krany. Na ścianach za osłoną z pleksiglasu zamontowano agregaty chłodnicze. Sufit obity był cedrowymi deskami, a surową kamienną podłogę zalano betonem i wyłożono gładkimi płytkami.

— Moje dwie butelki wina trzymam w kuchennym kredensie — powiedziałem.

Beth wzięła ode mnie latarkę i przyjrzała się dokładnie butelkom na jednym ze stojaków.

— To markowe francuskie wina — stwierdziła.

— Butelki z własnym sikaczem trzymaj pewnie w garażu — zauważyłem.

Oświetliła latarką zewnętrzną ścianę, przy której stało kilkadziesiąt kartonów.

— Jest tu trochę jego produktów. A na bezułkach są nalepki z nazwą jego wina.

— Rzeczywiście.

Myszkując po piwnicy, zauważyliśmy serwantkę, w której znajdowały się kieliszki, korkociągi, serwetki i tym podobne rzeczy. W kilku miejscach wisiały termometry, wszystkie wskazujące mniej więcej dwanaście stopni.

— O co mogło chodzić Evie? — zapytałem w końcu.

Beth wzruszyła ramionami.

Przyjrzałem jej się w świetle świec, a ona spojrzała na mnie.

— Może powinniśmy poszukać między tymi skrzynkami i kartonami — powiedziała.

— Może powinniśmy.

Zaczęliśmy przesuwać drewniane skrzynki i kartony. Kilka z nich otworzyliśmy, ale w środku było tylko wino.

— Czego szukamy? — zapytała Beth.

— Nie wiem. Na pewno nie wina.

W kącie, gdzie stykały się dwie zewnętrzne ściany, stało kilka kartonów, wszystkie z nalepkami „Jesiennego złota”. Zacząłem podnosić je i rzucać w przejście między dwoma stojakami. Piwnicę wypełnił brzęk tłuczonego szkła i zapach wina.

— Nie musisz niszczyć dobrego wina — upomniała mnie Beth.

— Spokojnie. Podawaj mi te kartony.

— Odsuń się — odparłem, ignorując jej dobre rady.

Odrzuciłem na bok dwa ostatnie kartony i w samym rogu zobaczyłem między pudłami coś, co nie było winem. Dokładnie rzecz biorąc, aluminiowy pojemnik. Wpatrywałem się weń w świetle świec.

Beth podeszła bliżej i oświetliła go latarką.

— To jest rzecz, o której mówiłeś? — zapytała. — Aluminiowy pojemnik z łodzi Gordonów?

— Na to wygląda. Ale takich pojemników są tysiące i jeśli nie ma na nim odcisków palców, a jestem raczej przekonany, że nie ma, nigdy nie dowiemy się na pewno. Moim zdaniem jednak to chyba ten pojemnik, w którym wszyscy spodziewali się znaleźć suchy lód i węgla.

— Niewykluczone, że tam się znajdują. Nie do końca wierzę w tę historyjkę o pirackim skarbie.

— Cóż, mam nadzieję, że technicy zdołają zdjąć jakieś odciski z aluminium — oznajmiłem, ruszając ku drzwiom.

— Zaczekaj! Nie zamierzasz go...  
— Otworzyć? Zwariowałaś? I zniszczyć dowody rzeczowe? Nie mamy nawet prawa tu przebywać. Nie mamy nakazu...  
— Daruj to sobie!  
— Co mam sobie darować?  
— Otwórz ten cholerny pojemnik... albo nie, ja sama go otworzę. Potrzymaj to. — Wręczyła mi latarkę i ukucnęła przy pojemniku wsuniętym między dwa kartony. — Daj mi chusteczkę albo coś podobnego.

Podąłem jej chusteczkę i owinąwszy nią palce, otworzyła zatrzask i podniosła w górę wieko.

Przez cały czas trzymałem latarkę wycelowaną w pojemnik. Spodziewaliśmy się chyba zobaczyć złoto i drogie kamienie, ale pierwszą rzeczą, którą ujrzeliśmy, nim wieko do końca się otworzyło, była trupia czaszka. Beth wydała z siebie stłumiony okrzyk, odskoczyła do tyłu i wieko zatrzasknęło się z powrotem. Stojąc kilka stóp od pojemnika, łapała kurczowo oddech. Wskazała ręką wieko, ale przez sekundę nie była w stanie się odezwać.

— Widziałeś to? — zapytała w końcu.

— Tak. Facet nie żyje.

— Ale dlaczego...? Co to...?

— Chusteczka — powiedziałem, kucając przy pojemniku.

Dała mi ją i otworzyłem wieko. W świetle latarki zobaczyłem, że czaszka leży pośród innych kości. W oczodołach tkwiły pokryte patyną miedziane monety.

Beth przysunęła się bliżej i położyła mi rękę na ramieniu, dla równowagi lub szukając otuchy. Po chwili zdołała się opanować.

— To fragment ludzkiego szkieletu — stwierdziła. — Szkieletu dziecka.

— Nie, to nieduży dorosły. Ludzie byli wtedy mniejsi. Widziałeś kiedyś siedemnastowieczne łóżko? Raz w takim spałem.

— Mój Boże... Dlaczego tu leży *szkielet*? Co tam jest jeszcze?

Wsadziłem rękę do pojemnika i wyciągnąłem coś nieprzyjemnego w dotyku. Przyjrzałem się temu w świetle latarki.

— Spróchniałe drewno.

Zobaczyłem teraz, że pod kośćmi leżą kawałki spróchniałego drewna, znalazłem też pokryte śniedzią okucia, kilka zardzewiałych gwoździ i strzęp zgniętej tkaniny.

Kości nie były białe, lecz czerwonawobrazowe i widziałem, że wciąż przylega do nich glina, co świadczyło o tym, że zwłoki nie zostały pogrzebane w trumnie, ale leżały długo w ziemi.

Grzebiąc dalej w pojemniku, znalazłem zardzewiałą żelazną kłódkę oraz cztery złote monety, które oddałem Beth. Następnie wstałem i wytarłem ręce w chusteczkę.

— Oto skarb kapitana Kidda — oznajmiłem.

Beth spojrzała na cztery złote monety leżące w jej dłoni.

— To?

— Część skarbu. Widzę tutaj fragmenty drewnianej skrzyni, kawałki wieka, które jak przypuszczam, zostało wyważone. Skrzynię owinięto w tę przegniłą ceratę albo płótno, żeby zabezpieczyć ją przed wilgocią na rok albo dwa, lecz nie na trzysta lat.

— A to kto? — zapytała, wskazując czaszkę.

— Domyślam się, że to strażnik skarbu. Czasami mordowano i zostawiano na wiewku skrzyni zwłoki jakiegoś skazańca, tubylca, niewolnika lub innego nieszczęśnika. W tamtych czasach wierzono, że duch zabitego nie zazna spokoju i będzie odstraszał każdego, kto próbuje odkopać jego grób.

— Skąd o tym wiesz?

— Przeczytałem w książce. A jeśli ktoś nie był przesądny — dodałem — i zobaczył zakopujących coś ludzi albo świeżą ziemię, kopiąc w tym miejscu, odkrywał zwłoki i dochodził do wniosku, że to tylko grób. Sprytne, nie?

— Chyba tak. Mnie powstrzymałoby to od dalszego kopania.

Staliśmy przez kilka chwil w piwnicy, zatopieni w rozmyśleniach. Zawartość aluminiowego pojemnika nie pachniała zbyt miło, pochyliłem się więc i zamknąłem wieko.

— Przypuszczam, że wszystko to miało zostać zaprezentowane w odpowiednim czasie i miejscu, razem ze złotem i klejnotami.

— Ale gdzie jest skarb? — zapytała Beth, wpatrując się w cztery złote monety.

— Gdyby kości mogły mówić, na pewno powiedziałyby nam ten nieboszczyk.

— Dlaczego ma monety w oczach?

— To ma coś wspólnego z jakimś przesądem.

— Cóż, miałaś rację — stwierdziła, spoglądając na mnie. — Gratuluję ci wspaniałej detektywistycznej roboty.

— Dziękuję — odparłem. — Chodźmy zaczerpnąć świeżego powietrza.

## Rozdział 33

Weszliśmy na górę i zobaczyłem, że Evy nie ma w kuchni.

— Znaleźliśmy chyba dosyć, żeby załatwić nakaz przeszukania — oświadczyła Beth.

— Bynajmniej. To, co odkryliśmy, wiąże się z morderstwami tylko w pośredni sposób. A i to pod warunkiem, że zgodzisz się z moją linią rozumowania. Trzej potencjalni świadkowie nie żyją — przypomniałem jej.

— No dobrze... Ale mamy tutaj ludzkie szczątki. To zawsze coś.

— To prawda. Te kości warte są telefonu. Nie wspominaj tylko, że mogą mieć trzysta lat.

Beth zdjęła z widełek słuchawkę i przystawiła ją do ucha.

— Nie działa.

— Spróbuj z mojej komórki — powiedziałem, dając jej kluczyki od samochodu.

Wyszła tylnymi drzwiami i wskoczyła do jeepa. Widziałem, jak wystukuje numer i z kimś rozmawia.

Czekając na nią, przespacerowałem się po parterze. Meble sprawiały wrażenie prawdziwych antyków, ale mogły być również udanymi kopiami. Utrzymane w angielskim rustykalnym stylu, pochodziły chyba z połowy osiemnastego wieku. Fredric Tobin wiedział, na co wydawać pieniądze. Stworzył wokół siebie cały wysublimowany świat ziemskich rozkoszy, który pasowałby bardziej do Hamptons aniżeli do North Fork, szczyłącego się prostymi amerykańskimi cnotami i gustem. Niewątpliwie Tobin lepiej czułby się w Bordeaux albo choćby w Hamptons, mieszkając obok Marthy Stewart i doskonaląc z nią przepisy na nadziewane języki kolibrów; na razie jednak, jak większość ludzi, musiał mieszkać blisko swego



miejsca pracy, tam, gdzie tłocząc wino, zarabiał na chleb. W salonie stała przepiękna rzeźbiona serwantka z szybkami z giętego i rźniętego szkła, wypełniona bezcennymi na pierwszy rzut oka przedmiotami. Pehnięta przeze mnie, przewróciła się z głośnym hukiem, po którym nastąpił przypominający dzwoneczki brzęk szkła. Uwielbiam ten dźwięk. Moi przodkowie musieli być Wandalami, Wizygotami albo kimś podobnym.

Do salonu przylegał niewielki gabinet. Przetrzęsnałem stojące tam biurko jego lordowskiej mości, ale trzymał w nim bardzo niewiele. Trafiłem na kilka oprawionych fotografii; jedną Sondry Wells i drugą, na której uwiecznił swoją jedyną prawdziwą miłość — samego siebie na mostku jachtu.

Znalazłem notes z adresami i poszukałem Gordonów. Ich nazwisko było wpisane, ale przekreślone. Imię Emmy również było przekreślone równą linią. Zważywszy na to, że zamordował ją tej nocy nad ranem i nie mówiono o tym jeszcze w wiadomościach, świadczyło to o wyjątkowo chorym i pedantycznym umyśle. Umyśle, który czasami obraca się przeciwko temu, kto go ma.

W gabinecie był kominek, a nad nim uchwyty na dwie strzelby, których brakowało. Eva okazała się wiarygodnym świadkiem.

Wróciłem do kuchni i wyjrzałem przez okno. Zatoka była wzburzona, jak mówią starzy wodniacy, lecz nie wpadła jeszcze w furję. Mimo to nie potrafiłem sobie wyobrazić, co skłoniło Fredrica Tobina do wypłynięcia w taką pogodę. Choć może i potrafiłem. Musiałem pogimnastykować trochę umysł.

Beth wróciła w pelerynie ociekającej wodą po krótkim biegu z jeepa do domu.

— Mamy jedną ekipę z dochodzeniówki w domu Murphych i drugą... na miejscu drugiej zbrodni — powiedziała, wręczając mi klucze. — Nie kieruję już śledztwem w sprawie Gordonów.

— Fatalnie. Ale nie przejmuj się. I tak już ją rozwiązałaś.

— To ty ją rozwiązałaś.

— Ale ty musisz doprowadzić ją do końca. Wcale ci nie zazdroszczę. Tobin może cię wyrolować, Beth, jeśli nie będziesz uważała na to, co robisz.

— Wiem — stwierdziła, spoglądając na zegarek. — Jest szósta czterdzieści. Ludzie z dochodzeniówki i wydziału zabójstw są już w drodze, ale w tę burzę nie dotrą tu tak szybko. Przed wejściem do środka postarają się załatwić nakaz rewizji. Powinniśmy być na zewnątrz, kiedy tu przyjadą.

— Jak wytłumaczyłaś to, że byłaś już w domu?

— Wpuściła nas Eva. Bała się... czuła się zagrożona. Jeszcze to dopracuję. Nie musisz się martwić — dodała. — Powiem, że zesłałam do piwnicy, żeby sprawdzić korki.

Uśmiechnąłem się.

— Nauczyłaś się niezłe kryć własny tyłek. Spędzasz chyba dużo czasu z ulicznymi gliniarzami.

— Musisz mi pomóc, John. Naruszyłeś chyba wszystkie punkty regulaminu.

— Może jeden albo dwa.

— I na tym koniec.

— Beth, ten facet zabił trzy osoby, na których mi zależało, a na dodatek parę niewinnych starszków. Ostatnia trójka nie zginęłaby, gdybym szybciej działał i lepiej to wszystko przeanalizował.

Położyła mi rękę na ramieniu.

— Nie powinieneś się winić. Za bezpieczeństwo Murphych odpowiadała policja. Co do Emmy... nigdy bym nie zgadła, że była w niebezpieczeństwie.

— Nie chcę o tym mówić.

— Rozumiem. Słuchaj, nie musisz rozmawiać z gliniarzami z Suffolk, kiedy tu przyjadą. Zmyj się stąd, ja się tym zajmę.

— Świetny pomysł — stwierdziłem, rzucając jej kluczyki od jeepa. — Do zobaczenia.

— Dokąd się wybierasz bez samochodu?

— Na przejażdżkę łodzią — odparłem i zdjąłem z wieszaka kluczyki od motorówki.

— Oszalałeś?

— Zdecyduje o tym ława przysięgłych. Cześć.

Ruszyłem w stronę tylnych drzwi, ale Beth przytrzymała mnie za ramię.

— Nie, John. Zginiesz tam. Dorwiemy Fredrica Tobina później.

— Chcę dorwać go teraz, kiedy ma jeszcze krew na rękach.

— Nie. — Wbijają mi palce w ramię z całej siły. — Nie wiesz nawet, dokąd on popłynął.

— Jest tylko jedno miejsce, do którego mógł popłynąć w taką noc.

— Co to za miejsce?

— Przecież wiesz: Plum Island.

— Ale po co?

— Myślę, że skarb wciąż tam jest.

— Skąd możesz o tym wiedzieć?

— Takie mam po prostu przeczucie. Ciao — powiedziałem i wyszedłem, nim zdążyła mnie ponownie zatrzymać.

Przebiegłem trawnik i pobiegłem w stronę hangaru. Wiatr wył jak potępieniec i niedaleko mnie spadła na ziemię wielka gałąź. Było prawie zupełnie ciemno, co nawet mi odpowiadało. Nie miałem ochoty patrzeć, jak wygląda zatoka.

Biegąc po pomoście, łapałem się po kolei każdego pała, żeby nie zwało mnie do wody. W końcu dotarłem do hangaru, który trzeszczał i skrzypiał. W niewyraźnym świetle zobaczyłem, że formuła 303 wciąż tam stoi, ale nie ma whalera. Zastanawiałem się, czy sam się zerwał i odpłynął, czy też Tobin holuje go za swoim chris-craftem jako łódź ratunkową albo środek lokomocji na Plum Island.

Patrząc, jak formuła unosi się i upada na falach, waląc o gumowe odbojniki, przez chwilę się zawahałem. Starłem się myśleć racjonalnie, przekonać sam siebie, że nie muszę wypływać w sztorm. Tobin był tak czy inaczej załatwiony. Chociaż... nie było to takie pewne. Może musiałem go unieszkodliwić, nim obstawi się prawnikami, załatwi alibi i zapłonie gniewem z powodu naruszenia jego praw obywatelskich. Martwi nie mogą nikogo pozwać do sądu.

Wciąż wpatrywałem się w motorówkę i w słabym świetle wydało mi się, że widzę na niej Toma i Judy, którzy uśmiechają się i zapraszają mnie na pokład. A potem zobaczyłem ponownie Emmę, jak pływa po zatoce i uśmiecha się do mnie. Po chwili zaś twarz Tobina, który rozmawiał z nią na przyjęciu wiedząc, że ją zabije...

Niezależnie od wszystkich prawniczych zawilości rozumiałem, że osobiście mogę zamknąć tę sprawę tylko w jeden sposób: łapiąc samemu Fredrica Tobina, następnie zaś... cóż, o tym pomyślę później.

Nie zastanawiając się dłużej, skoczyłem z pomostu do łodzi i odzyskawszy równowagę na kołyszącym się pokładzie, zasiadłem na fotelu z prawej strony, tam gdzie zwykle zasiada kapitan.

Moim pierwszym problemem było odszukanie stacyjki. W końcu znalazłem ją koło przepustnicy. Próbowałem przypomnieć sobie, co robili na wodzie Gordonowie. Kiedyś dali mi i kazali przeczytać plastikową kartę pod tytułem „Kiedy musisz objąć nagle dowodzenie”. Przeczytałem i uznałem, że nie chcę obejmować nagle dowodzenia. Teraz jednak obejmowałem je. Żałowałem, że nie mam przy sobie tej karty.

Tak czy inaczej pamiętałem, że powinienem umieścić obie dźwignie biegów w pozycji neutralnej, włożyć kluczyk do stacyjki,

przekręcić go i... no właśnie, co dalej? Nic się nie działo. Zobaczyłem dwa przyciski z napisem „start” i wcisnąłem prawy z nich. Prawy silnik zaskoczył i zaczął pracować. Wcisnąłem drugi przycisk, uruchamiając lewy silnik. Pracowały trochę nierówno i otworzyłem lekko obie przepustnice, dodając gazu. Pamiętałem, że muszę pozwolić im się rozgrzać; nie chciałem, żeby zgasły na pełnym morzu. Podczas gdy się rozgrzewały, znalazłem w schowku nóż i przeciąłem nim szpring i obie liny cumownicze. Formuła natychmiast skoczyła na fali i rąbnęła w ścianę hangaru mniej więcej pięć stóp od pomostu.

Wrzuciłem bieg i położyłem dłoń na przepustnicy. Dziób skierowany był w stronę zatoki i musiałem teraz tylko dodać gazu, żeby stawić czoło burzy.

W momencie kiedy miałem zamiar to zrobić, usłyszałem z tyłu jakiś głos i obejrzałem się przez ramię. To była Beth, która usiłowała przekrzyknąć wiatr, szum morza i warkot silników.

— JOHN!

— Co?

— Zaczekaj! Idę do ciebie!

— Więc chodź! — Wrzuciłem tylny bieg, przekręciłem koło sterowe i udało mi się zbliżyć łódź z powrotem do pomostu. — Skacz!

Wylądowała za mną na rozkołysanym pokładzie i przewróciła się.

— Nic ci się nie stało?

Wstała i w tym samym momencie fala uderzyła w burtę. Beth znowu się przewróciła i znowu wstała.

— Nic mi nie jest — odparła, siadając na lewym fotelu. — Płynmy!

— Jesteś tego pewna?

— Ruszaj!

Otworzyłem przepustnice i wypłynęliśmy z hangaru w ulewny deszcz. Sekundę później zobaczyłem z prawej strony wielką falę, która waliła w burtę. Skręciłem w prawo, celując w nią dziobem. Łódź uniosła się, wspięła na szczyt fali i miałem wrażenie, że fruniemy. A potem fala złamała się i rzeczywiście znaleźliśmy się w powietrzu. Łódź opadła w dół, ryjąc dziobem w rozkołysanym morzu. Po chwili dziób uniosł się i w wodzie zanurzyła się rufa. Śruby załapały i ruszyliśmy, ale w kierunku przeciwnym do pożądanego. W dolinie między falami obróciłem łódź o sto osiemdziesiąt stopni i popłynęliśmy na wschód. Mijając hangar, usłyszałem ostry trzask. Cały budynek przechylił się na prawo, a potem runął w kipiel.

— Znasz się na prowadzeniu łodzi? — zapytała Beth, przerykując ryk burzy.

— Jasne. Zaliczyłem kiedyś kurs „Kiedy musisz objąć nagle dowodzenie”.

— Dotyczył łodzi?

— Chyba tak. — Spojrzałem na nią, a ona spojrzała na mnie. — Dziękuję, że przysłałaś — powiedziałem.

— Steruj — odparła.

Otworzyłem przepustnice tylko do połowy, co stanowiło według mnie najlepszy sposób zapewnienia sterowności podczas burzy. Przez połowę czasu unosiliśmy się nad dolinami fal, a potem przecinaliśmy nadbiegające bałwany. Śruby wyły na wysokich obrotach, po chwili wgrzały się w wodę i ciskało nas niczym deskę surfingową w morze. Wiedziałem tylko jedno: muszę sterować dziobem w fale, nie wolno mi dopuścić, żeby któraś z nich trafiła w burzę. Motorówka nie zatonełaby, ale najprawdopodobniej wywróciłaby się do góry dnem. Widziałem łodzie, które wywracały się podczas słabszych sztormów.

— Znasz się na nawigacji? — zawołała Beth.

— Jasne. Czerwone po prawej.

— Co to znaczy?

— Wracając do portu, musisz mieć czerwone boje po prawej stronie.

— Nie wracamy do portu. Wypływamy na pełne morze.

— Aha. W takim razie trzymajmy się zielonych boi.

— Nie widzę żadnych zielonych boi — poinformowała mnie.

— Ja też nie — stwierdziłem. — Będę po prostu jechał blisko białej podwójnej linii. W ten sposób na pewno nie zblądzę.

Beth nic nie odpowiedziała.

Próbowałem odnaleźć w sobie żeglarską żyłkę. Pływanie nigdy nie było moim ulubionym hobby, w ciągu ostatnich lat gościłem jednak na wielu łodziach i chyba czegoś się nauczyłem. A w czerwcu, lipcu i sierpniu pływałem z Gordonami chyba kilkanaście razy. Tomowi nie zamykały się usta i z entuzjazmem dzielił się ze mną swoją morską wiedzą. Nie zwracałem na to większej uwagi (interesując się bardziej Judy i jej bikini), nie miałem jednak wątpliwości, że w mojej korze mózgowej znajduje się mała przegródka z napisem „żeglarstwo”. Musiałem ją tylko odszukać. W gruncie rzeczy byłem przekonany, że wiem o łodziach więcej, niż mi się wydaje. Miałem taką nadzieję.

Znajdowaliśmy się teraz na środku Peconic Bay i kadłub łodzi

walił w wodę, aż dzwoniły nam zęby — potężne łupnięcia, jedno po drugim, jakbyśmy jechali po podkładach kolejowych. Czuję, że mój żołądek nie jest w stanie dostosować się do pionowych ruchów łodzi; gdy opadała w dół, żołądek wciąż znajdował się na górze, a kiedy unosiła się w powietrze, zostawał na dole. Tak mi się przynajmniej zdawało. Nie widziałem nic przez przednią szybę, w związku z czym wstałem i próbowałem dojrzeć coś ponad nią. Opierając się tyłkiem o fotel, prawą rękę zaciskałem na kierownicy, a lewą trzymałem się tablicy rozdzielczej. Połknąłem dość słonej wody, żeby ciśnienie skoczyło mi o pięćdziesiąt milimetrów. Od soli zaczęły mnie piec oczy. Zerknąłem na Beth i zobaczyłem, że ona również trze powieki.

Po prawej stronie dostrzegłem leżącą na boku dużą żaglówkę z ledwie widocznym kilem i zanurzonym w wodzie masztem i żaglem.

— Wielki Boże...

— Czy nie potrzebują pomocy? — zapytała Beth.

— Nikogo nie widzę.

Podpłynąłem bliżej, ale nikt nie trzymał się masztów ani olinowania. Znalazłem na tablicy rozdzielczej przycisk syreny i dałem nią kilka razy sygnał, lecz w dalszym ciągu nie widziałem żadnych śladów życia.

— Może popłynęli tratwą ratunkową do brzegu — powiedziałem.

Beth milczała.

Ruszyliśmy dalej. Ja, który jeszcze niedawno źle się czułem podczas łagodnych przechyłów promu, teraz prulem sztormowe fale mającą trzydzieści stóp otwartą łodzią.

Czułem pod stopami uderzenia fal i miałem wrażenie, jakby ktoś walił mnie w podeszwy kijem baseballowym. Zaczynały mnie od tego boleć kolana i uda. Innymi słowy czułem się podle.

Robiło mi się niedobrze od słonej wody, kołysania, ciągłego opadania w dół, a także niemożności zobaczenia czegokolwiek i odróżnienia horyzontu od morza. Dodajcie do tego moje osłabione po postrzale zdrowie... Przypomniałem sobie Maksa, który zapewnił, że to nie będzie wcale męczące. Gdyby tu teraz był, przywiązałbym go do dziobu.

Po lewej stronie dostrzegłem przez strugi deszczu leżący w odległości jakichś dwustu jardów brzeg, a z przodu po prawej niewyraźny zarys Shelter Island. Wiedziałem, że będziemy trochę bezpieczniejsi, gdy znajdziemy się po zawietrznej stronie wyspy, której pewnie dlatego nadano taką nazwę.

— Mogę wysadzić cię na brzeg na Shelter Island — zaproponowałem Beth.

— Lepiej kieruj tą cholerną łodzią i przestań się martwić o kruchą małą Beth.

— Tak jest, proszę pani.

— Pływałam już po wzburzonym morzu, John — dodała miłszym tonem. — Wiem, kiedy sytuacja jest krytyczna.

— To dobrze. Powiedz, kiedy będzie.

— Mało nam do niej brakuje — odparła. — Na razie zejdem na dół poszukać kamizelek ratunkowych i jakichś wygodniejszych ciuchów, w które mogłabym się ubrać.

— Świetny pomysł. Zmyj słoną wodę z oczu i poszukaj mapy.

Beth zeszła po schodkach między dwoma siedzeniami. Formuła 303 ma przestronną kabinę jak na motorówkę, a także ustęp, który wkrótce mógł się nam przydać. To bardzo wygodna i solidna łódź i zawsze czułem się bezpiecznie, kiedy za sterem był Tom albo Judy. Poza tym Tom i Judy, podobnie jak John Corey, nie lubili złej pogody i przy pierwszych grzywaczach zawracaliśmy zawsze do domu. Mimo to stawiałem teraz czoło jednemu z najgorszych zagrożeń z mojej prywatnej listy, a ono pluło mi, by tak rzec, prosto w twarz. I chociaż może to zabrzmieć niepoważnie, prawie podobała mi się ta jazda — poczucie mocy, gdy dodawałem gazu, wibracja silników, dotyk koła sterowego. Nagle objąłem dowodzenie. Chyba zbyt długo siedziałem na tylnej ławce.

Stałem, trzymając jedną ręką ster, a drugą, dla zachowania równowagi, wspierając na górnej krawędzi przedniej szyby. Wlepiąłem oczy w ulewę, wypatrując przed sobą łodzi, dokładnie rzecz biorąc chris-crafta, lecz z trudem dostrzegałem brzeg i horyzont, nie mówiąc już o innej jednostce.

Beth wyszła z kabiny i podała mi kamizelkę ratunkową.

— Włóż to — krzyknęła. — Ja potrzymam ster.

Wkładając kamizelkę, zauważyłem, że zawiesiła na szyi lornetkę. Miała na sobie żółtą kurtkę przeciwdeszczową, dzinsy, tenisówki i taką samą jak moja pomarańczową kamizelkę ratunkową.

— To ciuchy Fredrica? — zapytałem.

— Mam nadzieję, że nie. Należą chyba do Sondry Wells. Trochę ciasne. Położyłam mapę na stole, gdybyś chciał rzucić na nią okiem — dodała.

— Potrafisz czytać morskie mapy? — zapytałem.

— Trochę. A ty?

— To żaden problem. Morze jest niebieskie, ład brązowy. Zerknę na nią później.

— Szukałam na dole radia, ale nie znalazłam — poinformowała mnie.

— Mogę ci coś zaśpiewać. Lubisz „Oklahomę”?

— John... proszę, nie rób z siebie idioty. Mam na myśli nadajnik radiowy.

— Aha, nadajnik. Tutaj też nie ma radia.

— Na dole jest ładowarka do telefonu komórkowego, ale nie ma telefonu — dodała.

— No tak. Na małych łodziach ludzie skłonni są używać komórek. Ja wolę radiostację. Tak czy owak wynika z tego, że nie można się z nami skontaktować.

— Zgadza się. Nie możemy nawet wysłać sygnału SOS.

— Nie mogli go też wysłać ludzie na *Mayflower*. Nie przejmuj się.

— Znalazłam raketnicę — powiedziała, klepiąc się po kieszeni kurtki i ignorując moją uwagę.

— To dobrze. Może nam się później przydać — odparłem, chociaż nie sądziłem, żeby ktoś zdołał zobaczyć flarę tej nocy.

Sta nałem ponownie za sterem, a Beth usiadła na schodkach koło mnie. Zmęczyło nas przekrzykiwanie burzy i przez jakiś czas milczeliśmy. Byliśmy oboje przemoczeni, żołądki podchodziły nam do gardła i mieliśmy niezłego pietra. A jednak początkowy strach przed burzą zmniejszał się w miarę, jak uświadamialiśmy sobie, że nie każda fala musi nas koniecznie zatopić.

Po mniej więcej dziesięciu minutach Beth wstała i przysunęła się bliżej, żebym mógł ją lepiej słyszeć.

— Naprawdę myślisz, że popłynął na Plum Island? — zapytała.

— Naprawdę.

— Dlaczego?

— Żeby zabrać stamtąd skarb.

— Podczas takiej burzy nie będzie tam ani jednej łodzi patrolowej Stevensa i ani jednego helikoptera Straży Przybrzeżnej — stwierdziła.

— Zgadza się. A drogi będą nieprzejezdne, w związku z czym po wyspie nie będą krążyły patrole.

— To prawda... Dlaczego Tobin nie zaczął z zamordowaniem Gordonów do czasu, kiedy położy rękę na całym skarbie?

— Nie wiem. Może Gordonowie zaskoczyli go, kiedy przetrząsał ich dom. Jestem przekonany, że mieli zabrać cały skarb, ale coś poszło źle.



— I teraz musi go sam zabrać. Czy on wie, gdzie to jest?

— Musi wiedzieć, w przeciwnym razie by tam nie płynął. Dowiedziałem się od Emmy, że Tobin był raz na wyspie z wycieczką Towarzystwa Historycznego Peconic. Nakłonił wtedy Toma albo Judy, żeby pokazali mu miejsce ukrycia skarbu, który znajdował się na pewno w jednym z archeologicznych wykopów Toma. Tobin nie był łatwowiernym człowiekiem i jestem pewien, że Gordonowie też go specjalnie nie lubili ani mu nie ufali. Wzajemnie się wykozystywali.

— Między złodziejami zawsze dochodzi do niesnasek — oświadczyła Beth.

Chciałem powiedzieć, że Tom i Judy nie byli złodziejami, ale przecież byli. I kiedy przekroczyli tę linię, która oddziela uczciwych obywateli od konspiratorów, ich los był w zasadzie przypieczętowany. Nie jestem moralistą, ale w mojej pracy codziennie to oglądam.

Gardła rozboleły nas od krzyku i soli i ponownie umilkliśmy.

Zbliżałem się do przesmyku między południowym brzegiem North Fork i Shelter Island, ale morze wydawało się tam bardziej wzburzone niż przedtem. Wielka fala pojawiła się nie wiadomo skąd i zawiśła przez sekundę nad prawą burtą. Beth zobaczyła ją i krzyknęła. Fala złamała się nad samą łodzią i było to tak, jakbyśmy wpłynęli pod wodospad.

Nagle znalazłem się na pokładzie, a potem prąd wody zrzucił mnie w dół schodów i wylądowałem na plecach Beth. Zerwaliśmy się oboje na nogi i popęzłem na górę. Łódź pozbawiona była kontroli; koło sterowe kręciło się na wszystkie strony. Złapałem je i sadowiąc się w fotelu, skierowałem dziób w stronę kolejnej monsturalnej fali, która uniosła nas w górę. Miałem dziwne wrażenie, że znajduję się dziesięć stóp nad poziomem morza; oba brzegi zdawały się leżeć niżej ode mnie.

Fala przełamała się i zawiśliśmy przez sekundę w powietrzu, a potem opadliśmy w następną dolinę. Walcząc ze sterem, starałem się skrócić na wschód, w kierunku cieśniny, gdzie musiało być lepiej niż tu.

Spojrzałem w lewo, ale Beth nie było na schodach prowadzących do kabiny.

— Beth! — zawołałem.

— Już idę — odkrzyknęła z dołu.

Wspięła się na czworakach na górę i zobaczyłem, że krwawi jej czoło.

— Nic ci się nie stało? — zapytałem.

— Nic... trochę się tylko poobijałam. Boli mnie tyłek. — Próbo-  
wała się rozeźmiać, ale zabrzmiało to bardziej jak szloch. — To  
szaleństwo — stwierdziła.

— Zejdź na dół i zrób sobie martini. Zamieszaj, nie wstrząsaj.

— Twoje idiotyczne poczucie humoru pasuje do sytuacji —  
oznajmiła. — Kabina zaczyna nabierać wody i słyszę, jak pracują  
pompy. Potrafisz to dowcipnie skomentować?

— Nie wiem... pomyślmy... dźwięk, który słyszysz, to nie pompy,  
ale pracujący pod wodą elektryczny wibrator Sondry Wells. Jak ci  
się to podoba?

— Zaraz wyskoczę za burtę. Czy pompy nadążą z wypom-  
powywaniem wody? — zapytała.

— Chyba tak. Zależy, ile jeszcze fal zaleje pokład.

Rzeczywiście zauważyłem, że obciążona wodą łódź wolniej  
reaguje na ruchy steru. Żadne z nas nie odzywało się przez następne  
dziesięć minut. W kilkusekundowych przerwach pomiędzy zacina-  
jącymi deszczem porywami wiatru widziałem na odległość jakichś  
pięćdziesięciu jardów, nie dostrzegłem jednak jachtu Tobina i w ogóle  
żadnej łodzi, z wyjątkiem dwóch małych żaglówek, przewróconych  
do góry dnem i miotanych przez sztorm.

Ujrzałem również nowe zjawisko, a może powinienem raczej  
powiedzieć, nowy horror — Gordonowie nazwali to powracającą  
falą i doświadczyłem tego z nimi na cieśninie. Zjawisko polegało  
na tym, że woda za motorówką doganiała ją i zalewała rufę,  
wprawiając łódź w gwałtowne boczne ruchy, które wodniacy na-  
zywają myszkowaniem. W związku z czym oprócz kołysania  
wzdłużnego i bocznego musiałem teraz walczyć z myszkowaniem.  
Jeśli chodzi o pozytywy, były tylko dwa: wciąż płynęliśmy na  
wschód i wciąż unosiliśmy się na wodzie, choć sam nie wiedziałem  
dlaczego.

Odchyliłem na chwilę głowę do tyłu, żeby deszcz mógł zmyć z  
moich oczu trochę soli. A ponieważ i tak wpatrywałem się w  
niebo, zacząłem odmawiać coś w rodzaju modlitwy. W niedzielę  
poszedłem do kościoła, Panie Boże. Widziałeś mnie? W tym małym  
kościółku metodystów w Cutchogue? Środkowa ławka po lewej stro-  
nie. Emma? Powiedz Mu. Hej, Tom, Judy, państwo Murphy'owie...  
robię to dla was. Możecie podziękować mi osobiście za jakieś  
trzydzieści, czterdzieści lat.

— John?

— Co?

- Na co się tak gapisz?
- Na nic. Chcę, żeby deszcz obmył mi twarz.
- Mogę przynieść ci trochę słodkiej wody z dołu.
- Nie teraz. Zostań tu przez chwilę. Później oddam ci ster i trochę odpoczne — dodałem.
- Dobry pomysł — stwierdziła. — Jesteś... zmartwiony? — zapytała po chwili.
- Nie. Jestem przerażony.
- Ja też.
- Czy sytuacja jest krytyczna?
- Jeszcze nie.

Spojrzałem na tablicę rozdzielczą i po raz pierwszy zauważyłem na niej wskaźnik paliwa. Wskazywał mniej więcej jedną ósmą, czyli jakieś dziesięć galonów. Biorąc pod uwagę ilość paliwa, jaką przy otwartych do połowy przepustnicach pożerały dwa wielkie mercruisery, walcząc ze sztormem, miałem świadomość, że nie zostało nam wiele czasu i drogi do pokonania. Zastanawiałem się, czy w ogóle dotrzemy do Plum Island. Wyczerpanie się paliwa w samochodzie to jeszcze nie koniec świata. Wyczerpanie się go w samolocie to jest koniec świata. Wyczerpanie się go w łodzi podczas sztormu to też prawdopodobnie koniec świata. Zakonotowałem sobie w pamięci, żeby sprawdzać częściej wskaźnik paliwa.

- Czy to już huragan? — zapytałem.
- Nie wiem, John, i gównu mnie to obchodzi.
- Zgadza się z tobą.
- Odniosłam wrażenie, że nie lubisz morza.
- Bardzo lubię morze. Nie lubię tylko być na nim albo w nim.
- Na Shelter Island jest kilka portów jachtowych i zatoczek. Chcesz tam zawinąć?
- A ty?
- Z jednej strony tak, z drugiej nie.
- Zgadza się z tobą — powtórzyłem.

W końcu wplynęliśmy w przesmyk między North Fork i Shelter Island. Wejście do cieśniny miało mniej więcej pół mili szerokości, a leżąca na południu Shelter Island była dość wysoka, żeby choć częściowo wyhamować wiatr. Morze uspokoiło się trochę, wiatr nic wyl tak głośno i łatwiej nam było rozmawiać.

Beth wstała i złapała się uchwytu zamontowanego na tablicy rozdzielczej nad schodkami.

- Co twoim zdaniem stało się w tamtym dniu? — zapytała. — Myślę o dniu, w którym popełniono morderstwo.

— Wiemy, że Gordonowie wypłynęli z portu na Plum Island koło południa — odparłem. — Odpłynęli od brzegu na wystarczającą odległość, żeby z tamtejszej łodzi patrolowej nie można ich było rozpoznać. A potem czekali do chwili, gdy zobaczyli przez lornetkę, że łódź przepłynęła. Wtedy dodali gazu i ruszyli z maksymalną prędkością w stronę plaży. Mieli od czterdziestu do sześćdziesięciu minut do ponownego pojawienia się patrolu. Ustaliliśmy to na Plum Island. Prawda?

— Tak, ale wydawało mi się wtedy, że mówimy o terrorystach, o nieupoważnionych osobach z zewnątrz. Chcesz powiedzieć, że już wtedy myślałeś o Gordonach?

— Tak jakby. Nie wiedziałem, co planowali ani dlaczego to robili, ale chciałem wiedzieć, w jaki sposób mogli coś stąd zabrać. Wykraść.

— Mów dalej — powiedziała, kiwając głową.

— Więc dodali gazu i dopłynęli do brzegu. Gdyby zauważono ich z helikoptera albo samochodu patrolowego, nic by się nie stało, ponieważ wszyscy i tak wiedzieli, kim są, i znali dobrze ich rzucającą się w oczy łódź. Mimo to według Stevensa tamtego dnia nikt nie widział *Spirochete*. Zgadza się?

— Na razie tak.

— Dobrze, więc mamy miły, spokojny letni dzień. Gordonowie płyną gumowym pontonem na brzeg i wciągają go w zarośla. Na pontonie jest aluminiowy pojemnik.

— I łopaty.

— Nie. Skarb odkopali już wcześniej i ukryli w miejscu, skąd można go łatwo zabrać. Ale najpierw musieli wszystko przygotować: poszperać w archiwach, kupić ziemię od Margaret Wiley i tak dalej.

Beth przez chwilę się zastanawiała.

— Myślisz, że Gordonowie chcieli wyciąć Tobinowi jakiś numer? — zapytała w końcu.

— Nie sądzę. Wystarczyłaby im połowa skarbu pomniejszona o to, co musieli oddać władzom. Ich potrzeby nie mogły się nawet w przybliżeniu równać z potrzebami Tobina. Zależało im także na sławie i popularności odkrywców skarbu kapitana Kidda. Potrzeby Tobina, a także jego plany były zupełnie inne. Nie miał skrupułów, żeby zamordować swoich współników, zabrać cały skarb, sprzedać nielegalnie jego większą część, a potem odkopać mały fragment na terenie własnej posiadłości i wystawić go na aukcji u Sotheby'ego w obecności dziennikarzy i faceta z urzędu skarbowego.

Beth sięgnęła pod kurtkę i wyjęła cztery złote monety. Podała mi je, a ja wziąłem jedną i sterując łodzią, dokładnie się jej przyjrzałem. Moneta miała wielkość ćwierćdolarówki, ale była o wiele cięższa — ciężar złota zawsze mnie zaskakiwał. Była zdumiewająco jasna i zauważyłem na niej profil jakiegoś mężczyzny i napis, chyba po hiszpańsku.

— To może być moneta, którą nazywali dublonem — stwierdziłem, oddając ją Beth.

— Zachowaj ją na szczęście.

— Na szczęście? Nie potrzebuję takiego szczęścia, jakie przyniosła innym.

Beth pokiwała głową, spojrzała na leżące na jej dłoni trzy monety i wyrzuciła je za burtę. Ja zrobiłem to samo.

Był to idiotyczny gest, ale poprawił nam samopoczucie. Potrafiłem teraz zrozumieć przesąd wszystkich marynarzy, polegający na wyrzucaniu czegoś — albo kogoś — za burtę w celu ugłaskania morza i sprawienia, że przestanie ono wyprawiać to, co wyprawia, napędzając wszystkim śmiertelnego pietra.

Wyrzuciwszy złoto za burtę, poczuliśmy się lepiej. Na wysokości Shelter Island wiatr rzeczywiście zelżał, a fale zmniejszyły się i nie były tak częste, jakby dar złożony morzu odniósł pożądany skutek.

Masy ładu po obu stronach były czarne niczym bryły węgla, a morze i niebo opalizowały dziwną szarością. Normalnie o tej porze można dostrzec na brzegu światła świadczące o tym, że mieszkają tam ludzie, najwyraźniej jednak wszędzie wysiadł prąd i wybrzeża cofnęły się w czasie o jedno lub dwa stulecia.

Ogólnie rzecz biorąc, pogoda była okropna i wiedziałem, że warunki pogorszą się, gdy miniemy Shelter Island i wyjdziemy na Gardiners Bay.

Zdawałem sobie sprawę, że powinienem włączyć światła pozycyjne, ale w pobliżu była tylko jedna łódź i nie chciałem, żeby mnie z niej zobaczono. Byłem pewien, że ona też płynie bez świateł.

— Więc Gordonom nie starczyło czasu, żeby popłynąć po drugi ładunek przed powrotem łodzi patrolowej — stwierdziła Beth.

— Zgadza się — odparłem. — Na gumowym pontonie nie mieści się zbyt dużo, a nie chcieli płynąć ponownie na plażę, zostawiając na pokładzie motorówki kości i inne rzeczy.

— Postanowili więc odwieźć w bezpieczne miejsce to, co już zabrali, i wrócić po główną część skarbu innym razem.

— Owszem. Najprawdopodobniej tej samej nocy, jeśli jakaś wskazówką może być sposób, w jaki przycumowali łódź. W drodze do domu musieli mijać posiadłość Tobina przy Founders Landing. Nie mam wątpliwości, że zatrzymali się tam z zamiarem zostawienia mu w charakterze swoistego suweniru kości, spróchniałych desek i czterech złotych monet. Widząc, że w hangarze nie ma whalera, uznali, że Tobin wypłynął gdzieś, i wrócili do domu.

— Gdzie zaskoczyli Tobina.

— Zgadza się. Tobin spłądował już ich dom, żeby upozorować włamanie oraz sprawdzić, czy Gordonowie nie ukryli jakiejś części skarbu.

— I czy nie ma tam jakichś obciążających dowodów, które by go z nimi wiązały.

— Właśnie. Więc Gordonowie przybijają do swojej przystani i być może w tym momencie wywieszają flagi sygnalizujące, że mają niebezpieczny ładunek i potrzebują pomocy. Choć właściwie — dodałem — jestem pewien, że wywiesili je już rankiem, dając do zrozumienia Tobinowi, że nadszedł uzgodniony przez nich dzień. Spokojne morze, ani kropli deszczu, dobre samopoczucie, korzystne wibracje i tak dalej.

— A kiedy przybijali do przystani, whaler Tobina ukryty był w pobliskich szuwarach.

— Tak — odparłem i przez chwilę się namyślałem. — Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, co stało się potem... co kto mówił, co zdaniem Tobina znajdowało się w skrzyni, do czego zdaniem Gordonów mógł się posunąć Tobin. W którymś momencie wszyscy troje zdali sobie sprawę, że nie są już współnikami. Tobin wie, że nigdy nie będzie już miał okazji ich sprzątnąć. Więc... wyciąga broń, uruchamia syrenę w puszcze i pociąga za cyngiel. Pierwszy pocisk trafia Toma w czoło z bliskiej odległości. Judy krzyczy, odwraca się do męża i drugi pocisk trafia ją w bok głowy... Tobin przestaje ścisnąć puszkę. Otwiera pojemnik i widzi, że nie ma w nim złota ani klejnotów. Dochodzi do wniosku, że reszta skarbu jest na pokładzie *Spirochete*, i przeszukuje łódź. Bez skutku. Zdaje sobie sprawę, że zabił kurę, która miała znosić złote jaja. Ale nie wszystko jeszcze stracone. Wie albo wierzy, że uda mu się samemu dokończyć robotę. Zgadza się?

— Mógł mieć też innego współnika na wyspie — stwierdziła Beth po krótkim namyśle.

— Niewykluczone. Wtedy zabicie Gordonów niewiele zmieniło.

Płynęliśmy dalej na wschód cieśniną, która ma cztery mile

długości i pół mili szerokości w najwęższym miejscu. Zapadła kompletna ciemność — żadnych świateł, księżyc a ni gwiazd, tylko czarne jak atrament morze i czarne jak dym niebo. Z trudem dostrzegałem boje kanałowe; gdyby nie one, straciłbym zupełnie orientację i wylądował na skałach albo na mieliźnie.

Po lewej stronie zobaczyłem kilka światełek i uzmysłowiłem sobie, że mijamy Greenport, gdzie znajdował się prawdopodobnie awaryjny generator.

— Greenport — powiedziałem do Beth.

Pokiwała głową.

Obojgu nam przyszła do głowy ta sama myśl: czy nie zawinąć jednak do bezpiecznego portu. Wyobraziłem nas sobie w jakimś barze, siedzących przy świecach i kuflach ciepłego piwa, uczestniczących w tradycyjnej sztormowej popijawie.

Gdzieś po prawej stronie na Shelter Island znajdował się, choć go nie widziałem, Dering Harbor. Wiedziałem, że jest tam port jachtowy, do którego mógłbym zawinąć. Greenport i Dering Harbor były ostatnimi dużymi i łatwymi do manewrowania portami przed otwartym morzem.

— Kiedy miniemy Shelter Island, zrobi się znów gorąco — przypomniałem Beth.

— Już teraz jest gorąco — odparła, wzruszając ramionami. — Płynmy dalej. Zawsze możemy zawrócić.

Uznałem, że nadeszła pora, żeby poinformować ją o paliwie.

— Mamy mało paliwa i na Gardiners Bay znajdziemy się w którymś momencie w przysłowiowym punkcie, z którego nie ma powrotu — stwierdziłem.

Beth zerknęła na wskaźnik paliwa.

— Nie musisz się tym martwić — oświadczyła, — I tak wczesniej wywrócimy się do góry dnem.

— Brzmi to jak jakaś idiotyczna odzywka w moim stylu.

Uśmiechnęła się do mnie, czego się nie spodziewałem. A potem zeszła na dół i wróciła z lekarstwem na wszelkie smutki, czyli butelką piwa.

— Niech cię Bóg błogosławi — powiedziałem.

Łódź podskakiwała tak wściekle, że nie mogłem przyłożyć szyjki do warg, nie wybijając sobie przy tym połowy zębów, w związku z czym wlałem piwo do otwartych ust, rozlewając po drodze połowę.

Beth przyniosła również oprawioną w plastik mapę, którą rozłożyła na tablicy rozdzielczej.

— Z lewej strony zbliżamy się do Cleeves Point, a tu po prawej

jest Hays Beach Point na Shelter Island. Kiedy minimy te punkty, znajdziemy się w czymś w rodzaju leja, między Montauk i Orient Point. Leja, do którego wpadają wzburzone wody Atlantyku.

— Czy to dobrze, czy źle?

— To nie jest śmieszne.

Pociągnąłem kolejny łyk piwa, drogiego importowanego gatunku, którego spodziewałem się po Fredricu Tobinie.

— Fakt, że ukradliśmy jego łódź i popijam jego piwo, sprawia mi pewną przyjemność — stwierdziłem.

— Co będzie przyjemniejsze: zdewastowanie jego apartamentu czy zatopienie jego łodzi?

— Ta motorówka jest niezatapialna.

— Powinieneś zerknąć na dół.

— Nie muszę. Czuję to po sterze. Potrzebny nam balast — dodałem.

— Nagle stałeś się doświadczonym żeglarzem.

— Szybko się uczę.

— Zauważyłam. Odpocznij trochę, John. Teraz ja posteruję.

— Dobrze.

Wziąłem mapę, oddałem ster Beth i zszedłem na dół.

W małej kabinie woda sięgała trzech cali, pompy nie nadały jej wybierać. Jak już wspomniałem, pewna ilość wody wcale mi nie przeszkadzała; stanowiła balast wyrównujący brak paliwa w zbiornikach. Żałowałem, że nie pracują na niej silniki.

Wszedłem do ustępu i wyrzygałem do sedesu pół kwarty słonej wody. Zmyłem sól z twarzy i rąk, wróciłem do kabiny, usiadłem na jednej z koi i zacząłem studiować mapę, popijając piwo. Bolały mnie ramiona i barki, rzęziło w płucach, ale żołądek nie podchodził mi już do gardła. Gapiłem się na mapę przez minutę albo dwie, a potem otworzyłem lodówkę, wyjąłem z niej kolejne piwo i ruszyłem z nim na górę.

Beth radziła sobie całkiem dobrze ze sztormem, który, jak wspomniałem, nie wydawał się taki straszny po zawietrznej stronie Shelter Island. Fale były wysokie, ale przewidywalne, a wiatr na poziomie morza nie tak silny, dopóki osłaniała nas wyspa.

Spojrzałem do przodu i dostrzegłem dwa czarne zarysy cypli, które stanowiły koniec przesmyku.

— Daj mi ster — powiedziałem do Beth. — Ty weź mapę.

— Dobrze. Czeka nas trudna nawigacja — stwierdziła, dotykając palcem mapy. — Musisz trzymać się po prawej stronie latarni Long Beach Bar.



— W porządku — odparłem i zamieniliśmy się miejscami.

Mijając mnie, spojrzała w stronę rufy i nagle krzyknęła.

Przekonany, że przestraszyła ją jakaś monstrualna fala, złapałem za ster i obejrzałem się przez ramię.

Nie wierzyłem własnym oczom: nie dalej niż dwadzieścia stóp za nami płynął kursem kolizyjnym i szybko nas doganiał wielki motorowy jacht, dokładniej rzecz biorąc chris-craft, konkretnie *Złoto Jesieni*.

## Rozdział 34

Beth wpatrywała się jak zahipnotyzowana w górujący nad nami kadłub wielkiej łodzi.

Prawdę mówiąc, mnie też trochę zaskoczył jej widok. Ryk sztormu i hałas naszych silników sprawił, że wcześniej jej nie usłyszałem. Poza tym widoczność była ograniczona, a na chris--crafcie nie paliły się żadne światła pozycyjne.

Tak czy owak Fredric Tobin przechytrzył nas i oczyma duszy widziałem już, jak dziób *Złotej Jesieni* rozszczepia rufę *Sondry* — typowy freudowski obraz, jeśli istnieje coś takiego.

Wyglądało na to, że zaraz zostaniemy zatopieni.

Zorientowawszy się, że go widzimy, pan Tobin włączył elektryczną tubę.

— Pierdolę was! — zawołał.

Naprawdę.

Otworzyłem przepustnice i odległość między nami zaczęła się zwiększać. Freddie wiedział, że nawet na wzburzonym morzu nie jest w stanie nas dogonić.

— Pierdolę was! — pozdrowił nas ponownie. — Jesteście oboje martwi! Już nie żyjecie!

Miał trochę skrzekliwy głos, ale może to była wina tuby.

Beth wyciągnęła w którymś momencie swojego glocka i ukucnęła za fotelem, opierając dłoń z pistoletem o jego oparcie. Myślałem, że będzie strzelać, ale ona czekała.

Zerknąłem na jacht i spostrzegłem, że Tobin nie stoi na odsłoniętym mostku na górze, ale w kabinie, która wyposażona była w kompletny drugi zestaw przyrządów. Zauważyłem również, że prawa szyba kabiny była podniesiona w górę. Co ciekawsze, kapitan

Freddie wychylał się przez otwarte okno, trzymając w prawej ręce strzelbę i sterując, jak sędzę, lewą. Prawe ramię opierał o framugę okna, a strzelba wycelowana była prosto w nas.

Obie łodzie skakały dziko na falach, było ciemno, wiał huragan i dlatego pewnie Tobin nie otworzył jeszcze ognia.

— Poślij mu parę kulek — zawołałem do Beth.

— Nie wolno mi strzelać, dopóki on nie zacznie.

— Strzelaj, kurwa!

Strzeliła. Dokładnie rzecz biorąc, opróżniła cały liczący piętnaście kul magazynek i zobaczyłem, że przednia szyba obok Tobina rozsypuje się na kawałki. Zauważyłem również, że pan Tobin nie wychyla się już ze strzelbą przez okno.

— Dobra robota! — zawołałem do Beth.

Włożyła kolejny magazynek do pistoletu i wzięła na cel jacht.

Oglądając się stale przez ramię, próbowałem sterować łodzią na coraz bardziej wzburzonym morzu. Ni stąd, ni zowąd Tobin wychylił się przez okno i ujrzałem błysk ognia z lufy jego strzelby.

— Kryj się! — wrzasnąłem.

Zobaczyłem trzy kolejne błyski i usłyszałem, jak pociski trafiają w tablicę rozdzielczą. A potem pękła moja przednia szyba. Beth strzelała również, nie tak szybko jednak i dokładniej niż poprzednio.

Wiedziałem, że jesteśmy gorzej uzbrojeni, i dodałem gazu, przecinając grzbiety fal i oddalając się od jachtu. Kiedy dzieliło nas sześćdziesiąt stóp, przestaliśmy się widzieć. Usłyszałem trzask tuby, a potem dobiegł nas blaszany cienki głos.

— Pierdolę was! Zatoniecie! Nie przeżyjecie tej burzy! Pierdolę was!

Nie był to uprzejmy i dobrze wychowany dżentelmen, którego poznałem i którego nie lubiłem. To był facet, który przegrał.

— Jesteście martwi! Oboje, kurwa, zginiecie!

Naprawdę denerwowało mnie wysłuchiwanie obelg od człowieka, który właśnie zamordował moją ukochaną.

— Ten skurwiel nie ma prawa żyć — powiedziałem do Beth.

— Nie pozwól mu wyprowadzić się z równowagi, John. Jest skończony i wie o tym. Wpadł w desperację.

Wpadł w desperację? My też nie byliśmy w najlepszej formie.

Beth stanęła w pozycji strzeleckiej twarzą do rufy i trzymała pistolet wsparty o szczyt fotela.

— Zatocz szerokie koło, John, żebyśmy mogli zająć go od tyłu — powiedziała.

— Nie jestem admirałem Johnem Paulem Jonesem i to nie jest bitwa morska.

— Nie chcę, żeby za nami płynął!

— Nie przejmuj się nim. Miej po prostu oczy szeroko otwarte. — Zerknałem na wskaźnik paliwa i zobaczyłem, że jest między jedną ósmą a zerem. — Nie mamy benzyny na manewry — dodałem.

— Myślisz, że płynie na Plum Island? — zapytała.

— Tam jest złoto.

— Ale wie, że go zdemaskowaliśmy.

— Dlatego właśnie będzie starał się nas zabić — wyjaśniłem. — Albo przynajmniej zobaczyć, że przewróciliśmy się do góry dnem i zatonieliśmy.

Beth przez jakiś czas milczała.

— Jak to się stało, że go wyprzedziliśmy? — zapytała w końcu.

— Chyba dlatego, że szybciej płyniemy. Prawa fizyki.

— Masz jakiś plan?

— Nie. A ty?

— Czy nie pora zawinąć do bezpiecznego portu?

— Może i pora. Ale nie możemy zawrócić. Nie chcę nadziei się znowu na strzelbę Freddiego.

Beth znalazła na pokładzie oprawioną w plastik mapę i rozłożyła ją na tablicy rozdzielczej.

— To musi być latarnia morska Long Beach Bar — powiedziała, wskazując ręką.

Zerknałem w prawo i zobaczyłem słabe migoczące światełko.

— Jeśli popłyniemy na lewo od latarni morskiej, zobaczymy boje, które zaprowadzą nas do East Marion albo Orient — dodała. — Możemy gdzieś zawinąć i zawiadomić Straż Przybrzeżną i ochronę Plum Island o zaistniałej sytuacji.

Spojrzałem na mapę, na którą padało światło lampki zamontowanej na tablicy rozdzielczej.

— Nie ma mowy, bym przeplłynął podczas takiej burzy przez te wąskie kanały — oznajmiłem. — Jedynym portem, do którego dałbym radę zawinąć, jest Greenport albo może Dering, ale Freddie blokuje nam do nich drogę.

— Innymi słowy, już go nie ścigamy. To on nas ściga... a my uciekamy przed nim na otwarte morze — stwierdziła.

— Można powiedzieć, że wciągamy go w pułapkę.

— Jaką pułapkę?

— Wiedziałem, że o to zapytasz. Zaufaj mi.

— Dlaczego mam ci ufać?  
— A dlaczego nie? — Zmniejszyłem moc i motorówka trochę zwolniła. — Właściwie podoba mi się taka sytuacja. Wiem teraz z całą pewnością, gdzie on jest i dokąd płynie. W gruncie rzeczy wolałbym zmierzyć się z nim na lądzie — dodałem. — Spotkamy się z nim na Plum Island.  
Beth złożyła mapę i obejrzała się przez ramię.  
— Dobrze — mruknęła. — Ma lepszą łódź i jest lepiej uzbrojony.  
— Zgadza się — odparłem, obierając kurs, który miał poprowadzić nas po prawej stronie latarni morskiej i na Gardiners Bay, a potem ku Plum Island. — Ile zostało ci naboju? — zapytałem.  
— Dziewięć w pistolecie i jeden magazynek w kieszeni.  
— Wystarczy. Nieźle do niego grzałaś — stwierdziłem, zerkając na nią.  
— Niespecjalnie.  
— Nie pozwoliłaś mu dobrze wycelować. Może nawet go trafiłaś.  
Nie odpowiedziała.  
— Słyszałem, jak ta ostatnia kula zaświstała mi koło ucha, a potem rozbiła przednią szybę. Jezu! Zupełnie jak w dobrych starych czasach na Manhattanie. Nic ci się nie stało? — zapytałem po chwili.  
— Nie wiem...  
Posłałem jej szybkie spojrzenie.  
— Co jest?  
— Nie jestem pewna...  
— Beth? Co się stało?  
Zobaczyłem, jak wsuwa lewą rękę pod kurtkę i krzywi się z bólu. Kiedy ją wyjęła, miała całą dłoń we krwi.  
— Cholera... — zakłęła.  
Dosłownie mnie zatkało.  
— To śmieszne — powiedziała. — Nie zdawałam sobie sprawy, że mnie trafił. A potem poczułam to ciepło. Ale to nic strasznego... tylko draśnięcie.  
— Jesteś pewna?  
— Tak. Czuję, którądy przeszedł pocisk.  
— Zobaczymy. Chodź tutaj.  
Podeszła do mnie bliżej, obróciła się w stronę rufy, rozluźniła kamizelkę ratunkową i uniosła w górę kurtkę i koszulę. Tułów między piersią i biodrem miała pokryty krwią. Dotknąłem go prawą ręką, trzymając lewą ster.  
— Spokojnie...

Wymacałem ranę i z ulgą stwierdziłem, że to rzeczywiście tylko draśnięcie biegnące wzdłuż dolnego żebra. Było głębokie, ale kula nie naruszyła kości.

Beth westchnęła, kiedy wsadziłem palce w ranę.

— To nic takiego — stwierdziłem, cofając rękę.

— Mówiłam ci.

— Podnieca mnie po prostu wsadzanie paluchów w rany postrzałowe. Boli cię?

— Przedtem nie bolało. Teraz boli.

— Zejdź na dół i poszukaj zestawu pierwszej pomocy.

Beth zeszała do kabiny, a ja omiotłem wzrokiem horyzont. Choć było ciemno, widziałem po obu stronach cyple, które oznaczały koniec względnie spokojnej cieśniny.

Minutę później znaleźliśmy się na Gardiners Bay. Po dwóch minutach morze wyglądało, jakby ktoś przekreślił programator na wirowanie. Wiatr wył, fale łamały się, łódź odmawiała posłuszeństwa, a ja rozważałem stojące przede mną możliwości.

Beth wyczołgała się z kabiny i złapała za uchwyt przy tablicy rozdzielczej.

— Dobrze się czujesz? — zapytałem, przekrzykując wiatr i huk fal.

Pokiwała głową.

— John! Musimy zawrócić! — zawołała.

Wiedziałem, że ma rację. Formuła, podobnie jak ja, nie była stworzona do takich rzeczy. A potem przypomniałem sobie, co powiedział mi Tom, siedząc na mojej werandzie tamtej nocy, która wydawała się tak odległa. Bezpieczna łódź to taka, która stoi w porcie. Ale nie po to przecież buduje się łódzie.

Prawdę mówiąc, nie przerażało mnie już morze, a nawet groźba śmierci. Napędzała mnie czysta adrenalina i nienawiść. Spojrzałem na Beth i nasze oczy się spotkały. Chyba to zrozumiała, lecz nie chciała uczestniczyć w moim szaleństwie.

— John... jeśli zginiemy, ujdzie mu to na sucho — powiedziała.

— Musimy zawinąć do jakiegoś portu albo zatoczki.

— Nie mogę... chodzi o to, że wpadniemy na skały i zatoniemy. Musimy płynąć dalej.

Nie odezwała się.

— Możemy zawinąć na Plum Island — dodałem. — Potrafię wpłynąć do tej zatoczki. Jest dobrze oznaczona i oświetlona. Mają własny generator.

Beth rozłożyła mapę i wpatrywała się w nią, jakby tam właśnie

kryła się odpowiedź na nasz dylemat. Tymczasem, na co zwróciłem już jej uwagę, jedyne możliwe porty, Greenport i Dering, leżały z tyłu i zamykał nam do nich drogę Tobin.

— Teraz, kiedy jesteśmy na otwartym morzu — stwierdziła — możemy zatoczyć krąg, ominąć go i wrócić do Greenport.

Potrząsnąłem głową.

— Musimy trzymać się oznakowanego toru, Beth. Jeśli znikną nam z oczu te boje, jesteśmy straceni. Płyniemy wąskim szlakiem i goni nas facet ze strzelbą. Jedyne wyjście to uciekać dalej do przodu.

Spojrzała na mnie i widziałem, że nie do końca mi wierzy, co było zrozumiałe, ponieważ nie mówiłem jej całej prawdy. Prawda była taka, że chciałem zabić Fredrica Tobina. Kiedy odkryłem, że zabił Toma i Judy, wystarczała mi świadomość, że uśmierci go stan Nowy Jork. Po tym jak zabił Emmę, musiałem zabić go sam. Telefon do Straży Przybrzeżnej i na Plum Island nie wyrównywał rachunków. A skoro mowa o wyrównywaniu rachunków, zastanawiałem się, gdzie jest tej nocy Paul Stevens.

— Nie żyje pięć niewinnych osób, John — oświadczyła Beth, wyrывая mnie z zamyślenia — i to jest o pięć osób za dużo. Nie pozwolę ci narażać swojego i mojego życia. Zawracamy. Natychmiast.

Spojrzałem jej w oczy.

— Weźmiesz mnie na muszkę? — zapytałem.

— Jeśli mnie zmusisz.

— Dam sobie radę, Beth — powiedziałem, wciąż patrząc jej w oczy. — Wiem, że sobie poradzę. Nic nam się nie stanie. Zaufaj mi.

Wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę.

— Tobin zamordował Emmę Whitestone pod twoim nosem — stwierdziła w końcu — i robiąc, to uraził twoje ego, twoją męską dumę i wyobrażenie, jakie masz o sobie. To cię napędza. Prawda?

Nie było sensu kłamać.

— Częściowo — odparłem.

— A co jeszcze?

— Byłem w niej zakochany.

Beth pokiwała głową i przez chwilę wydawała się pogrążona w myślach.

— Okej — mruknęła w końcu — skoro i tak masz zamiar nas pozabijać, równie dobrze możesz znać całą prawdę.

— Jaką całą prawdę?

— Ten, kto zabił Emmę Whitestone — odpowiedziała — a zakładam, że był to Tobin, najpierw ją zgwałcił.

Nie odpowiedziałem. Muszę przyznać, że specjalnie mnie to nie zaskoczyło. W każdym mężczyźnie, nawet w takim bufonie jak Fredric Tobin, jest coś prymitywnego, ciemnego, i obejmując nad nim władzę, to coś uzewnętrznia się w łatwy do przewidzenia i bardzo pociły sposób. Mogę powiedzieć, że wszystko to już widziałem: gwałt, tortury, porwania, okaleczenia, zabójstwa — cały kodeks karny. Po raz pierwszy jednak lajdak wysłał sygnał osobiście pod moim adresem. I nie potrafiłem przyjąć tego z moim normalnym chłodem. Zgwałcił ją. I gwałcąc ją, gwałcił równocześnie mnie — albo tak mu się przynajmniej wydawało.

Żadne z nas przez jakiś czas się nie odzywało; hałas silników, morze i wiatr utrudniały wszelką rozmowę i nawet mi to odpowiadało.

Beth siadła na lewym fotelu, objęła się rękoma, a łódź kołysała się wzdłużnie i bocznie, myszkowała i robiła wszystko z wyjątkiem wirowania i nurkowania.

Stałem przy sterze, opierając się udami o siedzenie. Wiatr wiał przez stłuczoną przednią szybę, a deszcz zaczął ze wszystkich stron. Paliwo kończyło się, a ja byłem przemoczony, zmarznięty i bardzo wzburzony tym, co Tobin zrobił Emmie. Beth zapadła w dziwne milczenie, niemal katatonię i wpatrywała się prosto przed siebie w nadbiegające fale.

W końcu ożywiła się i obejrzała przez ramię. Bez słowa wstała z fotela i ruszyła do tyłu. Zerknąłem na nią i zobaczyłem, że klęka na rufie i wyjmuje swojego glocka. Spojrzałem na morze, nie widziałem jednak nic poza sunącymi za rufą wielkimi jak góry falami. A potem, gdy motorówka znalazła się na szczycie jednej z nich, ujrzałem ponownie mostek chris-crafta, który płynął nie dalej niż sześćdziesiąt stóp za nami i szybko się zbliżał. Postanowiłem zmniejszyć moc, zostawiając jej tylko tyle, by móc kierować łodzią. Beth usłyszała, że silniki obniżyły obroty, obejrzała się, kiwnęła głową na znak, że rozumie, po czym odwróciła się z powrotem w stronę jachtu i wzięła go na muszkę. Musieliśmy stawić czoło bestii.

Tobin nie spostrzegł, że zwolniliśmy. Nim się zorientował i przygotował do strzału strzelbę, chris-craft znalazł się w odległości dwudziestu stóp od nas i Beth zaczęła pruć w kierunku ciemnej sylwetki w oknie kabiny. Obserwowałem to, oglądając się za siebie i starając się jednocześnie celować dziobem motorówki w nadbiegające fale.



Tobin zniknął w środku kabiny i myślałem, że go trafiła. Ale potem zapalił się nagle zamontowany na dziobie jachtu reflektor, oświetlając motorówkę i klęczącą na rufie Beth.

— Niech to diabli!

Beth wsuwała ostatni magazynek do glocka, a Tobin puścił ster i pojawił się ponownie w oknie, trzymając oburącz strzelbę.

Wyciągnąłem moją trzydziestkęsemkę, obróciłem się na pięcie i opierając plecami o ster, próbowałem wziąć go na muszkę. Strzelba Tobina wycelowana była w Beth; dzieliło ich mniej niż piętnaście stóp.

Przez ułamek sekundy wszystko jakby zastygło w bezruchu: obie łodzie, Beth, Tobin i samo morze. Strzeliłem. Wycelowana w Beth lufa strzelby skierowała się ku mnie. Dostrzegłem błysk wystrzału, ale w tym samym momencie pozbawiony sternika chris-craft odbił w lewo i Tobin chybił. Jacht płynął teraz po prawej stronie motorówki i zobaczyłem Freddiego w bocznym oknie. On też mnie zobaczył i przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Strzeliłem znowu, tym razem trzykrotnie, rozbijając boczną szybę. Kiedy spojrzałem tam ponownie, nie było go.

Zauważyłem także, że Tobin holuje za sobą whalera, którego widziałem w hangarze. Nie miałem teraz wątpliwości, że zamierzał użyć mniejszej łódki, żeby dostać się na Plum Island.

Jacht wszedł w dryf i widać było, że nikt nim nie steruje. Już myślałem, że trafiłem Tobina, kiedy dziób chris-crafta wyprostował się i ponownie padło na nas światło reflektora. Beth wypaliła w nie i za trzecim strzałem reflektor eksplodował sypiąc iskrami i szkłem.

Niezrażony tym Tobin dodał gazu. Dziób jego jachtu zbliżył się do naszej rufy i byłby nas zmiażdżył, gdyby nie Beth, która wyjęła z kieszeni kurtki rakiетnicę i wypaliła z niej prosto w okno chris-crafta. Fosfor wybuchł oślepiającym blaskiem i jacht odbił ostro w lewo. Tobin, jak się domyślałem, musiał puścić ster i poszukać schronienia. Niewykluczone, że był poparzony, oślepiiony albo martwy.

— Uciekaj! Uciekaj! — krzyczała Beth.

Otworzyłem już wcześniej przepustnicę i formuła nabierała prędkości.

Widziałem płomienie ognia, które lizały mostek chris-crafta. Beth i ja spojrzeliśmy na siebie, mając nadzieję, że może nam się udało. Ale po chwili płomienie zgasły. Z odległości czterdziestu stóp ponownie usłyszeliśmy trzaski tuby. Mały kurdupel znowu miał nam coś do zakomunikowania.

— Dorwę cię, Corey! I ciebie też, ty dziwko! Zabiję was oboje! Zabiję was!

— Odnoszę wrażenie, że mówi serio — powiedziałem do Beth.

— Jak śmiał mnie nazwać dziwką?

— Tylko tak się z tobą drażni. Nie zna cię, więc skąd może wiedzieć, że jesteś dziwką? Oczywiście zakładając, że nią jesteś.

— Wiem, co chciałeś powiedzieć.

— Oczywiście.

— Dodaj gazu, John. On znowu się zbliża.

Przyspieszyłem, ale większa prędkość sprawiła, że łódź straciła stabilność. Uderzyłem w nadbiegającą falę z taką siłą, że dziób uniósł się zbyt stromo do góry i myślałem, że wywinie koziółka. Usłyszałem krzyk Beth i przestraszyłem się, że wypadła za burteł, ale kiedy opadliśmy z powrotem, przeturlała się po pokładzie i spadła ze schodów.

— Wszystko w porządku? — zawołałem, widząc, że się nie rusza.

Podniosła się na czworakach i wczołgała na górę.

— Nic mi nie jest...

— Idź na dół i trochę odpocznij — powiedziałem, zmniejszając moc.

Beth potrząsnęła głową i wcisnęła się między fotel i tablicę rozdzielczą.

— Ty uważaj na fale i boje. Ja będę uważać na Tobina — oznajmiła.

— Dobrze.

Przyszło mi do głowy, że Beth chyba ma rację. Może powinienem zatoczyć krąg i popłynąć za nim, zamiast pozwalać mu płynąć za sobą. Siedząc w suchej wygodnej kabinie, nie zobaczy nas i będziemy mogli wejść na pokład jachtu. Ale jeśli nas dostrzeże, ponownie zajrzemy w lufę jego strzelby.

Jedyną naszą przewagą była szybkość, ale przekonaliśmy się, że nie możemy jej w pełni wykorzystać przy tej pogodzie.

— Nieźle nam idzie — rzuciłem do Beth.

Nie odpowiedziała.

— Masz jeszcze kilka rakiet sygnalizacyjnych?

— Pięć.

— To świetnie.

— Niezupełnie. Zgubiłam rakiетnicę.

— Chcesz, żebyśmy wrócili i jej poszukali?

— Znudziły mi się twoje żarty.

— Mnie też. Ale to jedyne, co nam pozostało.

Płynęliśmy więc dalej w milczeniu przez morze, które robiło się, jeśli to jeszcze możliwe, coraz bardziej wzburzone.

— Myślałam, że już po mnie — stwierdziła po pewnym czasie Beth.

— Nie wolno nam dopuścić go znowu na tak bliską odległość — powiedziałem.

— Przestał we mnie celować, żeby strzelić do ciebie.

— Taki już mój los. Kiedy ktoś ma tylko jedną kulę, zawsze wybiera mnie.

Prawie się uśmiechnęła, a potem zeszła do kabiny. Minutę później wróciła, trzymając w ręku butelkę piwa.

— Za każdym razem, kiedy zrobisz coś dobrego, dostaniesz piwo — oznajmiła.

— Nie zostało mi już wiele sztuczek. Ile masz jeszcze butelek?

— Dwie.

— Powinno wystarczyć.

Rozważałem stojące przede mną możliwości i zdałem sobie sprawę, że nie mam ich wiele. Mogłem zawinąć tylko do dwóch portów: przystani promowej w Orient Point i portu na Plum Island. Orient Point mijaliśmy prawdopodobnie po lewej stronie, Plum Island leżała dwie mile dalej. Spojrzałem na wskaźnik paliwa. Iglą znajdowała się na czerwonym polu, ale nie dotykała jeszcze zera.

Morze było tak wzburzone, że tylko z rzadka mogłem dostrzec boje toru wodnego. Wiedziałem, że siedzący wysoko w swojej kabynie Tobin ma lepszy widok na boje i na nas. I kiedy o tym pomyślałem, nagle uświadomiłem sobie, że musi mieć radar — antykolizyjny radar, dzięki któremu nas odnalazł. Musiał mieć również głębokościomierz, co znacznie ułatwiało mu nawigację, jeśli nawet stracił z oczu boje. Krótko mówiąc, *Sondra* nie mogła się równać ze *Złotem Jesieni*.

— Niech to szlag...

Fale coraz częściej łamały się nad dziobem i burtami i czułem, że motorówka robi się cięższa. Widziałem też, że płyniemy coraz głębiej zanurzeni. Dodatkowy balast hamował nas i powodował, że spalaliśmy więcej paliwa. Zdałem sobie sprawę, że przy tej szybkości Tobin ma szansę nas dogonić. Przegrywaliliśmy bitwę z morzem i z przeciwnikiem.

Zerknąłem na Beth, która wyczuła to i nasze oczy się spotkały.

— Na wypadek, gdybyśmy wywrócili się do góry dnem albo zatonęli, chcę, żebyś wiedział, że cię lubię.

— Wiem o tym — odparłem z uśmiechem. — Przepraszam cię — dodałem. — Nigdy nie powinienem...

— Zamknij się i steruj.

Skoncentrowałem uwagę na sterze. Formula płynęła teraz tak wolno, że powracająca fala zalewała rufę. Za kilka minut albo zatoniemy, albo woda zaleje silniki, albo dopadnie nas Tobin i tym razem nie zdołamy uciec.

Beth wciąż go wypatrywała. Zauważyła, że woda zalewa rufę, i nie mogła nie spostrzec, że łódź płynie wolniej i ma coraz większe zanurzenie.

— Niedługo całkiem nas zaleje, John — stwierdziła.

Zerknąłem na wskaźnik paliwa. Jedyne, co mogłem zrobić, to zwiększyć szybkość i zobaczyć, co się stanie. Położyłem rękę na przepustnicach i przesunąłem je maksymalnie do przodu.

Motorówka przyspieszyła, z początku niemrawo, potem bardziej zdecydowanie. Nabieraliśmy mniej wody na rufie, ale waliliśmy mocno i ciężko w każdą nadchodzącą falę. Przypominało to potwarzające się co kilka sekund zderzenie z ceglaną ścianą. Bałem się, że łódź zaraz pęknie, ale kadłub z włókna szklanego jak na razie zdawał egzamin.

Beth trzymała się fotela, podskakując i opadając przy każdym spotkaniu z falą.

Zwiększenie szybkości dało pożądany skutek, ponieważ woda przestała zalewać rufę, nie było jednak korzystne, jeśli idzie o zużycie paliwa. Mimo to nie miałem wyboru. W cudownej grze „coś za coś” moja pewność, że zaraz zatoniemy, przekształciła się w pewność, że niedługo zabraknie nam paliwa.

Doświadczenie automobilisty podpowiadało mi, że wskaźniki paliwa pokazują zawsze albo mniej, albo więcej, niż rzeczywiście znajduje się w baku. Nie wiedziałem, w którą stronę oszukuje ten wskaźnik, ale miałem się tego wkrótce dowiedzieć.

— Jak paliwo? — zainteresowała się Beth.

— Świetnie.

— Może zajedziemy na stację, żeby zatankować i zapytać o drogę? — rzuciła starając się, żeby w jej głosie zabrzmiał lżejszy ton.

— Nie. Prawdziwi mężczyźni nie pytają o drogę, a poza tym mamy dość paliwa, żeby dopłynąć do Plum Island.

Uśmiechnęła się.

— Zejdź na dół — powiedziałem.

— A co będzie, jeśli przewrócimy się do góry dnem?

— Łódź jest na to zbyt ciężka. Najwyżej zatoniemy. Ale o tym uprzedzę cię grubo wcześniej. Odpocznij trochę.

— Dobrze — odparła i zeszła na dół.

Wyjąłem mapę z otwartego schowka i przez chwilę zerkałem na przemian na nią i na morze. Daleko po lewej stronie widziałem migające stroboskopowe światło i wiedziałem, że to musi być latarnia morska w Orient Point. Spojrzałem na mapę. Gdybym skręcił teraz na północ, zdołałbym prawdopodobnie znaleźć przystań promową. Ale między przystanią i latarnią morską było tyle skał i mielizn, że tylko cudem udałoby mi się je ominąć. Mogłem również popłynąć dwie mile dalej i próbować zawinąć do portu na Plum Island. Oznaczało to jednak konieczność pokonania Plum Gut, która była wystarczająco zdradziecka przy normalnych wiatrach i prądach. Podczas sztormu — albo huraganu — żegluga nią stanowiła, mówiąc ogólnie, duże wyzwanie.

Beth wyszła z kabiny i zataczając się na boki oraz pochylając do przodu i tyłu, zaczęła wspinać się po schodach. Złapałem ją za rękę i wciągnąłem na górę, a ona dała mi w prezencie rozpakowany batonik.

— Dzięki — powiedziałem.

— Na dole woda sięga do kostek. Pompy pracują.

— To dobrze. Łódź zrobiła się jakby trochę lżejsza.

— Bardzo się cieszę. Odpocznij na dole. Teraz ja posteruję.

— Czuję się świetnie. Jak twoje małe zadrapanie?

— W porządku. Jak twój mały mózdzek?

— Zostawiłem go na brzegu — odparłem, po czym pałaszując batonik, przedstawiłem jej to, co mogliśmy jeszcze zrobić.

— Możemy więc albo rozbić się o skały przy Orient Point, albo zatonać na Plum Gut — stwierdziła, trafnie oceniając nasze szanse.

— Właśnie. Przekroczyliśmy punkt, w którym mogliśmy wrócić do Greenport — dodałem, stukając palcem wskaźnik paliwa.

— Wydawało mi się, że już wcześniej nie mieliśmy szans tam dotrzeć.

— Chyba tak. No więc co robimy? Orient czy Plum?

Przez chwilę spoglądała na mapę.

— Na drodze do Orient Point czyha zbyt wiele niebezpieczeństw — stwierdziła i zerknęła w lewo. — Nie widzę ani jednej boi toru wodnego. Nie zdziwiłabym się, gdyby okazało się, że niektóre urwały się i odplynęły.

Pokiwałem głową.

— No tak...

— I zapomnij o Plum Gut — dodała. — Przy tym sztormie jakież szanse ma tam jedynie oceaniczny liniowiec. Gdyby w zbiorniku było więcej paliwa, moglibyśmy wypłynąć na pełne morze i poczekać, aż to się skończy. Nie mamy żadnych opcji — zakończyła, podnosząc wzrok.

I chyba miała rację. Tom i Judy powiedzieli mi kiedyś, że skłonność do żeglowania w stronę lądu w sztormową pogodę okazuje się często błędem. Wybrzeże jest zdradzieckie; to tam właśnie łamiące się fale mogą zmiażdżyć lub przewrócić do góry dnem łódź lub zagnać ją na skały. Podczas sztormu lepiej jest właściwie wypłynąć na pełne morze, oczywiście jeśli ma się zagłę albo paliwo. Ale my nie mogliśmy zrobić nawet tego, ponieważ deptał nam po piętach facet ze strzelbą i radarem. Nie pozostawało nic innego jak płynąć dalej i przekonać się, co takiego przygotował dla nas Bóg i natura.

— Nie będziemy zmieniać kursu i szybkości — oznajmiłem.

Beth pokiwała głową.

— Dobrze. To wszystko, co możemy zrobić. A to co...?

Zerknąłem na nią i zobaczyłem, że spogląda w stronę rufy.

Obejrzałem się, ale nic nie dostrzegłem.

— Widziałam go — zawołała. — Chyba go widziałam.

Skoczyła na fotel i przez kilka sekund udawało jej się zachować równowagę. Kolejny przechył przewrócił ją, ale szybko się zerwała.

— Jest tuż za nami!

— Niech to diabli! — Wiedziałem teraz, że skurwysyn na pewno ma radar. Dobrze, że nie próbowałem go zejść od tyłu. — Nie chodzi o to, że mamy pecha — wyjaśniłem Beth. — Na chris-craftcie jest radar. Tobin widział nas od samego początku.

— Nie mamy gdzie uciec i nie mamy gdzie się schować — stwierdziła, kiwając głową.

— Na pewno nie mamy gdzie się schować, lecz będziemy próbowali uciec.

Otworzyłem przepustnice i przyśpieszyliśmy.

Nie odzywaliśmy się ani słowem, gdy motorówka pruć z trudem fale. Oceniałem, że płynię z szybkością dwudziestu węzłów — stanowiło to jedną trzecią tego, co mogła osiągnąć przy spokojnej fali i bez wody w żezie oraz kabinie. Chris-craft wyciągał przy tej pogodzie co najmniej dwadzieścia węzłów i dlatego był w stanie nas dogonić.

— On się zbliża, John — ostrzegła Beth.

Oglądając się, zobaczyłem niewyraźną sylwetkę łodzi Tobina,

która szybowała na szczycie fali. Za jakieś pięć minut albo jeszcze szybciej będzie mógł wziąć nas na cel. Moja trzydziestkaósemka i glock Beth były w tej sytuacji w zasadzie bezużyteczne, chyba że uśmiechnęłoby się do nas szczęście.

— Ile ci zostało naboju? — zapytała Beth.

— Policzmy... w cylindrze mieści się pięć... wystrzeliłem cztery... więc ile kul zostało gliniarzowi, jeśli...

— To nie są, kurwa, żarty!

— Chciałem tylko, żebyś się rozchmurzyła.

Ze skromnych ust pani Penrose wydobyło się kilka słów na cztery litery.

— Nie możesz rozpędzić bardziej tej pierdolonej łajby?

— Mogę. Przynies z dołu coś ciężkiego i wybij przednią szybę.

Beth, dała nurka na dół i po chwili pojawiła się z powrotem z gaśnicą. Wybiła nią szybę i wyrzuciła gaśnicę za burtę.

— Przy tej szybkości nie powinniśmy nabierać dużo wody — powiedziałem. — Pompy będą z każdą minutą zmniejszać obciążenie i wkrótce popłyniemy szybciej. Poza tym przez cały czas spalamy to ciężkie paliwo.

— Nie musisz mnie uczyć fizyki.

W jej głosie brzmiała wściekłość i było to o wiele lepsze od cichej rezygnacji, która ogarnęła ją wcześniej. Dobrze jest być wkurzonym, kiedy sprzysięga się przeciwko komuś człowiek i natura.

Beth zbiegła jeszcze na dół kilkakrotnie i wracając za każdym razem wyrzucała coś za burtę, w tym również niestety piwo z lodówki. Udało jej się nawet wtaskać po schodach i cisnąć do morza przenośny telewizor. Wyrzuciła również trochę ubrań i butów i przyszło mi do głowy, że, jeśli zdołamy uciec, Freddie zobaczy unoszące się na wodzie szczątki i dojdzie do wniosku, iż zatonęliśmy.

Nabieraliśmy trochę prędkości, ale jacht doganiał nas i nie ulegało kwestii, że wkrótce znajdziemy się pod ostrzałem.

— Ile zostało ci kul? — zapytałem Beth.

— Dziewięć.

— Miałaś tylko trzy magazynki?

— Tylko? Paradujesz z pięciostzałową pukawką bez jednego zapasowego naboju i masz jeszcze czelność... — Nagle przerwała, ukucnęła za siedzeniem i wyciągnęła pistolet. — Widziałam błysk z lufy — wyjaśniła.

Obejrzałem się i faktycznie zobaczyłem Nieustraszonego Fred-

diego w pozycji strzeleckiej. Lufa błysnęła ponownie. Strzelanie do siebie z dwóch miotanych falami łodzi jest łatwe; trafienie kogokolwiek o wiele trudniejsze, w związku z czym na razie zbytnio się nie przejmowałem. W pewnej chwili jednak i on, i my znaleźliśmy się na szczycie fali, a Tobin miał przewagę wynikającą z wyższej pozycji i dłuższej lufy.

Beth wstrzymywała się rozsądnie z rozpoczęciem ognia.

Po lewej stronie, znacznie bliżej niż poprzednio, zobaczyłem latarnię morską Orient Point. Uświadomiłem sobie, że choć starałem się płynąć na wschód, wiatr spychał mnie przez cały czas na północ. Uświadomiłem sobie także, że możemy zrobić tylko jedno. I zrobiłem to. Skrzyłem ostro w lewo i łódź skierowała się w stronę Plum Gut.

— Co ty wyprawiasz? — zawołała Beth.

— Płyniemy na Plum Gut.

— Zatonimy tam!

— Albo zatonimy tam, albo zastrzeli nas Tobin. Może też staranować łódź i śmiać się, patrząc, jak idziemy na dno. Jeśli zatonimy na Plum Gut, może zatonię razem z nami — dodałem.

Nie odpowiedziała.

Sztorm nadszedł z południa i kiedy tylko skierowałem dziób na północ, formuła nabrała szybkości. Po minucie zobaczyłem z prawej strony zarys Plum Island. Po lewej miałem latarnię Orient Point. Wycelowałem w punkt pomiędzy latarnią i brzegiem wyspy, w sam środek Plum Gut.

Tobin z początku nas ścigał, ale kiedy fale zrobiły się jeszcze większe, a wiatr wiejący między dwoma masywami lądu pokonał barierę dźwięku, straciliśmy go z oczu i doszedłem do wniosku, że dał za wygraną. Wydawało mi się, że wiem, co zamierza teraz zrobić, i miałem nadzieję, że przeżyję następny kwadrans, żeby przekonać się, czy się nie myliłem.

Znajdowaliśmy się na wodach Plum Gut, między Orient Point na zachodzie, Plum Island na wschodzie, Gardiners Bay na południu i cieśniną Long Island na północy. Stevens wspominał, że huragan sprzed kilku lat pogłębił tutaj dno i nie miałem powodu, żeby mu nie wierzyć. To, co się wokół nas działo, przypominało gigantyczną pralkę, która porywała z dna wszystko, co się dało: piasek, wodorostry, kawałki drzewa, śmieci i wszelkiego rodzaju odpadki. Nie udawałem już nawet, że steruję łodzią. Formuła stała się po prostu jednym z wielu szczątków niesionych prądem. Kilka razy zatoczyliśmy krąg i dziób wskazywał kolejno południe, wschód i zachód,



lecz sztorm spychał nas konsekwentnie na północ, w stronę cieśniny, czyli tam, gdzie chciałem się znaleźć.

Pomyśl, żeby wpłynąć do portu na Plum Island, wydawał się teraz prawie śmieszny.

Beth dopelzła jakoś do mnie, usadowiła się na moim fotelu i objęła mnie rękoma i nogami. Ja trzymałem się z całej siły steru. Nie mogliśmy prawie rozmawiać, ale wtuliła twarz w mój kark i słyszałem, jak szepcze: „Boję się”.

„Boję się”? Ja byłem półprzytomny ze strachu. W życiu nie doświadczyłem czegoś tak strasznego z wyjątkiem może marszu do ołtarza.

Motorówką rzucało na wszystkie strony i totalnie straciłem orientację. Były momenty, kiedy uświadamiałem sobie, że fruniemy, i wiedziałem, że formuła, która zachowywała się stabilnie na wodzie, może wywrócić się do góry dnem w powietrzu. Moim zdaniem tylko woda w zębie utrzymywała nas kilem w dół podczas skoków w stratosferę.

Widząc, że śruby częścię kręcą się w powietrzu niż w wodzie, miałem dość przytomności umysłu, by przełączyć silniki na jałowy bieg. Dbalność o ekonomię paliwa to strategia długoterminowa, a my liczyliśmy teraz każdą sekundę, ale w końcu nigdy nic nie wiadomo.

Beth tuliła się do mnie coraz mocniej i gdyby nie to, że w każdej chwili groziła nam śmierć, sprawiłoby mi to pewną przyjemność. Miałem nadzieję, że fizyczny kontakt dodaje jej trochę otuchy. Na pewno dodawał otuchy mnie.

— Jeśli wpadniemy do wody, trzymaj mnie mocno — szepnęła mi do ucha.

Pokiwałem głową i pomyślałem ponownie o Tobinie, który zamordował pięcioro znacznych ludzi i był na najlepszej drodze, żeby doprowadzić do śmierci kolejnych dwojga. Nie mogłem uwierzyć, że ten mały wypierdek rzeczywiście spowodował tyle zła. Jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodziło mi do głowy, było stwierdzenie, że mali ludzie o paciorkowatych oczach i wybujanych apetytach są niebezpieczni i bezwzględni. Naprawdę mają na pieńku ze światem. Zgadza się? Choć to chyba nie wyjaśnia wszystkiego.

Tak czy owak lecieliśmy przez Plum Gut niczym bańka śliny przez słomkę. Wydaje mi się, że paradoksalnie ocaleliśmy dzięki sile sztormu i temu, że trwał właśnie przypyływ. Cały napór morza, wiatr i prądy skierowane były na północ, co w pewnym sensie niwelowało normalne tutaj zdradzieckie wiry i podmuchy. Jeśli wolno nadużyć analogii, różnica była taka jak między znalezieniem

się w sedesie w trakcie spuszczenia wody i płynięciem rurą odpływową.

Po jakimś czasie znaleźliśmy się w cieśninie Long Island i wiatr oraz fale nieco osłabły. Dodałem gazu i skierowałem łódź na wschód.

Beth wciąż mnie obejmowała, ale już nie tak mocno.

Po prawej stronie majaczył przed nami ciemny kształt starej latarni morskiej na Plum Island. Wiedziałem, że kiedy ją minimy, znajdziemy się na spokojniejszych wodach, podobnie jak wtedy gdy przed sztormem i wiatrem chroniła nas Shelter Island. Plum Island była niższa i bardziej wystawiona na otwarty Atlantyk niż Shelter, ale powinna nas trochę osłonić.

— Jeszcze żyjemy? — zapytała Beth.

— Jasne — odparłem. — Byłaś bardzo dzielna. Bardzo spokojna.

— Sparaliżował mnie strach.

— Nieważne.

Puściłem ster i uściśnąłem jej prawą dłoń, którą zaciskała na moim brzuchu.

Po chwili znaleźliśmy się po zawietrznej Plum Island i zobaczyłem po prawej stronie nową latarnię morską. Widziałem jej wieżyczkę i zauważyłem coś w rodzaju zielonego światła, które podążało za nami. Zwróciłem na nie uwagę Beth.

— To noktowizor — stwierdziła. — Obserwuje nas któryś z podwładnych pana Stevensa.

— To chyba jedyne środki bezpieczeństwa, które zastosowali w taką noc — zgodziłem się.

Plum Island osłabiła częściowo wiatr i morze było trochę spokojniejsze. Słyszeliśmy fale, które uderzały o brzeg nie dalej niż sto jardów od nas.

Przez strugi deszczu dostrzegłem poświęć dla drzewami i zorientowałem się, że to awaryjne oświetlenie głównego budynku laboratorium. Oznaczało to, że wciąż działają generatory, a to z kolei oznaczało, że wciąż wykonują swoje zadanie filtry powietrzne i płuczki. Byłoby naprawdę nie w porządku, gdybyśmy przeżyli sztorm i po wylądowaniu na Plum Island zmarli na węglik. Naprawdę.

Beth przestała mnie obejmować i opuściła zaciszne schronienie między oparciem siedzenia i moim tyłkiem.

— Jak myślisz, co się stało z Tobinem? — zapytała, trzymając się tablicy rozdzielczej.

— Myślę, że popłynął dalej wzdłuż południowego brzegu wyspy. Uważa pewnie, że zatonęliśmy.

— Mnie też tak się wydawało — odparła.  
— Chyba że skontaktował się przez radio z kimś na Plum Island, kto wie od faceta z latarni, że nam się udało.  
— Sądzisz, że ma jakiegoś współnika na Plum Island? — zapytała po chwili.  
— Nie wiem. Ale wkrótce się tego dowiemy.  
— Dobrze... więc dokąd teraz płynie Tobin?  
— Jest tylko jedno miejsce, dokąd może płynąć, i to miejsce jest tutaj, po tej stronie wyspy.  
— Innymi słowy — stwierdziła — płynie teraz z naprzeciwka i wkrótce go spotkamy.  
— Postaramy się tego uniknąć. Ale na pewno musi się znaleźć po zawietrznej, jeśli chce dopłynąć do brzegu walerem.  
— Czy my też zamierzamy wylądować na wyspie?  
— Mam nadzieję.  
— W jaki sposób?  
— Spróbuję dobić do brzegu.  
Ponownie wzięła do ręki mapę.  
— Prawie wzdłuż całej plaży ciągną się mielizny i skały.  
— Więc wybierz takie miejsce, gdzie ich nie ma.  
— Postaram się.  
Przez kolejne dziesięć minut płynęliśmy na wschód. Spojrzałem na wskaźnik paliwa i zobaczyłem, że pokazuje zero. Wiedziałem, że powinienem dobić do brzegu właśnie teraz, bo jeśli zabraknie mi paliwa, będę zdany na łaskę sztormu i albo wiatr pogna mnie na pełne morze, albo rozbije się o skały. Najpierw jednak chciałem przynajmniej zobaczyć jacht Tobina.  
— Kończy nam się paliwo, John — stwierdziła Beth.— Lepiej dobij do brzegu.  
— Za minutę.  
— Nie mamy nawet minuty. Do plaży jest jakieś sto jardów. Skręcaj.  
— Sprawdź, czy nie widać przed nami chris-crafta.  
Beth wciąż miała zawieszoną na pasku lornetkę. Podniosła ją do oczu i przez chwilę lustrowała morze przed dziobem.  
— Nie, nie widzę żadnej łodzi. Skręć w stronę plaży.  
— Jeszcze minutkę.  
— Nie. Teraz. Cały czas robiliśmy wszystko po twojemu. Teraz zrobimy to po mojemu.  
— Dobrze... — zgodziłem się.  
Zanim jednak zdążyłem wykonać skręt, wiatr nagle osłabł

i zobaczyłem nad sobą niewiarygodnie wysoki wał chmur. Co jeszcze bardziej niewiarygodne, ujrzałem nad głową nocne niebo. Ze wszystkich stron otaczały je pionowe ściany kłębiących się chmur i miałem wrażenie, że znaleźliśmy się na dnie studni. A potem zobaczyłem gwiazdy, których nigdy nie spodziewałem się już zobaczyć.

— Przechodzi nad nami oko huraganu — stwierdziła Beth.

Wiatr bardzo się uspokoił, ale fale nie. Przez okrągłą dziurę padało światło gwiazd i ujrzelśmy plażę i morze.

— Dobij do brzegu, John — powiedziała. — Nie będziemy mieli takiej drugiej szansy.

I miała rację. Widziałem łamiące się fale i mogłem dostosować się do ich rytmu, widziałem także wystające z wody skały i kipieli na płycznach i łachach piasku.

— Skręcaj!

— Jeszcze chwilę. Naprawdę chcę zobaczyć, czy ten skurwielił dobił do brzegu. Nie chcę zgubić go na wyspie.

— Nie masz paliwa, John!

— Mam mnóstwo paliwa. Wypatruj jachtu.

Beth pogodziła się chyba z moją głupotą. Podniosła do oczu lornetkę i lustrowała horyzont. Po minucie albo dwóch, które wydawały się trwać pół godziny, podniosła rękę.

— Tam! — powiedziała, podając mi lornetkę.

Wbiłem oczy w deszcz i mrok i rzeczywiście na tle ciemnego horyzontu rysował się kształt, który mógł być górnym mostkiem chris-crafta, ale równie dobrze stertą głazów.

Kiedy się zbliżyliśmy, przekonałem się, że to jednak jacht i że stoi nieruchomo, co wskazywało, że Tobin zarzucił dwie kotwice, na dziobie i rufie.

— Okej — powiedziałem, oddając Beth lornetkę. — Dobijamy. Trzymaj się. Uważaj na skały i w ogóle.

Beth uklękła na swoim siedzeniu, pochyliła się do przodu i złapała za ramę wybitej przedniej szyby. Widziałem po wyrazie jej twarzy, że przy każdym ruchu boli ją rana.

Obróciłem motorówkę dziewięćdziesiąt stopni na prawo i wycelowałem dziobem w odległą plażę. Fale zaczęły doganiać rufę i dodałem trochę gazu. Potrzebowałem paliwa jeszcze na jedną minutę.

Plaża była coraz bliżej i wyraźniej ją teraz widziałem. Uderzające o piasek fale były monstrualnie wielkie, a ich huk, w miarę jak się zbliżaliśmy, coraz głośniejszy.

— Łacha piasku po prawej stronie! — krzyknęła Beth.

Wiedziałem, że nie zdążę skręcić, dodałem więc maksymalnie gazu i orząc piasek, przeskoczyliśmy na drugą stronę. Od plaży dzieliło nas mniej niż pięćdziesiąt jardów i uwierzyłem, że mamy jakąś szansę. Nagle formuła uderzyła w coś o wiele twardszego niż piasek i usłyszałem charakterystyczny dźwięk rozrywanego włókna szklanego. Sekundę później motorówka skoczyła w górę, a potem opadła w dół z głuchym łoskotem.

Zerknąłem na Beth i zobaczyłem, że wciąż się trzyma.

Łódź zrobiła się mniej sterowna i wyobrażałem sobie potoki wody wdzierające się do środka przez pęknięty kadłub. Silniki pracowały z trudem nawet przy maksymalnie otwartych przepustnicach. Nadbiegające fale popychały nas do przodu, ale kiedy byliśmy między nimi, cofały nas denne prądy. Jeśli w ogóle zbliżaliśmy się do plaży, robiliśmy to bardzo wolno. Tymczasem kadłub nabierał stale wody. Zobaczyłem ją na najniższym stopniu schodków.

— Stoimy w miejscu! — krzyknęła Beth. — Płynmy wplaw!

— Nie. Zostań na łodzi. Zaczekamy na odpowiednią falę.

I czekaliśmy, patrząc, jak brzeg się zbliża, a potem cofa przez sześć kolejnych cykli. Oglądając się za siebie, obserwowałem rozkołysane morze. W końcu dostrzegłem formującą się idealną falę i wrzuciłem jałowy bieg. Na pół zatopiona motorówka cofnęła się trochę i znalazła się tuż pod jej grzbietem.

— Schowaj się! — krzyknąłem.

Beth zsunęła się niżej i przywarła do podstawy fotela.

Fala uniosła nas na swym grzbiecie z taką siłą, że ważyła osiem tysięcy funtów i wypełniona kilkoma tysiącami funtów wody motorówka pomknęła w przód niczym gnany prądem rzeki wiklinowy koszyk. Przewidywałem, że wjedziemy na brzeg niczym amfibie, ale to przypominało bardziej lądowanie samolotu.

Kiedy mknęliśmy w stronę plaży, miałem dość przytomności umysłu, żeby wyłączyć silniki. Nie chciałem, żeby po przeżyciu przez nas lądowania formuła eksplodowała, zakładając oczywiście, że w zbiornikach zostało trochę paliwa. Nie chciałem również, żeby ucięły nam głowy dwie kręcące się śruby.

— Trzymaj się! — wrzasnąłem.

— Nie pierdol! — odkrzyknęła.

Rąbnęliśmy dziobem w zalewaną falami plażę. Motorówka przechyliła się na bok i wyskoczyliśmy z niej w tej samej chwili, gdy w brzeg uderzyła kolejna fala. Objąłem prawą ręką jakiś głaz, a lewą złapałem za nadgarstek Beth. Kiedy fala przełamała się

i cofnęła, zerwaliśmy się na nogi i jak szaleni pobiegliśmy tam, gdzie było wyżej. Beth przez cały czas trzymała się za bok, w który została ranna.

Dobiegliśmy do zerodowanego urwiska i zaczęliśmy wspinać się po stromej ścianie, z której odpadały grudy mokrego piasku, gliny i rudy żelaza.

— Witamy na Plum Island — wydyszała Beth.

— Bardzo mi miło.

Udało nam się jakoś wdrapać na górę i padliśmy na ziemię. Przez całą minutę leżeliśmy na trawie. Potem usiadłem i spojrzałem na plażę. Motorówka leżała przewrócona do góry dnem i widziałem, że jej biały kadłub jest rozdarty. Kiedy porywała ją cofająca się fala, obracała się i na krótką chwilę prostowała, a potem sunąc z kolejną falą na brzeg, ponownie przewracała się do góry dnem.

— Nie chciałbym być w tej łodzi — powiedziałem do Beth.

— Ja też nie. I nie chcę być na tej wyspie.

— Wpadliśmy z deszczu pod rynną — stwierdziłem.

— Działasz mi na nerwy — odparła.

— Mam pomysł na napis na podkoszulku — oznajmiłem. — Plum Island działa mi na nerwy. Kapujesz?

— Czy mógłbyś się przymknąć na jakieś pięć minut?

— Naturalnie.

W gruncie rzeczy z radością powitałem chwilę względnej ciszy po kilku godzinach wiatru, deszczu i ryku silników. Słyszałem, jak serce wali mi w piersi, krew tętni w uszach i rzezi płuco. Słyszałem również w głowie cichy głos, który kazał mi się strzec małych ludzi z wielkimi strzelbami.

## Rozdział 35

Siedzieliśmy jakiś czas na trawie, zbierając siły i łapiąc oddech. Byłem przemoczony, zmęczony, zmarznięty i poobijany; na dodatek bolało mnie przestrzelone płuco. Zgubiłem buty i zauważyłem, że Beth też jest bosy. Do pozytywów można było zaliczyć to, że żyliśmy i że miałem w kaburze swoją trzydziestkęósemkę. Wyjąłem rewolwer i sprawdziłem, czy jedyny nabój, jaki mi pozostał, jest w pierwszej komorze. Beth poklepała się po kieszeniach.

— W porządku... mam swoją pukawkę — oznajmiła.

Mieliśmy na sobie kurtki i kamizelki ratunkowe, ale Beth zgubiła lornetkę.

Patrzyliśmy na morze i niesamowity wał chmur kłębiących się wokół oka sztormu. Wciąż padało, lecz niezbyt mocno. Kiedy człowiek jest przemoczony do szpiku kości, mały deszczyk to nic strasznego. Bardziej obawiałem się hipotermii, jeśli będziemy tu zbyt długo siedzieć.

— Jak tam skaleczenie na czole, Beth?

— W porządku. Wymoczyłam je w słonej wodzie.

— To dobrze. A rana postrzałowa?

— Wprost cudownie, John.

— Co z pozostałymi sińcami i otarciami?

— Wszystkie wspaniale się goją.

Wydawało mi się, że słyszę nutkę sarkazmu w jej głosie. Wstałem i ugięły się przede mną lekko nogi.

— A ty dobrze się czujesz? — zapytała.

— Świetnie — odparłem, po czym podałem jej rękę i pomogłem wstać. — Trafiliśmy co prawda z deszczu pod rynnę, ale nie wolno nam spocząć na laurach — stwierdziłem, łącząc ze sobą dwa idiomy.

— Sądzę, że Tom i Judy byliby dumni z twoich żeglarskich umiejętności — poinformowała mnie poważnym tonem.

Nic na to nie odparłem, choć może powinienem powiedzieć coś w tym samym stylu, na przykład: „Emma byłaby zadowolona i wzruszona, widząc, co dla niej zrobiłaś”.

— Moim zdaniem musimy teraz poszukać głównego laboratorium — stwierdziła Beth.

Nie skomentowałem jej propozycji.

— Na pewno zauważymy światła — mówiła dalej. — Poprosimy ochronę o pomoc. Skontaktuję się przez telefon albo radio z moim wydziałem.

Milczałem.

— John? — zapytała, spoglądając na mnie.

— Nie przebyłem tak długiej drogi po to, by biec teraz po pomoc do Paula Stevensa.

— Nie jesteśmy w najlepszej formie, John, mamy razem pięć nabożów i zgubiliśmy buty. Czas wezwać gliniarzy.

— Jeśli chcesz, możesz iść do laboratorium. Ja mam zamiar odnaleźć Tobina — stwierdziłem, po czym ruszyłem na wschód skrajem urwiska, tam gdzie pół mili dalej widzieliśmy zakotwiczony przy brzegu jego jacht.

Nic nie powiedziała, ale minutę później pojawiła się przy moim boku. Szliśmy w milczeniu. Wciąż mieliśmy na sobie kamizelki ratunkowe, częściowo dla ochrony przed zimnem, częściowo, jak przypuszczam, dlatego że nie wiedzieliśmy, czy nie wylądujemy z powrotem w wodzie.

Drzewa i gęste zarośla dochodziły aż do skraju urwiska. Bez butów stąpaliśmy ostrożnie i nie mieliśmy zbyt dobrego tempa.

W oku sztormu prawie zupełnie nie wiał wiatr i słyszałem autentycznie śpiew ptaków. Wiedziałem, że ciśnienie powietrza jest w takim miejscu wyjątkowo niskie, i mimo że nie jestem normalnie wrażliwy na pogodę, czułem się trochę spięty i roztrzęsiony. Choć może byłem po prostu wkurzony i złakniony krwi.

— Masz jakiś plan? — zapytała ściszym tonem Beth.

— Jasne.

— Na czym polega?

— Na tym, żeby mieć oczy szeroko otwarte.

— Wspaniały plan.

— Owszem.

Przez chmury przebijało światło księżyca i widoczność sięgała jakichś dziesięciu stóp. Mimo to droga skrajem urwiska była nieco



niebezpieczna z powodu erozji, ruszyliśmy więc w głąb lądu i trafiliśmy na wyspaną żwirem drogę, którą Paul Stevens zabrał nas na wschodni kraniec wyspy. Wąską drogę blokowały gałęzie i powyrywane z korzeniami drzewa, w związku z czym nie musieliśmy się obawiać, że zaskoczy nas patrol.

Po jakimś czasie usiedliśmy na pniu zwałonego drzewa. Widziałem, jak w wilgotnym powietrzu nasze oddechy zamieniają się w obłoczki pary. Zdjąłem kamizelkę ratunkową i kurtkę, a potem kburę i koszulkę polo. Rozerwałem na pół koszulkę i owinąłem kawałkami materiału stopy Beth.

— Teraz zdejmę szorty — powiedziałem. — Nie podglądaj.

— Nie będę podglądać. Przeszkadza ci, jeśli się pogapię?

Ściągnąłem z nóg mokre obcisłe dżinsy, a potem szorty, które przedarłem na pół.

— Bokserki? — zdziwiła się pani Penrose. — Wzięłam cię za faceta, który nosi slipy.

Z jakiegoś powodu wpadła w figlarny nastrój. Przypuszczałem, że to po.straumatyczna euforia. Obwiązałem połówkami szortów stopy.

— Ofiarowałabym ci swoje majtki — odezwała się Beth — ale były tak mokre, kiedy przebierałam się na łodzi, że nie włożyłam ich na siebie. Chcesz moją bluzką?

— Nie, dziękuję. Tak jest całkiem dobrze.

Włożyłem z powrotem dżinsy, a potem kburę na goły tors, kurtkę i kamizelkę ratunkową. Było mi tak zimno, że nie mogłem powstrzymać dreszczy.

Sprawdziliśmy ranę Beth, z której sączyło się trochę krwi, lecz poza tym nie wydawała się groźna, po czym mszyliśmy dalej drogą. Niebo ponownie pociemniało. Wiedziałem, że oko huraganu przesuwa się na północ i wkrótce znajdziemy się w ogonie burzy, który może być tak samo gwałtowny jak jej czoło.

— Zbliżamy się do miejsca, gdzie zakotwiczył Tobin — szepnąłem do Beth. — Od tej chwili cicho i ostrożnie.

Kiwnęła głową. Oboje skręciliśmy na północ i przedzierając się przez las, dotarliśmy z powrotem do skraju urwiska. I faktycznie mniej więcej pięćdziesiąt jardów od brzegu kołysał się na falach jacht. Widziałem, jak napinają się liny kotwic, które Tobin zarzucił z dziobu i rufy. W słabym świetle dostrzeżyliśmy na plaży whalera — znak, że Tobin zszedł na ląd. Od łódki biegła w górę lina, przywiązana do drzewa niedaleko miejsca, gdzie przykucnęliśmy.

Nie ruszając się, nasłuchiwaaliśmy i wpatrywaaliśmy się w mrok. Byłem przekonany, że Tobin udał się w głąb wyspy.

— Poszedł po skarb — szepnąłem do Beth.

Pokiwała głową.

— Nie możemy iść za nim — odparła — więc poczekamy tutaj, aż wróci. Wtedy go aresztuję.

— Panna o gołęmbim sercu.

— Co to, do diabła, znaczy?

— To znaczy, pani Penrose, że nie aresztuje się człowieka, który próbował cię trzy razy zabić.

— Nie zamierzasz go chyba z zimną krwią zastrzelić.

— Może się załóżymy?

— Ryzykowałam życie, John, żeby pomóc ci na motorówce. Jesteś mi za to coś winien. Wciąż pracuję nad tą sprawą. Jestem policjantką i załatwię to po mojemu.

Nie widziałem powodu, by kłócić się z nią o coś, co i tak już było postanowione.

Beth zaproponowała, byśmy rozwiązali linę i pozwolili falom porwać łódkę, odcinając w ten sposób Tobinowi drogę odwrotu. Zwróciłem jej uwagę, że jeśli Tobin wróci od strony plaży, zobaczy, że whaler zniknął, i zacznie coś podejrzewać.

— Zostali tutaj i ubezpieczaj mnie — powiedziałem.

Złapałem za linę i spuściłem się piętnaście stóp w dół, na kamienistą plażę. Na rufie whalera znalazłem plastikową skrzynkę, którą widziałem, gdy przyglądałem mu się w hangarze. Były w niej najróżniejsze przedmioty, zauważyłem jednak brak powietrznej syreny. Fredric Tobin domyślił się prawdopodobnie, że go rozgryzłem, i pozbywał się małych kawałków układanki. To nie miało znaczenia — i tak nie stanie przed dwunastoosobową ławą przysięgłych.

W skrzyni znalazłem za to kombinerki i wyciągnąłem nimi kołek mocujący śrubę do wału, a potem schowałem do kieszeni zapasowe kołki. Zabrałem również mały nóż do oprawiania ryb. Zależało mi na latarce, ale nie było jej na pokładzie.

Wbijając w piaszczyste urwisko stopy owinięte w bokserki, wspiałem się z powrotem po linie. Na samej górze Beth podała mi rękę, pomagając się wdrapać.

— Wyciągnąłem kołek mocujący śrubę — powiedziałem.

— To dobrze. Zabrałeś go na wypadek, gdyby był nam później potrzebny?

— Owszem. Połknąłem go. Czy wyglądam na głupca?

— Nie wyglądasz na głupca. Robisz głupie rzeczy.

— To fragment mojej strategii — odparłem, wręczając jej kołki i zostawiając sobie nóż.

— Słuchaj, przepraszam za te uszczypliwe uwagi — oznajmiła ku mojemu zaskoczeniu. — Jestem trochę zmęczona i spięta.

— Nie przejmuj się.

— Zimno mi. Czy moglibyśmy się... objąć?

— Przytulić?

— Objąć. Trzeba się obejmować, żeby nie tracić tyle ciepła.

— Racja. Czytałem gdzieś o tym. Okej.

Trochę niezgrabnie objęliśmy się zatem, albo przytuliliśmy do siebie. Siedziałem na wielkim przewróconym drzewie, a Beth na moich kolanach, opasując mnie rękoma i wtulając twarz w moją pierś. Zrobiło nam się dzięki temu trochę cieplej, ale biorąc pod uwagę okoliczności, nie było w tym nic zmysłowego. Chodziło o zwykły ludzki kontakt, a także o dobrą współpracę i przetrwanie. Przeszliśmy razem przez wiele, teraz zbliżaliśmy się do końca i oboje, jak sądzę, czuliśmy, że od śmierci Emmy Whitestone coś między nami się zmieniło.

To wszystko przypominało również bardzo Robinsona Crusoe lub Wyspę Skarbów i w pewnym sensie mnie ekscytowało, jak ekscytują chłopców w każdym wieku zmagania z naturą i złoczyncami. Odnosiłem jednak wrażenie, że Beth Penrose nie podziela mojego chłopięcego entuzjazmu. Kobiety mają bardziej praktyczne podejście i rzadziej lubią się taplać w błocie. Poza tym sama idea polowania i zabijania nie przemawia chyba tak silnie do rodzaju żeńskiego. A przecież o to właśnie tak naprawdę tu chodziło — o polowanie i zabijanie.

Przez jakiś czas przytulaliśmy się zatem, słuchając szumu wiatru i deszczu i nasłuchując kroków w lesie. Patrzyłem na kołyszący się na falach i szarpiący liny jacht, starając się również obserwować plażę.

W końcu, po mniej więcej dziesięciu minutach, wstałem i zacząłem rozprostowywać zeszywniałe stawy, spostrzegając przy okazji pewną sztywność w moim starym wale korbowym.

— Trochę mi cieplej — powiedziałem.

Beth siadła przy zwałonym drzewie, obejmując ramionami podciągnięte kolana. Nie odpowiedziała.

— Próbuję postawić się w sytuacji Tobina — oznajmiłem. — Moim zdaniem wyruszył w głąb wyspy, tam gdzie ukryty jest skarb.

— Dlaczego w głąb wyspy? Dlaczego nie poszedł plażą?

— Skarb mógł zostać pierwotnie odkryty blisko plaży... może nawet na jednym z tych urwisk... niewykluczone, że to są właśnie Rify Kapitana Kidda. Ale Gordonowie zabrali najprawdopodobniej skrzynię z dołu czy wykopu, gdyż mógł ulec zasypaniu i musieliby znowu kopać. Mam rację?

— Chyba tak.

— Myślę, że Gordonowie ukryli skarb na terenie lub w pobliżu Fortu Terry albo gdzieś w tym labiryncie fortyfikacji artyleryjskich, które oglądaliśmy podczas naszej wycieczki.

— Możliwe.

— Więc jeśli założymy, że Tobin zna to miejsce, musi teraz wydobyć skarb i przenieść go tutaj. W zależności od jego ciężaru będzie musiał wracać raz albo dwa razy. Prawda?

— Chyba tak.

— Więc na jego miejscu poszedłbym po skarb, przyniósł go tutaj i załadował do łódki. Nie próbowałbym wypływać w halercem przy tej pogodzie i nie próbowałbym przeładowywać skarbu na jacht przy tych falach. Prawda?

— Prawda.

— Zatem Tobin zaczeka w whalerze na koniec sztormu, będzie jednak chciał odплыć przed świtem, nim pojawi się łódź patrolowa lub helikopter. Zgadza się?

— Zgadza się. I co z tego?

— Musimy więc ruszyć za nim i zaskoczyć go podczas wydobywania skarbu. Prawda?

— Prawda... nie, nieprawda. Nie bardzo nadążam za twoim rozumowaniem.

— Jest skomplikowane, ale logiczne.

— To jedna wielka bzdura, John. Logika każe nam tu zostać. Tobin wróci tutaj tak czy owak, a my będziemy na niego czekać.

— Ty możesz na niego czekać. Ja zamierzam wytropić skurwiela.

— Nie, nie zrobisz tego. Jest od ciebie lepiej uzbrojony, a ja nie oddam ci mojego pistoletu.

Spojrzelismy na siebie.

— Mam zamiar go znaleźć — powiedziałem. — Chcę, żebyś tu została i jeśli się pojawi przed moim powrotem...

— To będzie oznaczało, że cię zabił. Zostań tutaj, John. Razem jesteście bezpieczniejsi. Zachowuj się racjonalnie.

Ignorując jej apel, uklęknałem i wziąłem ją za rękę.

— Zejdź na dół. Dzięki temu zobaczysz, kiedy nadejdzie plaża albo będzie się spuszczał po linie. Ukryj się gdzieś za skałą. Gdy

znajdzie się tak blisko, że będziesz go dobrze widziała w ciemności, strzelaj w tułów, a potem szybko podbiegnij i wal w głowę. Dobrze?

Przez kilka sekund nie odpowiadała. W końcu kiwnęła głową.

— A potem zawołam: „nie ruszać się, policja!” — dodała z uśmiechem.

— Właśnie. Zaczynasz się uczyć.

Wyjęła swój pistolet i podała mi go.

— Jeśli tu wróci, będę potrzebowała tylko jednej kuli. Weź glocka. Zostały w nim cztery naboje. Daj mi swoją broń.

— Nie potrafię się przyzwyczaić do systemu metrycznego — odparłem z uśmiechem. — Wolę prawdziwą amerykańską sześciostrzałową trzydziestkęosemkę.

— Pięciostrzałową.

— Racja. Muszę o tym pamiętać.

— Czy mogę ci to jakoś wyperswadować?

— Nie.

W tym momencie byłby może stosowny krótki pocałunek, ale żadne z nas nie było chyba w nastroju. Ucisnąłem jej dłoń, ona ucisnęła moją, po czym wstałem, odwróciłem się i ruszyłem przez las, oddalając się od urwiska wystawionego na podmuchy wiatru i oddalając się od Beth.

Po pięciu minutach dotarłem z powrotem do wysypanej żwirem drogi. W porządku, teraz jestem Fredrikiem Tobinem. Mam chyba kompas, ale bez względu na to, czy go mam, czy nie, jestem dość sprytny, żeby zostawić na jednym z drzew nacięcie lub inny znak, pokazujący miejsce, w którym trzeba skrócić do stojącego na kotwicy jachtu.

Rozejrzałem się dookoła i faktycznie zobaczyłem białą linkę rozwieszoną między dwoma drzewami, oddalonymi o jakieś dziesięć stóp. Uznałem, że wyznacza ona kierunek, w którym udał się Tobin, i chociaż nie miałem kompasu ani Empire State Building, który pomaga w ustaleniu pozycji geograficznej, doszedłem do wniosku, że poszedł prosto na południe. Ruszyłem przez las, starając się nie zbacać z kursu. Prawdę mówiąc, gdybym nie miał szczęścia i nie znalazł żadnego znaku, powinienem był zawrócić i poczekać razem z Beth. Miałem jednak to uczucie — graniczące prawie z pewnością — że coś popycha mnie i ciągnie do Tobina i skarbu kapitana Kidda. Widziałem wyraźnie w jednym miejscu siebie, skarb, Tobina i otaczające nas cienie zmarłych: Toma i Judy, Agnes i Edgara Murphych, Emmy i nawet Kidda.

Teren zaczął się wznosić i wkrótce wyszedłem na skraj polany.

Po drugiej stronie zobaczyłem dwa małe budynki i zdałem sobie sprawę, że dotarłem do opuszczonego Fortu Terry.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu kolejnego znaku i dostrzegłem wiszący na drzewie kawałek linki. W tym miejscu Tobin wyszedł z lasu, a w drodze powrotnej tu miał do niego wejść. Inercyjny system nawigacyjny w mojej głowie działał jak widać całkiem nieźle. Gdybym był lecącym na południe wędrownym ptakiem, bez trudu dotarłbym na Florydę.

Nie zdziwiło mnie, że Tobin szedł do Fortu Terry. Zbiegały się tu prawie wszystkie drogi i ścieżki Plum Island, a w opuszczonych budynkach i pobliskich artyleryjskich bunkrach można było znaleźć setki doskonałych kryjówek.

Wiedziałem, że jeśli tu zaczekam, łatwo go zaskoczę, gdy będzie wracał. Bardziej odpowiadała mi jednak rola łowcy, który podchodzi zwierza, aniżeli cierpliwego stawiacza sideł.

Przez kilka minut stałem w miejscu, starając się zgadnąć, czy po drugiej stronie polany nie czeka na mnie ktoś ze strzelbą. Z wojennych filmów wiedziałem, że nie wolno mi przecinać polany — powinienem obejść ją dookoła. Robiąc to, mogłem jednak minąć Tobina albo sam się zgubić. Musiałem iść tą samą trasą co on. Padał coraz silniejszy deszcz i zrywał się wiatr. Byłem w fatalnym stanie. Odchyliłem głowę do tyłu, otworzyłem usta i pozwoliłem, by woda obmyła mi twarz i wlała się do gardła. Po chwili poczułem się lepiej.

Wyszedłem na polanę i ruszyłem dalej na południe przez otwarty teren. Materiał, którym owinąłem nogi, podał się i bolały mnie pokaleczone stopy. Powtarzałem sobie, że jestem ulepiiony z twardszej gliny niż gogusiowaty Tobin i że wystarczy mi tylko jedna kula i nóż.

Zbliżając się do skraju polany zauważyłem, że od Fortu Terry oddziela ją wąski rząd drzew. Nie potrafiłem zgadnąć, w którą stronę poszedł Tobin, i wiedziałem, że nie znajdę kolejnych wskazówek, ponieważ punktami orientacyjnymi były dla niego teraz zabudowania.

Posuwałem się zygzakami od budynku do budynku, szukając jakiegoś śladu. Po mniej więcej dziesięciu minutach znalazłem się obok dawnego gmachu dowództwa i zdałem sobie sprawę, że zgubiłem Tobina. Mogł stąd pójść w dowolnym kierunku: na południe, na plażę fok, na zachód, do głównego laboratorium, albo na wschód. Niewykluczone, że czaił się gdzieś w pobliżu, czekając, aż podejść bliżej. Mogłem też go jakoś minąć i był teraz za moimi plecami. Tak czy siak, niedobrze.

Postanowiłem, że sprawdzę pozostałe budynki fortu, i pobiegłem ostrożnie w stronę kaplicy. Nagle usłyszałem odgłos wystrzału i padłem na ziemię. Kiedy leżałem, rozległ się drugi strzał. Oba były dziwnie stłumione i nie usłyszałem po nich ostrego trzasku ani świstu. Uświadomiłem sobie, że to nie do mnie strzelają.

Podbiegłem sprintem do drewnianej kaplicy i spojrzałem w stronę, z której, jak mi się wydawało, dobiegły odgłosy strzałów. W odległości około pięćdziesięciu jardów zobaczyłem remizę straży pożarnej i doszedłem do wniosku, że strzelano w jej wnętrzu — dlatego odgłosy były stłumione.

Ruszyłem w stronę remizy, po chwili jednak ponownie padłem na ziemię, widząc, jak otwiera się jedna z wielkich bram. Podnosiła się w górę skokami, jakby ktoś otwierał ją za pomocą zawieszonej na krążku liny, i uświadomiłem sobie, że w budynku nie ma energii. Potwierdzało to migotliwe światło lampy naftowej, które zobaczyłem w oknach na górze.

Nim zdecydowałem, co robić, z garażu wyjechał duży ambulans i nie zapalając świateł, ruszył drogą na wschód w stronę wąskiego pasa łądu, gdzie znajdowały się stare stanowiska artyleryjskie.

Ambulans miał wysokie zawieszenie i bez trudu przejeżdżał przez leżące na drodze przeszkody. Wkrótce zniknął w ciemnościach.

Podbiegłem, tak szybko jak mogłem na bosaka, do otwartej bramy, wyciągnąłem rewolwer i skoczyłem do środka. W garażu stały trzy wozy straży pożarnej.

Tak długo mokłem na deszczu, iż przez pierwsze dziesięć sekund byłem zaskoczony tym, że nie pada.

Kiedy oczy przywykły mi do ciemności, zobaczyłem z tyłu garażu słup, po którym zjeżdżają na dół strażacy. Przez dziurę w suficie sączyło się migotliwe światło z dyżurki. Na lewo od słupa dostrzegłem szerokie schody. Podeszedłem do nich i wspiąłem się po skrzypiących stopniach. Wiedziałem, że na górze nic mi nie grozi, i wiedziałem, co tam zastanę.

Na piętrze była dyżurka, w której paliły się lampy naftowe. W ich świetle ujrzałem leżących na pryczach dwóch mężczyzn. Nie musiałem podchodzić bliżej, by stwierdzić, że nie żyją. To zwiększyło liczbę znanych nam ofiar Tobina do siedmiu. Naprawdę nie trzeba było głupiego staroświeckiego procesu, aby wyrównać z nim rachunki.

Przy każdej z prycz zobaczyłem wysokie strażackie buty i skarpety. Usiadłem na ławce i włożyłem na nogi grube skarpety i galwanizowane gumowe buciory, które nawet nieźle pasowały. Przy

ścianie stały szafki, a po drugiej stronie wisiały na wieszakach płaszcze przeciwdeszczowe oraz bluzy, ale nie chciałem mieć na sobie więcej rzeczy nieboszczyka, niż potrzebowałem. Nie dlatego, żebym był przesądny.

W małej kuchni w głębi dyżurki stało pudełko czekoladowych pączków. Zjadłem jednego, a potem zbiegłem po schodach, wyszedłem z remizy i ruszyłem drogą prowadzącą na wschód, śladem ambulansu. Na asfalcie leżały połamane kołami gałęzie i konary drzew.

Przeszedłem mniej więcej pół mili i chociaż było ciemno, pamiętałem tę drogę z wycieczki ze Stevenssem. Łał coraz większy deszcz, a wiatr zaczął ponownie łamać gałęzie. Co jakiś czas słyszałem ostry trzask, który brzmiał zupełnie jak strzał ze strzelby, i serce skakało mi trochę w piersi, ale to były łamiące się i spadające w dół konary.

Po asfalcie płynęła woda, która ściekała z wyższego po obu stronach drogi terenu. Rowy odpływowe były przepelnione i z trudem posuwałem się do przodu, pokonując potoki wody, błotne lawiny i połamane gałęzie. To było coś zdecydowanie gorszego niż mokry śnieg przed moim blokiem. Natura potrafi być paskudna. Czasami jest zupełnie do dupy.

Wszystko to sprawiło, że nie zwracałem dostatecznej uwagi na drogę przede mną. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem nagle ambulans, który stał nie dalej niż piętnaście stóp ode mnie. Sta nałem jak wryty, wyciągnąłem rewolwer i przyklęknąłem na jedno kolano. Przez strugi deszczu dostrzegłem wielkie drzewo, które zważyło się na asfalt i zatarasowało szosę.

Ambulans zajmował prawie całą szerokość drogi i chcąc go ominąć, musiałem wejść do głębokiego po kolana rowu. Zajrzałem przez boczną szybę do środka, ale w kabinie nie było nikogo.

Chciałem jakoś uszkodzić pojazd, ale drzwi do kabiny były zamknięte na klucz, a maska otwierała się od środka. Cholera. Wczołgałem się pod wysokie podwozie i wyciągnąłem nóż. Nie znam się zbyt dobrze na mechanice, ale Kuba Rozpruwacz też nie był znawcą anatomii. Przeciąłem kilka przewodów, jak się okazało hydraulicznych, oraz dla pewności kilka kabli. Przekonany, że definitywnie uśmierciłem ambulans, wyczołgałem się spod niego i ruszyłem dalej drogą.

Znajdowałem się teraz pośrodku fortyfikacji artyleryjskich, masywnych betonowych, kamiennych i ceglanych ruin, pokrytych bluszczem i zaroślami i przypominających ruiny Majów, które



widziałem kiedyś w dżungli niedaleko Canciin w trakcie miodowego miesiąca, który nie był dla mnie zresztą zbyt miodowy.

Trzymałem się głównej drogi, chociaż po prawej i lewej stronie widziałem mniejsze alejki oraz betonowe rampy i stopnie. Tobin mógł oczywiście skrócić w każdą z nich. Ponownie zdałem sobie sprawę, że go prawdopodobnie zgubiłem. Zatrzymałem się i przykucnąłem obok stojącego przy drodze betonowego muru. Miałem już zamiar zawrócić, gdy usłyszałem jakiś dźwięk. Zacząłem nasłuchiwać, próbując uspokoić zdyszany oddech, i po chwili usłyszałem ponownie wysokie jękliwe zawodzenie, które w końcu rozpoznałem. To była syrena. Wyjąca gdzieś daleko i ledwie słyszalna przez szum wiatru i deszczu. Dobiegała z zachodu: długi przenikliwy dźwięk, po którym następował inny krótki, a potem ponownie ten długi. Najwyraźniej był to sygnał ostrzegawczy, emitowany chyba z głównego laboratorium.

Kiedy byłem mały, nauczyłem się na pamięć wszystkich alarmów przeciwlotniczych i nie był to żaden z nich. Nie była to również syrena strażacka, pogotowia ratunkowego ani policji. Na filmie instruktażowym słyszałem kiedyś syrenę ostrzegającą przed przeciekiem radioaktywnym, ale to nie było to. W związku z czym — choć nigdy dotąd nie słyszałem takiego dźwięku — częściowo drogą eliminacji i częściowo dlatego, że nie jestem taki głupi, domyśliłem się, że słyszę syrenę ostrzegającą o przecieku biologicznym.

— Jezusie...

W głównym laboratorium wysiadła elektryczność i zepsuł się zapasowy generator; podciśnieniowe pompy przestały działać i stanęły elektryczne filtry.

— Maryjo...

Ukryta gdzieś i zasilana z akumulatora wielka syrena przekazywała złe wieści i wszyscy, którzy pełnili na wyspie dyżur podczas huraganu, musieli włożyć teraz biologiczne skafandry i przeczekać zagrożenie. Ja nie miałem skafandra. Do diabła, nie miałem nawet pod spodem bielizny.

— I Józefie święty.

Nie wpadłem w panikę, ponieważ wiedziałem dokładnie, co mam robić. Tak jak w szkole, kiedy zbiegaliśmy do piwnicy na dźwięk przeciwlotniczych syren, a rosyjskie rakiety celowały w liceum imienia Fiorella H. La Guardii.

A może wcale nie było tak źle. Wiatr wiał przecież z południa na północ... ale czy na pewno? Sztorm przesunął się na północ, to

prawda, lecz wiatr wiał w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, w związku z czym wszystko, co wydostało się z głównego laboratorium na zachodnim krańcu wyspy, mogło dotrzeć tutaj, na jej wschodni skraj.

Moknąc na deszczu, dumałem o tym wszystkim — o morderstwach, pościgu podczas burzy, o tym, że o włos uniknęliśmy śmierci. A potem, po spektaklu kosmicznej głupoty, pychy, chciwości i fałszu, do gry włącza się Wielki Rozpruwacz i oczyszcza szachownicę. Fru. Tak po prostu.

Wiedziałem w głębi duszy, że jeżeli nawaliły generatory, wszystko, co znajdowało się w laboratorium, wydostanie się na zewnątrz. Wiedziałem! Wiedziałem, że to się stanie! Ale dlaczego to musiało się zdarzyć akurat wtedy, gdy po raz drugi w życiu znalazłem się na tej durnej wyspie?

Tak czy inaczej postanowiłem, że popędzę jak najszybciej na plażę, wezmę Beth, popłynę z nią whalerem na jacht i damy nogę z Plum Island, mając nadzieję, że ominęło nas najgorsze. Będziemy mieli przynajmniej jakąś szansę. A Tobinem zajmie się w moim imieniu Wielki Rozpruwacz.

Po chwili przyszła mi jednak do głowy pewna myśl, prawdę mówiąc niezbyt miła: co pocznę, jeśli Beth rozpoznała syrenę, popłynęła sama na jacht i uciekła? Rozwazałem przez kilka sekund tę możliwość, potem jednak uznałem, że kobieta, która skoczyła na małą motorówkę, by razem ze mną stawić czoła burzy, nie porzuci mnie w takiej chwili. Choć z drugiej strony... w zarazie było coś, co przerażało bardziej niż wzburzone morze.

Biegąc w stronę ambulansu opadającą w dół drogą, zdałem sobie sprawę z kilku rzeczy i doszedłem do kilku konkluzji: po pierwsze, zaszedłem zbyt daleko, żeby teraz uciec; po drugie, nie mam ochoty przekonywać się, jaką decyzję podjęła Beth; po trzecie, muszę znaleźć i zabić Fredrica Tobina; po czwarte, i tak jestem już martwy. Zawstydzony nagłym brakiem odwagi, zawróciłem w stronę fortyfikacji i ruszyłem na spotkanie przeznaczenia. Syrena ciągle wyla.

Zbliżając się do najwyższego punktu drogi, zauważyłem światło — dokładniej snop światła, który omiótł horyzont po mojej prawej stronie, a potem zgasł.

Badając teren przy drodze, odkryłem wąską ceglana alejkę, która prowadziła przez zarośla. Widać było, że ktoś tędy niedawno przechodził. Przedzierając się przez splątane krzaki i leżące gałęzie, dotarłem w końcu do czegoś w rodzaju dziedzińca, otoczonego

betonowymi murami, w których znajdowały się stalowe drzwi do podziemnych składów amunicji. Na górze zobaczyłem betonowe stanowiska artyleryjskie i uświadomiłem sobie, że podczas mojej niedawnej wizyty na wyspie stałem na nich i spoglądałem w dół na ten dziedziniec.

Nie wychylając się z krzaków, obserwowałem otwartą przestrzeń, ale nie zauważyłem żadnego ruchu ani światła.

W końcu wyciągnąłem rewolwer i stąpając ostrożnie po popękanych betonach, okrążyłem dziedziniec w kierunku odwrotnym do wskazówek zegara, przez cały czas mając za plecami pokrytą porostami ścianę.

Po chwili dotarłem do pierwszych potężnych podwójnych drzwi. Były zamknięte i zorientowałem się po zawiasach, że otwierają się na zewnątrz. Leżące przed nimi rumowisko świadczyło, że nikt ich ostatnio nie otwierał.

Ruszyłem dalej wzdłuż muru, uświadamiając sobie, że jeśli ktoś obserwuje mnie z szafców na górze, jestem ugotowany i prawdopodobnie martwy. Przy drugich zardzewiałych drzwiach stwierdziłem to samo, co przy pierwszych: nie były otwierane od dziesięcioleci.

Ale przy trzeciej, południowej ścianie, jedno ze skrzydeł drzwi było lekko uchylone. Przy otwieraniu go leżące na ziemi nimowisko zostało odsunięte na bok. Zajrzałem do środka przez szeroka na cztery cale szparę, ale nic nie zobaczyłem ani nie usłyszałem.

Pociągnąłem drzwi kilka cali do siebie i zawiasy głośno zaskrzypiały. Niech to szlag. Zamarłem w bezruchu, ale słyszałem tylko deszcz, szum wiatru i odległe zawodzenie syren oznajmających światu, że stało się coś niewyobraźnego.

Wziąłem głęboki oddech i wślizgnąłem się do środka.

Przez całą minutę stałem nieruchomo, starając się wyczuć, co to za miejsce. Podobnie jak w remizie, z zadowoleniem przyjąłem fakt, że nie pada mi na głowę. Obawiałem się, że na więcej przyjemności nie mogę tutaj liczyć.

Czułem zapach wilgoci charakterystyczny dla miejsca, gdzie nigdy nie docierają promienie słońca.

Zrobiłem szybko dwa kroki w lewo i zderzyłem się ze ścianą. Obmacując ją, ustaliłem, że jest betonowa i pochyła. Zrobiłem cztery kroki w przeciwnym kierunku i ponownie zetknąłem się z betonową, pochyłą ścianą. Zgadywałem, że znajduję się w tunelu podobnym do tego, który widzieliśmy w trakcie wycieczki — prowadzącym do kosmitów z Roswell względnie nazistowskiego laboratorium.

Nie miałem jednak czasu na nazistów i nie interesowali mnie kosmici. Musiałem ustalić, czy tędy właśnie szedł Tobin. A jeśli tak, czy idzie po skarb, czy też chce zastawić na mnie pułapkę. W gruncie rzeczy bardziej od tego, co knuje, obchodziło mnie, czy tutaj w ogóle jest.

Nie widziałem przed sobą błysków latarki, wyłącznie ciemność, taką jaką spotyka się tylko pod ziemią. Żadne ludzkie oko nie potrafi się przyzwyczać do takiej ciemności, więc jeśli Tobin tu był, musiał zapalić latarkę, żeby wziąć mnie na muszkę. A jeśli to zrobi, strzelę dokładnie w miejsce, z którego pada snop światła. W tej sytuacji nie będzie drugiego strzału.

Kurtka przeciwdeszczowa i buty skrzypiały przy każdym kroku, w związku z czym zdjąłem je razem z kamizelką ratunkową. Mając teraz na sobie wyłącznie gustowną skórzaną kaburę, dzinsy z zatkniętym za pasek nożem do oprawiania ryb oraz wełniane skarpety nieboszczyka, ruszyłem do przodu, stawiając wysoko stopy, żeby nie potknąć się o gruz, rumowisko i w ogóle o cokolwiek. Przez chwilę myślałem o szczurach, nietoperzach, robakach i węzach, ale potem przestałem się ich obawiać: szczury nie były problemem. Problemem był wąglik za plecami i psychol ze strzelbą czający się w mroku gdzieś z przodu.

Święta Mario... Właściwie byłem zawsze bardzo religijny, bardzo pobożny. Chodzi o to, że kiedy wszystko jest w porządku, mało o tym mówię i myślę. Leżąc w rynsztoku i wykrwawiając się na śmierć, wzywałem Pana Boga wcale nie dlatego, że wpadłem w tarapaty. Pomodliłem się do Niego, ponieważ pora i miejsce wydały mi się odpowiednie i nie miałem akurat nic innego do roboty... Matko Boża...

Nadepnąłem prawą stopą na coś śliskiego i o mało nie straciłem równowagi. Ukucnąłem i macając dookoła rękoma trafiłem na zimny metalowy przedmiot. Próbowałem go podnieść, ale ani drgnął. Przesunąłem po nim ręką i w końcu doszedłem do wniosku, że to osadzona w betonowej podłodze szyna. Przypomniałem sobie, że Stevens wspominał o istniejącej niegdyś na wyspie wąskotorowej linii kolejowej, którą dostarczano amunicję z portu do baterii. Najwyraźniej byłem w tunelu prowadzącym do składu amunicji.

Ruszyłem dalej, dotykając stopą szyny. Po kilku minutach poczułem, że tory skręcają na prawo, a potem trafiłem stopą na coś wystającego. Ukląknęłem i badałem podłoże dłońmi. Odkryłem, że to zwrotnica; tory rozgałęziały się tutaj na prawo i lewo. Kiedy sądziłem już, że ja i Tobin zbliżamy się do końca drogi, znowu

trafiłem na cholerne rozwidlenie. Klęcząc, wbijałem oczy w lewo i w prawo, ale nic nie widziałem i nic nie słyszałem. Uświadomiłem sobie, że gdyby Tobin uważał, że jest sam, zapaliłby latarkę albo przynajmniej głośno stapał. Ponieważ nic nie słyszałem ani nie widziałem, wydedukowałem, że wie, iż nie jest sam. A może po prostu tak bardzo się ode mnie oddalił. A może jest właśnie tutaj... Módl się za nami grzesznymi...

Usłyszałem coś po prawej stronie, tak jakby w podłogę uderzył kawałek betonu albo kamień. Natężyłem słuch i do moich uszu dotarł dźwięk przypominający szum wody. Przyszło mi do głowy, że przy tym deszczu tunel mógł się w kilku miejscach zawalić... Teraz i w godzinę...

Podniosłem się z klęczek i mszyłem na prawo, wzdłuż torów. Szum wody był coraz głośniejszy, a powietrze świeższe.

Kilka minut później odniosłem wrażenie, że tunel się skończył i jestem teraz w większym pomieszczeniu — składzie amunicji. Faktycznie, kiedy podniosłem oczy, zobaczyłem nad głową mały skrawek nieba. Deszcz padał przez otwór na podłogę. Widziałem również zarys stojącego pośrodku msztowania i uświadomiłem sobie, że to winda, która dostarczała pociski do stanowisk artyleryjskich na górze. Doszedłem zatem do końca drogi. Wiedziałem, że Tobin tu jest i że na mnie czeka... Śmierci naszej, amen...

## Rozdział 36

Fredric Tobin najwyraźniej nie śpieszył się z ujawnieniem swojej obecności. Czekałem, słuchając kapania deszczu. Przez chwilę myślałem, że jestem sam, ale potem znowu poczułem koło siebie czyjąś obecność. Obecność zła. Naprawdę.

Bardzo powoli podniosłem lewą rękę do pasa i wyjąłem rybacki nóż.

Wiedział oczywiście, że to ja; a ja wiedziałem, że to on i że zwabił mnie w to miejsce, chcąc, by stało się moim grobem.

Zdawał sobie sprawę również z tego, że jeśli wykona jakiś ruch, odezwie się lub zapali latarkę, będę strzelał. Rozumiał, że jego pierwszy strzał w ciemności musi być najlepszy, ponieważ będzie jedyny. Dlatego staliśmy obaj w bezruchu, niczym kot i mysz, każdy starając się zgadnąć, kto jest kotem.

Mały kutas miał nerwy ze stali, musiałem to przyznać. Byłem gotów tkwić tam przez tydzień, jeśli będę musiał, i on też. Słuchałem deszczu i wiejącego na dworze wiatru, ale starałem się nie spoglądać w stronę otworu na górze, ponieważ osłabiłoby to ostrość mojego widzenia.

Stałem w wilgotnym lochu, czując, jak ziab kasa moje gołe ramiona, pierś i plecy i przenika przez skarpety. Zbierało mi się na kaszel, ale jakoś się powstrzymałem.

Minęło pięć minut, może mniej, ale nie więcej. Tobin musiał się teraz zastanawiać, czy cichaczem się nie wycofałem. Stałem między nim i wejściem do tunelu. Wątpiłem, by udało mu się mnie minąć, gdyby stracił zimną krew i chciał uciec.

W końcu Tobin — że wyrażę się metaforycznie — „mrugnął”;

rzucił czymś, prawdopodobnie kawałkiem betonu, w przeciwną stronę. Hałas odbił się z wielokrotnym echem w przestronnym pomieszczeniu. Zaskoczyło mnie to, ale nie aż tak, bym strzelił. Głupi trik, Freddie.

Staliśmy więc dalej w ciemności, a ja wytrzymałem wzrok i próbowałem usłyszeć jego oddech i poczuć zapach jego strachu. Zdawało mi się, że widzę błysk jego oczu lub stali, od której odbiło się padające z góry światło. Błysk pojawił się z lewej strony, ale nie potrafiłem ocenić, w jakiej odległości.

Uświadomiłem sobie, że mój nóż może też odbijać światło, i opuściłem lewą rękę.

Czekałem, aż ponownie dostrzegę ten błysk, ale na próżno. Podjąłem decyzję, że jeśli go znowu ujrzę, skoczę do przodu i załatwię sprawę nożem: cięcie, odskok, pchnięcie, odskok, tak długo, aż ostrze wbije się w ciało i zazgrzyta o kość.

Im bardziej gapiłem się w miejsce, gdzie pojawił się przedtem ten błysk, tym bardziej oszukiwał mnie wzrok. Widziałem tańczące przed oczyma fosforyzujące plamy, które potem przybrały kształt trupich czaszek. Niech to szlag. To tyle, jeśli chodzi o siłę sugestii.

Trudno było oddychać cicho i gdyby nie dobiegający z góry szum wiatru i deszczu, Tobin usłyszałby mnie, a ja jego. Poczulem, jak znowu zbiera mi się na kaszel, lecz i tym razem jakoś się powstrzymałem.

Czekaliśmy. Domyślałem się, że wie, iż jestem sam. I że mam co najmniej jeden pistolet. Ja byłem pewien, że ma pistolet, ale nie czterdziestkępiątkę, z której zabił Toma i Judy. Gdyby zabrał ze sobą strzelbę, próbowałby zastrzelić mnie na otwartym terenie z bezpiecznej odległości, kiedy tylko zorientował się, że John Corey jest na jego tropie. Tak czy owak, strzelba miała tutaj tę samą wartość co pistolet. Nie przewidziałem tylko, że ma dubeltówkę.

Strzał z niej odbił się ogłuszającym echem w zamkniętej przestrzeni i myślałem, że wyskoczę ze skóry. Ale kiedy tylko zorientowałem się, że mnie nie trafił, i mój mózg zarejestrował kierunek, z którego padł strzał — mniej więcej dziesięć stóp na prawo ode mnie — wystrzeliłem mój jedyny pocisk tam, gdzie dostrzegłem błysk z lufy.

A potem rzuciłem rewolwer i skoczyłem do przodu, machając po omacku nożem. Niestety w nic nie trafiłem ani nie potknąłem się o leżące na podłodze ciało. Po kilku sekundach ostrze zazgrzytało o ścianę i zastygłem w bezruchu.

— Domyślałem się, że miałeś tylko jeden pocisk — usłyszałem głos zza pleców.

Naturalnie nie odpowiedziałem.

— Odezwił się do mnie — powiedział Fredric Tobin.

Odrzuciłem się powoli w jego stronę.

— Słyszałem chyba, jak rzucasz pistolet na podłogę — stwierdził.

Zorientowałem się, że po każdym odezwaniu się zmienia pozycję. Sprytny facet.

— Widzę cię w świetle padającym z góry — poinformował mnie.

Zauważyłem teraz, że moja dzika szarża zbliżyła mnie do słabej smugi światła.

— Rusz tylko palcem, to cię zabiję — rozległ się głos, znów z innego miejsca.

Nie rozumiałem, dlaczego ponownie nie strzelił. Może miał wobec mnie jakieś plany. Korzystając z tego, odsunąłem się od ściany.

— Pierdolę cię, Freddie — powiedziałem.

Nagle za moimi plecami błysnęło światło i uświadomiłem sobie, że obszedł mnie dookoła i stoję w snopie jego latarki.

— Nie ruszaj się, bo strzelam! — uprzedził. — Nie ruszaj się!

Stałem więc bez ruchu, odwrócony do niego plecami i oświetlony latarką, wiedząc, że celuje z dubeltówki w mój tyłek. Trzymałem nóż blisko ciała, żeby go nie zobaczył.

— Ręce na kark! — rozkazał.

Wsunąłem nóż za pasek i położyłem ręce na karku, w dalszym ciągu odwrócony do niego plecami.

— Chcę, żebyś odpowiedział mi na parę pytań — oświadczył.

— Wtedy puścisz mnie wolno. Prawda?

Roześmiał się.

— Nie, panie Corey. Będziesz musiał zginąć. Ale najpierw odpowiesz na moje pytania.

— Pierdolę cię.

— Nie lubisz przegrywać, prawda?

— Nie, kiedy chodzi o życie.

Znowu się roześmiał.

— Ty też nie lubisz przegrywać — powiedziałem. — Daleś się oskubać jak stary głupiec w tym kasynie w Foxwoods.

— Stul pysk.

— Mam zamiar się odwrócić. Chcę zobaczyć twoją sztuczną szczękę i twój tupecik.

Odwracając się z rękoma na karku, wciągnąłem brzuch i poru-



szylem biodrami, dzięki czemu nóż wsunął się w dzinsy. Nie chciałem go tam, ale był przynajmniej niewidoczny.

Staliśmy naprzeciwko siebie oddaleni o jakieś dziesięć stóp. Celował latarką w mój tułów, a nie w twarz, i dostrzegłem, że ma w prawej dłoni samopowtarzalny pistolet, z którego również mierzył w mój tułów. Nie widziałem nigdzie dubeltówki.

Latarka była jednym z tych rzucających wąski snop światła halogenów, które służą do przekazywania sygnałów na dużą odległość. Światło w ogóle się nie rozprasało i w bunkrze było tak samo ciemno jak przedtem, jeśli nie liczyć wycelowanej we mnie smugi.

Tobin oświetlił mnie od stóp do głów.

— Widzę, że zgubiłeś część garderoby — skomentował.

— Pierdol się.

Snop światła zatrzymał się na mojej kaburze.

— Gdzie masz pistolet? — zapytał.

— Nie wiem. Może go razem poszukamy.

— Stul dziób.

— Więc nie zadawaj mi głupich pytań.

— Nie denerwuj mnie, Corey, bo następna kula trafi cię prosto w krocze.

Nie chciałem oczywiście, żeby postrzelił Wilhelma Zdobywcę, nie bardzo wiedziałem jednak, jak mogę nie denerwować Tobina.

— Gdzie jest twoja dubeltówka?

— Odbezpieczyłem ją i cisnąłem przed siebie. Na szczęście się nie postrzeliłem. Ale ty dałeś się nabrać. Jesteś głupi.

— Daj spokój... stałeś przez dziesięć minut z palcem w dupie, zanim wpadło ci to do głowy. I kto tu jest głupi?

— Zaczynam mieć dosyć twojego sarkazmu.

— Więc strzelaj. Nie miałeś żadnych skrupułów, zabijając we śnie tych dwóch strażaków.

Tobin nie odpowiedział.

— Stoisz za daleko? Jak blisko byłeś od Toma i Judy? Dość blisko, żeby zostawić drobiny prochu. A może wolałbyś rozbić mi głowę, tak jak to zrobiłeś Murphym i Emmie?

— Wolałbym rozbić ci głowę. Może najpierw cię zranię, a potem rozwałę głowę dubeltówką.

— Śmiało. Zrań mnie. Masz tylko jeden strzał, kutasie, a potem rzucę się na ciebie jak jastrząb na kurczaka. Spróbuj!

Nie spróbował i nie odpowiedział. Najwyraźniej coś go trapiło.

— Kto jeszcze o mnie wie? — zapytał w końcu. — Kto w ogóle wie o tej sprawie?

— Wszyscy.  
— Chyba kłamiesz. Gdzie jest twoja przyjaciółka?  
— Stoi tuż za tobą.  
— Jeśli będziesz próbował ze mną pogrywać, Corey, wtedy umrzesz o wiele szybciej i będzie to cię bardzo boleło.  
— A ty usmażysz się na krześle elektrycznym. Twoje ciało się spali, twój tupecik zajmie ogniem, twoje sztuczne zęby rozżarzą się do czerwoności, broda zacznie dymić, a soczewki kontaktowe wtopią się w oczy. A kiedy umrzesz, pójdziesz do piekła i będziesz się tam dalej smażył.

Pan Tobin nie potrafił na to odpowiedzieć.

Staliśmy tam obaj, ja z rękoma na karku, on z latarką w lewej i pistoletem w prawej dłoni. Miał nade mną oczywiście przewagę. Nie widziałem jego twarzy, ale wyobrażałem sobie, że jest demoniczna i filisterska.

— Domyśliłeś się, że chodzi o skarb, prawda? — zapytał mnie w końcu.

— Dlaczego zabiłeś Emmę?

— Odpowiedz na moje pytanie.

— Ty pierwszy.

— Zbyt dużo wiedziała i zbyt dużo gadała — odparł po kilku sekundach. — Ale przede wszystkim chciałem ci pokazać, jak bardzo nie podoba mi się twój sarkazm i twoje wtrącanie się w nie swoje sprawy.

— Ty bezduszny mały gnojku.

— Większość ludzi sądzi, że jestem czarujący. Emma też tak uważała. I Gordonowie. Teraz odpowiedz na moje pytanie. Wiedziałeś o skarbie?

— Oczywiście. O skarbie kapitana Kidda. Zakopanym tutaj na Plum Island. I o tym, że miał być przeniesiony gdzie indziej i tam odkryty. Margaret Wiley, Towarzystwo Historyczne Peconic i tak dalej. Nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje.

— Ty też nie. Miałeś po prostu trochę szczęścia. Ale teraz się od ciebie odwróciło — dodał.

— Może. Ale wciąż mam własne włosy i własne zęby.

— Naprawdę mnie denerwujesz.

— Poza tym jestem od ciebie wyższy, a Emma powiedziała, że mam większego kutasa.

Pan Tobin postanowił nie odpowiadać na moje zaczepki. Przed strzałem musiał najwyraźniej ze mną pogawędzić.

— Miałeś nieszczęśliwe dzieciństwo? — zapytałem. — Domi-

nującą matkę i obojętnego ojca? Czy dzieciaki przeżywały cię siusiumajtek i śmiały się z twoich dzierganych na drutach skarpetek? Opowiedz mi o tym. Chcę dzielić z tobą twój ból.

Nie odzywał się przez chwilę, która wydawała się bardzo długa. Widziałem, że latarka drży mu w dłoni, i tak samo drżał jego pistolet. Istnieją dwie teorie na temat tego, jak postępować, gdy ktoś trzyma cię na muszce. Pierwsza zaleca przyjąć postawę ugodową i iść na współpracę. Druga polega na tym, żeby drażnić faceta z bronią — wyzywać go i tak zdenerwować, by popełnił błąd. Teoria pierwsza jest obecnie standardową policyjną procedurą. Teoria druga uznana została za niebezpieczną i wariacką. Jak widać preferowałem drugą.

— Dlaczego tak się trzęsiesz? — zapytałem.

Wyciągnął do przodu obie ręce, tę z latarką i tę z pistoletem, i zdałem sobie sprawę, że szykuje się do strzału. Uch, uch. Wracamy do teorii pierwszej.

Staliśmy wpatrując się w siebie i widziałem, że zastanawia się, czy nie pociągnąć za cyngiel. Ja zastanawiałem się, czy nie wydać mrożącego krew w żyłach wrzasku i nie rzucić się na niego, nim strzeli.

W końcu opuścił pistolet i latarkę.

— Nie dam ci się wyprowadzić z równowagi — stwierdził.

— Bardzo ci się to chwali.

— Gdzie jest Penrose? — zapytał mnie ponownie.

— Utonęła.

— Nie, nie utonęła. Gdzie jest?

— Może poszła do głównego laboratorium i wezwała posiłki. Może jest już po tobie, Freddie. Może powinieneś mi oddać pistolet, przyjacielu.

Przez chwilę to analizował.

— Swoją drogą — dodałem — znalazłem skrzynię i kości pod kartonami z winem w twojej piwnicy i wezwałem policję.

Tobin milczał. Wszelkie nadzieje, że jego sekrety umrą wraz ze mną, były teraz stracone. W każdej chwili oczekiwałem kuli, ale Fredric Tobin nie byłby sobą, gdyby nie próbował do końca dobić interesu.

— Chcesz się podzielić pół na pół? — zapytał.

O mało się nie roześmiałem.

— Pół na pół? Gordonowie myśleli, że dostaną połowę i zobacz, co się z nimi stało.

— Dostali to, na co zasłużyli.

- Jak to?
- Opadły ich wyrzuty sumienia. Niewybaczalne. Chcieli oddać skarb władzom.
- Czyli prawowitemu właścicielowi.
- Nie ma znaczenia, kto jest właścicielem. Liczy się, kto go znalazł i potrafi zatrzymać.
- Złota Zasada Fredrica Tobina: zasady ustala ten, kto ma złoto.
- Tobin zachichotał. Raz go wkurzałem, raz rozśmieszałem. Z braku drugiego policjanta, musiałem grać na zmianę dobrego i złego gliniarza. Można od tego dostać schizofrenii.
- Gordonowie przyszli do mnie i zapytali, co myślę o zawarciu ugody z rządem — oznajmił. — Mielibyśmy dostać część skarbu w charakterze znaleźnego, a reszta poszłaby na supernowoczesne wyposażenie laboratorium, ośrodek rekreacyjny Plum Island, przed szkole dla dzieci pracowników, sprzątanie wyspy, odbudowę zabytków historycznych i inne znaczne projekty. Zostalibyśmy bohaterami, filantropami i praworządnyimi obywatelami. — Tobin zawiesił na chwilę głos. — Odparłem, że moim zdaniem to wspaniały pomysł — dodał. — Oczywiście w tym momencie już nie żyli.
- Biedny Tom, biedna Judy. Zawierając pakt z Tobinem, znaleźli się w zupełnie innej lidze.
- Więc nie spodobał ci się pomysł utworzenia Wesołego Miasteczka imienia Fredrica Tobina?
- Ani trochę.
- Przecież ty tylko udajesz twardziela, Freddie. Założę się, że masz serce małego chłopca. Trzymasz je pewnie w słoju na kominiku — dodałem.
- Ponownie zachichotał. Pora ponownie zmienić nastrój i podtrzymać jego zainteresowanie rozmową.
- Swoją drogą sztorm zniszczył twoje winnice i hangar na przystani — oznajmiłem. — Zdemolowałem twoją piwniczkę i twój apartament w wieży. Chciałem po prostu, żebyś wiedział.
- Dziękuję, że mnie o tym poinformowałaś. Nie jesteś wielkim dyplomata, prawda?
- Dyplomacja to sztuka mówienia „grzeczny piesek” do chwili, gdy ma się pod ręką kamień.
- Roześmiał się.
- Skończyły ci się kamienie, Corey, i dobrze o tym wiesz.
- Czego chcesz, Tobin?
- Chcę wiedzieć, gdzie jest skarb.
- Trochę mnie to zaskoczyło.

— Myślałem, że jest tutaj — odparłem.

— Ja też. Był tutaj w sierpniu, kiedy Gordonowie zabrali mnie na prywatną archeologiczną wycieczkę po wyspie. Był tutaj, w tym bunkrze, zagrzebany pod starymi skrzyniami po amunicji. Ale teraz go nie ma. Znalazłem za to list — dodał.

— List? Żebyś pocałował się w tyłek?

— Tak. List od Gordonów, w którym piszą, że przenieśli skarb gdzie indziej i jeśli spotka ich coś złego, nikt go nigdy nie odnajdzie.

— Więc spieprzyłeś sprawę. To dobrze.

— Nie wierzę, żeby nie zdradzili sekretu komuś, komu ufali.

— To niewykluczone.

— Komuś takiemu jak ty. Dlatego wiedziałeś, że to nie ma nic wspólnego z bronią biologiczną? Dlatego wiedziałeś o skarbie kapitana Kidda? I o tym, że jestem w to zamieszany? Odpowiedz mi, Corey.

— Sam się wszystkiego domyśliłem.

— W takim razie nie masz pojęcia, gdzie jest teraz skarb?

— Najmniejszego.

— To fatalnie.

Pistolet znowu powędrował w górę.

— Właściwie chyba coś wiem — powiedziałem.

— Tak myślałem. Dostałeś od nich pośmiertny list?

— Nie, ale żałuję, że go nie wysłali.

— Dali mi kilka wskazówek. Dla mnie nie mają większego sensu, ale może będą miały dla ciebie.

— Na przykład?

— No cóż... ile twoim zdaniem to jest warte?

— Warte dla ciebie? Czy razem?

— Razem. Chcę dziesięć procent, jeśli pomogę ci to znaleźć.

Skierował światło latarki na moją pierś, tuż pod podbródkiem i przez chwilę mi się przyglądał.

— Próbujesz ze mną swoich gier, Corey?

— Nigdy w życiu.

Tobin milczał przez chwilę, rozdarty między pragnieniem uzienienia mnie tu i teraz i słabą nadzieją, że może rzeczywiście wiem, co się stało ze skarbem. Czepiał się słomki i wiedział o tym, z drugiej strony jednak nie mógł pogodzić się z faktem, że cały jego plan legł w gruzach, że nie tylko zbankrutował i jest skończony, ale że zniknął gdzieś skarb, na marne poszły całe lata pracy i istnieje duże prawdopodobieństwo, że zostanie osądzony za morderstwo, skazany na karę śmierci i stracony.

— To było niewiarygodne, naprawdę — przemówił w końcu. — Były tam nie tylko złote monety, ale klejnoty... klejnoty Wielkiego Mogoła z Indii... rubiny i szafiry w przepięknych złotych oprawach... całe torby innych drogocennych kamieni... Same kamienie musiały być warte dziesięć albo dwadzieścia milionów dolarów... może więcej — stwierdził i z ust wydarło mu się rzewne westchnienie. — Ale chyba o tym wszystkim wiesz. Moim zdaniem Gordonowie albo ci się zwierzyli, albo zostawili list.

Naprawdę żałowałem, że nie zrobili ani jednego, ani drugiego. Wolałbym to pierwsze. Może i mieli taki zamiar, ale go nie urzęczywistnili. Podejrzewałem jednak, że dali do zrozumienia Tobinowi, iż John Corey z nowojorskiej policji wie to i owo; to miało ich uratować, ale nie uratowało. Ratowało za to mnie, lecz nie na długo.

— Wiedziałeś, kim jestem, kiedy przyszedłem do ciebie do winiarni — powiedziałem.

— Oczywiście, że tak. Uważasz się za jedynego spryciarza na całym świecie?

— Wiem, że jestem jedynym spryciarzem w tym bunkrze.

— Skoro jesteś taki cholernie sprytny, Corey, dlaczego stoisz tutaj z rękoma na karku, a ja trzymam w ręku pistolet?

— Trafna uwaga.

— Marnujesz mój czas. Wiesz, gdzie jest skarb?

— Tak i nie.

— Dostyc tego. Masz pięć sekund, żeby odpowiedzieć. Raz... — zaczął liczyć, biorąc mnie na cel.

— Jakie to ma znaczenie, gdzie jest skarb? I tak nie uda ci się z nim uciec i nie ujdą ci na sucho morderstwa.

— Mój jacht jest wystarczająco dobrze wyekwipowany, bym dopłynął do Ameryki Południowej. Dwa...

— Pomyśl realnie, Freddie. Jeśli widzisz się na tropikalnej plaży w otoczeniu dziewcząt karmiących cię owocami mango, zapomnij o tym, stary. Oddaj mi pistolet, a dopilnuję, żebyś nie trafił na krzesło. Przysięgam na Boga, że cię nie usmażą.

Zabiję cię własnymi rękoma.

— Jeśli coś wiesz, powinieneś mi powiedzieć. Trzy...

— Moim zdaniem, Stevens coś zwietrzył. Co ty na to?

— Możliwe. Uważasz, że to on zabrał skarb? Cztery...

— Zapomnij o pierdolonym skarbie, Freddie. Jeśli stąd wyjdiesz i nadstawisz ucha, usłyszysz alarm zagrożenia biologicznego. Doszło do wycieku. W ciągu następnych kilku godzin wszyscy musimy iść do szpitala albo umrzemy.

— Kłamiesz.  
— Nie, nie kłamię. Nie słyszałeś syreny?  
Przez dłuższy czas się nie odzywał.  
— Tak czy inaczej, to chyba koniec — stwierdził w końcu.  
— Racja. Zawrzyjmy umowę.  
— Jaką umowę?  
— Oddasz mi pistolet, wrócimy na twój jacht, popłyniemy na ląd i zgłosimy się do szpitala. Powiem prokuratorowi, że dobrowolnie oddałeś się w ręce sprawiedliwości i wyjdiesz za kaucją, a za rok spotkamy się na procesie i każdy będzie mógł kłamać, ile wlezie. Dobrze?

Tobin milczał.

Oczywiście kiedy popełniło się kilka morderstw, szanse na wyjście za kaucją są zerowe; znamienne było również to, że nie użyłem słów w rodzaju aresztowanie lub więzienie i w ogóle niczego, co by się negatywnie kojarzyło.

— Naprawdę będę zeznawał na twoją korzyść, jeśli dobrowolnie oddasz się w moje ręce — dodałem. — Naprawdę. Jak Boga kocham.

Najwyraźniej rozważał moją ofertę. Była to trudna chwila, ponieważ musiał wybierać między walką, ucieczką i poddaniem się. Pamiętałem, że na dłuższą metę Tobin jest marnym hazardzistą; miał zbyt silne ego, żeby wycofać się, kiedy przegrywał.

— Przyszło mi do głowy, że nie jesteś tutaj w charakterze stróża prawa — stwierdził w końcu.

Bąłem się, że na to wpadnie.

— Przyszło mi do głowy, że traktujesz to wszystko osobiście. Że chciałbyś zrobić mi to samo, co ja zrobiłem Tomowi, Judy, Murphy m i Emmie...

Miał oczywiście świętą rację i to znaczyło, że będzie chciał mnie zabić, w związku z czym dałem nurka w lewo, poza snop światła i przeturlałem się po podłodze. Tobin przesunął za mną latarkę i strzelił, ale ja znajdowałem się o wiele dalej, niż sądził. Kiedy zabrzmiał strzał, przeturlałem się w przeciwnym kierunku i wyjąłem nóż ze spodni, nim zdążył uciąć mi fiuta.

Wąski promień skakał wściekle po bunkrze. Tobin strzelał co jakiś czas na oślep i kule odbijały się rykoszetem od betonu.

W pewnym momencie promień przesunął się po mnie, ale nim Tobin zorientował się i cofnął latarkę, znowu odskoczyłem. Zabawa w berka ze światłem i kulami nie jest tak zabawna, jak może się w pierwszej chwili wydawać, ale jest znacznie łatwiejsza, niż

sądzić, zwłaszcza gdy ma się do dyspozycji duże puste pomieszczenie.

Padając i turlając się po ziemi, przez cały czas szukałem rękoma dubeltówki, niestety bez skutku. Mimo braku broni palnej to ja miałem teraz przewagę i dopóki kretyn nie zgasił latarki i walił na oślep z pistoletu, wiedziałem, gdzie jest. Najwyraźniej Freddie stracił zimną krew.

Zanim zdał sobie sprawę, że powinien zgasić światło, skoczyłem na niego jak rasowy obrońca. Usłyszał mnie i skierował w moją stronę pistolet i latarkę dokładnie w tej samej chwili, gdy się z nim zderzyłem.

Tobin wydał z siebie dźwięk podobny do pękającego balonu i przewrócił się na ziemię. Żadnej walki. Wyrwałem bez trudu pistolet z jego dłoni i zabrałem latarkę. A potem uklęknąłem na jego piersi, jedną ręką oświetlając twarz, a drugą celując nożem w szyję. Miał kłopoty z oddychaniem.

— W porządku... — wykrztusił. — W porządku... wygrałeś...

— Zgadza się — odparłem, uderzając go w nos ręką noża. Usłyszałem jego krzyk i trzask pękającej kości i zobaczyłem, jak krew tryska mu z nozdrzy. Krzyk zmienił się w skowyt; Tobin spojrział na mnie szeroko otwartymi oczyma i jęknął.

— Nie... proszę... już dosyć...

— O nie, wcale nie dosyć. Jeszcze nie dosyć.

Drugim ciosem wybiłem mu sztuczne zęby, a potem obróciłem nóż, przeciąłem nim skórę nad czołem i zdarłem włosy z głowy. Znowu jęknął, ale był w stanie szoku i nie reagował w pełni na moją niegodziwość.

— Rozbiłeś jej głowę! — usłyszałem swój krzyk w ciemności. — Zgwałciłeś ją! Ty jebany skurwysynu!

Wiedziałem, że nie zachowuję się racjonalnie i powinienem odejść. Ale cienie tych, którzy zginęli, naprawdę czaiły się w mroku i po całej grodzie burzy na morzu, pościgu przez Plum Island, wycieku biologicznego i kul, które miały mnie trafić, John Corey zmienił się w coś, co lepiej trzymać w ciemności. Walnąłem go dwa razy ręką noża w czoło, nie zdołałem jednak rozbić czaszki.

Tobin wydał z siebie długi żalorny jęk.

— Niiieeee...

Naprawdę chciałem wstać i uciec stamtąd, nim zrobię coś złego, czego nie da się cofnąć, lecz obudziło się we mnie czarne serce, które drzemie w każdym z nas.



Sięgnąłem nożem za siebie, rozciąłem jego spodnie i wbiłem ostrze w podbrzusze zdecydowanym ruchem, który przeciął skórę i mięśnie i sprawił, że wnętrzności wypadły z jamy brzusznej.

Tobin wrzasnął, a potem nagle umilkł i znieruchomiał, jakby próbował zgadnąć, co się stało. Musiał poczuć ciepłą krew, ale poza tym jego oznaki życia były w porządku i prawdopodobnie dziękował Bogu, że żyje. Wkrótce miałem położyć temu kres.

Sięgnąłem prawą ręką za siebie, złapałem pełną garść ciepłych jelit i wywlokłem je na zewnątrz; a potem cisnąłem Tobinowi w twarz.

Jego oczy spotkały się z moimi w świetle latarki i odbiło się w nich zdziwienie. Najwyraźniej nie wiedział, co takiego paruje mu na twarzy, i potrzebował ode mnie kilku słów wyjaśnienia.

— Twoje flaki — powiedziałem.

Tobin krzyknął raz i drugi i zaczął walić się rękoma po twarzy.

Wstałem, wytarłem ręce w spodnie i odszedłem. Wrzaski i skowyt Freddiego odbijały się echem w zimnym, bardzo zimnym bunkrze.

## Rozdział 37

Nie uśmiechał mi się specjalnie długi marsz ciemnym tunelem. Poza tym dobrą taktyką jest powrót inną drogą; ktoś może czasami czekać w punkcie wyjścia.

Spojrzałem na otwór w suficie. Ciemne sztormowe niebo nigdy nie wydawało się tak nęcące. Podszedłem do sięgającej sklepienia stalowej konstrukcji. Była to, jak już wspomniałem, winda, którą dostarczano na górę wielkie pociski artyleryjskie oraz proch, uznałem więc, że została zbudowana solidnie. Stanąłem na pierwszej belce i nie załamała się. Wspinając się w górę, zauważyłem, że kolejne belki były mocno zardzewiałe, ale one również jakoś się trzymały.

Przez otwór w suficie padał deszcz; z dołu ścigały mnie krzyki Tobina. Można by sądzić, że facet jest w stanie się drzeć tylko przez jakiś określony czas — potem, gdy minie pierwsza groza, powinien wziąć się w garść, wcisnąć flaki z powrotem na miejsce i zamknąć dziób.

Tak czy inaczej, w miarę jak się wspinałem, powietrze robiło się coraz świeższe. Na wysokości piętnastu stóp usłyszałem dmący przez otwór wiatr. Na wysokości dwudziestu stóp znalazłem się tuż przy otworze. Deszcz siekł ostro i prawie poziomo; burza wróciła.

Zorientowałem się, że otwór otoczony jest drutem kolczastym, który w czasach, gdy w forcie mieściły się zagrody dla zwierząt, chronił je zapewne przed wpadnięciem w dziurę.

— Niech to diabli.

Stanąłem na ostatnim szczeblu konstrukcji, wychylony do połowy na zewnątrz. Odgłosy wiatru i deszczu sprawiły, że przestałem słyszeć krzyki Tobina.

Przez chwilę przyglądałem się mającemu cztery stopy ogrodzeniu. Mogłem się na nie wdrapać albo zejść na dół i wrócić tunelem. Pomyślałem o leżącym pośród własnych flaków Tobinie, który wyrzaskiwał z siebie życie. A może wziął się w garść i znalazł swoją dubeltówkę albo pistolet? Skoro dotarłem aż tutaj, mogłem pokonać te ostatnie cztery stopy.

Ból to w gruncie rzeczy kwestia mózgu, wyłączyłem więc docierające z niego sygnały, wspiąłem się po drucie kolczastym i zeskoczyłem na drugą stronę.

Przez jakiś czas leżałem na betonie, łapiąc oddech, masując skaleczenia na dłoniach i stopach i ciesząc się, że lekarze dali mi w szpitalu zastrzyk przeciwtężcowy w obawie, że trzy kule mogą być zanieczyszczone.

W końcu, ignorując ból, wstałem i rozejrzałem się dookoła. Znajdowałem się pośrodku okrągłego stanowiska artyleryjskiego o średnicy mniej więcej trzydziestu stóp. Fortyfikacja wzniesiona była na stoku wzgórza i otoczona wysokim do ramion betonowym murem, który chronił kiedyś stojące tu działo. W betonie osadzony był stalowy mechanizm kierunkowy, pozwalający obracać działo o sto osiemdziesiąt stopni.

Po drugiej stronie stanowiska zobaczyłem betonową rampę, która prowadziła do czegoś w rodzaju wieży obserwacyjnej. Z tego, co mogłem stwierdzić, znajdowałem się przy południowym brzegu wyspy; działa skierowane były niegdyś na południe, ku morzu. Słyszałem nawet fale rozbijające się gdzieś w pobliżu o brzeg.

Widziałem teraz, dlaczego fortyfikacje nadawały się na zagrody dla zwierząt, i to z kolei przypomniało mi, że w powietrzu jest pełno zarasków. Nie chcę przez to powiedzieć, że łatwo o czymś takim zapomnieć — starałem się to chyba w sobie stłumić. Teraz jednak wystarczyło nadstawić ucha, by usłyszeć wycie syren. Słyszałem również krzyki Fredrica Tobina — nie dosłownie, ale w mojej głowie, i wiedziałem, że przez jakiś czas będę je tam słyszał.

Stałem tak — ścigany przez krzyki Tobina w mojej głowie i wycie syren w uszach, smagany deszczem i wiatrem, zziębnięty, rozdęgotany, spragniony, głodny, pokaleczony i półnagi — i czułem się panem stworzenia. Prawdę mówiąc, wydałem z siebie kilka radosnych okrzyków i wykonałem triumfalny taniec.

— Przeżyłem! Przeżyłem! — wrzasnąłem, przekrzykując wiatr.

— Nie na długo — odezwał się cichy głos w mojej głowie.

Przerwałem taniec zwycięstwa.

— Co takiego?

— Nie na długo.

Właściwie to nie był głos w mojej głowie; to był ktoś za moimi plecami. Odwróciłem się.

Na wysokim na pięć stóp murze zobaczyłem wysoką postać w ciemnym płaszczu przeciwdeszczowym z kapturem prawie całkowicie zasłaniającym twarz. Miałem wrażenie, że ujrzałem stojącego na deszczu i uśmiechającego się zjadliwie samego Wielkiego Rozpruwacza. Niesamowicie.

— Kim jesteś, do diabła? — zapytałem.

Postać — sądząc z postury i głosu, mężczyzna — milczała.

Czułem się chyba trochę głupio, przyłapany na dzikich podskokach i radosnym pohukiwaniu. Coś mówiło mi jednak, że jest to akurat najmniejszy z moich problemów.

— Kim jesteś, do diabła?

Ponownie nie doczekałem się odpowiedzi. Zobaczyłem jednak, że postać trzyma coś w rękach. Tradycyjną kosę Wielkiego Rozpruwacza? Żywiłem taką nadzieję. Z kosą potrafiłbym sobie poradzić. Niestety nie miałem szczęścia. Facet trzymał strzelbę. Cholera.

Rozważyłem moją sytuację. Znajdowałem się pośrodku okrągłej, głębokiej na pięć stóp niecki, a ktoś uzbrojony w strzelbę stał na murku obok rampy wyjściowej. W gruncie rzeczy byłem w głębokich i poważnych opałach. Po same uszy w gównie.

Facet po prostu stał tam, gapiąc się na mnie. Dzieliło nas może trzydzieści stóp — z takiej odległości trudno nie trafić. Był zbyt blisko rampy, bym mógł brać pod uwagę ucieczkę tą drogą. Jedyną moją szansą był otwór, przez który dopiero co wyszedłem, ale to oznaczało, że będę musiał przebiec piętnaście stóp w jego stronę, przeskoczyć przez drut kolczasty i dać na oślep nurka w dół. Mogło to potrwać jakieś cztery sekundy; w tym czasie facet ze strzelbą był w stanie dwa razy wymierzyć i strzelić. Ale może nie miał wobec mnie złych zamiarów. Może to był pracownik Czerwonego Krzyża z butelką brandy. Na pewno.

— Co sprawiło, że wyszedłeś z domu w taką noc, przyjacielu? — zapytałem.

— Ty.

— Ja?

— Tak, ty. Ty i Fredric Tobin.

Teraz rozpoznałem głos.

- No cóż, Paul, właśnie miałem zamiar odejść — powiedziałem.
- Zgadza się — odparł pan Stevens. — Zaraz odejdziesz. Nie podobał mi się sposób, w jaki to oznajmił. Przypuszczam, że był na mnie wkurzony za to, że powaliłem go na własnym trawniku, nie wspominając już o związanych sznurowadłach. I oto teraz pojawił się tu ze strzelbą. Życie bywa zabawne.
- Wkrótce stąd odejdziesz — powtórzył.
- To świetnie. Po prostu tędy przechodziłem i...
- Gdzie jest Tobin?
- Za twoimi plecami.

Stevens obejrzał się szybko za siebie, a potem znowu zmierzył mnie wzrokiem.

— Z latarni morskiej zauważono dwie jednostki: chris-crafta i motorówkę — oznajmił. — Chris-craft zawrócił, a motorówka przepłynęła przez Plum Gut.

— Tak, to ja płynąłem motorówką. Wybrałem się na przejażdżkę. Skąd wiedziałeś, że na jachcie jest Tobin?

- Znam jego jacht. Spodziewałem się go.
- Dlaczego?
- Wiesz dlaczego. Moje sensory ruchu i mikrofony — dodał — wykryły na terenie Fortu Terry co najmniej dwie osoby, plus pojazd. Postanowiłem to sprawdzić i oto jestem. Ktoś zamordował dwóch strażaków. Ty to zrobisz?

— Nie ja. Słuchaj, Paul, ścierpła mi szyja od patrzenia na ciebie i jest mi zimno. Podejdę do tej rampy i wrócimy do głównego budynku napić się kawy...

Paul Stevens wycelował we mnie ze strzelby.

— Porusz się, choć o jeden pierdolony cal, to cię zabiją — oznajmił.

- Rozumiem.
- Mam z tobą rachunki do wyrównania — przypomniał mi.
- Powinieneś spróbować rozładować swój gniew w konstruktywny...
- Stul dziób.
- Tak jest.

W jakiś instynktowny sposób wiedziałem, że Paul Stevens jest bardziej niebezpieczny od Fredrica Tobina. Tobin był tchórzliwym zabójcą, który uciekał, wyczuwając zagrożenie. Stevens, byłem tego pewien, stanowił typ urodzonego mordercy, człowieka, który załatwia przeciwnika, patrząc mu prosto w twarz.

— Wiesz, po co przyplłynęliśmy tu ja i Tobin? — zapytałem.

— Oczywiście, że wiem — odparł, wciąż we mnie celując. —  
Po skarb kapitana Kidda.

— Mogę ci pomóc go odnaleźć — zaproponowałem.

— Nie możesz. To ja go mam. O  
kurczę.

— Jak się...

— Masz mnie za głupca? Gordonowie myśleli, że jestem głupi.  
Wiedziałem dokładnie, co kryje się za tą idiotyczną zabawą w ar-  
cheologię. Śledziłem każdy ich ruch. Nie wiedziałem, kto jest ich  
wspólnikiem aż do sierpnia, kiedy Tobin przyplłynął tu jako przed-  
stawiciel Towarzystwa Historycznego Peconic.

— Wspaniała detektywistyczna robota. Postaram się, żeby dali  
ci nagrodę za wzorową służbę.

— Zamknij pierdolony dziób.

— Tak jest, proszę pana. A swoją drogą, czy nie powinienes  
nosić maski czy czegoś w tym rodzaju?

— Dlaczego?

— Jak to dlaczego? Czy to nie jest alarm zagrożenia biolo-  
gicznego?

— Owszem. To próbny alarm. Ja go zarządziłem. Wszyscy,  
którzy pełnią dyżur sztormowy na wyspie, są teraz w głównym  
laboratorium w skafandrach biologicznych.

— Innymi słowy, nie czeka nas wszystkich śmierć?

— Nie. Tylko ciebie.

Bąłem się, że to powie.

— Cokolwiek złego zrobiłeś do tej pory, nie masz na swoim  
koncie morderstwa — poinformowałem go oficjalnym tonem.

— Tak się składa, że nie popełniłem żadnego wykroczenia, a  
zabicie ciebie będzie czystą przyjemnością.

— Zabicie policjanta to...

— Jesteś tu intruzem i, z tego, co wiem, sabotażystą, terrorystą  
i mordercą. Przykro mi, ale cię nie rozpoznałem.

Napiąłem mięśnie, gotów do skoku w dół, wiedząc, że nie może  
mi się udać, lecz mimo to muszę spróbować.

— Wybiłeś mi dwa zęby i rozciąłeś wargę — kontynuował  
Stevens. — No i za dużo wiesz. Ja będę bogaty — dodał — a ty  
martwy. Żegnaj, cwaniaczku.

— Pierdole cię, dupku — odparłem, startując w kierunku otworu  
i patrząc nie na drut kolczasty, ale na Stevensa, który podniósł  
strzelbę i wziął mnie na muszkę. Naprawdę nie mógł chybić.

Huknął strzał, ale nie zobaczyłem błysku z lufy i nie poczułem

rozdzierającego ciała bólu. Szykując się do przesadzenia drutu kolczastego i skoku głową w dół, zobaczyłem, że Stevens skacze z murku, żeby mnie wykończyć. Tak mi się przynajmniej wydawało. W rzeczywistości runął jak długi i wylądował twarzą na betonie. Zderzyłem się z ogrodzeniem i stanąłem jak wryty.

Przez chwilę obserwowałem go, nie ruszając się z miejsca. Stevensem wstrząsały konwulsje, co oznaczało, że oberwał w rdzeń kręgowy i w zasadzie jest już martwy. Usłyszałem charakterystyczny przedśmiertny charkot. A potem konwulsje i charkot ustały. Podniosłem wzrok i ujrzałem stojącą na murku Beth Penrose, która celowała z pistoletu do nieboszczyka.

- Jak tu się dostałaś? — zapytałem.
- Na piechotę.
- Chciałem powiedzieć...
- Poszłam cię szukać. Zobaczyłam go i zaczęłam śledzić.
- Na szczęście dla mnie.
- Ale nie dla niego — odparła.
- Powiedz: „Nie ruszać się! Policja!”.
- Mam to w dupie.
- Ja też. Chciał mnie zabić.
- Wiem o tym.
- Mogłaś strzelić trochę wcześniej.
- Mam nadzieję, że nie krytykujesz mojego postępowania.
- Nie, proszę pani. Świetny strzał.
- Dobrze się czujesz? — zapytała.
- Tak. A ty?
- Czuję się świetnie. Gdzie jest Tobin?
- Tu go nie ma — odparłem po krótkim wahaniu.

Beth spojrzała na leżącego Stevensa.

- O co mu chodziło?
- Zwykły padlinożerca.
- Znalazłeś skarb?
- Nie, ale Stevens znalazł.
- Wiesz, gdzie jest?
- Miałem go właśnie zamiar zapytać.
- Nie, John, on miał właśnie zamiar cię zastrzelić.
- Dziękuję, że uratowałaś mi życie.
- Jesteś mi za to winien małą uprzejmość.
- Owszem. Tak więc sprawa jest zamknięta — stwierdziłem.
- Z wyjątkiem skarbu. I Tobina. Gdzie on jest?
- Gdzieś tu w pobliżu.

- Ma broń? Jest niebezpieczny?
- Nie — odparłem. — Nie ma flaków.

Schroniliśmy się przed burzą w betonowym bunkrze. Obejmowaliśmy się, żeby nie zmarznąć, ale było tak zimno, że żadne z nas nie mogło zasnąć. Rozmawialiśmy do późna w nocy, masując sobie wzajemnie ręce i nogi, żeby nie dopuścić do wychłodzenia organizmu.

Beth dopytywała się, gdzie zostawiłem Tobina, i przedstawiłem jej lekko ocenzone wersję tego, co wydarzyło się w składzie amunicji, mówiąc, że dźgnąłem go nożem i jest śmiertelnie ranny.

— Czy nie powinniśmy wezwać do niego lekarza? — zapytała.

— Oczywiście. Z samego rana — odparłem.

Przez kilka sekund milczała.

— Dobrze — stwierdziła w końcu.

Przed świtem ruszyliśmy z powrotem na plażę.

Sztorm minął i zanim pojawił się helikopter i łódź patrolowa, wsadziłem na miejsce sworzeń mocujący śrubę i popłynęliśmy na jacht whalerem. Następnie wyciągnąłem zatyczkę na dnie małej łodzi i whaler zatonął, a my popłynęliśmy jachtem do Greenport. Stamtąd zadzwoniliśmy do Maksa, który przyjechał po nas do portu. Pojechaliśmy z nim na komendę, wzięliśmy prysznic i dostaliśmy dresy i ciepłe skarpetki. Miejscowy łapiduch zbadał nas i zaordynował antybiotyki oraz jajka na boczku, co wydawało się odpowiednią kuracją.

Zjedliśmy śniadanie w sali konferencyjnej Maksa i zdaliśmy raport szefowi. Max był zdumiony, wkurzony, szczęśliwy i zazdrosny. Nie krył niedowierzania i oddychał z ulgą. „Skarb kapitana Kidda”, powtarzał bez przerwy. „Jesteście pewni?”.

— Więc tylko Stevens znał miejsce ukrycia skarbu? — zapytał w trakcie mojego drugiego śniadania.

— Tak sędzę — odparłem.

Przez chwilę przyglądał mi się bacznie, a potem popatrzył na Beth.

— Gdybyś je znał, chybaś powiedział? — zapytał w końcu.

— Oczywiście, że bym ci nie powiedział. Gdybym wiedział, gdzie są klejnoty i złoto warte dwadzieścia milionów dolarów, byłbyś ostatnim człowiekiem, któremu bym się zwierzył. Ale prawda jest taka, że skarb znowu zniknął. Wiemy jednak, że istnieje — dodałem — i że był przez krótki okres w posiadaniu Stevensa. Więc



może przy odrobinie szczęścia gliniarze i federalni zdołają go znaleźć.

— Ten skarb przyczynił się do śmierci tylu ludzi, że naprawdę myślę, iż jest przeklęty — dodała Beth.

Max wzruszył ramionami.

— Przeklęty czy nie, chciałbym go odnaleźć. Wyłącznie z przyczyn historycznych — wyjaśnił.

— Wyłącznie.

Max najwyraźniej miał trudności z przyjęciem do wiadomości oraz przetworzeniem wszystkich informacji i zadawał pytania, na które otrzymał już odpowiedź.

— Jeśli ta rozmowa zmieni się w przesłuchanie — powiedziałem mu — będę musiał wezwać swojego adwokata albo skopać ci tyłek.

Uśmiechnął się z przymusem.

— Przepraszam... to po prostu nie mieści się w głowie.

— Podziękuj nam za to, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty — upomniała się Beth.

— Dziękuję, że odwaliliście kawał dobrej roboty. Cieszę się, że cię zatrudniłem — dodał, zwracając się do mnie.

— Wylałeś mnie.

— Naprawdę? Już zapomniałem. Z tego, co mówiłeś, rozumiem, że Tobin nie żyje? — zapytał mnie.

— Kiedy go ostatnio widziałem, jeszcze żył. Powiniennem chyba wcześniej wspomnieć, że facet potrzebuje lekarza.

Przez chwilę mi się przyglądał.

— Gdzie jest dokładnie ten skład amunicji? — zapytał.

Wytłumaczyłem mu najlepiej, jak mogłem, i Max szybko wyszedł, żeby zatelefonować.

Beth i ja spojrzeliśmy na siebie przez stół w sali konferencyjnej.

— Będzie z ciebie dobry detektyw — stwierdziłem.

— Jestem dobrym detektywem.

— Owszem, jesteś. Jak mogę się odwdziżyć za uratowanie życia?

— Co powiesz na tysiąc dolarów?

— Na tyle oceniasz moje życie?

— Dobrze, niech będzie pięćset.

— Co powiesz na kolację dziś wieczorem?

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się jakoś smutnie.

— Bardzo cię lubię, John, ale... to wszystko jest za bardzo popłatane... zbyt... to znaczy te wszystkie morderstwa... Emma...

Pokiwałem głową.

— Masz rację.

Zadzwoił stojący na stole telefon i odebrałem go.

— Dobrze, przekażę jej — powiedziałem, wysłuchawszy wiadomości. — Hrabstwo przysłało po panią limuzynę — poinformowałem Beth i odłożyłem słuchawkę.

Wstała i podeszła do drzwi, a potem odwróciła się do mnie.

— Zadzwoń za miesiąc. Dobrze? Zrobisz to?

— Dobrze, zadzwonię — odparłem, ale wiedziałem, że tego nie zrobię.

Nasze oczy się spotkały. Mrugnąłem do niej, ona mrugnęła do mnie. Posłałem jej pocałunek, Beth Penrose zrobiła to samo, odwróciła się i wyszła.

Po kilku minutach wrócił Max.

— Zatelefonowałem na Plum Island — oświadczył. — Rozmawiałem z Kennethem Gibbsem. Pamiętasz go? Asystent Stevensa. Ludzie z ochrony znaleźli już swojego szefa. Martwego. Pan Gibbs nie wydawał się tym szczególnie zmartwiony ani nawet zaniepokojony.

— Nigdy nie trać nadziei na niespodziewany awans.

— Właśnie. Powiedziałem mu również, żeby poszukał Tobina w podziemnym składzie amunicji. Zgadza się?

— Owszem. Nie pamiętam tylko w którym. Było ciemno.

Max pokiwał głową i wpadł w zadumę.

— Co za syf — stwierdził w końcu. — Kiedy pomyślę o tej tonie papierów, które będę musiał... — Przerwał nagle i rozejrzał się po pokoju. — Gdzie jest Beth? — zapytał.

— Przyjechali po nią z policji w Suffolk.

— Aha... to dobrze. Dostałem właśnie bardzo oficjalny faks z nowojorskiej policji. Proszą, bym cię zlokalizował i przypilnował do południa, do czasu aż się tu zjawią.

— Cóż, oto jestem.

— Masz zamiar się urwać?

— Nie.

— Obiecuj. Bo będę musiał cię wsadzić za kratki.

— Obiecuję.

— W porządku.

— Każ mnie odwieźć do domu. Muszę się czegoś napić.

— Dobrze.

Max wyszedł i po chwili do pokoju zajrzał mój stary kumpel Bob Johnson.

— Podwieź pana?

— Owszem.

Wyszedłem z nim i pojechaliśmy do domu wujka Harry'ego. Przebrałem się w porządne ciuchy, na których nie widniał napis „Własność policji gminy Southold”, wziąłem butelkę piwa, siadłem na werandzie i patrzyłem, jak przejaśnia się niebo i uspokaja zatoka.

Niebo było prawie nieskazitelnie błękitne, jak zawsze po burzy, kiedy wiatr wywieje wszelkie świństwa i deszcz oczyści powietrze. Tak musiało wyglądać przed stu laty, kiedy nie było spalinowych pociągów i ciężarówek, samochodów, łodzi, kotłów na ropę, kosiarzek, chemii, pestycydów i Bóg wie czego jeszcze.

Trawnik znajdował się w żalonym stanie, ale dom przetrwał burzę, choć nadal nie było prądu i musiałem niestety pić ciepłe piwo. Nie musiałem za to wysłuchiwać automatycznej sekretarki.

Przypuszczam, że powinienem był chyba, zgodnie z tym, co obiecałem Maksowi, poczekać na moich kolegów, zamiast tego jednak wezwałem taksówkę, pojechałem na stację w Riverhead, a stamtąd pociągiem na Manhattan.

Wróciwszy po tych wszystkich miesiącach do apartamentu przy Siedemdziesiątej Drugiej Wschodniej, zauważyłem, że na sekretarce nagrało się trzydzieści sześć wiadomości — maksymalna liczba, jaka może się na niej zmieścić.

Pani, która u mnie sprząta, położyła całą pocztę na kuchennym stole i było tego chlamu prawie dziesięć funtów.

Pomiędzy rachunkami i makulaturą znalazłem wyrok w sprawie rozwodu, który przypiąłem magnesem do lodówki.

Miałem już zamiar wyrzucić stos niechcianej poczty do śmieci, kiedy moją uwagę przykuła nagle prosta biała koperta. Była ręcznie zaadresowana i chociaż widniał na niej adres zwrotny Gordonów, nadano ją z Indiany.

Otworzyłem kopertę i wyjąłem z niej trzy kartki w linie, zapisane elegancko po obu stronach niebieskim atramentem.

*Drogi Johnie — przeczytałem — jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że nie żyjemy. Przyjmij zatem pozdrowienia zza grobu.*

Odłożyłem list, podszedłem do lodówki i wziąłem sobie piwo.

— Pozdrowienia z krainy żywych trupów — mruknąłem.

*Czy wiedziałeś, że niedaleko nas zakopany był skarb kapitana Kidda? Teraz chyba już wiesz. Jesteś nieglupim człowiekiem i możemy się założyć, że coś niecoś się domyśliłeś. Jeśli nie, oto cała historia.*

Pociągnąłem łyk piwa i przeczytałem następne trzy strony, które zawierały szczegółową kronikę wydarzeń związanych ze skarbem kapitana Kidda, Plum Island oraz współpracy Gordonów z Fredrikiem Tobinem. Nie znalazłem tam wielu niespodzianek, co najwyżej kilka detali, których nie znałem. Jeśli idzie o to, w jaki sposób odkryto, że skarb znajduje się na Plum Island, Gordonowie napisali:

*Niedługo po naszym przyjeździe na Long Island dostaliśmy list od Fredrica Tobina, w którym zapraszał nas na degustację wina. Pojechaliśmy do jego winnicy i tam po raz pierwszy go spotkaliśmy. Potem otrzymaliśmy następne zaproszenia.*

Tak zaczęło się kuszenie Gordonów. W którymś momencie Tobin pokazał im prymitywną mapę narysowaną na pergaminie, nie zdradził jednak, jak wszedł w jej posiadanie. Na mapie była „Pruym Eyland”, a także kursy kompasu, liczba kroków, znaki orientacyjne i duży znak X. To, co się stało później, było łatwe do przewidzenia i wkrótce Tom i Judy zawarli pakt z diabłem.

Gordonowie stwierdzili wprost, że nie ufają Tobinowi i że jeśli zginą, to on jest sprawcą ich śmierci, gdyby nawet upozorowano ją na wypadek albo sprawkę zagranicznych agentów. Tom i Judy poznali się w końcu na Tobinie, ale zajęło im to zbyt dużo czasu i stało się zbyt późno. W liście nie było żadnej wzmianki o Paulu Stevensie, o którego knowaniach nie mieli zielonego pojęcia.

Przyszło mi do głowy, że Gordonowie przypominali zwierzęta, z którymi pracowali — tak samo niewinni, głupi i skazani na śmierć od pierwszej chwili, gdy znaleźli się na Plum Island.

*Oboje bardzo cię lubimy, John — kończył się list — ' wiemy, że zrobisz wszystko, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Z wyrazami miłości, Tom i Judy.*

Odłożyłem kartki i przez długi czas gapilem się prosto przed siebie.

Gdyby ten list dotarł do mnie szybciej, ostatni tydzień mojego życia wyglądałby zupełnie inaczej. Emma z pewnością by żyła, ale prawdopodobnie nigdy bym jej nie spotkał.

Sto lat temu ludzie co jakiś czas stawali w swoim życiu na rozstajnych drogach i musieli dokonać wyboru. Dzisiaj żyjemy w mikroczipie, w którym milion dróg otwiera się i zamyka w każdej nanosekundzie. Co gorsza, ktoś inny stuką w klawisz.

Po mniej więcej półgodzinnej kontemplacji sensu życia usłyszałem dzwonek do drzwi i otworzyłem je. To byli gliniarze, ściślej biorąc klauni z wydziału spraw wewnętrznych, którzy wydawali się

na mnie z jakiegoś powodu wkurzeni. Pojechałem z nimi na Police Plaža, żeby wyjaśnić, dlaczego nie odpowiadałem na oficjalne telefony, dlaczego nie stawiałem się na wezwanie i dlaczego chałturzyłem na boku jako gliniarz gminy Southold. W spotkaniu wziął udział mój szef, porucznik Wolfe, co było niemiłe, ale uczestniczył w nim również Dom Fanelli, z którym pośmiałem się i miło pogwarzyłem.

Tak czy inaczej szefowie pieprzyli długo o kłopotach, jakie ściągnąłem sobie na głowę, w związku z czym zatelefonowałem do mojego adwokata i przedstawiciela związku i pod wieczór byliśmy blisko zawarcia umowy.

Takie jest życie. Jego sens nie ma wiele wspólnego z dobrem i złem, uczciwością, obowiązkiem, honorem, ojczyzną i w ogóle takimi rzeczami. W życiu chodzi o to, żeby wynegocjować dobrą umowę.

## Rozdział 38

Na Dziesiątej Alei padał lekki śnieżek i z szóstego piętra, na którym się znajdowałem, widziałem płatki wirujące w świetle lamp i samochodowych reflektorów.

Na salę wchodzili moi studenci, ale ja wyglądałem przez okno. Były to pierwsze zajęcia w nowym semestrze i spodziewałem się mniej więcej trzydziestu słuchaczy, chociaż nie spojrzałem na listę. Kurs nosił tytuł „Kryminalistyka 709” i podtytuł „Dochodzenie w sprawie o zabójstwo”. Obejmował piętnaście dwugodzinnych zajęć w każdą środę, plus seminaria. Zaliczenie dawało trzy punkty. W tematyce zajęć uwzględnione zostały techniki zabezpieczania miejsca przestępstwa, identyfikacji, zbierania dowodów rzeczowych, współpracy z innymi specjalistami, w tym ekspertami w dziedzinie daktyloskopii oraz patologami, a także metody przesłuchiwania. Na czterech ostatnich zajęciach należało omówić kilka znanych spraw o zabójstwo. Nie mieliśmy mówić o niedawnych morderstwach na North Fork. Uprzedzę o tym już na samym początku.

Wśród moich słuchaczy można było spotkać niedoszłych gliniarzy, detektywów z prowincji, miejskich oraz podmiejskich stójkowych, którzy zapatrzili się w złotą odznakę albo chcieli zabłysnąć czymś na egzaminie, a także od czasu do czasu jakiegoś adwokata, który uczył się u mnie, jak może wybronić swoich klientów, zrzucając policji jakieś niedopatrzanie.

Miałem kiedyś faceta, który nie opuścił ani jednych zajęć, słuchał każdego mojego słowa, dostał na zaliczeniu piątkę, a potem poszedł i zabił przyjaciela swojej żony. Wydawało mu się, że popełnił zbrodnię doskonałą, ale przypadkowy świadek pomógł załatwić mu pokoił nieopodal Starej Iskrowy. Co dowodzi, że nie ma czegoś

takiego jak zbrodnia doskonała. Mimo to wciąż uważam, że zasłużył na piątkę.

Napisałem na tablicy moje nazwisko, a pod spodem tytuł kursu, żeby przyszedli Sherlockowie, którym nie wystarczyło nazwisko wykładowcy i numer sali, wiedzieli, że znaleźli się we właściwym miejscu.

W ramach zawartej z nowojorską policją umowy moi szefowie załatwili mi rentę z tytułu trwałej utraty zdrowia, odstąpili od stawianych zarzutów i pomogli w uzyskaniu profesury i dwuletniego kontraktu w szkole policyjnej Johna Jaya. Nowojorską policję i szkołę Johna Jaya łączą silne związki, nie było to więc zbyt trudne. Ja ze swojej strony, miałem odejść na emeryturę i publicznie dobrze się wyrażać o nowojorskiej policji i moich zwierzchnikach. Dotrzymuję obietnicy. Jadąc codziennie metrem, mówię głośno i publicznie: „Nowojorska policja jest wspaniała. Kocham porucznika Wolfe'a”.

Rozległ się dzwonek i podszedłem do katedry.

— Dobry wieczór — powiedziałem. — Nazywam się John Corey i pracowałem do niedawna jako detektyw w nowojorskim wydziale zabójstw. Na biurkach znajdziecie państwo ogólny program kursu, listę obowiązkowych oraz zalecanych lektur, a także proponowane tematy prac semestralnych i projektów. Swoje projekty będziecie państwo prezentowali na zajęciach — dodałem, wiedząc, że pozwoli mi to znacznie skrócić wykłady przewidziane na trzydzieści godzin.

Głędząc na temat kursu, ocen, listy obecności i tak dalej, przyglądałem się siedzącym z przodu studentom i rzeczywiście byli wśród nich ludzie od osiemnastego do osiemdziesiątego roku życia, w połowie mężczyźni, w połowie kobiety, biali, czarni, Azjaci, Latynosi, facet w turbanie, dwie kobiety w sari oraz ksiądz w kolarce. Taki melanz zdarza się tylko w Nowym Jorku. Wszystkich łączyło jedno: to, że interesowali się morderstwem i metodami jego wykrywania. Morderstwo to coś, co fascynuje i przeraża; wielkie tabu, jedyna być może zbrodnia, którą każda kultura w każdej epoce potępia jako największe wykroczenie przeciwko społeczeństwu, plemieniu, klanowi i jednostce.

Mówiąc, widziałem, że wpatrują się we mnie z zaciekawieniem i kiwają głowami. Odniosłem wrażenie, że wszyscy, i ja, i oni, chcemy tutaj być, co nie zawsze zdarza się na sali lekcyjnej.

— Omówimy także pewne mniej naukowe metody śledztwa, takie jak przeczucia, instynkt i intuicja. Będziemy starali się zdefiniować te...

— Przepraszam, detektywie...

Podniosłem wzrok i zobaczyłem podniesioną w ostatnim rzędzie rękę. Jezu. Mogliby przynajmniej poczekać, aż skończą swoją gadkę. Ręka była chyba podłączona do jakiegoś ciała, ale jego właścicielka siedła za wielkim facetem i widziałem tylko tę podniesioną dłoń.

— Słucham?

Zza wielkiego faceta wyłoniła się Beth Penrose i o mało nie padłem.

— Czy omówi pan również zasady prawidłowego przeszukania i zatrzymania, prawa przysługujące podejrzanemu, w sytuacji gdy te reguły zostały złamane, a także to, jak współpracować z partnerem, aby nie doprowadzać go do białej gorączki? — zapytała.

Moi słuchacze roześmieli się. Ja nie byłem wcale ubawiony i odchrząknąłem.

— Zarządzam pięciominutową przerwę — oznajmiłem. — Zaraz wracam.

Wyszedłem z sali. We wszystkich innych pomieszczeniach trwały zajęcia i na korytarzu było pusto. Zatrzymałem się przy kraniku z wodą, pochyliłem i pociągnąłem kilka łyków.

Beth Penrose stanęła w odległości kilku kroków i obserwowała mnie. Wyprostowałem się i zmierzyłem ją wzrokiem. Miała na sobie obcisłe niebieskie dzinsy, pionierki i kraciatą flanelową koszulę z podwiniętymi rękawami i rozpiętymi na górze guzikami. Nadawało to jej bardziej chłopięcy wygląd.

— Jak twoja rana? — zapytałem.

— W porządku. To było tylko draśnięcie, ale została po nim blizna.

— Będziesz miała o czym opowiadać wnukom.

— Tak.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

— Nie zadzwoniłeś — powiedziała w końcu.

— Nie, nie zadzwoniłem.

— Dom Fanelli był na tyle miły, że informował mnie na bieżąco, co u ciebie słychać.

— Naprawdę? Oberwie w nos, kiedy go spotkam.

— Nie zrobisz tego. Lubię go. Szkoda, że jest żonaty.

— Tak twierdzi. Zapisałaś się na mój kurs?

— Jasne. Piętnaście zajęć, po dwie godziny w każdą środę.

— I będziesz przyjeżdżała tu taki kawał drogi z... jak się nazywa ta miejscowość, w której mieszkasz?

— Huntington. Mniej niż dwie godziny jazdy samochodem a'bo



pociągami. Zajęcia kończą się o dziewiątej, więc będę w domu jeszcze przed wiadomościami o jedenastej.

— Ja wracam do domu przed wiadomościami o dziesiątej.

— Co robisz poza nauczaniem?

— Mam dosyć roboty. Tygodniowo trzy zajęcia rano i jedno po południu.

— Nie tęsknisz za pracą w policji?

— Chyba tak. Brakuje mi tego, brakuje ludzi, z którymi pracowałem, i poczucia, że coś robię... ale na pewno nie brakuje mi biurokracji i całego tego bicia piany. Pora była coś zmienić. A co u ciebie? Robisz karierę?

— Jasne. Jestem bohaterką. Kochają mnie. Przynoszę chlubę policji i mojej płci.

— Ja przynoszę chlubę mojej płci.

— Tylko twoja płć tak twierdzi — odparła i roześmiała się.

Rozmowa sprawiała jej najwyraźniej większą przyjemność niż mnie.

— Podobno wzywano cię kilka razy do biura prokuratora hrabstwa Suffolk — powiedziała, zmieniając temat.

— Zgadza się. Wciąż usiłują ustalić, co się właściwie wydarzyło. Starałem się im maksymalnie pomóc, ale niewiele mogłem ze względu na uraz głowy, który spowodował selektywną amnezję.

— Słyszałam. To dlatego zapomniałeś do mnie zatelefonować?

— Nie zapomniałem.

Puściła to mimo uszu.

— Byłeś na North Fork od tamtej pory?

— Nie. I prawdopodobnie nigdy tam nie pojedę. A ty?

— Zakochałam się w tym miejscu. Kupiłam sobie mały weekendowy domek w Cutchogue razem z kilkoma akrami ziemi. Przypomina mi farmę mojego ojca, kiedy byłam mała.

Chciałem coś powiedzieć, ale rozmyśliłem się. Nie byłem pewien, do czego to prowadzi, przypuszczałem jednak, że Beth Penrose nie zdecydowała się podróżować trzy albo cztery godziny w każdą stronę tylko po to, by usłyszeć słowa mądrości, które słyszała już wcześniej i częściowo odrzuciła we wrześnie. Najwyraźniej interesowało ją coś więcej niż zaliczenie kursu. Ja ze swojej strony przyzwyczajałem się właśnie do życia w pojedynkę.

— Miejscowy agent nieruchomości powiedział mi, że dom twojego wujka został sprzedany.

— Tak. Sam nie wiem dlaczego, ale mnie to przygnębiło.

Pokiwała głową.

— W każdy weekend możesz przyjechać do mnie do Cutchogue.

— Ale powinienem najpierw zadzwonić — powiedziałem, bacznie jej się przyglądając.

— Jestem sama — odparła. — A ty?

— Co powiedział ci mój były partner?

— Że jesteś sam.

— Ale nie samotny.

— Powiedział, że nie masz nikogo.

Nie odezwałem się. Spojrzałem na zegarek.

— Ze źródeł w biurze prokuratora wiem, że dojdzie do procesu — oznajmiła, zmieniając temat. — Nie będzie ugody. Chcą, żeby dostał wyrok śmierci za morderstwo pierwszego stopnia.

Pokiwałem głową. Może o tym nie wspomniałem, ale wypatroszony i oskalpowany Fredric Tobin przeżył. Nie bardzo mnie to zaskoczyło, ponieważ wiedziałem, że nie zadałem mu śmiertelnej rany. Nie przeciąłem żadnej arterii, nie wbilem noża w serce ani nie poderżnąłem gardła, jak powinienem był zapewne zrobić. Myślę, że podświadomie nie mogłem popełnić morderstwa, chociaż wcale bym się nie zmartwił, gdyby w wyniku moich prób pogwałcenia go zmarł na skutek szoku albo z upływu krwi. Obecnie siedział w pojedynczej celi w okręgowym więzieniu, czekając na życie za kratkami razem z Bubbą albo na porażenie prądem centralnego układu nerwowego. A może na śmiertelny zastrzyk. Stan powinien się w tej kwestii zdecydować. Osobiście wolałbym, żeby zasiadł na Starej Iskrówie, i chciałbym być jednym ze świadków egzekucji, aby popatrzeć, jak dym idzie mu z uszu.

Nie wolno mi odwiedzać małego gnoja, ale postarałem się, by dostał mój domowy numer. Kurdupel dzwoni do mnie co parę tygodni z więzienia. Przypominam mu, że skończyły się dla niego wino, kobiety, śpiew, sportowe samochody, motorówki oraz wycieczki do Francji i że już wkrótce zabiorą go z celi przed świtem i stracą. On z kolei twierdzi, że wyjdzie na wolność i radzi, bym lepiej uważał, kiedy to się stanie. Cóż za monumentalne ego ma ten kutas.

— Poszłam na grób Emmy Whitestone, John — powiedziała Beth.

Milczałem.

— Pochowali ją na tym pięknym starym cmentarzu obok innych grobów Whitestone'ów. Niektóre mają po kilkaset lat.

Ponownie się nie odezwałem.

— Spotkałam ją tylko jeden raz, w twojej kuchni — kontynuowała Beth — ale polubiłam i poczułam, że chcę zostawić kilka kwiatów na jej grobie. Ty powinieneś zrobić to samo.

Pokiwałam głową. Powiniennem pojechać do jej kwiaciarni i powiniennem pójść na pogrzeb, ale nie zrobiłem tego. Nie mogłem.

— Max pytał o ciebie.

— Nie wątpię. Uważa, że siedzę na dwudziestu milionach w klejnotach i złocie.

— A siedzisz?

— Jasne. Dlatego właśnie dorabiam tu do renty.

— Jak twoje płuco?

— Świetnie. — Zauważyłem, że kilku słuchaczy wyszło z sali na papierosa albo do toalety. — Muszę wracać.

— Dobrze.

Ruszyliśmy powoli korytarzem.

— Myślisz, że uda im się kiedyś znaleźć skarb kapitana Kidada? — zapytała.

— Nie. Moim zdaniem ten paranoik Stevens ukrył go tak dobrze, że nikt nie odkryje go przez następne kilkaset lat.

— Chyba masz rację. To fatalnie.

— Niekoniecznie. Może nikt nie powinien go ruszać.

— Jesteś przesądny?

— Kiedyś nie byłem. Teraz nic jestem już tego taki pewien.

Podeszliśmy do drzwi sali.

— Odkryłam, że w budynku jest basen — stwierdziła Beth. — Pływasz tam?

— Czasami.

— W przyszłym tygodniu przyniosę kostium kąpielowy. Dobrze?

— Dobrze... Beth?

— Tak?

— Czy to nie będzie krepujące?

— Nie. Ale spodziewam się piątki na zakończenie kursu.

Uśmiechnąłem się.

— Zrobię wszystko, co będzie konieczne.

— Nie dam się przekupić.

— Chcesz się założyć?

Kilkoro słuchaczy gapilo się na nas z sali, uśmiechając się i szepcząc.

Wróciliśmy do sali wykładowej, ja pierwszy, Beth za moimi plecami.

— Jest wśród nas jeszcze jedna policjantka z wydziału zabójstw, pani Beth Penrose z policji hrabstwa Suffolk — poinformowałem klasę. — Jej nazwisko może być wam znane z niedawnego i nie zakończonego do dziś dochodzenia w sprawie morderstwa na North Fork. Pracowałem z nią przy tej sprawie — dodałem — i oboje czegoś się od siebie nauczyliśmy, jeśli idzie o styl i technikę prowadzenia śledztwa. Poza tym uratowała mi życie, więc żeby się zrewanżować, zabieram ją po zajęciach na drinka.

Wszyscy nagrodzili nas brawami.